

SAM BOURNE

**OSTATNI
TESTAMENT**

Prolog

Bagdad, kwiecień 2003

Tłum napierał coraz mocniej, jakby zwęszył krew. Salam wdarł się przez bramę i wraz z innymi natarł na wysokie dębowe drzwi, wyłamując je z futryny. Ludzka ciżba zaczęła wlewać się do środka, unosząc go ze sobą. W jego przypadku nie było to świadome działanie. Stał się po prostu częścią szarżującej bestii — mężczyzn, kobiet i dzieci, wśród których były nawet młodsze od niego. Stanowili razem jedno zwierzę o wielu gardłach, z których dobywał się wspólny ryk.

Wdarli się do pierwszej sali, w której szyby gablot połyskiwały srebrzyście w księżycowej poświacie wpadającej do wnętrza przez sięgające aż do sufitu okna. Nastąpił krótki moment zawahania, jakby bestia zbierała siły. Stojąc w tłumie bagdad-czyków, Salam rozglądał się ciekawie po wnętrzu Narodowego Muzeum Starożytności, które jeszcze do niedawna było wypełnionym klejnotami Mezopotamii skarbem Saddama. Nigdzie nie dawało się zauważyć strażników. Policja już dawno opuściła swe posterunki, a niedobitki straży muzealnej rzuciły się do ucieczki na widok wlewającej się do środka tłuszczy.

Ciszę rozdarł brzęk szkła rozpryskującego się pod uderzeniem młota. Jak na dany znak ludzi ogarnęło szaleństwo i rozpoczęło się walenie w szyby czym kto miał — pistoletami, siekierami, nożami, pałkami, a nawet ciężkimi metalowymi prętami, które napastnicy wrywali po drodze z porzuconych samochodów.

Wszystkim, co było pod ręką, byle tylko dostać się do bezcennych pamiątek starożytności.

Trzaskały kolejne szyby, na podłogę sypały się figurki z kości słoniowej i starożytne wyroby ceramiczne, rozpryskując się w drobne kawałeczki. Sala, w której panowała zwykle dostojna muzealna cisza, rozbrzmiewała teraz ogłuszającym zgiełkiem. Zewsząd dochodził brzęk tłuczonego szkła, od czasu do czasu rozlegał się huk pojedynczych wystrzałów oddawanych przez najbardziej niecierpliwych, którym jakiś zamek zbyt długo stawiał opór. Salam zauważył też dwóch przyzwoicie ubranych mężczyzn, którzy zabrali się do dzieła za pomocą profesjonalnego sprzętu do cięcia szkła.

Ziemia drżała pod nogami wlewających się do wnętrza kolejnych fal ludzkich, które, omijając pierwszą salę, rozpełzały się po całym budynku. Napierający tłum zaczynał ścierać się z pierwszymi rabusiami, którzy próbowali wydostawać się na zewnątrz, ciągnąc drogocenną zdobycz na wózkach, taczkach i rowerach albo dźwigając ciężkie plastikowe skrzynie i kartony. Wśród nich Salam rozpoznał jednego z przyjaciół ojca, który, z wypchanymi kieszeniami i poczerwieniałą z wysiłku twarzą, torował sobie drogę do wyjścia.

Waliło mu serce. W ciągu przeżytych piętnastu lat nigdy nie widział, żeby ktoś tak się zachowywał. Jeszcze kilka dni temu wszyscy wokół chodzili wolno, z opuszczonymi głowami, starannie unikając wzroku innych. W rządzonej przez Saddama Iraku nikt nie łamał przepisów i nie chciał zwracać na siebie uwagi. A teraz ci sami ludzie — jego najbliżsi sąsiedzi — oszaleli z żądzy rabowania wszystkiego, co nawinęło się pod rękę, i niszczenia całej reszty.

Salam sięgnął do gablotki z rozbitą szybą po naszyjnik z jasno-pomarańczowych i bursztynowych kamieni, ale nie zdążył go nawet dotknąć, bo ktoś złapał go za rękę i wykręcił ją. Kobieta w średnim wieku z płonącymi chciwością oczyma lewą ręką odepchnęła Salama, prawą zaś chwyciła naszyjnik. Chłopiec wycofał się.

Pomyślał, że ten widok przypomina najazd hordy łupieżców na starożytne miasto. Orgię, którą napędza nie chuć, ale chciwość, a jej uczestnicy, wijąc się w paroksyzmach nie rozkoszy, lecz łapczywości, zaspokajają pożądanie, które narastało w nich od dziesięcioleci. Ktoś popchnął go brutalnie. Do sali wpadła nowa wataha i rzuciła się ku schodom.

Salam dał się ponieść fali, która spłynęła w dół. Rozeszła się bowiem pogłoska, że personel muzeum ukrył najcenniejsze eksponaty w magazynach na dole. Znalazł się opodal grupki mężczyzn medytujących nad drzwiami, które najwyraźniej chwilę wcześniej wyrwali z zawiasów. Wejście zostało zaślepione ścianką z pustaków postawioną tak niedawno, że zaprawa nie zdążyła jeszcze dobrze stwardnieć. Jeden z mężczyzn zaczął walić w nią młotkiem, potem przyłączali się kolejni z młotkami, niektórzy nawet z gołymi pięściami. Ktoś skinął na Salama:

— No, bierz się!

Ktoś inny wręczył mu metalową nogę od stolika.

W krótkim czasie pod naporem tłumy naprędce postawiona ścianka rozsypała się jak zamek z piasku. Przywódca grupy pierwszy przepchnął się przez otwór i wybuchnął śmiechem, a po chwili śmiała się już reszta. Salam szybko pojął powód ich rozbawienia: sala pełna była starożytnych skarbów w postaci kamiennych płaskorzeźb księżniczek i królów, sztychów wyobrażających barany i osły, posążków piersiastych bogiń i nubijskich kobiet, ceramicznych naczyń, urn i mis. Na półkach leżały wyroby z miedzi i kawałki tkanin, na ścianie widać było fryzy przedstawiające żołnierzy walczących w dawno już zapomnianych wojnach.

Salam zwrócił uwagę na muzealne wywieszki, którymi wciąż opatrzona była część skarbów. Jedna opisywała eksponat jako *lirę z sumeryjskiego miasta Ur z inkrustowaną złotem głową byka z roku 2000 p.n.e.* Wkrótce lira została umieszczona na jakimś wózku. Inna wywieszka informowała, że eksponatem jest *wotywna misa z białego wapienia, także z Warki, z roku 3000 p.n.e.* i Salam patrzył, jak jeden z mężczyzn upycha misę

w sportowej torbie przewieszanej przez ramię. Aby wynieść posąg przedstawiający króla Entemenę z Urz roku 2430 p.n.e. potrzebni byli dwaj mężczyźni do dźwigania i trzeci do kierowania nimi przy przeciskaniu się przez otwór. Salam pamiętał ze szkoły, że w bagdadzkim muzeum zgromadzono skarby sprzed pięciu tysięcy lat. „W tym muzeum nie mieści się tylko historia Iraku — mawiał ich nauczyciel — ale także historia całej ludzkości”.

A teraz wewnątrz muzeum przypominało pierwszy lepszy targ warzyw, na którym kupujący wydzierają sobie co lepsze kąski. Tylko że nie chodziło tu o rozgniecione pomidory czy nadpsutą paprykę, ale o dzieła sztuki i narzędzia, które pamiętały narodziny cywilizacji.

Do uszu Salama dotarły podniesione głosy: dwóch liderów wdało się w sprzeczkę. Jeden drugiemu wymierzył policzek, a po chwili zaczęła się bijatyka, w wyniku której na podłogę runęła metalowa gablota wypełniona ceramicznymi wyrobami. Ktoś wyciągnął nóż, ktoś inny walnął Salama w plecy i pchnął go w stronę walczących. Salam bez namysłu okręcił się na pięcie, skoczył do dziury w ścianie i uciekł.

Zbiegając w dół po schodach, słyszał wrzaski i klótnie dobiegające z mijanych pięter. Wszystkie osiemnaście galerii muzeum opanowały już hordy rabusiów. Dochodzący zewsząd zgiełk przerażał go.

Salam zbiegał coraz niżej, aż w końcu wokół niego zrobiło się pusto i wszystko ucichło. Nikomu nie chciało się wędrować aż tak daleko, gdy tam, na wyciągnięcie ręki, było wystarczająco dużo łupów. Nareszcie się od nich uwolni.

Pchnął jakieś drzwi, a te bez oporu się otworzyły. W półmroku widać było kilka rozrzuconych skrzyń z papierami, których zawartość leżała rozsypana na podłodze. Ktoś, kto dotarł tu już wcześniej, uznał zapewne, że szkoda czasu na ich rozgrzebywanie. Najwyraźniej było to pomieszczenie biurowe, o czym świadczyły przewody dyndające na ścianach niczym korzenie wywróconego drzewa — pozostałość po telefonach i faksach, które wyrwano ze ścian.

Może jednak coś przeoczyli, pomyślał Salam i zabrał się do przetrząsania szuflad biurka w nadziei, że może znajdzie złote pióro albo przynajmniej jakąś kasetkę. Ale poza stertami starych papierzyśk nic w nich nie było.

Najniżej znajdowała się największa szuflada, której jednak nie udało mu się otworzyć. Pociągnął mocniej, ale była zamknięta na klucz, więc dał sobie spokój.

Ruszając do wyjścia, potknął się o jakąś nierówność koło biurka. Spojrzał pod nogi i dostrzegł wystającą płytkę podłogową. Zawsze miał takie szczęście. Cała podłoga równa i płaska, a on akurat musi... Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wetknął palce w szparę i podważył wystającą płytkę. W pomieszczeniu było zbyt ciemno, żeby mógł coś pod nią zobaczyć, wsadził więc do środka rękę, ale jego dłoń zawisła w pustce głębokiego otworu.

I wtedy nagle coś namacał — coś twardego i chłodnego w dotyku. Metalowa kasetka. No, nareszcie: pieniądze!

Musiał się wyciągnąć na podłodze i przyłożył policzek do kamiennych płytek, by po nią sięgnąć. Starał się uchwycić łup palcami, ale wydobyć kasetki wcale nie było łatwe. W końcu jednak się udało. Była zamknięta na klucz, ale jej zawartość nie brzęczała monetami, a na banknoty była za ciężka.

Wyprostował się i zaczął rozglądać po mrocznym wnętrzu. W końcu dojrzał na biurku coś, co służyło zapewne do rozcinania kopert. Wsunął ostrze pod cienką, metalową pokrywę kasetki i zaczął cisnąć. Objechał ostrzem cały obwód pokrywy, jakby otwierał puszkę konserw. Udało mu się na tyle ją odgiąć, że po przechyleniu kasetki można było wytrząsnąć jej zawartość. Serce waliło mu jak młot.

W pierwszej chwili poczuł tylko zawód. Z kasetki wysunęła się gliniana tabliczka z wytłoczonymi na niej dziwacznymi znakami. Widział dziś wiele takich tabliczek, z których część leżała pogruchotana na podłodze. Już miał ją wyrzucić, ale coś go zastanowiło. Skoro pracownik muzeum zadał sobie tyle trudu,

żeby tak pieczołowicie ukryć ten kawałek gliny, to może jednak ma on jakąś wartość?

Salam ruszył po schodach i wbiegał po nich tak długo, aż do jego oczu dotarł blask księżyca. Znalazł się przy tylnym wejściu do muzeum, którym wdzierała się właśnie kolejna horda rabusiów. Oczekał, aż zwarty tłum nieco się przerzedzi, po czym wydostał się na zewnątrz przez otwór po wyłamanych drzwiach i puścił biegiem ulicami nocnego Bagdadu. Dzierzył pod pachą zdobycz, której prawdziwego znaczenia nigdy nie miał poznać.

Rozdział 1

Tel Awiw. Sobota wieczór. Kilka lat później

Zjawili się ci, co zawsze. Zaprzysięgli lewacy — mężczyźni z włosami do ramion po rocznym pobycie w Indiach i kobiety z diamentowymi szpilkami w nosach — regularnie uczestniczący w sobotnich spotkaniach. Wiadomo było, że jak zwykle odśpiewają doskonale znaną wszystkim *Shir l'shalom* — Pieśń pokoju — trzymając w rękach tradycyjne rekwizyty: osłaniane dłońmi świece i portrety Icchaka Rabina — otaczanego czią bohatera, którego imieniem nazwano to miejsce spotkań. Stojąc w samym sercu tłumu wypełniającego plac Rabina, rozdawali przechodniom ulotki i naklejki na zderzaki samochodów albo cicho brzdąkali na gitarach, pozwalając, by wydobywane z nich dźwięki ulatywały w ciepłą śródziemnomorską noc.

Otaczały ich nowsze, mniej znane twarze. Weteranów tych pokojowych manifestacji najbardziej zdumiewał widok miz-rachów, żydowskich robotników przybyłych z krajów Afryki Północnej, którzy ściągali tu z najbiedniejszych rejonów Izraela. Od dawna stanowili oni najbardziej wojowniczy elektorat kraju. „Znamy Arabów — mawiali, odwołując się do swoich korzeni w Maroku, Tunezji czy Iraku. — Wiemy, jacy są naprawdę”. Twardzi i chorobliwie nieufni wobec swych palestyńskich sąsiadów zazwyczaj gardzili lewakami uczestniczącymi w tego rodzaju wiecach. A teraz nagle sami się tu zjawili.

Po zebranych tłumie prześlizgiwały się obiektywy kamer

telewizji izraelskiej, BBC, CNN i większości wielkich sieci międzynarodowych, polując na co ciekawsze twarze. Widać też było transparenty w języku rosyjskim trzymane przez imigrantów z dawnego Związku Radzieckiego zaliczających się — podobnie jak mizrachowie — do tradycyjnie wojowniczego elektoratu. Kamerzyście z NBC udało się uchwycić kadr, który wprowadził realizatora w stan euforii: mężczyzna w kipi, tradycyjnym nakryciu głowy religijnych Żydów, stojący tuż obok czarnej Etiopki. Twarze obojga skąpane były w ciepłym świetle trzymany przez nich świec.

Nieco dalej stał niedostrzeżony przez kamery starszy mężczyzna, na którego pozbawionej -uśmiechu, posępnej twarzy malowała się zawziętość. Raz jeszcze sprawdził pod marynarką: był na miejscu.

Na wzniesionym specjalnie na tę okazję podwyższeniu zebrała się grupa reporterów relacjonujących przebieg wiecu dla widzów i słuchaczy na całym świecie. Głos jednego z amerykańskich sprawozdawców wybijał się ponad inne.

Znajdujemy się w Tel Awiwie, gdzie uczestniczymy w wydarzeniu, które przejdzie do historii stosunków izraelsko-palestyńskich. Już wkrótce przywódcy obu narodów spotkają się w Waszyngtonie — ściślej mówiąc, na trawniku przed Białym Domem — by podpisać porozumienie, które wreszcie zakończy ponadstuletni konflikt. Obie strony są w trakcie negocjacji za zamkniętymi drzwiami, które toczą się niecałą godzinę drogi stąd, w Jerozolimie. Ich przedstawiciele starają się wypracować szczegóły traktatu pokojowego. Gdzie dokładnie toczą się te rozmowy? No cóż, Katie, zapewne trudno byłoby znaleźć bardziej symboliczne miejsce. Odbývają się bowiem w Domu Rządowym, siedzibie władz brytyjskich z czasów ich rządów tutaj, który stoi pośrodku między arabską Wschodnią Jerozolimą a zasadniczo żydowskimi zachodnimi dzielnicami miasta.

Dziś jednak centrum uwagi przeniosło się tu, do Tel Awiwu. Premier Izraela wezwał do uczestnictwa w wiecu po to, by jego uczestnicy mogli powiedzieć: „Ken 1'Shalom”, czyli „Tak dla pokoju”. Jest to działanie polityczne, które całemu światu i krajowym oponentom ma pokazać, że zawarcie traktatu z historycznym wrogiem Izraela cieszy się powszechnym poparciem.

To prawda, że traktat ten ma także zawziętych i bojowo nastawionych przeciwników, którzy twierdzą, że premier nie ma prawa godzić się na kompromis, jaki podobno przewidziany jest w tym porozumieniu. Ich zdaniem nie ma prawa oddawać terenów na Zachodnim Brzegu, nie ma prawa likwidować żydowskiego osadnictwa na tych terenach i — co najważniejsze — nie ma prawa dzielić Jerozolimy. Kwestia Jerozolimy, Katie, to oczywiście największa przeszkoda. Do tej pory Izrael upierał się, że Jerozolima musi nadal zachować status stolicy i pozostać na zawsze jednym scalonym miastem. Dla przeciwników premiera to sprawa święta, a on gotów jest ją naruszyć. Ale zaraz, zdaje się, że właśnie przyjechał izraelski przywódca...

Przez tłum przebiegł szmer podniecenia i tysiące twarzy zwróciły się ku mównicy. Do mikrofonu podszedł wicepremier witany skąpymi brawami. Wprawdzie należał do tej samej partii co premier, jednak powszechnie wiadomo było, że jest jego zażartym rywalem.

Przemawiał zbyt długo i wywołał aplauz tłumu dopiero w chwili, gdy kolejne zdanie zaczął od: „Na koniec...”. Zakończył zapowiedzią wystąpienia przywódcy, w której wymienił jego osiągnięcia i nazwał „człowiekiem pokoju”, po czym gestem ręki zaprosił go na mównicę. Na widok premiera tłum wybuchnął owacjami — blisko trzysta tysięcy osób zaczęło bić brawo, tupać i wznosić okrzyki. Ten entuzjizm odnosił się nie tyle do niego samego, ile do jego zamiarów, na realizację których, wedle

powszechnej opinii, nikt inny nie miał szans. Nikt poza premierem nie cieszył się aż taką wiarygodnością, aby firmować niezbędne ofiary, i wszyscy mieli nadzieję, że w ciągu najbliższych dni to właśnie jemu uda się wreszcie zakończyć konflikt, który każdemu z obecnych osobiście dał się we znaki.

Premier dobiegał siedemdziesiątki i był bohaterem czterech izraelskich wojen. Gdyby założył wszystkie swoje medale i odznaczenia, zapewne nie mógłby się wyprostować. Jediną zauważalną „pamiątką” po wojennej przeszłości było wyraźne utykanie na prawą nogę. Mimo iż od dwudziestu lat zajmował się polityką, nadal myślał jak wojskowy. Prasa zawsze zaliczała go do jastrzębi, a jego sceptycyzm wobec pokojowych ekstremistów i ich pomysłów był powszechnie znany. Teraz jednak doszedł do wniosku, że sprawy przybrały taki obrót, że wreszcie pojawiła się prawdziwa szansa.

— Jesteśmy już zmęczeni — rozpoczął i tłum od razu przycichł.
— Jesteśmy zmęczeni codzienną walką, zmęczeni noszeniem wojskowych mundurów, zmęczeni zmuszaniem naszych synów i córek, by zaraz po szkole brali do ręki broń i wsiadali do czołgów. Walczymy, walczymy, walczymy i jesteśmy już tym zmęczeni. Jesteśmy również zmęczeni sprawowaniem rządów nad innym narodem, który nigdy nie chciał być przez nas rządzony.

W trakcie przemówienia mężczyzna o posępnej twarzy, ciężko dysząc, zaczął przepychać się do przodu. „*Slicza*” — powtarzał, zdecydowanymi ruchami ramion torując sobie drogę w stronę mównicy. „Przepraszam”.

Miał srebrzyście siwe włosy, masywną klatkę piersiową i był rówieśnikiem premiera. Przepychanie się przez tłum wyraźnie go zmęczyło, bo kołnierzyk koszuli pociemniał mu od potu. Wyglądał jak ktoś, kto za wszelką cenę musi złapać odjeżdżający pociąg.

Choć znalazł się już niemal na przedzie, wciąż nie przestawał się przepychać. Pierwszy zwrócił na niego uwagę stojący w trzecim rzędzie agent ochrony po cywilnemu, który natychmiast

wyszeptał do mikrofonu ukrytego w rękawie kilka słów ostrzeżenia. Zaalarmowało to agentów przy mównicy, którzy zaczęli przyglądać się twarzom w najbliższym otoczeniu. Wypatrzenie posępnego mężczyzny było jednak dziecinnie proste, bo nawet nie próbował zgubić się w tłumie.

Agent był zaledwie parę kroków od niego.

— *Adoni, adoni* — zawołał. — Proszę pana, proszę pana. — Nagle go rozpoznał i krzyknął: — Panie Guttman, przepraszam! Panie Guttman!

Na dźwięk znanego nazwiska twarze osób stojących w pobliżu zwróciły ku intruzowi. Profesor Szimon Guttman, dla jednych uczony i wizjoner, dla innych stary ramol i prawicowy demagog. Stały gość programów telewizyjnych i dyskusji radiowych. Sławę zdobył kilka lat wcześniej przy okazji wycofania się Izraela ze Strefy Gazy, gdy koczował na dachu domu żydowskiego osadnika. Protestował w ten sposób przeciw zbrodniczemu postępowaniu izraelskich żołnierzy, którzy uczestniczyli w oddawaniu ziemi „arabskim terrorystom, złodziejom i mordercom”.

Nie zważając na okrzyki agenta, Guttman przepchnął się obok kobiety z dzieckiem na rękach.

— Panie Guttman, niech się pan natychmiast zatrzyma! — krzyknął agent.

Guttman jakby go nie słyszał.

Agent nie czekał już dłużej, tylko zaczął się przepychać przez grupkę nastolatków. Przez chwilę rozważał nawet, czy nie sięgnąć po broń, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że widok broni może wywołać panikę. Raz jeszcze krzyknął w stronę mężczyzny, ale jego głos utonął w głośnym aplauzie.

— Nie kochamy Palestyńczyków, a oni nie kochają nas — mówił premier. — I nigdy ich nie pokochamy, podobnie jak oni nas...

Agentowi zostało jeszcze parę metrów do Guttmana, który zbliżał się już do podestu. Był niemal tuż za nim i, wyciągając się, mógłby go chwycić za ramię, jednak tłum w pobliżu mównicy był bardziej zbity i trudniej się było przez niego przepchnąć.

Agent wspiął się na palce, wychylił do przodu i musnął palcami ramię mężczyzny.

Guttman był już bardzo blisko podestu. Uniósł głowę i wlepił wzrok w mówcę, który właśnie zbliżał się do kulminacyjnego punktu swego przemówienia.

— Kobi! — krzyknął, posługując się dawno zapomnianym pseudonimem premiera. — Kobi! — Twarz mu pałała, oczy miał szeroko rozwarte.

Z trzech stron otaczało go teraz pięciu agentów ochrony — po dwóch z boków, jeden tuż za nim. Wszyscy byli gotowi rzucić się, obalić i — zgodnie z instrukcją — przydusić intruza do ziemi, ale stojący na prawo od mównicy szósty agent dostrzegł wcześniej ruch podejrzanego, który, nie odrywając wzroku od premiera, sięgnął nagle do kieszeni marynarki.

Pierwszy pocisk trafił prosto w głowę — dokładnie tak, jak ćwiczono to setki razy na strzelnicy. Zawsze celowano w głowę, by doprowadzić do natychmiastowego i całkowitego sparaliżowania podejrzanego. Nie można było ryzykować przypadkowego skurczu mięśni, który mógłby zdetonować ładunek samobójczy, ani ostatnich sekund życia, które mogłyby zamachowcowi dać okazję do pociągnięcia za spust. Agenci ochrony patrzyli, jak srebrzyście siwa głowa Szimona Guttmanna rozdziawia się niczym pęknięty arbuz i obryzguje stojących w pobliżu mózgiem i krwią.

Premiera natychmiast ściągnięto z podestu i otoczono ciasnym wianuszkiem agentów ochrony, który następnie przesunął się w stronę samochodu. Tłum, który jeszcze przed chwilą bił brawo i radośnie pokrzykiwał, teraz zaczął krzyczeć z przerażenia. Najgłośniej wrzeszczeli ludzie w pierwszych rzędach, którzy próbowali uciec od przerażającego widoku trupa. Policja otoczyła ciało kordonem, ale nacisk tłumu był trudny do opanowania. Wszyscy krzyczeli i rozpychali się, pragnąc jak najszybciej się stąd wydostać.

Z taką samą determinacją, tyle że w przeciwnym kierunku, zaczęło torować sobie drogę dwóch starszych stopniem oficerów osobistej ochrony premiera. Chcieli szybko sforsować utworzony

kordon i dotrzeć do zwłok niedoszłego zamachowca. Jeden z nich machnął policjantowi służbową oznaką i schyliwszy się pod jego ramieniem, wcisnął się do kręgu otaczającego trupa.

Z głowy zamachowca niemal nic nie zostało, ale jego ciało było prawie nietknięte. Denat leżał twarzą do ziemi. Oficer ochrony przekręcił go na plecy. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim.

Nie chodziło mu o roztrzaskane kości twarzy czy puste oczodoły. Widywał to już wcześniej. Poruszył go widok rąk denata, szczególnie zaś prawej dłoni, której palce zacisnęły się kurczowo nie na rękojeści pistoletu, tylko na kawałku zbroczonego krwią papieru. Denat nie sięgał po broń, tylko po jakąś kartkę. Szimon Guttman nie miał zamiaru strzelać do premiera. Chciał mu tylko coś przekazać.

Rozdział 2

Waszyngton, niedziela, godz. 9.00

- Dziś nasz wielki dzień, kochanie.
- Mmm...
- Proszę cię. Czas wstawać.
- Nnnie...
- No już. Raz, dwa, trzy. Odkrywamy...
- Ej, ty!

Maggie Costello usiadła, szarpnęła kołdrę i, pociągnawszy ją na siebie, okryła się szczelnie razem z głową. Nienawidziła porannego wstawania i niedzielne leniuchowanie w łóżku uważała za swoje konstytucyjne prawo.

Odwrotnie niż Edward. Ten zapewne już od dwóch godzin był na nogach. Nie był taki, kiedy go poznała. W Kongo w Afryce potrafił tak jak ona wałkonić się po nocach, ale od chwili powrotu do Stanów całkowicie zmienił swoje zwyczaje. Szybko stał się waszyngtończykiem, który wychodzi z domu parę minut po szóstej. Z głową wtuloną w poduszkę widziała kątem oka, że ma na sobie szorty i koszulkę gimnastyczną, jedno i drugie mokre od potu. Ona jeszcze dobrze nie oprzytomniała, a on już zdążył wrócić z porannej przebieżki w parku Rock Creek.

— No, wstawaj! — zawołał z łazienki. — Przypominam, że mamy dziś w planie zakupy mieszkaniowe! Najpierw Crate and Barrel, a potem Bed Bath & Beyond, na końcu Macy's. Wszystko już obmyśliłem.

— Ale nie przez cały dzień — jęknęła w poduszkę, pewna, że i tak jej nie usłyszysz. Była zresztą umówiona. Spotkanie z klientami, którzy w dni powszednie nigdy nie mają na to czasu.

— Ale nie przez cały dzień! — zawołał, przekrzykując szum prysznica. — Najpierw masz to spotkanie, pamiętasz?

Maggie udała, że nie słyszy, i nie podnosząc się, sięgnęła po pilota od telewizora. Jeśli musi już się budzić o tak barbarzyńskiej porze, niech przynajmniej będzie z tego jakaś korzyść. Posłucha niedzielnych gadających głów. Nim zdążyła nastawić kanał ABC, poranne wiadomości już się rozpoczęły.

Po dramatycznych wydarzeniach, jakie rozegrały się podczas wczorajszego wiecu pokojowego, na którym izraelski premier stał się celem udaremnionego zamachu na życie, w Jerozolimie panuje nerwowa atmosfera. Wyrażane jest głębokie zaniepokojenie, to zajście wpłynie na przebieg procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie, co do którego żywiono nadzieje, iż przelom może nastąpić już...

— Kochanie, naprawdę! Będą tu za dwadzieścia minut...

Sięgnęła po pilota i pogłośniła. Prezenter przełączył się z korespondenta w Jerozolimie na korespondenta z Białego Domu, który donosił, że amerykańska administracja podejmuje odpowiednie kroki, by strony konfliktu zachowały spokój i nie zrywały rozmów. Jakiś koszmar, pomyślała. Wywołany przez szaleńca incydent, który grozi, iż cały tak mozolnie zbierany kapitał wzajemnego zaufania i osiągnięty postęp mogą pójść na marne. Wyobraziała sobie, co czują ci, którzy doprowadzili Izraelczyków i Palestyńczyków do tego miejsca. Nie żadne polityczne grube ryby w rodzaju sekretarza stanu czy ministrów spraw zagranicznych, którzy wkraczą na scenę dopiero w ostatniej chwili, ale bezimienni negocjatorzy, którzy wykuwaniu tego porozumienia poświęcili miesiące, może nawet lata pracy. Wiedziała, jak są teraz sfrustrowani i rozczarowani. Biedne sukinsyny.

*Na Wschodnim Wybrzeżu zbliża się godzina dziewięta
piętnaście...*

— Ej, ty! Ja to oglądam!

— Nie ma na to czasu.

Jakby dla podkreślenia tych słów Edward stanął tuż przed nią i, wycierając się ręcznikiem, zasłonił ekran telewizora.

— Co ci się stało, że tak nagle zacząłeś przejmować się moimi sprawami?

Przestał się wycierać i spojrzał na Maggie.

— Bo się przejmuję tobą, kochanie. Nie chcę, żebyś źle zaczęła dzień. Jak spóźnisz się rano, to już do wieczora będziesz spóźniona. Powinnaś mi podziękować.

— Okay — powiedziała, zwlekając się z łóżka. — Dziękuję.

— A poza tym, nie musisz tego oglądać. To już nie twoje zmartwienie.

Spojrzała na niego. Jakże różnił się od mężczyzny w drelichowych spodniach i wygniecionej koszulce polo, jakim był trzy lata temu, kiedy go poznała. Nadal był przystojny i miał wyrazistą, męską urodę, ale od przyjazdu do Waszyngtonu przeszedł metamorfozę. „Wypindrzył się”, jakby powiedziała w swych szkolnych czasach w Dublinie. Jako urzędnik Departamentu Handlu zajmujący się handlem międzynarodowym był zawsze gładko ogolony, nosił świeżo wyprasowane koszule od Brooks Brothers i buty wyczyszczone na glans. Stał się typowym waszyngtońskim biurokratą, jakże podobnym do bezbarwnych mężczyzn spotykanych na brunchach* i koktajlach, na których musiał być jako członek waszyngtońskiego establishmentu. Dziś już nikt oprócz niej nie mógł wiedzieć, że pod zapiętym na ostatni guzik uniformem urzędnika kryje się nieogolony i niedbający o wygląd zapaleniec, który pracował niegdyś w organizacji humanitarnej rozdzielającej żywność i w którym wtedy się zakochała.

* Połączenie późnego śniadania z lunchem.

Ich romans nie zaczął się od razu. Wkrótce po tym, jak się poznali, przeniesiono go do Ameryki Południowej, a gdy wrócił do Afryki, ona była już na Bałkanach. Tak to wyglądało u takich jak oni i stanowiło ryzyko zawodowe. Dlatego ich znajomość nie wyszła początkowo poza stadium pierwszego olśnienia i poczucia, że może kiedyś... Tak było do chwili, gdy nieco ponad rok temu w Afryce znów się na siebie natknęli. Po tym, co jej się tam przydarzyło, a o czym od tamtej pory prawie nie rozmawiali, była kompletnie rozbita. Pomógł jej się wtedy pozbierać i czuła, że nigdy nie przestanie mu być za to wdzięczna.

Weszła pod prysznic, a gdy się wycierała, usłyszała dzwonek domofonu. Jej klienci stali już na dole pod drzwiami ich apartamentowca. Nacisnęła przycisk i wpuściła ich do środka. Czas potrzebny na jazdę windą dawał jej minutę na ubranie się. Pospiesznie związała włosy i wrzuciła na siebie luźną, opadającą nisko na dzinsy szarą bluzę. Potem wysunęła szufladę i wyjęła pierwsze z brzegu pantofle na niskim obcasie.

Zdążyła jeszcze zerknąć w lustro w przedpokoju, by się upewnić, że w jej wyglądzie nie ma niczego rzucającego się w oczy. Od przyjazdu do Waszyngtonu stało się to zasadą. Jej młodsza siostra Liz powiedziała nawet, że ubiera się tak, jakby jej w ogóle nie było. „Spójrz na siebie. Same szarości, czernie i tak luźne swetry, że pomieściłyby chyba całą rodzinę! Zdajesz sobie sprawę z tego, że ubierasz się tak, jakbyś była okropnie gruba? Masz świetną figurę, ale przez ten twój ubiór nikt o tym nie wie. Jakby twoje ciało udawało tajnego agenta”. I Liz — autorka blogu i przyszła powieściopisarka — roześmiała się z własnego żartu.

Maggie burknęła wtedy, żeby się od niej odczepiła, ale w głębi duszy wiedziała, że siostra ma trochę racji.

— Tak jest lepiej ze względu na pracę — wyjaśniła. — W pewnych sytuacjach negocjator powinien być jak tafla szkła, przez którą ludzie mogą patrzeć i widzieć siebie, a nie kogoś między sobą.

Jednak Liz to nie przekonało. Podejrzewała, że siostra wyczytała te mądrości w jakimś podręczniku, i nie myliła się.

Maggie nie przyznała się też do tego, że jej nowy wygląd brał się z gustu jej partnera. Najpierw delikatnie, a potem coraz bardziej natarczywie Edward namawiał ją do wiązania włosów i rezygnowania z przylegających do ciała bluzek, obcisłych spodni czy spódniczek do kolan, które wcześniej stanowiły podstawę jej miejskiego ubioru. Za każdym razem podpierał się jakimś konkretnym argumentem: „Jest ci lepiej w tym kolorze” albo „Sądzę, że to będzie odpowiedniejsze”. Zdawał się mówić to szczerze, ale nie mogła nie zauważyć, że jego uwagi pchały ją zawsze w jednym kierunku: skromniej i mniej seksownie.

Oczywiście ani słowem nie przyznała się do tego siostrze. Liz od pierwszej chwili czuła do Edwarda podświadomą niechęć, więc nie chciała dolewać oliwy do ognia. A poza tym byłoby to wobec niego nie fair. Jeśli zmieniła styl ubioru, to była to jej własna decyzja podjęta z przyczyn, którymi nigdy się z siostrą nie podzieliła i nigdy tego nie zrobi. Rzeczywiście kiedyś ubierała się seksowniej, no i dokąd ją to zaprowadziło? Nie popełni po raz drugi tego samego błędu.

Otworzyła drzwi i wpuściła Kathy i Bretta George'ów do pokoju gościnnego, który służył jej do spotkań z klientami. Brali oni udział w specjalnym programie przeznaczonym dla rozwodzących się par, który został wdrożony przez władze stanowe Wirginii dla „ostudzenia nastrojów”. Uczestniczyły w nim obowiązkowo wszystkie chcące się rozwieść pary małżeńskie, które — nim udały się do sądu — musiały wziąć udział w kilku sesjach ugodowych. Zwykle wystarczyło sześć takich sesji, by rozchodzącej się parze udawało się ustalić warunki rozstania. Pozwalało to obyć się bez adwokatów i zaoszczędzić w ten sposób nerwy i pieniądze. W każdym razie tak to miało działać w teorii.

Poprosiła, by George'owie usiedli, i przypomniała, na czym skończyli tydzień temu i jakie sprawy zostały im jeszcze do omówienia. Jak na wystrzał z pistoletu startowego oboje natychmiast rzucili się na siebie i rozpoczęli ostrzał wzajemnymi oskarżeniami. Robili tak od pierwszego spotkania z Maggie.

— Kochanie, z przyjemnością zostawię ci dom. Samochód zresztą też. Mam tylko pewne warunki...

— Żebym siedziała w domu i zajmowała się twoimi dziećmi?!...

— Naszymi dziećmi, Kathy. Naszymi.

Byli ludźmi niewiele po czterdziestce, siedem czy osiem lat starszymi od Maggie, ale równie dobrze mogli należeć do innego pokolenia czy wręcz pochodzić z innej planety. Zdumiona wysłuchiwała kłótni na temat korzystania z letniego domu w New Hampshire, która z kolei doprowadziła do gorącej scysji, czy podczas choroby ojca Bretta Kathy była dla niego dobrą synową. Z kolei Kathy upierała się, że gdy jej rodzice przyjeżdżali w odwiedziny, Brett zawsze był dla nich nieuprzejmy.

Maggie miała już serdecznie dosyć państwa George'ów. Rozsiadali się na jej kanapie i od czterech tygodni całą energię poświęcali wzajemnym oskarżeniom, w ogóle nie przejmując się jej słowami. Próbowano ich brać łagodnością, mało mówić i tylko od czasu do czasu potakiwać. Próbowano chwytac ich za gardło, wtrącać się do niemal każdego zdania i trzymać rozmowę w żelaznych karchach, jakby miała do czynienia z wartkim potokiem, który musi ujarzmić. Woląc ten drugi sposób, zasypywała ich pytaniami i wygłaszała opinie bez względu na obrażone miny pani Słodkiej Idiotki i niespokojne wiercenie się na kanapie pana Piczka Zasadniczka. Ale i to nie dawało żadnego efektu. Za każdym razem wracali do niej równie skłóceni jak pierwszego dnia.

— Maggie, czy ty widzisz, co on kombinuje? Widzisz, do czego zmierza?

Słuchając tych dwojga, Maggie zaczynała żałować, że w ogóle przyjęła tę pracę. Początkowo wydawało się jej, że ma to sens. W jej zakresie obowiązków napisano, że ma prowadzić „mediację” i tak też robiła. Tematyka mediacji różniła się wprawdzie od jej dotychczasowych doświadczeń, ale w końcu mediacja to mediacja. Przecież różnice w technice mediacji nie mogą być zbyt wielkie. Zresztą powrót do dawnej pracy nie wchodził

w rachubę. Od czasu, gdy się przekonała, czym może grozić niepowodzenie, zaczęła się jej bać.

Ale, Chryste Panie, tych dwoje naprawdę zaczynało utwierdzać ją w przekonaniu, że chyba jednak popełniła błąd.

— Maggie, posłuchaj, mam nadzieję, że dobrze to rozumiałaś. Z radością będę łożył na utrzymanie dzieci w kwocie, jaką uznamy za rozsądną. Nie jestem skąpy. Mogę od ręki podpisać czek. Mam tylko jeden warunek...

— Chce mieć nade mną kontrolę!

— Maggie, mój warunek jest naprawdę dziecinnie prosty. Jeżeli Kathy chce dostawać ode mnie pieniądze na utrzymanie naszych dzieci, czyli innymi słowy chce, żebym jej płacił za ich wychowywanie, to oczekuję, że w tym czasie nie podejmie żadnej innej pracy.

— Nie chce mi płacić alimentów, o ile nie zrezygnuję z własnej kariery! Słyszysz, co on wygaduje, Maggie?

Maggie wydało się, że w głosie Kathy słyszy nowy ton, którego wcześniej w nim nie było. Niczym tropiciel, który wypatrzył właśnie w gęstwinie nowy ślad, postanowiła nim pójść i sprawdzić, dokąd ją zaprowadzi.

— A dlaczego miałoby mu zależeć, żebyś zrezygnowała ze swojej kariery?

— Och, to przecież absurd!...

— Brett, pytałam Kathy, nie ciebie. '

— Sama nie wiem. Twierdzi, że tak będzie lepiej dla dzieci.

— Ale ty uważasz, że chodzi mu o coś innego?

— Tak.

— Och, na litość boską...

— Słucham, Kathy.

— Bo czasem się zastanawiam czy, czy... Nie jestem pewna, czy Brett chce, żebym była niezależna.

— Rozumiem. — Maggie zauważyła, że Brett nagle ucichł. — A jak sądzisz, dlaczego?

— Nie wiem. Może lubi, kiedy jestem słaba i bezbronna, czy coś w tym rodzaju. Wiesz, że jego pierwsza żona była alkoholicz-

ką, prawda? Ale czy wiesz także, że jak tylko się z tym uporała, to Brett ją zostawił?

— To bezczelność mieszać do tego Julie.

Maggie robiła notatki, cały czas pozostając w kontakcie wzrokowym z obojgiem. Nauczyła się tej sztuczki dawno temu, przy okazji zupełnie innych negocjacji.

— Edward, a co ty masz do powiedzenia w tej sprawie?

— Słucham?

— Och, przepraszam. Brett. Proszę o wybaczenie. Brett, co sądzisz o sugestii, że z jakichś powodów chcesz, żeby Kamy była słaba? Słaba i bezbronna. Tak to chyba nazwałaś, prawda?

Brett wygłosił krótką mowę, w której kategorycznie odrzucił oskarżenie i podkreślił, że miał zamiar odejść od Julie co najmniej od dwóch lat, ale uznał, że nie wypada mu tego zrobić, póki nie wyzdrowieje. Maggie kiwała głową, ale nie mogła się skupić. Najpierw przez dzwonek domofonu i gwar męskich rozmów dochodzący po chwili z głębi mieszkania — słychać było głos Edwarda i dwóch lub trzech innych osób, których nie знаła — potem przez to idiotyczne przejęzyczenie. Miała nadzieję, że Kathy i Brett nie zwrócili na nie uwagi.

Żałując, że w ogóle podjęła ten temat — będący i tak bardziej w gestii terapeuty niż mediatora — postanowiła zupełnie zmienić taktykę. Pora zmierzać do finału, pomyślała.

— Brett, podaj mi swoje czerwone linie.

— Słucham?

— Czerwone linie. Linie demarkacyjne, poza którymi nie jesteś gotów na absolutnie żaden kompromis. Proszę — rzuciła w jego stronę notatnik i ołówek, ale na tyle obcesowo, że Brett poczuł się urażony. — Ty też, Kathy. Twoje czerwone linie. Proszę. Przelejcie je na papier.

Oboje natychmiast zajęli się spisywaniem swoich żądań i Maggie przypomniało to szkolne czasy w Dublinie: lato, czas klasówek i zakonnice kręcące się po sali, które pilnowały, żeby nie ściągąła od Mairead Breen. Tylko że teraz to ona jest jedną z zakonnice. Nareszcie. Chwila spokoju.

Patrzyła na tych dwoje ludzi, którzy kiedyś kochali się tak bardzo, że postanowili nie tylko wszystkim się dzielić, ale nawet dać życie nowym istotom. Gdy ponownie spotkała Edwarda po... no, po tym wszystkim, co się wydarzyło, też marzyła o takim życiu. Nigdy więcej żadnych zbrojnych konfliktów, bezosobowych sal konferencyjnych w hotelach, dni i nocy przeżytych na kawie i papierosach. Skończyła trzydzieści pięć lat i najwyższa pora się ustatkować i rozpocząć normalne życie. Wprawdzie piętnaście lat później niż jej szkolne koleżanki, ale wreszcie i ona zacznie wieść prawdziwe życie rodzinne.

— Już skończyłeś? A ty, Kathy?

— Mam jeszcze dużo do napisania.

— Tylko pamiętaj, że nie wszystko jest czerwoną linią. Musisz do tego podejść selektywnie. Okay, Kathy. Podaj nam swoje trzy czerwone linie.

— Tylko trzy? Chyba żartujesz.

— Pamiętaj o selektywności.

— No więc tak... — Kathy zaczęła gryźć koniec ołówka, zorientowała się, że to nie długopis, i wyjęła go z ust. — Alimenty na dzieci. Dzieci muszą być materialnie zabezpieczone.

— Okay.

— I dom. Muszę zatrzymać dom, żeby dzieci miały zapewnioną stabilizację.

— I jeszcze jeden punkt.

— Pełna opieka nad dziećmi, oczywiście. Zostają ze mną. Żadnego dzielenia się w tej sprawie.

— Kathy, na litość boską...

— Jeszcze nie teraz, Brett. Najpierw musisz wymienić swoje czerwone linie.

— Omawialiśmy to już tysiąc razy.

— Ale nie w taki sposób. Podaj mi swoje trzy punkty.

— Chcę, żeby Święto Dziękczynienia dzieci spędzały ze mną, żeby mogły zjeść świąteczny obiad z moimi rodzicami. Tego chcę.

— W porządku.

— I chcę niezapowiedzianych kontaktów. Tak, żebym mógł wpaść i powiedzieć, nie wiem... na przykład: „Słuchaj Joe, mam bilety na mecz Redskinsów, idziesz ze mną?”. Chcę móc robić coś takiego bez umawiania się trzy tygodnie wcześniej. Mieć dostęp do dzieci w każdej chwili.

— Mowy nie ma, żeby...

— Kathy, nie teraz. A twój trzeci punkt?

— Mam ich dużo więcej...

— Rozmawiamy tylko o trzech.

— Mówiłem już o tym wcześniej. Płacę tylko pod warunkiem, że Kathy będzie pełnoetatową matką.

— Jesteś pewien, że nie chodzi ci tylko o sprzeciw wobec pierwszej czerwonej linii Kathy? Bo nie wolno się wzajemnie blokować.

— Dobrze, ujmę to inaczej. Będę płacił na dzieci tylko wtedy, jeśli za moje pieniądze otrzymam pięciogwiazdkowy serwis. A to oznacza, że dziećmi opiekuje się ich własna matka.

— To nie fair! Wykorzystujesz dzieci, żeby mnie szantażować i zmusić do rezygnacji z kariery!

I w ten sposób wszystko wróciło do punktu wyjścia. Znow zaczęli na siebie krzyczeć, całkowicie ignorując obecność Mag-gie. Uśmiechnęła się w duchu zupełnie jak za dawnych czasów. Była do tego przyzwyczajona. Do negocjowania warunków rozvodu dwojga ludzi, którzy nie mogli na siebie patrzeć i którzy najchętniej rzuciliby się sobie do gardeł. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl, ale równie szybko się jej pozbyła.

Jednak to „coś” i tak jej pomogło, bo podsunęło pewien pomysł. A może raczej pozwoliło dostrzec to, co dotąd umykało jej uwagi.

— Okay, Brett i Kathy, oto mój werdykt. Nasze sesje stały się bezużyteczne. Stanowią tylko stratę waszego i mojego czasu. Na tym kończymy. — Zamaszyście zamknęła leżącą na kolanach teczkę z aktami.

Para na kanapie odwróciła od siebie głowy i wlepiła w nią spojrzenia. Czuła na sobie ich wzrok, ale ostentacyjnie go ignorując, zajęła się grzebaniem w dokumentach.

— Nie martwcie się o stronę papierkową. Jutro wszystko trafi do władz stanowych Wirginii. Oboje macie swoich adwokatów, prawda? Oczywiście, że tak. Oni zajmą się tym dalej — wstała z miejsca, jakby chcąc odprowadzić ich do wyjścia.

— Nie możesz nas tak zostawić! — wykrzyknął Brett.

— Jesteś nam potrzebna, Maggie — zawtórowała mu Kathy.

— Bez ciebie nigdy przez to nie przebrniemy.

— Och, o nic się nie martwcie. Wasi adwokaci ze wszystkim sobie poradzą.

Zaczęła krążyć po pokoju, nawet nie spoglądając w ich stronę. Z głębi mieszkania doszedł ją ponownie dzwonek domofonu i odgłos kroków. Ktoś znów wchodził lub wychodził z mieszkania. Co tam się dzieje?

— Ale oni nas zamęczą — jęknął Brett. — Wyciągną od nas pieniądze i zrobią z tego jeszcze większy koszmar...

Jej taktyka zaczynała działać.

— Słuchaj, Maggie — mówił dalej Brett. — Dogadamy się, obiecuję. Prawda, Kathy?

— Pewno.

— Okay? Przyrzekamy. Załatwimy sprawę. Jeszcze dziś.

— Sądzę, że jest już za późno. Mamy ustalony czas na osiągnięcie porozumienia...

— Maggie, proszę, nie mów tak — odezwała się Kathy niemal błagalnym tonem. — Nie zostało nam tak dużo. Znasz już nasze czerwone linie. Nie jesteśmy daleko.

Maggie wreszcie na nich spojrzała.

— Daję wam dziesięć minut.

W rzeczywistości potrzebowali piętnastu, ale gdy Kathy i Brett George'owie wreszcie wyszli od Maggie i znaleźli się na waszyngtońskiej ulicy zalanej wrześnie słońcem, mieli już ustalony podział kosztów na utrzymanie dzieci proporcjonalnie do swych zarobków. Brett miał płacić więcej, bo więcej zarabiał, udział Kathy spadał do zera, gdyby zrezygnowała z pracy i w pełnym wymiarze zajęła się opieką nad dziećmi. Brett zgodził się, że będzie łożył na dzieci, nawet jeśli Kathy będzie pracować,

ale treść ugody miała ją motywować do tego, by zrezygnować z pracy i została w domu. Dzieci będą mieszkać z matką tam, gdzie do tej pory, ojciec będzie je zabierał do siebie co drugi weekend, a także wtedy, gdy jemu lub im przyjdzie ochota, żeby się zobaczyć. W tych kwestiach nie będą ich wiązać żadne sztywne reguły. Przed wyjściem z gabinetu uściskali Maggie, a także — ku jej zaskoczeniu — siebie nawzajem.

Maggie opadła na fotel i pozwoliła sobie na pełen satysfakcji uśmiech. Czy to jednak zastąpi jej to, czym zajmowała się ponad rok temu? Drobne sukcesy, pomaganie kolejnym parom w ich kłopotach i zmaganie się z ludzkim bólem? Przez moment ta myśl wydała się jej atrakcyjna, zaraz jednak uzmysłowiła sobie, jak długo jeszcze przyjdzie jej się z tym zmagać. Aby odpokutować za wszystkie utracone z jej winy życia i za jeden przekłety błąd, będzie musiała spędzić w tym pokoju całą wieczność. I nawet tego będzie mało.

Spojrzała na zegarek. Trzeba się zbierać. Edward na pewno już czeka, by wyruszyć w rajzę po waszyngtońskich sklepach meblowych i rozpocząć zarządzanie ich niezupełnie małżeńskiego domu.

Otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. W maleńkim korytarzyku pełniącym funkcję poczekalni dla klientów siedział jakiś obcy mężczyzna i przeglądał stary numer „Vogue”. Już z daleka pachniał waszyngtońskim establishmentem. Ubrany był, jak Edward, w obowiązkowy uniform: zapinana na guziki koszula, granatowa dwurzędowa marynarka i mokasyny — a wszystko to w niedzielny poranek. Maggie nie rozpoznawała rysów jego twarzy, ale to wcale nie znaczyło, że wcześniej się nie spotkali. Jednym z problemów waszyngtońskich biurokratów jest to, że wszyscy są do siebie podobni.

— Dzień dobry. Jest pan umówiony?

— Nie jestem. Ale sprawa jest awaryjna. To nie potrwa długo.

Awaryjna? Cóż to znowu, do diabła? Przeszła przez korytarzyk i otworzyła drzwi do kuchni. Edward właśnie coś podpisywał na elektronicznym terminalu, który trzymał mężczyzna w roboczym kombinezonie.

— Edwardzie, co się tutaj dzieje?

Wydąło jej się, że lekko przybladł.

— Nic takiego, kochanie. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Trzeba się było ich pozbyć. Zajmowały za dużo miejsca i tylko zagracały pokój. Ale sprawa załatwiona. Już ich nie ma.

— O czym ty, na litość boską, mówisz?

— O tych pudłach, które prawie rok stały w gabinecie. Obiecywałaś, że się nimi zajmiesz, ale nigdy się do tego nie zabrałaś. Pan był tak miły, że załadował je na swoją ciężarówkę i wywiezie wszystko na wysypisko.

Maggie obrzuciła spojrzeniem mężczyznę w kombinezonie, który z zainteresowaniem przypatrywał się swoim butom. Zrozumiała już, co się stało, ale wciąż nie mogła uwierzyć własnym uszom. Przemknęła jak huragan obok Edwarda i wpadła do gabinetu. Narożnik, gdzie stały jej dwa kartony, rzeczywiście był pusty. Wykładzina dywanowa była w tym miejscu lekko przygnieciona i miała ciemniejszy odcień od reszty pokoju. Pędem zawróciła do kuchni.

— Ty draniu! W tych pudłach były moje... moje stare listy i fotografie i... i całe moje pieprzone życie, a ty to po prostu WYRZUCASZ NA ŚMIETNIK?!

Ruszyła do wyjścia, ale widocznie mężczyzna w kombinezonie czuł, co się święci, bo zdążył się już ewakuować. Klnąc pod nosem, zaczęła z pasją wciskać przycisk windy.

— No szybciej, szybciej — syczała przez zaciśnięte zęby.

Winda wreszcie podjechała, Maggie wskoczyła do środka i zaczęła ją popędzać. Kiedy znalazła się na dole, nie czekała, aż drzwi windy rozsuną się do końca, tylko przecisnęła się przez szparę, pognąła do wyjścia i wypadła na ulicę. Zaczęła się nerwowo rozglądać i dopiero za którymś razem dojrzała ruszającego z miejsca zielonego pick-upa. Puściła się pędem w jego stronę, ale zabrakło jej kilku metrów. Biegła jeszcze za nim, machając rozpaczliwie rękoma, jak ktoś, kto próbuje zatrzymać ruch, bo wydarzył się wypadek. Ale nie zdążyła. Pick-up nabrał szybkości i zniknął jej z oczu. Udało jej się tylko dostrzec

połowę numeru telefonu i coś, co wyglądało na nazwę firmy: KRAJOWE PRZEPROWADZKI.

Popędziła z powrotem na górę, chwyciła słuchawkę i drżącymi ze zdenerwowania palcami wybrała numer informacji o usługach. Informatorka odnalazła numer telefonu firmy i zaproponowała nawet, że ją połączy. Po pięciu dzwonekach odezwał się wreszcie automat z nagraniem wiadomością: *Przepraszamy, w niedzielę nasze biura są nieczynne. Zapraszamy od poniedziałku do piątku w godzinach...* Tylko że jutro będzie już za późno: zdążą zniszczyć jej kartony i ich całą zawartość.

Wróciła do kuchni i natknęła się na Edwarda. Stał bez ruchu wyraźnie zmieszany.

— Tak po prostu je sobie wyrzuciłeś — powiedziała spokojnie.

— Pewno, cholera, że je wyrzuciłem. Przez te kartony nasze mieszkanie wyglądało jak jakaś studencka nora. Te wszystkie śmieci, to całe twoje sentymentalne gówno. Musisz się wreszcie od tego uwolnić, Maggie. Trzeba iść do przodu.

— Ale, ale... — Maggie odwróciła się i wbiła wzrok w podłogę. Spróbowała ocenić w myślach wielkość strat. Nie tylko listy od rodziców i fotografie z Irlandii, ale także jej odręczne zapiski robione podczas ważnych negocjacji, notatki pisane osobiście przez przywódców rebeliantów i oenzetowskich oficjeli. W tych kartonach mieściło się jej całe życie zawodowe. A teraz były w drodze na wysypisko śmieci.

— Zrobiłem to dla ciebie, Maggie. Tamten świat nie jest już twoim światem. Poszedł do przodu bez twojego udziału. I ty też to musisz zrobić. Musisz dopasować swoje życie do realiów. Naszych realiów.

Więc dlatego tak mu zależało, żeby się zamknęła z klientami w pokoju gościnnym. A ona myślała, że pilnuje jej punktualności. Jeszcze mu za to podziękowała! Tymczasem prawda była taka, że chciał się pozbyć jej rzeczy, zanim zdąży się temu sprzeciwić. Po raz pierwszy od kiedy weszła do kuchni, spojrzała mu prosto w oczy i jakby sama sobie nie dowierzając, powiedziała cicho:

- Chcesz zniszczyć wszystko, czym jestem.
- Popatrzył na nią obojętnie i skinął głową w stronę korytarzyka.
- Zdaje się, że ktoś tam na ciebie czeka — powiedział

lodowato.

Wyszła z kuchni, niemal się zataczając. Nie mogła pogodzić się z tym, co się stało. Jak Edward mógł zrobić jej coś takiego! Nawet nie zapytał, nie pisał ani słowa! Czy aż tak nienawidzi dawnej Maggie Costello, że chce wymazać wszystkie jej ślady i zastąpić je nową, bezbarwną żoną?

Zatrzymała się w korytarzyku, czując mętlik w głowie. Obcy mężczyzna nadal na nią czekał, przeglądając dla odmiany stary numer „Atlantic Monthly”.

- Trafiłem na nieodpowiedni moment? Przepraszam.

— Nie, nie — odrzekła i zupełnie automatycznie spytała: — A pańska żona też będzie?

— Powinna zjawić się wkrótce — odparł z dziwnym uśmiechem.

Ruchem ręki zaprosiła go do pokoju.

— Powiedział pan, że to sprawa awaryjna — usilnie próbowała przypomnieć sobie jego przypadek i to, czy należy do garstki wybrańców, których upoważniła do kontaktów o każdej porze.

- Tak. Problem polega na tym, że mam trudności z adaptacją.

— Adaptacją do czego?

— Do życia tutaj. Do normalności.

— A gdzie był pan przedtem?

— Wszędzie po trochu. Przenosiłem się z jednego zwariowanego miejsca w inne. Zawsze próbując czynić dobro, starając się ulepszać świat i takie tam dyrdymały.

— Jest pan lekarzem?

— Można tak powiedzieć. Próbuję ratować życie.

Maggie poczuła, że jej mięśnie się napinają.

— I teraz ma pan trudności z adaptacją po powrocie do domu.

— Do domu? Chyba pani żartuje. Ja już nie wiem, gdzie jest mój dom. Nie pochodzę z Waszyngtonu, ale w moim rodzinnym

mieście nie byłem prawie od dwudziestu lat. Całe życie w podróży, w samolotach, w pokojach hotelowych, w jakichś ruderach...

— Ale chyba nie z tego powodu ma pan trudności z adaptacją?

— Nie, nie z tego. Chyba brakuje mi adrenaliny. Uczestnictwa w dramatycznych wydarzeniach. Brzmi to okropnie, prawda?

— Proszę mówić dalej. — Maggie przypominała sobie coraz więcej z tego, co było w jej kartonach. Odręcznie napisany liścik z podziękowaniami od brytyjskiego premiera po rundzie rozmów w sprawie Kosowa. Drogie sercu zdjęcie mężczyzny, w którym była zakochana w wieku dwudziestu paru lat.

— Przedtem wszystko zdawało się takie ważne. Gra szła o wysokie stawki. Teraz nic się do tego nie umywa. Wszystko jest takie... jałowe.

Maggie nie spuszczała z niego oczu. Jego usta wypowiadały słowa, ale spojrzenie miał zimne i jakby nieobecne. Zaczynała się czuć nieswojo w jego towarzystwie.

— Może mi pan opowiedzieć trochę więcej o tym, co pan teraz robi?

— Zaczynałem pracę od organizacji humanitarnej w Afryce. Nieśliśmy pomoc miejscowej ludności podczas wyjątkowo brutalnej wojny domowej. Jakimś cudem, właściwie zupełnym przypadkiem, trafiłem do garstki tych, którzy mogli prowadzić rozmowy z obiema stronami konfliktu. ONZ zaczął mnie wykorzystywać jako pośrednika między nimi. I dawało to rezultaty.

Po plecach Maggie przebiegły ciarki. Rozważała przez moment, czy nie powinna wezwać tu Edwarda, była to jednak ostatnia rzecz, jaką chciałyby teraz zrobić.

— W końcu zostałem kimś w rodzaju nieoficjalnego dypłomaty, zawodowego mediatora. Rząd amerykański zaangażował mnie do uratowania rozmów pokojowych, które zabrnęły w ślepią uliczkę. Jedno zadanie prowadziło do następnego. W końcu zaczęli mnie wysyłać do różnych zakątków na świecie, bym mediował w kulejących negocjacjach pokojowych. Zaczęto mnie nazywać „finalistą”, bo umiałem doprowadzić do pomyślnego finału rozmów.

Czy to nie najwyższa pora, aby wstać i uciec? Coś jej jednak mówiło, że nie powinna nawet spoglądać w stronę drzwi. Nie chciała go niczym sprowokować.

— I co było potem? — Jej pytanie zabrzmiało zupełnie obojętnie. Efekt lat praktyki.

— W swojej specjalności byłem najlepszy. Wysyłali mnie dosłownie wszędzie. Do Belgradu, do Bagdadu, znów do Afryki.

Maggie z trudem przełknęła ślinę.

— A potem popełniłem błąd.

— Gdzie?

— W Afryce.

Spokojny ton Maggie zupełnie nie pasował do treści jej słów.

— Coś ty za jeden, do cholery?

— Sądzę, że wiesz.

— Nie, nie wiem, więc mi lepiej powiedz, kim jesteś i w co, do diabła, grasz. I to już, bo inaczej dzwonię na policję.

— Przecież dobrze wiesz, kim jestem, Maggie. Wiesz doskonale. Jestem tobą.

Rozdział 3

Waszyngton, niedziela, godz. 10.43

Nie zaskoczył jej tym. Zaczęła się już tego domyślać, gdy tylko wspomniał o Afryce i ONZ. Opowiadał jej własną historię, udając, że mówi o sobie. Wredna sztuczka.

Ale nie to ją zdenerwowało. Przywykła radzić sobie z różnego rodzaju świrusami. Tylko że ten człowiek zdawał się wiedzieć o niej wszystko. Łącznie z tym, co nazywał jej „błędem”.

— Nie jestem tu po to, żeby z ciebie szydzić.

— Ale też nie po to, żeby się poddać mediacji w zaszraniej sprawie rozwodowej, prawda?

— Nawet nie mam żony, z którą mógłbym się rozwieść. Jestem taki, jak ty kiedyś. Moją żoną jest praca.

— I cóż to za praca?

— Pracuję dla tych, dla których i ty pracowałaś. Dla rządu Stanów Zjednoczonych. Nazywam się Judd Bonham. — Wyciągnął do niej rękę.

Maggie zignorowała ten gest i wolnym krokiem podeszła do fotela. Była wściekła. Najpierw Edward i sprawa kartonów, teraz jeszcze to. Początkowo myślała, że facet jest jej dawnym klientem, rozwodnikiem, któremu coś odbiło i który obciąża ją winą za swoje małżeńskie niepowodzenia. Znalezienie w Internecie jej życiorysu i posłużenie się nim w celu nastraszenia i wyprowadzenia jej z równowagi nie byłoby niczym trudnym. Ale źle go wyczuła. Okazuje się, że przyszedł do niej służbowo.

Tylko w jakiej, na litość boską, sprawie? Nie wykonywała żadnych zadań dla agencji ani dla Departamentu Stanu od... od tamtej pory. To znaczy od grubo ponad roku, a wtedy przecięła wszystkie łączące ją z nimi nitki. Przez ten cały czas nie odbyła z nimi ani jednej rozmowy telefonicznej, nie dostała żadnego listu. Niczego. I gdyby sprawy ułożyły się po jej myśli, nie byłoby jej nawet teraz w cholemej Ameryce. Nie mogłaby wrócić do Irlandii — to nie wchodziło w rachubę — ale myślała o pójściu w ślady Liz i przeniesieniu się do Londynu. Zamiast tego wylądowała w pieprzonym Waszyngtonie, prosto w paszczy lwa. Zrobiła to po to, żeby być z Edwardem.

— Ale muszę przyznać, że pazura nie straciłaś.

Spojrzała na niego pytająco.

— Nadal jesteś dobra. Stary dobry numer z samolotem na pasie startowym. Silniki się grzeją, maszyna gotowa do startu. Pięknie.

— O czym ty mówisz?

— O tych twoich ostatnich klientach, Kathy i Bretcie. Zagroziłaś im, że się wycofasz i ich zostawisz. Powinni tego uczyć w szkole negocjacji. Dokładnie tak jak Clinton w Camp David, pamiętasz? Helikopter na pasie, wirniki się kręcą. Mediator oświadcza, że za chwilę się wycofa, i wtedy strony konfliktu zaczynają się bać. Uświadamiają sobie, jak bardzo jesteś im potrzebna i jak bardzo chcą rozmawiać. Nagle zaczynają sobie zdawać sprawę z tego, że każde porozumienie zawarte poza tobą okaże się dla nich gorsze. I to ich do siebie zbliża, bo obie strony chcą koniecznie dalej rozmawiać. Wy, specjaliści od mediacji, nazywacie to „wspólnotą interesu”, prawda? Czy jakoś tak. Bo to prowadzi do złączenia wysiłków obu stron przeciw wspólnemu wrogowi: tobie. Genialne.

— Podśluchiwałaś.

— Tak mnie wyszkolono. Nic na to nie poradzę.

— Ty draniu!...

— Podoba mi się, jak to wymawiasz. Drrraniiu. W twoich ustach brzmi to całkiem seksownie...

— Wynoś się stąd.

— Choć z przykrością muszę stwierdzić, że nie jesteś już taka seksowna jak kiedyś. Już się skończyły te twoje gierki z włosami wpadającymi do oczu. To pod wpływem Edwarda?

— Precz.

— Pójdę, pójdę. O to się nie martw. Ale przedtem chcę ci złożyć pewną propozycję.

Maggie patrzyła na niego z odrazą.

— Spokojnie. Nic z tych rzeczy. Choć nie przeczę, że gdybyś się kiedyś zmęczyła Edwardem, to moglibyśmy pogadać...

— Dzwonię na policję. — Podniosła słuchawkę.

— Nie zadzwonisz. I oboje wiemy dlaczego.

Te słowa spowodowały, że odłożyła słuchawkę. Wiedział o jej „błędzie” i może zacząć gadać. Napuści „Washington Post” albo napisze coś w jakimś blogu. Prawdziwy powód jej wycofania się — znany tylko nielicznym przedstawicielom kręgów dyplomatycznych — trafi do publicznej wiadomości. Resztki jej dawnej reputacji legną w gruzach.

— Czego chcesz? — zapytała niemal szeptem. —

Chcemy, żebyś wróciła.

— Nie.

— Nie wygłupiaj się. Pierwsza zasada każdej negocjacji to najpierw wysłuchać.

— Nie prowadzę z tobą żadnych negocjacji. Chcę, żebyś się odpieprzyła!

— Ci, dla których pracuję, nie mają zwyczaju godzić się z odmową.

— A co to za jedni? Bo „rząd Stanów Zjednoczonych” to niezbyt precyzyjne określenie.

— Powiedzmy, że mówimy o kręgach zbliżonych do samego szczytu władzy w tym mieście. Cieszy się pani niezłą reputacją, panno Costello.

— Możesz tym kręgom powiedzieć, że czuję się zaszczycona. Ale odpowiedź nadal brzmi „nie”.

— Nawet nie jesteś ciekawa?

— Nie, nie jestem. Nie zajmuję się już tymi sprawami. Mam teraz inną pracę. Mediuję między małżonkami. I nie przyjmuję żadnych spraw awaryjnych. A to oznacza, że masz około minuty na to, żeby wstać i wyjść.

— Nie będę obrażał twojej inteligencji, Maggie. Czytasz gazety i wiesz, co się aktualnie dzieje w Jerozolimie. Jesteśmy o tyle od zawarcia porozumienia. — Uniósł dłoń i zbliżył na milimetry kciuk i palec wskazujący. — Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko.

Maggie nawet nie podniosła głowy.

— I wiesz także, co się wydarzyło wczoraj. Próba zamachu na izraelskiego premiera. A w każdym razie coś, co wyglądało na próbę zamachu. Izraelska ochrona zastrzeliła lokalnego przeciwnika procesu pokojowego. Teraz wszystko może się zawalić.

— Moja odpowiedź brzmi: nie.

— Wielcy tego świata uznali, że nie wolno przepuścić takiej okazji. Dlatego chcą, żebyś tam pojechała i zrobiła swoje. Wykonała swoje hokus-pokus. Przecież nie utraciłaś dawnych umiejętności. Przed chwilą miałem na to dowód. A ta sprawa jest sprawą najwyższej wagi. Chodzi o pokój na Bliskim Wschodzie. Jak mogłabyś się w to nie włączyć? To jak gra w World Series, gdzie nagrodą jest pokój.

— Nie gram w baseball.

— Nie, to prawda — zaczął mówić spokojniejszym, przyjaźniejszym tonem, który bez trudu odczytała jako element zmiany taktyki. — Za to jesteś rasowym mediatorem. To twoje powołanie. Po to się urodziłaś. Jesteś w tym dobra i kochasz to robić. A ja daję ci szansę powrotu do zajęcia, które kochasz. I to na najwyższym z możliwych szczebli.

Przypomniała sobie sceny oglądane rano w telewizji i to, co wtedy poczuła, choć głośno nie przyznałaby się nawet sama przed sobą. Poczwała zazdrość. Zazdrościła kobietom i mężczyznom siedzącym przy stole obrad w Jerozolimie, ludziom, którym powierzono najważniejsze i najbardziej ekscytujące zadanie — uczestnictwo w negocjacjach pokojowych. Zobaczyła ich oczyma

duży, gdy tylko usłyszała zapowiedź programu. Wiedziała, że podobnie jak rybacy wyciągający z wody jakiś rzadki i cenny okaz będą musieli wykazać się zarówno wielką siłą, jak i ogromną delikatnością. Czasami ciągnąć ze wszystkich sił, by chwilę później popuścić, a może nawet oddać trochę żyłki. Wiedzieć, na ile wędzisko może się wygiąć, a co spowoduje jego złamanie. Było to zadanie wymagające wiedzy i zręczności. I było najbardziej ekscytującym zajęciem spośród wszystkich jej znanych. Bonham czytał w jej twarzy jak w książce.

— Musi ci tego brakować. Nie byłabyś człowiekiem, gdyby było inaczej. Wiem, że doradzanie ludziom jest czymś ważnym i cennym, ani przez chwilę w to nie wątpię. Ale stawki nigdy nie są tu tak wysokie, prawda? Nigdy nie poczujesz takiego dreszczyku, jaki czułaś w Dayton czy w Genewie. Nie w tej pracy. Mam rację?

Maggie miała ochotę przytaknąć. Ten człowiek zdawał się czytać w jej myślach lepiej niż ona sama. Opanowała się jednak i odwróciła twarz do okna.

— Wcale nie twierdzą, że podchodzisz do tego po sportowemu. Nigdy tak nie było. Owszem, lubisz się mierzyć z wyzwaniem, ale dla ciebie było to zawsze sprawą drugorzędną. Najważniejszy był zawsze cel. Dążenie do pokoju. Jesteś jedną z małej garstki ludzi na naszej planecie, którzy wiedzą, jak ważne są tego rodzaju wysiłki. I jakie mogą być konsekwencje, jeśli coś pójdzie nie tak.

Znów mówił o jej „błędzie”.

— Na świecie jest niewiele spraw ważniejszych od tej, Maggie. Ten konflikt ciągnie się od wielu, wielu lat i pochłonął życie tysięcy Izraelczyków i Palestyńczyków. Borykamy się z nim przez całe dorosłe życie. I będziemy się borykać w nieskończoność. Za dziesięć lat włączysz telewizor i usłyszysz, że pocisk zabił palestyńskie dzieci na placu zabaw, a autobus pełen izraelskich nastolatków został rozerwany na strzępy.

— I uważasz, że możesz to powstrzymać?

— Ja? Ja nie mogę. Nie mogę niczego powstrzymać. Ale tak.

— Nie wierzę w to. Już nie.

— Nie mów tak. Aż tak bardzo się nie zmieniłaś.

— Posłuchaj. To nie jest tak, że nagle zapomniałam, że tam giną ludzie. Tam i wszędzie indziej. Wiem aż za dobrze, ilu ludzi traci życie w każdym pieprzonym zakątku świata. Tylko tak się składa, że doszłam do wniosku, że nie jestem w stanie nic w tej sprawie zrobić. Więc lepiej się do tego nie mieszać.

— Biały Dom ma na ten temat inne zdanie.

— Biały Dom może je sobie wsadzić.

Bonham odchylił się do tyłu i wbił w nią wzrok, zupełnie jakby studiował ofiarę przed podjęciem ataku.

— To z powodu tego, co... co się wydarzyło, prawda?

Maggie nie odrywała oczu od okna. Miała nadzieję, że uda jej się nie rozplakać.

— Posłuchaj, Maggie. Wiemy, co się wtedy stało. Rzeczywiście zawałałaś. Ale to tylko jedna czarna krecha na skądinąd wzorowej karcie. Biały Dom uważa, że już to odpokutowałaś. Tkwiąc w ukryciu, nie pomagasz nikomu. Nie ratujesz nikomu życia. Najwyższy czas wrócić.

— Mówisz, że mi wybaczone.

— Mówię, że pora iść naprzód. Ale, owszem. Jeśli o to chodzi, to ci wybaczone.

Po raz pierwszy Maggie spojrzała mu prosto w oczy.

— A jeśli ja sama sobie nie wybaczyłam?

— Cóż, to już zupełnie inna sprawa, prawda? Ale akurat dla ciebie nie powinno to stanowić większego problemu. Przecież to specjalność katolików. Zmazywanie grzechów przez pokutę. Odkupienie win i tak dalej. Teraz masz ku temu okazję.

— To nie jest takie proste.

— To prawda. Nie przywrócisz życia tym, którzy je wtedy stracili przez twój błąd. Możesz jednak zapobiec utracie znacznie większej liczby istnień. A to jest już coś, nie uważasz?

O mały włos nie powiedziała, iż przyrzekła Edwardowi, że już nigdy nie będzie jeździć po świecie. Ale ugryzła się w język.

— Maggie, wybór należy do ciebie. Jeżeli uważasz, że nie liczy się nic poza twoim życiem tutaj, poza twoim związkiem...

Była pewna, że słyszał ich scysję w kuchni.

— ...to machniesz ręką na moje argumenty i odeślesz mnie z kwitkiem. Ale jeśli brak ci zajęcia, do którego jesteś wręcz stworzona, jeśli zależy ci na zakończeniu konfliktu, który przy niósł światu tak wiele nieszczęść, i jeśli chcesz pomóc w słusznej sprawie, wtedy powiesz „tak”.

Zapadło długie milczenie.

— Wyjaśnij mi coś — odezwała się wreszcie. — Skąd ta wizyta w domu? Po co ten cały teatr i udawanie klienta?

— Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić, ale nie oddzwaniałaś. Bałem się, że w ogóle nie wpuścisz mnie za próg.

— Dzwoniłeś?

— Wczoraj po południu zostawiliśmy ci kilka wiadomości. Następnym razem dzisiaj rano.

— Ale przecież... — Była pewna, że sprawdziła sekretarkę i że nie było na niej żadnych wiadomości.

— Może ktoś je kasował, zanim miałaś okazję odsłuchać?

Poczuła, że zapiera jej dech. Edward!...

Judd rzucił na stół grubą kopertę.

— Bilety i materiały informacyjne. Samolot do Tel Awiwu odlatuje po południu. Wybór należy do ciebie, Maggie.

Rozdział 4

Jerozolima, sobota, godz. 23.10

Nocne narady należały do tradycji tego gabinetu. Tak było za czasów Ben Guriona w latach pięćdziesiątych, kiedy do bladego świtu debatowano i podejmowano ważne decyzje. Znana z prezydowania do późnych godzin była też Golda i tak też było w ową noc w 1973 roku, kiedy Egipcjanie przypuścili niespodziewany atak w święto Jom Kippur. Legenda mówi, że przez kilka kolejnych dni i nocy starsza pani niemal nie zmrużyła oka. Gabinet wyposażony tylko w jeden fotel, w którym nie zasiadał nikt poza premierem, był jakby stworzony do długich narad. Nieduży i przytulny, emanował atmosferą intymności dzięki dwóm kanapom ustawionym w kształcie litery „L”, które przeznaczone były dla uczestniczących w naradzie doradców. Biurko premiera także miało czysto utylitarny charakter i służyło do pracy, nie zaś do przytłaczania swym ogromem. Rabin spędzał przy nim samotnie długie nocne godziny, pisząc prywatnym wiecznym piórem odręczne listy do rodziców żołnierzy, co w przypadku Izraela oznacza wszystkie matki i wszystkich ojców w całym kraju.

Rabin dawno już stąd zniknął, a wraz z nim liczne popielniczki, które towarzyszyły mu wszędzie jako nałogowemu palaczowi. Obecny lokator gabinetu miał zwyczaj w chwilach stresu rozgryzać ziarna słonecznika, co upodobiało go do kierowców autobusów i straganiarzy w całym kraju.

Premier dał znak ręką szefowi Szin Bet, izraelskiej służby bezpieczeństwa, że może zaczynać.

— Zastrzelony to Szimon Guttman, panie premierze. Wiadomo, o kogo chodzi: pisarz i działacz, lat siedemdziesiąt jeden. Pierwotna wersja, że był uzbrojony, została obecnie zdementowana. Nasi ludzie nie znaleźli żadnych dowodów na to, żeby Guttman miał przy sobie broń. Z oględzin wynika, że zginął od strzału w głowę.

Premier skrzywił się i rozgryźł kolejne ziarno słonecznika.

— Jak panu wiadomo, znaleziono go z adresowanym do pana, odręcznie napisanym listem w zaciśniętej dłoni. Wywiad twierdzi, że odczytanie go zajmie im kilka dni, bo został zalany krwią...

Premier uciszył go gestem ręki i szef Szin Bet odłożył raport, z którego czytał. Wicepremier siedział wpatrzony w swoje buty, a ministrowie spraw zagranicznych i obrony zerkali na premiera, próbując wyczuć jego reakcję. Nikt nie kwapił się do zabrania głosu.

W końcu zrobił to Amir Tal, specjalny doradca premiera i najmłodszy uczestnik narady.

— Wywoła to oczywiście natychmiastowe reperkusje polityczne. Po pierwsze, znajdziemy się pod ostrzałem...

Premier uniósł jedną brew.

— Przepraszam. Zostaniemy poddani krytyce za popełnienie poważnego błędu, jakim było zabicie bezbronnego człowieka. Tego rodzaju ataku możemy się spodziewać w każdej chwili. Ale co ważniejsze, ta sytuacja bardzo utrudni podpisanie porozumienia pokojowego. W szeregach prawicy wrzało już wcześniej, a teraz będą mieli swojego pierwszego męczennika. Zaczną się upierać, że to nie był przypadek. Guttman był jednym z naszych najzagorzalszych krytyków. Zresztą krytykował nie tylko nas. To samo głosił na temat konferencji w Oslo i ponownie z okazji Camp David. „Każdy, kto rozmawia z Arabami o pokoju, jest przestępcą, którego należy postawić przed sądem za zdradę” Godzinę temu Aruc Szewa w swojej audycji powiedział: "Teraz

już znamy zamiary naszego rządu. Chce uciszyć opozycję strzałami".

— Czy jest możliwe, żeby mieli rację? — odezwał się minister obrony. Skierował to pytanie do Tala, unikając wzroku szefa.

— Słucham?

— Nie pytam, czy został świadomie zabity. Pytam, czy mogło to nie być przypadkowe. Czy mogło to być świadomym działaniem w sensie odwrotnym do tego, co twierdzi Aruc Szewa.

— Nie bardzo rozumiem...

— Pytam, czy nie zrobił tego celowo. Guttman doskonale wiedział, jak działają służby. Wiedział, że nie można bezkarnie przedzierać się przez tłum w stronę premiera, wykrzykiwać i sięgać do kieszeni marynarki. Był człowiekiem inteligentnym. Musiał o tym wiedzieć.

— Sugeruje pan, że...

— Mhm. Zastanawiam się, czy Guttman nie chciał, żeby do niego strzelono. Czy nie była to z jego strony świadoma prowokacja, żeby zmusić nas do zabicia znanego wroga rządu.

— To absurd!

— Czy aby na pewno? Mamy do czynienia z człowiekiem, który przez całe życie protestował na wiele spektakularnych sposobów. A teraz jesteśmy w przeddzień zawarcia pokoju z Arabami i oddania im świętej Judei i Samarii. By zapobiec takiemu nieszczęściu, fanatyk w rodzaju Guttmana mógł chcieć wykonać najbardziej spektakularny gest. Gest, który istotnie może zmobilizować prawicę.

— I poświęciłby własne życie?

— On tak — były to pierwsze słowa wypowiedziane przez premiera od początku narady. Dotąd siedział rozparty w fotelu i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Zawsze tak robił. Najpierw przysłuchiwał się sporom pomiędzy uczestnikami narady, a potem zarzucał ich pytaniami. To jak powinniśmy zareagować? Jakie mamy opcje? Członkowie gabinetu byli przygotowani na tego rodzaju krzyżowy ogień pytań, jednak tym razem premier tylko sięgał po kolejne ziarna słonecznika,

i milczał aż do tej chwili. Po czym, jakby chcąc podeprzeć te słowa własnymi wspomnieniami, dodał:

— Znam dobrze tego człowieka. Jak własną kieszeń.

Zapadło milczenie, które po dłuższej chwili przerwał szef sztabu. Miał na sobie gładko odprasowane oliwkowozielone spodnie i beżową koszulę z epoletami i beretem wetkniętym pod jeden z nich — mundur żołnierza, którego polem bitwy jest polityka. Zadał pytanie, które w tej sytuacji wydało mu się uzasadnione. Spytał o to, co wszystkich zebranych w gabinecie — a także widzów bezpośredniej transmisji telewizyjnej — intrygowało od samego początku.

— Dlaczego nazwał pana Kobi?

— Mhm — powiedział premier.

— Sądziłem, że on pana serdecznie nienawidzi. A tu nagle zwraca się do pana tak, jakbyście byli starymi przyjaciółmi.

— Raw Aluf, kto jak kto, ale ty powinieneś znać odpowiedź.

— Premier oparł się plecami o fotel, ale wzrokiem nadal błędził gdzieś w przestrzeni, omijając twarze obecnych. — Kobi to ktoś, kim byłem dawno, dawno temu... — Minister obrony poprawił się niespokojnie na kanapie i spojrzał na generała. — Tak mnie nazywali moi przyjaciele z wojska. Byliśmy dobrą jednostką, jedną z najlepszych. W sześćdziesiątym siódmym zdobyliśmy wzgórze w składzie zaledwie trzydziestu paru ludzi. Wiecie, który z nich był najodważniejszy? Nie wyłączając mnie, wbrew temu, co Amir opowiada gazetom? Młody naukowiec z Uniwersytetu Hebrajskiego, Szimon Guttman.

Rozdział 5

Jerozolima, poniedziałek, godz. 9.28

Po raz pierwszy od przyjazdu jej bagaże kontrolowali Arabowie. Do tej pory wszyscy, z którymi zetknęła się, gdy o świcie wysiadła z nocnego samolotu, byli Izraelczykami. Teraz jednak, przed wejściem do amerykańskiego konsulatu przy ulicy Agron, sprawdzali ją palestyńscy Arabowie — choć ubrani w koszule ozdobione herbem Stanów Zjednoczonych. Zwykle oficjeli reprezentujących rząd amerykański — a kimś takim znów teraz była — przepuszczano bez żadnych ceregieli, jednak tym razem okoliczności nie były normalne i kierowca uprzedził ją, że może to trochę potrwać. Jeden ze strażników zażądał nawet od niej telefonu komórkowego i dopiero ktoś z przełożonych go od tego odwiódł.

Wprowadzono ją do niewielkiego pomieszczenia, gdzie siedzący za grubą szybą żołnierz w mundurze amerykańskiego marine nie odrywał wzroku od ściany monitorów telewizyjnych. Zerkając na migające ekrany, po raz nie wiadomo który odtworzyła w pamięci rozmowę z Juddem Bonhamem. Rozegrał ją po mistrzowsku i wykonał wszystkie ruchy, jakie na jego miejscu sama by wykonała. Zaapelował do sumienia i połechtał jej próżność tak, jak to wielokrotnie robiła w stosunku do delegatów, ambasadorów i wysłanników prezydentów. Użył zarówno kija, dając do zrozumienia, że wie o niej wszystko, jak i marchewki. Zgodnie z podręcznikowymi zaleceniami „marchewka” dotykała

najsłabszego punktu ofiary, czyli w jej przypadku chęci wytarcia do czysta tablicy pamięci. Zasadą jest wynajdywanie najczulszych punktów delikwenta i bolało ją to, że jej czułe punkty okazały się tak łatwe do zidentyfikowania.

Bonham musiał zakładać, że łatwo mu z nią pójdzie. Najpierw lekko ją nastraszył, potem okazał współczucie i pochwalił. Klasyczny numer. Śledczy, który najpierw wykopuje ci krzesło spod siedzenia, a potem kładzie rękę na ramieniu i obiecuje, że uwolni cię od wszystkich kłopotów. Zły gliniarz, dobry gliniarz — nawet jeśli w jednej osobie. Wielokrotnie postępowała w identyczny sposób.

Jej wzrok powędrował ku siedzącemu za szybą marinę. Wciąż nie mogła uwierzyć, że wraca do tego wszystkiego. Rozejrzała się machinalnie. To zrozumiałe, że stanowisko kluczowe dla systemu ochrony powierzono Amerykaninowi. Korzystanie z miejscowych miało również wymiar polityczny. W ten sposób podkreślano, że konsulat w Jerozolimie jest amerykańskim przedstawicielstwem u Palestyńczyków i czymś zupełnie innym niż ambasada w Tel Awiwie, która reprezentuje interesy amerykańskie w państwie Izrael.

Odezwał się brzęczyk, drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki, jasnowłosy mężczyzna.

— Witam w domu wariatów! Jim Davis, konsul, miło panią poznać. — Wyciągnął do niej rękę. — Jak pani widzi, mamy szczęście zajmować dwa najpiękniejsze budynki, jakie gdziekolwiek na świecie należą do Departamentu Stanu — mówił, prowadząc ją przez obszerny trawnik w stronę ogromnego dworu wzniesionego w stylu kolonialnym. Nie dochodziły tu żadne hałasy z ruchliwej ulicy Agron. Słyszał było jedynie nucenie starego ogrodnika, który pochylony nad krzakiem róż coś na nim podcinał. — To nasz najnowszy nabytek, klasztor Łazarza Peresa — Davis wskazał ręką budynek po lewej wyglądający jak skrzyżowanie kościoła z fortecą. Budowla miała dość oszczędną konstrukcję i była pozbawiona ozdobnych wieżyczek i dostojnych baszt, za to każde jej okno zostało wzmocnione warstwą cegieł

zabezpieczających przed ostrzałem. Całość zbudowana była z jasnego, chropowatego kamienia, który dominował w architekturze całego miasta. Użyto go do większości domów, biurowców i hoteli, a nawet supermarketów. Kierowca wiozący ją z lotniska nazwał ten budulec jerozolimskim kamieniem".

— Tak kaže prawo, tak kaže prawo... — dodał, zwracając ku niej nieogoloną twarz i wpatrując się w nią tak długo, że szybko pokiwała głową i spojrzała na drogę w nadziei, że on zrobi to samo.

Była w tym mieście kilkakrotnie prawie dziesięć lat temu, ale wtedy nie została w nic włączona. Tutejszymi sprawami zawiadywał Biały Dom, który wołał, by amerykańscy wolontariusze poświęcali uwagę krajom Afryki, Timorowi Wschodniemu czy Bałkanom. Rejon Bliskiego Wschodu był terenem działań dla wybranych, areną wielkiej dyplomacji, jedynym obszarem poza granicami Stanów, który regularnie trafiał na pierwsze strony gazet. Takich jak Maggie trzymano na dystans.

Przysłoniła oczy dłonią i spojrzała w górę. Światło słoneczne odbijało się od jasnego kamienia w kolorze piasku i raziło wzrok. Jerozolimski klasztor. Stoi tu pewnie od wieków, od czasów wypraw krzyżowych. Przypominał konwent z jej szkolnych czasów.

— Przejęliśmy go nie tak dawno — ciągnął Davis. Nietypowo jak na dyplomatę z wieloletnim stażem mówił z silnym akcentem z południa Stanów. — Braciszkanie, a ściślej mówiąc ojcowie, opuścili niemal cały budynek. Została ich dosłownie garstka w jednym narożniku, który nadal pozostaje ich własnością. Natomiast reszta należy teraz do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Popisywał się elokwencją, co było typową męską reakcją, do jakiej zdążyła już przywyknąć. Od razu przy powitaniu dojrzała w oczach Davisa ten znany błysk — moment zaskoczenia, po którym następuje spięcie się w sobie i sztuczna obojętność. Myślała, że w wieku trzydziestu paru lat będzie już wolna od tego rodzaju zachowań i przestanie budzić gwałtowne męskie emocje. Ale nawet zmiana stylu ubierania nie okazała się pomoc-

na. Przy swoim metrze siedemdziesiąt cztery zaliczała się do wysokich, a wciąż kształtna figura nie pozostawiała nic do życzenia. Gęste włosy o głęboko brązowym odcieniu sięgały jej do ramion.

— No więc sprawa wygląda tak — zagaił Davis. Posadził ją na metalowym ogrodowym krzeselku w cieniu kępy cyprysów, a sam usiadł naprzeciwko. — Jak pani wie, Biały Dom jest przeświadczony, że wszystko rozstrzygnie się w tym tygodniu i w ciągu paru dni doprowadzi do podpisania w Ogrodzie Różanym stałego porozumienia. Akurat przed następnymi wyborami.

— Przed reelekcją. O ile wiem, prezydent woli to nazywać reelekcją — wtrąciła. — Sądzi pan, że tak się stanie?

— No cóż, obie delegacje rozmawiają ze sobą w Domu Rządowym od blisko dwóch tygodni. Już samo to stanowi nie lada przełom.

— Co? Że trwa to dwa tygodnie?

— Nie, chodzi mi o to, że rozmawiają tu, na miejscu.

— A, rozumiem. — Maggie przełknęła głośno ślinę. Będzie musiała się starać, bo wyszła już trochę z wprawy.

— To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Camp David, Wye River, Madryt, Oslo, różnie. Ale nigdy tutaj. W Camp David straszy od dwutysięcznego roku, więc Biały Dom w swej nieskończonej mądrości zdecydował, że obu stronom wyjdzie na dobre, jeśli spotkają się na własnym terenie.

— I co, rzeczywiście wychodzi? Dogadują się?

— Oczywiście, że nie. To już było wiadomo z góry. Obie strony poświęcają więcej uwagi przeciekom do mediów niż rozmowom przy stole. Nie da się ustanowić blokady informacji, kiedy się tkwi w samym centrum cholernej strefy konfliktu.

— Ale Biały Dom i tak postawił na swoim, prawda?

— To ich show. Ale proszę mi wierzyć, że przybiegają do nas, gdy ktoś choćby tylko kichnie.

— Czyli wszystko zostało po staremu...

— Słucham?

— Nieważne. Zatem Departament Stanu ma trochę kłopotów na głowie?

— Trochę? Raczej większość. Wszyscy próbują maczać w tym palce. Unia Europejska, ONZ, Brytyjczycy. Ale też kraje arabskie, Indonezja, Malezja. Miliard muzułmanów na świecie wierci się niespokojnie i tylko czeka na dalszy rozwój wypadków. Imamowie i mułłowie stąd do Mohammadsville w Alabamie i z powrotem nauczają, że tędy przebiega front walki między islamem a Zachodem. W całym świecie arabskim trwa mobilizacja zbrojnych oddziałów. Jeśli muzułmanie uznają, że Izrael próbuje wykorzystać Palestyńczyków i że podpisanie porozumienia oznaczać będzie coś w rodzaju kapitulacji wobec występnego Zachodu, nie skończy się na kilku wściekłych aktywistach w Strefie Gazy czy na paru demonstracjach w Damaszku. Cały region może wylecieć w powietrze — ułożył dłonie w kształt atomowego grzyba — a wtedy mamy trzecią wojnę światową.

Maggie pokiwała głową na znak, że dramatyczny scenariusz Davisa do niej dotarł.

— Jak dotąd wszystko szło dobrze. Ale teraz nastąpił moment krytyczny i strony zaczynają się niepokoić.

— Rozumiem, że jeszcze nie omawiali sprawy uchodźców w Jerozolimie, tak? — Chciała w ten sposób zasignalizować, że jest zorientowana. Wiedziała, że w dyplomacji, podobnie jak we wszystkich dziedzinach życia, również obowiązuje specyficzny żargon, a ponadto dyplomacja bliskowschodnia posługuje się własnym dialektem. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że tkwiąc półtora miliona kilometrów od regionu konfliktu, nie utraciła zdolności porozumiewania się.

— W kwestii prawa do powrotu zapisano już tony papieru — wyjaśnił Davis. — Tylko jedna rada: proszę nie nazywać tego głośno w ten sposób, bo inaczej Izraelczycy schrupią panią na śniadanie. Nie mówi się o „prawie”, tylko o roszczeniach. I niekoniecznie o „powrocie”, bo część Palestyńczyków pochodzi skądinąd. I nie mówi się o „domu”, bo to ojczyzna narodu żydowskiego, bla, bla, bla... Zna to pani na pamięć.

Maggie kiwnęła głową, ale właściwie przestała go słuchać. Niespodziewanie wróciła myślami do kłótni między nią a Edwardem. Nawet nie próbował zaprzeczać, że kasował wiadomości zostawiane przez Judda, oświadczając po prostu, że robił to wyłącznie dla jej dobra. Maggie wściekła się i oskarżyła go o próbę trzymania jej w klatce i robienia z niej typowej waszyngtońskiej żonusi, która z nudów zajmuje się terapią rozwodzących się par. Obwiniła go o to, że próbuje jej odebrać to, kim jest lub przynajmniej kim była naprawdę. On oświadczył, że nałykała się zbyt dużo podręcznikowej wiedzy z dziedziny doradztwa i teraz tym wszystkim rzyga. Ona z kolei zarzuciła mu, że ubzdurał sobie jakąś dziwną misję, która ma na celu nie pozwolić jej zapomnieć o tym, co się wydarzyło w Afryce. Zupełnie tak, jakby zależało mu na tym, żeby do końca życia tkwiła w stanie, w jakim ją wtedy znalazł: stanie kompletnego psychicznego rozbicia.

Po tych słowach nie mieli wiele do powiedzenia i rzeczywiście niczego już sobie nie powiedzieli. Szybko spakowała się i pojechała na lotnisko, czując wyrzuty sumienia, bo wciąż miała w pamięci to, jak jej pomógł, gdy znalazła się na dnie. Ogarnął ją też wielki smutek, że próba ułożenia sobie normalnego życia zakończyła się tak spektakularną porażką. Mimo najszerszych chęci nie potrafiła się jednak za wszystko obwinić, choć sama nie bardzo wiedziała, dlaczego nigdy nie zabrała się do rozpakowania tych kartonów. Wiedziała, co by powiedziała, gdyby dotyczyło to kogoś innego: że podświadomie się przed tym broniła, nie chcąc wykonać ruchu świadczącego, że kłamka zapadła i że ostatecznie przeniosła się do Edwarda. Te dwa kartony były dla niej niczym płaszcz dla dziecka, które odmawia zdjęcia go w szkole, aby w ten sposób zaszyfrować, że jest tu tylko przejściowo.

Siedząc w samolocie, przez chwilę wpatrywała się w nikonący w dole Waszyngton z poczuciem, że to samo dotyczy Edwarda. Zaraz potem zagłębiła się w trzystustronicowe materiały informacyjne od Bonhama.

— Zapewne jak się pani domyśla, przez to zabójstwo wszyscy są strasznie podminowani. Nawet w dość spokojnych okresach trzyma się tu palec na spuście, a teraz jeszcze to się nasiliło. I dlatego postanowili wezwać na ratunek kawalerię — skinął ku niej głową — żeby doprowadzić porozumienie do końca.

— To prawda. Ale na razie nie na sali obrad.

— Jak to?

— Waszyngton doszedł do wniosku, że w ciągu tych paru godzin, które spędziłem w samolocie, sytuacja uległa „dalszemu pogorszeniu”. A to oznacza, że „jeszcze nie dojrzała” do mojego włączenia się.

— A, rozumiem...

— Moja rola ogranicza się obecnie do pilnowania, żeby wszyscy zachowywali spokój. Zwłaszcza, żeby nie włączyła się w to ulica.

— Ach, „ulica”. — Davis zrobił w powietrzu znak cudzysłowu.

— Po tym, co się tu wczoraj wydarzyło, trzeba będzie przede wszystkim ugłaskać izraelską prawicę. Strasznie się burzą. Uważają tego zabitego za męczennika.

— Mówią, że to nie był przypadek?

— Mówią mnóstwo różnych rzeczy. — Twarz Davisa pojaśniała nagle, jakby właśnie coś zrozumiał. — Ach, to dlatego wybiera się pani do domu *szibah*.

— Słucham?

— Domu żałoby. Właśnie dostałem wiadomość, że ma pani wziąć udział w uroczystościach w charakterze naszego nieoficjalnego przedstawiciela. Widać chcą tego Izraelczycy. Okażemy im w ten sposób szacunek i podkreślimy, że zabitego nie pozbyto się dlatego, że był przeciwny procesowi pokojowemu, który popierają Stany. Udowodnimy, że nie był dla nas wrogiem.

— A jednocześnie nie nadamy temu zbyt oficjalnej formy, żeby nie wyglądało, że popieraliśmy jego stanowisko.

— Właśnie. Uważają, że taki gest może pomóc w uspokojeniu nastrojów.

— A myśmy wyrazili zgodę.

— Zgadza się. Pogrzeb odbył się dziś rano, zaraz po wydaniu ciała z prosektorium. Pogrzeby organizuje się tu bardzo szybko. To kwestia religii, jak zresztą wszystko w tym kraju. Ale *szibah* trwa cały tydzień. Pewnie na swoim blackberry ma już pani wszystkie szczegóły.

— Nie mam blackberry.

— Och, to nie problem. Nasi ludzie z łączności zaraz to pani załatwią.

— Chciałam powiedzieć, że nie używam blackberry. I nigdy nie używałam. Jest jak zbyt krótka smycz. Oznacza, że się słucha Waszyngtonu czy Londynu, czy kogo tam jeszcze, a nie ludzi przy stole. Nienawidzę tego.

— Okay. — Davis miał minę, jakby Maggie właśnie przyznała, że jest narkomanką.

— Gdyby to było możliwe, to nie miałabym nawet telefonu komórkowego. Z tych samych powodów.

Davis udał, że tego nie słyszy.

— Do pani hotelu jest stąd tylko parę kroków. Zdaży się pani odświeżyć, a potem kierowca zawiezie panią na *szibah*. Wdowa ma na imię Rachel.

Rozdział 6

Jerozolima, poniedziałek, godz. 19.27

Ulica była zatłoczona zaparkowanymi z obu stron jezdni samochodami, które dwoma kołami stały na chodnikach. Na pierwszy rzut oka było widać, że dzielnica jest zamożna i zadbana: drzewa były obsypane liśćmi, wśród samochodów przeważały beemki i mercedesy. Mimo dyskretnego proporczyka z flagą amerykańską na błotniku jej kierowca miał trudności z dopchaniem się na miejsce. O tej porze roku w Waszyngtonie bywało już chłodno, tu — mimo późnej pory — wciąż było bardzo ciepło. Drzewa roztaczały wokół słodko-lepką woń.

Dróżka prowadząca do budynku była zatłoczona aż do samych drzwi. Przepychając się do przodu, znowu odnotowała spojrzenia, jakimi obrzucali ją stojący w kolejce do wejścia mężczyźni.

— Pani z ambasady, tak? Z Ameryki? — zaczepił ją mężczyzna stojący przy drzwiach. Nie wiedziała, czy to ktoś z rodziny, czy ochrona, ale wyraźnie został uprzedzony o jej przyjeździe. — Zapraszam do środka.

Wpuszczono ją do pomieszczenia, które w normalnych okolicznościach można by uznać za przestronne, teraz jednak było po brzegi wypełnione ludzką ciżbą, jak wagonik metra w godzinach szczytu. Jej wzrost okazał się zaletą, bo pozwolił się rozejrzeć ponad morzem głów. Wszyscy mężczyźni mieli jar-mułki. W głębi pod ścianą widać było starszego, brodatego mężczyznę, zapewne rabina.

Jitgadal, v 'Jitkadasz...

Sala przycichła na pierwsze słowa modlitwy za zmarłych. Potem rabin wygłosił kilka zdań po hebrajsku, zwracając się do trzech osób siedzących na dziwnie niskich stołkach. Sądząc po zaczerwienionych oczach i wilgotnych nosach, musieli być członkami najbliższej rodziny. Maggie domyśliła się w nich żony, syna i córki zmarłego. Z całej trójki nie płakał tylko syn. Jego ciemne suche oczy tępo wpatrywały się w dal.

Maggie czuła na plecach napierający tłum. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. Powinna poczekać na swoją kolej i złożyć rodzinie kondolencje, ale zbity tłum aż falował i dotarcie do rodziny zajmie jej z godzinę. Z kolei jeśli tego nie zrobi i wyjdzie, zostanie to potraktowane — i opisane w prasie — jako przejaw amerykańskiej buty. A czekając na swoją kolej, nie może przecież zaczepiać obcych i wdawać się z nimi w rozmowę. Nie jest na spotkaniu towarzyskim.

Uśmiechając się przepraszająco, zaczęła pomału przepychać się do przodu. Jej wzrost i czarny spodnium dla większości oznaczał kogoś ważnego i ludzie bez oporu się przed nią roz-stępowali. (Ją samą ten elegancki kostium trochę peszył: od bardzo dawna nie miała na sobie czegoś takiego). Ale i tak przesuwanie się do przodu odbywało się bardzo powoli.

Dotarła w końcu do ściany z wielkim regałem. Półki były pełne książek, choć gdzieś tam widać było pojedyncze ceramiczne naczynia i patery — wśród nich jedną szczególnie przyciągającą wzrok dzięki wyjątkowo bogatej ornamentyce w tonacji błękitu. Regały ciągnęły się wokół całego pomieszczenia i zajmowały ściany od podłogi do sufitu.

Znajdowała się na tyle blisko, że mogła rozróżnić napisy na grzbietach. Większość książek była po hebrajsku, ale było też kilka traktujących o amerykańskiej polityce — a wśród nich parę neokonserwatywnych rozpraw, które niedawno okupowały czołowe miejsca na listach bestsellerów „New York Timesa”. *Terrorism: How the West Can Win. Inside the New Jihad. The*

*Corning Clash. The Gathering Storm**. Pomyślała, że daje jej to niezłe pojęcie o tym, kim był Guttman. W Waszyngtonie nie brakowało ludzi dzielących jego zapatrywania polityczne. Wielu z nich widywała na przyjęciach czy koktajlach, podczas których Edward brylował w towarzystwie, a ona stała samotnie z boku i wszystkiemu się przyglądała. Stojąc obok niego, bywała zresztą równie samotna. Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, a od razu poczuła bolesne ukłucie. Edward...

— Proszę, proszę dalej — usłyszała głos człowieka, który witał ją przy wejściu. Jakimś cudem odnalazł ją w tłumie i zaczął ciągnąć do przodu wzdłuż kolejki czekających na złożenie kondolencji. Próbowwała dosłyszeć, co mówią, ale nadaremno. Wszyscy rozmawiali po hebrajsku.

W końcu przyszła jej kolej. Skłoniła głowę kolejno przed każdym z członków rodziny, przywołując na twarz wyraz żalu i współczucia. Pierwsza stała córka, która obrzuciła ją tylko przelotnym spojrzeniem. Wyglądała na dobrze po czterdziestce, a jej krótkie ciemne włosy były poprzetykane siwizną. Mimo to można ją było uznać za atrakcyjną. Z jej twarzy biła spokojna pewność siebie. Maggie pomyślała, że to pewnie ona tu wszystkim rządzi.

Drugi z kolei był syn. Ni to siedząc, ni stojąc, obrzucił ją zimnym spojrzeniem. Był postawny i — zdaniem Maggie — ubrany nieco zbyt luzacko jak na tę okazję: ciemne dżinsy i biała koszula bez krawata — jedno i drugie markowe i drogie. Na głowie miał obfitą czuprynę ciemnych włosów. Ze sposobu, w jaki się do niego odnoszono, wynikało, że jest kimś ważnym lub zamożnym. Wyglądał na niecałe czterdzieści lat i nie było obok niego żony.

Ostatnia w rzędzie siedziała wdowa. Przewodnik Maggie pochylił się, by kobieta w żałobie mogła go lepiej słyszeć, i powiedział łagodnie po angielsku:

* *Terroryzm: Jak Zachód może zwyciężyć. Wewnątrz nowego dżihadu. Nadchodzące starcie. Zapowiedź burzy.*

— Pani Guttman, ta pani jest ze Stanów Zjednoczonych.
Z Białego Domu, od prezydenta.

Maggie przemknęło przez głowę, że powinna to sprostować, ale dała spokój.

— Współczuję pani straty — powiedziała, zginając się niemal wpół i wyciągając rękę. — Chciałabym zapewnić, że Amerykanie modlą się za panią i pani rodzinę.

Wdowa uniosła raptownie głowę. Ufarbowane na czarno włosy były niemal tego samego koloru co jej oczy. Chwyliła Maggie za rękę i pociągnęła, zmuszając do wejrzenia w swoje wlepione w nią, wypełnione łzami czarne węgielki.

— Pani jest od prezydenta Stanów Zjednoczonych?

— No cóż...

— Wie pani, że mój mąż miał ważną wiadomość. Dla premiera.

— Tak słyszałam. To takie bolesne, że...

— Nie, nie, niczego pani nie rozumie. On próbował to przekazać Kobieciu już od wielu dni. Dzwonił do biura, nawet był w Knesecie*, ale go do niego nie dopuścili. Doprowadzało go to do rozpaczki! — Dłoń na ręce Maggie zacisnęła się jeszcze mocniej.

— Proszę się nie denerwować...

— Jak się pani nazywa?

— Maggie Costello.

— Miał pilną wiadomość, panno Costello. Na wagę życia i śmierci. Nie tylko życia jego samego czy Kobięgo, ale wszystkich ludzi w tym kraju, w całym regionie. On coś widział, panno Costello.

— Proszę, pani Guttman... — wtrącił przewodnik Maggie, ale wdowa tylko machnęła na niego ręką.

Maggie przykucnęła.

— Powiedziała pani, że mąż coś widział?

— Tak. Jakiś dokument, może list, coś w tym rodzaju. Nie

* Kneset — parlament Izraela.

znam szczegółów, ale to było coś ogromnie ważnego. Przez ostatnie trzy noce przed śmiercią niemal nie zmrużył oka. Powtarzał tylko w kółko: „Kobi musi o tym wiedzieć, Kobi musi o tym wiedzieć”.

— Kobi? To znaczy premier?

— Tak, tak. Niech pani zrozumie. To, co miał do powiedzenia Kobiemu, musi do niego koniecznie dotrzeć. Mój mąż nie był głupcem. Wiedział, jakie ryzyko podejmuje. Ale powiedział, że wszystko inne jest mniej ważne. Że musi mu powiedzieć o tym, co zobaczył.

— A co on takiego zobaczył?

— *Ima, dai kwar!* — Głos syna zabrzmiał stanowczo, jak człowieka przywykłego do wydawania poleceń. Mamo, już dość.

— Nie powiedział mi. Wiem tylko, że chodziło o jakiś dokument, coś na piśmie. I powiedział też: „To wszystko zmienia”. Tak właśnie powiedział. „To wszystko zmienia”.

— Ale co wszystko zmienia?

Syn wyprostował się.

— Nie wiem. Nie chciał mi powiedzieć. Powiedział, że to dla mojego bezpieczeństwa.

— Pani bezpieczeństwa?

— Znałam mojego męża. Był człowiekiem poważnym. Nie był kimś, kto bez powodu biegnie i krzyczy na premiera. Jeśli miał mu coś do powiedzenia, to musiało to być coś, co uznał za sprawę życia i śmierci.

Rozdział 7

Beitin, Zachodni Brzeg, wtorek, godz. 9.32

Nie miał zamiaru długo siedzieć. Dziesięć minut w biurze na zebranie papierów i będzie mógł się zwinąć.

Tylko że „biuro” nie było najwłaściwszym słowem, o czym najlepiej świadczyły dwie masywne kłódki na ciężkich stalowych drzwiach. Już prędzej „pracownia”, albo — jeszcze lepiej — „magazyn”. W środku panował zaduch jak w ogrodowej szopie. Światłówki na suficie zamigotały, oświetlając rząd półek, na których zamiast papierów, skoroszytów czy dyskietek komputerowych stały kartonowe pudła wypełnione kawałkami starożytnej ceramiki, które Ahmed Nour wykopał tylko w tej wiosce.

Trzymał się tej zasady przy każdym kolejnym wykopalisku i zawsze zakładał bazę możliwie najbliżej miejsca pracy. Pozwalało mu to wszystkie znalezione przedmioty od razu przetranszportować pod dach, katalogować i magazynować. W miarę możliwości starał się pracować codziennie. Wystarczyło choćby na chwilę zostawić kilka skorup bez opieki, a natychmiast znikają. Szabrownicy, przekleństwo wszystkich archeologów na całym świecie.

Ahmed usiadł za biurkiem — skromnym, metalowym, bardziej pasującym do majstra na placu budowy. Właściwie to niezłe porównanie, pomyślał. Obaj zajmujemy się ludzkimi siedzibami: on buduje nowe, a ja odkopuję stare.

Dokumenty potrzebne do spotkania z szefem palestyńskiego Departamentu Antyków i Dziedzictwa Kulturalnego leżały tuż

przed nim ułożone równo na kupce. Kochana Huda, pomyślał. Jego młoda pomocnica zostawiła wszystko w najlepszym porządku: wystąpienie o przedłużenie licencji na prowadzenie wykopalisk w Beitin i wnioski o przyznanie dotacji, która pozwoli te prace prowadzić. Huda przejęła na siebie wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym, uwalniając go od całej biurokracji. Żadnych telefonów ani e-maili, żadnego ryczącego radia ani trzeszczącego telewizora. Mógł poświęcić się wyłącznie pracy. Przy odrobinie wysiłku mógł też w ogóle zapomnieć, że istnieje jakiś współczesny świat zewnętrzny.

Tak właśnie było przez ubiegły weekend. I byłoby tak przez cały tydzień, gdyby nie to nieszczęsne spotkanie. Szef Departamentu Antyków był zupełnym laikiem. Nie mając wykształcenia archeologicznego, był tylko administratorem z nadania politycznego. Nosił też brodę, a to znaczyło, że ideologicznie zaliczał się do nowego nurtu. Nurtu religijnego.

— Najbardziej, doktorze Nour — oświadczył podczas ich pierwszego spotkania — zależy mi na uwypukleniu naszego muzułmańskiego dziedzictwa. — Nie było w tym nic dziwnego. Rząd w połowie składał się z Hamasu i jego stwierdzenie w przełożeniu na zwykły język znaczyło: zapłacę za wykopaliska od siódmego wieku w górę. Jeśli chcesz zajmować się czymś starszym, radź sobie sam.

Cóż za ironia losu. Ahmed był kiedyś bohaterem palestyńskiej klasy politycznej jako inicjator powołania grupy uczonych, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej uparli się, by patrzeć w ziemię w radykalnie odmienny sposób. Wcześniej — począwszy od dziewiętnastowiecznych ekspedycji archeologicznych pod wodzą Edwarda Robinsona — brano łopaty do ręki tylko w jednym celu: by odkrywać biblijne ślady. Nikogo nie interesowała Palestyna ani historia ludu zamieszkującego ten teren od tysięcy lat. Szukano wyłącznie Ziemi Świętej.

Ówczesni archeolodzy byli oczywiście przybyszami z zewnątrz — z Ameryki lub Europy. Zjawiali się w Jafie lub Jerozolimie z głowami wypełnionymi Pismem Świętym, zainte-

resowani wyłącznie szlakiem Abrahama czy grobem Chrystusa. Chcieli szukać śladów starożytnych Izraelitów i pierwszych chrześcijan. Palestyńczycy — zarówno starożytni, jak i współcześni — w ogóle się dla nich nie liczyli.

Młode pokolenie, do którego należał Ahmed, także nauczano archeologii biblijnej, bowiem nie było wówczas żadnej innej. Wkrótce jednak młodzi zaczęli się buntować i w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku kilku dołączyło do ekipy naukowej z Illinois, która w ramach luterkańskich badań biblijnych przystąpiła do prac wykopaliskowych na Tell Ta'anach, wzgórzu w pobliżu Jeninu na Zachodnim Brzegu. Amerykanie byli tak zachwyceni postępem robót, że ich wykopaliska przeciągnęły się o kilka lat. Biblia wspomina o wzgórzu Ta'anach jako o jednym z miast kananejskich zdobytych przez Jozuego, wojskowego wodza Izraelitów.

Ale przy tej okazji Ahmed i jego koledzy zaczęli dostrzegać coś jeszcze. Po wyjeździe Amerykanów powrócili na teren wykopalisk, tyle że głównym przedmiotem ich zainteresowania nie było już biblijne Ta'anach, ale Ti'innik — palestyńska osada leżąca u stóp wzgórza. Nowi archeolodzy pragnęli dowiedzieć się jak najwięcej o zwykłym codziennym życiu mieszkańców osady, która znajdowała się w tym miejscu nieodmiennie od pięciu tysięcy lat. Każde wbicie szpadla, każda garść wydobytej ziemi stawała się w ten sposób sprawą polityczną. Tak rozpoczęły się palestyńskie wykopaliska na terenie Palestyny.

Spowodowało to, że Ahmed Nour znalazł się w centrum zainteresowania powstającego właśnie palestyńskiego ruchu nacjonalistycznego. Poinformowano go na ucho, że Organizacja Wyzwolenia Palestyny — wówczas jeszcze nielegalna i działająca potajemnie z zagranicy — pochwała jego działania. Rozbudzały one „dumę narodową” i w czasach, gdy większość przywódców izraelskich wręcz zaprzeczała istnieniu narodu palestyńskiego, dowodziły, że zamieszkująca te ziemie ludność ma korzenie najgłębsze z możliwych.

Jego pozycja umocniła się jeszcze bardziej, gdy na czele

grupy studentów przeprowadził wykopki w opuszczonym obozie dla uchodźców. Wydobyte z ziemi śmieci, puszki po sardynkach i plastikowe torebki dowodziły stylu życia mieszkańców zaledwie jedno pokolenie wstecz, do 1948 roku, kiedy zmuszono miejscową ludność do opuszczenia domów. Wyniki wykopalisk w Beitin dodatkowo ugruntowały jego pozycję.

Dawniejszych badaczy przeszłości ten teren pasjonował dlatego, że uznawali go za wymienione w Biblii Bet-El lub Betel — miejsce, w którym podczas swej podróży na południe zatrzymał się Abraham i zbudował ołtarz, a Jakub z głową wspartą na kamiennej poduszce śnił o aniołach wchodzących i schodzących po drabinie. Jednak Ahmed zdecydował się badać nie tylko ruiny wokół Beitin, ale także samą wioskę. Ta skromna osada przechodziła z rąk do rąk, przez co rządili nią Hellenowie, Rzymianie, Bizantyjczycy i Ottomanowie. Bywała i chrześcijańska, i muzułmańska, a pod koniec dziewiętnastego wieku na ruinach bizantyjskiego kościoła zbudowano w niej meczet. Wciąż jeszcze można było się tu natknąć na resztki hellenistycznej wieży, bizantyjskiego klasztoru i twierdzy krzyżowców. Wszystko razem w jednym kotle. Zdaniem Ahmeda właśnie takie miejsca świadczyły o chwale Palestyny. Nawet w tak poślednim miejscu jak Beitin widać było nakładające się na siebie warstwy historii świata.

To podsunęło mu pewien pomysł. Sięgnął po jedno z ostatnio złożonych pudeł, w którym mieściły się efekty jego najświeższych prac wykopaliskowych. Zajrzał do środka, marszcząc nos od odoru stęchlizny bijącego od ludzkich czaszek z wczesnej epoki brązu około pięciu tysięcy lat temu, skorup naczyń i garnków. Uśmiechnął się na myśl, że to nie koniec i że może cofnąć się w jeszcze wcześniejsze czasy. Wyciągnął szufladę pełną krzemiennych narzędzi i kości zwierząt, które jako pierwsze znaleziono w rejonie Beitin w latach pięćdziesiątych i których wiek oceniono na blisko pięć tysięcy lat przed Chrystusem. Wytłumaczy temu tępakowi z Departamentu Antyków, że odnalezione na nich ślady krwi świadczą o tym, że brały udział

w rytualnym składaniu ofiar, co oznacza, że w Beitin znajdowała się niegdyś kananejska świątynia. Może będzie musiał w tym celu zagrać na starej biblijnej nucie, pomyślał z niesmakiem, ale trzeba korzystać z tego, co się ma.

Ale i tak może się nie udać. Człowiek z Braterstwa zapewne zachłyśnie się na wieść o dziewiętnastowiecznym meczecie, ale skrzywi na całą resztę. Istniała jednak szansa, że skłoni go to do uznania Beitin za to, czym jest naprawdę — za miejsce pełne śladów świadczących o historii tej ziemi.

Wspiął się na palce i wyciągnął ręce, by umieścić pudło z najcenniejszą zawartością na najwyższej półce zamykanej na klucz szafy i wtedy usłyszał jakiś dźwięk. Jakby szcęk metalu.

— Halo? Huda?

Nikt się nie odezwał. Pewnie to nic takiego. Musiał zostawić niedomknięte drzwi i zapewne podmuch wiatru teraz je zatrzasnął. Nic ważnego. Zapieczętuje tylko pudło i na tym koniec.

Znów coś usłyszał — tym razem z pewnością był to odgłos kroków. Odwrócił się i ujrzał zbliżających się ku niemu dwóch mężczyzn. Obaj mieli na głowach czarne kaptury całkowicie zasłaniające im twarze. Wyższy teatralnym gestem uniósł palec i przytknął do ust. Ciii...

— Co? O co chodzi? — wydusił Ahmed, czując, jak uginają się pod nim kolana.

— Chodź z nami — rzekł wyższy. W jego akcencie dźwięczało coś obcego. — Teraz!

Dopiero teraz Ahmed dostrzegł w ręku mężczyzny wycelowany w siebie pistolet.

Rozdział 8

Konsulat Stanów Zjednoczonych, Jerozolima, wtorek,
godz. 14.14

— Według naszych informacji około godziny dziesiątej czterdzieści pięć czasu miejscowego dwaj zakapturzeni mężczyźni porzucili podziurawione kulami ciało na głównym placu Ramal-lah. Trupa posadzono i wystawiono na widok publiczny na blisko piętnaście minut, po czym ci sami dwaj zakapturzeni go zabrali.

— Egzekucja na kolaborancie?

— Właśnie. — Szef delegatury CIA popatrzył na Maggie tak, jak się patrzy na nową uczennicę w klasie, która wymaga szczególnej uwagi. — To zwyczajowa kara wymierzana przez Palestyńczyków Palestyńczykom, których podejrzewają o współpracę z wywiadem izraelskim. Najczęściej zarzuty dotyczą informowania władz izraelskich o miejscu pobytu poszukiwanych terrorystów lub o terminie planowanego zamachu.

— Jaka jest reakcja Izraela? — Głos dobywający się z głoś-nomówiącego telefonu stojącego na środku wypolerowanego biurka należał do sekretarza stanu w Waszyngtonie. Kierowanie końcowym etapem rozmów na miejscu powierzył swemu zastępcy, woląc sam zbyt nie angażować w razie fiaska.

— Jak dotąd dość spokojna. Jakies typowe połajanki, że Palestyńczycy muszą wreszcie udowodnić, że uznają rządy prawa. Ale padło to z ust niższego rangą rzecznika prasowego

i tylko w odpowiedzi na zadane pytanie. Żaden z prominentów nie zabrał głosu. Myślę, że chcą to potraktować jako wewnętrzny...

— Czy grozi to zerwaniem rozmów?

— Nie wydaje nam się, panie sekretarzu.

— Chyba że chcieliby tego użyć jako pretekstu...

— Na razie się na to nie zanoszą — słowa te padły z ust zastępcy sekretarza stanu, który także pragnął zaznaczyć swoją obecność. — Negocjacje zrobiły się piekielnie trudne, ale nikt nie wstaje od stołu.

— Wciąż chodzi o uchodźców?

— Tak. I o podział Jerozolimy.

— Pamiętaj, że nie możemy pozwolić, żeby to ciągnęło się w nieskończoność. Jeśli nie będziemy czujni, to będziemy mieć najpierw jedno opóźnienie, potem następne i zanim się obejrzymy...

— ...zrobi się listopad — wtrącił Bruce Miller posługujący się oficjalnym tytułem „politycznego radcy prezydenta”. W rzeczywistości był najbardziej zaufanym człowiekiem prezydenta, którego nie opuszczał od czasu jego pierwszej kampanii ponad dwadzieścia pięć lat temu, kiedy to obecny prezydent ubiegał się o stanowisko prokuratora stanowego stanu Georgia. Mówiło się, że spędzają ze sobą więcej czasu niż ze swoimi żonami. Wysłanie go do Jerozolimy dodatkowo potwierdzało to, o czym i tak wszyscy wiedzieli: że dążenie do pokoju na Bliskim Wschodzie było nierozdzielnie związane z amerykańską polityką wewnętrzną.

— Witaj, Bruce — Maggie wyczuła w głosie sekretarza stanu wyraźną potulność.

— Właśnie chciałem się zgodzić z pańskim stanowiskiem, panie sekretarzu. — Na dykcję Millera wpływał zarówno jego akcent południowca, jak i guma Nicorette, której nie przestawał żuć od rana do nocy. Obok innych używek nikotynowych pomogła mu jedenaście lat temu rzucić palenie, w rezultacie czego papierosów wprowadzić się pozbył, ale ich miejsce zajęła guma, stając się jego nowym nałogiem.

— Mieli tylko pięćdziesiąt lat na to, żeby to wszystko przemyśleć. Jezu Chryste! Nie można tego ciągnąć w nieskończoność! — Nachylał swe żylaste ciało tak, by znaleźć się jak najbliżej telefonu, a i tak jego szyja zdawała się chwilami wysuwać jakby dla podkreślenia wypowiedzianych słów. Dwie kępy włosów zdobiące boki jego tysej czaszki buńczucznie bodły powietrze niczym para rogów. Maggie starała się sobie uzmysłowić, z kim jej się kojarzy. Może z kogucikiem, który rzuca głową z regularnością metronomu? A może z ulicznym kogutem-zabijaką, który na nielegalnym ringu w zaułku starego Dublina szykuje się do walki ze świadomością, że walka będzie nieczysta i wszelkie ciosy będą dozwolone? Swym zachowaniem niemal ją hipnotyzował.

— Twierdzimy... — machnął ręką w stronę telewizora w kącie sali, który był włączony na Fox News z wyciszonym dźwiękiem — ...że wszystko skończy się w tym tygodniu. Bo jeśli nie, to wrócimy do punktu wyjścia. Problem polega tylko na tym, że na Bliskim Wschodzie nie ma takiego punktu. On po prostu, kurwa, nie istnieje! Tu nie można ani na chwilę przestać! Wystarczy to spieprzyć, żeby się cofnąć nie wiadomo gdzie. Przypomnijcie sobie, co się działo po Camp David. Izraelczycy strzelali na ulicach do Arabów, Arabowie wysadzali kolejne kawiarnie w Jerozolimie. Tylko dlatego, że faceci, którzy tam siedzieli, starali się dogadać, ale spieprzyli sprawę.

Zapadła cisza, głośnik telefonu również milczał. Wszyscy mieli świadomość, że właśnie wysłuchują ochrzanu z samej góry i że to jeszcze nie koniec.

— Mamy nowe szczegóły w sprawie zabójstwa tego kolaboranta — wtrącił rezydent CIA. Miał nadzieję, że choć trochę poprawi tym atmosferę.

— Tak?... — zawiesił głos sekretarz stanu.

— Jak już wspominałem, w zwykłych okolicznościach drobny incydent tego rodzaju nie wywołałby żadnej reakcji. W szczytowym okresie ostatniej intifady* tego typu egzekucje były na

* Intifada — arabskie słowo określające bunt, powstanie.

porządku dziennym i zdarzały się niemal co tydzień. Ale w sytuacji, kiedy strony rzekomo zawiesiły broń, nawet takie wewnętrzne porachunki mogą spowodować...

— To są ogólniki. Powiedziałeś, że macie nowe szczegóły — przerwał mu Miller. Mówiąc to, zapewne przekazywał kolejne przesłanie od szefa: nie rozdrabniać się, nie ma czasu do stracenia.

— Kilka ciekawostek. Po pierwsze, ofiara zbliżała się do siedemdziesiątki, czyli była znacznie starsza niż zazwyczaj. Na ogół wiek ofiar jest zbliżony do wieku bojowników...

Miller uniósł brew na znak oburzenia. Bojownicy!

— Znaczy, ściślej mówiąc, do wieku terrorystów. Po drugie, porozumieliśmy się już ze służbami izraelskimi i wiemy, że ofiara była dokładnie tym, za kogo się podawała. Starym archeologiem. Nic im nie wiadomo, żeby wykonywał dla nich jakieś zadania.

— Czyli Palestyńczycy załatwili nie tego, co trzeba?

— To możliwe, panie sekretarzu. Śmierć w wyniku pomylenia tożsamości zdarza się w tej części świata dość często. Ale są też inne ewentualności.

— Mianowicie?

— Może to być sprawka jakiejś frakcji rozłamowej. Środki bezpieczeństwa w Izraelu są obecnie tak zastrzone, że trudno im liczyć na zorganizowanie zamachu terrorystycznego... — pamiętając o Millerze, położył nacisk na słowo „terrorystycznego”. — Z ich punktu widzenia najlepsze, co mogą zrobić, to zamordować kogoś ze swoich. Zwłaszcza jakiegoś niewinnego i powszechnie szanowanego Palestyńczyka jak ten Nour. Sieje to zamęt w szeregach Palestyńczyków i może sprowokować Izrael do zerwania negocjacji. Prowadzi do destabilizacji całego procesu.

— Jak na mój gust to trochę zbyt wyidealizowane — mruknął Miller, nie przestając wyciągać szyi, jakby nie chciał uronić ani słowa.

— Władze Izraela mogłyby wprawdzie twierdzić, że obnaża to Palestyńczyków jako ludzi nieprzestrzegających prawa,

którzy nie potrafią sami się rządzić, ale izraelska opinia publiczna nigdy by tego nie kupiła. Zrywać cały proces pokojowy tylko dlatego, że ktoś utłukł jednego Araba? Niemożliwe! Co jeszcze?

— Inna ciekawostka dotyczy relacji naocznych świadków z placu Manara w Ramallah. Zakapturzeni mężczyźni prawie nic nie mówili, ale kiedy w końcu się odezwali, to podobno mówili z dziwnym akcentem.

— Jakim?

— Tego niestety nie wiemy, panie sekretarzu. Przykro mi.

— Ale mógł to być akcent izraelski?

— Jest taka możliwość.

Miller odchylił się do tyłu, oparł o fotel, zdjął okulary i spojrział w sufit.

— Chryste! O czym my tu mówimy? Że to mogła być tajna akcja armii izraelskiej?

— Cóż, wiadomo przecież, że Izraelczycy od zawsze mają pod bronią tajne jednostki. Kryptonimy Wiśnia i Samson, pod którymi kryją się oddziały specjalne przebrane za Arabów. To może być ich najnowszy wyczyn.

— Ale dlaczego mieliby robić coś takiego właśnie teraz? — Miller nie przestawał trzeć oczu.

— Również w ramach prób destabilizacji procesu pokojowego. Jest rzeczą powszechnie znaną, że pewne izraelskie kręgi wojskowe są bardzo wrogo nastawione wobec rozwiązań kompromisowych, jakie proponuje premier...

— A gdyby to się wydało, Palestyńczycy tak by się wściekli, że mogliby odejść od stołu. Zabójstwo jednego z ich bohaterów narodowych.

— To prawda. I nawet gdyby ich władze były gotowe przytknąć na to oko, ulica palestyńska by im nie pozwoliła.

— I stąd to „przypadkowe” zdradzenie się z obcym akcentem — słowa niemal utonęły w mlaskaniu towarzyszącemu żuciu.

— W każdym razie to jedna z możliwości, jakie bierzemy pod uwagę.

— Tu jest jak w zasranym salonie luster! — burknął Miller, poprawiając się w fotelu. — Izraelczycy i Palestyńczycy trzymają się wzajemnie za gardła, a teraz po obu stronach mamy jeszcze jakichś rzezimieszków.

— To całkiem możliwe. Dlatego ze zdwojoną uwagą przyglądamy się śmierci Guttmana.

— A jedno z drugim co ma wspólnego?

— Mamy pewne wątpliwości co do ochrony premiera. Zastanawiamy się, czy nie mogło dojść do infiltracji. Nie chcemy z góry odrzucać takiej ewentualności, że ten ochroniarz, który zastrzelił Guttmana, mógł to zrobić celowo, realizując wcześniej wyznaczone zadanie.

Maggie wychyliła się do przodu gotowa zrelacjonować wczorajszą dziwną rozmowę z wdową po Guttmanie. *Miał pilną wiadomość, panno Costello. Na wagę życia i śmierci.* Może powtórzenie tego w tym gronie zabrzmi głupio, ale z drugiej strony...

Było już jednak za późno. Miller właśnie podnosił się z fotela.

— Dobra, kochani. Uważam, że jak na jedną sesję starczy nam już tego Olivera Stone'a. Panie sekretarzu, z naszej strony będziemy wywierać presję na negocjujących tak, jakby nic się nie wydarzyło. Odpowiada to panu?

— Oczywiście.

— I zostawiam panu poinformowanie o wszystkim prezydenta, zgoda?

— Tak. Naturalnie. — Wszyscy uczestnicy telekonferencji, łącznie z oddalonym o ponad jedenaście tysięcy kilometrów sekretarzem stanu wiedzieli, że słowa Millera to tylko grzecznościowy frazes: prezydent i Miller rozmawiali ze sobą kilkanaście razy jeszcze przed śniadaniem, i to niezależnie od tego, ile stref czasowych ich dzieliło. Jeśli istotnie należało poinformować o czymś prezydenta, można było mieć pewność, że jego giermek zrobi to w ciągu paru minut.

Miller rozejrzał się.

— Mamy coś jeszcze? — Spojrzał pytająco na Maggie, która

potrząsnęła przecząco głową, potem przeniósł wzrok na konsula, który zrobił to samo. — Okay.

Wszyscy skwapliwie zerwali się z miejsc, tak by wysłannik Białego Domu nie miał wątpliwości, jak bardzo się palą do swoich obowiązków. Maggie podążyła za Davisem.

Uczestnicy odprawy wynieśli się zbyt szybko, by zobaczyć, jak Miller wyciąga z kieszeni komórkę i usłyszeć cztery krótkie urywane słowa rzucone szeptem po uzyskaniu połączenia z Waszyngtonem. „Wszystko zgodnie z planem”.

Rozdział 9

Jerozolima, wtorek, godz. 15.17

Maggie przeszła do pomieszczenia, które przydzielił jej Davis. Był to niewielki pokój oddawany do dyspozycji wszystkich gości z Departamentu Stanu. Znajdowały się w nim tylko biurko, telefon i komputer, ale niczego więcej nie potrzebowała. Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

Pierwszą czynnością było sprawdzenie poczty elektronicznej. Jeden z e-maili był od Liz, która odpowiadała na wiadomość zostawioną przez Maggie w poczcie głosowej, kiedy zadzwoniła do siostry, by poinformować ją o nagłym wyjeździe do Jerozolimy. Temat e-maila: *Wreszcie, dziewczyno!*

A więc, moja rozważna siostrze, wreszcie zdecydowałaś się wkroczyć do mojego zwariowanego świata. Czy wiesz, że występujesz teraz jako postać w Second Life? Mówię o tym programie online, na który tracę o WIELE za dużo czasu. Poważnie! Uczestniczysz w jakiejś symulacji bliskowschodnich rozmów pokojowych. To nawet do Ciebie podobne, tylko los obdarzył Cię lepszym tyłkiem, niż na to zasługujesz. Podaję Ci link, wypróbuj go...

Maggie kliknęła na link, ciekawa, dokąd ją zaprowadzi. Liz wielokrotnie wspominała o Second Life, twierdząc, że nie chodzi

tu o jeszcze jedną głupkowaną grę, ale o wirtualne poszerzenie świata rzeczywistego. Liz była nim zachwycona i z entuzjazmem opowiadała o cudownych sposobach podróżowania i poznawania nowych ludzi — nie jakichś wymyślonych orków czy pogromców smoków, tylko prawdziwych, żywych ludzi, i to bez wstawiania od komputera. W uszach Maggie brzmiało to koszmarnie, ale rozbudziło jej ciekawość. Tylko co to znaczy, że jest teraz jedną z „postaci”? Rozumiała, skąd wzięła się „symulacja bliskowschodnich rozmów pokojowych”. W sieci działało kilka programów, w których absolwenci wyższych uczelni wcielali się w postacie uczestników najnowszych negocjacji w sprawach Bliskiego Wschodu. Zaimponowało jej, że już zdążono uwzględnić jej wyjazd do Jerozolimy. Widocznie w prasie izraelskiej ukazała się jakaś notatka na ten temat.

Na ekranie monitora wciąż pulsowała maleńka klepsydra, w końcu jednak zamarła w bezruchu i komunikat na ekranie poinformował, że ze względów bezpieczeństwa sieć komputerowa konsulatu jest zablokowana. Nic nie szkodzi, pomyślała, spróbuję kiedy indziej.

Przejrzała resztę poczty w skrzynce odbiorczej. Nadal ani słowa od Edwarda. Czy to oznacza definitywny koniec? Czy nie będą już mieli sobie nic do powiedzenia poza omówieniem zabrania jej rzeczy? Zresztą dzięki niemu nie było ich dużo.

Wyszła z programu poczty i z przyzwyczajenia kliknęła na strony internetowe „The New York Timesa” i „Washington Post”. Na stronie „Timesa” był materiał o sobotniej strzelaninie na wiecu w Izraelu zawierający sylwetkę ofiary. Wdzięczna za możliwość oderwania myśli od spraw osobistych przeczytała ją w całości.

Po raz pierwszy nazwisko Szimona Guttmana pojawiło się w 1967 roku, po Wojnie Sześciodniowej, w trakcie której wyróżnił się wybitnymi walorami wojskowymi. Wykorzystując fakt przejścia przez Izrael kontroli nad historycznymi terenami Judei i Samarii na Zachodnim Brzegu, Guttman znalazł się w grupie działaczy, których

spryt i pomysłowość pozwoliły na ustanowienie żydowskiej enklawy w niemal całkowicie arabskim Hebronie. Podając się za turystów, wynajęli pokoje w palestyńskim hotelu, rzekomo w celu odbycia uczty paschalnej — czyli tak zwanego sederu — po czym odmówili ich opuszczenia. W trakcie konfrontacji z władzami izraelskimi, do jakiej doszło w wyniku ich akcji, Guttman odznaczył się szczególną zajadłością. Upierał się, że obecność Żydów w Hebronie jest uzasadniona bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu w Izraelu. „ To tu stoi Dąb Abrahama, starożytne drzewo, pod którym rozbił namiot Awraham Avinu, nasz ojciec Abraham ”, oświadczył reporterom w 1968 roku. „ Tu znajduje się również Grobowiec Patriarchów, gdzie pochowani zostali Abraham, Izaak i Jakub. Bez Hebronu jesteśmy niczym”. Ostatecznie Guttman i jego towarzysze zawarli ugodę z władzami izraelskimi, na mocy której opuścili hotel i przenieśli się na wzgórze na północny wschód od Hebronu, gdzie założyli żydowską osadę Kiryat Arba. Ten górski przyczółek rozrósł się z czasem w istniejące do dziś nowoczesne miasto, choć obecnie nasilają się spekulacje co do jego przyszłych losów w związku z nowym porozumieniem pokojowym, do podpisania którego może dojść jeszcze w tym tygodniu.

To by mogło wszystko wyjaśniać. Guttman nie mógł się pogodzić z myślą, że założona przez niego osada ma być, jak wiele innych miast i wiosek izraelskich, przekazana Palestyńczykom. Lubując się w dramatycznych gestach, w spektakularny sposób chciał przekonać premiera do zmiany stanowiska. Kilka lat temu demonstrował na dachu budynku w Gazie, całe pokolenie wcześniej podjął okupację hotelu w Hebronie. Prawdziwy showman.

Wpisała jego nazwisko w wyszukiwarkę Google i zajrzała na nieliczne anglojęzyczne strony ze skrótem najnowszych wyda-

rzeń w Izraelu. Wszystkie pisały mniej więcej to samo: Guttman był bohaterem wojennym, który stał się prawicowym ekstremistą lubiącym robić wokół siebie dużo szumu. W jednym z portali znalazła nawet zapis wideo z jakiejś dawniejszej akcji protestacyjnej. Guttman stał na szczycie piaszczystego wzgórza w pierwszym szeregu grupy demonstrantów i, jak inni, powiewał flagą izraelską. Maggie domyślała się, że demonstracja dotyczyła osiedla żydowskich osadników, które chciano albo zburzyć, albo właśnie zacząć budować.

Był człowiekiem o rzucającej się w oczy posturze. Gęstą czupryną siwych włosów rozwiewał wiatr, ze spodni wylewał mu się obfity brzuch, co czyniło z niego centralną postać w kadrze. Słychać też było, jak wykrzykuje: „Niech Palestyńczycy nauczą się historii! Z historii wynika najjaśniej pod słońcem, że Żydzi byli tu pierwsi! Ta ziemia należy do nas! W całości!”.

Wszystko układało się w sensowną całość. Guttman był jastrzębiem, który postanowił raz jeszcze zaapelować bezpośrednio do premiera. Podszedł za blisko i został zastrzelony. I to wszystko.

Jednak w tym, co powiedziała Rachel Guttman, a także w tonie jej głosu było coś, co Maggie niepokoiło. Wdowa upierała się, że w ciągu ostatnich trzech dni życia mąż natknął się na jakiś dokument czy list, który wszystko zmieniał. Maggie mimo woli spojrzała na nadgarstek, za który wdowa trzymała ją w prawdziwie żelaznym uścisku. Biedna kobieta. Jak bardzo musiała być wstrząśnięta, że zaczęła się użalać przed kimś zupełnie obcym. Maggie zetknęła się już z przypadkami, kiedy po utracie najbliższych ludzie próbowali doszukiwać się w śmierci swych mężów, żon, matek czy dzieci jakiegoś szczególnego przesłania. Często utrzymywali, że ofiara przewidziała swoją śmierć, że właśnie miała dokonać jakiegoś wiekopomnego czynu i doprowadzić wszystko do ładu. Może Rachel Guttman też przesładowały tego typu omamy. Maggie roztarła nadgarstek.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, otworzyły się i do środka wszedł Davis.

— A więc Stany Zjednoczone zdecydowały się użyć swojej tajnej broni.

— Naprawdę? A cóż nią jest?

— Pani.

Davis poinformował ją, że zgodnie z obawami śmierć archeologa spowodowała, iż delegacja palestyńska na rozmowy w Domu Rządowym zagroziła ich zerwaniem. Podejrzanie padało na Izrael.

— Musi ich pani od tego odwieść — powiedział konsul. — Zastępca sekretarza stanu prosi panią do siebie za pięć minut.

Maggie zebrała papiery i wyciągnęła rękę, by wyłączyć komputer. Już miała wyjść z portalu izraelskiej gazety „Haaretz”, gdzie wcześniej szukała wiadomości o Guttmanie, gdy nagle zmieniła zamiar i postanowiła jeszcze zajrzeć na pierwszą stronę internetowego wydania gazety. Chciała sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś nowe szczegóły w sprawie Noura.

Istotnie znalazła nowy materiał, który szybko przebiegła wzrokiem. Śmierć Noura opisano w nim jako typową rozprawę z kolaborantem, ani słowem nie wspominając o udziale Izraela. Notatce towarzyszyła fotografia zabitego wyglądająca na zdjęcie wyjęte z rodzinnego albumu. Archeolog o twarzy ozdobionej gęstym szpakowatym wąsem z uśmiechem patrzył prosto w obiektyw. W dłoni trzymał kieliszek uniesiony w geście toastu, na jego ramieniu zaś spoczywała ręka kogoś, z kim pozował do zdjęcia, a kto pozostał poza kadrem.

Maggie już wstała, by ruszyć śladem Davisa, jednak coś przykuło jej uwagę. W obrazie mignęło jej coś znajomego, czego nie potrafiła nazwać. Przyjrzała się oczom Noura, ale niczego w nich nie wyczytała. Co to mogło być? Przez jeden krótki moment zdawało jej się, że już to ma, ale chwilę później znów wszystko się rozplynęło. To coś miało jednak do niej powrócić, i to dużo szybciej, niż się spodziewała.

Rozdział 10

Ramallah, Zachodni Brzeg,
wtorek, godz. 16.46

Pierwszym zaskoczeniem było to, jak szybko dotarli na miejsce. Wsiadła do należącego do konsulatu czarnego land cruisera zaledwie piętnaście minut temu, a już jej kierowca, sierżant marines Kevin Lee, informował ją, że właśnie przekraczają zieloną linię, która oddziela „właściwy” Izrael od ziem zajętych w 1967 roku w wyniku Wojny Sześciodniowej.

Linia graniczna nie wyróżniała się niczym szczególnym. Nie było na niej żadnych znaków, posterunków czy tablic powitalnych. Przyglądała się ciągnącym się wokół blokom z lokalnego połyskliwego kamienia, które wyglądem nie różniły się od typowych dzielnic mieszkaniowych Jerozolimy, gdy Lee nagle wyciągnął rękę.

— To Pisgat Ze'ew. Nawet mieszkańcy często nie wiedzą, że mieszkają za zieloną linią — odwrócił głowę i spojrzał na Maggie — albo nie chcą wiedzieć.

Maggie rozejrzała się. Nic dziwnego, że negocjacje były takim koszmarem. Plan przewidywał podział Jerozolimy na dwie części — choć Amerykanie upierali się przy eufemistycznym terminie „dzielenia się miastem” — które miały stać się stolicami obu państw. Wystarczyło jednak spojrzeć, by się przekonać, że rzeczywisty podział będzie praktycznie niemożliwy. Poszczególne fragmenty miasta były jak posadzone zbyt blisko drzewa,

które w siebie wrosły. Ich rozdzielenie będzie po prostu niewykonalne.

— Teraz lepiej pani rozumie, o co w tym wszystkim chodzi — ciągnął Lee, pokonując zakręty wijące się drogi. — Pisgat Ze'ew po prawej, Beit Hanina po lewej.

Różnica od razu rzucała się w oczy. Arabska strona drogi przypominała biedne przedmieście: niewykończone domki z szarych bloczków pianobetonu, pręty zbrojeniowe sterczące niczym odcięte ścięgna, wyboiste i pozarastane dróżki obramowane rzędami rdzewiejących beczek po ropie. Po drugiej stronie ciągnęły się równo rozplanowane uliczki ze świeżo przyciętymi żywopłotami. Tak mogłoby wyglądać każde amerykańskie przedmieście, gdyby je zbudowano z biblijnego kamienia.

— To całkiem proste — rzucił Lee. — Po tej stronie pełna infrastruktura, po tamtej tylko bałagan.

W samochodzie zapadła cisza. Maggie z uwagą wpatrywała się w otaczający ją krajobraz. Wiedziała, że można przeczytać tysiąc notatek służbowych i przestudiować setkę map, ale nic nie zastąpi obejrzenia terenu własnymi oczami. Tak było w Belfaście i w Bośni, tak było i teraz.

— Oho, a to co znowu? — prychnął Lee, wpatrując się w drogę przed nimi.

W obie strony od szosy ciągnęły się cienkie sznury ludzkich postaci.

— Możemy na chwilę stanąć? — spytała Maggie. — Chciała bym to zobaczyć.

Lee zjechał na pobocze. Pod oponami zachrzęścił żwir.

— Zechce pani pozwolić, abym wysiadł pierwszy. Chcę się upewnić, że jest bezpiecznie.

Zechce pani pozwolić! Maggie zastanowiła się, jaka różnica wieku jest między nią a sierżantem Lee. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, więc — teoretycznie — mogłaby być jego matką.

— Okay, panno Costello. Myślę, że wszystko w porządku.

Wysiadłszy, zobaczyła, że ludzki łańcuch ciągnie się od szosy w dół z boczka i niknie gdzieś w dole. Podobnie wyglądało to po drugiej stronie drogi. Niektórzy dzierżyli w rękach transparenty, inni trzymali się za ręce. Sznur ludzi przerwany był tylko na szerokość jezdnii.

Dopiero teraz pojęła, o co chodzi. Wszyscy ubrali się na pomarańczowo — w barwy ruchu protestacyjnego, jaki zrodził się w opozycji do procesu pokojowego. Spojrzała na hasła wypisane na transparentach. *Krew i ogień pochłonie Jariwa*, głosiło jedno z nich. *Aresztować zdrajców*, krzyczało inne. Pierwsze uzupełnione było karykaturą premiera w czarno-białej *keffiji* — tradycyjnym palestyńskim zawoju głowy. Drugie ukazywało Jariwa w mundurze nazistowskiego oficera z literami SS na kołnierzyku.

Kobieta trzymająca transparent z premierem w *keffii* zauważyła wzrok Maggie.

— Chcesz ratować Jerozolimę? — krzyknęła w jej kierunku. — Dołącz do nas! — Miała czysto nowojorski akcent.

Maggie podeszła bliżej.

— Jesteśmy ruchem „Ręce wokół Jerozolimy” — wyjaśniła kobieta, wręczając Maggie ulotkę. — Tworzymy ludzki łańcuch wokół odwiecznej, niepodzielnej stolicy narodu żydowskiego. Zostaniemy tu tak długo, aż Jariw i cała reszta kryminalistów odejdzie i zostawi nasze miasto w spokoju.

Maggie kiwnęła głową.

Kobieta ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu.

— Jakby to ode mnie zależało, tobym nas nazwała „Ręce precz od Jerozolimy”. Ale nie da się wygrać wszystkich bitew. Powinnaś tu zostać dłużej i zobaczyć sama, co prawdziwi Izraelczycy myślą o wielkiej zdradzie.

Maggie zrobiła przeproszącą minę i wskazała ręką samochód. Wracając do niego, usłyszała nagle dopływającą gdzieś z dołu pieśń. Ludzie tworzący łańcuch podejmowali śpiew w różnych miejscach z boczka, przez co pieśń rwała się i nakładała na siebie, ale i tak wyłaniała się z tego piękna i niepokojąca melodia.

Sierżant Lee otworzył jej drzwi i ruszyli w dalszą drogę. Maggie zadumała się nad sceną, której była świadkiem. W obliczu tak zdeterminowanej opozycji Jariw nie ma chyba żadnych szans. Nawet gdyby udało mu się ostatecznie dogadać z Palestyńczykami, musiałby jeszcze pokonać opór własnego narodu. Ludzi gotowych stać wokół swego miasta dniami i nocami przez całe tygodnie, może nawet miesiące.

Jechali teraz gładką, niemal pustą szosą, po której przemykały jedynie pojedyncze terenówki ze znakami ONZ i pomalowane w kolorze khaki transportery IDF, Sił Obronnych Izraela.

— A gdzie Palestyńczycy? — spytała zdziwiona.

— Muszą korzystać z innych dróg. Dlatego na tę drogę mówią „objazd”. Że niby służy do objeżdżania ich z daleka.

Lee zwolnił i wjechał na podjazd do punktu kontrolnego. Tablica po angielsku informowała, komu przysługuje prawo przejazdu: członkom organizacji międzynarodowych, personelowi medycznemu, karetkom pogotowia, prasie. Na dole wielkimi literami wypisano: „Zatrzymaj się i czekaj na wezwanie straży!”.

Sierżant wyciągnął rękę po paszport Maggie, opuścił szybę i podał żołnierzowi. Maggie schyliła nisko głowę, żeby mu się przyjrzeć. Miał ciemną karnację, a na jego szczupłej twarzy widać było pojedyncze kępki rzadkiego zarostu. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat.

Żołnierz oddał im dokumenty i chwilę później jechali już obok opustoszałego budynku ze ścianami podziurawionymi przez kule. Lee wyjaśnił, że kiedyś mieścił się tu City Inn Hotel.

— W czasie drugiej intifady trwały tu zażarte walki. IDF potrzebowało wielu tygodni, żeby wykurzyć stąd Palestyńczyków. — Zwrócił twarz ku Maggie i uśmiechnął się. — Podobno ich ceny za pokoje bardzo spadły.

Zaledwie kilka minut po opuszczeniu izraelskich przedmieść znaleźli się w zupełnie innym świecie. Wprawdzie

domy zbudowane były z tego samego jasnego kamienia, jaki dominował w Jerozolimie, ale tu sprawiały wrażenie opuszczonych i zaniedbanych. Dwujęzyczne szyldy po arabsku i angielsku informowały, że mijają właśnie Al-Rami Motors czy też Islamski Bank al-Aksa. Chwilę później przejechali skrzyżowanie z narożnikiem obstawionym rattanowymi krzeselkami i siedzącymi na nich młodymi ludźmi z cienkimi cygaretkami w ustach. Meble były wystawione na sprzedaż. Wracająca ze szkoły grupka dzieci z wielkimi tornistrami na plecach szła jezdnią, przeskakując dziury w nawierzchni. Maggie odwróciła głowę.

Ściany i witryny opustoszałych sklepów oklejone były plakatami ukazującymi twarze młodych mężczyzn, niekiedy wręcz chłopców. Wszystkie zostały obramowane wstęgami zieleni, bieli, czerwieni i czerni — barwami palestyńskiej flagi narodowej.

— Męczennicy — powiedział Lee.

— Zamachowcy-samobójcy?

— Tak, ale nie tylko. Również dzieciaki ostrzeliwujące osadników albo próbujące odpalać rakiety.

Koło wpadło w wyjątkowo głęboką wyrwę i samochodem aż rzuciło. Maggie nie odrywała wzroku od scenerii za oknem. Jak niemal we wszystkich krajach, w których przyszło jej pracować, zwalczające się strony kończyły na wzajemnym zabijaniu dzieci. Wyglądało na to, że i zabijający, i zabijani są coraz młodszy. Wprawdzie zawsze tak bywało, ale w ciągu ostatnich paru lat widywała tylko takich. Wszędzie się z tym stykała i nie mogła już na to patrzeć. Przed oczami znów jej stanął ten sam obraz co zwykle i musiała mocno zacisnąć powieki, żeby się go pozbyć.

Posuwając się powoli zatłoczoną ulicą, minęli uliczną kawiarnię pełną kobiet w czarnych chustach na głowie. Chwilę później Lee musiał gwałtownie szarpnąć kierownicę, by ominąć dwa ciągnięte przez młodych chłopców wózki wypełnione owocami: gruszkami, jabłkami, truskawkami i kiwi. Z jezdni na równych prawach korzystali wszyscy pospołu: ludzie, pojazdy i zwierzęta,

tworząc powolny i hałaśliwy tłum, jako że wszyscy bezustannie trąbili i pokrzykiwali.

— Jesteśmy na miejscu.

Zaparkowali przed budynkiem ministerstwa, który wyglądem wyraźnie odstawał od otoczenia. Był ogromny, miał czyste kamienne ściany i całe szyby w oknach. Przy wejściu znajdowała się tablica z podziękowaniem dla rządów Japonii i krajów Unii Europejskiej za pomoc.

Wprowadzono ich do przestronnej sali, w której znajdowała się długa kanapa w kształcie litery „L”. Pomieszczenie było o wiele za duże w stosunku do umeblowania i Maggie pomyślała, że o jego wielkości zdecydował prestiż, a nie względy praktyczne i rzeczywiste potrzeby, które uznano za sprawę drugorzędną.

Do środka wkroczył przysadzisty mężczyzna niosąc plastikową tacę z dwiema szklankami parującej herbaty miętowej. Idąc tu, Maggie zauważyła wielu podobnie wyglądających mężczyzn, którzy, siedząc na korytarzach, palili i sączyli kawę i herbatę jak taksówkarze czekający na zlecenie od dyspozytora. Początkowo wzięła ich za ochroniarzy pełniących służbę, ale w rzeczywistości reprezentowali specyficzną kastę ludzi, jakich widywała we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Kastę próżniaków, którym jakiś pociotek umożliwił przyssanie się do państwowej kasy.

— Pan al-Szafi jest już wolny. Proszę, proszę wejść. —

Maggie chwyciła niewielką czarną aktówkę i ruszyła za przewodnikiem. Wyszli z sali i weszli do znacznie mniejszego i skromniej umeblowanego gabinetu, który sprawiał wrażenie miejsca do prawdziwej pracy. Na kanapie i kilku krzesłach siedziało paru doradców i urzędników ministerstwa, na ścianie wisiał portret Jasira Arafata i kalendarz z mapą Palestyny, której granice obejmowały nie tylko Zachodni Brzeg i Strefę Gazy, ale cały Izrael. Ideologiczne przesłanie sygnalizujące twardogłowego jastrzębia.

Khalil al-Szafi wstał zza biurka i wyciągnął do Maggie rękę.

— Słyszałem, panno Costello, że aby tu przyjechać i nas, biedne skłócone dzieci, pogodzić, musiała pani przerwać emeryturę.

Szpila dowodząca dobrego rozeznania rozmówcy w sytuacji specjalnie jej nie zaskoczyła. Z notatki służbowej Davisa jasno wynikało, że ma być przygotowana na inteligentnego i przebiegłego polityka. Po spędzeniu ponad dziesięciu lat w izraelskim więzieniu za udział w aktach terrorystycznych, ale także w kilku zabójstwach, al-Szafi stał się wzorem „bojownika”. Od więziennych strażników nauczył się hebrajskiego, potem angielskiego, po czym z pomocą żony zaczął wydawać miesięczne biuletyny. Czasem zagrzewał w nich do walki, kiedy indziej przeprowadzał trzeźwą analizę sytuacji lub podejmował subtelne działania dyplomatyczne. Gdy trzy miesiące temu Izraelczycy wreszcie go wypuścili, ich decyzję uznano za najpoważniejszy sygnał, że zaistniał klimat sprzyjający postępowi.

Obecnie al-Szafiego uznawano za rzeczywistego przywódcę co najmniej połowy narodu palestyńskiego — tej jego części, która nie popierając Hamasu, identyfikowała się ze świeckimi nacjonalistami spod znaku Fatahu Arafata. Nie miał żadnego oficjalnego stanowiska ani tytułu i formalnie podlegał zarówno przewodniczącemu, jak i prezydentowi Fatahu, wiadomo było jednak, że bez jego zgody nic w tym ruchu nie może się wydarzyć.

Maggie próbowała wyczytać coś z jego twarzy. Oglądając fotografie nieogolonej twarzy o grubych rysach, oczekiwała kogoś w rodzaju ulicznego mięśniaka. Zamiast tego miała przed sobą człowieka sprawiającego wrażenie wyrafinowanego intelektualisty.

— Powiedziano mi, że warto spróbować. Że wy i Izraelczycy jesteście bliscy porozumienia.

— „Byliśmy” byłoby właściwszym słowem.

— To już nie jesteście?

— Nie. Jeśli Izraelczycy mają zamiar nas zabijać dla swoich brudnych celów, to nie.

— Zabijać?

— Ahmeda Noura nie zabił Palestyńczyk.

— Mówi to pan z wielką pewnością, ale z tego, co wiem, w ciągu minionych lat wielu Palestyńczyków poległo z rąk innych Palestyńczyków.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem, ale Maggie odpowiedziała łagodnym uśmiechem. Była do tego przyzwyczajona i właściwie zrobiła to celowo: trzeba na początku błysnąć stałą, żeby zniechęcić do lekceważącego traktowania jej jako nic nieznaczącej dzierlatki.

— Żaden Palestyńczyk nie zabiłby bohatera narodowego, jakim był Ahmed Nour. Jego praca była dla nas wszystkich źródłem dumy narodowej. Rzucała bezpośrednie wyzwanie izraelskiej hegemonii i dominacji. —Maggie przypomniała sobie, że podczas pobytu w izraelskim więzieniu al-Szafi zrobił też doktorat z nauk politycznych.

— Ale ktoś może wiedzieć, czym jeszcze się zajmował?

— Proszę mi wierzyć. Był ostatnim człowiekiem na świecie, który podjąłby współpracę z Izraelczykami.

— No, niech pan nie przesadza. Wiadomo, że nie należał do wielkich zwolenników obecnego rządu. Nie znosił Hamasu.

— Widzę, że jest pani dobrze poinformowana, panno Costello. Ahmed Nour rozumiał, że Palestyną rządzi teraz rząd jedności narodowej. Gdy Fatah przystąpił do koalicji z Hamasem, Ahmed w pełni to zaakceptował.

— A cóż innego mu pozostało? O ile mi wiadomo, kolaboranci nie noszą T-shirtów z napisem „kolaborant” na piersiach.

Al-Szafi pochylił się i wbił wzrok w Maggie.

— Proszę mnie posłuchać, panno Costello. Znam moich ziomków i wiem, kto jest zdrajcą, a kto nim nie jest. Kolaboranci rekrutują się spośród młodych albo biednych, albo zdesperowanych. Albo też mających do ukrycia jakiś wstydlivy sekret. Albo też Izraelczycy mają coś, czego pragną. Nic z tego nie dotyczy jednak Ahmeda Noura. A poza tym...

— ...poza tym nic nie wiedział! — wykrzyknęła Maggie, jakby ją w tym momencie olśniło. — Był naukowcem i nie dysponował żadnymi przydatnymi informacjami.

— Otóż to — al-Szafi wyglądał na zaskoczonego jej reakcją i wyraźnie węszył podstęp. Amerykanka zbyt łatwo się poddała. — Dlatego musieli go zabić Izraelczycy.

— To by również wyjaśniało obcy akcent, z jakim mówili jego zabójcy.

— Właśnie. Czyli pani też tak uważa?

— Ale jaki mogli mieć motyw?

— Ten sam, co zawsze od stu lat! Syjoniści mówią, że chcą pokoju, a to nieprawda. Pokój ich przeraża. Ile razy jest do niego blisko, zawsze wynajdują jakiś powód, żeby się wycofać. A tym razem chcą do tego zmusić nas i dlatego zaczynają nas zabijać. Chcą rozwścieczyć naród palestyński tak, żeby nie pozwolił przywódcom wyciągnąć ręki do syjonistycznych wrogów!

— Ale gdyby Izrael naprawdę chciał podburzyć Palestyńczyków, czy ograniczyłby się do zabicia jednego starego naukowca? Czy ofiar nie byłoby znacznie więcej?

— Syjoniści są na to za sprytni! Jeśli zrzucą na nas bombę, potępi ich cały świat. A w ten sposób potępią nas!

Coś w tonie al-Szafiego zastanowiło Maggie. Tylko co? Jakaś fałszywa nuta, o decybel za głośny ton. Już kiedyś się z tym zetknęła. Pewien serbski polityk w Belgradzie, który wypowiadał się takim samym, nienaturalnie donośnym gosem. Ależ tak! Uprzytomniła sobie nagle, że al-Szafi nie rozmawia z nią, tylko wygłasza przemówienie, którego treść jest adresowana do obecnych w pomieszczeniu.

— Doktorze al-Szafi, czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

Al-Szafi spojrzął na doradców i gestem ręki dał znak, że mają opuścić gabinet. Po chwili zamieszania, szeleszczenia papierami i pobrzękiwania szklankami zostali sami.

— Dziękuję. Czy teraz chciałby mi pan powiedzieć coś więcej?

— Powiedziałem pani wszystko, co myślę. — Głos al-Szafie-go był bardziej stonowany.

— Powiedział pan, że pańskim zdaniem zabójcami Ahmeda Noura byli tajni agenci izraelscy.

— Tak.

— Ale w głębi duszy pan w to nie wierzy, prawda? Czy jest coś, czego nie chciał pan powiedzieć w obecności pańskich kolegów?

— Czy to w ten sposób osiąga pani pokój, panno Costello? Czytając w myślach ludzi, którzy walczą? — Uśmiechnął się smutno.

— Niech pan nie próbuje brać mnie na pochlebstwa, doktorze al-Szafi — odrzekła, odwzajemniając uśmiech. — Podejrzewa pan Hamas, prawda? — Uznając jego milczenie za potwierdzenie, Maggie ciągnęła: — Ale dlaczego? Był ich wrogiem?

— Pamięta pani, co zrobili talibowie w Afganistanie tuż przed jedenastym września? Coś, co przykuło wtedy uwagę całego świata?

— Wysadzili w powietrze wykute w skale ogromne posągi Buddy.

— Właśnie. A dlaczego to zrobili? Bo posągi świadczyły o tym, że przed islamem było coś jeszcze, cywilizacja starsza nawet od Proroka. Z czymś takim fanatycy nie mogą się pogodzić.

— Sądzi pan, że Hamas byłby gotów zabić Noura tylko dlatego, że wygrzebał parę skorup starszych od islamu?

Al-Szafi westchnął i oparł się plecami o fotel.

— Nie chodzi tylko o Hamas, panno Costello. Muzułmanie z całego świata wywierają na nich presję, nazywając zdrajcami za samo podjęcie rozmów z Izraelem.

— Al-Kaida?

— Między innymi. Wszyscy bardzo pilnie obserwują to, co się tutaj dzieje. Całkiem możliwe, że Hamas uznał, iż musi wszystkim pokazać, że zabijając uczonego, który odkrył nie taką prawdę jak trzeba, ma, za przeproszeniem, jaja.

— Ale czy wtedy próbowaliby to upozorować jako karę na kolaborancie? Przecież jeśli chcieli poprawić swoje notowania w Al-Kaidzie, powinni zaaranżować państwową egzekucję — na chwilę zawiesiła głos — chyba że jednocześnie chcieli zrzucić winę na Izrael i tak tym rozwścieczyć Palestyńczyków, że rozmowy pokojowe zostałyby zerwane. Uważa pan, że to możliwe?

— Sam się nad tym zastanawiałem. Czy Hamas, jak wy to mówicie, nagle nie dostał pietra?

Maggie uśmiechnęła się. Zawsze z dużą rezerwą podchodziła do ważności pierwszych wrażeń — w tym również do wagi pierwszego wrażenia, jakie robiła na innych — jednak ściągnięte autentycznym niepokojem czoło tego człowieka i toczona przez niego wewnętrzna walka spowodowały, że nabrała do niego zaufania.

Al-Szafi przeczesał brodę palcami. Maggie nie spuszczała z niego wzroku, starając się czytać w jego myślach. Widać było wyraźnie, że gnębi go coś jeszcze.

Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Wstrzymała jego spojrzenie i nie przerwała ciszy.

W końcu wstał z miejsca i zaczął krążyć po pokoju z oczami wbitymi w podłogę.

— Godzinę temu odwiedził mnie syn Ahmeda Noura. Był bardzo przybity.

— Trudno mu się dziwić.

— Powiedział mi, że przejrzał rzeczy ojca w nadziei, że znajdzie w nich jakieś wytłumaczenie. Znalazł trochę korespondencji, kilka e-maili, a wśród nich jeden dość dziwny od kogoś nieznanego.

— Pytał kolegów ojca? Może napisał go jakiś jego współpracownik?

— Oczywiście. Asystentka Ahmeda też nie zna tego nazwiska. A była jego prawą ręką we wszystkich sprawach organizacyjnych.

— Może miał jakiś romans?

— E-mail był od mężczyzny.

Maggie już zaczęła unosić brwi, ale w porę się pohamowała.
— I syn uważa, że nadawca tego e-maila może mieć coś
wspólnego ze śmiercią ojca?
Al-Szafi pokiwał głową.
— Wręcz za tym stać? Ponowne
leciutkie kiwnięcie głową.
— A co wiadomo o nadawcy tego e-maila?
Al-Szafi spojrział na drzwi, jakby sprawdzał, czy ktoś nie
podsłuchuje.
— Tego e-maila wysłał jakiś Arab.

Rozdział 11

Jerozolima, wtorek, godz. 20.19

Maggie leżała na łóżku w pokoju hotelowym w David's Citadel. Hotel był ogromny, zbudowany z unowocześnionej, wymuskannej wersji kamienia jerozolimskiego i na pierwszy rzut oka wypełniały go amerykańskie pielgrzymki. Widziała, jak jedna z grup utworzyła w holu wielki krąg, tkwiąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, podczas gdy stojący z boku izraelski przewodnik cierpliwie czekał.

Hotel wybrał Davis, bo od konsulatu dzieliła go tylko jedna przecznica i jej okno wychodziło na ulicę Agron. Wrócili z Ra-mallah o zmroku szosą jeszcze bardziej opustoszałą niż w tamtą stronę i oboje z Lee niemal przez całą drogę milczeli. Maggie dumiała nad swoją rolą i tym, że powierzona misja może nie tylko nie poprawić jej reputacji, ale jako skazana na niepowodzenie jeszcze bardziej ją pogрузić.

To, co Judd Bonham nazwał prostym domknięciem porozumienia, szybko przeradzało się w kolejny bliskowschodni dramat. Nikt nie był w stanie zliczyć, ile razy te dwa narody zdawały się być o krok od zawarcia pokoju, a jednak wszystko się w końcu rozpadało i wojna wybuchała na nowo, i to zwykle z większą niż poprzednio zjadłością. Maggie mogła tylko z przerażeniem myśleć o tym, co się stanie, jeśli w ciągu kilku najbliższych dni znów wszystko się rozleci. Lata praktyki nauczyły ją rozpoznawać symptomy nadciągających kłopotów, a głośne zabójstwa znanych osób należały do najbardziej charakterystycznych.

Zajrzała do minibarku i ozłociwszy sobie szklaneczkę zawartością buteleczki whisky, usiadła przy biurku i zapatrzyła się w okno. Ze sklepu po drugiej stronie ulicy wychodził mężczyzna, trzymając w ręku cieniutką plastikową torebkę z prześwitującą butelką mleka i chyba słoikiem miodu. Ot, po prostu facet wracający po pracy do domu.

Coś najzwyczajszego pod słońcem, a mimo to przypatrywała mu się z napięciem. Z jakiegoś powodu takie zwyczajne, monotonne obowiązki domowe nigdy nie stały się jej udziałem. Zazdrościła mężczyźnie wracającemu do domu z mlekiem, które zapewne wypiją jego dzieci podczas bajki na dobranoc. Pewnie robi to każdego wieczoru i nawet nie przyjdzie mu do głowy, że chciałby to zmienić.

Sącząc whisky, zaczęła zastanawiać się, czy nie powinna zadzwonić do Edwarda. Nie była pewna, czy jej numer pojawiłby się na jego wyświetlaczu i czy wtedy on by ten telefon odebrał. Zaczęła sobie wyobrażać przebieg ich rozmowy. Czy przeprosiłby ją za to, co zrobił? A może to on oczekiwałby przeprosin za jej nagły wyjazd do Jerozolimy? Była już w połowie trzeciej buteleczki, gdy powróciły do niej słowa Edwarda wypowiedziane dwa dni temu w kuchni ich mieszkania w Waszyngtonie. Czy miał rację, mówiąc, że zawsze ucieka i że nigdy nie ma dość cierpliwości, żeby coś zdążyło zadziałać? Może rzeczywiście tak było. Może ktoś normalny uporałby się z tym, co się stało rok temu? Może potrafiłby przejść nad tym do porządku dziennego?

Zadzwoniła na jego komórkę, by mieć pewność, że zobaczy, że to ona. Jeśli nie zechce, to nie odbierze. Przy pierwszym dzwonku rzuciła okiem na zegarek. W Waszyngtonie było teraz wpół do drugiej po południu. Odebrał.

— Maggie — nie było w tym ani znaku zapytania, ani wykrzyknika. Stwierdzenie faktu.

— Cześć, Edward.

— Jak tam w Jerozolimie? — Pauza. — Zbawiłeś już świat?

— Chciałam porozmawiać.

— Cóż... to nie jest dobry moment na rozmowy, Maggie. —
W tle słychać było pobrzękiwanie sztućców i cichą muzykę
smyczkową. Pewnie jest na lunchu w La Colline. — Daj mi
minutkę.

Usłyszała stłumiony głos Edwarda przepraszającego, że musi na
chwilę odejść od stołu, skrzypnięcie odsuwanego krzesła i kroki
ku jakiemuś spokojnemu kącikowi. Pomyślała, że pewnie wcale
go to nie zmartwiło. Wstawanie od stołu w celu odbycia pilnej
rozmowy telefonicznej należało do standardowych zachowań
waszyngtońskich urzędników. Pozwalało zademonstrować swoją
ważność.

— No? — odezwał się w końcu. Znaczyło to: Możesz mówić!

— Chciałam pogadać o tym, co z nami będzie.

— Cóż, miałem nadzieję, że zmądrzejesz i wrócisz do domu.
Od tego powinniśmy zacząć.

— Zmądrzeję?

— Daj spokój, Maggie. Przecież chyba nie traktujesz poważnie
tej swojej roli wielkiego rozjemcy?

Maggie przymknęła oczy. Nie da się podpuścić.

— Chcę tylko wiedzieć, czy rozumiesz, dlaczego się tak
wściekłam. W sprawie tych kartonów.

— Słuchaj, szkoda mi czasu na...

— Bo jeśli nie rozumiesz albo nie potrafisz zrozumieć...

— To co wtedy, Maggie? No, co? — Zaczynał mówić pod-
niesionym głosem i na pewno goście w restauracji zwrócili na to
uwagę.

— To nie wiem jak...

— Co: jak? Jak będziemy żyć dalej? Myślę, że tę sprawę
mamy już za sobą, nie sądzisz? Wydaje mi się, że podjęłaś tę
decyzję w chwili, gdy wsiadłaś do samolotu.

— Edward...

— Proponowałem ci wspólne życie, Maggie. Ale ty tego nie
chciałaś.

— Czy nie możemy po prostu porozmawiać...

— Nie ma o czym rozmawiać, Maggie. Muszę kończyć.

Usłyszała trzask i chwilę później nagrany głos poinformował ją, że *Rozmówca się rozłączył. Prosimy spróbować później. Rozmówca się rozłączył. Prosimy spróbować później.*

Maggie była pewna, że się rozplacze, ale stało się coś znacznie gorszego. Poczowała spływający na piersi ciężar, jakby jej wnętrze wypełniło się betonem. Pochyliła się i wsparła łokcie na kolanach. A więc to koniec. Próba urządzenia sobie normalnego życia zakończyła się fiaskiem. Oto znów siedzi zupełnie sama w obcym hotelu i w obcym kraju.

Wiedziała, że wszystkiemu jest winne to, co się wydarzyło rok temu. Miała nadzieję, że jej związek z Edwardem przepędzi upiory przeszłości, ale stało się na odwrót i to upiór zniszczył jej związek. Uniosła głowę i zapatrzyła się w jerozolimską noc za oknem, czując, że mogłaby tak siedzieć bez końca. Perspektywa była na tyle nęcąca, że Maggie nie ruszyła się z miejsca przez niemal całą następną godzinę.

W końcu górę wzięło przeświadczenie, że dostała od losu szansę na przełamanie koszmaru sprzed roku, na swego rodzaju wyrównanie rachunków. Aby jednak z tej szansy skorzystać, będzie musiała zrobić to, co wielokrotnie robiła w przeszłości: zapomnieć o sentymentach i skupić się wyłącznie na pracy. Musi swoją misję doprowadzić do pomyślnego końca. Nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek niepowodzenie.

No więc tak, pomyślała, ochlapując twarz wodą i zmuszając się do przeanalizowania wszystkiego od nowa. Na czym polega problem? Obie strony muszą zwalczać wewnętrzną opozycję, która próbuje wykorzystać zabójstwa Guttmana i Noura do własnych celów. Czyli w pierwszej kolejności należy dotrzeć do sedna obu zabójstw i w jakiś sposób przekonać opinię publiczną po obu stronach barykady, żeby nie rozdzierać szat, tylko kontynuować rozmowy.

Zajrzała znów na stronę „Haaretz” i zobaczyła to samo zdjęcie, które widziała przed pięcioma godzinami: Ahmed Nour uśmiechający się zagadkowo prosto do obiektywu. Niemal na głos szepnęła: „Co się z tobą stało?” i zaraz potem: „Czy całe porozumienie pokojowe ma przez ciebie lec w gruzach?”.

Zrobiła, co mogła, by podtrzymać w al-Szafim wiarę w powodzenie i przekonać go do kontynuowania rozmów. Zapewniła, że jeśli ludzie z Hamasu zaczną rozrabiać, Stany Zjednoczone znajdą sposób, by przywołać ich do porządku. Podkreśliła też, że w opinii Waszyngtonu Izrael ma poważne zamiary i że Palestyńczycy w ciągu paru dni mogą mieć własne państwo. Zaznaczyła, że spoczywa na nim historyczna odpowiedzialność, a on, słuchając jej słów, bezwiednie spojrział na portret Arafata na ścianie.

Nie była pewna, czy udało się jej go przekonać. Pożegnał się z nią niemal bez słowa i od razu wezwał do siebie grupę doradców i urzędników. Wiedziała, że mając podejrzenia wobec Hamasu i nie będąc pewnym własnych współpracowników i ich lojalności, znalazł się w trudnym położeniu. Obawiał się, że wyciągnięcie ręki do Izraela może oznaczać zapędzenie go do rogu i okrzyknięcie zdrajcą. Gdyby islamistom udało się zdyskredytować Fatah jako pacholków Izraela, na wiele dziesięcioleci miałiby zapewnioną dominację wśród społeczności palestyńskiej. Nie po to przesiedział siedemnaście lat w izraelskim więzieniu.

Wpatrywała się w fotografię Noura, jakby chciała przewiercić ją wzrokiem na wylot i wydobyć z niej odpowiedzi na wszystkie pytania. Gdyby udało się rozwiązać zagadkę śmierci Noura, zakończyć sprawę i odłożyć ją na półkę, może wszystko wróciłoby do normy.

Przewinęła nieco stronę i stwierdziła, że „Haaretz” uzupełnił materiał o Szimonie Guttmanie przeglądem jego „życiowych osiągnięć”. Z tonu materiałów wynikało, że sprawa nadal wszystkich żywo interesuje. *Przywódcy osadników żądają oficjalnego śledztwa w sprawie śmierci Guttmana*, wołał jeden z nagłówków. *Wojowniczy rabin wzywa do nałożenia klątwy na ochroniarzy premiera*, donosił inny.

Raz jeszcze przeczytała życiorys Guttmana w nowej, rozbudowanej wersji. Wyłaniał się z niego obraz zbliżony do poprzedniego: dawne zasługi wojenne, skłonność do spiskowania i szarżowania, posługiwanie się zapalczywą retoryką. Nową

wersję uzupełniono jednak kilkoma anegdotami i dłuższymi cytataми. Była mniej więcej w dwóch trzecich tekstu i chciała już dać sobie spokój z resztą, kiedy coś zwróciło jej uwagę.

Podczas kampanii 1967 roku i później Guttman spłacał swój osobisty dług wobec dawniejszych izraelskich bohaterów — Moszego Dajana i Jigala Jadina. Tak jak oni łączył w sobie zdolności wojskowe z naukową pasją badacza starożytnej historii kraju. Stał się kimś, kogo kulturalne kręgi nazywają siłowym archeologiem, a o kim Palestyńczycy mówią jako o czołgowym grabieżcy. Każde zdobyte wzgórze i każda podbita wioska traktowane były nie tylko jako kolejne pola na szachownicy wojskowej strategii, ale także jako miejsca potencjalnych wykopalisk. Guttman odkładał wtedy karabin, brał do ręki łopatę i zaczynał kopać. Jego zwolennicy — a także jego wrogowie — twierdzą, że w wyniku tej działalności powstał znaczący zbiór przedmiotów sprzed kilku tysięcy lat. Wszystkie łączyła jedna wspólna cecha: potwierdzały ciągłość przebywania Żydów na tych terenach...

Maggie otworzyła kolejną buteleczkę whisky. Czy to tylko przypadek, że Guttman i Nour zajmowali się archeologią, obaj byli nacjonalistami i obaj zginęli w ciągu jednej doby? Wróciła do czytania.

...był wprawdzie samoukiem, ale stał się uznanym autorytetem, szczególnie w dziedzinie starożytnego pisma i tematyki ezoterycznej. Czy zdobycie archeologicznego skarbu wymagało łamania zasad etycznych i prawnych? Zapewne tak. Ale takim właśnie był ten człowiek — ostatnim z nieprzejednanych syjonistów, poszukującym przegód awanturnikiem z pokolenia 1948 roku, jeśli nie 1908...

Dwaj mężczyźni w podobnym wieku, którzy przekopywali Ziemię Świętą, aby udowodnić, że tereny te należały do nich, do ich plemion. To musi być zbieg okoliczności, pomyślała Maggie. Ale mimo wszystko dość dziwny. Jedno zabójstwo rozpaliło izraelską prawicę, drugie zmobilizowało palestyńskich nacjonalistów i teraz obie grupy groziły zerwaniem rozmów dających szansę na pokój — szansę, jaka zapewne nie powtórzy się już przed Drugim Przyjściem.

Maggie zerknęła na minibar z myślą o dolewce. Wróciła wzrokiem do ekranu i kliknęła na Google. W polu „szukaj” wpisała nową kombinację słów: *Szimon Guttman archeolog*.

Strona zapełniła się linkami. Profil osobowy sprzed dziesięciu lat z „The Jerusalem Post”, zapis wywiadu dla radia kanadyjskiego w osadzie na Zachodnim Brzegu, w którym Guttman nazywa Palestyńczyków „intruzami” i „zmyślonym narodem”. W obu materiałach znalazły się wzmianki o czymś, co „Post” określił jako *patriotyczną pasję do odgrzebywania przeszłości Żydów*.

Kolejny link odsyłał do „Minervy”, Międzynarodowego Przeglądu Sztuki Starożytnej i Archeologii. Zajrzała do środka, ale nie znalazła żadnych oczywistych nawiązań do Guttmana. Dopiero włączenie wyszukiwarki haseł doprowadziło ją do jego nazwiska, ale tylko w postaci drobnego przypisu kursywą, w którym razem z kimś innym wymieniony był w związku z artykułem o odkryciu niezwyklej czary modlitewnej pochodzącej z biblijnego miasta Nineveh.

Przebiegła wzrokiem tekst artykułu, szukając... sama nie bardzo wiedziała czego. Nie znała się na tych wszystkich ornamentach, inkrustacjach i inskrypcjach pismem klinowym. Może to ślepa uliczka. Potarła czoło, nacisnęła wyłącznik i zaczęła zamykać pokrywę.

Jednak laptop nie wyłączył się, a na ekranie pojawił się komunikat z pytaniem, czy na pewno chce zamknąć wszystkie „zakładki” i wszystkie oglądane strony. Powędrowała już kursorem na „tak”, gdy ponownie rzuciło jej się w oczy nazwisko

Guttmana napisane drobną kursywą. Po raz pierwszy zwróciła uwagę na nazwisko obok: Ehud Ramon.

Może on będzie wiedział coś więcej. Przepuściła jego nazwisko przez Google, ale uzyskała tylko trzy znaczące odpowiedzi: jedna odsyłała do „Minervy”, a wszystkie trzy wymieniały go jako współpracownika Szimona Guttmana. O Ehudzie Ramonie jako kimś działającym na własną rękę nie było ani słowa.

Znalazła bazę danych archeologów izraelskich i w okienku „szukaj” wpisała nazwisko Ehud Ramon. W odpowiedzi dostała mnóstwo Ehudów i jednego Ramona, ale ani jednego Ehuda Ramona. Podobny wynik uzyskała w bazie danych Amerykańskiego Instytutu Archeologicznego. Kim był człowiek tak blisko związany z Guttmanem, który nie zostawił po sobie żadnych śladów?

I nagle ją olśniło. Czując dreszcz podniecenia, sięgnęła po długopis i kartkę papieru i dla pewności szybko spisała litery. Przecież to chyba niemożliwe, by nazwisko badacza należącego do izraelskich i amerykańskich towarzystw naukowych było... A jednak miała to przed sobą, czarno na białym. Nie było żadnego Ehuda Ramona. A ściślej mówiąc, był, tylko że nie było to jego prawdziwe nazwisko. Stanowiło anagram podobny do tych, które jako nastolatka chętnie rozwiązywała podczas wlokących się w nieskończoność, straszliwie nudnych niedziel w konwencie. Ehud Ramon okazał się nie tylko archeologiem wydzierającym ziemi jej starożytne sekrety, ale również całkowicie niespodziewanym partnerem Szimona Guttmana, skrajnie prawicowego, syjonistycznego zeloty i zapiekłego wroga Palestyńczyków. Ehud Ramon i Ahmed Nour byli jedną i tą samą osobą.

Rozdział 12

Bagdad, kwiecień 2003

Tego ranka Salam poszedł do szkoły bardziej z przyzwyczajenia niż wiary w to, że zajęcia odbędą się tak jak zwykle. Ale na wszelki wypadek poszedł. Pod rządami Saddama wagarowanie — podobnie jak wszelkie inne przejawy nieposłuszeństwa — stanowiło ryzyko, jakiego nikt ceniący sobie własne bezpieczeństwo nie podejmował. Saddam mógł się ukrywać, jego pomnik na placu Rajskim mógł lec na oczach całego świata, ale większość bagdadczyków i tak zachowywała ostrożność, jakiej nauczyły ich dwadzieścia cztery lata rządów satrapy. Salam nie był jedynym mieszkańcem miasta przeżywającym nocne koszmary, w których obalony dyktator wynurzał się niczym Posejdon z wód Tygrysu i ociekając wodą i wściekłością, kazał swoim poddanym padać na kolana.

Właśnie dlatego poszedł do szkoły. Widać inni również podzielali jego obawy, bo połowa szkolnych kolegów Salama kręciła się pod budynkiem, kopiąc od niechcenia piłkę i dzieląc się ostatnimi plotkami. Nikt głośno nie demonstrował radości — zbyt wielu nauczycieli należało do partii BAAS i popierało dotychczasowy reżim. Salam wyczuwał jednak nerwową energię pulsującą w kolegach, coś na kształt ładunku elektrycznego. Było to dla wszystkich nowe odczucie, którego jednak nikt nie umiał nazwać. Gdyby umieli znaleźć właściwe słowa i gdyby potrafili się uwolnić od zaszczepionego w nich strachu, zapewne

powiedzieliby, że po raz pierwszy czują podniecenie, myśląc o przyszłości.

Klasowy ważniak, Ahmed, zatrzymał się obok Salama i zmierzył go wzrokiem.

— Gdzieżeś był wczoraj? — burknął.

— Nigdzie. W domu. — Znów ten strach.

— Zgadnij, gdzie ja byłem.

— Nie wiem.

— Zgadnij.

— U Salimy?

— Nie, ty durny matole. Zgaduj dalej.

— Kiedy nie wiem. Podpowiedz mi.

— Zbijałem fortunę, stary.

— Pracowałeś?

— Można tak powiedzieć. No, wczoraj wieczorem ciężko popracowałem. Zarobiłem więcej kasy, niż ty zobaczysz przez całe życie.

— Gdzie? — spytał Salam, zniżając głos do szeptu, choć Ahmed wyraźnie nie miał zamiaru kryć się ze swymi rewelacjami.

Ahmed rozpromienił się, ukazując w uśmiechu zęby.

— W takim jednym sklepie pełnym największych skarbów świata. Wczoraj wieczorem była specjalna promocja: bierz, ile chcesz, wszystko darmo!

— Byłeś w muzeum!

— Pewno — powiedział to z dumą młodego biznesmena. Salam dojrzał na twarzy kolegi rzadki meszek i zdał sobie sprawę, że Ahmed próbuje zapuścić brodę.

— I co zdobyłeś?

— To już by było zdradzeniem tajemnic handlowych, nie? Ale jak mówi Prorok, niech pokój będzie z Nim, *kintary * złota i srebra to jest używanie życia na tym świecie*** i ja już o tym wiem.

* Kintar — arabski odpowiednik kwintala. ** Koran, rozdział 3, Rodzina Imrana, 3:14, przekł. J. Bielawskiego, Warszawa 1986.

- Zdobyłeś złoto i srebro?
- I dużo więcej tego, co czyni ludziom dobro.
- Jak długo tam byłeś?
- Całą noc. Obróciłem z pięć razy. Na cztery ostatnie wizyty zabrałem taczkę.

Patrząc na radośnie uśmiechniętą twarz kolegi, Salam podjął decyzję. Nie przyzna się, że wczoraj też był w muzeum. Nie ze strachu przed prawem, bo żadne prawo już nie działało, ani nie w obawie przed karą z rąk tych z BAAS, tylko ze wstydu. Że był w muzeum i wyniósł z niego tylko jakąś bezwartościową glinianą skorupę. Był gotów przekląć Boga za to, że uczynił go takim tchórzem. Jak zwykle zachował się zbyt potulnie, cofnął przed zagrożeniem i pozwolił, żeby inni się obłowili. Tak samo było na boisku, gdzie Salam nigdy nie wchodził w zwarcia z przeciwnikami, tylko trzymał się na odległość i unikał wszelkich potyczek. A teraz ta jego strachliwość kosztuje go majątek. Ahmedowi się uda, zostanie milionerem, może nawet ucieknie z Iraku i będzie żył jak księżę w Dubaju albo, nie przymierzając, w Ameryce.

Tego wieczoru zajrzał pod łóżko, ale już bez cienia podniecenia, z jakim zrobił to dziś rano. Jego zdobycz wciąż tam leżała, ale patrzył na nią z poczuciem, że wyniósł z muzeum coś zwyczajnego i bezwartościowego. Wyobraził sobie łup Ahmeda złożony z wysadzanych rubinami kielichów i inkrustowanych złotem figurek i z pogardą pomyślał o swoim niedołęstwie. Dlaczego on też się tak nie obłowił? Po co polazł do tego ciemnego podziemia, kiedy na górze skarby Babilonu były w zasięgu ręki? Wszystko to wina losu. Albo jego przeznaczenia. Albo obu naraz, bo cokolwiek by się działo, Salam al-Askari musi zawsze wyjść na durnia.

- Co ty tam masz?

Salam odruchowo zgiął się wpół, chcąc zasłonić ciałem glinianą tabliczkę. Ale było już za późno: jego dziewięcioletnia siostra zdążyła ją już zobaczyć.

- Co mam?
- No, to. To, co trzymasz na kolanach.

— A to. Nic takiego. Przyniosłem to ze szkoły.

— Mówiłeś, że nie było dziś szkoły.

— Bo nie było. Ale znalazłem ją pod szkołą...

Ale Leili już nie było. Wybiegła z pokoju i pognąła korytarzem w stronę kuchni.

— Tatusiu! Tatusiu! Salam ma coś, czego nie powinien mieć, Salam ma coś, czego nie powinien mieć!

Salam wbił wzrok w sufit: no i załatwiła go. Teraz dostanie lanie za nic, za jakiś bezwartościowy kawałek gliny. Chwyił tabliczkę, wszedł na krzesło obok łóżka i zaczął ciągnąć zaczep okna. Wyrzuci tego śmiecia i będzie po wszystkim.

— Salam!

Odwrócił głowę i zobaczył stojącego w progu ojca, którego ręka spoczywała już na klamrze pasa. Zwrócił twarz ku oknu i zaczął się z nim mocować drżącymi palcami. Okno jednak zacięło się na dobre i za nic nie dawało się otworzyć. Pchał z całej siły, ale ani drgnęło.

Ręka ojca chwyciła go za nadgarstek i wykręciła mu ramię do tyłu. Czuł na karku jego oddech. Zaczęli się ze sobą mocować. Salam za wszelką cenę chciał otworzyć okno i pozbyć się wreszcie tego przeklętego śmiecia.

Pod naporem ojca krzesło, na którym stał, zaczęło się chwiać. Poczul, że traci równowagę i leci do tyłu.

Rymnął z impetem na plecy. Krzyknął z bólu, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jego krzyk był jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał. Nie słyszał stukotu ani trzasku rozbijającej się o podłogę tabliczki. Jednocześnie stwierdził, że już jej nie trzyma w ręku. Uniósł głowę i zobaczył, że ojciec podnosi ją z łóżka, na którym wylądowała w trakcie jego upadku.

— Tato, to jest...

— Cicho bądź!

— Znalazłem to w...

— Milcz!

Co za okropny pech, od początku do końca. Żałował, że w ogóle polazł do tego muzeum. Zaczął opowiadać, jak udzielił

mu się nastrój podniecenia i jak dał się porwać tłumowi szturmującemu muzeum, jak natknął się na tabliczkę i jak wszyscy coś stamtąd wynosili, więc on też to zrobił.

Ojciec w ogóle go nie słuchał. Przyglądał się tabliczce, obracając ją w dłoniach. Szczególnie dokładnie obejrzał etui, w które tabliczka była wetknięta.

— Co to jest, tato?

Ojciec uniósł głowę i zmroził syna wzrokiem.

— Lepiej się nie odzywaj.

A potem wolnym, cichym krokiem wyszedł z pokoju, ani na chwilę nie odrywając wzroku od trzymanej w obu dłoniach tabliczki. Krótco potem chłopiec usłyszał, jak ojciec ściszym głosem rozmawia przez telefon.

Bojąc się wytknąć głowę z pokoju, żeby nie sprowokować kolejnego wybuchu złości ojca, Salam przysiadł na brzegu łóżka i podziękował Allahowi, że udało mu się uniknąć lania, przynajmniej na razie. Siedział tak jeszcze kilka minut, aż usłyszał, że drzwi wejściowe się otwierają i ojciec wychodzi z mieszkania. Pomyślał o starożytnej tabliczce, która należała do niego niecałą dobę i o której wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.

Rozdział 13

Jerozolima, wtorek, godz. 20.45

Amir Tal energicznie zapukał do drzwi i nie czekając na odzew, wszedł do gabinetu premiera. Fotel Jaakowa Jariwa stał odwrócony plecami do wejścia i Tal widział tylko aureolę siwych włosów wokół jego głowy. Jak wielokrotnie wcześniej, zastanowił się przez chwilę, czy w ten sposób starszy pan dyskretnie ucina sobie drzemkę.

— *Rosz Ha'memszalah?*

Fotel natychmiast obrócił się wokół własnej osi, ukazując czujną twarz premiera z szeroko otwartymi oczami. Tal zauważył jednak, że w jego dłoni nie ma pióra, a na biurku nie leży żadne niedokończone pismo. Więc właściwie brak dowodu na to, że jednak nie drzemał. Taka sobie sztuczka, której szef zapewne nauczył się w wojsku.

— Panie premierze, mam ważną wiadomość. Technicy powiadomili nas, że wreszcie udało im się uporać z tą notatką znaną przy Szimonie Guttmanie. Oczyszczili ją z krwi i innych organicznych zanieczyszczeń i doprowadzili do stanu, w którym daje się ją odczytać. Za parę minut dostaniemy wynik z laboratorium.

— Kto jeszcze o tym wie?

— Nikt, panie premierze.

Znowu rozległo się pukanie i do środka wkroczył wicepremier.

— Słyszałem, że jest jakaś wiadomość. To z laboratorium?

Premier obrzucił Tala ponurym spojrzeniem.

— Zwołaj naradę za piętnaście minut — powiedział. —

I niech Ben-Ari też przyjdzie.

Jariw wysunął szufladę biurka i wyciągnął z niej dokument, nad którym pracował przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Dokument powstał w Białym Domu i nosił liczne uwagi poczynione ręką prezydenta. Obaj siedzieli nad tą sprawą od tak dawna, że Jariw bez cienia wątpliwości rozpoznawał jego charakterystyczne, dziwnie pochyle pismo. Prezydent wypunktowywał sprawy uzgodnione i pozostające jeszcze różnice. Jariw musiał przyznać, że zrobił to z wielką znajomością rzeczy, sprytnie podkreślając te pierwsze i skrupulatnie odsiewając drugie, a wszystko tak jasno i zwięźle, że wystarczyło mu zaledwie po kilka słów na każdy z punktów. Jariw westchnął głęboko, uzmysłowiwszy sobie, że te krótkie, zwięzłe uwagi — niektóre dotyczyły spornych skrawków ziemi o mniej niż dwumetrowej szerokości — dla większości niewtajemniczonych musiały wyglądać na problemy natury czysto technicznej. Takie, o jakich pisze się drobnym druczkiem i jakie bez trudu uzgadniają prawnicy obu stron. Jariw wiedział jednak, że każda z tych drobnych spraw może przesądzić o tym, czy jego naród zazna spokoju, czy też kolejne pokolenie czeka rozlew krwi i płacz po bliskich.

Usłyszawszy, że Tal i reszta nadchodzą, pospiesznie wsadził dokument do szuflady, a następnie wyciągnął z niej torebkę *Aranim*, ziaren słonecznika, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. Żaden z członków rady nie widział projektu przygotowanego przez amerykańskiego prezydenta i go nie zobaczy, dopóki nie zostanie on zaakceptowany przez jego odpowiednika po stronie palestyńskiej. Nie było sensu wszczynać wojny gabinetowej wokół projektu porozumienia pokojowego. Zostawi sobie tę przyjemność na chwilę, gdy porozumienie stanie się realne. Dał znak Talowi, że może zaczynać.

— Panowie, naukowcy z Mazap, wydziału identyfikacji kryminalnej, bez przerwy pracowali od soboty, żeby przebić się

przez ślady krwi i ludzkiej tkanki i odczytać wiadomość, którą Szimon Guttman chciał przekazać premierowi. Zastrzegają się, że obecna wersja ma charakter roboczy i zależnie od wyniku ostatecznych testów...

Minister obrony Jossi Ben-Ari odchrząknął i zaczął przebierać palcami po jarmułce okrywającej mu głowę. Jarmułka była zrobiona szydełkiem, co sygnalizowało, że Ben-Ari jest nie tylko człowiekiem religijnym, ale należy też do określonego odłamu Izraelczyków: religijnych syjonistów. Nie obowiązywał go tradycyjny strój ortodoksyjnych Żydów — czyli czarny garnitur i biała koszula — którzy w większości nie interesowali się lub byli wręcz wrogo nastawieni do państwa świeckiego. Ben-Ari był nowoczesnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, a jednocześnie zaciekłym nacjonalistą. Stał też na czele partii, której kanonem była wiara, że granice Izraela powinny być możliwie jak najdłuższe i sięgać jak najdalej. Guttman uznawał go za zdrajcę za samo uczestniczenie w gabinecie Jariwa. Tego samego zdania była zresztą większość działaczy ruchu osadników izraelskich. Ben-Ari uważał jednak, że przyjmując na siebie rolę hamulcowego w gabinecie Jariwa, którego zadaniem było nie dopuścić do —jak to określał — „wyzbycia się rdzennych praw narodu żydowskiego za miskę soczewicy”, wykazuje się prawdziwym patriotyzmem. Jego ambicją było powstrzymanie Jariwa od oddania ziem o wielkim znaczeniu historycznym lub przynajmniej dopilnowanie, by straty z tego tytułu były jak najmniejsze. A gdyby się okazało, że premier posuwa się za daleko, miał zamiar opuścić gabinet i w ten sposób rozwalić kruchą koalicję, którą prasa złośliwie nazywała „izraelskim rządem niezgody narodowej”. Dawało mu to do ręki groźny instrument w postaci prawa weta, jednak użycie go łączyło się z poważnymi kosztami politycznymi. Gdyby Ben-Ari kiedykolwiek z niego skorzystał, to w Izraelu i na całym świecie zostałby raz na zawsze okrzyknięty tym, który stanął na drodze do zawarcia pokoju.

Tal zauważył jego nerwowe gmeranie przy jarmułce i wiedząc, co ono oznacza, pospiesznie przeszedł do meritum sprawy.

— Okazuje się, że było to coś więcej niż notatka. To cały list, który Guttman napisał drobnym maczkiem po obu stronach papieru. Właśnie przez to technicy mieli takie trudności z jego odcyfrowaniem. Przeczytam go na głos.

Mój drogi Kobi,

jestem Twoim wrogiem przez więcej lat, niż byłem Twoim towarzyszem broni. Zdarzyło mi się wypowiadać o Tobie nieprzyjazne słowa, tak jak Tobie zdarzało się to wobec mnie. Masz solidne powody, żeby mi nie ufać. Może właśnie dlatego moje wszystkie próby skontaktowania się z Tobą zostały udaremnione. I właśnie dlatego postanowiłem dziś zrobić ten desperacki krok. Nie mogę ryzykować przekazania tego listu komuś z Twoich ludzi, bo obawiam się, że chwilę później wylądowałby w koszu na śmieci. Wybacz mi to.

Piszę dlatego, że widziałem coś, czego nie wolno zignorować. Gdybyś zobaczył to co ja, zrozumiałbyś. Zmieniłoby to kompletnie Ciebie, a także wszystko to, co zamierzasz zrobić.

Zastanawiałem się nad ujawnieniem tej wiedzy opinii publicznej za pośrednictwem mediów, uznałem jednak, że masz prawo dowiedzieć się o tym pierwszy i dlatego próbowałem całą sprawę utrzymać w tajemnicy. Jest to bowiem tajemnica o takiej sile, że jej wyjawienie odmieni bieg historii. Spowoduje daleko idące zmiany w losach tej krainy, a w konsekwencji także świata poza nią.

Kobi, wbrew temu, co widziałeś w telewizji, nie jestem historykiem. W interesie polityki zdarza mi się czasem przesadzić, ale tym razem tak nie jest. Dysponowanie tą tajemnicą zagraża mojemu życiu. Jej sens jest ponadczasowy, ale jednocześnie — w kontekście Twoich obecnych poczynań — staje się sprawą niestychanie pilną. Nie opuszczaj mnie i nie odpychaj. Wystuchaj tego, co

mam Ci do powiedzenia. Powiem wszystko i niczego przed Tobą nie zataję. Ale powiem to tylko Tobie. Kiedy dowiesz się, o co chodzi, zrozumiesz. Zadrżysz tak, jak ja zadrżałem, bo będzie to tak, jakby przemówił sam Bóg.

Poniżej podaję swój numer. Kobi, zadzwoń do mnie dziś wieczorem — proszę o to w imię naszego dawnego przymierza.

Szimon

Tal powoli odłożył kartkę świadom tego, że w gabinecie jakby powiało czymś nowym i że zbyt gwałtowne ruchy mogłyby to coś zakłócić. Zauważył, że wicepremier i minister obrony wymieniają się spojrzeniami i odwracają głowy. Zdał sobie sprawę, że nie może się zdobyć na spojrzenie premierowi w oczy i nie wie, jaka będzie jego reakcja. Nikt nie ośmielał się przerwać ciszy.

Zrobił to w końcu wicepremier Avram Mossek.

— Facetowi wyraźnie odbiło — powiedział, krzywiąc się. — To jakiś ostry przypadek syndromu jerozolimskiego.

Syndromem jerozolimskim psychiatrzy określali zespół chorobowy, który powstawał w efekcie uderzenia atmosfery i hysterii Świętego Miasta do głowy delikwenta. Cierpiących na tę przypadłość można było spotkać wszędzie — od Drogi Krzyżowej, zwanej Via Dolorosa, po zaułki dzielnicy żydowskiej. Zwykle byli nimi młodzi, brodaci mężczyźni w sandałach, których obłąkane spojrzenie świadczyło, iż słyszą głosy anielskie.

Ben-Ari zignorował zaczepkę. Nie czas bronić religijnych uniesień.

— Mogę to zobaczyć? — zapytał Tala i szybko przebiegł wzrokiem tekst. — To mi wcale nie przypomina Guttmana. On nie był człowiekiem szczególnie religijnym. Był oczywiście zagorzałym nacjonalistą, ale nie kimś religijnym. A tu pisze, że przemówił do niego sam Bóg. I jeszcze cytuje liturgię Rosz Haszana: „Nie opuszczaj mnie i nie odpychaj”. Nie byłbym

skłonny posunąć się tak daleko, jak Mossek, ale może Guttman rzeczywiście miał kłopoty z głową...

Wszyscy spojrzeli na Jariwa w oczekiwaniu na jego werdykt. Wystarczy, że powie jedno słowo, zrobi choćby gest, a cała sprawa natychmiast pójdzie w zapomnienie. On jednak wysysał kolejne ziarenko słonecznika i w milczeniu wpatrywał się w tekst, który podał mu Tal.

Jego asystent uznał przedłużające się milczenie za nieznośne i jak zwykle postanowił się włączyć.

— Dostrzegam tu jedną ciekawostkę. Guttman pisze, że „próbował” utrzymać całą sprawę w tajemnicy. Wynika z tego, że mogło mu się to nie udać. Jeśli postanowimy się zająć tą kwestią, powinniśmy też sprawdzić, z kim jeszcze Guttman rozmawiał. Może z przyjaciółmi, może z kimś z rodziny. A może wbrew temu, co pisze o mediach, z jakimiś ultraprawicowymi dziennikarzami. Znał ich wystarczająco wielu. Po drugie, jego uwaga o zagrożeniu życia może mieć bardzo przykre konsekwencje. Mam na myśli nas. Jeżeli prawica zdobędzie ten tekst, doleje to tylko oliwy do ognia ich teorii spiskowych: człowiek, którego śmierć naszym zdaniem była przypadkowa, czuł się zagrożony i obawiał o swoje życie. Po trzecie, wszystko to oczywiście dotyczy rozmów pokojowych. „W kontekście Twoich obecnych poczynań”, pisze. I dodaje, że pan, premier kraju „zadrżałby”, gdyby wiedział to, co on. A to sugeruje, że zdałby pan sobie sprawę, iż popełnia straszliwy błąd i postanowiłby nie dążyć do... — niemal wypluł z siebie to słowo — ...porozumienia.

— To by dopiero było... — mruknął cierpko Mossek.

Jariw uniół rękę i pochylił się do przodu.

— To nie są słowa szaleńca. Są pełne żaru i pasji, to prawda. Ale to nie jest ani bełkot, ani też pożegnalny list męczennika, choć przewiduje w nim swoją śmierć. Gdyby tak było, bez ogródek pisałby o zdradzie, za jaką uważa oddawanie terytoriów, i tak dalej. Zależałoby mu wtedy, żeby ten list stał się manifestem dla jego zwolenników. A ten tekst jest na to zbyt... — przerwał

i cmoknął w poszukiwaniu odpowiedniego słowa — ...enigmatyczny. Uważam, że ten list jest dokładnie tym, na co wygląda: wołaniem zdesperowanego człowieka, który próbuje mi coś powiedzieć. Naszym zadaniem jest teraz, aby ani jedno słowo z tego listu nie wyciekło na zewnątrz. Amir poinformuje prasę, że testy laboratoryjne nie dały nic konkretnego i że tekstu nie udało się odczytać. Jeśli choć jedna sylaba z tego listu wydostanie się na zewnątrz, obu was zdymisjonuję i zastąpię waszymi najbardziej zagorzałymi rywalami. — Mossek i Ben-Ari aż się zachnęli na taki przejaw braku zaufania, uznając go za oznakę tłumionej złości. — A ponadto Amir poinformuje dziennikarzy, że w trakcie negocjacji pokojowych zdradziliście wrogowi kluczową tajemnicę państwową. O tym, czy zrobiliście to ze złej woli, czy tylko z braku kompetencji, zdecyduje już prasa. Nie ulega wątpliwości, że Szimon Guttman był w posiadaniu jakiegoś sekretu, za który był gotów poświęcić życie. Amir, twoim zadaniem jest dowiedzieć się, czego ten sekret dotyczył.

Rozdział 14

Jerozolima, wtorek, godz. 22.01

Uprzedzano ją, że wolno jej się poruszać tylko oficjalnym samochodem konsulatu z kierowcą, ale teraz nie było na to czasu. Poza tym czuła, że ta wizyta wymaga dyskrecji, a trudno mówić o dyskrecji, kiedy się zajeżdża pancernym land cruiserem. I dlatego trzęsła się teraz na drodze do Bet Hakerem w zwykłej białej taksówce.

Od razu przystąpiła do działania. Gdy tylko wpadła na rozwiązanie anagramu, cała reszta nabrała sensu. Wpatrując się w zdjęcie Noura, starała się uzmysłwić sobie, czy właśnie to ją zastanowiło, kiedy po raz pierwszy je zobaczyła. Tak jak poprzednio zaczęła od oczu, ale potem skupiła się na drugim planie.

Fotografię wyraźnie zrobiono w jakimś wnętrzu, i to raczej domowym, nie biurowym. Nour stał na tle czegoś, co wyglądało na regał z książkami. Widać też było bogaty, błękitno-zielony motyw kwiatowy, który po powiększeniu obrazu na ekranie okazał się nie, jak początkowo sądziła, wzorem tapety, ale bogatym ornamentem na paterze tuż za ramieniem Noura.

Ależ tak! Już widziała ten wzór i zwróciła nawet uwagę na jego wyjątkową urodę. Przyglądała mu się niecałą dobę wcześniej w domu żalobnym Szimona Guttmana, czekając na złożenie kondolencji. Jej wzrok przyciągnęła patera stojąca na regale pełnym książek. Na fotografii Nour stał na tle identycznej patery. Czy mogło to być ich wspólne znalezisko, którym się dzielili?

Czy ci dwaj archeolodzy, z których polityka uczyniła zaciekle wrogów, byli w rzeczywistości kolegami, którzy ze sobą współpracowali?

Na myśl o tym uśmiechnęła się w duchu. Szef delegatury CIA uznał śmierć Noura za typową egzekucję kolaboranta. Może istotnie miał rację, tylko że chodziło nie o kolaborację polityczną, ale o zwykłą zawodową współpracę?

Jej wzrok powędrował dalej i zatrzymał się na wystającej spoza kadru ręce, która spoczywała na ramieniu Noura. Czyżby fotografię wykonano tu, w Jerozolimie, na tle regału z książkami, który widziała w poniedziałek wieczorem? Czyżby ręka przyjaźnie obejmująca Palestyńczyka należała do nieprzejednanego izraelskiego jastrzębia Szimona Guttmana?

Sięgnęła po komórkę, by zadzwonić do Davisa i podzielić się z nim tym odkryciem. A może powinna pójść o szczebel wyżej i powiadomić zastępcę sekretarza stanu, który ją wysłał do Khalila al-Szafiego? Zawahała się. Bo właściwie cóż takiego odkryła? Dość dziwny zbieg okoliczności, to na pewno, ale czy wynika z niego coś konkretnego? Z drugiej strony szansa, że istnieje pracownik naukowy jakiegoś uniwersytetu o nazwisku Ehud Ramon, po którym nie ma żadnego śladu w Google, była bliska zeru.

Tak naprawdę myśl, że między dwoma nieżyjącymi archeologami może istnieć jakiś związek, zrodziła się po wczorajszej rozmowie z Rachel Guttman. Jak dotąd nikomu o niej nie wspomniała, a w razie gdyby ktoś miał o to pretensje, powie, że nie potraktowała poważnie słów starej kobiety, bo uznała je za żale zrozpaczonej wdowy. I po części istotnie tak było. Jednak słowa pani Guttman nie dawały jej spokoju, a teraz dochodził do tego jeszcze ewentualny związek jej męża z zamordowanym Palestyńczykiem.

Niestety, wszystko zanadto opierało się na domysłach, by informować o tym kolegów, szczególnie w tak pilnym trybie. Nie chciała, żeby pomyśleli, że jej odstawka na boczny tor zaowocowała skłonnością do teorii spiskowych. Nie mogła

jednak tego tak zostawić. Dlatego uznała, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli pojedzie na miejsce, spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej i dopiero wtedy przedstawi wyniki szefom. Adresatem jej relacji będzie bezsprzecznie szef delegatury CIA. O wszystkim mu opowie, a on już będzie wiedział, co z tym dalej zrobić. Musi tylko zadać pani Guttman parę pytań.

Podjęła tę decyzję niecałe pół godziny temu, a taksówka już wjeżdżała w uliczkę, przy której mieszkał Guttman. Wkrótce pozna odpowiedzi na swoje pytania.

— Dalej już pójde pieszko — oświadczyła kierowcy.

Grupa demonstrantów reprezentujących prawicowych ekstremistów i osadników, którzy od soboty trzymali straż przed domem w celu wywarcia nacisku na rząd, mocno się przerzedziła i pozostała z niej już tylko garstka aktywistów z zapalonymi świeczkami.

Maggie spojrzała na zegarek. Było dość późno jak na niezapowiedzianą wizytę, ale coś jej mówiło, że pani Guttman i tak o tej porze nie śpi.

Obok drzwi znalazła przycisk dzwonka z tabliczką po hebrajsku, która zapewne informowała, kto tu mieszka. Nacisnęła go krótko, by nie robić zbędnego hałasu, ale nikt nie zareagował.

W oknach paliło się jednak światło, a ze środka dochodziły dźwięki muzyki — melancholijnej, chwytającej za serce. Chyba Mahler, pomyślała. Ktoś więc na pewno był w domu. Postanowiła użyć metalowej kołatki na drzwiach, najpierw delikatnie, potem nieco mocniej. Przy drugiej próbie drzwi się uchylily. Znała ten zwyczaj z domów żałobnych w Dublinie. Drzwi nie zamykało się przez całą dobę, by wszyscy pragnący złożyć kondolencje rodzinie zmarłego mogli w każdej chwili wejść.

Hol był pusty, ale w domu było ciepło i Maggie wydało się nawet, że czuje jakieś zapachy dochodzące z kuchni.

— Halo? Pani Guttman?

Cisza. Może starsza pani zdrzemnęła się w fotelu? Maggie niepewnie ruszyła w głąb domu, czując się nieswojo w cudzych ścianach. Postanowiła skierować się w stronę dużego pokoju,

gdzie poprzedniego wieczoru tłoczył się tłum żałobników. Musiała przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń, ale po krótkiej chwili odnalazła drogę. Na regale, wśród oprawionych w skórę ksiąg, nadal widniała ta sama ceramiczna patera. Nie było cienia wątpliwości: wzór na paterze był taki sam jak na zdjęciu Ahmeda Noura w gazecie.

— Halo? — zawołała ponownie, ale odpowiedzią była głucha cisza. Trochę ją to speszyło, ale przecież drzwi były otwarte i wszystko wskazywało na to, że ktoś jest w domu.

Raz jeszcze rzuciła okiem na paterę i wyszła z pokoju, postanawiając udać się w stronę, skąd dochodziły wyraźne kuchenne zapachy. Ruszyła w głąb korytarza i dotarła do drzwi, za którymi zapewne była kuchnia.

Spróbowała je pchnąć, ale okazały się zamknięte na klamkę. Zapukała i niemal szeptem powiedziała:

— Pani Guttman? Tu Maggie Costello. Rozmawialiśmy wczoraj.

Jednocześnie nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. W środku było ciemno i musiała chwilę odczekać, aż jej wzrok się przyzwyczai. Stopniowo z mroku wyłoniły się zarysy stołu i kilku pustych krzeseł. Spojrzała w stronę zlewu i blatu kuchennego. Też pusto.

I dopiero wówczas jej wzrok padł na podłogę, na której dostrzegła jakby zarys ludzkiej sylwetki. Przykucnęła, i to rozwiało wszelkie wątpliwości.

Miała przed sobą zwłoki Rachel Guttman, której dłoń wciąż jeszcze ścisnęła pustą buteleczkę po jakimś lekarstwie.

Rozdział 15

Bagdad, kwiecień 2003

Wiedział o tym tylko ze słyszenia. Szwagier mówił o tym wczoraj w warsztacie, ale o nic wolał się nie dopytywać. Na pewno byłby ciekaw, dlaczego pyta, i nim by się obejrzał, jego żona dowiedziałaby się o wszystkim, a wtedy już na pewno nie dałaby mu spokoju.

Nie, musi do tego dojść sam. Wiedział, gdzie jest ten lokal — zaraz za targiem owocowym na ulicy Mutannabi. Podobno wszyscy tam się spotykali...

Abdel-Aziz al-Askari znalazł sobie stolik pod ścianą w głębi sali, dzięki czemu mógł obserwować ruch w drzwiach wejściowych. Skinął na kelnera, który przyniósł mu herbatę miętową tak gorącą, że parzyła przez szkło *stikkam*, wąskiej szklaneczki wielkości palca, i rozejrzał się po sali. Kilku starych bywalców grało w *szezbesz*, kilku innych pykało z nargili. Niewielki tłumek stał wpatrzony w ekran telewizora, na którym w kółko odtwarzano scenę obalania pomnika Saddama. W kawiarni było trochę gości i rozmowy toczyły się nieco głośniejsze niż zwykle, brak było jednak radosnej euforii, jakiej się spodziewał w tym od lat wyczekiwanym dniu. Dniu wyzwolenia! Dniu upadku dyktatora! Wyobrażał sobie, że ludzi ogarnie szal, że będą krzyzczeć, tańczyć z radości i ściskać się z nieznajomymi na ulicach. Oczyma duszy widział nawet, jak całuje piękne kobiety i jak wszyscy padają sobie w ramiona. Ale wcale tak nie było.

Ludzie na wszelki wypadek tłumili w sobie radość. A co, jeśli nagle do środka wpadnie tajna policja i ogłosi, że Amerykanie zostali pobici i każdy, kto choćby się uśmiechnął na wieść o obaleniu Saddama, zostanie powieszony? Nikt przecież nie wierzył, że znenawidzona Mahabarat rozplynęła się nagle w powietrzu. A jeśli zdjęcia pokazywane w Al-Arabiya są tylko mistyfikacją przygotowaną z inicjatywy Udaję i Kusaja, którzy postanowili przetestować naród iracki i wyłuskać z niego niełojalnych wobec reżimu? A jeśli Saddama wcale nie obalono?

I dlatego goście kawiarni — tak jak wszyscy w mieście — czekali, czujnie obserwując bieg wypadków. Chętnie podejmowali rozmowę, wołając jednak nie opowiadać się po jednej czy drugiej stronie. Nawet stojący przed telewizorem i obserwujący sceny rozgrywające się na placu Rajskim woleli ograniczyć się jedynie do zdawkowych uwag.

— To naprawdę historyczne wydarzenie — rzucił któryś.

— Obejrzą to ludzie na całym świecie — dodał inny.

W ten sposób obaj zostawiali sobie furtkę bezpieczeństwa, bo zawsze mogli dodać, że to „podły wybryk syjonistycznych kontrrewolucjonistów, których należy surowo ukarać”.

Sącząc herbatę, Abdel-Aziz od czasu do czasu poklepywał dłonią szkolną torbę syna, upewniając się, że jego trofeum wciąż w niej tkwi. Po jakichś piętnastu minutach drzwi kawiarni otworzyły się i do środka wszedł uśmiechnięty, trzydziesto-paroletni mężczyzna. Otaczała go wyczuwalna aura sukcesu i pewności siebie.

— Dzień dobry, bracia! — wykrzyknął radośnie. — Jak interesy? — dodał i wybuchnął tubalnym śmiechem. Wielu gości kiwnęło głowami, paru wyciągnęło ręce na powitanie.

— Witaj, Mahmud — rzucił ktoś głośno.

Mahmud. Abdel-Aziz odchrząknął. To na pewno on. Powinienem wykorzystać ten moment i od razu z nim porozmawiać. Choć oczywiście nie może dać poznać, jak bardzo mu na tym zależy.

Ale nie było o czym mówić, bo przybysz w skórzanej marynar-

ce, spod mankietu której błyskała bransoletka, sam wypatrzył Abdela-Aziza. Zapewne wyczuł coś w jego spojrzeniu.

— Witaj, przyjacielu. Szukasz kogoś?

— Szukam Mahmuda.

— Może będę mógł ci pomóc. — Zwrócił twarz ku wejściu i zawołał: — Mahmud! Mahmud! — Potem przeniósł wzrok na Abdela-Aziza. — Och, spójrz tylko! Tu jestem — wykrzywił twarz w sztucznym uśmiechu.

— Słyszałem, że...

— Co słyszałeś?

— Że ludzie, którym się udało ...

— Co oni znów wygadują o Mahmudzie? Że co?

— Przepraszam. To pewnie pomyłka... — Abdel-Aziz wstał od stolika, ale Mahmud położył dłoń na jego ramieniu, na powrót wciskając go w krzeselko. Był zaskakująco silny.

— Widzę, że masz w tej torbie coś ciężkiego. Czy to coś, co chciałbyś pokazać Mahmudowi?

— Mój syn to wyniósł. Wczoraj, z...

— Stąd, skąd wszyscy. O nic się nie martw. Nikomu nie powiem. To by szkodziło tobie, szkodziło mnie i szkodziło biznesowi. — Jego twarz znów wykrzywił sztuczny uśmiech, który jednak zniknął równie nagle, jak się pojawił. — I twojemu synowi też by to mogło zaszkodzić.

Abdel-Aziz chętnie by już stąd poszedł. Ten człowiek nie budził za grosz zaufania. Rozejrzał się niespokojnie po sali. Większość gości gapiła się w telewizor, w którym transmitowano na żywo konferencję prasową amerykańskich dowódców Cent-comu, centrum dowodzenia w Doha, w Katarze. Właśnie chwalili się zdobyciem kolejnego pałacu prezydenckiego.

— To jak, ubijamy jakiś interes?

— Czy to bezpieczne? Wyjmować to tutaj?

Mahmud jednym szarpnięciem przysunął do siebie krzesło z Abdelem-Azizem tak, że ich ramiona się zetknęły, a ciała pozostały zwrócone plecami do reszty gości. Niewielki stolik był całkowicie zasłonięty przed wzrokiem innych.

— Pokaż.
Abdel-Aziz rozpiął klamry, odchylił skórzaną klapę i pokazał Mahmudowi zawartość torby.

— Wyjmij.
— Nie jestem pewien, czy...
— Jeśli chcesz ubić interes, Mahmud musi obejrzeć towar.
Abdel-Aziz położył torbę na blacie i ostrożnie wyciągnął etui. Twarz Mahmuda nawet nie drgnęła. Z obojętną miną i bez ceregieli wyłuskał z etui jego zawartość.

— Okay.
— Okay?
— Tak, możesz to już schować.
— Nie jesteś zainteresowany?
— Normalnie Mahmuda nie interesuje takie barachło. Takie gliniane skorupy chodzą po groszu za pęczek.
— Ale ten napis...
— Kogo interesują napisy? Jakieś bohomazy. Równie dobrze może to być lista zakupów. Kogo obchodzi, co jakaś baba chciała kupić od handlarza ryb dziesięć tysięcy lat temu?
— Ale...
— Ale... — Mahmud uniósł władczo palec, nakazując milczenie. — Opakowano to w etui, które jest tylko trochę podniszczone. Dlatego dam ci za to dwadzieścia dolców.
— Dwadzieścia?
— A co? Chciałeś więcej?
— To przecież eksponat z Muzeum Narodowego...
— Oj, oj, oj! — Palec znów ostrzegawczo powędrował w górę.
— Pamiętaj, Mahmud nie lubi za dużo wiedzieć. Powiedziałeś, że to było w twojej rodzinie od wielu pokoleń, ale w związku z... no, z ostatnimi wydarzeniami, uznałeś, że nadszedł dobry moment na sprzedaż.
— Ale to musi być coś wyjątkowego.
— Obawiam się, że nie, panie...?
— Abdel-Aziz. — Cholera, dlaczego podaję mu prawdziwe nazwisko?

— W Bagdadzie można teraz znaleźć tysiące takich rzeczy. Wystarczy wyjść na ulicę i pstryknąć palcami, żeby ci przynieśli dziesiątki takich skorup. — Pstryknął palcami, by podkreślić wagę swych słów. — Więc jeśli wolisz sprzedać to komuś innemu... — Wstał od stolika.

Teraz Abdel-Aziz położył dłoń na ramieniu rozmówcy i przytrzymał ją.

— Proszę. Może chociaż dwadzieścia pięć?

— Przykro mi. Dwadzieścia. To i tak jest już za dużo.

— Mam rodzinę.- Syna, córkę...

— Wszystko rozumiem. Wyglądasz na przyzwoitego człowieka, więc pójdę ci na rękę i zapłacę dwadzieścia dwa dolary. Mahmud chyba zwariował! Nic na tym nie zarobi, a z ciebie zrobi bogacza!

Podali sobie ręce. Mahmud wstał i poprosił właściciela lokalu o plastikową torbę. Wsunął do niej etui z tabliczką i z grubego zwitka banknotów odliczył dwadzieścia dwa amerykańskie dolary. Wręczył je Abdelowi-Azizowi, który niezwłocznie wyszedł. Z ramienia zwisała mu szkolna torba syna, teraz już lekka i pusta.

Rozdział 16

Jerozolima, wtorek, godz. 22.13

Maggie widziała w życiu wiele martwych ciał. Należała do ekipy NGO usiłującej doprowadzić do zawieszenia broni w Kongu w czasach, gdy jedynym, co było w nadmiarze, były trupy. W ciągu zaledwie paru lat zginęły tam wtedy cztery miliony ludzi. Zwłoki leżały wszędzie: w lasach, pod krzakami i na poboczach dróg. Można było na nie się natknąć równie łatwo jak na dziko rosnące kwiaty.

Nigdy jednak nie miała do czynienia ze zwłokami tak... świeżymi. Wyczuwalne pod dotykiem ciepło ciała kobiety zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Poczwała na plecach dreszcz i instynktownie pociągnęła denatkę za rękę. Chciała ją podnieść do pozycji siedzącej, żeby nie leżała na podłodze jak... jak trup.

I w tym momencie usłyszała zza drzwi skrzypnięcie podłogi. W pierwszym odruchu chciała zawołać o pomoc, ale coś ścisnęło ją za gardło i nie pozwoliło wydobyć głosu.

Kroki wyraźnie się zbliżały i Maggie zamarła. Nagle drzwi do kuchni otworzyły się gwałtownie i ujrzała w nich sylwetkę mężczyzny trzymającego coś w wyciągniętej ręce. Broń.

Pamiętała lekcję wyniesioną z drogowych punktów kontrolnych w Afganistanie: kiedy ktoś do ciebie celuje, podnosisz ręce do góry i starasz się nawet nie drgnąć. Jeśli chcesz się odezwać, robisz to bardzo cicho i spokojnie.

Trzymając ręce w górze, wpatrywała się w lufę rewolweru,

która była teraz skierowana prosto w nią. W panującym mroku właściwie nie widziała niczego więcej.

Mężczyzna z rewolwerem wykonał ruch ręką i Maggie skuliła się w oczekiwaniu na strzał. Jednak intruz nie nacisnął spustu. Sięgnął w lewo, namacał wyłącznik na ścianie i w kuchni rozbłysło światło. W ułamku sekundy jej wzrok padł na niego, jego zaś na leżące na podłodze ciało kobiety.

— *Eema?*

Mężczyzna padł na kolana, upuszczony rewolwer ze szczękiem stuknął o podłogę. Pochylił się nad ciałem i zrobił to samo, co ona przed chwilą: pociągnął kobietę za rękę i dotknął jej ciała. Potem wtulił twarz w plecy kobiety i wstrząsnął nim szloch, jakiego Maggie nigdy wcześniej nie widziała. Wyglądało to tak, jakby drgała w nim każda komórka.

— Znalazłam ją najwyżej trzy minuty temu, przysięgam. —
Miała nadzieję, że rozpozna ją równie szybko, jak ona jego.

Nie mówiąc ani słowa, klęczał bez ruchu, wtulony w zwłoki matki. Obeszła go na palcach i podeszła bliżej drzwi.

Wciąż nie widząc jego twarzy i wpatrując się tylko w drgającą w niemym szlochu głowę, Maggie z przerażeniem zauważyła nagle, że ręka mężczyzny maca po omacku podłogę w poszukiwaniu upuszczonego rewolweru, znajduje go i płynnym, niemal podświadomym ruchem kieruje lufę prosto w jej twarz.

Rzuciła się do ucieczki.

Gwałtownie szarpnęła drzwi, wypadła na ciemny korytarz i puściła się biegiem ku wyjściu. Przecież chyba nie oszalał i nie zacznie do niej strzelać.

W tym momencie usłyszała charakterystyczny gwizd, którego życie nauczyło ją bać się każdą komórką ciała. Wydało się jej, że poprzedził go huk wystrzału, choć zastanawiając się nad tym później, doszła do wniosku, że to zupełnie bez sensu. Ale to właśnie ten gwizd, dźwięk powietrza prutego przez pocisk, spowodował, że zamarła w bezruchu z twarzą zwróconą ku wyjściu.

— Odwróć się.

Usłuchała bez namysłu. W głowie miała gonitwę myśli, spośród których jedna, niemal radosna, zdawała się wybijać na czoło. Chwała Bogu! Będę miała okazję wszystko mu wytłumaczyć! Tuż za pierwszą do mety dotarła też jednak inna myśl. Oszałał z rozpacz. Nie wysłuchał ani słowa!

Mimo to podjęła próbę. Negocjowanie było u niej naturalnym odruchem, nawet — o czym się właśnie przekonywała — w sytuacji zagrożenia własnego życia.

— Chciałam sprawdzić, czy nie mogę czegoś dla niej zrobić. — Lufa rewolweru znalazła się na wysokości jej twarzy. — Przyszłam tylko po to, żeby coś powiedzieć pańskiej matce. O pańskim ojcu. Drzwi były otwarte. A potem znalazłam ją w kuchni.

Lufa nawet nie drgnęła. Odnosiła wrażenie, że broń jakoś dziwnie do niego nie pasuje, choć trzymał ją pewnym, fachowym chwytem. I na pewno nie brakowało mu siły fizycznej. Był wysoki, na jego rękach widać było wyrobione i naprężone teraz mięśnie. Brak mu jednak było spojrzenia rewolwerowca. W oczach miał ciekawość, jak ktoś, kto częściej wertykuje książki, niż mierzy do celu. Miał wydatne nos i usta jakby stworzone do gadania czy wręcz węszenia. Wyczuwała w nim kogoś, kto zdecydowanie woli mówić, niż strzelać. A może nawet nie tyle mówić, ile słuchać.

— Proszę... — zaczęła w nadziei, że właściwie go oceniła. — Przyszłam tu, żeby pomóc. Gdybym przyszła w złych zamiarach, sądzi pan, że stałabym tak beczynnienie? Czy nie miałabym maski, żeby nie pokazywać twarzy? Czy nie miałabym broni? Czy nie zabiłabym pana od razu, bez wahania?

Lufa drgnęła lekko, dłoń trzymająca rewolwer poruszyła się.

— Przysięgam, że zrobił to ktoś inny. Nie ja.

Powoli, jak poruszający się po tarczy sekundnik, ręka mężczyzny zatoczyła łuk i opadła. Lufa zawisła skierowana wylotem w dół, daleko od niej. Ale dopiero gdy jego opuszczona wzdłuż ciała ręka ponownie zamarła w bezruchu, po długiej, trwającej chyba minutę chwili odważyła się poruszyć.

Powoli ruszyła w jego stronę, ani przez chwilę nie odrywając od niego wzroku. A potem — ku zaskoczeniu obojga — rozłożyła ręce, chwyciła go za ramiona i przyciągnęła do siebie tak, że sztywny i spięty znalazł się w jej objęciach. Trzymała go tak przez długą chwilę, potem następną i następną, czując, jak jej walące serce powoli się uspokaja. On przez cały czas stał sztywny, niczym marmurowa posąg.

W końcu namówiła go, by usiedli. Próbowwała mu tłumaczyć, że przeżył straszny wstrząs i że musi dać sobie czas na oswojenie się z tym, co się stało, i na powrót do racjonalnego myślenia. Wiedziała, że jej nie słucha, ale miała nadzieję, że podobnie jak wielu innych przybitych mężczyzn przynajmniej poddaje się łagodzącemu tonowi jej głosu. Chętnie podała mu filiżankę słodkiej herbaty czy szklankę wody, ale wiedziała, że tego nie zrobi, bo musiałaby wejść do kuchni.

Okazało się, że to on zdecydował za nią.

— Chcę ją jeszcze raz zobaczyć — oświadczył.

Nie było go dobre pięć minut, potem usłyszała niemal zwierzęce wycie. Wbiegła do kuchni i zobaczyła, że ciało Rachel Guttman nadal leży na podłodze, a jej syn stoi obok. Jego twarz nie była, jak przedtem, śmiertelnie blada, tylko sinoczerwona.

— Co się stało?

Wyciągnął do niej rękę z pojedynczą kartką papieru. Podeszła bliżej i wzięła kartkę.

אני כל כך מצטערת שאני עושה לכם את זה

Ani kol kacz mitsta 'eret sz'ani osah l'czem et zeh.

Napisany na maszynie tekst po hebrajsku.

— Niestety, obawiam się, że...

— Tu jest napisane: *Tak bardzo mi przykro, że muszę wam to zrobić.*

— Tak.

— Nie „tak”, tylko „nie”!

— Nie rozumiem.

— To kompletna bzdura! — Maggie aż odskoczyła wystra-

szona jego wrzaskiem. — To ma nas przekonać, że matka sama odebrała sobie życie! Ona nigdy, przenigdy by czegoś takiego nie zrobiła! Nigdy!

Maggie wolałaby, żeby już wrócili do pokoju i usiedli. Trudno było przewidzieć, co może mu strzelić do głowy, kiedy stał z trupem matki u stóp. Wciąż jeszcze nie odważyła się spytać, jak ma na imię.

— Całe życie poświęciła opiece nad nami. A od ostatniej soboty za wszelką cenę chciała coś zrobić, podjąć jakieś działanie. Sama byłaś tego świadkiem. Pamiętasz, jak cię chwyciła za rękę? Szukała u ciebie pomocy, chciała dokończyć to, co zaczął ojciec. Wierzyła, że chodzi o coś bardzo ważnego.

— Nazwała to kwestią życia i śmierci. — Przypominając sobie słowa Rachel Guttman i kurczowy uścisk jej palców na swojej ręce, poczuła ukłucie winy. Ta kobieta szukała u niej pomocy, a ona nic w tej sprawie nie zrobiła.

— Właśnie. Więc czy ktoś najpierw błaga o podjęcie jakichś działań, a potem... — wyciągnął rękę w stronę ciała na podłodze, jakby nie mógł na nie spojrzeć — ...robi coś takiego?

— Może się załamała? Straciła nadzieję? Może wpadła w rozpacz, że nikt nie słucha tego, co mówi.

— I siadła do komputera, żeby to napisać i wydrukować? Moja matka, która nie umiała nawet włączyć telewizora? I napisała „wam”? Nie nazwała po imieniu ani mojej siostry, ani mnie, nawet nie napisała „wam obojgu"! Wierz mi, znam moją matkę. Ona tego nie zrobiła.

— To kto?

— Nie wiem, ale ktoś bardzo, bardzo podły... — Głos uwiązł mu w gardle. Stał teraz bardzo blisko, niemal dotykając Maggie. Jego czarna czupryna była jeszcze bardziej zmierzwiona niż wczoraj, jakby w ciągu minionej doby wielokrotnie przeczesał ją palcami. Pamiętała go, jak siedział przygarbiony z głową opartą na rękach, zatopiony w nieszczęściu, które go spotkało. A stało się to, zanim jego matce przydarzyła się ta tragedia.

Zebrał się w sobie.

— Podły, ale jednocześnie bezdennie głupi. **Pomyśl: list** pożegnalny na maszynie!

— Ale dlaczego ktoś chciałby zabić twoją matkę?

— Z tego samego powodu, z którego chciała rozmawiać z tobą. Pamiętasz, jak ci powiedziała, że mój ojciec znał jakąś tajemnicę, która wszystko odmieni? Pamiętasz?

— Pamiętam.

— Więc ktoś doszedł do wniosku, że ona też ją zna. I postanowił ją zabić, zanim zdąży komuś o tym powiedzieć.

— Ale ona twierdziła, że nie wie, o co chodzi. Powiedziała, że twój ojciec nie chciał jej tego powiedzieć. Dla jej bezpieczeństwa.

— Wiem. Ale widać ten, kto to zrobił, nie był tego pewien.

— Rozumiem. — Machinalnie opuściła głowę i spojrzała na podłogę. — Słuchaj, nie sądzisz, że powinniśmy zawiadomić policję, wezwać karetkę?

— Najpierw mi wyjaśnij, po co tu przysłaś.

— Kiedy teraz... teraz zabrzmi to śmiesznie. To **nie** pilnego. W tej chwili masz naprawdę ważniejsze sprawy na głowie.

— Nie wierzę, żeby ktoś pracujący dla rządu amerykańskiego składał wizyty w obcych domach bez istotnej przyczyny. Powiedz mi, po co przyjechałaś do matki, okay?

— Może lepiej będzie, jak sobie pójdę, zostawię cię samego...

Wyciągnął rękę, chwycił ją za nadgarstek w tym samym miejscu co jego matka i szarpnął ku sobie.

— Masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Bo ja, ja...

W normalnych okolicznościach Maggie spoliczkowałaby każdego mężczyznę, który odważyłby się tak ją potraktować. Jednak tym razem wiedziała, że z jego strony nie jest to akt agresji, tylko czystej desperacji. Opanowanie czy wręcz wrażenie wyniosłości, na jakie zwróciła uwagę podczas wczorajszych uroczystości żałobnych, zniknęły bez śladu. Po raz pierwszy dojrzała w oczach zrozpaczonego syna łzy.

— Jeśli możesz mi zaufać do tego stopnia, żeby wyjawić swoje imię, powiem ci wszystko, co wiem.

— Na imię mam Uri.

— Okay, Uri. Ja jestem Maggie. Maggie Costello. Usiądźmy i porozmawiajmy.

Spokojnie napełniła szklanę wodą i podała mu, potem wyprowadziła go z kuchni i usadowiła w fotelu. Czowała, jak całe jej ciało aż dygoce od niedawnego zastrzyku adrenaliny.

— Uważasz, że to, co się tu dziś stało, ma jakiś związek z sekretem twojego ojca?

Uri Guttman pokiwał głową.

— I myślisz, że ojca zabito celowo z uwagi na ten sekret?

— Tego nie wiem. Niektórzy tak uważają. Nie wiem, ale coś ci powiem: dowiem się, kto to zrobił mojej rodzinie. Odnajdę go i dopilnuję, żeby słono za to zapłacił.

Powinna mu powiedzieć, że przyczyną śmierci matki niemal na pewno stał się jej straszny, obezwładniający żal po stracie męża. Jej mąż zginął przypadkowo, a ona odebrała sobie życie. I tyle. Powinna, ale nie zrobiła tego, bo nie była pewna, czy sama w to wierzy.

Zamiast tego opowiedziała mu o swoim odkryciu. Że Ahmed Nour, zamordowany rano palestyński archeolog, był tajnym współpracownikiem jego ojca.

W pierwszym odruchu zachnął się i gwałtownie zaprzeczył. Oparł się plecami o fotel, na jego twarzy pojawił się pełen zawziętości i goryczy uśmiezek. To absolutnie niemożliwe, powtórzył parokrotnie. Anagram? To absurd. Jednak gdy Maggie przypomniała mu, że Nour i jego ojciec specjalizowali się w archeologii biblijnej, oraz wspomniła o niezwykle i wciąż pojawiającym się ceramicznym wzorze, Uri zamilkł. Widać było, że żadna rewelacja na temat ojca bardziej by go nie zaskoczyła. Wieloletnia kochanka, nastoletnia miłość, trzymana w tajemnicy druga rodzina — wszystko to zrobiłoby na nim mniejsze wrażenie niż stwierdzenie, że ojciec na co dzień potajemnie współpracował z Palestyńczykiem.

— I jeśli rzeczywiście tak było, może to oznaczać, że coś jest na rzeczy. Czymkolwiek był ten sekret ojca, jedno wydaje się pewne: na wszystkich, którzy go znają, sprowadza nieszczęście.

- Moja matka go nie znała.
- Ale ten, kto to zrobił, mógł o tym nie wiedzieć. Albo nie chciał ryzykować.
- Uważasz, że ci, którzy zabili tego Palestyńczyka, zabili też moją matkę?
- Tego nie wiem.
- Bo jeśli tak było, to wiem, kto będzie następny.
- Kto?
- Ja.

Rozdział 17

Bagdad, kwiecień 2003

Mahmud żałował, że się na to zdecydował. Powinienem już dać sobie z tym spokój, pomyślał, podskakując i gwałtownie opadając na twarde plastikowe siedzenie na kolejnej wyrwie w nawierzchni drogi. Teraz powinien być już tylko panem biznesmenem z własnymi kurierami, a tymczasem trzęsie się tu jak pierwszy lepszy posłaniec. Miał już za sobą dziesięć godzin jazdy starym rozklekotanym autobusem, nazywanym złośliwie Rakietą Pustyni. Kolejne pięć było jeszcze przed nim.

W ciągu kilku ostatnich tygodni zmienił zasady prowadzenia biznesu. Przesiadywał teraz w kawiarni przy ulicy Mutannabi i czekał, aż towar sam go znajdzie i — Allanowi niech będą dzięki — rzeczywiście znajdował. Potem przekazywał go dalej za pośrednictwem jednego z niezliczonych kurierów, którzy z chwilą obalenia Saddama wypęzli skądś jak szczury z kanału. Mahmuda wciąż nie przestawała zdumiewać rosnąca z dnia na dzień liczba nastoletnich przedsiębiorców, którzy pojawiali się znikąd. Nikt tego nie zaplanował i wcześniej nawet o tym nie rozmawiano. Nikt ich tego nie uczył, bo nikomu nie przyszło do głowy, że gdy odejdzie „wiadomo kto”, powstaną takie możliwości. A jednak z zakazanych uliczek i zawieszonych zaułków Bagdadu wysypywały się ich całe hordy.

Handel odbywał się szybko głównie dzięki telefonom komórkowym, które stanowiły teraz łatwo dostępny i preferowany

środek łączności. Mahmud dzwonił na przykład do Tarika, o którym wiedział, że tego wieczoru wysyła kogoś do Jordanii, i informował, że ma towar do zabrania. Potem wręczał zakupione precjoza jednemu z posłańców, który ruszał w miasto i dostarczał je Tarikowi. Tarik przekazywał je kurierowi, który wsiadał do Rakiety Pustyni i wiół wszystko do Ammanu. Tam zgłaszał się do Naasriego lub konkurującego z nim innego wielkiego hurtownika, ten ustalał ceny i kurier wracał do Iraku z gotówką w kieszeni. Dzięki łączności telefonicznej kurierzy nie próbowali żadnych sztuczek, bo wiedzieli, że wzdłuż Tygrysu nie brakuje zakamarków, które w razie czego pomieszczą ich ciała.

Od pewnego czasu Mahmud tak właśnie prowadził swoje interesy i całkiem nieźle na tym wychodził. Od obalenia pomnika obroty wyraźnie wzrosły, on sam był jednak zaangażowany w działalność handlową od dawna. Nie mówiło się o tym nawet szeptem, a właściwie nie mówiło wcale, ale pewna — nazwijmy to — aktywność w handlu antykami trwała już od czasu pierwszej wojny w Zatoce w 1991 roku. Wcześniej szaber nie istniał, ale amerykańskie bomby rozluźniły obowiązujące zasady. Nawet Saddam nie mógł dopilnować wszystkiego, gdy z nieba leciały pociski Cruise, choć i one nie przeszkodziły w surowym karaniu winnych kradzieży. Mahmud, tak jak wszyscy inni „dealerzy” w Iraku, wciąż miał w pamięci to, co spotkało jedenastu szabrowników, którzy odpiłowali łeb wspaniałemu posągowi mezo-potamskiego skrzydlatego byka (cały posąg był zbyt ciężki, by można go było ruszyć z miejsca). Saddam dopilnował wtedy, żeby cały kraj wiedział, iż osobiście podpisał wyrok śmierci na złodziei. Co więcej, z typową dla siebie perfidią zarządził, że złodziei należy potraktować tak samo, jak oni potraktowali wielkiego zwierzaka z brązu. W rezultacie kat piłą elektryczną odźynał jedną po drugiej głowy wszystkim skazanym, a czekający na swoją kolej musieli przyglądać się egzekucji poprzedników. Oznaczało to, że jedenasty skazaniec musiał przed śmiercią aż dziesięciokrotne obejrzeć czekającą go karę.

Mimo tak krwawych represji pewne cenne przedmioty wciąż

ginęły. Mahmud nigdy nie widział tego na własne oczy, ale słyszał, że na przykład wycięto fragment płaskorzeźby ze starożytnego pałacu Nemroda. Zdaniem Mahmuda nieprzypadkowe było to, że ów fragment przedstawiał niewolników zakutych w łańcuchy. Wyobrażał sobie, jakie wrażenie zrobiła ta rzeźba na Zachodzie jako kontrabanda ze zniewolonego Iraku. Zupełnie jakby była wołaniem o pomoc.

Szlak jak dawniej prowadził przez Jordanię i tak jak dawniej interesem zawiadywała rodzina Naasrich. Nigdy jednak handel skarbami starożytności nie był tak ożywiony jak teraz. Szmuglowano ozdoby i ceramikę pochodzące ze wszystkich okresów historii ludzkości — epok świetności Asyryjczyków i Babilończyków, Sumerów, Persów i Greków. Największym wzięciem cieszyły się niewielkie starożytne przedmioty, mówiono jednak, że kurierom Tarika udało się przewieźć do Ammanu cały posąg, który po prostu wsadzili do luku bagażowego Rakiety Pustyni. Podobno wręczyli kierowcy parę dolarów i wyjaśnili, że to tylko zwłoki. Tak pokrętna moralność obowiązywała w Bagdadzie wiosną 2003 roku.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Mahmud wysłał do Ammanu prawie tuzin kurierów, z których każdy przebył ten sam szlak, jakim sam jeździł w początkach swej kariery. Teraz czuł jednak, że w końcu nadszedł czas, by udać się tam osobiście. Powinien spotkać się z Naasrim twarzą w twarz. W sytuacji, gdy obroty wciąż rosły i w rachubę wchodziły coraz większe kwoty, można było podejrzewać, że powstaje pokusa do naginania ustalonych zasad. Mahmud nie miał zamiaru wychodzić na frajera i chciał się upewnić, że Naasri gra z nim czysto.

Z tego powodu wsadził do torby podróźnej kilka najnowszych zdobyczy — wśród nich dwie starożytne pieczęcie, glinianą tabliczkę kupioną od nerwowego gościa w kawiarni i jego największą dumę: parę kolczyków z płatków złota, które jego zdaniem — choć mógł się oczywiście mylić — pochodziły sprzed czterech i pół tysiąca lat. Nie miał ochoty powierzać czegoś tak cennego przyszczatemu czternastolatкови z miasta

Saddama. Kolczyki przeważały szalę i ostatecznie skłoniły go do spędzenia piętnastu godzin w śmierdzącym, rozklekotanym wraku, jakim była Rakieta Pustyni.

Ostatnie parę godzin podróży przedrzemał, ale obudził się natychmiast, gdy tylko autobus stanął. Przez całą podróż trzymał torbę na kolanach, a jej uchwyty owinął sobie wokół nadgarstków, tak by złodziejaskom w autobusie nie strzeliły do głowy jakieś głupie pomysły. Nim otworzył oczy, od razu obmacał torbę i uniósł ją, sprawdzając zawartość i wagę. O kolczyki był spokojny, bo schował je tak, że były absolutnie bezpieczne.

Gdy wysiadał z autobusu, była już północ. Dopiero wyszedłszy na wolne powietrze, zdał sobie sprawę z tego, jaki smród panował w środku. Jego fale towarzyszyły teraz wysiadającym brudnym i wyczerpanym podróżą pasażerom. Wciągnął w płuca nocne powietrze Ammanu, czując podniecenie samym faktem, że nie jest w Bagdadzie. Podczas ostatniej wizyty niemal w euforię wprowadziło go to, że może płacić banknotami, na których nie ma portretów Saddama, i oglądać pomniki, które nie przedstawiają jego postaci. Tu też nie było prawdziwie wolnych wyborów, ale przynajmniej Jordańczycy nie kompromitowali się oddawaniem blisko stu procent głosów na swego tyrana.

Czekał na niego jeden z posłańców Naasriego. Stał oparty o ogrodzenie, wyraźnie znudzony i naburmuszony. Nie odezwał się i nie zaproponował, że poniesie torbę Mahmuda — na co ten i tak by się nie zgodził — tylko w milczeniu ruszył ulicą Króla Husajna. Po chwili przeszli obok drogowskazu do rzymskiego amfiteatru, co znaczyło, że suk* jest już blisko. Po znalezieniu się na wąskich, wybrukowanych kocimi łbami uliczkach chłopak przyspieszył kroku i, by za nim nadążyć, Mahmud musiał chwilami podbiegać. To jakaś psychologiczna zagrywka, pomyślał.

Z uwagi na późną porę większość straganów była już zamknięta, a ich stalowe żaluzje opuszczone. Chłopak przemykał

* Suk — arabskie targowisko.

między nimi, skręcając to w lewo, to w prawo, i Mahmud wiedział, że nigdy nie potrafiłby odtworzyć tej drogi sam. Sięgnął pod marynarkę i pomacał ukryty pod pachą sztylet w skórzanej pochwie.

Do nozdrzy Mahmuda dotarła wreszcie nowa woń: zapach świeżych chlebków pita. Gdzieś w pobliżu musiała być nocna piekarnia. Po chwili zza rzędów ciemnych, opustoszałych straganów wyłonił się rzęsiście oświetlony narożnik, który obsiadła grupka mężczyzn popijających kawę z maleńkich filiżanek i herbatę miętową ze szklanek. Z przenośnego radia rozbrzmiewała arabska muzyka. Mahmud od razu poczuł się swojsko i odetchnął z ulgą. Jego przewodnik wszedł do środka, więc poszedł za nim. Chłopak podszedł do stołu, przy którym siedział samotny mężczyzna, kiwnął głową i natychmiast się ulotnił. Od pierwszej do ostatniej chwili nie wypowiedział ani jednego słowa.

Mahmud nie rozpoznawał człowieka za stołem. Był zresztą o wiele za młody, młodszy nawet od Mahmuda

— Przepraszam, chyba zaszła jakaś pomyłka — powiedział.
— Ja do pana Naasriego.

— Mahmud?

— Tak.

— Jestem Nawaf Naasri. Syn mojego ojca. Chodźmy.

Wyprowadził Mahmuda z lokalu i poprowadził następną alejką wśród straganów. Mógłby mnie tu teraz zadźgać, pomyślał Mahmud. Zabrać mi wszystko i nikt by się o tym nawet nie dowiedział.

Jednak Nawaf zapukał lekko w jedną z żaluzji, która po krótkiej chwili zaczęła sunąć w górę poruszana jakimś elektrycznym mechanizmem. Wewnątrz rozbłyły świetlówki i oczom Mahmuda ukazał się typowy sklepik z pamiątkami dla turystów: duże okna wystawowe i pięćdziesiąt siedem odmian pamiątkowych śmieci.

— Zapraszam, zapraszam. Herbaty?

Mahmud skinął głową i rozejrzał się po wystawionym towarze. Tarcze zegarowe na wypolerowanych do połysku kawałkach

drewna, słoiki z kolorowym piaskiem i butelki z etykietami: *Autentyczna woda z rzeki Jordan*. Samo barachło nastawione głównie na chrześcijańskich pielgrzymów. Niewątpliwie tego typu śmieci też kiedyś trafią do sklepów w Bagdadzie, pomyślał. I też będą kłuć w oczy etykietami w rodzaju: *Autentyczne z Ogrodów Babilonu*, a irackie sklepiki z tandetą zaczną odgrywać taką samą rolę jak tutejsze — będą stanowić przykrywkę dla nielegalnego handlu antykami.

— Mahmud! Jak miło!

Odwrócił się i ujrzał szeroko uśmiechniętą twarz Naasriego seniora. Uczulone na tekstylia oko Mahmuda dostrzegło, że Jordańczyk ubrany jest w dobrze skrojony, szyty na miarę garnitur. Natychmiast poczuł się nieswojo w swojej czarnej skórzanej marynarce wygniecionej po maratonie w autobusie i miejscami przetartej niemal na wylot. Zresztą nie chodziło tylko o garnitur. Od Naasriego bił blask, który niesie ze sobą bogactwo. Rzeka skarbów z Bagdadu zaczęła płynąć zaledwie kilka tygodni temu, a już zdążyła odmienić Jaafara Naasriego. Może magia dużych pieniędzy powoduje, że zmiany następują szybciej. Tak czy inaczej, Mahmud miał zamiar przekonać się o tym osobiście.

— A więc, przyjacielu, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

— Pomyślałem, że dobrze byłoby się spotkać przy filiżance kawy i kawałku ciasta. Pogadać o starych czasach...

Naasri odwrócił głowę do syna, który był czymś zajęty w głębi sklepu.

— Zapomniałem, że nasz przyjaciel z Bagdadu lubi sobie pozartować! — Zwrócił wciąż uśmiechniętą twarz ku Mah-mudowi. — Mahmud, pozwól, że przejdziemy od razu do rzeczy. Jest późno, a ja mam jeszcze bardzo dużo zajęć...

— Oczywiście. — Mahmud spróbował uśmiechnąć się równie przyjaźnie. Chciał się uczyć od tego bogacza, naśladować go. Sięgnął do torby i wyciągnął pierwszą z dwóch pieczęci, które nastoletni kuzyn dostarczył mu w ciągu pierwszych paru godzin od chwili, którą lubił nazywać w myślach „wielkim otwarciem

muzeum". Potem trafiły do niego kolejne, ale już popękane i uszkodzone. Żadna nie była w tak dobrym stanie jak dwie pierwsze.

Naasri wziął pieczęć i zważył w rękach, sprawdzając jej masę. Potem sięgnął do kieszonki marynarki i wyjął okulary z połówkami soczewek do czytania.

— Prawdziwa. Możesz mi wierzyć. Mahmud nie objąłby sobie tyłka przez piętnaście godzin w autobusie dla jakiejś podroby...

Naasri obrzucił go chłodnym spojrzeniem znad okularów. Wyraz jego oczu mówił wyraźnie: cicho bądź, muszę się skupić.

— Dobra — powiedział w końcu. — Co jeszcze?

Mahmud wyciągnął drugą pieczęć, większą i bardziej zdobną. Z góry obmyślił sobie kolejność prezentowania fantów, tak by zakończyć czymś, co jego zdaniem stanowić będzie clou programu.

Naasri poddał drugą pieczęć równie skrupulatnym oględzinom, potem odłożył ją na stół i wlepił uważne spojrzenie w Mahmuda.

— Dobrze się spisałeś, przyjacielu. Jestem pełen uznania. Czy nie mylę się, sądząc, że najlepsze dopiero nastąpi?

Znów błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

— Nie mylisz się, przyjacielu. Rzeczywiście się nie mylisz. — Mahmud położył torbę na kolanach i wsadziwszy w nią obie ręce, wyciągnął glinianą tabliczkę kupioną kilka dni wcześniej w kawiarni.

Naasri wziął tabliczkę z rąk Mahmuda. Jedną ręką przytrzymał etui, drugą wyciągnął z niego zawartość. Potem odwrócił głowę i zawołał przez ramię:

— Podaj mi lupę!

Nawaf przyniósł mu jubilerską lupę, którą Naasri wprawnie umieścił w lewym oku. Następnie pochylił głowę nad tabliczką i zaczął ją uważnie oglądać. Z jego ust dobyło się ciche mruczenie, nie powiedział jednak ani słowa.

— I co o tym sądzisz? — Mahmud nie mógł się opanować.

Naasri uniósł głowę. W jego oku wciąż tkwiła lupa, przez co sprawiało ono wrażenie groteskowo wielkiego.

— Myślę, że zasłużyłeś sobie na obejrzenie kolekcji Naasriego — wypuścił lupę z oka i zręcznie ją chwycił.

Nawaf bez słowa przystąpił do otwierania drzwi za ladą. Muszą prowadzić do sklepowego magazynku, pomyślał Mahmud. Wszyscy wielcy dealerzy robią tak samo: w sklepie wystawiają bezwartościowe świecidełka, a prawdziwe skarby trzymają na zapleczu. Pospieszenie zapakował swoje łupy do torby i podniósł się z miejsca.

Przeszli gęsiego przez magazynek wypełniony kartonowymi pudłami, wśród których stały też dwie olbrzymie role ochronnej folii opakowaniowej. Mahmud pomyślał, że zapewne w nich kryją się skarby gospodarza, ale obaj panowie Naasri minęli je obojętnie, nawet nie zapalając światła. Idąc pomiędzy Naasrim seniorem na przodzie i Naasrim juniorem zamykającym pochód, dotarli do kolejnych drzwi. Te wyglądały dużo masywniej, miały też więcej zamków. Naasri potrzebował aż trzech kluczy, żeby je otworzyć.

Ku zdumieniu Mahmuda okazało się, że drzwi wychodzą na zewnątrz. Jego twarz owionął podmuch chłodnego nocnego powietrza. Zeszli z dwóch schodków i znaleźli się na sporym podwórzu.

— Nawaf, wzięłeś szpadel?

Mahmud spojrzął przez ramię i zobaczył, że młodzieniec trzyma w rękach solidnie wyglądający szpadel. Niemał odruchowo wyszarpnął wolną ręką sztylet i skierował go w stronę Nawafa.

— Och, kochany, nie żartuj sobie! — parsknął Jaafar Naasri. Spojrzął na wystraszoną minę Mahmuda i wybuchnął głośnym śmiechem. — Przecież Nawaf nie ma zamiaru cię uderzyć. Szpadel jest mu potrzebny do zaprezentowania naszej kolekcji.

Mahmudowi wirowało w głowie. Piekącymi z niewyspania i napięcia oczami ostrożnie rozejrzał się wokół. Zupełnie puste podwórze pokryte było brązową, piaszczystą ziemią, która nadawała mu wygląd przydomowego ogródka warzywnego. Nawaf,

który jakby nie zauważył skierowanego ku sobie sztyletu, wyszedł na środek i spokojnie zaczął kopać.

— Co jest grane?

— Poczekaj, to zobaczysz.

Przez chwilę Naasri i Mahmud w milczeniu przyglądali się kopiącemu Nawafowi, który robił to spokojnym, równym rytmem. Mahmud zauważył grające mu pod skórą mięśnie.

W otworze zaczynał powoli ukazywać się podłużny kształt. Nawaf zwiększył nieco tempo, potem odłożył szpadel, przykucnął i zaczął odgarniać ziemię gołymi rękami. W świetle księżyca Mahmud mógł już rozpoznać, że zakopany posąg to jakieś zwierzę. Nawaf przywołał ich ruchem ręki.

Z bliska Mahmud nie miał już żadnych wątpliwości. Wykopany posąg przedstawiał kozła stojącego na tylnych nogach, który oparty przednimi o cienki pień drzewa zanurzał rogi w jego ukwieconych gałązkach. Nawaf oczyścił go z resztek ziemi i w poświacie księżycowej Mahmud zobaczył, że posąg wykonano z delikatnych kawałków miedzi, srebra i złota.

Aż się zachłysnął.

Naasri senior uśmiechnął się.

— Widzę, że go poznajesz, co? Pewnie widziałeś go w gazetach. — Mahmud skinął głową, nie mogąc wydać z siebie głosu. — To *Kozioł w gąszczu* wydobyty z Wielkich Katakumb w Ur. — Naasri wyraźnie napawał się tą chwilą. — Gdy byłeś dzieckiem, zapewne widziałeś go w Muzeum Narodowym podczas szkolnej wycieczki. W każdym razie ja tak. Był jedną z głównych atrakcji.

— I teraz jest u ciebie?

— Czyżbyś nie wierzył własnym oczom?

— Pokazujesz mi go po to, żeby udowodnić, że to, co przywiozłem, jest bezwartościowe, tak? Chcesz tym porównaniem upokorzyć Mahmuda!

— Ależ skąd, przyjacielu. Niepotrzebnie się denerwujesz. Pokazuję ci go po to, żebyś wiedział, jakie skarby będą ci odtąd towarzyszyć.

Mahmud uśmiechnął się z ulgą.

— Naprawdę? Uważasz, że to, co przywiozłem, zasługuje, żeby się tu znaleźć? — Z satysfakcją pomyślał, że oto stał się wreszcie partnerem tego wielkiego człowieka i może niczym równy z równym rozmawiać z tym geniuszem handlu.

— Nie tylko to, co przywiozłeś, Mahmud. Mam zamiar schować tu także i ciebie — powiedział, dając niemal niedostrzegalny sygnał synowi. Mahmud sięgnął po sztylet, ale było już za późno: ostrze szpadla trafiło go w głowę i powaliło na ziemię. Od razu wyzionął ducha, ale na wszelki wypadek Nawaf walnął go jeszcze dwukrotnie w głowę.

— Nasze prywatne wielkie katakumby — mruknął pod nosem Jaafar Naasri bardziej do siebie niż do syna. — Rozbierz go i zakop — polecił. — Od razu.

Podniósł z ziemi torbę, upewnił się, że są w niej obie pieczęcie oraz gliniana tabliczka, i zawrócił do środka. Właśnie otwierał drugi z trzech zamków w drzwiach, gdy do jego uszu dotarł głośny śmiech syna. Odwrócił się i zobaczył, że Nawaf stoi nad nagimi zwłokami Mahmuda i trzęsie się ze śmiechu.

Zawrócił i podszedł do syna. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego zabawnego. Dopiero Nawaf wskazał mu ręką tors trupa. W świetle księżyca lśniły dwa złote kolczyki wpięte w sutki denata. Mahmud był niezwykle dumny z tego pomysłu: obnażenie się i pokazanie kolczyków miało stanowić wielki finał. I nie pomylił się.

Rozdział 18

Jerozolima, środa, godz. 9.45

Spotkała się z Urim w Restobar Cafe, choć — gdy się z nią umawiał — nie użył tej nazwy. Wiadomość zostawiona na poczcie głosowej brzmiała: „Spotkajmy się w kawiarni, która była chwilą”. Nie miała pojęcia, co to może znaczyć. Jakiś filozoficzny rebus? Kawiarnia, która była chwilą?

Jednak portiera hotelowego jej pytanie zupełnie nie zaskoczyło. Bez wahania poinstruował ją, że ma „wyjść z hotelu, pójść w górę i skręcić w drugą...”.

— Ale co to znaczy?

— Kiedyś nazywała się Cafe Chwila. Parę lat temu była celem samobójczego zamachu bombowego. Wtedy zmienili jej nazwę.

— Tylko że nikt nie pamięta nowej nazwy i wszyscy nazywają ją kawiarnią, która była chwilą, tak?

— Właśnie — uśmiechnął się portier.

Uri już na nią czekał. Siedział przy stoliku w kącie z głową zwieszoną nad filiżanką czarnej kawy. Wyglądało, że nawet jej nie tknął. Był nieogolony i miał wygląd człowieka, który od dawna nie zmrużył oka.

Maggie usiadła naprzeciw i czekała, aż na nią spojrzy, ale w końcu poddała się i odezwała się pierwsza.

— To kiedy pogrzeb?

— Nie wiem. Miał być dzisiaj, ale policja nie wydała jeszcze ciała. Sekcja zwłok. Może potrwać do piątku.

— Rozumiem.

— Choć sami mówią, że nie mają czego badać.

— Co to znaczy?

— To znaczy... — Uniósł głowę i po raz pierwszy ich spojrzenia się spotkały. Choć jego czarne oczy były zapadnięte i mocno zaczerwienione, Maggie ze wstydem musiała przyznać, że nawet w tym stanie wydawał się jej bardzo przystojny. Z trudem oderwała od niego wzrok. — To znaczy, że upierają się przy wersji samobójstwa.

— Powiedziałaś im, jakie jest twoje zdanie na ten temat?

— W kółko powtarzałem, że nie mam cienia wątpliwości, że matka nie odebrała sobie życia. Ale oni się zaparli, że te tabletki były jej i że nie było śladów włamania.

— No tak...

— Ale to nic nie znaczy. Przez cały czas drzwi były otwarte. Od chwili, gdy ojciec... — Głos mu się załamał, opuścił głowę i zapatrzył się w stojącą przed nim kawę.

— Ale ty jesteś pewien, że... że tego nie zrobiła — nie potrafiła zdobyć się na to, by, patrząc mu w twarz, powiedzieć „zabiła się”, a tym bardziej „została zamordowana”.

— Nie mam cienia wątpliwości. Nie moja matka. — Znów na nią spojrzał. — Już prędzej ojciec. Tego rodzaju dramatyczne gesty były w jego stylu. Bohaterski wyczyn, żeby zwrócić na siebie uwagę...

— Uri...

— To wszystko jego wina.

— Chyba nie mówisz tego poważnie.

— Właśnie, że tak. Całe życie cierpieliśmy z powodu jego wariackich przekonań. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, on wciąż bywał aresztowany, pokazywany w telewizji albo też sam na kogoś wrzeszczał. Wiesz, co to znaczy dla dziecka?

Maggie pomyślała o swoich rodzicach. Jedyną sytuacją, w przypadku której można by powiedzieć, że się w jakiejś sprawie postawili, była rezygnacja ojca z funkcji członka zarządu Dun Laoghaire Bowls Club w wyniku jego kłótni ze skarbnikiem

klubu. Poszło o płatność za kruche ciasteczka podawane do popołudniowej herbaty.

— Ale miał zasady. To chyba budzi szacunek, prawda?

Spojrzał na nią ze złością.

— Nie budzi, jeśli zasady są niesłuszne. Takie zasady nie zasługują na szacunek.

— Niesłuszne?

— To jego modlenie się do ziemi. Każdy skrawek musi być nasz, nasz, nasz. To jakaś choroba! Bałwochwalcze uwielbienie czy coś w tym rodzaju. I spójrz, dokąd go to doprowadziło. Sam nie żyje i jeszcze zabrał ze sobą moją matkę!...

— Czy ojciec wiedział, co o nim myślisz?

— Bez przerwy się kłóciliśmy. Zawsze mi wytykał, że tylko dlatego uciekłem do Nowego Jorku. Nie dlatego, że mogło mi to pomóc w karierze, że mogłem robić takie filmy, jakie...

— Kręcisz filmy?

— Tak, głównie dokumentalne.

— Mów dalej.

— Ojciec mi nie wierzył, że pojechałem do Nowego Jorku robić filmy. Twierdził, że uciekłem, bo nie mogę się zdobyć na poniesienie porażki w dyskusji, a tym samym uznać jego rację.

— W dyskusji o czym?

— O wszystkim. O głosowaniu na partię lewicowe, o poświęceniu się sztuce. „Żyjesz, jak dekadenski lump z Tel Awiwu!”. To był jego koronny zarzut. Tel Awiw, czyli coś najgorszego.

Maggie na chwilę spuściła wzrok, potem znów na niego spojrzała.

— Uri, posłuchaj. Wiem, że jest ci bardzo ciężko. I wiem, że jest mnóstwo spraw, o których powinniśmy porozmawiać. Ale przede wszystkim musimy się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Dlaczego miałybyś się do tego mieszać?

— Dlatego, że mój rząd nie chce, żeby z powodu tych zabójstw diabli wzięli cały cholerny proces pokojowy na Bliskim Wschodzie.

— Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że gdyby szlag trafił to, co nazywasz „procesem pokojowym”, mój ojciec byłby najszczęśliwszy pod słońcem. On to nazywał „procesem wojennym”.

— Tak, ale na pewno nie byłby szczęśliwy z powodu śmierci żony, a być może także swojego syna. Bez względu na to, jak bardzo się ze sobą nie zgadzaliście.

— Myślisz, że coś mi grozi? I tym się przejmujesz?

— Niespecjalnie. Ale ty powinienes.

— Nie obchodzi mnie, czy moje życie jest w niebezpieczeństwie. Jest mi to obojętne. Ale zależy mi na znalezieniu tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało.

Odetchnęła.

— To dobrze. Zacznijmy więc od tego, że powiesz mi wszystko, co wiesz.

• • •

Po raz drugi w ciągu dwóch dni znalazła się na Zachodnim Brzegu, choć tym razem jej kierowca nazywał te tereny Judea i Samarią — pomimo iż w jego głosie słyhać było wyraźny cudzysłów. Uri Guttman zwracał jej również uwagę na krajobraz za oknem. Tym razem nie chodziło jednak o pomniki martyrologii Palestyńczyków, tylko miejsca wymienione w Starym Testamencie.

— Ta droga prowadzi do Hebronu, gdzie pochowano trzech patriarchów: Abrahama, Izaaka i Jakuba. I matriarchinie też: Sarę, żonę Abrahama, Rebekę, żonę Izaaka, i Leę, pierwszą żonę Jakuba.

— Uri, znam Biblię.

— Ale jesteś chrześcijanką, prawda? Katoliczką — wypowiedział to słowo, dzieląc je na sylaby: ka-to-licz-ką.

— Urodziłam się i zostałam wychowana w wierze katolickiej, to prawda.

— I co, nie jesteś już katoliczką? Myślałem, że to tak jak z żydami. Jak ktoś rodzi się żydem, to zostaje nim na zawsze.

— Mniej więcej — powiedziała, przecierając zaparowane z jej strony szyby.

— Jest tu też mnóstwo świętych miejsc dla chrześcijan. Pamiętaj, że to Ziemia Święta.

— „Której nigdy nie oddamy”.

— Cytujesz mojego ojca?

— Nie tylko jego.

Zamilkli tylko raz, gdy Uri włączył radio, by wysłuchać wiadomości. Ostatnie doniesienia brzmiały wyjątkowo ponuro: Hezbollah rozpoczął ostrzał raketowy z terytorium Libanu, zrywając w ten sposób własne obowiązujące od dawna zawieszenie broni. Ludność cywilna na północy Izraela ukrywała się w schronach przeciwbombowych i nawet zwolennicy Jaakowa Jariwa wzywali go do podjęcia odwetu. Jeśli chce doprowadzić do zawarcia pokoju, wykrzykiwali, to niech najpierw udowodni, że nie jest mięczakiem. Rano Maggie rozmawiała o tym telefonicznie z Davisem. Wiadomo było, że Hezbollah nie robi nic bez poparcia Iranu, jeśli zatem się uaktywnili, to dlatego, że Teheran spodziewał się wybuchu wojny w tym regionie. I to wkrótce.

Objechali wokół Ramallah i wjechali do Psagot, żydowskiej osady na zboczach wzgórz, u którego stóp leżało to palestyńskie miasto. Maggie uderzyła niemal średniowieczna prostota systemu obronnego z fortecami na szczytach wzgórz, w których mogliby czatować łucznicy gotowi wypuścić grad strzał na zbliżającego się wroga. Przypominało to widoki z Francji i Anglii czy nawet Irlandii. Wprawdzie starych zamczysk już tam teraz nie było — lub też zostały z nich tylko ruiny — ale kilka stuleci wstecz krajobraz europejski wyglądałby bardzo podobnie: jedno wielkie pole bitwy, na którym każde wzniesienie jest siejącą grozę i wartą zdobycia twierdzą.

Droga była kręta i stroma, w końcu dotarli jednak do szlabanu. Uri zwolnił, by dać strażnikowi czas na wyjście z budki i podjęcie decyzji, czy zbliżający się samochód jest izraelski i ma prawo wjazdu. Strażnik był w średnim wieku, dość otyły i ubrany w źle dopasowane dzinsy. Pod zieloną wojskową kurtką miał zwyczaj-

ny T-shirt. Z ramienia zwisał mu karabin M-16 z kolbą owiniętą czarną taśmą izolacyjną. Przyglądając mu się, Maggie nie bardzo umiała się zdecydować, czy jego „cywilny” wygląd dodaje mu, czy też ujmuje służbowej powagi.

Wysiadła z samochodu i rozejrzała się. Z zewnątrz żydowskie osady istotnie przypominały amerykańskie przedmieścia, które ktoś żywcem przeniósł łącznie z ich czerwonymi dachami i zielonymi trawnikami i rozmieścił w zakurzonej Arabii. Na końcu jednej z uliczek grupka dziewcząt grała w koszykówkę. Wszystkie miały na sobie długie sztruksowe spódnice zakrywające im nogi do kostek.

Spojrzała w dół zbocza ciekawa, jak z tej perspektywy wygląda Ramallah, ale niczego nie było widać. Dopiero wtedy zauważyła, że całe zbocze przedzielone jest wysokim betonowym murem, który zasłania widok na leżące w dole miasto.

Uri podchwycił jej spojrzenie.

— Okropnie to wygląda, co?

— Trudno zaprzeczyć.

— Postawili go parę lat temu, żeby powstrzymać snajperski ostrzał z Ramallah. Przedtem codziennie do nich strzelano.

— I co, pomogło?

— Spytaj tych dziewcząt, które mogą teraz spokojnie pograć w kosza.

Dopiero gdy uważniej przyjrzała się domkom, doszła do wniosku, że gdyby istotnie było to amerykańskie przedmieście, musiałyby zaliczyć je do biedniejszych. Domy były dość prymitywne, a budynek miejscowej administracji, który był celem ich podróży, wyglądał na zaniedbany. Całe to miejsce sprawiało wrażenie mocno wyludnionego. Czekał na pojawienie się recepcjonistki, Uri wyjaśnił, że mieszkańcy osiedla albo demonstrują w Jerozolimie, albo stoją w ludzkim łańcuchu wokół miasta.

W końcu zjawiła się kobieta, która obrzuciła Uriego pełnym współczucia spojrzeniem wilgotnych oczu. Widać było, że bez względu na jego osobiste przekonania jest dla niej pogrążonym w żałobie synem wybitnego przywódcy ruchu osadniczego.

Wieść o samobójstwie jego matki rozeszła się lotem błyskawicy, do czego dodatkowo przyczyniła się wzmianka w porannych wiadomościach radiowych. Mimo iż nie byli umówieni, kobieta bez wahania zaprosiła go do gabinetu człowieka, który — wedle słów Uriego — rządził nie tylko w Psagot, ale stał na czele rady osadniczej całego Zachodniego Brzegu.

Na widok Uriego Akiva Shapira zerwał się na równe nogi i ruszył do drzwi, by powitać znacznie młodszego od siebie gościa. Był zwalisty i brodaty. Położył dłoń na głowie Uriego i zamknąwszy oczy, zaczął szeptać: *hamakom i'naczem oscza bsocz sz'ar awajlej Jon w'Jeruszałajm*. Maggie pomyślała, że to zapewne rodzaj modlitwy kondolencyjnej.

— Akiva, to moja znajoma, Maggie Costello. Irlandka, ale jest członkiem amerykańskiej delegacji na rozmowy pokojowe. Pomaga mi.

Maggie wyciągnęła rękę, ale Shapira zdążył się już odwrócić i ruszyć w stronę biurka. Nie wiedziała, czy uniknął podania jej ręki ze względów politycznych, jako reprezentantce administracji amerykańskiej, której nienawdził za zmuszanie Izraela do kapitulacji, czy ze względów religijnych z racji jej płci.

— Witam was oboje — powiedział, wciskając się w fotel za biurkiem i ciężko posapując. — Właściwie to ja powinienem złożyć tobie wizytę. Poniosłeś niepowetowaną stratę i wiesz, że wszyscy mieszkańcy Eretz Yisroel i całego Izraela gorąco ci współczują.

Maggie zaskoczyło, że ich gospodarz mówi z czysto nowojorskim akcentem. Pomyślała też, że nie tylko angielski, ale i sama treść wypowiedzi były skierowane do niej. Nie umknęło jej uwagi słówko „całego”.

— Chcę porozmawiać z tobą o ojcu.

— Ależ oczywiście.

— Jak zapewne wiesz, w ostatnich dniach życia był bardzo czymś podniecony, wręcz wzburzony.

— Chciał koniecznie spotkać się z Jariwem, żeby uzmysłwić mu szaleństwo, jakie chce popełnić, ale ten tak zwany nasz premier nie znalazł dla niego czasu.

— Właśnie to mu chciał powiedzieć? Że rozmowy pokojowe to szaleństwo?

— A cóżby innego? Miał uważać wydzieranie serca naszej ziemi za coś normalnego? Chyba żartujesz. — Maggie nie miała wątpliwości, że te słowa również są adresowane do niej. Shapira niemal nie patrzył na Uriego. — Wiedział, że tak postępuje naród, który utracił zdolność myślenia. Że to powtórka wielkiego błędu Żydów. Od faraonów po Adolfa mądry Żyd zawsze uważał, że uda mu się odpędzić wilka. A co jest tajną bronią Żydów? Powiem ci, Uri, co nią jest. Kapitulacja! Tak jest. Oto genialny wynalazek Żydów, narodu, który wydał Marksa, Freuda i Einsteina. Kapitulacja! I Jariw próbuje teraz dokładnie tej samej sztuczki. Bez walki oddamy wrogowi to, czego od nas chce, i nazwiemy to zawarciem pokoju. A tymczasem to nic innego jak kapitulacja. Czyż nie mam racji, panno Costello?

Żałowała, że w ogóle tu przyszła. Uriemu na pewno zaoszczędziłby tych wywodów. Jednak ten nie wyglądał na zbyt przejętego. Siedział pochylony, niczym reporter przeprowadzający wywiad.

— Chciałbym się dowiedzieć, co konkretnie tak bardzo gnębiło ojca w ostatnich dniach życia.

— I po to przyjechałeś taki kawał drogi? Nie mogłeś sam się domyślić? Co go „gnębiło”? Czyż odpowiedź nie jest tak oczywista, że mogłoby jej udzielić dziecko w przedszkolu? — Znów odwrócił głowę i spojrzał na Maggie. — Panno Costello, Uri wspomniał, że jest pani Irlandką. Nie wiem, czy jest pani katoliczką, czy protestantką, ale niech mi pani powie: gdy IRA co pięć minut podkładała bomby, czy protestanci powiedzieli im wtedy: „No już dobrze, weźcie sobie Belfast. Podzielimy go na pół i my weźmiemy ten kawałek, którego wy nie zechcecie. A przy okazji miliony irlandzkich katolików, którzy przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat wsiadali na statki i emigrowali, mogą teraz wrócić i zamieszkać na naszym protestanckim kawałku Irlandii Północnej”. Proszę mi szczerze odpowiedzieć. Czy słyszała pani, żeby jakiś irlandzki protestant powiedział kiedyś coś takiego? Słyszała pani?

— Akiva, przyjechałem, żeby porozmawiać o ojcu...

— Bo to właśnie mówi nasz ukochany premier i nasz tak zwany rząd, niechaj Bóg spuści na nich sprawiedliwość! Dokładnie to samo! Każdy Palestyńczyk, którego jakiś prawujek wysikał się raz do nocnika w Jaffie, może teraz wrócić i zgłosić roszczenia do domu w Tel Awiwie. No i oczywiście podzielimy Jerozolimę na pół. Czy pani wie, ile razy Koran wspomina o Jerozolimie? Proszę odpowiedzieć, wie pani?

Uri gapił się w sufit, starając się nie okazywać podenerwowania.

— Naprawdę nie przyjechaliśmy tu... — zaczęła Maggie.

— Ani razu. Zero. Ułożył kciuk i palec wskazujący w kształt zera. — Wielkie, ogromne zero. A my od dwóch tysięcy lat modlimy się trzy razy dziennie o powrót do Jerozolimy. Budujemy nasze synagogi zwrócone na wschód, tak byśmy zawsze mogli w nich stać twarzą do Jerozolimy, nieważne, czy jesteśmy w New Jersey, czy w Dublinie. Prosimy Ha'szem, Wszchemogącego, by przędzej języki przyrosły nam do podniebienia i byśmy stracili władzę w prawej ręce, zanim zapomnimy o świętej Jerozolimie, a teraz mamy ją oddać? Skapitulować i przekazać ją Arabom, którzy o niej nie wspominają, powtarzam, nawet nie wspominają, w swojej tak zwanej świętej księdze! — Twarz mu poczerwieniała, pochylił się i wycelował w Maggie palec.

— Tak, wiem, co gnębiło Szimona Guttmana. Gnębiła go myśl o samobójstwie narodu żydowskiego! Słyszysz pani? O samozagładzie Żydów. I temu chciał zapobiec.

Uri podniósł rękę jak uczeń, który chce coś powiedzieć, i prosi nauczyciela o zgodę. Maggie czuła, że tłumi w sobie własne myśli, nie była tylko pewna, czy robi to dlatego, że nie czuje się na siłach stawić Shapirze czoła, czy też po prostu uznał, że nie ma sensu wdawać się w polityczną awanturę. Tak czy inaczej była mu za to wdzięczna. Potrzebna im była pomoc Shapiry, bo inaczej cała ich podróż pójdzie na marne.

— Powiedział mamie, że natknął się na coś konkretnego — zaczął Uri łagodnym tonem głosu człowieka, który mógł być

wzorem grzeczności i poczucia synowskich obowiązków. — Coś, co miało wszystko zmienić. Czy wiesz może, co to mogło być? Shapira spojrział na Uriego i rzekł jeszcze łagodniej:

— W ciągu ostatnich tygodni twój ojciec i ja bardzo dużo rozmawialiśmy. Obaj...

— Chodzi mi o ostatnie trzy, cztery dni. To właśnie wtedy zobaczył to coś, co...

— Twój ojciec potrafił być bardzo dyskretny. Jeśli nie chciał ci powiedzieć o tym, co zobaczył, to musiał mieć jakiś powód.

— Jaki powód?

— Jak to mówi psalm? *Jak się lituje ojciec nad synami, tak Pan lituje nad tymi, co się go boją**.

— Nie rozumiem.

— Litować się nad swoimi dziećmi to tyle, co je chronić.

— Myślisz, że chciał mnie przed czymś chronić?

— Był bardzo dobrym ojcem, Uri.

— A moja matka? Ją też chciał chronić, a spójrz, co ją spotkało.

— A jesteś pewien, że nie podzielił się z nią informacją, którą posiadał? Czy możesz mieć tę pewność, Uri?

Uri niechętnie pokręcił głową, jakby go na czymś przyłapano.

Maggie uświadomiła sobie, że rzeczywiście mogło tak się zdarzyć, że wczoraj wieczorem pani Guttman, parę godzin przed śmiercią, na coś się natknęła, próbowała do kogoś zadzwonić i w ten sposób zaalarmowała swoich zabójców. Albo odwrotnie. Zobaczyła coś, co tak ją wstrząsnęło, że wbrew przeświadczeniu Uriego postanowiła ze sobą skończyć.

— Widzisz, drogi Uri, Pan Wszechświata ma wobec narodu żydowskiego swój plan. Oczywiście nie pozwala nam go poznać, ale tu i tam daje nam pewne wskazówki w tekstach i źródłach. To tylko wskazówki. Ale jednocześnie czyni cuda. Pani religia, panno Costello, zapewne również tego panią uczy. Wiary w cuda. A historia narodu żydowskiego to historia cudów. Dotknęła nas

* Biblia Tysiąclecia, Ps. 103,13, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

największa tragedia w dziejach ludzkości, Holocaust. I jak długo przyszło nam czekać na odkupienie? Trzy lata! Zaledwie trzy! Naziści ponieśli klęskę w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, a już w czterdziestym ósmym mieliśmy własne państwo. Po dwóch tysiącach lat wygnania i tułaczki wróciliśmy na nasze starodawne ziemie. Na ziemię, którą Bóg obiecał Abrahamowi prawie cztery tysiące lat temu. Jak to inaczej nazwać, panno Costello, jak nie prawdziwym, solidnym cudem z pełną gwarancją „satisfakcji albo zwrotu pieniędzy”? Najczarniejszy moment naszej historii, po którym następuje największa świetlistość! To samo było w sześćdziesiątym siódmym. Zewsząd otaczali nas Arabowie, którzy już sobie ostrzyli kindżały, żeby poderznąć nam gardła i zepchnąć Żydów do morza. I co się stało? W ciągu paru godzin Izrael zniszczył ich siły powietrzne, a siły lądowe w ciągu paru dni! Dokładnie sześciu! *A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre**. A siódmego dnia odpoczywał. I co, chciałyby się pani sprzeciwić Wszechmogącemu, aby raz jeszcze nas odkupił? Tak, żyjemy w mrocznych czasach, nie da się temu zaprzeczyć. Pani rząd w Waszyngtonie, panno Costello, ma zamiar obrabować Żydów z przysługujących im naturalnych praw. Chce nas namówić, byśmy się wyrzekli ziemi obiecanej nam przez Boga. A waszym lokajem jest człowiek, któremu niegdyś wierzyliśmy. Zdrajca gotów zdradzić swój naród po to, by móc potem wystąpić przed europejskimi antysemitami w roli dobrego Żyda, sympatycznego Żyda, gołąbka z Pokojową Nagrodą Nobla w dzióbku, a w tym czasie źli Żydzi będą ginąć mordowani we własnych łózkach przez Arabów. I gdy wydaje się, że już wszystko stracone, że znów nastąpiła nasza najczarniejsza godzina, nagle patrzcie! Do akcji wkracza bohater narodu żydowskiego Szimon Guttman, który chce powstrzymać zdradziecki cios. Bohaterski Guttman zostaje jednak zamordowany i dopiero wtedy lud Izraela zaczyna rozumieć. Zaczyna do-

* Biblia Tysiąclecia, Księga Rodzaju, w. 31, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

strzegąc niebezpieczeństwo grożące mu ze strony rządu, który jest gotów strzelać do własnych obywateli. A nawet... i wybac mi Uri, że o tym mówię... zabić żonę bohatera! Tak właśnie postępuje Wszzechmogący. Daje nam wskazówki, wręcz naprowadza na trop. Albowiem chce, byśmy mieli świadomość tego, co się dzieje wokół nas. Zabrał do siebie twoją matkę, żebyśmy nie mieli złudzeń. To wskazówka dla nas, Uri. Twoi rodzice i tragedia, jaka ich spotkała, to nasze przesłanie. Mówi nam ono, że powinniśmy dać odpór wielkiemu spiskowi amerykańskiemu. Nie dopuścić do masowego samobójstwa Żydów.

Całe to przemówienie zostało wygłoszone w takim tempie i z taką emfazą, że nie było innej rady, jak doczekać do końca. Nie ulegało wątpliwości, że Shapira jest doświadczonym mówcą, który perfekcyjnie opanował technikę gładkiego przechodzenia od zdania do zdania, by w ten sposób nie pozwolić sobie przerwać. Maggie uczestniczyła kiedyś w słynnym spotkaniu, kiedy delegacja amerykańska wysłuchała w milczeniu prezydenta Syrii, który — stosując tę samą technikę — przemawiał bite sześć godzin. Jedynym wyjściem jest zachować cierpliwość i spokój i czekać, aż twój wróg czy sprzymierzeniec wygada się do końca. Ten moment chyba właśnie nadszedł.

— Panie Shapira — zaczęła, ubiegając Uriego. — Wszystko, co od pana usłyszeliśmy, jest dla nas bardzo przydatne. Czy nie omyłę się, stwierdzając na tej podstawie, że podejrzewa pan władze izraelskie o udział w śmierci rodziców Uriego?

— Tak, albowiem Stany Zjednoczone Ameryki muszą zdać sobie sprawę, że...

Sama jestem sobie winna. Nie należało formułować myśli w formie pytania, które od razu prowokuje do następnego cholernego przemówienia.

— Dziękuję, mam już jasność. Władze zrobiły to, chcąc uciszyć Guttmanów, bo obawiały się, że mogą wyjść na jaw posiadane przez nich informacje — wypowiedziała to zdanie tak, by nie było wątpliwości, że na końcu jest kropka, nie znak zapytania. — Jednak wszystko to, o czym pan nam mówił,

odzwierciedlało poglądy, jakim Szimon Guttman był wierny od lat. I nie wątpię, że chciałby je przedstawić premierowi. Tylko że nie było w tym nic nowego. Jak więc może pan wyjaśnić jego nagły pośpiech? Jak wyjaśni pan logikę działania władz izraelskich mających nie dopuścić do ujawnienia stanowiska, które od dawna było powszechnie znane?

— Stanowiska? A kto mówi o stanowisku? Bo ja nie. Ja użyłem słowa „informacja”. Chodziło mi o informację, panno Costello. A to coś zupełnie innego. Szimon widać zdobył jakąś informację, która uświadomiłaby Jariwowi, jakie szaleństwo chce popełnić. Myślę, że za wszelką cenę chciał mu ją przekazać.

— O jaką informację chodziło?

— Wymaga pani ode mnie zbyt wiele, panno Costello.

— Czy to znaczy, że nie chcesz nam powiedzieć, czy że nie wiesz? — wtrącił Uri. Płynnie włączył się do rozmowy, jakby stanowili z Maggie jedną drużynę, jednak Akiva zignorował jego pytanie i nawet na chwilę nie oderwał wzroku od Maggie.

— Proszę posłuchać rady kogoś, kto w tych stronach spędził nieco więcej czasu niż czterdzieści osiem godzin. Lepiej, żeby pani nie wiedziała tego, co ja wiem. I to samo dotyczy ciebie, Uri. Wierzcie mi, gra idzie o wielką stawkę. O losy narodu wybranego przez Boga na ziemi mu obiecanej. O umowę między nami a Wszechmogącym. To zbyt ważne, by mogła temu przeszkodzić garstka politykierów. I nieważne, za kogo się uważają i czy siedzą tu, czy w Waszyngtonie. Może to pani przekazać swoim mocodawcom, panno Costello. Nikomu nie uda się wcisnąć między nas a Wszechmogącego. Absolutnie nikomu.

— Bo inaczej?

— Bo inaczej? Pani pyta „bo inaczej”? Nie zadaje się takich pytań. Ale proszę się tylko rozejrzeć. Uri, posłuchaj mojej rady. Daj sobie spokój. Masz teraz na głowie żałobę po rodzicach. Musisz pomyśleć o pogrzebie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich głowa recepcjonistki, która samym ruchem warg przekazała Shapirze jakąś wiadomość.

— Dobra, oddzwonię do niego.

Znowu spojrzął na Uriego.

— Miej dla siebie litość, Uri. Oplakuj matkę, odsiedź *szibah*, ale tę sprawę zostaw w spokoju. Z takiego węszenia z pewnością nie wyjdzie nic dobrego. Zadanie stojące przed twoim ojcem zostało wykonane. Może nie tak to sobie wyobrażał, ale wykonane. Lud Izraela przejrzał na oczy.

Maggie widziała, że Uri robi wszystko, by nie okazać wzbierającej w nim niechęci. Chwilami aż skręcał się na krześle jak zbuntowany uczeń, by zaraz znów się opamiętać i wyprostować. W końcu jednak nie wytrzymał.

— Co wiesz o człowieku nazwiskiem Ahmed Nour? — rzucił zniecierpliwiona.

— Poświęcił nam pan mnóstwo cennego czasu, panie Shapi-ra — wtrąciła szybko Maggie. — Chciałabym podziękować za...

— Próbujesz winić mnie za śmierć tego Araba? Czy tak mówią w lewicowym radiu? Dziwię się, Uri, że słuchasz takich bzdur.

Maggie wstała z miejsca.

— Domyśla się pan, jakie panuje teraz zamieszanie. Ludzie wymyślają różne rzeczy. — Wiedziała, że nie brzmi zbyt przekonująco, ale główny wysiłek wkładała w wyraz swoich oczu, z których miał wyczytać nieme przesłanie: Właśnie stracił oboje rodziców. Trochę mu odbija. Nie zwracaj na niego uwagi.

Shapira też się podniósł, ale tylko po to, by uściskać Uriego na pożegnanie.

— Możesz być dumny ze swoich rodziców, Uri, ale pozwól im spoczywać w pokoju. Zostaw to. Twoje życie jest zbyt cenne. Posłuchaj mojej rady. Nie narażaj się na gniew Wszechmogącego.

Rozdział 19

Amman, Jordania, sześć miesięcy wcześniej

Jaafar al-Naasri nigdy nie robił niczego pośpiesznie. Niech spieszą się ci, których gonią, mawiał. Próbował to wymóc na synu, ale ten był zbyt głupi, żeby posłuchać. Naasri zastanawiał się nawet, czy otaczające go zewsząd morze głupoty — domowników nie wyłączając — to efekt ciężącej na nim klątwy. A przecież dopilnował, żeby ożenić się z mądrą kobietą i żeby potem wspólnie robić wszystko tak, jak należy. Jednak choć posyłali dzieci do najlepszych szkół w Ammanie, córka wyrosła na rozwydrzoną pannicę wzorującą się we wszystkim na kurwiszonach z MTV, a synowie nie byli wcale lepsi. Jeden okazał się zupełnym matolem, którego wyłącznym tytułem do dumy była siła jego pięści, a drugi — choć bardziej rozgarnięty — był zwyczajnym nierobem. Nie miał większych ambicji, niż spać do południa i uchodzić za playboya.

Jaafara al-Naasriego bardzo to gnębiło. Owszem, był człowiekiem bogatym, głównie dzięki Saddamowi Husajnowi i armii Stanów Zjednoczonych. Im zawdzięczał otwarcie wrót do skarbcza, w którym trzymano fragmenty korzeni dziejów rodzaju ludzkiego. A może to jednak przesada? Jaafar rzeczywiście miał skłonność do wpadania w euforię, ale który kupiec tego nie robi? Muzeum bagdadzkie nie wymagało jednak reklamy. Zawsze gromadzono w nim eksponaty sięgające najdawniejszych czasów. To w Mezopotamii rozwinęła się najstarsza cywilizacja i liczne

jej ślady zostały skrupulatnie opisane, skatalogowane i trzymane pod szklą w salach Narodowego Muzeum Starożytności. W Bagdadzie można było na przykład znaleźć najstarsze na świecie próby pisma. Mieściły się na tysiącach tabliczek i reprezentowały pismo klinowe, którym posługiwano się cztery tysiące lat temu. Obrazy, rzeźby, biżuteria i posązki pochodzące z lat, gdy te formy dopiero powstawały i były nowością — pamiątki z czasów biblijnych, a nawet dawniejszych. Wszystko to można było znaleźć w Bagdadzie.

Od kilkudziesięciu lat leżały bezpiecznie w oszklonych i zabezpieczonych alarmami gablotach, do których dostępu strzegły masywne stalowe drzwi i najlepszy na świecie system ochrony: tyrania Saddama Husajna. Jednak dzielni wojacy w opancerzonych pojazdach i lotnicy zrzucający z nieba bomby zmusili Saddama do ucieczki i drzwi do muzeum stanęły otworem. Armia amerykańska, która bez chwili zwłoki przejęła Ministerstwo Ropy Naftowej i otoczyła znaną w nim cenną dokumentację oraz wszelkie sekrety dotyczące zasobów czarnego złota dwudziestoczterogodzinną zbrojną ochroną, na szczęście w ogóle nie zainteresowała się zabezpieczeniem muzeum. W jego okolicy wysłano zaledwie jeden samotny czołg, kiedy i tak już było po wszystkim, do tego zaś czasu budynek muzeum stał goły, rozwany i dostępny dla wszystkich, niczym bagdadzka kurwa. Pozwoliło to Jaafarowi i jego synom korzystać z niego do woli i bez przeszkód.

Robili to bez żadnych skrupułów, dodając do prywatnej kolekcji Naasrich zakopanej na podwórku tyle bezcennych skarbów, że mogliby już otworzyć prywatne muzeum. Tępy syn Jaafara od miesięcy spędzał dni i noce na kopaniu dołów i chowaniu do nich zdobyczy dostarczanych przez całą armię kurierów codziennie przyjeżdżających z Iraku. Czasami, gdy zachodziło podejrzenie, że kurierzy grają na dwa fronty i dostarczają towar konkurentom w Ammanie albo nawet gdzieś dalej — do Bejrutu lub Damaszku — Nawaf musiał używać szpadla do innych celów. Ale zrobił to tylko parę razy — nie więcej niż sześć, choć

Jaafar właściwie stracił już rachubę. Pomimo to i tak nie był człowiekiem szczęśliwym. Dzięki błogosławieństwu, jakim stała się dla niego amerykańska inwazja, powinien już znaleźć się na samym szczycie w swojej branży — jak ten łajdak Kaslik, który dzięki wojnie z 2003 roku zbudował w regionie prawdziwe imperium. Tylko że Kaslik miał synów, na których mógł polegać, a Jaafar al-Naasri mógł liczyć tylko na siebie.

I właśnie dlatego tkwił teraz w warsztacie, ślęcząc nad czymś, co powinien zlecić komuś zaufanemu. Nie mógł jednak zaangażować do tego kogoś z personelu, bo ryzyko zdrady, kradzieży lub sprzedaży jego tajemnic innym było zbyt wielkie. A o stworzeniu zespołu z synami, którzy okazaliby równy jemu spryt i byli chętni do podejmowania się trudnych i delikatnych zadań, mógł tylko pomarzyć.

A to zadanie z całą pewnością do takich należało. Niemiłą konsekwencją upadku Saddama było to, że gwałtownie zaostrozono przepisy międzynarodowe. Rządy wielu państw świata, które przed 2003 rokiem przymykały oko na handel kradzionymi skarbami Iraku, teraz nagle się usztywniły. Zapewne uważały, że okradanie dyktatora jest w porządku, natomiast uszczuplanie „dziedzictwa narodu irackiego” już nie. Winą za taki stan rzeczy Jaafar obarczył przede wszystkim telewizję. Gdyby w telewizji nie pokazywano scen rabunku w Bagdadzie, być może wszystko pozostałoby po staremu. Ale widok motłochu wywożącego na taczkach i wynoszącego w worach muzealne skarby spowodował, że możni tego świata z Londynu i Nowego Jorku poczuli zaniepokojenie. Uznali, że nie mogą sobie pozwolić na firmowanie takiej zbrodni na kulturze, i do wszystkich urzędów celnych, domów aukcyjnych i muzeów od Paryża po Los Angeles poszedł sygnał: nie brać niczego z Iraku!

A to oznaczało, że Jaafar musiał się teraz bardziej starać i wysyłany przez niego towar musiał być jeszcze lepiej zakamuflowany niż dotąd. Przedmiot leżący przed nim na stole stanowił w tym względzie powód do szczególnej dumy. Było to płaskie plastikowe pudełko z dwudziestoma czterema przegródkami na

różnokolorowe koraliki, które było widać przez przezroczystą przykrywkę. Komplet ozdobnych paciorków dla młodszych nastolatek. Siostra żony przywiozła go z Nowego Jorku w prezencie dla Naimy na jej dwunaste urodziny. Córka pobawiła się nimi przez chwilę, ale szybko jej się znudziły. Jaafar natknął się na nie przypadkowo kilka miesięcy temu i od razu dostrzegł w nich fantastyczny potencjał.

Starając się myśleć jak nastolatki i naśladować ich jarmarczny gust, sięgnął po różowy koralik i nawlekł go na żyłkę, na której tkwił już fałszywy rubin, purpurowy cekin i metalowy kapsel z butelki po coca-coli. Uśmiechnął się. Całość wyglądała jak bransoletka z tandetnym zestawem talizmanów, jaką nastolatka nosi przez chwilę jako coś nowego. Potem żyłka się zrywa i rzucona w ką bransoletka idzie w zapomnienie.

Chyba że ktoś zada sobie trud i przyjrzy się uważniej jednemu z elementów. Nie był to jedyny wisiołek w kolorze złocistym, bo prócz niego bransoletka zawierała jeszcze mosiężną miniaturkę pudła, ale z pewnością najładniejszy. Prosty w formie złoty listek był bardzo delikatny i misternie wygrawerowany, ale trzeba było dobrze się przypatrzeć, żeby to dostrzec. Jaafar wystarczająco długo zajmował się biżuterią, aby wiedzieć, że wszystko zależy od kontekstu. Gdyby listek spoczywał na poduszeczce w muzealnej gablocie, zamiast tkwić stłoczony wśród paciorków i kapsli, ktoś mógłby się domyślić, że ma przed sobą kolczyk pogrzebany wraz z sumeryjską księżniczką cztery i pół tysiąca lat temu. Leżąc pośród kolorowych śmieci na warsztacie Jaafara, wyglądał jak jeden z nich.

Następne były pieczęcie — małe, kamienne cylinderki z unikalnymi wzorami pisma klinowego na ściankach. Pięć tysięcy lat temu używano ich do wyciskania podpisów na glinianych tabliczkach, po których je toczono. Jak na owe czasy było to bardzo pomysłowe, ale równie pomysłowa była skrytka wymyślona przez Jaafara. Sięgnął do dużego brązowego kartonu, który tydzień temu przysłano mu z Neuchatel w Szwajcarii. Wewnątrz znajdowało się kilkanaście modeli drewnianych górskich chat

z namalowanymi okienkami i płótkami z zapalek. Po zdjęciu dachu okazało się, że ta typowa ozdóbka na półkę kominkową ma jeszcze jedną dodatkową funkcję. Umieszczona wewnątrz pozytywka zaczynała wygrywać rzewną melodyjkę.

Znalezienie producenta grających domków zajęło mu kilka miesięcy. Przejrzał dziesiątki witryn internetowych i przeprowadził wiele rozmów z technikami, zanim się upewnił, że oferowany domek w pełni odpowiada jego wymaganiom. Podważył śrubokrętem mechanizm pozytywki i z satysfakcją stwierdził, że jego skrupulatność została nagrodzona. Obracający się blaszany bęben, którego zadziory zaczepiały o młoteczki i wydobywały z nich melodyjkę, był — tak jak go zapewniono — pusty w środku. Dłonią w gumowej rękawiczce sięgnął po pierwszą z brzegu cylindryczną pieczęć, których rząd stał na półce, i ostrożnie wsunął ją do bębna. Pasowała idealnie. Odetchnął z ulgą i popatrzył na zbiór pieczęci, które stały jak żołnierze kamie ustawieni w szeregu i czekający na inspekcję. Miały wprawdzie różne kształty i rozmiary, ale gdy spoglądał na karton mieszczący pełen asortyment produkowanych przez szwajcarską firmę domków — od najmniejszych aż po „okręt flagowy” — zaczął wierzyć, że jego pomysł naprawdę wypali.

Wszystko poszłoby o wiele sprawniej, gdyby mógł liczyć na pomoc kogoś zaufanego. Spojrzał na skrzynkę używaną do hurtowego handlu herbatą stojącą obok roli folii ochronnej. Już to zajęło mu około trzech miesięcy wyteżonej, samotnej pracy. Wewnątrz rozmieścił kilkaset glinianych tabliczek, które trafiały do niego od kwietnia 2003 roku. Co do nich też miał pewien plan. Niezbyt zmyślny, ale bardzo czasochłonny.

Rzucił okiem na kalendarz z lekko rozmytymi fotografiami króla i jego pięknej żony. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, do końca roku wszystko zostanie dokładnie spakowane, opisane jako wyroby rękodzielnicze i wyeksponowane do Londynu. Nie było co się spieszyć. Dla handlarzy antykami czas jest sprzymierzeńcem, nie wrogiem. Im dłużej się czeka, tym zarobek jest większy. Ale świat czekał na te cacka od czterech i pół tysiąca lat.

Rozdział 20

Jerozolima, środa, godz. 13.23

Wracali z Psagot w dość napiętej atmosferze. Gdy tylko wsiedli do samochodu, Maggie ze złością ofuknęła Uriego.

— Co ci strzeliło do głowy, żeby wspominać o Ahmedzie Nourze!

— Myślałem, że może wtedy coś nam powie...

— Na przykład: „Spieprzajcie stąd oboje, zanim was też zabiję”?

— Sugerujesz, że to Akiva Shapira zabił moich rodziców? Chyba oszalałaś!

Opanowała się, pamiętając, że Uri wciąż przeżywa szok wywołany śmiercią dwóch najbliższych mu osób, stopniowo jednak zaczynała mieć dosyć obchodzenia się z nim jak z jajkiem. Zimny spokój i samokontrola są dobre w gabinecie terapeutycznym, ale nie tutaj.

— To wyjaśnij mi, proszę, dlaczego uważasz to za szaleństwo.

— Widziałas go. To fanatyk. Dokładnie taki sam jak ojciec. Uwielbiali jeden drugiego.

— Okay, więc nie on. Zatem kto?

— Co: kto?

— Kto zabił twoich rodziców? Powiedz mi, kogo ty podejrzewasz!

Uri oderwał wzrok od drogi i spojrzał na nią z lekkim niedowierzaniem.

— Wiesz, nie przywykłem do czegoś takiego.

— To znaczy do czego?

— Do liczenia się z kimś drugim. Kiedy kręcę film, wszystko robię sam. Wywiady, zdjęcia, montaż. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby jakaś Irlandka siedziała mi na głowie i do wszystkiego się wtrącała.

— Uprzejmie dziękuję za „jakąś Irlandkę”. Tego rodzaju seksistowskie uwagi są może na miejscu w Izraelu, ale ze mną nie przejdą. Okay?

Uri spojrział na nią z ukosa.

— Okay, okay.

— A nawiasem mówiąc, ja również do tego nie przywykłam. Kiedy siedzę na sali obrad, jestem zdana tylko na siebie. Dwie negocjujące strony i ja.

— Dlaczego?

— Przekonałam się, że tak jest lepiej. Bez żadnych pomocników, doradców...

— Pytam, jak to się stało, że się tym zajmujesz? Dlaczego jesteś w tym taka dobra?

Pewnie chce zatrzeć złe wrażenie po tym wyskoku z „jakąś Irlandką”.

— W prowadzeniu mediacji?

— Właśnie.

Miała ochotę powiedzieć mu prawdę i przyznać, że od jej udziału w międzynarodowych negocjacjach upłynęło już sporo czasu i że jej ostatnim sukcesem mediacyjnym było doprowadzenie do ugody w kwestii weekendowych widzeń ojca z Natem, Louisem i Ruby George'ami z Chevy Chase w stanie Maryland. Jednak nie zrobiła tego.

— Pewnie wyniosłam to z domu.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że twoi rodzice wiecznie się kłócili, a ty stałaś się ich rozjemcą.

— Nie żartuj sobie. — W duchu musiała jednak przyznać, że jego uwaga wywarła na niej wrażenie. Wielu znanych jej mediatorów rzeczywiście pochodziło z rozbitych rodzin. — Wręcz

odwrotnie. Związek moich rodziców był jak opoka. Najlepsze małżeństwo na całej ulicy. Choć to akurat niewiele znaczy, bo wszyscy wokół żarli się między sobą na całego. Mężowie wracali pijani, żony figlowały z mleczarzem, wszystko, co chcesz. Przychodzili nawet do mamy po radę.

— A ty się temu przysłuchiwałaś.

— Nigdy nie robiłam tego świadomie. Ale zdarzało się, że skłócone pary prosiły mamę o rozsądzenie sporu. „Zobaczymy, co powie pani Costello”. Zdanie to stało się w naszej okolicy niemal hasłem. Widziałam, jak z nimi rozmawia, i pewnie coś mi z tego zostało.

— Musi być z ciebie bardzo dumna.

— Oboje są.

Uri zamilkł i przez dłuższą chwilę słyhać było tylko pomruk silnika. Maggie skarciła się w myślach. Uwaga o rodzicach w czasie terażniejszym była mocno niedelikatna. Jakby mu chciała wypomnieć, że jej oboje nadal żyją. Ale trochę ją poniosło. Rzadko zadawano jej tego typu osobiste pytania i szansa odpowiedzi na nie sprawiła jej przyjemność. Dla Uriego, który zarabiał na życie wyciąganiem od ludzi osobistych zwierzeń, musiał być to chleb powszedni, ale ona nawet nie pamiętała, kiedy ktoś pytał ją o sprawy prywatne. Dlaczego jesteś mediatorem? Uzmysłowała sobie nagle, że Edward nigdy jej o to nie zapytał.

Pędząc pustą szosą i mijając boczne drogi zatłoczone poruszającymi się dużo wolniej lub stojącymi w korkach Palestyńczykami, starała się ułożyć w głowie przebieg ich spotkania z Shapirą. Wydawało się oczywiste, że Guttman zdradził mu swoją tajemnicę. Powiedział coś w rodzaju „lepiej nie wiedzieć tego, co ja wiem”, a także — że jego zdaniem — rząd izraelski zabił Guttmana właśnie za jego wiedzę. Shapira był niewątpliwie nadętym ważniakiem. Dlaczego nie powiedział Uriemu, co odkrył jego ojciec? Może ze względu na jej obecność? Choć nie bardzo miało to sens: gdyby dysponował nową groźną bronią przeciw procesowi pokojowemu, skorzystałby z okazji, żeby wypalić

z niej w twarz Amerykanom. Więc może nic nie wiedział i tylko chciał z Guttmanów zrobić męczenników?

Była zbyt zatopiona w myślach—podobnie zresztą jak Uri—by spoglądać w lustro wsteczne i sprawdzać, co się dzieje na drodze. Inaczej zapewne zauważyłaby, że dwa samochody za nimi jedzie białe subaru, którego pasażerowie nie spuszczaają z nich oka.

• • •

Pojechali do domu Guttmanów i gdy Uri otworzył drzwi, Maggie od razu poczuła dreszcze. W środku nie było zimno, ale w powietrzu wisiał jakiś dziwny chłód. Znajdowali się w domu śmierci, i to podwójnej. Podziwiała Uriego, że w ogóle jest w stanie wejść do środka.

Wycieraczka była zasypana listami i pocztówkami. Zapewne z kondolencjami od znajomych z zagranicy, bo wszyscy miejscowi siedzieli u siostry Uriego, gdzie wciąż jeszcze trwał *szibah* za ich ojca i gdzie wkrótce, zaraz po pogrzebie, rozpocznie się *szibah* za matkę. Maggie żałowała, że Uriego omijają tak bardzo dla niego ważne uroczystości. Z własnego doświadczenia wiedziała, że wszelkie tego typu obchody nie są przeznaczone dla zmarłych, tylko właśnie dla żywych. Pomagają oderwać myśli od tego, co się wydarzyło. Kiedy człowiek musi w ciągu godziny porozmawiać z dwoma tuzinami krewnych, brak mu czasu na rozpamiętywanie swojego nieszczęścia. Towarzysząc jej, Uri z własnej woli pozbawiał się kojącego działania takich spotkań.

— Tutaj. — Zapalił światło w pokoju, który na szczęście mieścił się daleko od kuchni, w której poprzedniego wieczoru znalazła zwłoki pani Guttman. Pokój był niewielki, dość za-gracony i wypełniony książkami od podłogi do sufitu. Wszędzie, gdzie to tylko możliwe, leżały równo ułożone sterty papierów. Na małym, dość prymitywnym biurku, a właściwie zwykłym stoliku, stały komputer, telefon i faks.

— Od czego, na litość boską, mam tu zacząć? — jęknęła.

— Spróbuj od przyspieszonego kursu hebrajskiego. Wtedy zajmie nam to tylko parę miesięcy.

Maggie uśmiechnęła się blado. Był to chyba pierwszy cień uśmiechu, jaki zobaczył Uri od chwili, gdy ją poznał.

— Może zajmij się komputerem — zaproponował. — Sporo materiałów jest po angielsku. Ja spróbuję przekopać się przez te sterty.

Maggie usiadła przed komputerem i włączyła zasilanie.

— Mógłbyś mi jeszcze raz pokazać tę komórkę?

Uri wyjął przezroczystą plastikową torebkę, którą odebrał ze szpitala w drodze z Psagot. W środku znajdowały się „rzeczy osobiste denata” — wszystko, co jego ojciec miał przy sobie w chwili śmierci. Wybrała opcję „Wiadomości odebrane”. Pusto. Potem „Wiadomości wysłane”. Pusto.

— Jesteś pewien, że ojciec posługiwał się SMS-ami?

— Już ci mówiłem. Do mnie też je wysyłał. Kiedy pełniłem służbę na granicy z Libanem, prowadziliśmy ze sobą całe SMS-owe rozmowy.

— Zatem ktoś ten telefon wyczyścił.

— Też tak uważam.

— Co oznacza, że zapewne jego skrzynka pocztowa w komputerze również będzie pusta. Ten, kto odebrał życie twojej matce, też tu musiał zajrzeć. Zresztą zaraz się o tym przekonamy.

Na ekranie ukazał się znajomy pulpit. Maggie kliknęła na ikonę poczty elektronicznej i na ekranie pojawiła się ramka z żądaniem hasła. Cholera.

— Uri?

Stał nieco dalej z przyciśniętym do piersi plikiem papierów i dodawał do niego kolejne kartki z najbliższej sterty. Widać było, że przejrzanie tego wszystkiego potrwa wieki.

— Spróbuj „Władimir”.

— Władimir?

— Jak Władimir Żabotinski, twórca syjonizmu rewizjonistycznego. Pierwszy wojowniczy twardziel. Idol mojego taty.

Powoli wpisała litery hasła. Bez żadnych fanfar powitalnych ekran zaczął się wypełniać listą otrzymanych e-maili. Uri uśmiechnął się.

— Zawsze używał tego hasła. Listy miłosne do mamy też nim podpisywał.

Maggie przewinęła ekran w poszukiwaniu nieprzeczytanych wiadomości. Mimo śmierci Guttmana wciąż nadchodziły do niego nowe e-maile. Biuletyny z „The Jerusalem Post”, listy funduszu pomocowego dla żołnierzy, okólniki Aruc Szewa — serwisu radiowego osadników.

Zajrzała do e-maili przysłanych wcześniej, jeszcze przed jego śmiercią. W większości składały się z podobnych biuletynów i okólników rozsyłanych z klucza. Ale zaraz: było też coś zaadresowanego osobiście do Guttmana. Prośba o wygłoszenie prelekcji podczas wiecu w najbliższą środę, czyli dzisiaj. Zapytanie od niemieckiej telewizji. Zaproszenie do wzięcia udziału w dyskusji na antenie radia BBC. Szukała dalej w nadziei, że znajdzie jakąś wiadomość od Ahmeda Noura lub coś, co pozwoli zrozumieć wzburzenie Rachel Guttman i jej słowa wypowiedziane w tym domu zaledwie dwa dni wcześniej. Zajrzała też do skrzynki „Poczta wysłana”, ale i tu nic nie zwróciło jej uwagi. Na pewno nie było żadnych e-maili do Noura. Nagle palnęła się w czoło i raz jeszcze przeszukała obie skrzynki pod kątem korespondencji z człowiekiem, którego nazwisko poznała po rozkodowaniu anagramu. Była pewna, że tym razem coś znajdzie. Nic w skrzynce odbiorczej, nic w poczcie wysłanej. Zupełnie nic.

Jej domysły musiały być słuszne. Morderca Rachel Guttman zajrzał również tutaj i pieczołowicie usunął wszystkie wiadomości, które mogłyby naprowadzić na jakiś ślad. Na wszelki wypadek zajrzała jeszcze do kosza, ale od soboty — dnia śmierci Guttmana — nikt go nie używał. Mogło to znaczyć, że albo ktoś włamał się do komputera i zatarł wszelkie ślady, albo Guttman nie używał poczty elektronicznej we wszystkich istotnych sprawach.

— Jesteś pewien, że ojciec korzystał z poczty elektronicznej? To znaczy w obie strony?

— Chyba żartujesz. Robił to bez przerwy. Już ci mówiłem, że na kogoś w swoim wieku był człowiekiem bardzo nowoczesnym.

I ogromnie aktywnym. Tacy jak on praktycznie nie wychodzą z Internetu.

To nasunęło jej pewien pomysł. Zamknęła program pocztowy, uruchomiła wyszukiwarkę internetową i kliknęła na „Ulubione”. Wyświetliło się kilka hebrajskich gazet, BBC, portal „The New York Times”, eBay, British Museum, Fox News. Cholera, przeczucie znów ją zawiodło. Zamknęła wyszukiwarkę i zapatrzyła się w ekran komputera, który zaczynał przypominać elektroniczny mur nie do przebycia.

Jedną z ikon na pulpicie był Word, w którym otworzyła katalog z kilkoma plikami tekstowymi. Zauważyła plik zapisany pod hasłem *Jariwl.doc* i serce skoczyło jej do gardła, okazało się jednak, że kryje się pod nim list otwarty do premiera oznaczony w podtytule: *Do wiadomości „The Philadelphia Inquirer”*. Cokolwiek Guttman miał do powiedzenia Jariwowi, nie trzymał tego w komputerze.

A potem u dołu ekranu dostrzegła ikonkę, którą знаła również ze swojego komputera, ale z której nigdy nie korzystała. Kliknęła i okazało się, że otwiera inną przeglądarkę, tyle że nie tak popularną jak poprzednia. Zajrzała do „Ulubionych”, które tu nazywane były „Zakładkami”. Lista zawierała tylko jedną pozycję.

gmail.com

Na to właśnie liczyła. Adres e-mailowy inny od podstawowego. Wręcz jakby ukryty. Była pewna, że tego adresu Guttman używał do prowadzenia ważnej korespondencji.

Tym razem na ekranie pojawiła się ramka z żądaniem identyfikatora i hasła. Wpisała *Szimon Guttman*, jako hasło *Władimir* i odczekała. Bez rezultatu. Spróbowała samo *Szimon*. Nic. Wypróbowała różne kombinacje pisane tekstem, wersalikami i bez spacji. Nadal nic.

— Uri? Czego jeszcze twój ojciec mógł używać poza *Władimirem*?

Spróbowała *Zabotinski*, *Żabo*, *WladimirZ* i kilkanaście innych kombinacji. Bez rezultatu. A potem ją olśniło. Bez zastanowienia chwyciła swoją komórkę i wybrała numer.

— Proszę z biurem Khalila al-Szafiego.

Uri podskoczył tak, że trzymany przez niego plik papierów rozsypał się po podłodze.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz...?

— Pan Khalil al-Szafi? Tu Maggie Costello z Departamentu Stanu

— powiedziała to swym odświętym, pozbawionym akcentu tonem.

— Wspomniał mi pan, że niedługo przed śmiercią Ahmed Nour dostał jakieś tajemnicze e-maile, w których proszono go o spotkanie? Właśnie. Od jakiegoś Araba, którego nazwiska nikt z rodziny nie znał. Chciałabym prosić, żeby podał mi pan to nazwisko. Obiecuję, że o nic więcej nie poproszę.

Dwukrotnie się upewniła, że wszystkie litery zapisała prawidłowo. Wiedziała, że nie ma miejsca na pomyłki. W końcu podziękowała Palestyńczykowi i rozłączyła się.

— Uri, znasz arabski?

— Trochę.

— Świetnie. Co po arabsku znaczy *nas tajibl*

— To akurat zupełnie proste. Znaczy: „dobry człowiek”.

— Albo, gdybyśmy to przełożyli na niemiecki, *gutt man*, prawda?

Rozdział 21

Londyn, sześć miesięcy wcześniej

Henry Blyth-Pullen poklepywał kierownicę w takt melodii będącej głównym tematem odcinków *Archers*. Tam-tii-tam-tii--tam-tam-tam, tam-tii-tam-tam-tam-tam. Był właściwie człowiekiem o niewygórowanych oczekiwaniach. Jeśli nawet życie zawodowe wpływało mu w otoczeniu olśniewających antyków i bezcennych dóbr kultury, jego osobiste wymagania były nader skromne. Ot, jak choćby teraz — jazda w popołudniowym wiosennym słońcu i perspektywa wysłuchania kolejnego odcinka radiowej opery mydlanej wystarczały, by wprowadzić go w wyśmienity nastrój.

Zawsze lubił prowadzić. Nawet tylko czterdziestopięciominutowa jazda z jego sklepu przy Bond Street na lotnisko Heathrow była czystą przyjemnością. W tym czasie żadnych telefonów, żadnego zawracania głowy. Dobra sposobność, by oddać się marzeniom na jawie.

Często jeździł na lotnisko, ale na szczęście nie do żadnego z głównych terminali pełnych zabieganych pasażerów i roz-wrzeszczanej tłuszczy w drodze na jakieś tandetne wakacje. Jego celem był terminal towarowy, do którego prowadził z autostrady wcześniejszy zjazd z reguły przegapiany przez większość pasażerów.

Wjechał na parking i bez trudu znalazł wolne miejsce. Przez chwilę został jeszcze w samochodzie, bo chciał wysłuchać do

końca dzisiejszego odcinka, w którym dla odmiany Jenny zaniosta się szlochem. Wsiadł, obciągnął marynarkę uszytą z materiału, który zwykł nazywać „współczesnym tweedem”, obrzucił pełnym czułości spojrzeniem swego wiekowego, ale lśniącego czystością jaguara i ruszył ku wejściu do budynku Ascentis Cargo.

— Witam ponownie — powiedział portier. — Wygląda na to, że nie może pan bez nas żyć.

— Nie przesadzaj, Tony. To dopiero trzeci raz w tym miesiącu.

— Interes musi iść jak burza.

— Jeśli mam być szczery — skłonił się, parodiując dworski ukłon — to nie narzekam.

Przy okienku wypełnił list przewozowy. W pozycji „rodzaj towaru” wpisał „wyroby rękodzielnicze”. Jako kraj pochodzenia podał Jordanię, co nie tylko było zgodne z prawdą, ale nie przyciągało również niczyjej uwagi. Import towarów z Jordanii był całkowicie legalny. W miejscu na kod wpisał długi ciąg cyfr, które Jaafar przedyktował mu wcześniej przez telefon. Na końcu podpisał się jako osoba upoważniona do odbioru przesyłki i przesunął wypełniony formularz przez szparę pod szybą okienka.

— Okay, panie Blyth-Pullen — powiedział Tony. — To potrwa tylko sekundkę.

Henry usiadł na swoim zwykłym miejscu w poczekalni i zaczął przerzucać stronicę wczorajszego „Evening Standard”. Jeśli sprawiał wrażenie zupełnie zrelaksowanego, to dlatego, że tak właśnie się czuł. Miał do czynienia z personelem British Airways, a nie ze służbą celno-akcyzową Jej Królewskiej Mości i choć wiedział, że celnik oczywiście rzuci okiem na papiery, nie pamiętał, kiedy ostatnio zdarzyło mu się zażądać otwarcia przesyłki, nie wspominając nawet o przeszukiwaniu skrzyni firmowanej nazwiskiem tak znanego i szanowanego importera. Prawda była bowiem taka, że celników niespecjalnie interesował handel sztuką. Ich głównym zmartwieniem był nielegalny przemyt narkotyków i ludzi, bo na to ich uczulono. Pod presją tabletołów władze węszyły głównie za crackiem, herą i Albań-

czykami, a nie za jakimiś starymi mozaikami. Jak to wielokrotnie próbował tłumaczyć zamartwiającej się żonie, służby mundurowe na Heathrow bardziej identyfikują się ze scenami z *The Sweeney* niż z cholernego *Antiques Roadshow**.

I rzeczywiście chwilę później Tony wrócił z plikiem papierów w ręce i szerokim uśmiechem na twarzy. Celnicy przystawili swoje pieczęcie na dokumentach. Henry Blyth-Pullen wypisał czek na trzydzieści funtów na koszty manipulacyjne i wrócił do samochodu. W oczekiwaniu na wezwanie do strefy zamkniętej z przyjemnością oddał się słuchaniu popołudniowego teatru radiowego na falach Radia 4. Po pewnym czasie podniesiono mu szlaban i Henry wjechał do środka. Minął kolejne rampy magazynowe, kierując się zgodnie z poleceniem Tony'ego do rampy numer osiem. Musiał jeszcze trochę poczekać na wydanie pojedynczej brązowej paczki, co potwierdził kolejnym podpisem na pokwitowaniu odbioru. Tym samym przesyłka została oficjalnie i w pełni legalnie wprowadzona do brytyjskiego obszaru celnego.

• • •

Przystępując do otwarcia paczki na zapleczu swego sklepu przy Bond Street, czuł radośnie przyspieszone bicie serca, jakim zawsze witał nadejście przesyłki specjalnej. Odczuwał niemal seksualne mrowienie w łądźwiach, jakiego doświadczył wówczas, gdy jako nastolatek palił po kryjomu pierwszego w życiu skręta w szkolnym internacie. Podważając wieko starej skrzynki do herbaty, uważał na drzazgi, które podczas otwierania miały zwyczaj wbijać się w palce. Myśli wypełniała rozkoszna ciekawość, tak dobrze znana każdemu dziecku, które z niecierpliwością rozrywa papier na pudle spod choinki: CO TAM JEST W ŚRODKU???

* *The Sweeney* — serial telewizyjny o konkurujących ze sobą wydziałach londyńskiej policji; *Antiques Roadshow* — amerykański cykliczny program dokumentalny, w którym jeżdżący po kraju eksperci wyceniają znajdowane u ludzi antyki.

Al-Naasri powiedział mu przez telefon, że ma oczekiwać turystycznych pamiątek. Sformułowanie to ucieszyło Henry'ego, bo domyślił się, że oznacza ono przedmioty dostarczone do Jordanii z zagranicy. Po zdjęciu pierwszych warstw styropianu i odwinięciu specjalnej folii zabezpieczającej poczuł się jednak trochę zawiedziony. Spod ochronnych opakowań jego oczom ukazało się sześć szwajcarskich domków pomalowanych na idiotycznie krzykliwe kolory. Uniósł pokrywkę w kształcie dachu, ale — ku jego rozczarowaniu — umieszczona w środku pozytywka odegrała melodię *Szarotki*.

Pod domkami w pudle znajdowały się jeszcze okropnie tandetne szklane ramki z ułożonymi we wzory plamami kolorowego proszku, zaopatrzone w niewątpliwie sfalszowane naklejki głoszące, iż zawierają *Autentyczny piasek z rzeki Jordan*. Wprawdzie al-Naasri nigdy wcześniej go nie zawiódł, ale Henry Blyth-Pullen zaczynał podejrzewać, że tym razem został wywiedziony w pole. Wreszcie, na samym dnie, znalazł owinięty w potrójną warstwę folii i bibułkę tuzin tandetnych bransoletek z talizmanami, jakie pospółstwo kupuje na pamiątkę w automatach na molo w Black-pool. Ze wszystkich przesyłek, jakie otrzymał w ciągu swojej osiemnastoletniej działalności w branży, ta robiła najbardziej rozczarowujące wrażenie. Ładne mi wyroby rękodzieła! Najzwyklejsze turystyczne badziewie i nic poza tym.

Słuchając słów al-Naasriego, uznał, że „pamiątki” są eufemizmem, którym rozmówca posługuje się z uwagi na rozmowę przez telefon, wyglądało jednak na to, że ten cholerny Arab nie żartował. Z drugiej strony od lat współpracował z Jaafarem al-Naasrim, który — jako dostawca — nigdy go dotąd nie zawiódł. Opadł na fotel i sięgnął po telefon. Trzeba to od razu wyjaśnić. Wybrał numer i odczekał na pojedynczy długi sygnał zagranicznego połączenia.

— Jaafar! Dziękuję za ostatnią przesyłkę. Jest, jakby to powiedzieć, dość zaskakująca.

— Podoba ci się piosenka?

— Ta z pozytywki? Tak, mmm, tak. Bardzo... melodyjna.

— To dzięki precyzji wykonania, Henry. Zajrzyj do środka bębna. Przekonasz się, jaka to stara robota. Wręcz starożytna.

— Rozumiem. — Przyciskając słuchawkę do ucha, Henry podszedł do skrzynki i wyjął z niej pierwszy z brzegu domek. By mieć lepszy dostęp do wnętrza, wyrwał wieczko z zawiasów i przyjrzał się mechanizmowi pozytywki. Chcąc zajrzeć do środka, musiał posłużyć się śrubokrętem.

— To miejscowy wyrób? — spytał, aby zyskać na czasie.

Szkoda mu było czasu na szukanie skrzynki z narzędziami, wziął więc ze stołu nóż kuchenny i zaczął nim wydlubować mechanizm pozytywki. Zadanie nie było łatwe, bo wszystko było idealnie spasowane. Cholerni Szwajcarzy i ta ich pieprzona dokładność! W końcu jednak udało mu się podważyć cały mechanizm i jego oczom ukazał się ukryty w bębnie przepiękny okaz cylindrycznej pieczęci.

— Ach, dopiero teraz rozumiem, o co chodzi w tych domkach! Wnętrze mechanizmu jest wspaniałe! Musi pochodzić z miejsca urodzenia tego, no, tej pozytywki. Tam, gdzie wszystko się zaczęło!

— A jak ci się podobają wzory z piasku?

— Ich bezpośrednia atrakcyjność jest trochę mniej oczywista.

— Przecież wiesz, że każde ziarnko piasku było niegdyś cząstką znacznie większej całości i tylko upływ czasu spowodował zmianę wyglądu zewnętrznego. Ale jak się dokładnie przyjrzeć tym ziarnkom, można w nich odnaleźć ślady dawnych skał i kamieni.

Henry wziął do ręki pierwszą z brzegu oszkloną ramkę i grzmotnął nią o kant dębowego biurka, rozsypując zawartość po dywanie. Obejrzał się niespokojnie na drzwi, upewniając się, że nikt z personelu lub — co gorsza klientów — nie usłyszał brzęku tłukącego się szkła.

Na dłoni została mu gliniana tabliczka zapełniona od góry do dołu pismem klinowym. Przysypana była drobinami piasku, które przylegały do niej jak połyskliwy brokat do włosów, ale które łatwo dawały się usunąć.

— Och, mój Boże, Jaafar, te wzory z piasku z Jordanu są wspaniałe! I widzę, że jest ich tu co najmniej...

— Dwadzieścia, Henry. Dokładnie dwadzieścia.

— Zgadza się. Rzeczywiście dwadzieścia.

— A nie uważasz, że talizmany na bransoletkach są wyjątkowo urocze? Przypominają delikatne wiosenne listki na drzewach, prawda?

Henry z podziwem pokręcił głową nad pomysłowością swojego dostawcy. Wszystko zostało świetnie obmyślane i wykonane. Jaafar przeszedł samego siebie. Dostrzegł powstałą w 2003 roku okazję, spokojnie odczekał, a teraz użył perfekcyjnego kamuflażu. Henry poczuł ogarniającą go dumę, że może w czymś takim uczestniczyć.

• • •

Następnego dnia umówił się na spotkanie z kolegą z British Museum Ernestem Freundelem. W Harrow* wspólnie kierowali Klubem Sztuki i już wtedy Freundel przewyższał go wiedzą. Kiedy z kolei Henry wpadł na pomysł wyszukiwania w albumach malarstwa aktów kobiecych i udostępniania ich kolegom po dziesięć pensów za jedno obejrzenie, stało się jasne, którego z kolegów czeka przyszłość w biznesie, a którego kariera naukowa.

Zwykle Ernest Freundel bez oporu wspierał szkolnego kolegę w jego kłopotach, choć powiększająca się między nimi przepaść majątkowa budziła w nim uczucie coraz większej zawiści. Jego pomoc sprowadzała się zwykle do identyfikacji dzieła sztuki, które trafiło do rąk Henry'ego, i dokonania jego wstępnej wyceny. Parę razy wymógł nawet na swoich szefach zakup tej czy innej pozycji i włączenie jej do zbiorów British Museum. Jednak tym razem było inaczej. Gdy tylko Henry wyciągnął z torby pierwszą cylindryczną pieczęć, Ernest aż się skulił i nawet nie chciał jej wziąć do ręki.

* Tu w sensie słynnej prywatnej szkoły dla chłopców, drugiej co do prestiżu po Eton.

- Skąd to masz, Henry?
- Z Jordanii.
- Nie kpij sobie. Może za pośrednictwem Jordanii, ale chyba obaj wiemy, skąd to pochodzi.
- Czy nie dlatego jest to aż tak cenne?
- Teoretycznie.
- To znaczy?
- To znaczy, że nikt z odrobiną oleju w głowie nawet nie pomyśli, żeby to kupić. To jest jak materiał radioaktywny. Istnieje przynajmniej pół tuzina międzynarodowych konwencji, które zabraniają handlu antykami zrabowanymi w Iraku.
- Ciii! — Sam też zniżył głos do szeptu. — Nie chcesz tego nawet obejrzyć? Nie jesteś choć trochę ciekaw?
- Pewnie, że jestem ciekaw. Ale to jest efekt jednej z największych zbrodni na kulturze w historii ludzkości! Nie mam zamiaru maczać w tym palców. Powinienem teraz zadzwonić na policję i cię zadenuncjować.
- Ale chyba tego nie zrobisz, prawda?
- Nie, ale powinienem. Idź już. I nie zapomnij zabrać ze sobą tego wora z łupami.

Henry specjalnie się tym nie przejął. Freundel zawsze był ciamajdą i takim pozostał. Ale miał rację. Nazwa kraju na „I” w sensie miejsca pochodzenia stała się tabu w handlu antykami. Rządy państw mocno zaangażowały się w walkę z przemytem przedmiotów skradzionych w Iraku i większość kolekcjonerów i nabywców wołała nie ryzykować. Trzeba poczekać, aż kurz trochę opadnie, mawiali. Poczekamy, aż Londyn i Waszyngton będą miały na głowie coś ważniejszego i bardziej wstydliwego niż gwałt popełniony na Bagdadzie — wtedy pogadamy. A na razie wolimy nie gadać.

Jedynym wyjściem było nadanie towarowi Jaafara pozorów legalności. Jeśli udałoby się nadać im pozory przedmiotów pochodzących z legalnego źródła, mógłby wówczas przystąpić do znacznie przyjemniejszego zadania, czyli do sprzedaży. Wiedział jednak, że nikt ich nie kupi bez odpowiedniego świadectwa

pochodzenia. Byłoby to zbyt ryzykowne, jako że w każdej chwili mogłyby zostać zarekwirowane i zwrócone Irakowi w zamian za nader skromną rekompensatę. Kolekcjonerzy wciąż mieli w pamięci to, co stało się z Munchami i Klimtami zrabowanymi przez nazistów. Ich nowi właściciele musieli się z nimi rozstać, choć od kupna minęło kilkadziesiąt lat. Żaden multimilioner nie miał ochoty na powtórkę takiego błędu.

Henry Blyth-Pullen odczekał parę dni i zadzwonił do starego znajomego Paula Cree, który w porównaniu z Ernestem miał jeszcze mniej pieniędzy, ale i znacznie mniej skrupułów. Henry zaproponował, żeby powtórzyć wypróbowany w przeszłości scenariusz, w ramach którego Cree dokonywał oględzin przedmiotów, fotografował je i pisał artykuł do jednego z fachowych czasopism w rodzaju „Minervy” czy „The Burlington Magazine” specjalizujących się w opisywaniu nowych znalezisk. Od chwili zaprezentowania ich w powszechnie szanowanym piśmie droga ku legalności nabierała tempa, a otaczająca je atmosfera podlegała metamorfozie. Nie były już dziełami zrabowanymi, tylko „odnalezionymi”. Historię pochodzenia i odnalezienia ogłaszano drukiem i zainteresowani kupnem mogli bez trudu zajrzeć do „The Burlington Magazine” i przekonać się na własne oczy, że Henry nie próbuje im wcisnąć jakiegoś baracha, tylko dzieło sztuki opisane w prestiżowym czasopiśmie. „Akurat tak się składa, że mam pod ręką ten numer. Chciałby pan może rzucić okiem?”. Za poświęcony czas i ekspertyzę Cree dostawał honorarium, które miało postać gotówki płatnej z kasy sklepu Hen-ry'ego przy Bond Street albo — rzadziej — udziału w zysku ze sprzedaży.

Ale tym razem nawet wolny od skrupułów Cree odmówił.

— Henry, przykro mi, staruszk...

Ten „staruszek” szczególnie zirytował Henry'ego, bo takimi wyrażeniami nie posługują się absolwenci zwykłego gimnazjum w Bedfordshire — a do takich należał Cree.

— ...przykro mi, ale teraz wszystkie pisma strasznie się wycwaniły. Trudniej się do nich wcisnąć niż do kuciapki zakon-

nicy. Nie chcą już drukować wszystkiego, co im się podrzuci. Już nie.

— Paul, ale to nie jest byle co.

— Wiem, staruszk, wiem. Ale pismaki boją się, że takie rzeczy mogą mieć, jak by to powiedzieć, niejasne pochodzenie.

— Niejasne?

— Że spadły z bagdadzkiej ciężarówki. Po tej historii z Irakiem wszystkim odbiło.

— To co mam zrobić?

— Przykro mi, Henry, Będziesz musiał znaleźć jakiś inny sposób.

Henry nie podzielił się swoimi kłopotami z al-Naasrim, a tymczasem wiadomości, jakie Jordańczyk zostawiał mu na poczcie głosowej, były coraz mniej przyjazne i coraz bardziej natarczywe.

— Henry, musimy porozmawiać. Nie zapominaj, że te pa miątki należą do mnie i że kosztowały mnie kupę kasy. Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie wykołować. Dla twojego dobra.

Henry zaczął się denerwować. Schował towar w najsolidniejszym, wyposażonym w podwójne drzwi sejfie sklepowym, ale mimo to ciągle był niespokojny. Wiedział, że te przedmioty muszą mieć znaczną wartość, bo inaczej Jaafar nie zadawałby sobie aż tyle trudu, żeby je przemycić.

W końcu zadzwonił do Lucindy z Sotheby's, co robił tylko w sytuacjach gardłowych.

— Witaj, kochanie — powiedziała, przeciągając sylaby i ostentacyjnie wydychając dym. — Czego sobie życzysz tym razem?

— Lucindo! Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że sobie czegoś życzę?

— Bo jak czegoś nie potrzebujesz, to nigdy do mnie nie dzwonisz.

— To nieprawda — zachnął się Henry, wiedząc doskonale, że jest właśnie tak, jak mówi. Nie licząc jednej, godnej pożalowania przygody łóżkowej po pijaku po bożonarodzeniowym party w Christie's, ich wzajemne relacje ograniczały się do prób

wykorzystywania jej przez niego na wszelkie możliwe sposoby. Łącznie z godną pożałowania przygodą łózkową. Gdyby zechciał się głębiej zastanowić nad dramatem dziewczyny, która w liceum należała do szkolnych piękności, a która nie wiedzieć kiedy przemieniła się w rozmemłaną babę w średnim wieku, może nawet poczułby dla niej współczucie. Ale Henry nie zastanawiał się nad takimi sprawami.

— Wręcz przeciwnie. Dzwonię, bo trafiła mi się prawdziwa okazja.

Umówił się z nią jeszcze tego samego popołudnia, jako zachęty używając zaproszenia na gin z tonikiem.

— No to co za cuda chcesz mi pokazać? — spytała.

Wyjął z kieszeni małe puzderko na biżuterię i położył na jej otwartej dłoni.

— Rany, Henry, chyba nie chcesz mi się oświadczyć, co?

Henry przewrócił oczyma, otworzył puzderko i pokazał jej parę delikatnych złotych kolczyków z pojedynczych złotych listków. Wydłubanie ich spośród tandety na bransoletkach wymagało wiele ostrożności, ale nie było zbyt trudne. Na szczęście kolczyki zostały wcześniej wielokrotnie obfotografowane i w jednym z katalogów natrafił na ich wyraźne kolorowe zdjęcie. *Fotografia reprodukowana za zgodą Narodowego Muzeum Starożytności w Bagdadzie*, głosił podpis pod zdjęciem.

— Boże święty, Henry. One są... one są...

— Bardzo stare. Mają cztery tysiące pięćset lat.

— Chciałam powiedzieć „zachwycające”. Cztery i pół tysiąca lat? Nie do wiary.

— Domyślasz się, co chcę zrobić, prawda?

— Pewnie tak. Ale powiedz.

— Chcę, żebyś je wprowadziła do sprzedaży tak, żebym mógł je od ciebie kupić.

— I w ten sposób je zalegalizować. *Zakupione na aukcji w Sotheby's*.

— Lucindo, to właśnie w tobie kocham. Twoją szybkość myślenia.

— Henry, ty niczego we mnie nie kochasz. Ale i tak nic z tego.

— Dlaczego?

— Powiedzmy tylko tyle, że do pewnego czasu pozwalano nam sprzedawać przedmioty pochodzące... stamtąd. I gdyby było tak nadal, te kolczyki kosztowałyby prawdziwą fortunę. Są bezcenne. Wykraczają grubo poza twoje możliwości. Więc musielibyśmy skłamać w ich opisie. A to miałyby się trochę z celem, nie uważasz?

— Mogłabyś powiedzieć, że zostały kupione od prywatnego kolekcjonera w Jordanii. To jest zresztą prawda.

— Tylko że wszyscy wiedzą, co się kryje pod hasłem „prywatny kolekcjoner z Jordanii”, no nie? Daj spokój, Henry. Wszyscy szukają kontrabandy stamtąd. Taki towar to pocałunek śmierci. Nawet tego nie tknę.

Henry zagapił się w resztkę ginu na dnie swojej szklanki.

— To co ja mam, do diabła, z tym zrobić? Przecież muszę to jakoś sprzedać!

— Kiedyś mogłabym cię skontaktować z bardzo bogatymi ludźmi, którzy z radością by po cichu to od ciebie kupili. Ale czasy się zmieniły. Ta afera z nazistowskimi łupami strasznie wszystkich przerażyła. Jeśli nie możesz dostarczyć dziesięciu świadectw pochodzenia, z których każde będzie w trzech egzemplarzach i z dwoma podpisami, nikt tego od ciebie nie kupi.

— A co ty byś zrobiła?

— Ja bym spokojnie przeczekała, kochanie. W którymś momencie popyt na tego rodzaju towar gwałtownie wzrośnie. Jest to zbyt piękne, żeby nie znalazło kupca. Ale jeszcze nie teraz.

Tego wieczoru Henry zadzwonił do Jaafara al-Naasriego, ale dopiero po łyknięciu kolejnych dwóch dużych drinków. Przygotował sobie całą przemowę, którą wygłosił jednak znacznie mniej płynnie, niżby sobie tego życzył. Na pewno przyczynił się do tego wypity alkohol, ale i zżerające go nerwy. Udało mu się jednak wydusić z siebie zasadnicze przesłanie: Jaafar będzie musiał mu zaufać i cierpliwie poczekać. Najcenniejsze i najbardziej rozpoznawalne przedmioty zostaną w sklepowym

sejfie Henry'ego lub jeśli Naasri woli, zostaną zdeponowane w banku Henry'ego — instytucji znanej z dyskrecji — i będą czekać na lepsze czasy.

— Wszędzie na świecie usłyszysz to samo — zapewnił go w odpowiedzi na groźbę, że Jordańczyk przeniesie swoje interesy do dealera w Nowym Jorku. — Amerykanie są w tych sprawach jeszcze ostrożniejsi od nas.

Ale nie miał dla Jaafara samych złych wieści. Na koniec zostawił sobie dla osłody trochę pogodniejszych wiadomości. W odniesieniu do pozycji mniej kłujących w oczy ma pewien plan, który pozwoli mu się ich pozbyć, i to dość szybko. Nie, wolałby nie mówić o szczegółach przez telefon. Ale wymyślił, co można zrobić z tymi glinianymi tabliczkami, i niedługo zajmie się tym osobiście.

Rozdział 22

Jerozolima, środa, godz. 15.14

— Nienawidzę mediów w tym kraju. Naprawdę. — Uri stał w oknie i przez szparę w zasłonie ostrożnie zerkał na ulicę.

— Mhm...

— Są jak sępy. Spójrz na nich. Kanał Drugi z satelitarnym wozem transmisyjnym. Nie dość, że już roztrąbili na cały świat wiadomość o śmierci rodziców, to muszą tu jeszcze tkwić.

— W innych krajach jest podobnie, Uri — Maggie mówiła to, nie odrywając wzroku od ekranu monitora. Miała zamiar wypróbować coś, co przyszło jej do głowy w związku z drugim adresem e-mailowym Szimona Guttmana. Zalogowała się jako Saeb Nastajib, bo tak były podpisane tajemnicze e-maile do Ahmeda Noura, a co w wolnym tłumaczeniu znaczyło „Szimon Guttman”. Jako hasła znów użyła imienia Władimir. Logowanie nie powiodło się. Niech to szlag trafi!

Odjechała z fotelem od biurka, wstała i przeciągnęła się. Pamiętała z dawnych lat, że w pracy z komputerem najbardziej uciążliwy był brak ruchu. Wyciągnęła ręce na boki, ściągnęła łopatki i dopiero spojrzenie Uriego uzmysłowiło jej, że tym samym wypięła piersi do przodu. Patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami. Szybko opuściła ramiona, czując, że już zdążył w pełni zarejestrować jej obraz.

— Uri, musimy przebrnąć przez to cholerne hasło. Wygląda, że powinno mieć dziesięć znaków. Władimir ma tylko osiem.

— Zawsze używał Władimira. Do wszystkiego.

— Więc potrzebne nam są jeszcze dwie litery. Otworzyła dodatkowe okno, weszła do Google i dowiedziała się, że Żabotinski używał także hebrajskiego imienia Ze'ew.

— Okay — powiedziała i wpisała *WladimirZJ*. Bez skutku. *WladimirJl*. Też nic. *WZZabotyngs*. *WZZabotyngl*. Przeleciała w ten sposób tuzin kolejnych kombinacji.

— A może tu chodzi o cyfry? Mógł przecież używać czegoś w rodzaju Władimir dwanaście albo Władimir dziewięćdziesiąt dziewięć. Przychodzą ci do głowy jakieś dwie cyfry o szczególnym znaczeniu?

— Spróbuj czterdzieści osiem. Rok powstania państwa Izrael.

— Świetny pomysł — ucieszyła się i wpisała *Wladimir48*.

Błędne hasło.

Uri podszedł bliżej i pochylił się nad nią, by lepiej widzieć ekran. Kątem oka dostrzegła szczecinę na jego nieogolonym policzku.

— A już miałem nadzieję, że to zadziała. Może to jednak nie Władimir...

— Albo chodzi o inny rok. Dla prawicowego... — W ostatniej chwili ugryzła się w język. — Dla ideowego nacjonalisty, jak twój ojciec, jest też inny rok, równie ważny jak tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy. Może nawet ważniejszy.

Wpisała *Wladimir67* i ekran nagle ożył. Pojawił się znaczek klepsydry sygnalizujący, że zawartość się ładuje. Skrzynka odbiorcza tajemniczego Saeba Nastajiba.

Na samej górze widniała wytłuszczona, czyli nieprzeczytana jeszcze wiadomość, na widok której mocniej zabiło jej serce. Nadawca: Ahmed Nour. Rzuciła okiem na datę nadania — wtorek, godzina 23.25, a więc dobre dwanaście godzin po swojej rzekomej śmierci. Kliknęła i otworzyła wiadomość.

Kim jesteś? I dlaczego pisziesz do mojego ojca?

— Zdaje się, że Nour junior wiedział o swoim ojcu równie mało jak ty o swoim.

- To może też być kobieta. Jego córka.
- Nie masz nic przeciwko temu, że przejrzymy korespondencję twojego ojca?
- Nie odpowiesz?...
- Wołałabym się zastanowić. Najpierw chciałabym zobaczyć, o czym do siebie pisali.

Otworzyła skrzynkę wiadomości wysłanych. Wszystkie były adresowane do Ahmeda Noura. Było jasne, że korzystali z tego kanału do utrzymywania stałych kontaktów. Guttman podpisywał się arabskim pseudonimem, więc ktoś sprawdzający korespondencję Noura niczego nie mógł podejrzewać.

Ostatnią wiadomość wysłał w sobotę o osiemnastej zero osiem, parę godzin przed wiecem, w czasie którego poniósł śmierć.

Ahmed, musimy pilnie o czymś porozmawiać. Próbowałem się dodzwonić, ale bez powodzenia. Czy możemy spotkać się w Genewie? Saeb.

Maggie cofnęła się do wiadomości wysłanej tego samego dnia o piętnastej pięćdziesiąt osiem.

Drogi Ahmedzie, mam nadzieję, że dostałeś moją wcześniejszą wiadomość. Daj mi znać, czy twoje plany pozwolą ci na szybki wypad do Genewy. Mamy dużo do omówienia. Z najlepszymi życzeniami. Saeb.

Była jeszcze jedna wiadomość wysłana tego samego dnia o dziesiątej czternaście i dwie wysłane poprzedniego dnia wieczorem.

We wszystkich była mowa o planowanym wyjeździe do Genewy. Nigdzie natomiast nie znalazła odpowiedzi Noura na którykolwiek z tych e-maili. Czy coś się między nimi wydarzyło? Czy Ahmed zaczął unikać swego izraelskiego kolegi? I skąd ten nagły wyjazd do Genewy?

Uri odłożył papierzyska, przysunął krzesło do biurka i wpatrzył

się w ekran. Po wyrazie jego twarzy było widać, że jest równie zaskoczony jak Maggie. Uprzedzając pytanie, spojrział na nią i pokręcił głową.

— Nawet nie wiedziałem, że ojciec jeździł do Genewy.

— Wygląda na to, że nie wiedziałeś o nim wielu rzeczy. Czy prowadził coś w rodzaju dziennika? Wiesz, na przykład notatki w kalendarzu książkowym.

Uri zaczął przeglądać rupiecie na regale, ale aby zajrzeć na dolne półki, musiał klęknąć na podłodze. Maggie wróciła do komputera. Zajrzała do historii przeglądarki i wyszukała listę adresów internetowych, które Guttman odwiedzał w ostatnich dniach życia. Rozglądała się za biurami podróży, informacją Swissair, przewodnikami po genewskich hotelach — czymś, co mogłoby rzucić światło na plany Guttmana i Noura. Intrygowała ją ich znajomość, tak zaskakująca i zupełnie nieznaną najbliższym. Była pewna, że ma to związek z ostatnimi wydarzeniami. Może to zwiastować całą serię podobnych aktów przemocy i, o ile ktoś im w porę nie zapobiegnie, doprowadzić do zerwania rozmów pokojowych.

— Uri, podaj mi jeszcze raz tę komórkę.

Wzięła ją do ręki, wiedząc, że wcześniej popełniła głupi błąd. Sprawdziła tylko wiadomości tekstowe, które wyraźnie zostały przez kogoś skasowane, natomiast nie zajrzała do historii połączeń wychodzących. Po kilkakrotnym naciśnięciu przycisków na wyświetlaczu pojawiła się lista wybranych numerów. Na samej górze widniał ślad po rozmowie, którą Guttman odbył w sobotę po południu. Odnotowany był nie numer, tylko nazwisko rozmówcy.

— Uri, kto to jest Baruch Kiszon?

— No, nareszcie coś, co nie jest tajemnicą. To znany izraelski dziennikarz. Ma stałą rubrykę w „Maariv”. Osadnicy go kochają, bo od roku co tydzień czepia się Jariwa. Byli z ojcem bardzo zaprzyjaźnieni.

— Myślę, że powinniśmy odwiedzić pana Kiszona. I to jak najszybciej.

Rozdział 23

Jerozolima, środa, godz. 15.10

Amir Tal starał się jak mógł nie okazywać po sobie zafascynowania, może wręcz oszołomienia. Od chwili objęcia funkcji w urzędzie premiera miewał częste kontakty ze służbami wywiadowczymi, bo trafiały do niego raporty, analizy i biuletyny wywiadowcze. Nigdy natomiast nie wtajemniczano go w metody operacyjne. Nie miał pojęcia, jak zbierano informacje zawarte w stosach papieru gromadzących się na jego biurku. Służbę wojskową odbywał w opancerzonym transporterze osobowym, służył w brygadzie Golani i swą służbę uważał za wystarczająco prestiżową, jednak to nawet się nie umywało do tego, w czym teraz uczestniczył. Siedząc tu, mógł się wszystkiemu z bliska przyglądać i jakby tego było mało, sam tym wszystkim dowodził.

— Mogę posłuchać? — Dał znak ręką kobiecie siedzącej przed ścianą monitorów przy czymś, co przypominało konsolę didżeja. Ściągnęła z głowy słuchawki i podała Talowi, który założył je tak jak ona: jedna nasunięta na ucho, druga zsunięta na policzek.

— Męski głos, który pan słyszy, należy do Uriego Guttmana, syna zabitego. Głos kobiecy to ta Amerykanka, Maggie Costello.

— Irlandka — mruknął Tal bardziej do siebie niż pod adresem operatorki. Głosy były bardzo wyraźne. Costello poleciła Guttmanowi, aby rozejrzał się za dziennikiem ojca, słysząc było nawet szelest przekładanych papierów. Tal pomyślał, że o Szin

Bet można mówić różne rzeczy, ale trzeba przyznać, że są niesłychanie sprawni. Dosłownie w ciągu paru godzin zorganizowali całą operację podsłuchową.

— I to wszystko da się zrobić z tego wozu transmisyjnego pod domem?

— Jak ma się do dyspozycji odpowiednio wycelowane mikrofony kierunkowe, to nawet przez zamknięte okna da się usłyszeć bardzo dużo. Zwłaszcza jeśli ma się coś dodatkowo w środku.

— Ale przecież wy nie macie. Więc jakim cudem ten dźwięk jest taki czysty?

Operatorka wetknęła w boczne gniazdo komputera drugą parę słuchawek, aby też móc słuchać, i lekko się uśmiechnęła.

— To jednak macie coś wewnątrz! Ale jakim cudem?! — niemal wykrzyknął, jednak natychmiast się opanował. Nie powinien okazywać zbytniego entuzjazmu.

— No cóż, ostatnio przyniesiono do tego domu mnóstwo kwiatów, a także paczek z żywnością. Powiedzmy, że jeden z bukietów miał nie tylko pięknie wyglądać.

Amir zdjął słuchawki i położył rękę na ramieniu kobiety. Świetna robota, tylko tak dalej.

Nie było potrzeby dłużej słuchać. Drugi operator nie tylko prowadził stały nasłuch, ale wszystko stenografował. Gdyby usłyszał coś ważnego, miał o tym natychmiast meldować.

— Spójrz, Amir, to cię może zainteresować — odezwał się mężczyzna, który od początku akcji nie odrywał oczu od ekranu monitora. Tal w każdym razie miał takie wrażenie i nawet był ciekaw, w co się tak wpatruje, ale głupio mu było zapytać.

Ujrzawszy obraz na ekranie, poczuł lekki zawód. Widać na nim było typową stronę poczty elektronicznej ze skrzynką odbiorczą — bardzo podobną do tej, jakiej używał w domu do prywatnej korespondencji. Nie widział w tym nic niezwykłego.

Dopiero po chwili to do niego dotarło. Poruszający się po ekranie kursor robił to sam, bez udziału człowieka. Obie ręce operatora pozostawały nieruchome.

— O co tu chodzi?

— Oglądasz zawartość komputera Szimona Guttmana, na którym pracują ta kobieta i jego syn.

— Macie podgląd z kamery?

Mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby miał przed sobą opóźnione w rozwoju dziecko.

— Nie, nie mamy żadnej ukrytej kamery. To tylko taki programik *CichaNoc*. — Zawiesił na chwilę głos, stosując typowy trik specjalisty, który pozwala laikowi uświadomić sobie swoją ignorancję, po czym mówił dalej: — Sprytny programik, który instaluje się w czyimś komputerze i w ten sposób uzyskuje dostęp do zasobów na poziomie systemowym, czyli dokładnie to, o co nam chodzi. — Po minie Tala widział, że ten wciąż jeszcze nie w pełni nadaża. — Dzięki temu mamy dostęp do wszystkich danych w komputerze. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy stąd zdalnie na nim pracować.

— Jak to? To znaczy, że gdybym napisał coś na tej klawiaturze, to pojawiłoby się to na ekranie tamtego komputera?

— Mhm. Tylko nie próbuj! — Zakrył dłońmi klawiaturę i myszkę jak uczeń, który podczas egzaminu zasłania swoją pracę przed kolegą. — Jeśli zauważą, że kursor sam się porusza, to od razu się zorientują, że siedzimy im na karku. Chyba że pomyślą, że to duch Guttmana próbuje ich odstraszyć od komputera.

— Więc można tylko patrzeć?

— Tak. Ale wszystko, co tam napiszą, pojawi się u nas na ekranie. Na przykład teraz próbują się dostać do jego skrzynki pocztowej.

Rozległ się głos operatorki od nasłuchu.

— Mamy rozmowę telefoniczną. Costello właśnie dzwoni do Khalila al-Szafiego w Ramallah.

Tal podszedł do konsoly i wyciągnął rękę po drugą parę słuchawek, jednak operatorka była zbyt skupiona na wsłuchiwaniu się w każde słowo, by to od razu zauważyć. Nim założył słuchawki, rozmowa telefoniczna dobiegła już końca i usłyszał tylko głos Costello zwracającej się do Uriego Guttmana:

„Świetnie, co po arabsku znaczy *nas tajib?*”.

Chwilę później człowiek przy komputerze przywołał Tala nagłym ruchem ręki. Tal pomyślał, że czuje się trochę jak dzieciak w salonie gier komputerowych, który przechodzi od jednej maszyny do drugiej i obserwuje, jak grają starsi bracia.

Operator z napięciem wpatrywał się w ekran.

— Oho, to ciekawe — mruknął.

— Co oni robią?

— Obserwuj to okienko z prawej. Właśnie logują się pod nazwiskiem, które słyszeliśmy przed chwilą. Saeb Nastajib. Teraz wypróbują różne hasła. — W polu hasła pojawiały się kolejne rzędkie gwiazdek. Mężczyzna kliknął i otworzył dodatkowe okienko, w którym widać było wpisywane hasło. — Próbuje *WladimirZ*. Nic z tego.

— Jak to możliwe, że ty to widzisz? Przecież nawet na ich ekranie wprowadzane hasło jest zakodowane.

— Dlatego *CichaNoc* jest taką perełką. Rejestruje każde naciśnięcie klawisza. Jeśli nawet tam tego nie widać, my dostajemy pełną informację. Ups! *Wladimir48* i znowu nic.

— Dobra, daj mi znać, jak będzie coś ważnego.

Amir Tal nie musiał długo czekać. Dziesięć minut później zespół obserwacyjny w wozie transmisyjnym Kanału 2 pod domem Guttmanów poinformował, że Costello i Guttman junior wyjeżdżają z domu i zapewne jadą do mieszkania dziennikarza, Barucha Kiszona. Jednocześnie program *CichaNoc* ujawnił, że Szimon Guttman i Ahmed Nour prowadzili korespondencję, w której ten pierwszy posługiwał się arabskim pseudonimem i czysto syjonistycznym hasłem *Wladimir67*. Obaj panowie umawiali się na spotkanie w Genewie.

— Dobra, teraz wszyscy mnie posłuchajcie — zaczął Tal. Widać było, jaką satysfakcję sprawia mu rola zawiadującego akcją. — Potrzebuję maksimum danych wywiadowczych na temat Noura: kim był, dlaczego zginął i o czym, do diabła, rozmawiali z Guttmanem. Chcę wiedzieć, co oni knuli. Czy to było przymierze dwóch ekstremistów? Porozumienie dwóch

wrogów procesu pokojowego, którzy postanowili połączyć siły w celu zerwania rozmów? Nawiążcie kontakt z Mossadem w Genewie. Dowiedźcie się, czy dochodziło do wcześniejszych spotkań między tymi dwoma. Sprawdźcie ich wyjazdy w ciągu ostatniego roku. Jeśli to nic nie da, cofnijcie się jeszcze wcześniej. Muszę mieć wszystko, czego się dowiecie. Także Khalil al-Szafi. Co powiedział Costello? Dlaczego do niego zadzwoniła? I co dokładnie łączyło go z Ahmedem Nourem? Odpowiedzi są mi potrzebne natychmiast. Czy on w końcu jest za rozmowami pokojowymi, czy nie? Bo jeśli sabotuje je od wewnątrz, chcę o tym wiedzieć. Myślę, że o najważniejszej sprawie nie muszę nawet wspominać. Nie spuszczaamy z oka Costello i Guttmana. I za wszelką cenę musimy dotrzeć do Barucha Kiszona przed nimi. Do roboty!

Rozdział 24

Szosa Afula-Bet Szean, północny Izrael, środa, godz. 20.15

Ich instrukcje były ścisłe: dostać się do środka, przeszukać i ewentualnie zniszczyć, po czym wycofać się. I w żadnym razie nie dać się złapać. Szef operacji powiedział jasno: to nie jest misja samobójcza.

W samochodzie było ich czterech. Nigdy przedtem się nie spotkali i znali tylko swoje pseudonimy nadane im do tej akcji: Ziad, Daoud, Marwan i Salim. Dowodził Ziad.

Ziad rzucił okiem na zegarek i raz jeszcze pomyślał z troską, że cała operacja zaczyna się bardzo niefortunnie. Było o wiele za wcześnie. Dużo lepiej napadać późno w nocy, ale szef uparł się, że sprawa jest pilna i nie ma ani chwili do stracenia.

— Skręć tutaj — rozkazał. Wąska droga prowadząca w bok szybko zamieniła się w polną dróżkę nadającą się bardziej dla traktora niż ich wynajętego subaru. — Wjedź w pole. Dobra, zgaś silnik.

Pole porośnięte było krzewami bawełny na tyle wysokimi, że samochód bez trudu w nich się skrył. Dokładnie tak, jak im powiedziano. Zwiad wypełnił swoje zadanie.

Naciągnęli na siebie czarne kombinezony, Ziad wręczył im kominiarki i sprawdził, czy nie trzymają przy sobie niczego, co mogłoby umożliwić ich identyfikację. Każdy miał w kieszeni niedużą latarkę, zapalniczkę i nóż, w ręku krótki karabin —

półautomatyczny pistolet maszynowy Jericho. Do pleców Ziada i Marwana przytroczone były kolarskie bidony. W obu znajdowała się benzyna.

Wszyscy znali dokładnie plan akcji: dwudziestominutowy marsz przez kibucowe pole do miejsca, z którego będzie widać cel, upewnienie się, że w pobliżu na pewno nikogo nie ma, i szybkie wyjście z ukrycia.

Ziad patrzył na zbliżającą się linię lamp otaczających pole. Wkrótce dotrą do miejsca, gdzie skończy się pole uprawne i zacznie wyasfaltowany parking dla gości i wewnętrzne drogi dojazdowe. Wszystko będzie dobrze oświetlone i tym samym stanowić będzie najryzykowniejszą część ich przeprawy.

Chwilę później ujrzeli podświetlony napis po angielsku i heb-rajsku witający gości w kibucu Hefziba, domu legendarnej synagogi Bet Alfa. Ziad na migi polecił reszcie przyspaść do ziemi, a następnie wszyscy czterej schyleni najniżej, jak się dało, przebiegli kolejno do miejsca, gdzie — według planu Ziada — znajdowało się wejście do budynku dla gości. Tak jak się spodziewali, drzwi były zamknięte. Ziad dał znak głową Marwanowi, który wyważył je kawałkiem pręta. Wsunęli się do środka. Ostatni wszedł Ziad, upewniwszy się wcześniej, że sforsowanie drzwi nie zwróciło niczyjej uwagi.

Wewnątrz panowały absolutne ciemności, mimo to zapalili latarki dopiero po przejściu kilkunastu kroków. Nie mogli ryzykować, że ktoś zauważy poświatę przez oszklone drzwi wejściowe. Pierwszy zapalił swoją Ziad, rzucając snop światła na główną atrakcję tego miejsca, która przyciągała tu turystów już od lat trzydziestych ubiegłego wieku.

Była nią idealnie zachowana mozaika podłogowa z czasów rzymskich mająca około dziesięciu metrów długości i pięć metrów szerokości. Nawet w bladym świetle latarki widać było wzory utworzone przez niezliczone kwadraciki w soczystych barwach żółci, zieleni, ochry, brązu, czerwieni ciemnej jak wino i jasnej jak cegła, a także głębokiej czerni, bieli i różnych odcieni szarości. Tak, jak mu powiedziano, mozaika dzieliła się

na trzy wyraźne części. Na górnej widać było zarys synagogi z dwiema tradycyjnymi żydowskimi menorami, dolna przedstawiała natomiast dość prymitywny, jakby wykonany dziecinną ręką, rysunek Abrahama składającego w ofierze syna Izaaka.

Jednak wzrok przyciągała część środkowa, największa, ukazująca krąg podzielony na dwanaście segmentów odpowiadających znakom zodiaku. Ziad prześlizgnął się światłem latarki po kolejnych symbolach i zatrzymał na najlepiej zachowanym Skorpionie. Obok widniały znaki Bliźniąt, Barana i Strzelca. Nie powinien marnować czasu, ale nie potrafił się powstrzymać. To liczące ponad tysiąc pięćset lat dzieło pradawnej sztuki zachowało taką pełnię barw, że nie można było oderwać od niego oczu.

— Dobra, wiecie, co macie robić. — Marwan zajął się górną częścią, Daoud dolną, a Salim skoncentrował się na znakach zodiaku. Szukali choćby najmniejszego śladu wskazującego na to, że coś tu ostatnio robiono, że naruszono starożytną mozaikę lub że pod nią kopano. Gdyby na coś się natknęli, mieli natychmiast powiadomić pozostałych i wspólnymi siłami to znaleźć.

Ziad miał inne zadanie. Musiał odnaleźć pomieszczenie biurowe muzeum i dokładnie je przeszukać. Sprawdzić zawartość każdej szuflady i każdej szafki na dokumenty. Jeśli w biurze jest sejf, miał go otworzyć i dokładnie przejrzeć całą jego zawartość. Szef wyraził się jasno: „Musiał to chować w pośpiechu. Nie miał czasu na szukanie wymyślnej kryjówki. Jeśli tam jest, to na pewno to znajdziesz”.

Ziad zaczął od szuflad w biurku. Pełne były typowych szpargałów: gumowych opasek, wizytówek, taśm klejących, kopert. W jednej z szuflad natrafił na rokujące nadzieję metalowe pudełko w rodzaju tych, w jakich trzymało się kiedyś tytoń fajkowy. Miało odpowiednią wielkość i wagę, okazało się jednak, że w środku są tylko legitymacje członkowskie Towarzystwa Przyjaciół Muzeum. Były ściągnięte gumką i przy potrząsaniu pudełkiem wydawały dźwięk, jakby w środku znajdował się jeden masywny przedmiot.

Właśnie miał się zabrać do szafki z dokumentami, gdy usłyszał dochodzący z zewnątrz dźwięk — jakby chrzęst stóp na żwirze przed budynkiem. Chwilę później pomieszczenie biura rozjaśnił snop światła. Ktoś omiatał latarką cały budynek.

— *Mee zeh?* Jest tam kto?

Nie czekając na rozkaz Ziada, członkowie grupy natychmiast zgasili latarki i zamarli w bezruchu. Zwykle wystarczy to, aby nocny stróż doszedł do wniosku, że zauważony błysk był tylko odbiciem w szybie światła własnej latarki, i poszedł dalej. Wybór między uciążliwym otwieraniem zamkniętego na noc budynku a machnięciem ręką często kończy się tym drugim. Odwieczny sprzymierzeniec nocnych włamywaczy na całym świecie: wygoda i lenistwo ochroniarzy.

Jednak tym razem mieli do czynienia z kimś innym. Dozorca ruszył w stronę budynku i widać było, jak na przeszklonych drzwiach wejściowych rośnie plama światła jego latarki. Wsluchując się w brzęk kluczy, Ziad znieruchomiał z dłonią na uchwycie szuflady szafki na dokumenty. Był pewien, że dozorca lada chwila zorientuje się, iż drzwi zostały wyważone.

Nie było czasu do stracenia. Wyciągnął pistolet z kabury i wyszedł na korytarz prowadzący prosto do wejścia. Widać było, jak dozorca unosi głowę i zauważa nie tyle ich samych, ile ich wyolbrzymione cienie rzucane na ściany przez światło jego latarki. Bez wahania wycelował w widoczną za szybą głowę dozorca i wystrzelił tylko jeden dziewięćmilimetrowy pocisk.

Huk rozpryskującej się szyby i eksplodującej czaszki dozorca stał się sygnałem do natychmiastowej zmiany planów. Od tej chwili nadrzędną sprawą przestało być szukanie, a stało się zatarcie wszelkich śladów, które mogłyby wskazać na rzeczywisty cel misji. Ziad zawrócił do pomieszczenia biurowego, ale tylko po to, by zrobić tam możliwie jak największy bałagan. Powyciągał szuflady i wysypał ich zawartość, przewracał szafki na dokumenty i jednym pociągnięciem ręki zgarnął wszystko z biurka na podłogę. Na koniec kolbą pistoletu potłukł wszystkie szyby w oknach.

Odwróciwszy się, zobaczył, że Marwan i Daoud wnoszą martwe ciało dozorca. Po cichu odliczyli do trzech, zrobili zamach i rzucili zwłoki na zasłaną rupieciami podłogę. Ciało z chrzęstem runęło na odłamki szkła. Następnie Marwan płynnym ruchem ściągnął z pleców bidon, odkręcił nakrętkę i zaczął polewać podłogę benzyną.

Salim, który pozostał na zewnątrz, zapalił latarkę i oświetlił ścianę pokrytą planszami reklamującymi skarby muzeum Bet Alfa. Wziął do ręki puszkę czerwonej farby w sprayu i zaczął spokojnie pokrywać plansze ogromnymi kulfonami graffiti. Napis po arabsku głosił: *Nie ma pokoju dla Izraela bez sprawiedliwości dla Palestyny. Nie ma snu dla Bet Alfa, póki nie uśnie Jenin.*

Skończył pisać i dołączył do reszty stojącej pod drzwiami biura. Ziad w milczeniu obrzucił ich pytającym spojrzeniem, potem wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapaloną wrzucił do środka. Ogień błyskawicznie ogarnął polane benzyną ciało ochroniarza.

Płomienie wystrzeliły tak gwałtownie i tak wysoko, że przez dwudziestominutową, odbywaną w milczeniu drogę powrotną przez pole widzieli je jak na dłoni. Pierwszy wóz strażacki przejechał w chwili, gdy dochodzili do ukrytego w krzewach bawełny samochodu. W drodze do Afuli minęli jadące z naprzeciwka dwie kolejne jednostki straży pożarnej i kilka radiowozów policyjnych. Ziad sięgnął po telefon komórkowy. Chciał przekazać szefowi meldunek: „Schowek już nie istnieje”.

Rozdział 25

Port lotniczy Ben-Guriona, pięć tygodni wcześniej

Henry Blyth-Pullen nienawdził latać, obojętne gdzie i kiedy. Jeszcze zanim wydano wojnę terroryzmowi i Henry zaczął się obawiać, że jakiś uzbrojony w nożyczki szaleniec skieruje samolot w wieżę z Big Benem, cholerne latające pudła już budziły w nim strach. Najgorszy był zawsze start. Podczas gdy wszyscy wokół siedzieli ze wzrokiem zatopionym w „Daily Telegraph” czy „Hello”, on tak wpijał palce w klamrę pasa bezpieczeństwa, że aż mu białały knykcie. Wycie silników i mozolne nabieranie wysokości robiło na nim wrażenie czegoś okropnie niebezpiecznego, ale nie tylko. Także czegoś przeciwnego naturze. Według niego unoszenie się w powietrzu potężnej masy metalu przeczyło prawu ciężenia, nie wspominając już o prawach Wszzechmogącego. Trudno się dziwić, że jest tyle wypadków. Bóg daje nam w ten sposób do zrozumienia, że mamy się trzymać swojego miejsca i tkwić na ziemi. Wystarczy wspomnieć historię Ikarów...

Henry powtarzał to sobie za każdym razem, kiedy przychodziło mu zapinać cholerny pas. Stało się to czymś w rodzaju rytuału. Wprawdzie nigdy nie przyznałby się, że jest przesądny, jednak w głębi ducha wierzył, że ta adresowana do Stwórcy pokorna skrucha za nieposkromioną pychę ludzi, którzy uparli się, by latać, chroni go przed nieszczęściem. Był pewien, że

gdyby o tym zapomniał i uznał latanie za coś naturalnego, jego samolot spadłby jak kamień na ziemię.

Tym razem miał dodatkowe powody do niepokoju, który narastał w nim przez wiele dni jeszcze przed wyjazdem na lotnisko. W bagażu podręcznym miał ukryty komplet glinianych tabliczek, które postanowił wywieźć prawie pięć tysięcy kilometrów od Londynu. Nie oczekiwał, że zbije na nich fortunę — przedmioty, na które mógł pod tym względem liczyć, leżały bezpiecznie w sejfie i czekały na zmianę klimatu politycznego — ale miał nadzieję, że ich sprzedaż pomoże mu nieco podreperować stan konta bankowego. Nie wspominając o tym, że chciał powiadomić Jaafara al-Naasriego, iż jednak udało mu się coś sprzedać. O tym, że towar wracał niemal do punktu wyjścia — a w każdym razie niepokojąco blisko — nie miał zamiaru informować ani jego, ani nikogo innego. Tak bardzo przypominało to wożenie piachu na Saharę, że czułby się zażenowany.

Problemem było jednak to, jak je przemycić. Nie staje się przecież do odprawy celnej z walizką pełną cennych antyków. Jaafar wykazał tak ogromną pomysłowość, żeby je stamtąd wysłać, że Henry nie mógł ich wwozić ot, tak sobie.

Tak się złożyło, że pomysł podsunęła mu niezawodna Lucinda. Oczywiście nie zrobiła tego świadomie. Aż tak bystra nie jest. Po prostu wspomniała o tym przypadku. Rozgadała się o jakichś znajomych, którzy postanowili wynieść się z Anglii i osiedlić na Barbadosie czy gdzieś tam. Opowiedziała mu, jak nie tęsknią za angielską pogodą ani za — nie uwierzysz! — angielską telewizją. Jediną rzeczą, jakiej im tam brakuje, jest angielska czekolada. A ściślej „czekula”, bo tak ją wymówiła, kończąc właśnie trzeci gin z tonikiem.

— Podobno ichnia czekula jest do niczego — oświadczyła głosem bliskim bełkotu. — Nawet nie smakuje jak prawdziwa. Robią ją z jakiegoś roślinnego świństwa. — Henry prawie jej nie słuchał. — No i teraz, jak ich ktoś odwiedza, to ma uroczyście przykazane, żeby przywiózł ze sobą skrzynię mlecznej fruit

& nut i tyle green & black, na ile starczy mu kasy. Sophie mówi, że oboje przytyli po co najmniej sześć kilo...

Nim Lucinda dotarła do końca zdania, Henry już wiedział, że właśnie znalazł to, czego szukał. Wracając do domu, zatrzymał się na stacji benzynowej i kupił więcej czekolad niż przez całe swoje dotychczasowe życie — po jednej tabliczce prawie wszystkiego, co jest na rynku. Następnego dnia zasiadł na zapleczu sklepu i zaczął eksperymentować z glinianą tabliczką w jednej ręce i kolejną czekoladą w drugiej. Dobierał właściwą długość, szerokość, grubość, ale przede wszystkim wagę. Strzałem w dziesiątkę okazała się w końcu średnia tabliczka czekolady z orzechami Whole Nut.

Ostrożnie ściągnął papierową obwolutę, uważając, by jej nie podrzeć, potem odwinął złocistą folię z taką pieczołowitością, jakby miał do czynienia ze szczerym złotem. Wyjął z folii czekoladę i zastąpił ją glinianą tabliczką. Potem do obu jej końców dokleił po dwa rzędy czekolady, każdy o szerokości trzech kwadracików, na koniec owinął całość w folię i wsunął gliniano-czekoladową hybrydę w papierową obwolutę. Rozrywająca się w palcach folia i drący się papier spowodowały, że zużył niemal sto opakowań czekolady, zanim udało mu się sprepować dwadzieścia idealnych tabliczek nadających się do zawieszenia stęsknionym angielskich wyrobów krewnym.

Tabliczki ułożył równo na dnie podręcznego neseseru. Przez chwilę rozważał, czy nie schować ich do kasetki, ale uznał, że mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Wyroby Cadbury'ego są dobre, ale bez przesady. Będzie musiał zaryzykować i zostawić je luzem na widoku, jakby istotnie nie były niczym więcej jak tylko wysokokalorycznym przysmakiem dla stęsknionego za domem siostrzeńca czy siostrzenicy.

Pierwszym sprawdzianem jego nerwów okazała się kontrola bezpieczeństwa na lotnisku Heathrow. Doniesienia o materiałach wybuchowych w płynie spowodowały, że strach ogarnął nie tylko przeczulonych pasażerów w rodzaju Henry'ego, ale także personel lotniska, który zaczął się czepiać wnoszenia na pokład

wszelkich artykułów żywnościowych, na co wcześniej w ogóle nie zwracano uwagi. Henry obiecał sobie w duchu, że jeśli nawet go zatrzymają, zachowa spokój i będzie się upierać przy swoim. Położył neser na pasie transmisyjnym i ze swobodą, jaką potrafił z siebie wykrzesać, przeszedł przez bramkę wykrywacza metali.

— Przepraszam, sir — powiedział pracownik ochrony i rozłożył szeroko ręce, zachęcając w ten sposób Henry'ego, by zrobił to samo. Zapomniana garstka bilonu w kieszeni spowodowała, że wykrywacz zapiszczał. Pracownik dał znak, że Henry może przejść.

Oddychając z ulgą, sięgnął po neser wyjeżdżający z maszyny prześwietlającej.

Powstrzymała go czyjaś ręka.

— Momencik, sir. Zechce pan otworzyć walizkę.

— Tak, oczywiście. — Henry uśmiechnął się i odsunął suwak.

— Laptop?

— Tak.

— Tam jest napisane, sir, że komputery przechodzą kontrolę oddzielnie. Proszę to przepuścić jeszcze raz.

Henry poczuł, że wilgotnieją mu dłonie. Jaką ma szansę, że dwadzieścia tabliczek czekolady zostaną niezauważone po raz drugi?

Jednak w chwili, gdy jego neser po raz drugi przejeżdżał przez maszynę, pracownik siedzący przed ekranem odwrócił głowę i rzucił jakiś żart do kolegi. Trwało to nie dłużej niż trzy, cztery sekundy, ale zdarzyło się akurat w momencie, gdy na ekranie pojawiło się w pełnej krasie — niezakrytej jak wcześniej przez laptop — dwadzieścia tabliczek czekolady. To jednak wystarczyło i Henry poszedł dalej.

Podczas gdy na pokładowym ekranie pasażerowie oglądali jakiś film, Henry odtwarzał tę scenę w myślach, dziękując Bogu, Jezusowi i wszystkim świętym, jacy mu tylko przyszedli do głowy. Jednak gdy samolot zaczął schodzić do lądowania w Tel Awiwie, poczucie ulgi ustąpiło miejsca nowemu atakowi niepokoju.

Miał tylko bagaż podręczny, podszedł więc od razu do stanowiska kontroli paszportowej.

— Jaki jest cel pańskiej wizyty w Izraelu? — spytała nie więcej niż osiemnastoletnia dziewczyna w budce.

— Odwiedzam siostrzeńca, który jest tu na studiach.

— Gdzie studiuje?

— Na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. — Henry miał dwóch zaprzyjaźnionych Żydów, do których wcześniej zadzwonił. Delikatnie wypytał o synów, którzy akurat odbywali roczną przerwę między szkołą a studiami, i skrupulatnie wynotował sobie wszystkie uzyskane szczegóły.

Została mu już tylko jedna, ostatnia przeszkoda: kontrola celna. Jako przedstawiciel rasy białej w średnim wieku przywykł do tego, że kontrola celna na Heathrow praktycznie go nie dotyczyła. Przechodził bez zatrzymania i tylko zerkał na kontrolowanych nieszczęśników — z reguły Afrykanów lub Azjatów — którym kazano opróżniać walizki i sprawdzano całą ich zawartość łącznie z wyciskaniem tubek z pastą do zębów. Rasizm jest oczywiście czymś obrzydliwym, ale dla takiego podróżnego jak on okazywał się czasem bardzo przydatny.

Tylko że tu po raz pierwszy w życiu jego także zatrzymano. Znudzony nieogolony celnik przywołał go gestem ręki i bez słowa wskazał na ciągnięty na kółkach nesesor. Henry położył go na dzielącej ich metalowej ladzie i odciągnął suwak.

Celnik pogrzebał w jego gatkach, skarpetkach i przyborach toaletowych, aż dotarł do ułożonych na dnie tabliczek.

— A to co?

— Czekolada.

— Dlaczego aż tyle?

— Dla mojego siostrzeńca. Tęskni za domem.

— Mogę otworzyć?

— Oczywiście. Pomogę panu.

Henry czuł, że trzęsą mu się ręce, i chciał je czymś zająć. Wziął do ręki pierwszą z brzegu tabliczkę, wysunął ją na dwa centymetry z obwoluty — dokładnie tak, jak to przeciwiczył na

stole kuchennym w domu — i odchylił folię. Ich oczom ukazał się pasek trzech kwadracików angielskiej mlecznej czekolady.

— Okay.

Nie namyślając się, Henry odłamał wystający kawałek i podał go celnikowi. Miał przy tym taką minę, jakby oferował wrogowi fajkę pokoju. Celnik pokręcił głową i machnął ręką w stronę wyjścia. Kontrola celna Henry'ego zakończyła się. I całe szczęście, bo gdyby celnik był bardziej spostrzegawczy, musiałby zauważyć, że kawałek, który został po odłamaniu, nie miał ani jednego orzecha i wyglądał mocno nieapetycznie.

Ściskając rączkę neseseru mocniej niż zwykle, Henry wyszedł z budynku i stanął w kolejce do taksówek. Gdy nadeszła jego kolej, rzucił głośno i z wyraźną ulgą:

— Do Jerozolimy, proszę. Bazar na Starym Mieście.

Rozdział 26

Tel Awiw, Izrael, środa, godz. 20.45

Maggie nie mogła się uwolnić od myśli, że —jak na tak mały kraj — Izrael jest pełen niezwykłych kontrastów. Droga zajęła im niecałą godzinę, a miała wrażenie, jakby odbyli podróż w czasie. Wyruszyli z Jerozolimy, miasta wzniesionego z jasnego kamienia z czasów biblijnych, w którym wszystko nosiło piętno starożytnej historii, by dotrzeć do Tel Awiwu, hałaśliwej i zaskakująco nowoczesnej metropolii. W oddali strzelały w niebo lśniące drapacze chmur, których oświetlone górne piętra przypominały szachownice; przy drodze ciągnął się rząd zbudowanych z betonu apartamentowców wyposażonych w baterie słoneczne i potężne cylindry na dachach, które — wedle słów Uriego — pełniły funkcję zbiorników gorącej wody. Po zjechaniu z szosy i wjechaniu w ulice miasta Maggie ze zdumieniem przyglądała się lasowi billboardów, tłumom przechodniów, niezliczonym barom i kafejkom z ogródkami wychodzącymi na chodniki, ogromnemu ruchowi i nowoczesnym biurowcom, dziewczętom w obcisłych topach i chłopcom z tlenionymi czubami. O rzut kamieniem od świątobliwej Jerozolimy Tel Awiw sprawiał wrażenie centrum pulsującej, wszechogarniającej bezbożności.

— Szukamy bloku numer sześć. Staniemy tutaj — powiedział Uri. Jechali ulicą Mapu, która sądząc po zaparkowanych samochodach, zaliczała się do zamożniejszych w mieście. Apartamentowiec nie wyróżniał się niczym szczególnym i tak jak inne

zbudowany był z białego betonu. Przeszli przez coś w rodzaju podcienia, minęli rząd metalowych skrzynek na listy i dotarli do drzwi wyposażonych w domofon. Uri nacisnął numer siedemdziesiąt dwa.

Nikt się nie odezwał. Maggie niecierpliwie sięgnęła przez ramię Uriego i ponownie nacisnęła, tym razem znacznie dłużej. Nadal cisza.

- Spróbuj jeszcze raz zatelefonować.
- Cały czas włącza się poczta głosowa.
- Jesteś pewien, że to tutaj?
- Jestem.

Maggie zaczęła nerwowo krążyć pod drzwiami.

— Jak to możliwe, żeby nikogo nie było? Przecież wszyscy nie mogli wyjść.

— Nie ma żadnych „wszystkich”. Nikogo poza nim. — Maggie stanęła i spojrzała zaskoczona. — Jest rozwiedziony. Mieszka sam.

- Cholera! To co teraz zrobimy?
- Możemy się włamać.

Maggie poczuła nagle dojmujący chłód. Co ona tu w ogóle robi, dygocąc z zimna na obcej ulicy w obcym mieście, zamiast łączyć po sklepach w Georgetown i wybierać sofę? Powinna siedzieć w domu z Edwardem, zamawiać jedzenie na wynos, oglądać telewizję i robić to wszystko, co robią normalni ludzie po skończeniu dwudziestu pięciu lat, kiedy przestają być maniakami idei, pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę i przenosić się z jednego zwariowanego kraju do następnego. Edward umiał to zrobić. Umiał przeistoczyć się z marzyciela z plecakiem w waszyngtończyka w garniturze, więc czemu nie ona? Bo Bóg jej świadkiem, że próbowała. Może powinna zadzwonić do Judda Bonhama i powiedzieć, że rezygnuje. I tak właściwie nie wykorzystują jej umiejętności. Przecież jest, na litość boską, mediatorem i powinna siedzieć na sali obrad, a nie bawić się w detektywa amatora. Sięgnęła do kieszeni i namacała swoją komórkę.

Wiedziała jednak z góry, co Bonham powie. Że póki obie

strony nie będą gotowe, jej obecność na sali obrad mija się z celem. A sądząc po najnowszych wydarzeniach, moment ten zdaje się z każdym dniem oddalać i za chwilę w ogóle już nie będzie sali obrad. Jej zadaniem było sprowadzenie obu stron na właściwe tory, a to oznaczało, że najpierw musi się uporać ze sprawą Guttmana i Noura, z czymkolwiek by się to wiązało. Nie mogła dopuścić, by jej misja się nie powiodła. Wiedziała, jak to jest, kiedy ogromny wysiłek włożony w osiągnięcie pokoju zostaje zmarnowany tuż przed pomyślnym zakończeniem. Przez mgnienie oka znów powróciło do niej wspomnienie, które tak bardzo chciała wymazać z pamięci. Musi jej się udać. Na szali leżała cała jej kariera, może nawet życie. Inaczej wszystko sprowadzi się tylko do tego jednego fatalnego błędu. Spojrzała na Uriego i powiedziała spokojnie:

— Nie, nie możemy się włamać. Pomyśl, co by się stało, gdyby nas przyłapano. Oficjalnie reprezentuję tu rząd Stanów Zjednoczonych.

— Mogę to zrobić sam.

— Tak, ale jesteśmy razem. Czyli nadal mamy problem. Jest jakiś inny sposób?

Uri potrząsnął głową i z całej siły grzmotnął pięścią w drzwi. Musiało go to bardzo zaboлеć, ale nawet się nie skrzywił.

— Dobra, pomyślmy. — Maggie odwróciła się od drzwi. — Co ci powiedzieli, kiedy zadzwoniłeś do redakcji?

— Rozmawiałem tylko z dyżurnym z nocnej redakcji. Powiedział, że nie znają planów zajęć swoich współpracowników, i podał mi tylko jego numer komórkowy.

— Który i tak już mieliśmy.

Zapadła trwająca długą chwilę cisza. Maggie zaczęła rozmyślać nad następnym krokiem. Jej zadumę przerwał dopiero Uri, który aż podskoczył i ruszył pędem w stronę samochodu.

— Uri? Uri, co się dzieje?

■— Wsiadaj.

Po drodze Uri wyjaśnił, że będąc w wojsku, spotykał się z dziewczyną, której brat wybrał się w podróż do Indii z synem

Barucha Kiszona. Dojrzał wyraz niedowierzania na twarzy Mag-gie i uśmiechnął się. — No wiesz, Izrael to mały kraj.

• • •

Wykonał parę telefonów i po chwili miał już numer komórkowy Ejala Kiszona. Połączył się i zaczął wrzeszczeć do słuchawki, bo zastał Ejala w jakimś klubie z głośną muzyką. Próbował mu wyjaśnić, w czym rzecz, jednak bez powodzenia. Wyglądało na to, że muszą do niego pojechać.

Po drodze Uri nastawił radio na wiadomości i każdy kolejny fragment na bieżąco przekładał na angielski. Zamieszki na Zachodnim Brzegu, są ofiary śmiertelne wśród palestyńskich dzieci; izraelskie czołgi ponownie wkroczyły do Gazy; znów rakiety Hezbollahu na północy kraju; rozmowy pokojowe z Palestyńczykami całkowicie zamrożone. Maggie potrząsnęła głową. Wszystko rozłazi się w rękach. Uri nie przestawał tłumaczyć. Prezydent USA traci pięć punktów procentowych w najnowszym sondażu. Podobno fatalnie wypadł w debacie telewizyjnej. Na koniec ostatnia wiadomość: „Mamy dalsze informacje o pożarze w kibucu na północy kraju. Zachodzi podejrzenie podpalenia”.

Zaparkowali na ulicy Yad Harutzim i weszli do klubu Blondie, gdzie od razu osaczył ich tak ogłuszający hałas, że jego pulsujący rytm Maggie poczuła aż w żołądku. Salę rozświetlało morze kolorowych świateł i jeden oślepiająco biały reflektor, który omiatał parkiet jak wojskowy szperacz.

Na parkiecie nie było tłumu, ale po wszystkich zakamarkach kotłowały się gibkie, wilgotne od potu ciała. Maggie z zaciekawieniem przyglądała się różnorodności rysów twarzy i sylwetek gości klubu. Tuż przed nią tańczyły dwie jasnowłose dziewczyny o porcelanowej cerze, kawałek dalej czarnoskóra mężczyzna z afro na głowie i ostrymi rysami twarzy, obok niego para — oboje z ciemnymi, skręconymi w pierścionki lokami. Maggie przypomniała sobie materiały otrzymane od Bonhama. We fragmencie opisującym różnorodność etniczną mieszkańców Izraela

była mowa o Rosjanach, Etiopczykach i mizrachach — przybyszach z krajów arabskich. W klubie Blondie byli wszyscy.

Maggie dostrzegła swoje odbicie w lustrzanych ścianach i tak ją to poraziło, że znieruchomiała i przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku. Przez całe zawodowe życie była zawsze najmłodsza w ekipie. Podczas negocjacji prowadzonych przez mężczyzn w średnim wieku stanowiła ewenement nie tylko jako kobieta, ale do tego jeszcze młoda i — powiedzmy sobie szczerze — atrakcyjna. Nie bardzo potrafili sobie z nią poradzić. Ileż to razy słyszała pytanie, kiedy zjawi się jej szef negocjator. Albo prośbę, że delegacja francuska życzy sobie trzy kawy. Albo jak to miło mieć kogoś do ozdoby podczas tych nudnych, szarych rozmów.

Nie tylko do tego przywykła, ale nauczyła się też wykorzystywać to do własnych celów. Zbijala tym negocjatorów z tropu i skłaniała do większej, niż zamierzali, szczerości. Zdarzało im się mówić rzeczy, których nie powiedzieliby „prawdziwemu” mediatorowi, tak jakby rozmowy z jej udziałem były tylko czymś w rodzaju próby generalnej. I dopiero po zakończeniu negocjacji zaczynało do nich docierać, że ona jest prawdziwa. Jej najsilniejszą bronią był jednak duch męskiego współzawodnictwa. Strony podświadomie zaczynały konkurować o jej względy. Po raz pierwszy zwróciła na to uwagę podczas poufnych negocjacji w sprawie wojny domowej na Sri Lance, które toczyły się w letnim drewnianym domku w Szwecji. Zauważyła, że podczas posiłków uczestnicy rozmów walczą o miejsce obok niej. Zależało im, żeby śmiała się z ich dowcipów i żeby aprobować ich przemyślenia. Było to silniejsze od nich. Tak zostali zaprogramowani i tak musieli się zachowywać w towarzystwie atrakcyjnej kobiety. Dla niej okazywało się to niezwykle przydatne. Jeśli cierpliwie popychała kogoś krok po kroku w jakimś kierunku, ten ktoś wiedział, że idąc tą drogą, zaskarbi sobie jej względy. A jeśli będzie się upierać przy jakimś sformułowaniu w traktacie, czy przy takim a nie innym przebiegu linii na mapie, będzie z tego niezadowolona. A tego nie chciał.

Ale z lustrzanej ściany spoglądał na nią ktoś zupełnie inny. Patrząc na te wszystkie śliczne, ubrane w kuse ciuszki dziewczęta, z których żadna nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, nagle zdała sobie sprawę, że jest chyba najstarsza w całym klubie. Stała przed nią kobieta w czarnych spodniach, zakiecie od Ann Taylor i bluzce od Agnes B. Do pracy w sam raz, odpowiednio elegancko na spotkanie z dyplomatami i ministrami. Tu jednak wyglądała przeraźliwie pośpnie. No i te kurze łapki wokół oczu i te zmarszczki, kiedy się uśmiecha...

— Jest tam.

Uri pokazał ręką młodego mężczyznę siedzącego przy stoliku. Dłonią obejmował szyjkę butelki z piwem i obserwując tańczących, postukiwał nią do taktu. Wyglądało, że jest trochę podпиты, trochę naćpany i całkiem odjechany.

Uri usiadł obok i po krótkim powitaniu bez wstawania zaczął mu o czymś perorować do ucha. Nie rozumiejąc, o czym rozmawiają, Maggie rozejrzała się po klubie. W wejściu stał jakiś nowo przybyły mężczyzna, który podobnie jak ona nie pasował do tego miejsca. Miał na nosie okulary bez oprawek, co w gronie bawiących się tu dzieci czyniło z niego starca.

Po reakcji Ejala poznała, że Uri w swej opowieści dotarł do straty obojga rodziców, bo Ejal zaczął nagle potrząsać głową i wykonywać rękami takie ruchy, jakby chciał Uriego objąć. Ten zdążył już jednak wyjąć komórkę i podsunąć ją Ejalowi pod nos na dowód, że ostatnią w życiu rozmową Szimona Guttmana był telefon do Barucha Kiszona.

Ejal bezradnie uniośł ramiona na znak, że o niczym nie wie, jednak Uri nie przestawał bombardować go pytaniami. Od czasu do czasu odwracał się do Maggie i tłumaczył kolejne fragmenty rozmowy. Kiedy ostatnio rozmawiał z ojcem? W niedzielę rano. Ojciec wyjechał na „temat”. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Stary wiecznie gdzieś jeździł, dlatego zresztą rozpadło się małżeństwo rodziców. Czy mówił, gdzie się wybiera? Nie, nie mówił. Ejal ma dobrą pamięć. Choć to prawda, że poprzedniej nocy urwał mu się film, dodał z uśmiechem.

— Czy ojciec wspominał coś o wyjeździe do Genewy?

Ostrożnie, ostrzegła go w myślach Maggie.

— Znaczy się tam, w tej Szwajcarii? Nie. Zwykle mi mówi, jak wyjeżdża za granicę. Zawsze chce, żeby mu pilnować chaty. Straszny z niego pedant.

— Więc uważasz, że nie jest za granicą?

— Nie.

— Ale od niedzieli z nim nie rozmawiałeś. Nie niepokoisz się?

— Nie niepokoiłem się, dopóki wyście mnie nie nastraszyli.

• • *

Jechali dość szybko. Ejala, któremu stan błogości już minął, siedział z tyłu. Uri nie przestawał zasypywać go pytaniami, ale udało mu się wydobyć tylko jeden nowy szczegół: gdy Ejala rozmawiał z ojcem w niedzielę rano, Barach Kiszon najwyraźniej był w dobrym humorze. Powiedział synowi, że trafił na „gorący” temat. Albo może powiedział „cool”. Tego Ejala nie pamiętał tak dokładnie.

Z dziennika radiowego o dwudziestej trzeciej Uri przekazał jej tylko jedną wiadomość. Podpalenie kibucu stało się głównym newsem, bo w zgłiszczach budynku znaleziono zwęglone zwłoki mężczyzny. Rzecznik IDF poinformował, iż są niezbite dowody na to, że mamy do czynienia z zamachem terrorystycznym Palestyńczyków z Jeninu. Rozpoczęły się już spekulacje na temat politycznych reperkusji, bowiem ten nowy akt terroru musi stanowić zagrożenie dla i tak trudnych rozmów w Jerozolimie i być kolejnym ciosem wymierzonym w premiera Jariwa.

Maggie wyciągnęła komórkę i stwierdziła, że ma jedną nieodebraną rozmowę. Hałas w klubie musiał zagłuszyć dzwonek, a ją samą oszołomił na tyle, że nie poczuła delikatnej wibracji aparatu. Odsłuchiwała wiadomość zostawioną w poczcie głosowej. Dzwonił Davis, żeby ją poinformować o Bet Alfa. *Maggie, był atak na kibuc. Zastępca sekretarza polecił mi przekazać ci następującą wiadomość: „Niezależnie od tego, czym Maggie Costello się obecnie zajmuje, przypomnij jej, że jej podstawowym*

obowiązkiem jest nie dopuścić do dalszego pogorszenia się stosunków między stronami. Dopilnuj, żeby to do niej dotarło". Więc przekazuję ci to słowo w słowo. Przykro mi, że jestem nosicielem złych wiadomości.

Najgorsze było to, że nie miała się do czego przyczepić. Zastępca sekretarza miał rację: musi łagodzić znaczenie tych aktów przemocy. I wiedziała, jaka będzie reakcja na wiadomość, że traci czas na rozwiązywanie anagramów i dociekanie znaczenia wzorów na ceramice. Była jednak pewna, że śmierć dwóch kluczowych postaci — Guttmana i Noura — jest jakoś ze sobą powiązana. I że dojście do tego, o co w tym wszystkim chodzi, może stanowić najlepszy, a może wręcz jedyny sposób na uniknięcie dalszych zabójstw. Alternatywą było uczestniczenie w niekończących się rozmowach, w trakcie których wszyscy mówią to, co trzeba, a przemoc trwa nadal. Znalazła się już kiedyś w takiej sytuacji i była zdecydowana nie dać się znowu w nią wmanewrować.

• • •

Po dwudziestu minutach dotarli do mieszkania Kiszona. Otwierając drzwi, Ejal był wyraźnie podenerwowany. Po tym, co usłyszał o losie rodziców Uriego, zaczął się bać tego, co może zastać w środku. Wszedł pierwszy i zapalając kolejno światła, zaczął wołać ojca.

— Ejal, dobrze się rozejrzyj. — Uri też się bacznie rozglądał, zupełnie jakby mieszkanie miało za chwilę stać się planem filmowym. — Daj znać, jeśli zauważysz coś dziwnego, coś nie na swoim miejscu. Cokolwiek.

Maggie poszła w jego ślady, ale nie dostrzegła niczego poza tym, że w mieszkaniu panował nienaturalny porządek. Rzeczywiście niezły z niego czyścioch. Pamiętając o swoich doświadczeniach z domu Guttmana, spytała Ejala, gdzie było miejsce pracy ojca. Zaprowadził ją do biurka w dużym pokoju, sam zaś poszedł zajrzeć do sypialni.

— Hej, Ejal! Ale tu nie ma komputera!

Ejal zawrócił i stanął w drzwiach.

— A tak, zapomniałem. Pracuje tylko na laptopie. Niestety, niczego innego nie używa.

Niech to diabli! W mieszkaniu wymuskanym jak muzeum komputer był jej jedyną nadzieją. Nie było rozrzuconych karteczek ani stert książek, które mogłaby przejrzeć. Znaleźli się w ślepej uliczce.

Raz jeszcze przyjrzała się biurku. Myśl, Maggie, myśl. Nie było na nim nic poza telefonem, faksem, czystym bloczkiem na notatki, fotografią przedstawiającą zapewne Ejala i jego siostrę jako dzieci oraz długopisem w uchwycie.

Odeszła parę kroków i zawróciła. Podeszła do biurka, wzięła do ręki bloczek i uniosła go do światła.

— Uri! Podejdz tu na chwilę!

Na pustej stronie dostrzegła odcisnięte linie, które mogły być śladem po odręcznej notatce po hebrajsku. Widziała to oczami wyobraźni: Baruch Kiszon siedzi przy biurku, rozmawia z Szimonem Guttmanem i zapisuje coś na czystej kartce bloczku. Potem ją odrywa i rusza do wyjścia, pozostawiając na następnej kartce odcisniętą kopię swej notatki.

Uri też to dojrzał. Uniósł kartkę nad głowę, do światła lampy na suficie. Trochę się pokrzywił i postękał, w końcu jednak się uśmiechnął.

— To jakieś nazwisko — powiedział. — Arabskie. Człowiek, którego szukamy, nazywa się Afif Aweida.

Rozdział 27

Jerozolima, poprzedni czwartek

Tego rodzaju dźwięki sprawiały Szimonowi Guttmanowi największą radość. Odgłosy demonstracji. Powtarzający się tryl gwizdków, rytmiczne walenie pokrywami pojemników do śmieci — hałasy, których źródłem może być tylko liczna i zdeterminowana grupa ludzi odznaczająca się wspólnotą przekonań.

W swoim czasie uczestniczył w setkach różnych demonstracji, ale ta napawała go szczególną dumą. Na placu Syjonu zebrał się naprawdę olbrzymi, gęsty tłum. Niektórzy ludzie mieli w rękach plansze i transparenty, inni wyrażali pięściami lub rytmicznie klaskali. Ubrani na pomarańczowo wyglądali naprawdę imponująco. T-shirty, nakrycia głowy, nawet szorty i malunki na twarzach — wszystko w najbardziej jaskrawopomarańczowym kolorze. Jednak tym, co napawało go największą dumą i wprowadzało w stan radosnego podniecenia, była świadomość, że ten ogromny tłum protestujących przeciw Jariwowi i jego zdradzieckim planom składa się niemal wyłącznie z młodzieży.

Kiedy wystąpił z tym apelem, wcale nie był pewien, czy zostanie podchwycony. Obecnie panowała powszechna opinia, że młodych Izraelczyków ogarnęła apatia i że reprezentują pokolenie Internetu, dla którego ważniejszy jest Google niż Golan i które woli włączyć się po Indiach i Nepalu, niż podejmować pionierskie trudy w Judei czy też uprawiać ziemię w Samarii. Najlepszym tego przykładem był jego własny syn

Uri, który zrezygnował z kariery w wojskowym wywiadzie na rzecz mięczakowatej pracy w filmie.

Ale teraz miał przed sobą namacalny dowód, że pesymizm na temat izraelskiej młodzieży jest w pełni nieuzasadniony. Tylko spójrzcie na nich, myślał, na ten nieprzebrany tłum, który wyszedł na ulicę, by ratować kraj przed spiskiem uknutym przez własnego premiera. Powinni tu być teraz ci wszyscy moi rówieśnicy, którzy wciąż się użalają na naszą młodzież i narzekają, że nie miałyby w sobie dość odwagi, by podjąć taką walkę jak my w sześćdziesiątym siódmym. Na ten widok od razu musieliby się przymknąć.

Zanosilo się bowiem na prawdziwie ostrą potyczkę. Po drugiej stronie placu, naprzeciwko armii pomarańczowych, stał oddzielony cienkim kordonem policyjnym i pojedynczymi fotoreporterami i kamerzystami niemal równie liczny i tak samo bojowo nastawiony drugi tłum. Nie dominował w nim jeden kolor, ale plansz i transparentów było równie dużo. Na planszy trzymanej celowo blisko kamer widniało związane hasło: „TAK” DLA POKOJU.

Szimon Guttman, który jako jeden z nielicznej grupki seniorów dostąpił zaszczytu stania w pierwszym szeregu pomarańczowych, został odsunięty na bok z uwagi na zbliżające się rękoczynny. Częściowo dla jego bezpieczeństwa, ale podejrzewał, że również po to, by zrobić miejsce bojowo nastawionym młodzieńcom. Stojąc z boku, czuł, że za chwilę rozpęta się tu prawdziwie średniowieczna walka wręcz między dwiema armiami, które się na siebie rzuca. Brakowało tylko koni.

Wkrótce z morza pomarańczowych wychynął — niczym Wenus z piany morskiej —jakiś młodzieniec i podtrzymywany czyimiś rękami stanął niepewnie na ramionach kolegów, po czym zaczął przemawiać. Wykrzykiwał słowa do megafonu, Guttman zaś pomyślał, że brakuje mu wiecowego doświadczenia, bo nie wie, że używając megafonu, wcale nie musi tak krzyczeć.

Uśmiechnął się na wspomnienie swoich własnych początków i to zrodziło w jego głowie pewną myśl. Ruch, do którego

powstania się przyczynił, znajdował się teraz w dobrych rękach i mógł być pewien, że wszelkie nowe draństwo Jariwa spotkają się ze zdecydowanym sprzeciwem młodych działaczy. Ja tu już nie jestem potrzebny, pomyślał i zaczął powoli wycofywać się z tłumu. Myśl, która przysłała mu do głowy, oznaczała, że w dniu wypełnionym po brzegi uczestnictwem w młodzieżowej demonstracji, wieczorną debatą telewizyjną i wcześniejszą naradą z Shapirą i pozostałymi członkami rady osadniczej wygospodaruje jeszcze dodatkową godzinę. Spojrzał na zegarek. Najrozsądniej byłoby teraz usiąść w jakiejś kafejce, zapalić i trochę się odprężyć. Guttman postanowił jednak sprawić sobie wyjątkową frajdę i zrobić coś zupełnie innego.

• • •

Uznał, że krótka eskapada na Stare Miasto zbyt nie opóźni jego planów. Przeszedł przez Bramę Jaffy i, przepychając się przez tłum dzieci próbujących wcisnąć przechodniom puszek z napojami i pocztówki z widokami Starego Miasta, skręcił w stronę arabskiego suku. Zdawał sobie sprawę, że robiąc to, ulega swojej największej słabości. Innych mężczyzn odciągają od obowiązków kobiety lub wino, jednak Szimon Guttman miał tylko jedną taką pasję. Wystarczyło, by poczuł leciutki powiew starożytności i był gotów o wszystkim zapomnieć. Przeistaczał się w psa gończego, który podąża za tropem tak długo, aż w końcu dopadnie swą zdobycz.

Ruszył różnym krokiem po wybrukowanych uliczkach suku, którego nazwę Izraelczycy wymawiali z wyraźnym „sz” na początku, różniąc się tym od Arabów używających syczącego „s”. Tylko że Izraelczycy i tak tu nie bywali. Od czasu pierwszej intifady w końcu lat osiemdziesiątych Żydzi raczej nie kręcili się po Starym Mieście, oczywiście z wyłączeniem Dzielnicy Żydowskiej i Ściany Zachodniej zwanej Ścianą Płaczu. W związku z serią skrytobójstw reszta Starówki stała się dla nich terenem zakazanym.

Ale Guttman nie czuł strachu. Z przyczyn zasadniczych

uważał, że Żydzi powinni mieć dostęp do całości swej stolicy i że nie mogą dać się odstraszyć od odwiedzania wszystkich jej części. To zresztą był jeden z powodów jego wycofania się z Kiryat Arby. Jego towarzysze walki osadniczej zajęli się zasiedlaniem granicznych rejonów Samarii, posuwając się aż do terenów nadmorskich w Strefie Gazy, jakby zapominając o bijącym sercu ziemi Izraela i Syjonu — Jerozolimie. Prawica izraelska swoje prawa do Wiecznego Miasta uważała za coś tak oczywistego, że nie dostrzegała, iż w czasie, gdy starają się wyzwać ziemię w innych regionach kraju, wymyka im się z rąk wielka perła Jerozolimy. Guttman zdawał sobie sprawę, że o ile nie zachowają ostrożności, o tyle w pewnym momencie okaże się, że utracili Wschodnią Jerozolimę w taki sam sposób, jak Brytyjczycy zdobyli swoje imperium: przez zaniedbanie.

I dlatego za punkt honoru uważał poruszanie się po głównie arabskich, wschodnich dzielnicach miasta z taką samą swobodą i pewnością siebie, z jaką odwiedzał żydowskie dzielnice zachodnie. To prawda, że z ideologicznego punktu widzenia bywał w tych rejonach o wiele za rzadko i że chodząc tam, co kilka kroków oglądał się niespokojnie za siebie. Prawdą było również, że opuszczając Dzielnicę Żydowską z jej czystymi, dobrze oświetlonymi ulicami i schludną zabudową z jasnego kamienia i wkraczając w pełne kurzu i zgiełku uliczki w arabskiej części miasta, czuł, jak gwałtownie przyspiesza mu serce. Mimo to zawsze starał się poruszać swobodnym, pewnym siebie krokiem, jak ktoś chodzący po swoim mieście. Jakby odwiedzał przynależne mu włości, w co zresztą autentycznie wierzył.

Na bazarze było parę sklepików, do których lubił zaglądać, a w których — jak to sobie teraz uprzytomnił — nie był już od ponad roku. (Kampania wymierzona w Jariwa zajmowała mu mnóstwo czasu i spychała wszystko inne na dalszy plan). Zajrzał do pierwszego z nich z wejściem zasłoniętym rzędami zwisających skórzanych toreb, sakwojaży i damskich torebek. Pokazali mu średnio interesującą ceramikę, której wiek trudno było określić. W drugim i trzecim przeproszono, że wszystkie naj-

ciekawsze rzeczy zostały już sprzedane, a na nową dostawę dopiero czekają. Nie musieli mu nawet mówić, skąd będzie ta dostawa: to, co się działo w Iraku, radykalnie odmieniło cały handel antykami. W czwartym mieli trochę starych monet i Szi-mon pomyślał, że musi namówić swojego kolegę Jehudę, zapalonego numizmatyka, żeby przestał być takim tchórzem i wybrał się wreszcie na bazar.

Kierował się już do wyjścia, gdy jego wzrok padł na jeszcze jeden sklep, o którym niemal zupełnie zapomniał. Jak większość tutejszych sklepików i ten zamiast wystawy miał ułożoną obok wejścia stertę towaru, która sięgała aż na ulicę, i wchodząc do środka, trzeba się było przez nią przeciskać wąskim przejściem. Na poziomie oczu umieszczono wyroby ze srebra — głównie lichtarze, a wśród nich tradycyjne menary i dziewięćoramiennie świeczniki, jakich żydzi używają podczas święta Chanuka zwanego Festiwalem Światła. Szimon uważał, że ta skłonność do handlu żydowskimi symbolami świadczy o daleko posuniętym pragmatyzmie zawodowym Arabów.

Omiótł szybkim spojrzeniem półki w nadziei, że nie wpadnie mu w oko nic ciekawego i że będzie mógł od razu wyjść i powrócić do zaplanowanych zajęć.

— Witam pana profesora. Cieszę się, że pana widzę. — Głos należał do właściciela Afifa Aweidy, który wysunął się zza lady z biżuterią umiejscowioną w głębi sklepu. Pod szkłem leżały pierścionki i bransoletki na aksamitnych podkładkach. Aweida wyciągnął rękę na powitanie.

— Cóż za wspaniała pamięć, Afif. Miło cię widzieć. —
Czemu zawdzięczam honor?

— Tak sobie chodzę i oglądam.

Afif gestem ręki zaprosił Szimona głębiej. Weszli po schodkach do kantoru na zapleczu, gdzie na biurku stał duży, zwalisty komputer i staromodny kalkulator z rolką papieru. Półki pokryte były grubą warstwą kurzu. Dla Aweidy, podobnie jak dla wszystkich tutejszych kupców, nastały ciężkie czasy. Mieszkańcy Wschodniej Jerozolimy — jak zresztą większość Palestyńczy-

ków — byli ofiarami czegoś, co Szimon zwykł w myślach nazywać poważnym boskim niedopatrzaniem, w wyniku którego przyszło im mieszkać na ziemi obiecanej Żydom. Afif zauważył, że Szimon spogląda na zegarek.

— Nie może pan zostać na herbatę? Spiesz się pan?

— Przykro mi, Afif. Mam dziś dużo spraw.

— Trudno. Ale chciałbym panu coś pokazać. — Wstał i rozejrzał się po zapleczu. — To nic specjalnego, ale mam coś takiego — powiedział, podając Szimonowi kartonowe pudełko z kilkunastoma fragmentami mozaiki. Ten niemal odruchowo złożył je jak puzzle i ich oczom ukazała się sylwetka ptaka.

— Ładne. — Kiwnął głową. — Ale to nie moja specjalność.

— I jest jeszcze coś, w czym właściwie mógłby mi pan pomóc. W zeszłym tygodniu dostałem nową dostawę. Podobno tam, skąd to do mnie dotarło, jest tego dużo więcej, ale na razie mam tylko to. — Schylił się i opierając się na zdezelowanym skórzanym krześle z wyłazającymi wnętrznościami, podniósł z podłogi tacę.

Na tacy leżały równo ułożone cztery rzędy zawierające po pięć glinianych tabliczek zostawionych tu kilka dni wcześniej przez Henry'ego Blyth-Pullena. Odwrotnie niż Aweidzie Guttmanowi wydały się dość interesujące — dotykanie przedmiotów z tak odległej przeszłości zawsze go fascynowało — choć istotnie nie wyglądały na nic nadzwyczajnego. Znów spojrzął na zegarek: trzynasta czterdzieści pięć. Rzucił tylko na nie okiem i musi pędzić do Psagot na to spotkanie o piętnastej.

— Okay. — Kiwnął głową. — Warunki jak zwykle, tak?

— Oczywiście. Przetłumaczy mi pan wszystkie i zatrzyma jedną dla siebie. Zgoda?

— Zgoda.

Aweida położył notatnik na kolanach, jak sekretarka gotowa do dyktanda. Guttman wziął z tacy pierwszą z brzegu tabliczkę i zważył na dłoni jej miły ciężar. Była niewiele większa od kasety magnetofonowej. Uniósł ją do oczu i przesunął okulary na czoło.

Wpatrzył się w znaki pisma klinowego, które nawet w tak banalnym kontekście nie przestawały go fascynować, a myśl, że trzyma w ręku zapis sprzed pięciu tysięcy lat, budziła w nim wzruszenie. To, że Sumerowie zapisywali swoje myśli, osobiste doświadczenia, a nawet trywialne zdarzenia trzydzieści wieków przed Chrystusem, a on ich dotykał w postaci małych glinianych tabliczek, zatykało mu dech w piersiach. Czuł się jak jeden z tych gigantycznych radioteleskopów na pustyni w Nowym Meksyku, które, rozdziawiając swe ogromne czasy, odbierają z kosmosu sygnały wysłane przez odległe gwiazdy tysiące lat wcześniej. To też była wiadomość napisana przed tysiącami lat, a on ją teraz czytał tak, jakby starożytność i teraźniejszość spotykały się twarzą w twarz i zaczynały ze sobą rozmawiać.

Gdy nauczył się odczytywać symbole pisma klinowego, które nazywano tak ze względu na klinowaty kształt, od razu poczuł zawarty w nich ładunek emocjonalny. Dla niewtajemniczonego oka wyglądały jak bohomyzy przypominające kształtem powyginane kije golfowe, które ktoś ustawił pionowo parami i trójkami, inne położył na boku też po dwa lub trzy, tworząc z nich różne kombinacje i wypełniając nimi kolejne wiersze. Odkąd jednak profesor Mankowitz pokazał mu, że te tajemnicze znaki da się odczytać jako: *Podczas mojej pierwszej kampanii...* albo *Gilgamesz otworzył usta i rzekł...* to pismo wręcz go urzekło.

Zaczął dyktować Aweidzie: „Trzy owce, trzy utuczone owce, jedna koza...”. Nie potrafił czytać i tłumaczyć pisma klinowego równie gładko jak tekstu angielskiego, ale z całą pewnością nie gorzej niż choćby teksty niemieckie. Wiedział, że jego umiejętność należy do rzadkości i sprawiało mu to tym większą satysfakcję. W całym Izraelu nikt poza Ahmedem Nourem nie mógł się z nim równać, choć Ahmedowi nie przyszłoby nawet do głowy powiedzieć o sobie, że mieszka w Izraelu. Gdy zabrakło Mankowitza, poza Nourem liczył się już tylko Guttman. A na świecie? Jeden w Nowym Jorku, Freundel w londyńskim British Museum i garstka innych. Według prasy fachowej na całej kuli ziemskiej w żadnym momencie nie żyło więcej niż sto osób

potrafiących czytać pismo klinowe. Szimon podejrzewał, że liczba ta i tak jest grubo przesadzona.

Wziął do ręki następną tabliczkę i z samego układu znaków rozpoznał typ wiadomości.

— Obawiam się, że to tylko spis domowych sprzętów — powiedział. Na kolejnej jeden wiersz znaków powtarzał się dziesięciokrotnie. — A to jest szkolne ćwiczenie — wyjaśnił. Palestyńczyk "uśmiechnął się i zanotował.

Kolejno odczytywał pozostałe tabliczki, odkładając przeczytane na biurko Aweidy. Na tacy zostało już tylko sześć tabliczek. Wziął do ręki kolejną i zaczął z niedowierzaniem czytać pierwsze słowa, jakby podejrzewając, że ktoś mu robi dowcip.

אברהם בן תרח

— *Ab-ra-ha-am mar te-ra-ah a-na-ku...* — odłożył tabliczkę i spojrzął na Aweidę tak, jakby to on mógł być autorem żartu, potem znów uniósł tabliczkę do oczu. Wypisane na niej słowa nie zniknęły. Ani nie odczytał ich błędnie. Pismem klinowym z epoki starobabilońskiej napisano wyraźnie: *Abraham mar Terach anaku*. Ja Abraham, syn Teracha.

Szimon poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Mdlące uczucie strachu spłynęło od głowy przez klatkę piersiową i zagnieździło się w żołądku, oczy w panice przebiegły kolejne słowa tekstu, odcyfrowując je, póki się nie rozmazały i stały nieczytelne.

Ja Abraham, syn Teracha, przed obliczem sędziów oświadczam, co następuje. Ziemia, na którą zaprowadziłem syna mego, by go oddać w ofierze Wszechmocnemu Imieniu, zwana górą Moria, ziemia owa stała się zarzewiem niezgody między moimi dwoma synami, a ich imiona niechaj będą znane jako Izaak i Izmael. Takż oznajmiam przed obliczem sędziów, że górę ową zapisuję, jak następuje...

Jaki szósty zmysł powstrzymał Guttmana od wypowiedzenia na głos tego, co właśnie odczytał wzrokiem? W ciągu następnych dni miał wielokrotnie zadawać sobie to pytanie: Czy to wrodzony spryt podpowiedział mu, że jeśli wyjawি treść tabliczki, niemal na pewno utraci szansę na główną nagrodę? A może to tylko przebiegłość właściwa każdemu kupującemu na suku, która każe mu tłumić wszelkie objawy entuzjazmu w obawie, by przedmiot entuzjazmu natychmiast nie zdrożał dwukrotnie i nie znalazł się poza zasięgiem jego możliwości?

Czy to wynik politycznej kalkulacji — błyskawicznie kształtujące się w jego głowie przeświadczenie, że to, co trzyma w drżącej dłoni, może zmienić historię ludzkości w sposób nie mniej dramatyczny, niż gdyby dzierżył w niej detonator bomby jądrowej? A może było jeszcze inne wytłumaczenie, znacznie mniej patetyczne: czy ugryzł się w język dlatego, że instynktownie nie chciał się dzielić sekretem z Arabem?

— Dobra, następna — powiedział w końcu. Miał nadzieję, że ograniczając się do dwóch krótkich słów, łatwiej ukryje drżenie głosu.

— Profesorze, ale nie powiedział pan, co jest na tamtej.

— Nie? Przepraszam, zamyśliłem się. Jeszcze jedna lista zakupów. Jakiejś kobiety.

Przeszedł do następnej tabliczki, na której zawarto spis inwentarza w gospodarstwie w Tikicie. Jakoś udało mu się dobrnąć do końca, choć miał wrażenie, jakby resztę zadania musiał wykonywać pod wodą. Ale i tak najtrudniejsze było jeszcze przed nim.

Nigdy nie był pokerzystą i nie był pewien, czy potrafi ukryć swe emocje. Zakładał, że nie. Jego całe życie upływało na mówieniu od serca, na świadomym okazywaniu własnych odczuć. Nie był politykiem zaprawionym w sztuce przemilczania faktów, tylko działaczem, którego przewodnim hasłem była szczerość. A Aweida był przekupniem znającym wszystkie bazarowe triki i umiejącym błyskawicznie przejrzeć klienta, podwyższając cenę tym, którzy tylko udawali brak zainteresowania,

i obniżając ją autentycznie niezainteresowanym. Więc jego na pewno też od razu przejrzy. A potem go olśniło.

— Czyli tak jak zwykle, tak? — zapytał przez ściśnięte gardło.

— Mogę sobie jedną wybrać?

— Tak jak było powiedziane — kiwnął głową Aweida.

— Świetnie. To wezmę tę. — Pokazał palcem na dziewiątą z kolei tabliczkę.

— Ten list matki do syna?

— Tak.

— Tylko, profesorze, sam pan wie, że to jedyna, która ma jakieś znaczenie. Wszystkie pozostałe są takie, jak by to powiedzieć, zwyczajne.

— I właśnie dlatego ją wybrałem. Daj spokój, przecież twoim klientom i tak jest wszystko jedno.

— Normalnie by tak było. Ale akurat w ciągu paru najbliższych dni spodziewam się wizyty pewnego kolekcjonera z Nowego Jorku. To młody człowiek, który przyjeżdża tu z własnym rzeczoznawcą. Wyraźnie stać go na wydanie większych pieniędzy. A ta historia o matce i synu może mu się akurat spodobać.

— To mu powiedz, że jest opisana na tej. — Guttman wskazał na tabliczkę z ćwiczeniem ucznia.

— Profesorze! Tacy klienci zawsze sprawdzają kupowane przedmioty u niezależnych ekspertów. Nie mogę kłamać. To by mnie zniszczyło.

— Rozumiem, Afif. Ale jestem naukowcem i interesuje mnie to z historycznego punktu widzenia. A cała reszta jest strasznie banalna. — Czuł, że na górnej wardze zbierają mu się kropelki potu. Nie był pewien, jak długo jeszcze uda mu się ciągnąć tę farsę.

— Profesorze, proszę... Nie chcę pana błagać, ale sam pan wie, jak od paru lat wygląda nasza branża. Zarabiamy ułamek tego co kiedyś. W tym miesiącu doszło do tego, że musiałem prosić o pieniądze kuzyna z Bejrutu. Jeśli wyjdzie mi ta sprzedaż...

— Dobrze, Afif. Rozumiem. Nie będę się upierał. W porządku. — Sięgnął po tabliczkę zaczynającą się od słów *Ja Abraham, syn Teracha*. — To wezmę tę.

— Tę listę zakupów?

— Tak. To właściwie całkiem niezła lista zakupów.

Guttman wstał i z możliwie największą obojętnością wsunął tabliczkę do kieszeni marynarki. Podali sobie ręce i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jego dłonie są mokre od potu.

— Dobrze się pan czuje, profesorze? Może szklankę wody?

Guttman zapewnił go, że czuje się świetnie i tylko spieszy się, by zdążyć na następne spotkanie. Pożegnał się i szybko wyszedł ze sklepu. Idąc wznoszącymi się tarasowo schodami od suku w stronę Bramy Jaffy, ani na chwilę nie przestał ścisnąć tabliczki w kieszeni. Dopiero opuściwszy mury Starego Miasta, zatrzymał się i odetchnął głęboko jak biegacz, który właśnie ukończył bieg swego życia. Czuł się tak, jakby za chwilę miał zemdleć.

Ale nawet wtedy ani na chwilę nie wypuścił z dłoni kawałka gliny, przez który kręciło mu się w głowie, a serce waliło jak młotem — najpierw z podniecenia, potem ze strachu, wreszcie na myśl o konsekwencjach. Szimon Guttman bowiem miał świadomość, że oto dokonał najważniejszego odkrycia archeologicznego wszech czasów. W jego posiadaniu znalazł się testament wielkiego patriarchy, człowieka uznawanego za ojca trzech wielkich religii: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Trzymał w ręku ostatnią wolę Abrahama.

Rozdział 28

Jerozolima, czwartek, godz. 12.46

Po drodze zatrzymali się przy głównej komendzie policji w Tel Awiwie, dokąd podwieźli wyraźnie wystraszonego Ejala Kiszona. Chciał złożyć zawiadomienie o zniknięciu ojca i zdawał się przekonany, że klątwa, która doprowadziła do śmierci Szimona i Rachel Guttmanów, jak zaraza objęła teraz jego rodzinę.

Uri przez cały czas rozmawiał przez komórkę, próbując zebrać maksimum informacji o człowieku nazwiskiem Afif Aweida. Biuro numerów poinformowało go, że mają w swym wykazie ponad dwudziestu abonentów o tym nazwisku, choć już tylko dziewięciu w rejonie Jerozolimy. Musiał użyć swego męskiego czararu, by uprosić operatorkę, żeby zechciała mu odczytać dane całej dziewiątki. Na liście był jeden dentysta, jeden adwokat, sześć prywatnych telefonów domowych i ktoś figurujący jako dealer antyków z Suq-el-Bazaar na Starym Mieście. Uri z uśmiechem popatrzył na Maggie.

— To na arabskim szuku. I o tego nam chodzi.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Bo ojciec miał swojego dentystę i swojego adwokata. I nie miał setek znajomych wśród Arabów. Antyki były chyba jedynym powodem na świecie, który mógł go skłonić do kontaktów z Arabami.

Dotarli do Jerozolimy grubo po północy, ale Uri i tak za-

stanawiał się, czy nie powinni od razu pojechać na bazar i spróbować odszukać tego Aweidę. W końcu uznał jednak, że to i tak nic nie da, bo wszystko jest już zamknięte i znalezienie go bez znajomości domowego adresu będzie niemożliwe.

Zatrzymał się obok postoju taksówek przed hotelem David's Citadel i ostentacyjnie zaciągnął ręczny hamulec na znak, że podróż dobiegła końca.

— Okay, panno Costello. Koniec trasy. Pasażerowie wysiadka. Maggie podziękowała i otworzyła drzwi. Już będąc na ze wnątrz, odwróciła ku niemu twarz.

— Strzemiennego? — spytała.

• • •

Od razu stwierdziła, że nie należy do pijących. Ceregielił się ze swoją whisky z wodą jak z czymś cennym, co służy do wpatrywania się, a nie picia. W porównaniu z tym jej picie polegające na szybkim wychylaniu do dna i zamawianiu następnej porcji zakrawało na brak manier.

— To jak to jest z twoimi filmami? — spytała. Usiedli w narożniku i Maggie z ulgą zsunęła pantofle pod stolikiem. Całodzienne chodzenie na obcasach dało się jej mocno we znaki.

— To znaczy, co jak?

— Skąd się bierze to, że jesteś w tym taki dobry? Uśmiechnął się na myśl, że to ona próbuje go teraz podpytać.

— Przecież nawet nie wiesz, czy jestem dobry.

— Widzę to po tobie. Wyczuwam w tobie człowieka sukcesu.

— Miło to słyszeć. Widziałaś może *Prawdę o chłopcach*?

— Ten dokument o życiu czterech nastolatków? Tak, widziałam w zeszłym roku. Był świetny.

— Dziękuję.

— To twój?

— To mój.

— Jezu, aż nie chciało mi się wierzyć, że oni to wszystko mówią do kamery! Byli tak otwarci, że pomyślałam nawet, że

musiano ich filmować ukrytą kamerą czy czymś takim. Jakim cudem udało ci się to osiągnąć?

— Nie było żadnych ukrytych kamer. Ale mam pewną wielką tajemnicę zawodową, której nie wolno ci nikomu powtórzyć. To bardzo delikatna sprawa.

— Jestem dobra w dotrzymywaniu tajemnic.

— Jest coś, co trzeba robić, i w tym leży klucz do całej sprawy. Trzeba... Nie, nie mogę. — Zmrużył oczy i spojrzał na nią z udawaną podejrzliwością. — Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać?

— Przecież wiesz, że możesz.

— Sekret polega na umiejętności słuchania. Trzeba umieć słuchać.

— I gdzie się tego nauczyłeś?

— Od ojca.

— Naprawdę? Nie wyobrażałam go sobie jako kogoś umiejącego słuchać.

— Bo nie umiał. Umiał tylko mówić. A to znaczyło, że my musieliśmy go słuchać. Staliśmy się w tym prawdziwymi ekspertami.

Uśmiechnął się i pociągnął kolejny łyżeczek bursztynowego płynu. Maggie podobał się rzucany przez niego złocisty refleks wokół ust i oczu Uriego. Pomyślała, że jest to jedna z tych twarzy, na które chce się patrzeć.

— A przy okazji, przedtem odpowiedziałas mi tylko na połowę pytania. Dowiedziałem się, jak zostałam mediatorem, ale nie dlaczego.

— Spytałeś mnie „Jak to się stało”.

— Prawda. Ale w tym mieści się pytanie o „jak” i o „dlaczego”. Więc teraz powiedz dlaczego?

Maggie spojrzała na wyciągniętego na fotelu Uriego, który po raz pierwszy od ich poznania sprawiał wrażenie rozluźnionego. Zdawała sobie sprawę, że ten wspólny drink jest dla niego chwilą wytchnienia, okazją do zrzucenia ciężaru, jaki nosi w sobie od czterech dni. Wiedziała też, że ta chwila długo nie

potrwa, ale nie umiała sobie tego odmówić. Chwila relaksu w jego towarzystwie również sprawiała jej przyjemność i dlatego nie chciała zbywać jego pytania żarciem czy też zmieniać tematu, jak to zwykle robiła w rozmowach z mężczyznami zagadującymi ją w nocnych barach w różnych stolicach świata. Chciała być z nim szczerą.

— Odpowiedź „dlaczego” brzmi tak sentymentalnie, że lepiej o tym nie mówić.

— Lubię sentymentalne opowieści.

Maggie spojrzała na niego tak, jakby powierzała mu coś bardzo kruchego.

— Pierwszy raz w życiu wyjechałam za granicę jako wolontariuszka do Sudanu. Szalała tam wtedy wojna domowa. Pewnego razu wracaliśmy samochodem z interioru i natknęliśmy się na wioskę, którą wyrżnięto w pień. Na drodze leżało mnóstwo martwych ciał, poobcinanych kończyn, wszystkiego, co chcesz. Ale najgorszy ze wszystkiego był widok dzieci. Przeżyły i wałęsały się bez celu jak zombi. Były naocznymi świadkami największych potworności: mordowania swoich rodziców i gwałcenia swoich matek... Były zupełnie otępiełe. Ten widok spowodował, że przyrzekłam sobie, że jeśli będę mogła zrobić cokolwiek, aby skrócić wojnę, jakąkolwiek wojnę, choćby o jeden dzień, to będę to robiła.

Uri milczał, nie spuszczał z niej oczu.

— I właśnie dlatego nie wytrzymałam i dałam się znów w to wciągnąć.

Uniósł pytająco brwi.

— Bo tego ci nie powiedziałam, prawda? To moja pierwsza misja od ponad roku. Cofnięto mnie z emerytury. — Wysączyła do końca zawartość szklanki. — Przymusowej.

— A co się stało?

— Znów znalazłam się w Afryce. W Kongu prowadziłam mediacje w sprawie wojny, która nikogo nie interesowała. Wszyscy mieli ją w nosie, choć ginęły miliony. Trwało to aż osiemnaście miesięcy, ale w końcu udało nam się namówić wszystkie

strony konfliktu do zawarcia porozumienia. Do ostatecznego podpisania brakowało paru dni, najwyżej tygodni. W każdym razie byliśmy bardzo blisko. I wtedy popełniłam... — Podniosła ku niemu twarz, by upewnić się, że słucha. Słuchał z najwyższą uwagą. — Popełniłam błąd. Straszny, koszmarny błąd. — Głos jej się załamał. — I przez ten błąd... przeze mnie rozmowy zostały zerwane i do porozumienia nie doszło. Parę dni później musiałam opuścić Kongo. I kiedy jechałam szosą na lotnisko, znów je zobaczyłam. Takie same twarze, takie same dzieci, nastoletni chłopcy i dziewczynki. Wszystkie miały taki sam otępiały wyraz oczu. A ja miałam świadomość, że to przeze mnie. Przez to, że tak strasznie zawałam sprawę. — Po jej policzku spłynęła łza. — Widok tych twarzy będzie mnie prześladować do końca życia, niezależnie od tego, co będę robić.

Dopiero teraz się poruszył. Odstawił szklanekę, pochylił się i dotknął jej dłoni. Lekko ją ściskając, wstał z miejsca i przyciągnął Maggie do siebie tak, że oparła głowę na jego piersi. Bez słowa zaczął ją głaskać po włosach, co pozwoliło jej łzom popłynąć znacznie obficie.

• • •

W milczeniu wjechali na górę i weszli do jej pokoju. Przez chwilę stali bez ruchu za zamkniętymi drzwiami, po czym ich wargi same, jakby bez udziału ich woli, zetknęły się w długim, choć nieco wstydliwym pocałunku, a ich języki tylko przelotnie się musnęły.

Ona pierwsza wykonała ruch. Położyła mu obie dłonie na piersiach, czując pod palcami twardość jego mięśni. Powoli uniósł dłoń i bardzo delikatnie musnął bok jej piersi. Poczwała dreszcz przyjemności.

Jednak gdy jego druga dłoń natrafiła na kawałek nagiego ciała między krawędzią spodni a bluzką i palce rozpoczęły łaskocący marsz, odsunęła się.

— Co? Co się stało?

Maggie zatoczyła się do tyłu i siadła na łóżku. Przechyliła się

i namacała **wyłącznik**, zalewając **pokój** rujnującym nastrój światłem.

— Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro — powiedziała, potrząsając głową i unikając jego wzroku. — Ale nie mogę.

— Bo masz kogoś w kraju?

Tak powinno być, pomyślała ze smutkiem. Powodem powinien być Edward. Ale tak nie jest.

— Nie. Nie o to chodzi.

Uri odwrócił głowę. Oczy mu pociemniały, jakby je przesłonił ochronną zasłoną.

— Uri, proszę. Chcę ci to wyjaśnić.

Ich spojrzenia się spotkały i Uri opadł na krzesło przy biurku.

— Bo widzisz, nie powiedziałam ci wszystkiego o tym moim błędzie. Wtedy w Afryce, to nie był... — Zawahała się w poszukiwaniu właściwego słowa. — To nie był błąd... profesjonalny. Nie spieprzyłam niczego w trakcie negocjacji. — Uśmiechnęła się gorzko na myśl, że sama wpadła w językową pułapkę. — Spieprzyłam wszystko z jednym z uczestników. Na tym polegał mój błąd. Posłałam do łóżka z przywódcą jednej z grup rebelian tów. — Spojrzała na Uriego, oczekując nagany w jego wzroku, ale on tylko słuchał. — Oczywiście wszyscy się o tym dowie dzieli i stwierdzili, że w tej sytuacji nie mogę już być bezstronna. A skoro tak, to Stany Zjednoczone też już nie są bezstronne. Rozmowy zostały zawieszono.

Uri westchnął.

— I dlatego zesłali cię na emeryturę i odsunęli od pracy... Żeby cię ukarać.

— Nie, właściwie nie. Zrobiłam to sama. Sama się ukarałam.

— Spróbowała się blado uśmiechnąć, ale i tak prawie nie widziała jego reakcji. Spojrzenie miała zamglono łzami, jednak przez tę spowiedź czuła ogromną ulgę. — Wiesz, wszyscy mi mówią, że powinnam iść do przodu. Edward wciąż mi powtarzał: idź do przodu. Ale ja nie potrafię. Rozumiesz to, Uri? Nie mogę pójść do przodu, póki tego nie naprawię. A nie uda mi się naprawić, jeśli znowu popełnię ten sam błąd.

— Ale, Maggie — uśmiechnął się — jestem tylko obcym facetem, którego przypadkowo spotkałaś. Nie mam nic wspólnego z rozmowami pokojowymi.

— Ale jesteś Izraelczykiem. A sam wiesz, jak tu wszystko stoi na głowie. To by się liczyło jako opowiedzenie się po jednej ze stron.

— Mówiąc tak, zakładasz, że ludzie by się dowiedzieli.

— O tak. Zawsze się dowiadują. — Unikała jego wzroku, uciekając oczami na boki i w dół. Bała się, że jeśli znów go ujrzy tak, jak przed chwilą, jej determinacja może stopnieć.

Wstała z łóżka i otworzyła na oścież drzwi na pusty hotelowy korytarz. Uri podniósł się z krzesła, a ona spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

— Przykro mi, Uri — powiedziała cicho. — Naprawdę, bardzo mi przykro.

Rozdział 29

Jerozolima, czwartek, godz. 7.15

Maggie poderwała się z łóżka z walącym sercem i trwało chwilę, nim uzmysłowiła sobie, gdzie jest i co się z nią dzieje. Z głębokiego snu wyrwał ją dzwonek telefonu i na jej reakcję nie miało wpływu to, że na tę godzinę zamówiła budzenie. Każdy nagły dźwięk wrywający ją ze snu — wszystko jedno, budzik czy telefon — zawsze tak na nią działał.

— Mhmmm...

— Maggie? Tu zastępca sekretarza.

O Jezu. Odsunęła słuchawkę od twarzy i odchrząknęła. —

Tak. Dzień dobry.

— Chciałbym cię widzieć za piętnaście minut. Spotkajmy się na dole.

Popijając kawę, Robert Sanchez zrelacjonował jej ostatnie niepokojące wydarzenia. Wprawdzie wydawało się, że obie strony starają się opanować emocje, jednak w Jeninie i Qalqilii wybuchły zbrojne zamieszki, a Izrael wznowił okupację części Strefy Gazy. Palestyńczycy oskarżali Izrael, że w ciągu ostatnich dwóch dni śmierć poniosło kilkanaścioro dzieci, a prasa izraelska donosiła o mikrobusie pełnym uczniów, który zamachowiec--samobójca wysadził na przedmieściach Netanii.

Co gorsza, wyglądało na to, że cały region szykuje się do

wojny. Nie tylko na miasta i wioski na północy Izraela spadały wyrzucane z Libanu rakiety Hezbollahu, ale Syria już rozpoczęła mobilizację wojsk wokół wzgórz Golan, a Egipt i Jordania odwołały z Tel Awiwu swoich ambasadorów. Sanchez przyniósł plik przedruków z prasy amerykańskiej, z których wynikało, że zarówno „New York Times”, jak i „Washington Post” kojarzą obecną sytuację z tym, co się działo w latach 1967 i 1973, kiedy cały Bliski Wschód znalazł się w ogniu walk.

— A teraz będzie jeszcze gorzej — zauważył Sanchez. — Połowa z nich ma już broń nuklearną i ani się nie obejrzymy, jak wciągną w to cały cholerny świat.

Trudno było wyobrazić sobie bardziej ponury początek dnia, jednak rozmowa z Robertem Sanchezem sprawiała Maggie prawdziwą przyjemność. Był jednym z niewielu oficjeli w Departamencie Stanu, których znała osobiście, a już na pewno jedynym w całej delegacji amerykańskiej w Jerozolimie. Ponowne powierzenie mu drugiego co do ważności stanowiska w Departamencie Stanu zaskoczyło cały Waszyngton, bo był jedynym, który ostał się po poprzedniej ekipie. W zgodnej opinii komentatorów pozostawiono go w roli niańki nowego sekretarza stanu, co uznawano za swoiste wotum nieufności prezydenta wobec własnego człowieka na stanowisku szefa Departamentu Stanu. Tylko że Maggie było to zupełnie obojętne. Miała okazję dwukrotnie pracować z Sanchezem i nauczyła się go szanować, a nawet — co w tych kręgach należało do rzadkości — ufać mu. Był szefem drugiego rzutu amerykańskiego kontyngentu na Bałkanach, w którym Maggie jako nowicjuszka miała okazję obserwować jego cierpliwe i konsekwentne metody pracy. Żadnego wywyższania się, żadnych konszachtów z mediami, tylko pełna zaangażowania praca. W sposób zupełnie naturalny przejął wtedy na siebie obowiązki jej mentora i powtórzył to, gdy spotkali się ponownie w trakcie rozmów północ—południe w Sudanie.

W waszyngtońskich kręgach dyplomatycznych Sanchez był postacią podwójnie niezwykłą. Po pierwsze, był zawodowym dyplomatą, a nie jedynie szczodrym donatorem funduszu wybór-

czego zwycięskiej partii, którego nagradza się ciepłym am-basadorstwem. Jako dyplomata niebędący politykiem Sanchez osiągnął szczyt swoich możliwości, stanowisko sekretarza stanu było bowiem dla niego nieosiągalne. Już dotarcie do szczytów zastępcy było czymś niezwykłym.

Ale jeszcze ważniejsze — przynajmniej w oczach Maggie — było to, że Sanchez należał do nielicznej garstki przedstawicieli najwyższych sfer rządowych o latynoamerykańskich korzeniach. Razem stanowili niezwykłą parę: zwalasty, niedźwiedzio-waty wielkolud z Nowego Meksyku i wiotka dziewczyna z Dublina. Wśród zapiętych na ostatni guzik, białych pracowników Departamentu Stanu oboje byli outsiderami, i to ich do siebie zbliżyło.

— Mamy szczęście, że nie siedzimy teraz w Camp David czy czymś takim — mówił Sanchez. — Bo inaczej obie strony już by się spałowały i wróciły do domów. Dom Rządowy jest praktycznie pusty.

Maggie próbowała się rozbudzić za pomocą kolejnej kawy.

— Chcesz powiedzieć, że strony wezwały swoich negocjatorów na „konsultacje”?

— Właśnie.

— I wszystko zaczęło się od tych zabójstw?

— Mhm. Najpierw Guttman, potem Nour. Nie wspominając już o nocnej napaści na kibuc z Jeninu...

— Słucham? Napaść z Jeninu?

— Tak. Okazuje się, że dokonało tego jakieś palestyńskie ugrupowanie z Jeninu. Przedostali się przez granicę i napadli na Bet Alfa.

— Izraelczycy są tego pewni?

— Tak. Terrorysty zostawili po sobie hasło wymalowane sprayem na murze. *Nie ma snu dla Bet Alfa, póki nie uśnie Jenin.*

— I Izrael uważa to za wystarczający powód do zerwania rozmów?

— Tak daleko się jeszcze nie posunęli.

— Na razie tylko do „konsultacji”.

— Tyłko. Ale najbardziej wstrząsnęło nimi to, że myśleli, że już im nie grożą ataki z Jeninu. Od czasu wzniesienia muru...

— Chciałaś powiedzieć „bariery ochronnej” — upomniała go z uśmiechem.

— Jak zwał, tak zwał, ale rzeczywiście napaści z Zachodniego Brzegu ustały. Prawica chce rozszarpać Jariwa za to, że ich zdaniem tak się zajął przymilaniem się do Palestyńczyków, że uczynił kraj bezbronnym i musi teraz negocjować pod przymusem.

— A Jariw wie, jak im się udało przedostać?

— W tym rzecz, Maggie. Nawet ludzie z naszego wywiadu są tym zaskoczeni. Izraelczycy twierdzą, że sprawdzili mur... przepraszam, barierę ochronną... na całej długości i nigdzie nie znaleźli żadnego wyłomu.

— Więc co się stało?

Sanchez ściszył głos.

— Obawiają się, że to dowodzi postępującej eskalacji. Że Palestyńczycy rozbudowują swoje techniczne możliwości, a to było tylko ostrzeżenie.

— Jaka jest reakcja Izraela?

— Tylko oświadczenie. Chyba że za reakcję uznamy wczorajsze zabójstwo.

— Jakie zabójstwo?

— Nie dostałaś notatki CIA?

Pewnie ją wysłali o szóstej rano, pomyślała. O tej porze cała ekipa Departamentu Stanu w Jerozolimie ma już za sobą poranny prysznic i czyta najświeższe wiadomości i tylko ona śpi w najlepsze po nocy spędzonej w barze z...

— Wczoraj wieczorem we Wschodniej Jerozolimie miało miejsce morderstwo. Na ulicznym targowisku zadźgano nożem jakiegoś miejscowego handlarza.

Maggie pobladła.

— Handlarza? Jakiego handlarza?

— Nie znam szczegółów. Słuchaj, wiem, że rozmawiałaś z osadnikami, z al-Szafim i że próbowałaś się czegoś dowiedzieć.

Ale musimy teraz mocniej docisnąć. Wygląda na to, że dranie po obu stronach starają się wszystko rozwalić. Dobra, teraz sza.

Maggie zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czemu Sanchez tak nagle zamilkł. Od strony bufetu śniadaniowego zmierzał w ich stronę Bruce Miller. Diabli go nadali. Tak bardzo chciała wysłuchać szczerych komentarzy Sancheza. Teraz, przy człowieku prezydenta, zastępcy sekretarza będzie się bardziej pilnować. Uniósł się nawet lekko na powitanie Millera, jakby podkreślając ich umiejscowienie w waszyngtońskiej hierarchii.

— Witaj, Bruce. Właśnie rozmawiałem z Maggie Costello o ostatnich wydarzeniach.

Maggie wyciągnęła rękę, a Miller przytrzymał ją o moment za długo. Jak przystało na dżentelmena z Południa skłonił też szarmancko głowę i wymamrotał: „Cała przyjemność po mojej stronie”.

Maggie nie mogła nie zauważyć, że przy okazji zlustrował ją wzrokiem od tydek po klatkę piersiową.

— No więc — powiedział, siadając, usatysfakcjonowany wynikiem inspekcji. — Do czego doszliście?

Maggie wyłuszczyła swoją teorię o związku łączącym zabójstwa Guttmana i Noura i poinformowała, że nawiązała osobiste kontakty po obu stronach, które mają jej pomóc ustalić, na czym ten związek polega. (Zauważyła, że na dźwięk słów „osobiste kontakty” po twarzy Millera przemknął lekki grymas). Nie zdobyła się, by opowiedzieć o anagramie Noura, i ograniczyła się do stwierdzenia, że jest pewna, iż poznanie tego związku pozwoli lepiej określić źródła zagrożeń dla procesu pokojowego.

— I cóż to za związek, panno Costello? Czego dotyczy?

— Archeologii.

— Słucham?

— Guttman i Nour byli archeologami. Sądzę, że nawet ze sobą współpracowali. Guttman natknął się na coś, co, jak oświadczył żonie, wszystko zmieni. Dwa dni później oboje nie żyli.

— Policja twierdzi, że popełniła samobójstwo. Zrobiła to pod wpływem jego śmierci.

— Wiem, że policja tak uważa. Ale jej syn jest przekonany, że to niemożliwe. A ja mu wierzę.

— Blisko ze sobą współpracujecie, panno Costello?

Maggie poczuła, że pąsowieje jej szyja. Znowu to samo, pomyślała ze złością. Potrafi zachować kamienną twarz i bez mrugnienia okiem strzec sekretów obu stron, ale gdy rzecz nie dotyczy demilitaryzacji strefy buforowej czy dostępu do morskich portów, tylko jej samej, od razu się rozkleja. Przestaje nad sobą panować i wszystko po niej widać. Wtedy też tak było. Kosztowało ją to tak drogo, że należałoby mieć nadzieję, iż czegoś się nauczyła. Okazuje się, że nie, i oto siedzi teraz zmieszana i walczy z rumieńcem.

— Uri Guttman udzielił mi cennej pomocy.

— Mówi pani, że chodzi o archeologię, tak? — powtórzył Miller, upychając sobie serwetkę za kołnierzyk koszuli. — Czyli ta wczorajsza historia to nie przypadek, tak?

— Wczorajsza historia?

— Napad na Bet Alfa.

— Chodzi panu o ten kibuc?

— Kibuc, ale i kopalnię archeologicznych skarbów Izraela. Proszę, niech pani poczyta. — Przesunął do niej egzemplarz angielskiego wydania „Haaretz”. — Trzecia strona.

Niemal całą górną połowę strony zajmowała barwna fotografia nocnego nieba, które rozświetlone było luną od płonącego jak pochodnia budynku. Podpis głosił, że płonie muzeum Bet Alfa i Centrum Turystyczne, które „ubiegłej nocy padły ofiarą napaści, zapewne palestyńskiej”.

W fotografię wmontowano małe zdjęcie pięknej, podzielonej na trzy części mozaiki podłogowej, z których środkowa ukazywała coś w rodzaju koła zodiaku. Podpis wyjaśniał, że zdjęcie przedstawia podłogę najstarszej synagogi w Izraelu, która wedle ocen pochodzi z piątego lub szóstego wieku okresu bizantyjskiego. *Przetrwiała w nienaruszonym stanie 1500 lat, a teraz specjaliści martwią się o jej dalsze losy.*

Dając Maggie czas na przeczytanie relacji, Miller zajął się

omawianiem z Sanchezem planów na najbliższą przyszłość. Ponownie zgodnie uznali, że w sytuacji, gdy obie strony nawet ze sobą nie rozmawiają, przyjazd sekretarza stanu jest bez sensu. Lepiej będzie przesunąć jego obecność na końcowy etap rozmów...

— To za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności — wtrąciła Maggie. Miała świadomość, że przerywa rozmowę znacznie ważniejszych od siebie ludzi.

— Bet Alfa?

— Tak. Wszystkie ofiary, jakie od chwili kryzysu w stosunkach padły po obu stronach konfliktu, miały z tym coś wspólnego.

— Wskazała na fotografię w gazecie. — Z archeologią, z ruinami. Ogólnie z przeszłością.

Miller spojrzął na nią z uśmiechem na twarzy, jakby jej słowa go rozbawiły.

— Sądzi pani, że prześladują nas upiory? Starożytne duchy straszące współczesnych? — Mówiąc to, zamachał rękami i wykrzywił groźnie twarz, jak na Halloween.

Maggie postanowiła zignorować jego protekcjonalizm.

— Jeszcze nie wiem, co nas prześladuje, ale jestem gotowa się założyć, że ma to związek z obecnym kryzysem w rozmowach.

— Spójrzmy prawdzie w oczy, panno Costello. Wszystko w tym zaszranym kraju... — Przypomniał sobie nagle, gdzie jest, i ściszył głos. — Tu wszystko ma z tym jakiś związek. — Chwycił gazetę i złożył ją wokół zdjęcia z mozaiką z Bet Alfa. — Wszędzie tylko kamienie, skały i świątynie. Rzecz w tym, że to niczego nie wyjaśnia. Mamy do czynienia z poważnym problemem natury politycznej i uporanie się z nim wymaga poważnych politycznych działań. Oczekuję, że udowodni pani swoją cholerną pięciogwiazdkową reputację i zajmie się od zaraz prawdziwą pracą. Czy wyrażam się dość jasno, panno Costello?

Maggie już go miała zapewnić, że nie traci czasu i że związek ma bardzo konkretny wymiar, ale w tym momencie rozmowę przerwał brzęczyk. Odłożony na stół blackberry Millera brzę-

czeniu i wibrowaniem sygnalizował nadejście nowej wiadomości.

— Policja izraelska ustaliła nazwisko mężczyzny, którego zamordowano wczoraj wieczorem na targowisku.

— Jestem gotowa się założyć, że handlował starociami. Antykami. Archeologicznymi ciekawostkami. Mam rację?

Miller spojrział na ekranik i kciukiem zaczął przewijać wiadomość.

— No i by pani przegrała, panno Costello. Okazuje się, że ofiara handlowała owocami i jarzynami. Nie miała nic wspólnego ze starożytnością. Nazywał się Afif Aweida i handlował zieleniną.

Rozdział 30

Jerozolima, poprzedni czwartek

Szimon Guttman drżącą dłonią wsadził klucz do zamka. Powrotną drogę do domu przebył jak w transie, a jego myśli lawirowały między euforią a przerażeniem. Przez wszystkie lata spędzone w Jerozolimie ani razu nie bał się, że ktoś go napadnie, dziś jednak co chwila oglądał się do tyłu i na boki, przypatrując się podejrzliwie każdemu przechodniowi. Nie mógł się uwolnić od strasznej myśli, że właśnie dziś zaczepi go jakiś lump i zażąda opróżnienia kieszeni. Nie może do tego dopuścić. Nie dzisiaj, kiedy ma przy sobie coś takiego.

— Jestem! — zawołał w głąb mieszkania. Modlił się w duchu, żeby mu nikt nie odpowiedział i żeby się okazało, że jest zupełnie sam.

— Szimon? To ty? — Głos żony.

— Tak, niedługo przyjdę. Idę do siebie.

— Jadłeś coś?

Szimon zignorował pytanie i zamknąwszy za sobą drzwi gabinetu, ruszył prosto do biurka. Ręką odsunął na bok zalegające je rupiecie — kamerę wideo, cyfrowy rejestrator dźwięku i stos papierzysek — i zrobił miejsce na środku. Ostrożnie wyciągnął z kieszeni glinianą tabliczkę, którą godzinę wcześniej dostał od Afifa Aweidy. W połowie drogi do domu zatrzymał się i owinął ją w chusteczkę, żeby uchronić przed wilgocią spoconej dłoni.

Rozwinął chusteczkę i czując, jak całe jego ciało pręży się

w oczekiwaniu, zabrał się do ponownego odczytywania tekstu. Na bazarze zdołał odcyfrować tylko kilka pierwszych słów, bo reszta była częściowo zatarta i niełatwa do zidentyfikowania. Żeby wszystko przeczytać, będzie musiał nieźle się natrudzić, przywołując na pomoc bardzo specjalistyczne książki ze swej biblioteki. Ale jak będzie trzeba, to posiedzi nad tym choćby całą noc.

Czuł ogarniający go dreszczyk podniecenia. Nie czuł się tak od... właściwie od kiedy? Może od czasu wykopalisk w Bet Alfa, kiedy odkrycie resztek domów przylegających do starożytnej synagogi dostarczyło dowodu na to, że w czasach bizantyjskich istniała w tym miejscu żydowska osada. A może od czasu, kiedy będąc studentem Jigala Jadina brał udział w wykopaliskach w Masadzie? Nie. Podniecenie, jakie czuł, było zupełnie innego rodzaju. Ze wstydem przyznał w duchu, że najbardziej dawało się to porównać z tym, co poczuł, kiedy jako nieśmiały szesnastolatek stracił dziewictwo z Orną, dziewiętnastoletnią ślicznotką z jego kibucu. Czuł, że tak jak wtedy narastająca w nim ekstaza prowadzi do wybuchowej kulminacji.

Ja Abraham, syn Teracha...

Bardzo chciał poznać dalszy ciąg, ale jednocześnie w żołądku czuł ołowiany ciężar. A jeśli się myli? A jeśli to wszystko to jedna wielka mistyfikacja?

Starął się uspokoić nerwy. Wstał z fotela i potrząsnawszy głową jak pies wychodzący z wody, usiadł znowu. Przede wszystkim musi się upewnić, że to rzeczywiście słowa Abrahama. Sama treść może jeszcze poczekać. Westchnął głęboko i zabrał się do roboty.

Tekst został napisany w języku starobabilońskim i to by się zgadzało. Ten dialekt mógł być używany osiemnaście wieków przed Chrystusem, kiedy wedle powszechnej opinii żył Abraham. Powrócił wzrokiem do tekstu, którego autor przedstawiał się jako syn Teracha, i wspominał o dwóch synach o imionach Izaak i Izmael.

Można było sobie wyobrazić, że mógł istnieć inny Abraham,

który mógł być synem innego Teracha, a nawet i to, że obaj żyli w tym samym czasie i miejscu. Oraz że ten inny Abraham też miał dwóch synów. Ale synów o takich samych imionach, Izaak i Izmael? Tego już było za wiele. To musiał być on!

Drzwi do gabinetu otworzyły się i Szimon instynktownie zakrył tabliczkę dłonią.

— Cześć, *szamudi*. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Czy nie miałeś być dziś u Shapiry?

Cholera. Narada.

— Tak, miałem. Znaczący, mam. Zadzwoń do niego.

— Co ci jest, Szimon? Jesteś zlany potem od stóp do głów...

— Na dworze jest gorąco. Biegłem.

— Dlaczego ty biegłeś?

— Po co te wszystkie pytania? — prychnął, podnosząc głos.

— Zostaw mnie w spokoju, kobieto. Nie widzisz, że jestem zajęty?

— A co tam masz na biurku?

— Rachel!

Odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

By się uspokoić, skupił się na tekście. Przebiegł wzrokiem do miejsca, w którym autor nazywa Ur swoim rodzinnym miastem. Ur leżało w Mezopotamii i było miejscem narodzin Abrahama. Zajrzał na drugą stronę tabliczki i przyjrzał się pieczęci między końcem tekstu a datą. Taka sama pieczęć widniała w jednym z narożników, kolejna na krawędzi tabliczki. Odcisku nie wykonano przy użyciu cylindra, z jakich korzystali królowie i bogacze. Cylindry mające postać żłobionego, pustego w środku kamiennego wałka toczono po miękkiej glinie, otrzymując w ten sposób unikalny odcisk jako podpis. Pieczęć nie miała też postaci kilku półkolistych nacięć, jakie powstawały przy wciskaniu w glinę paznokcia prawego kciuka. Nie, pieczęć miała zupełnie inny, znacznie rzadziej spotykany kształt. Wzór, który Guttman bez wahania rozpoznał i który od razu przemówił mu do wyobraźni.

Odcisk miał kolisty kształt i składał się z rozchodzących się promieniście kresek. Szimon zetknął się z czymś podobnym

zaledwie dwa razy, w tym raz tylko na zdjęciu. Wzór taki uzyskiwano, odciskając w glinie węzeł zdobiący kraj męskiej szaty, jakiego używano w Mezopotamii w czasach Abrahama. Ozdoby takie dawno wyszły z mody, z jednym wszak wyjątkiem, którym był żydowski szal modlitewny. Wystarczyło wyjść z domu, aby zobaczyć stojącego na przystanku autobusowym lub kupującego w kiosku gazetę ultraortodoksyjnego żyda, który blisko cztery tysiące lat później nosił szal z identycznymi węzłami. I takim właśnie węzłem odcisnął swą pieczęć Abraham, syn Teracha.

Niezależnie od treści już samo istnienie tego niepozornego przedmiotu o długości dziesięciu centymetrów, szerokości około siedmiu i grubości niewiele ponad centymetr było wydarzeniem, którego historycznego znaczenia nie sposób było przecenić. Tabliczka stanowiła pierwszy materialny dowód archeologiczny na potwierdzenie treści Biblii. Istnieje oczywiście Czarny Obelisk Salmanasara III, który w British Museum stoi wśród mumii faraonów i na którym jedna z płaskorzeźb ukazuje izraelskiego króla Jehu w trakcie składania hołdu monarsze asyryjskiemu. O królu Jehu jest mowa w Biblii i obelisk odkryty w dziewiętnastym wieku przez Henry'ego Layarda potwierdza prawdziwość tego zapisu.

Ale w wielkiej opowieści biblijnej Jehu jest postacią marginesową, a fakt istnienia głównych bohaterów — od patriarchów po Mojżesza i Jozuego — nie został poparty żadnymi dowodami znalezionymi przez archeologów. Aż do teraz. Bo oto miał przed sobą namacalny dowód na istnienie samego wielkiego praojca.

Brzmiało to zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. A jeśli to falsyfikat? Guttman wrócił myślami do skandalu sprzed lat, który wstrząsnął uczonymi i historykami na całym świecie. Pamiętał, jak wraz z kolegami śledził tamte wydarzenia z mieszaniną *schadenfreude** i fascynacji. W 1983 roku brytyjski

* Niem. termin oznaczający radość odczuwaną z powodu cudzego niepowodzenia.

historyk Hugh Trevor-Roper uznał za autentyczne przedstawione mu pamiętniki Hitlera i za swą pomyłkę zapłacił reputacją naukowca. Popełnił prosty błąd: chciał wierzyć w ich autentyczność. Siedząc w swoim domu w Jerozolimie, Szimon Guttman wiedział, co Trevor-Roper musiał wtedy czuć. On też rozpaczliwie pragnął, by ta tabliczka była tym, czym się wydawała.

Przyjrzał się glinie o czerwonawobrązowej barwie — dokładnie takiej, jakiej każdy znawca przedmiotu oczekiwałby po glinianym wyrobie z ówczesnego Iraku. Była chropowata i spękana, jak wszystkie przedmioty sprzed tylu lat. Wziął tabliczkę do ręki i uważnie przyjrzał się pismu. Wszystkie nachylenia linii i wszystkie znaki sylabiczne były dokładnie takie, jak należy. No i sam tekst. Każde zdanie i każde sformułowanie było historycznie i idiomatycznie prawidłowe: *przed obliczem sędziów oświadczam, co następuje...* Na świecie żyło nie więcej niż pół tuzina specjalistów, którzy potrafiliby tak idealnie podrobić ten tekst, a on był jednym z nich.

Zresztą falsyfikat nie miałby sensu. Trevor-Roper pomylił się w sprawie pamiętników Hitlera, bo przeoczył jeden kluczowy aspekt. Te pamiętniki przyniósł mu ktoś z prośbą o dokonanie ekspertyzy. Oznaczało to, że od jego werdyktu zależała prawdziwa fortuna. W takich przypadkach zawsze występuje groźba oszustwa.

Ale tym razem nic takiego się nie wydarzyło. Nikt nie zgłosił się do Guttmana i nie próbował mu wmówić, że to ostatnia wola Abrahama. Wręcz przeciwnie, sam tę tabliczkę odnalazł. Gdyby nie przyszło mu do głowy odwiedzić Aweidę, tabliczka zapewne wciąż leżałaby na półce i czekała na kolekcjonera, który — niczego nieświadomy — zakupiłby ją do swojej kolekcji. Twarz Szimona Guttmana rozjaśnił uśmiech. Logika była po jego stronie.

Uznanie tabliczki za falsyfikat wymagałoby uwierzenia w ciąg całkowicie nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności. Po pierwsze, ktoś musiałby sobie zadać niezwykle pracochłonny i kosztowny trud wykonania glinianej tabliczki tak, by mogła uchodzić

za sporządzoną w Mezopotamii przed czterema tysiącami lat. Po drugie, ów oszust musiałby anonimowo podrzucić swoje dzieło handlarzowi antyków na bazarze we Wschodniej Jerozolimie w nadziei, iż jeden z kilku światowych ekspertów od pisma klinowego zajrzy przypadkiem do tego właśnie sklepiku. Po trzecie, ów ekspert musiałby wśród masy staroci zalegających sklepiki trafić na tę właśnie tabliczkę, przetłumaczyć jej treść i pojąć jej niezwykłą wagę. Nawet gdyby oszust liczył, że te wszystkie przypadki się wydarzą, pozostawało kluczowe pytanie: po co to wszystko? Co by ten mistrz mistyfikacji z tego miał? Bo na pewno nie pieniądze. Guttman nie zapłacił ani grosza sklepikarzowi, a ten nawet nie miał pojęcia, co wypuszcza z rąk. Nie, gdyby to miał być falsyfikat, oszust musiałby go przynieść prosto do Guttmana i żądać milionów dolarów.

Chłodne, logiczne rozumowanie wskazywało na to, że rozsądniej jest uznać tabliczkę za autentyk, zamiast podejrzewać, że jest falsyfikatem. Trzeba by mocno naciągnąć zasady logiki, żeby mogła nim być. Tabliczka musiała być autentyczna.

To pobudziło jego wyobraźnię. Jakim cudem się tu znalazła? Nie ulegało wątpliwości, że do Jerozolimy musiała trafić z Iraku wraz ze strumieniem antyków płynącym z tego kraju po obaleniu Saddama. To, czy dotarła tu przez Bejrut, Amman czy Damaszek, nie miało większego znaczenia, ciekawsze było natomiast, jak się na nią natknęto w Iraku. Mogła przez tysiące lat leżeć zakopana w ziemi, ale równie dobrze ktoś mógł ją wykraść z czyjejs kolekcji, może nawet ze zbiorów muzealnych. Służby podległe Saddamowi mogły gdzieś ją znaleźć i ukryć przed opinią publiczną, nawet nie zdając sobie sprawy z jej znaczenia.

Ale najbardziej fascynowały go jej wcześniejsze losy. Tabliczkę sporządzono w Hebronie, miejscu pochówku Abrahama tak świętym dla judaizmu, że Guttman i podobni mu radykałowie postanowili przywrócić je żydom natychmiast po 1967 roku. Czy można było zatem przypuszczać, że Abraham dożył końca swoich dni właśnie w Hebronie? Jego dwaj synowie uczestniczyli w pogrzebie, ale czy znaczyło to, że wcześniej odbyła się jakaś

finałowa scena na łożu śmierci, podczas której obaj żegnali umierającego ojca? Czy to właśnie wtedy wystąpiła między nimi różnica zdań, którą stary patriarcha musiał rozsądzić?

Ciekawe też było to, jakimi drogami tabliczka trafiła potem do ojczyzny Abrahama Mezopotamii. Może zawiózł ją tam jeden z jego synów? Biblia wprawdzie nie wspomina o powrocie Izaaka do Ur, ale mógł to zrobić Izmael, który na własne oczy chciał zobaczyć miasto, gdzie wszystko się zaczęło.

Guttman uzmysłowił sobie, że być może otwiera się przed nim życiowa szansa. Jako ktoś, kto przetłumaczył treść tabliczki, rozwikłał jej historię i umożliwił pokazywanie jej w największych muzeach świata, już na zawsze przejdzie do historii. Tabliczkę będą odtąd nazywać Tabliczką Guttmanna, jego zaś będą pokazywać w telewizji, hołubić w British Museum i z honorami podejmować w Smithsonian*. Naukowcy z różnych krajów będą sobie opowiadać, jak pewnego gorącego popołudnia natknął się na jerozolimskim bazarze na przedmiot będący kamieniem węgielnym ludzkiej cywilizacji.

Ten niepozorny kawałek gliny powiedział mu też o nim samym coś, czego się nawet nie spodziewał. Nagle zdał sobie sprawę, że choć ostatnie kilkadziesiąt lat poświęcił na działalność polityczną, w głębi serca zawsze był i nadal jest archeologiem. Niezależnie od treści tabliczki samo jej odkrycie wprowadziło go — jako naukowca — w stan najwyższego podniecenia. Świadomość, że tabliczka łączy się bezpośrednio z postacią Abrahama i jak teleskop w Nowym Meksyku pozwala zajrzeć do odległego świata, była dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego.

Jednak w jego głowie odzywał się też inny głos. Tkwiący w nim polityczny bojownik tak natarczywie domagał się poznania treści zdobytego dokumentu i jego znaczenia dla sprawy żydów, że nie mógł zwlekać ani chwili dłużej. Zdjął z półki kilka książek przydatnych w odczytywaniu pisma klinowego i zabrał się do pracy.

* Kompleks muzeów i obiektów edukacyjno-badawczych, który mieści się w Waszyngtonie.

Ja Abraham, syn Teracha, przed obliczem sędziów oświadczam, co następuje. Ziemia, na którą zaprowadziłem syna mego, by go oddać w ofierze Wszechmocnemu Imieniu, zwana górą Moria, ziemia owa stała się zarzewiem niezgody między mymi dwoma synami, a ich imiona niechaj będą znane jako Izaak i Izmael. Takż oznajmiam przed obliczem sędziów, że górę ową zapisuję, jak następuje...

Guttman poczuł, jak znów ogarnia go fala gorąca. Oto Abraham sam nawiązuje do jednego z kluczowych epizodów w światowej kulturze. Wspomina o *akeda*, kiedy to wielki patriarcha powiódł swego syna na szczyt góry Moria, by go tam złożyć w ofierze Bogu, którego stał się pierwszym wyznawcą. Od wieków żydzi próbują zrozumieć, cóż to za ojciec prowadzi na śmierć swoje dziecko i cóż to za Bóg, który tego od niego oczekuje. I nie łudźmy się: Abraham był gotów to zrobić. Już wznosił nóż, gdy w ostatniej chwili z nieba zstąpił anioł, powiadamiając go, że Bóg nie wymaga już od niego poświęcenia życia dziecka. Był to moment, w którym Abraham, Izaak i jego potomstwo zostało raz na zawsze ściśle związane z Bogiem, zawierając przymierze między Nim a żydami.

Oto miał przed sobą pisemny dowód na autentyczność tego wydarzenia, jednak nie to wstrząsnęło nim najbardziej. Raz jeszcze sylaba po sylabie odczytał ten fragment, upewniając się, że nie popełnił błędu.

Góra Moria... stała się zarzewiem niezgody między mymi dwoma synami, a ich imiona niechaj będą znane jako Izaak i Izmael.

Góra Moria. Wzgórze Świątynne, najświętsze miejsce judaizmu. Wedle tradycji miejsce, gdzie anioł uratował życie Izaakowi, było środkiem świata — Kamieniem Węgielnym, na którym posadowiono wszechświat. W miejscu tym starożytni żydzi

wzniesli swą wielką świątynię, a po zniszczeniu przez Babiloń-czyków zbudowali ją na nowo. Wszystko, co z niej zostało do dzisiejszych czasów, to Ściana Zachodnia — miejsce, które nadal stanowiło duchowe centrum wiary żydowskiej.

Ale wywodzący się od Izmaela muzułmanie również uważali górę Moria za swoje święte miejsce. Dla nich było to Haram al-Szarif, Wspaniałe Sanktuarium, skąd Mahomet wzniósł się do nieba na skrzydlatym rumaku. Haram to po Mekce i Medynie trzecie co do świętości miejsce muzułmanów.

*...ziemia owa stała się zarzewiem niezgody między
mymi dwoma synami, a ich imiona niechaj będą znane
jako Izaak i Izmael. Takż oznajmiam przed obliczem
sędziów, że górę ową zapisuję, jak następuje...*

Znaki w tym miejscu uległy częściowemu zatarcu, jakby były płyciej nacięte. Guttman otworzył szufladę i wyciągnął z niej szkło powiększające. Niektóre znaki wyglądały obco, a to znaczyło, że będzie musiał poszperać po innych tekstach, znaleźć podobne i ustalić ich znaczenie. Po ponad dwóch godzinach wyczerpanej pracy tłumaczenie było gotowe.

Wpijając palce w krawędź, raz jeszcze przeczytał całość. Waga odczytanych słów tak nim wstrząsnęła, że instynktownie szukał oparcia w drewnianej solidności i zwyczajności biurka. Mógł już zapomnieć o sławie i chwale z tytułu niezwykłego historycznego odkrycia. Wiedział, że to, co ma przed sobą, może wszystko zmienić. Ludzie od tysiącleci walczyli o zawiadywanie tym świętym miejscem, mieniąc się dziećmi Abrahama. W różnych okresach władzę nad nim sprawowali żydzi, muzułmanie i chrześcijanie, wierząc, że to oni są jego jedynymi prawowitymi spadkobiercami. A teraz on, Szimon Guttman, trzymał w ręku dokument, który raz na zawsze rozstrzygnie ten spór. Wszyscy uważający się za potomków Izaaka i Izmaela będą musieli uznać jego treść za obowiązującą, płynęła ona bowiem z ust samego praojca. A treść ta zmieniała wszystko.

Sięgnął po słuchawkę i dopiero wtedy uzmysłowił sobie, że nie zna numeru telefonu człowieka, do którego chce zadzwonić. Szybko włączył komputer i odnalazł w Internecie właściwą stronę. Kliknął na zakładkę *Kontakt z nami* i natychmiast wykręcił numer.

— Mówi profesor Szimon Guttman — powiedział zduszonym głosem. — Chcę rozmawiać z premierem.

Rozdział 31

Ramallah, Zachodni Brzeg, czwartek, godz. 8.30

Khalil al-Szafi zdawał sobie sprawę, że skład uczestników narady nie jest reprezentatywny. W gabinecie znajdował się szef gwardii prezydenckiej i szefowie trzech innych służb bezpieczeństwa, ale zabrakło przywódców bojowego skrzydła Hamasu i przedstawicieli sił policyjnych ze Strefy Gazy. Jeśli tak wygląda rząd zgody narodowej, zażartował dziś rano do żony, to ciekawe, jak by wyglądał rząd niezgody.

Podczas pobytu w więzieniu latami obmyślał scenariusze takich spotkań. Analizował możliwe posunięcia Izraelczyków i wymyślał katalog możliwych kontrposunięć. Potem dla każdego z nich przewidywał możliwe reakcje Izraela i do każdej obmyślał odpowiednią kontrakcję Palestyńczyków. Wyobrażał sobie, że gdyby ktoś mógł mu zajrzeć do głowy, znalazłby w niej plątaninę wzajemnych powiązań skomplikowaną bardziej niż schemat połączeń promu kosmicznego.

Tym, czego nie uwzględnił w wystarczającym stopniu, była trwałość wewnętrznych podziałów w szeregach samych Palestyńczyków. W swoich planach zakładał, że gdy wreszcie dojdzie do poważnych rozmów, Palestyńczycy będą mieli zjednoczone przywództwo. Właściwie przyjmował za pewnik, że jego zwolnienie z więzienia nastąpi właśnie dzięki utworzeniu zjednoczonego frontu Palestyny. Udało im się wprawdzie sklecić koalicję, ale to nie było to samo.

Spędzając wielokrotnie po dwadzieścia trzy godziny na dobę w celi więziennego karceru o wymiarach metr osiemdziesiąt na metr czterdzieści, popełnił jeszcze jedną omyłkę. Zakładał, że ostatniej rundzie negocjacji towarzyszyć będą akty przemocy z obu stron, bo zawsze znajdą się jacyś zapiekli wrogowie porozumienia, którzy będą chcieli torpedować rozmowy, stosując terror. Takie rzeczy zdarzały się w trakcie jakichkolwiek rozmów pokojowych gdziekolwiek na świecie i al-Szafi o tym wiedział, bo przeczytał na ten temat wszystko od deski do deski.

Nie przewidział natomiast tego, co się działo obecnie: aktów terroru, do których nikt się nie przyznawał i których nikt nie rozumiał. Spojrzał na Faisala Amiry'ego, szefa palestyńskiej służby bezpieczeństwa o profilu działania zbliżonym do agencji wywiadowczej.

— Jak to możliwe, że ten atak przeprowadzono z Jeninu? Przecież to kawał drogi, nie?

— Tak, panie ministrze. Ale skoro udało im się przedostać przez mur...

— Gdyby tak było, musielibyśmy coś o tym wiedzieć. Nie sądzisz?

— Mógł wiedzieć ktoś inny — wtrącił Toubi. Był kombatantem wieloletnich bojów toczonych pod sztandarami OWP i zaciekłym wrogiem Hamasu.

— Tylko że to na nich nie wygląda — odparł Amiry. — To nie w ich stylu. Przypuścić atak i uciec.

— Nie kreując po drodze żadnych męczenników — uzupełnił Toubi. — Zgadzam się, to dziwne. Gdyby chcieli rozwalić rozmowy, toby się sami rozwalili. Albo jakiś autobus. Najlepiej w centrum Jerozolimy.

— Frakcja rozłamowa? — zastanowił się al-Szafi.

— To by dopiero było, gdyby się okazało, że nasi przyjaciele z Hamasu zaczynają tracić swoją legendarną dyscyplinę we własnych szeregach, co? — Toubi powiedział to z tak nieskrywaną satysfakcją, że Khalil aż się skrzywił.

— Nie sądzę — rzekł Amiry. — Dotąd zachowywali nie-

zwykłą jedność działania. Ich biuro polityczne w Damaszku zdecydowało, że rozmowy mają wypalić. Że powinniśmy podpisać porozumienie, a potem przyszpilić Izraelczyków i żądać, żeby ściśle honorowali swoje zobowiązania. Właśnie taką strategiczną decyzję podjęli.

— A bez błogosławieństwa Damaszku żadni rozłamowcy nic nie wskórają?

— Otóż to. Brak im odpowiedniego wyposażenia, przeszkolenia i środków. Nie mają nic.

— A Dżihad?

— Zastanawialiśmy się nad islamskim Dżihadem. Ale mamy w ich szeregach dobrego informatora. Twierdzi, że byli tym zaskoczeni na równi z nami.

— Co wiemy o celu ataku?

— To jest w tym najdziwniejsze. Gdyby chodziło o spowodowanie strat w ludziach, to powinni z pola skrócić w prawo i zaatakować budynki mieszkalne. A oni wybrali muzeum i zabili tylko jednego człowieka.

Toubi pokiwał głową.

— W ogóle nie musieli tam iść. Jak się już przedostali przez mur, to mogli zaatakować Magen Szaul. Po co wlec się taki kawał aż do Bet Alfa?

— A ja wiem po co. — Al-Szafi wstał od biurka, przeszedł przez gabinet i pochylił się nad rozłożoną w kącie szachownicą. Zwyczaj grania ze sobą w szachy pozostał mu z więzienia. Rozgrywał w głowie całe partie, wykonywał ruchy za obu graczy, a jedna taka partia potrafiła się ciągnąć przez kilka dni. Pomagało mu to nie zwariować podczas pobytów w karcerze. W jego gabinecie stale trwała jakaś partia. — W Bet Alfa znajduje się stara synagoga sprzed tysiąca pięciuset lat. Syjoniści ją kochają, bo dowodzi, że są na tych ziemiach równie długo jak my. Gdyby jej zabrakło, byłby na to o jeden dowód mniej.

— Chyba żartujesz.

— A dlaczego nie? Jak myślisz, o co całymi dniami spierają się w jerozolimskim Domu Rządowym? — Nadal nie unosił

głowy nad szachownicy, zaciskając palce na białym gońcu obok czarnego piona. — Właśnie o to. — Zdjął z szachownicy czarną wieżę, postawił w jej miejsce gońca i zawrócił do biurka.

— Nie rozumiem.

— Cały czas chodzi o przeszłość. O to, kto tu był pierwszy i kto ma większe prawa. Wiecie, co najbardziej rozwścieczyło Izraelczyków podczas konferencji w Camp David w dwutysięcznym roku?

Toubi niespokojnie poprawił się na krześle. Nie lubił, żeby ten młokos go pouczał.

— Spośród wszystkich wypowiedzi prezydenta Arafata Izraelczyków rozjuszyło jedno stwierdzenie. Prezydent zaprzeczył, żeby w Jerozolimie kiedykolwiek była jakaś żydowska świątynia. „Jak to może być Wzgórze Świątynne? — powiedział. — Dlaczego nazywacie to Wzgórzem Świątynnym? Tam nie było żadnej świątyni. Świątynia była w Nablusie”.

— Ale co to ma wspólnego z Bet Alfa?

— Chodziło o to samo. O próbę podważenia pozycji drugiej strony w dyskusji o tym, co komu przypadnie. O przechylenie szali na naszą korzyść. „Spójrzcie, o jedno miejsce starej żydowskiej obecności mniej. A może w ogóle nigdy go nie było?”.

— Przecież to głupota!

— Oczywiście, że głupota. Ale podejrzewam, że jacyś Palestyńczycy postanowili zrobić nam przysługę. Podać pomocną dłoń.

— Nie wierzę w to.

— Masz lepsze wyjaśnienie?

Zapadło milczenie, które dopiero po chwili przerwał Amir.

— No i jest jeszcze ten handlarz. Jakiś Aweida zadżgany w Jerozolimie.

— Co o tym wiecie?

— Niewiele. Podobno do jego ciała przyczepiono kartkę z hebrajskim tekstem. Stronicę wyrwaną z Tory. Izraelskie radio wojskowe podało, że do zabójstwa przyznało się jakieś ugrupowanie, o którym nikt dotąd nie słyszał. Obrońcy Zjednoczonej Jerozolimy.

— Osadnicy?

— Możliwe.

Al-Szafi podrapał się w pokrytą krótkim zarostem brodę.

— No to Jariw nieźle się teraz poci.

— Zawsze zakładali, że Machteret się w końcu uaktywni — wtrącił Toubi. Tak nazywano zbrojne żydowskie podziemie. Toubi znał hebrajski, którego — podobnie jak al-Szafi — nauczył się w izraelskim więzieniu.

— Jeśli to prawda, to zabijać będą nas, ale tak naprawdę atakować jego.

— Jakie ma pan dla nas polecenia? — spytał Amiry. W gronie rozgadanych ideologów palestyńskich zawsze reprezentował z gruntu pragmatyczne podejście.

— Chciałbym, żebyś dowiedział się jak najwięcej o incydencie w Bet Alfa. Przestuduj izraelską prasę i przeczytaj doniesienia korespondentów wojskowych. Jeśli armia coś wie, to zawsze będzie jakiś przeciek. I dowiedz się, co ludzie mówią o tym Afifie Aweidzie. Podobno ma kuzynów w Betlejem. Pogadaj z nimi. Czy zabito go przypadkowo, czy też istnieje jakiś powód, dla którego izraelscy fanatycy mordują handlarza zieleniną.

— Coś jeszcze?

— Tak. Chcę wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi tej Costello. Zadzwoniła do mnie i wypytywała o Ahmeda Noura. Mamy do czynienia z co najmniej trzema niewyjaśnionymi zabójstwami i póki nie zrozumiemy, o co w tym wszystkim chodzi, zdarzy się ich więcej. Stracimy wielu Palestyńczyków, a wraz z nimi najlepszą za naszego życia szansę na niepodległość. Jestem przekonany, że wiecie, co należy robić.

Rozdział 32

Wschodnia Jerozolima, czwartek godz. 9.40

Już po raz drugi w tym tygodniu wchodziła do domu żałoby. Było to dla niej nowe doświadczenie, choć słyszała o mediatorach, którzy potrafili wykorzystywać takie sytuacje do własnych celów. Zdarzyło się na przykład, że w krytycznej fazie rozmów pokojowych w Irlandii Północnej w jednym z pubów zastrzelono dwóch przyjaciół, z których jeden był protestantem, a drugi katolikiem. Zamiarem zamachowców było doprowadzenie do zerwania rozmów pokojowych, osiągnęli natomiast odwrotny efekt. Śmierć dwóch młodych mężczyzn uprzytomniła wszystkim, jak bardzo dosyć mają tej wojny, i gdy delegacje obu stron odwiedziły zrozpaczone rodziny, wyszły od nich jeszcze bardziej umocnione w zamiarze doprowadzenia do pokoju. Maggie doskonale pamiętała tamte wydarzenia: przebywała gdzieś w południowym Sudanie i z zapartym tchem słuchała relacji na falach krótkich. Gdy w Londynie i Dublinie ogłoszono Wielkopiątkowe Porozumienie, jeszcze długo potem siedziała w namiocie, płacząc z radości.

Zabójstwom w Jerozolimie zabrakło moralnej przejrzystości, jaka charakteryzowała ofiary zamachów w Belfaście. Prawdę mówiąc, w tutejszych zabójstwach nie można się było doszukać nie tylko moralnej, ale jakiegokolwiek przejrzystości. Szimona Guttmana zastrzelono być może dlatego, iż uznano, że zagraża

bezpieczeństwu premiera; Ahmed Nour mógł być kolaborantem i został za to ukarany śmiercią; Rachel Guttman mogła popełnić samobójstwo; kibuc na północy kraju mógł stać się celem bandy rozwydrzonych wyrostków palestyńskich. I tylko śmierć Afifa Aweidy, za którą odpowiedzialność przyjęło na siebie jakieś nieznane izraelskie ugrupowanie, zdawała się jednoznacznie wymierzona w proces pokojowy. Ale i co do tego nie było pewności.

Dlatego wizyta Maggie w domu żałobnym Aweidy nie miała w sobie takiego ciężaru gatunkowego jak tamte wizyty w Belfaście sprzed lat. Nie szła opłakiwać śmierci dwóch chłopaków — Araba i Żyda — których zastrzelono podczas przyjacielskiego drinka. Tak naprawdę nie szła opłakiwać kogokolwiek. Szła w nadziei, że może uda jej się dowiedzieć, co się, do cholery, dzieje.

Tak jak się spodziewała, dom był pełen ludzi i zgiełku. Świdrujące w uszach zawroźnienie wzbierało i opadało niczym fale na morzu. Po chwili spostrzegła, że dobiegało ono z grupki kobiet otaczających starszą matronę w bezkształtnej, haftowanej czarnej szacie. Jej policzki były zapadnięte od płaczu.

Tłum żałobników rozstał się, robiąc Maggie przejście. Mijane przez nią kobiety bezustannie pocierały sobie policzki wewnętrznymi stronami dłoni, jakby chcąc z nich usunąć kurz, inne, nisko przykucnięte, waliły pięściami w podłogę. Ze wszystkich biła skrajna rozpacz.

Maggie dotarła do końca pokoju i zatrzymała się przed kobietą mniej więcej w swoim wieku. Kobieta ubrana była w zwyczajne zachodnie ubranie i nie płakała, ale zdawała się pogrążona w całkowitym otępieniu.

— Pani Aweida?

Kobieta nawet nie drgnęła. Stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt za plecami Maggie. W jej oczach nie było życia.

— Pani Aweida, należę do międzynarodowej ekipy w Jerozolimie, która próbuje pomóc w zawarciu pokoju. — Czują, że

nazywanie jej „amerykańską” nie będzie tu mile widziane. — Przyszłam oddać cześć pamięci pani męża i złożyć serdeczne kondolencje z powodu tak bolesnej straty.

Kobieta nadal nie reagowała, a z jej nieruchomego spojrzenia wynikało, że nie słyszy ani tego, co się do niej mówi, ani wypełniającego jej dom zgiełku. Maggie chwilę stała w milczeniu, zerkając od czasu do czasu na wdowę, w końcu położyła dłoń na jej ręce, lekko ją ścisnęła i odeszła bez słowa. Nie wolno się narzucać.

U jej boku pojawił się jakiś mężczyzna.

— Dziękuję — rzucił, torując jej drogę do wyjścia. — Proszę wiedzieć, że my dziękujemy Ameryce. Za to, że tu przyszła.

Dziękuję.

Maggie skinęła głową, kwitując jego podziękowania smętnym półuśmiechem. Ale mężczyzna jeszcze nie skończył.

— On był prosty człowiek. On tylko sprzedawał pomidor i marchewka, i jabłko. On nikogo nie zabił.

— Wiem. To straszne, co zrobiono pańskiemu...

— Kuzyn. On był mój kuzyn. Ja jestem Sari Aweida.

— Pan też pracuje na bazarze?

— O, tak, tak. Wszyscy pracuje na bazarze. Dużo lat. Bardzo dużo lat.

— I co pan robi?

— Ja sprzedaję mięso. Ja jestem rzeźnik. A mój brat, on sprzedaje szal na głowę. *Keffiyeh*. Wie, co to *keffiyeh*!

— Tak, wiem. I wszyscy nazywacie się Aweida?

— O tak. Wszyscy Aweida. Rodzina Aweida.

— A czy ktoś w waszej rodzinie handluje starociami? **Wie** pan, starymi kamieniami, naczyniami. Antykami?

Patrzył na nią zdezorientowany.

— Albo biżuterią?

— Ach! Biżuteria! Ja rozumiem. Tak, tak, mój **kuzyn, on** sprzedaje biżuteria.

— I antyki?

— Tak, tak. I antyki. On sprzedaje na bazar.

- Mogłabym się z nim zobaczyć?
- Tak, tak, na pewno. On tu mieszka niedaleko.
- Dziękuję, Sari — powiedziała Maggie z uśmiechem. — A jak się nazywa?
- On się nazywa Afif. On też jest Afif Aweida.

Rozdział 33

Jerozolima, czwartek, godz. 10.05

Ruszając za swoim przewodnikiem wąskimi uliczkami wśród zabudowy z identycznego jasnego kamienia, jak wszystko inne w Jerozolimie, Maggie pomyślała, że nikt z rodziny nawet nie podejrzewa, że opłakiwany przez nich Afif Aweida zginął przez pomyłkę. Tylko jakim cudem sprawcy przypadkowego zabójstwa mogli pomylić ofiarę?

Odpowiedź była prosta. Bo to nie było przypadkowe zabójstwo i już nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wyciągnęła komórkę, by zadzwonić do Uriego, i stwierdziła, że w czasie pobytu w domu Aweidy dostała SMS-a. Był od Edwarda, który widać wysłał go w środku nocy.

Musimy ustalić, co zrobić z twoimi rzeczami. E.

Sari Aweida chyba zauważył jej minę i ściągnięte ponuro brwi, bo rzucił uspokajająco:

— Nie martwi, Maggie. Już niedaleko.

Usunęła SMS-a, nie zastanawiając się nawet nad odpowiedzią, i nacisnęła zielony przycisk, by przywołać ostatnio wybrany numer. Postanowiła rozmawiać tak, jakby wczorajszego wieczoru w ogóle nie było.

— Uri? Słuchaj, Afif Aweida żyje. To znaczy inny Afif

Aweida. Handlarz antyków. To musi być ten właściwy. Zabili nie tego, co chcieli.

— Maggie, spokojnie. Nic z tego nie rozumiem.

— Dobra, jeszcze raz. Jestem w drodze na spotkanie z Afifem Aweidą. Jestem pewna, że to ten, którego twój ojciec wymienił w rozmowie z Baruchem Kiszonem. Jest handlarzem antyków. To nie może być przypadek. Zadzwoń do ciebie po spotkaniu.

Jak większość ludzi, którzy idąc, rozmawiają przez telefon komórkowy, miała zwieszoną głowę i wzrok utkwiony w chodniku. Rozłączywszy się, podniosła głowę i z zaskoczeniem stwierdziła, że obok niej nie ma Sariego. Pewnie tak parł do przodu, że nawet nie zauważył, że została z tyłu. Zatrzymała się i rozejrzała po płataninie uliczek i zaułków. Mógł w któryś z nich skręcić i zniknąć jej z oczu.

Przeszła parę kroków i zajrzała do zaułka po lewej. Był tak wąski, że mimo słonecznej pogody panował w nim półmrok. W poprzek przeciągnięty był sznur do bielizny, w głębi widać było dwoje dzieci — chyba chłopców — zawzięcie kopiących metalową puszkę. Postanowiła tam wejść i spróbować czegoś się dowiedzieć od ich matki.

Szarpięcie do tyłu było tak gwałtowne, że poczuła, jak jej szyja niemal łamie się na pół. Czyjaś dłoń w rękawicze zasłoniła jej oczy, druga zatkała usta i zdławiła okrzyk strachu, który zabrzmiał tak, jakby krzyczał ktoś inny.

Mając zakryte oczy, poczuła tylko, że wloką ją do tyłu. Próbowwała uwolnić ręce, ale ktoś trzymał je w żelaznym uścisku. Wciągnięto ją w głąb zaułka i tak brutalnie przyparto do muru, że jego nierówności boleśnie wpiły się jej w kręgosłup. Dłoń zatykająca usta zsunęła się w dół i ścisnęła ją za gardło. Usłyszała swój własny charkot.

Dłoń zasłaniająca jej oczy została odjęta, ale przed sobą wciąż miała tylko czerń. Usłyszała głos i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że mówiący stoi tuż przed nią, ale ma na twarzy czarną kominiarkę. Głowa napastnika była nie dalej jak dwa centymetry od jej twarzy, jego usta niemal dotykały jej warg.

— Nie mieszaj się, rozumiesz?

— Ale ja nie...

Dłoń na gardle zacisnęła się tak, że zaczęła rzeźzić z braku powietrza. Duszono ją.

— Nie mieszaj się.

— Ale do czego? — wycharczała.

Dłoń puściła gardło i dwie ręce chwyciły ją za ramiona. Napastnik trzymał ją tak przez chwilę, potem nagłym szarpnięciem przyciągnął do siebie tak, że przyłgnęła do niego całym ciałem, po czym — równie gwałtownym ruchem — z powrotem pchnął ją na ścianę.

Maggie przeszył świdrujący ból i przez głowę przemknęła jej myśl, że napastnik mógł jej złamać kręgi. Podświadomie spróbowała zwinąć się z bólu, ale mężczyzna trzymał ją w pozycji wyprostowanej jak szmacianą lalkę, która w każdej chwili może się bezwładnie osunąć na ziemię.

Nagle w lewym uchu usłyszała głos i przez chwilę poczuła w głowie zamęt. Czarną kominiarkę bandziora miała tuż przed sobą, jego usta znajdowały się tylko parę centymetrów od jej twarzy, więc jakim cudem jednocześnie szepce jej do ucha? Ale zaraz zrozumiała. Prócz niego jest jeszcze ktoś inny, kogo w mroku zaułka nie zauważyła, a kto stoi z boku i przyciska ją do ściany.

— Dobrze wiesz, o czym mówimy, Maggie Costello.

Głos brzmiał dziwnie bezosobowo. Słysząc w nim było obcy akcent, ale nie potrafiła określić jego pochodzenia. Bliski Wschód? Europa? Ilu ich jest? Czy jest jeszcze ktoś trzeci, kogo też nie zauważyła? Nieoczekiwany atak w połączeniu z panującym mrokiem zupełnie ją zdezorientował. Jakby nastąpiło w niej zwarcie zmysłów i splątanie przewodów. Nawet nie wiedziała, skąd pochodzi ból.

Poczuła dotknięcie na nodze i czyjaś dłoń ścisnęła ją za udo.

— Słyszysz, co mówię, Maggie?

Czując walenie w piersiach, próbując bezskutecznie uwolnić się z żelaznego uścisku, i jednocześnie starając się umiejscowić

akcent mówiącego — może arabski, może izraelski — poczuła nagle coś, co ją poraziło.

Dyszenie do ucha zmieniło ton i przeszło w mlaskanie. Nie miała wątpliwości: ktoś jej wtykał język do ucha. Udało się jej wydusić z siebie tylko pierwsze tony krzyku, bo resztę zdławiła dłoń, która ponownie zatkała jej usta. W tym samym czasie druga — ta, która ścisnęła ją za udo — zwolniła uścisk i zaczęła jakby od niechcenia sunąć w górę, by nagle z całej siły wedrzeć się jej między nogi.

Oczy Maggie napełniły się łzami. Spróbowała zadać kopniaka, ale prześladowca stał zbyt blisko i ledwie udało jej się poruszyć. Dłoń wepchnięta między nogi ani na trochę nie zluźniła chwytu. Napastnik trzymał ją za krocze jak mężczyznę, któremu próbuje się sprawić jak największy ból.

— Dobrze ci, Maggie Costello? — Głos szepczący jej do ucha z wciąż niemożliwym do umiejscowienia akcentem stał się teraz obleśny. Napastnik równie dobrze mógł być Arabem, Izraelczykiem albo jeszcze kimś innym. — Nie? Nie jest ci dobrze? Nie lubisz tak? — Poczuła, że twarz mówiącego oddala się na parę centymetrów. — To się odpiardol. — Trzymający ją za ramiona puścił i jednocześnie przygniół ją do ziemi. — Bo jak nie, to wrócimy po więcej.

Rozdział 34

Jerozolima, czwartek, godz. 11.05

Tradycyjnie od wielu lat czas ten był rezerwowany dla konsylium, nieformalnej grupy zaufanych doradców, którzy trwali przy Jariwie od chwili, gdy trzydzieści lat temu zaczął myśleć o karierze politycznej. W atmosferze kończącego się tygodnia pracy czwartkowe poranki poświęcano na omówienie i analizę wydarzeń z ostatnich dni. Rozmawiano o popełnionych błędach, szukano rozwiązań i planowano przyszłe posunięcia. Spotkania takie odbywały się już, gdy Jariw był ministrem obrony, potem ministrem spraw zagranicznych oraz później, gdy zapadł się w mroki opozycji, a nawet wówczas, gdy — będąc jeszcze w mundurze — pełnił funkcję szefa sztabu. W każdych warunkach jest to funkcja polityczna i nie wierzcie nikomu, kto mówi inaczej.

W ciągu tych lat wśród członków konsylium nastąpiła tylko jedna zmiana personalna. Nadal uczestniczyło w nim dwóch starych kumpli z czasów wojskowych, z których jeden pracował obecnie w reklamie, a drugi zajmował się importem. Członkinią grupy była też żona Ruth, z której zdaniem Jariw bardzo się liczył. Jediną zmianę w składzie konsylium wymusił los. Stałym jego członkiem był też Aluf, syn Jariwa, który trzy lata temu poległ w Libanie. Jego miejsce zajął Amir Tal, co rozdmuchała prasa izraelska, której zdaniem młody doradca premiera zaczął odgrywać rolę jego przybranego syna. Nadano mu nawet przy-

domek wykorzystujący grę słów po hebrajsku: Aluf Bet, czyli Aluf Drugi.

W miarę możliwości spotkania odbywały się w domu premiera, a Ruth częstowała gości kawą i strudlem, dziś jednak postanowiono inaczej. Premier oświadczył Amirowi, że sytuacja jest zbyt napięta, by mógł sobie pozwolić na wcześniejsze wyjście z biura i dzisiejsze konsylium ograniczy się tylko do nich dwóch.

Rozmowy w Domu Rządowym praktycznie zamarły. Wprawdzie Palestyńczycy i Izrael utrzymywali formalną obecność przy stole obrad, ale tylko dlatego, że żadna ze stron nie chciała zostać oskarżona przez Amerykanów o zerwanie procesu pokojowego. Jednak tak naprawdę nie działo się nic ważnego, co mogłoby zagrozić, iż życiowa ambicja Jariwa — doprowadzenie do zawarcia pokoju — rozejdzie się między palcami. Premier zbierał ciągi od ugrupowań prawicowych w rodzaju ruchu osadniczego z jego cholernym łańcuchem wokół Jerozolimy i był gotów się z tym pogodzić, ale nie za darmo. Zbyt dobrze pamiętał polityka, który kilka lat temu zajmował ten sam gabinet i któremu po ujawnieniu ustaleń z Camp David przyszło przyglądać się, jak w ciągu paru miesięcy jego premierostwo obraca się w perzynę.

Siedząc teraz i wypluwając na dłoń łupiny ziaren słonecznika, przyznał się Amirowi Talowi, że czuje się mocno zagubiony.

— Pomyśl. Zamachy samobójcze ze strony Hamasu czy Dżihadu byłyby czymś zrozumiałym. Nękali w ten sposób Rabina, nękali Peresa, a nawet Bibiego. Gdy tylko ktoś zaczynał mówić o możliwości zawarcia porozumienia, od razu pakowali się do autobusu Eggedu z dynamitem na brzuchu. Więc mogłem się tego spodziewać. — Uniósł rękę na znak, że jeszcze nie skończył. — Zakładałem nawet, że możemy usłyszeć o Mach-terecie. — Obaj przewidywali, że bojownicy żydowskiego podziemia znów się uaktywnią. W latach osiemdziesiątych grupka osadników i religijnych fanatyków podjęła akcję rozsyłania ładunków wybuchowych pocztą lub umieszczania ich pod samochodami. W rezultacie wielu polityków palestyńskich odniosło

wtedy poważne rany i niektóre z ofiar, które wciąż jeszcze aktywnie uczestniczyły w życiu politycznym, pokazywały się w telewizji na wózkach inwalidzkich lub z potwornie okaleczonymi twarzami. — Że podłożą minę na jakimś arabskim placu zabaw dzieci albo nawet zaatakują meczet.

Nie musiał nawet dodawać, o jakim meczecie mówi. Obaj wiedzieli, że ekstremiści z Machteretu wręcz marzyli o tym, aby wysadzić w powietrze Kopułę Skały, najważniejsze sanktuarium islamu na całej Ziemi Świętej, robiąc w ten sposób miejsce pod wybudowanie żydowskiej świątyni.

— Ale ataki tego typu? Przecież to bez sensu. Po co Palestyńczycy mieliby napadać na jakieś centrum turystyczne na północy? I dlaczego mieliby to robić w środku nocy, kiedy nikogo tam nie ma? Jak się chce doprowadzić do zerwania rozmów, to robi się to w biały dzień i zabija mnóstwo ludzi.

— Chyba że chce się udzielić ostrzeżenia.

— Właśnie to byłoby ostrzeżeniem. Przedtem zawsze tak to robili, kiedy chcieli dać komuś coś do zrozumienia.

— Al-Szafi zaprzeczył, żeby miał z tym coś wspólnego.

— Oczywiście. Ale Hamas?

— Oni też zaprzeczyli. Ale...

— Ale nie wiemy, czy można im wierzyć. No i to zabójstwo na bazarze w Jerozolimie. Nie wierzę w to przyznanie się do winy. W tych Obrońców Zjednoczonej Jerozolimy, czy jak się tam nazwali. Dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszeliśmy? Zawsze znajdzie się paru półgłówków, którzy gotowi są przyznać się do czegoś, czego nie zrobili. To mogły być zwykłe bandyckie porachunki.

— Niekoniecznie.

— Co masz na myśli? — Premier gryzł i wypluwał pestki z szybkością karabinu maszynowego.

— Wie pan, że prowadzimy śledztwo w sprawie Guttmana i że mamy na oku jego syna Uriego. Młody Guttman ściśle współpracuje z Maggie Costello z Departamentu Stanu...

— Tą mediatorką? A co ona, do cholery, ma z tym wspólnego?

— Wydaje się, że Rachel Guttman przekazała jej jakąś wiadomość. A ponieważ w Domu Rządowym nic się nie dzieje, Amerykanie pozwalają, żeby się tym zajmowała. Wygląda na to, że przekonała ich, iż dopóki sprawa Guttmana się nie wyjaśni, nie będzie szans na wznowienie rozmów.

— No i co z tego?

— No i jak pan wie, Costello i młodemu Guttmanowi udało się ustalić związek między profesorem a tym zamordowanym Palestyńczykiem Nourem. Uważamy też, że może istnieć jakiś związek między nimi a wczorajszym zabójstwem.

— Mów dalej.

— Nie mieliśmy dość czasu, żeby założyć podsłuch w mieszkaniu Barucha Kiszona w Tel Awiwie, gdzie byli wczoraj, ale udało nam się nagrać ich od zewnątrz. Nagranie jest bardzo kiepskiej jakości i musieliśmy je poddać obróbce. Nasi technicy twierdzą, że tuż przed wyjściem z mieszkania Guttman i Costello coś znaleźli. Jakiś papier z nazwiskiem.

— Jakim nazwiskiem?

— Afifa Aweidy.

— Rozumiem.

— Wygląda na to — ciągnął Tal — że Guttman w rozmowie z Kiszonom wymienił to nazwisko. I wkrótce potem Aweida zginął.

Tal skończył i przez chwilę słychać było tylko głośnie cmokanie Jariwa próbującego wyssać uparte ziarenko słonecznika, które utknęło mu między zębami.

— No, to kto jeszcze tego słuchał? — mruknął w końcu.

— Cieszę się, panie premierze, że jesteśmy tu dziś sami.

— Chyba nie sądzisz, że...

— Wywiad wojskowy jest jedyną służbą, która poza panem i mną ma dostęp do wyników śledztwa.

— Ależ to szaleństwo! Wyobrażasz sobie, że Jossi Ben-Ari, minister obrony państwa Izrael, mógłby prowadzić przestępczą działalność i kazać zabić tego Araba na bazarze?

— Jeśli to jego ludzie słuchali wczoraj, to znał jego nazwisko.

— I po co miałyby to robić?

— Nie wiem, dlaczego akurat jego. Musielibyśmy najpierw wiedzieć, o co chodzi w tej całej sprawie z Guttmanem. Ale generalnie rzecz biorąc...

— ...próbuję podgryzać rozmowy pokojowe. Chce obalić rząd i zająć moje miejsce. O Jezu!...

— Wiem, że to nie...

— Ewentualni spiskowcy?

— Może Mossek. Możliwe, że szef sztabu.

— To już wojskowy zamach stanu!

— Nie mamy pewności.

— Dlaczego? A kto inny mógł to zrobić?

— Jeśli przyjmiemy, że nie było to przypadkowe zabójstwo i że naprawdę mordercom chodziło o człowieka, którego Guttman wymienił w rozmowie z Kiszonem, to podejrzanym może być każdy, kto o tym wiedział. O jego zamieszaniu w sprawę Guttmana.

— Ale to może oznaczać tylko tę Amerykankę i Guttmana juniora.

— Nie można ich wykluczyć.

— Przecież to bez sensu. Amir, to nie jest jedna z twoich zwariowanych gier komputerowych. Mówimy o rzeczywistym świecie.

— Należy sprawdzić wszystkie możliwości.

Premier oparł się plecami o fotel i z westchnieniem zgniół w kulkę pustą papierową torbę, która jeszcze niedawno była pełna ziaren słonecznika.

— A więc sugerujesz, że...

— Ja niczego nie sugeruję.

— ...w dowództwie sił zbrojnych państwa Izrael funkcjonuje grupa przestępcza, która morduje i robi Bóg wie co jeszcze, żeby obalić demokratycznie wybrany rząd tego kraju i zaprzepaścić najlepszą w naszym pokoleniu szansę na pokój.

— Zna pan stosunek armii do naszych poczynań. Nie byli zachwyceni wycofaniem się ze Strefy Gazy, więc sądzi pan, że

to im się spodoba? Likwidacja osad na Zachodnim Brzegu? Oddanie Palestyńczykom połowy Jerozolimy?

Jariw uśmiechnął się smętnie jak starzec, któremu się zdaje, że już wszystko widział.

— Wiesz, że to ja awansowałem Ben-Ariego? Zrobiłem z niego generała? *Ale Brutus jest człowiekiem honoru...*

— Co pan sobie życzy, panie premierze, żebym teraz zrobił?

— Uważam, że powinieneś utworzyć grupę wywiadowczą podległą wyłącznie temu biuru. Sprawdź najpierw wszystkich pod kątem politycznych zapatrywań. Upewnij się, że nie mają żadnych oporów wobec rozmów pokojowych. Jeśli będzie trzeba, to weź do niej lewaków czy byłych narkomanów, byle byli stuprocentowo lojalni. Wyłącz z tego resort obrony i IDF. I jak już będziesz miał tych ludzi, niech się zajmą Mossekiem i Ben--Arim. Kontrolujcie ich wszystkie rozmowy i spotkania. Chcę widzieć ich e-maile i SMS-y. Chcę wiedzieć, jakiego koloru papierem podcierają sobie tyłki.

— Załatwione.

— Robię to tylko po to, żeby ci udowodnić, że się mylisz. I jeszcze jedno.

— Tak?

— Pilnujcie Costello i młodego Guttmana. Nie spuszczaście z nich oka. Jeśli uda im się znaleźć rozwiązanie tego szaleństwa, to tym lepiej, bo nas do niego zaprowadzą.

Rozdział 35

Jerozolima, czwartek, godz. 11.11

Nie wiedziała, jak długo przeleżała. Może minutę, może pięć, może dziesięć. Od chwili, gdy ją rzucili na ziemię i uciekli, nie poruszyła się i nie spojrzła nawet, w którą stronę się oddalili. Nie sięgnęła też po telefon, żeby zadzwonić po pomoc. Leżała sztywna, zbyt obezwładniona przeżytym stresem, by cokolwiek zrobić. Co gorsza, jej zmysły uparły się, by raz po razie na nowo przeżywać koszmar ataku: język wetknięty w ucho i dłoń ścisnącą krocze. Każdym skrawkiem ciała pamiętała odczucia wywołane brutalną ingerencją w jej prywatność.

Mobilizując się myślą, że mogło skończyć się znacznie gorzej, bo mogli ją przecież zabić, już zaczęła zbierać się w sobie, aby się podnieść, gdy poczuła dotyk czyjejś dłoni.

Stojąca nad nią kobieta wpatrywała się w nią z wyrazem nieufności i zdziwienia na twarzy. Po dłuższej chwili rysy jej złagodniały.

— Pani jest ta Amerykanka. Ta, co była w domu Aweidy. — Jej twarz ponownie spochmurniała. — Co pani tu robi?

To ją ostatecznie zmobilizowało. Wyprostowała się i otrzepała z kurzu, jakby na powrót chowając się do ochronnej skorupy wyhodowanej na sobie przez lata pracy. Nawet nie pisnęła, choć przeszywający ból w kręgosłupie rozbłysnął jej przed oczyma racami sztucznych ogni, a oczy wypełniły się łzami.

Kobieta poprowadziła ją w głąb zaułka ze sznurem do bielizny.

Na jego końcu znajdowały się dwa schodki prowadzące w dół na maleńkie, kilkumetrowe podwóreczko, przez które weszły do pomieszczenia z kuchenką w rogu i telewizorem pod ścianą. Siedzące przy stole dziecko — pewnie jeden z chłopców, których widziała wcześniej — coś rysowało. Może on coś widział? A może bawiący się puszką chłopcy byli nie tu, tylko w drugim końcu uliczki? Czuła się zupełnie dezorientowana.

Usiadła na brzeжку kanapy. Kobieta zapaliła gaz i zajęła się szykowaniem miętowej herbaty. Obserwując ją, Maggie pomyślała, że oddałaby teraz wszystko za filiżankę parzonej przez matkę starej, pocziwej *typhoo* z trzema kostkami cukru, tak jak lubił ojciec. Spojrzała na swe drżące dłonie i dotarło do niej, że znów jest strasznie daleko od domu. Minęło dwadzieścia lat, a u niej nic się nie zmieniło. Znów tkwiła gdzieś na obczyźnie wśród ludzi zdolnych do najdzikszych aktów okrucieństwa.

— Witam w moim domu. — Głos należał do mężczyzny i Maggie aż podskoczyła. Stał przed nią w wypłowiałym niebieskim ubraniu, z długą kościstą twarzą i gęstą czupryną krótko przystrzyżonych czarnych, przetykanych siwizną włosów.

Kobieta odwróciła ku niemu głowę i oboje zaczęli rozmawiać po arabsku. Widać opowiadała mu, co się stało, bo parę razy spojrzała na Maggie i wskazała ją ręką.

— Teraz jest już pani bezpieczna — powiedział mężczyzna i wyszczerzył zęby w uśmiechu, który wcale jej nie uspokoił. Odwrócił się plecami i ruszył w głąb pokoju, co ją ucieszyło, ale okazało się, że nigdzie nie odchodzi. Podeszedł tylko do szafki, wziął z niej popielniczkę i zawrócił.

— Jest pani Amerykanką?

— Jestem Irlandką — powiedziała Maggie na tyle chłodno, by zniechęcić go tym do dalszej rozmowy.

— Tak? My bardzo lubimy Irlandczyków. Ale pracuje pani u Amerykanów, mam rację? — Mówiąc to, nie przestawał się sztucznie uśmiechać i Maggie znów poczuła się nieswojo. Ucieszyła się, gdy kobieta podała jej filiżankę herbaty. Miała czym zająć ręce i mogła odwrócić wzrok od mężczyzny.

— A po co tu pani jest?

— Nabił! — Z tonu głosu kobiety domyśliła się, że karci męża i każe zostawić gościa w spokoju. Zaczęli znów rozmawiać, co pozwoliło Maggie sięgnąć ukradkiem do kieszeni po telefon. Wyświetlił się SMS od Uriego: *Gdzie jesteś?*

Już miała zacząć pisać odpowiedź, gdy mężczyzna wyciągnął rękę i położył dłoń na telefonie.

— Nie trzeba nigdzie dzwonić. My się panią zajmujemy. Czego pani trzeba? Proszę, jak coś pani trzeba, wystarczy powiedzieć.

Maggie czuła narastającą chęć natychmiastowej ucieczki. Chciała wydostać się z labiryntu wąskich uliczek i zaczerpnąć powietrza i słońca. Zrzucić z siebie ubranie i tak długo moczyć się pod prysznicem, aż zmyje z siebie...

— Niech mi pani powie. Jeśli pracuje pani dla amerykańskiego rządu, to dlaczego jest tu pani sama? Gdzie pani ochrona? — Znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Naprawdę nie ma nikogo z ochrony?

Maggie poczuła, jak jej dłonie — do tej pory zdrętwiałe i zimne jak całe ciało — pokrywają się nagle lepkiem potem. Spojrzała w stronę drzwi. Były zamknięte.

Kobieta dołała jej herbaty i wyszła do sąsiedniego pokoju, nawołując po drodze dzieci. Maggie została sam na sam z mężczyzną. Chciała zadzwonić do Davisa w konsulacie albo do Uriego, albo do Liz w Londynie, ale bała się reakcji mężczyzny. Może jej wyszarpnąć telefon. Może się na nią rzucić. Kim on jest?

Udając spokój, wstała z miejsca, lekko się przeciągnęła i robiąc minę człowieka, który chce się wyplątać z uciążliwej wizyty u starej nudnej ciotki, oświadczyła, że naprawdę musi już iść.

— I dokąd pani pójdzie?

To trochę zbiło ją z tropu. Nie miała pojęcia ani gdzie jest, ani jak się stąd wydostać.

— Do mojego hotelu w Zachodniej Jerozolimie.

— A dlaczego nie mieszka pani we Wschodniej Jerozolimie? Tu jest pięknie. I ma tu pani American Colony Hotel. Wszyscy

z Europy tam mieszkają. A Amerykanie nigdy. Dlaczego? Bo dla was liczą się tylko Izraelczycy.

Maggie miała już tego dosyć. Konflikty tak zaognione, że nawet wybór hotelu może prowadzić do dyplomatycznego incydentu.

— Nie, nie — zachnęła się. — Wcale nie o to chodzi. —
Jednocześnie zaczęła wolno przesuwać się w stronę wyjścia. Dotarła do drzwi, położyła rękę na klamce i nacisnęła. Drzwi nie ustąpiły.

Poczuła obecność mężczyzny tuż za plecami i zobaczyła, jak jego ręka wyciąga się w jej stronę. Niemal jej dotykał. Przebiegł ją dreszcz na wspomnienie innej bliskości i innego gorącego oddechu na jej karku. Zwarła się w sobie gotowa go odepchnąć.

Nim zdążyła, mężczyzna nacisnął klamkę i otworzył przed nią drzwi. Bez słowa wyskoczyła na zewnątrz. Mężczyzna ruszył za nią.

— Proszę, jeszcze raz. Po co tu pani przysłała?

— Byłam w domu Afifa Aweidy.

— Wiem. Ale dokąd pani szła?

— Chciałam się spotkać z jego kuzynem. Drugim Afifem Aweidą.

— Proszę, ja panią zaprowadzę.

— Nie, nie, nie trzeba. Teraz chcę już tylko wrócić do hotelu.

Ale mężczyzna jakby jej nie słyszał. Chwycił ją za łokieć i zaczął prowadzić przez labirynt uliczek i zaułków Starego Miasta. Ja chyba jestem zupełnie walnięta, przemknęło jej przez głowę. Po raz drugi jednego dnia pozwalam zupełnie obcemu mężczyźnie prowadzić się uliczkami zupełnie obcego miasta. Tylko że jej wcześniejsza beztroska zniknęła już bez śladu. Serce waliło jej jak młotem, co chwila oglądała się przez ramię, czujnie zaglądała w głąb każdej mijanej uliczki i nieufnie zerknęła na towarzyszącego jej mężczyznę. Czy to znów jakiś podstęp? Czy Sari Aweida świadomie ją wystawił? Czy ten ma zamiar zrobić to samo?

Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak rzucić się do

ucieczki. Tylko gdzie? Po paru krokach zgubi się w staromiejskim labiryncie. Na szczęście zbliżali się do suku i na ulicach było coraz więcej ludzi. Dostrzegła dwie kobiety w swoim wieku, może nawet trochę młodsze. Sprawiały wrażenie turystek, więc mogłaby do nich podbiec. Tylko co dalej?

Nabił prowadził ją teraz wąską dróżką wijącą się wśród straganów pełnych bębenków z kozłej skóry, grubo tkanych kilimów i tandetnych pamiątek z drewna. Minęli kilka par siwowłosych turystów i kilkunastoosobową wycieczkę Japończyków. Wyglądało na to, że informacje w czytanych w samolocie materiałach były prawdziwe: handel na suku, który z powodu intifady niemal zupełnie zamarł, dzięki powrotowi turystów na Stare Miasto ponownie zaczynał nabierać życia. Wiązano to z rozmowami toczącymi się w Domu Rządowym, bo nawet nikła szansa na pokój wystarczyła, by do Jerozolimy znów zaczęły ścigać tłumy turystów. Chrześcijanie chcieli spacerować po Via Dolorosa, muzułmanie modlić się pod Kopułą Skały, żydzi utykać liściki do Boga w szczelinach Ściany Zachodniej.

Skreśli w lewo na targ mięsny i Maggie aż zemdliło na widok szpaleru zwierzęcych zwłok z wystającymi żebrami i różowymi, ociekającymi krwią korpusami. Na jednym z rzeźnickich stołów dostrzegła cały rząd owczych łbów, ale gdy ze wstrętem odwróciła od nich wzrok, jej spojrzenie padło na kałuże zwierzęcej krwi.

— O, już bardzo blisko. Jeszcze tylko minutka — pospiesznie zapewnił ją Nabił.

Targ mięsny raptownie się skończył i znów byli w królestwie toreb, torebek, neseserów i kiczowatych pamiątek. Znalazłszy się między ludźmi, Maggie odetchnęła z ulgą. Po chwili zatrzymali się przed sklepikiem z biżuterią.

— Tu. Proszę. To jest sklep Afifa Aweidy.

Z duszą na ramieniu weszła do środka, Nabił wkroczył za nią, pozdrawiając młodego mężczyznę za kontuarem uniesioną dłonią z rozczapierzonymi palcami. Z kilku wypowiedzianych po arab-sku zdań udało jej się wyłowić słowo „Amerykanka”, któremu towarzyszył gest ręką w jej stronę.

Chwilę później z zaplecza wyłonił się mężczyzna w średnim wieku w pulowerze i okularach w ciemnej oprawie i stanął za przeszkloną ladą pełną srebrnej i złotej biżuterii. Wydał się Maggie niemal kimś znajomym. Wielu takich jak on widywała w Afryce. Schludnie ubrani ludzie biznesu w średnim wieku, którzy starają się pilnować zachodnich standardów wyglądu i zachowania, jakby w ten sposób mogli się odciąć od wszechobecnej biedy i chaosu.

— Miło mi panią powitać. Dzięki, Nabił.

Maggie odwróciła głowę i zobaczyła, że Nabił już wychodzi, niepewnie machając jej ręką na pożegnanie. Wykrzyknęła ku niemu słowa podziękki, ale bez szczególnej serdeczności. Jeszcze chwilę temu podejrzewała go i wręcz się bała, upatrując w nim potencjalnego napastnika. Po tym, co jej się przydarzyło, było to całkiem zrozumiałe. Okazało się jednak, że — jak jego żona — był po prostu przypadkowym obcym, który tylko chciał pomóc. Poczula lekkie zmieszanie, ale jej zmysły znów przywołały w pamięci dotyk tamtego mężczyzny, wspomnienie jego głosu i jego gorącego oddechu. *Bo jak nie, to wrócimy po więcej.* Kim on był? Z trudem wyzwoliła się od tej myśli i zmusiła do uśmiechu.

— Pan Aweida? — powiedziała, wyciągając rękę. — Bałam się, że pan nie żyje.

— Chodzi pani o mojego kuzyna? To straszna zbrodnia. Straszna.

— Nie sądzi pan, że tak naprawdę chodziło o pana?

— Przepraszam, ale nie rozumiem...

— Czy nie sądzi pan, że mordercom pańskiego kuzyna chodziło nie o tego Afifa Aweidę?

— Co to znaczy „nie o tego”? Mój kuzyn zginął przypadkowo. To mogło spotkać każdego.

— Nie jestem tego taka pewna. Czy zna pan jakiś powód, dla którego ktoś mógłby nastawać na pańskie życie, panie Aweida?

Ku zdziwieniu Maggie właściciel sklepu wyglądał na autentycznie zaskoczonego jej pytaniem. Zapewnił ją, że boleje nad

śmiercią kuzyna, ale Palestyńczycy przywykli do opłakiwania bliskich. Jest mu przykro, że tak bezsensownie zginął, zwłaszcza że z racji wspólnego imienia łączyły ich zawsze bliskie relacje, ale to przecież nie znaczy, że ma się zaraz czegoś bać, prawda? Maggie uznała, że najlepiej będzie zacząć od początku.

— Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności? — powiedziała. — Może na zapleczu? — dodała, wskazując głową drzwi, przez które przed chwilą wszedł.

— Nie, nie ma potrzeby. Możemy swobodnie rozmawiać tutaj. — Klasnął w dłonie, dając młodemu człowiekowi za kontuarem sygnał, że ma wyjść.

Maggie podniosła się i ruszyła w stronę drzwi na zaplecze. Chciała zobaczyć jego reakcję i nie zawiodła się. Handlarz zerwał się z miejsca i zastąpił jej drogę.

— Panie Aweida. Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych i uczestniczę w rozmowach pokojowych. Nie interesują mnie ani pańskie transakcje handlowe, ani to, co pan chowa za tymi drzwiami. Ale musi mi pan pomóc. Pański kuzyn nie zginął przypadkowo. I jeśli nie uda nam się tego rozwikłać, zginie jeszcze wielu ludzi.

Aweida pobrał.

— Proszę mówić dalej.

— Znał pan Szimona Guttmana?

To go wyraźnie speszyło.

— Słyszałem to nazwisko. Był kimś znanym w Izraelu. Zabito go w ostatnią sobotę.

Maggie dostrzegła w jego twarzy pewną nerwowość. Taką samą, z jaką zareagował na jej próbę wejścia na zaplecze. Zaczęło jej coś świtać w głowie.

— Panie Afif — powiedziała, pochylając się ku niemu. — Nie jestem policjantką. Nie obchodzi mnie, czym pan tu handluje i skąd pan to bierze. Ale obchodzą mnie negocjacje pokojowe i to, żeby nikt w nich nie przeszkodził. Bo jeśli do tego dojdzie, zginie jeszcze wielu Palestyńczyków, jak pański kuzyn i wielu Izraelczyków, jak profesor Guttman. Dlatego muszę zapytać

jeszcze raz. I przysięgam, że ta sprawa nie wyjdzie poza te cztery ściany. Czy znał pan Szimona Guttmana?

Aweida rozejrzał się na boki, jakby sprawdzał, czy w pobliżu nikogo nie ma.

— Tak — powiedział cicho.

— Czy domyśla się pan, dlaczego w rozmowie telefonicznej w ubiegłym tygodniu mógł wymienić pańskie nazwisko?

Twarz Aweidy ponownie spochmurniała.

— Nie, nie mam pojęcia, dlaczego z kimś o mnie rozmawiał.

— Kiedy widział go pan ostatnio?

— W zeszłym tygodniu.

— Może mi pan o tym opowiedzieć?

Aweida usiadł i z wyraźną niechęcią zaczął relacjonować krótką, niezapowiedzianą wizytę Guttmana w sklepie, pierwszą od bardzo dawna. Naciskany przez Maggie pytaniami opowiedział jej krótkimi, urywanymi zdaniami o ich „umowie”, w ramach której Guttman przetłumaczył treść kilkunastu starożytnych glinianych tabliczek i w formie zapłaty wziął sobie jedną z nich.

— I twierdzi pan, że na żadnej nie było nic ważnego?

— Nic. Wszystkie dotyczyły codziennych spraw. Spisy domowych przedmiotów, prace szkolne i takie tam.

— I nic więcej?

Znów ta nerwowość na twarzy.

— Jedna była trochę inna. List matki do syna.

— I właśnie tę zabrał profesor Guttman?

— Nie.

— Ale chciał ją zabrać?

— Próbował ją ode mnie wyciągnąć, ale w końcu zrezygnował. Zostawił mi ją i wybrał inną.

Maggie odchyliła się i oparła o krzesło. W opisanej przez Aweidę scenie było coś dziwnie znajomego.

— Proszę mi to opowiedzieć jeszcze raz. Czy Guttman od razu uparł się przy tej tabliczce z listem matki do syna, czy dopiero po przeczytaniu wszystkich?

— Panno Costello, to było już tydzień temu.

— Niech pan postara się to sobie przypomnieć.

— Najpierw wszystkie przeczytał. Dopiero potem uznał, że ta będzie najlepsza.

A właśnie, że nie. To dlatego ta scena wydała się jej znajoma. Sama też tak robiła. W trakcie negocjacji na Bałkanach oświadczyła, że sprawą kluczową dla zawarcia porozumienia jest uzyskanie dostępu do nadmorskiej drogi, natomiast kwestia rozbrojenia może poczekać. Dostęp do drogi jest warunkiem koniecznym i bez jego spełnienia nie będzie miała z czym wrócić do drugiej strony. Zgodnie z przewidywaniem negocjatorzy szybciułko zgodzili się na rozbrojenie, natomiast zaparli w kwestii dostępu do nadmorskiej drogi. Z ponurą miną oznajmiła im wtedy, że zobaczy, co się da zrobić, i przeszła do innej sali, by poinformować drugą stronę, że udało jej się uzyskać to, na czym im najbardziej zależało: rozbrojenie.

Guttman zastosował tę samą sztuczkę: stoczył walkę o jabłko, by zdobyć pomarańczę, o którą od początku mu chodziło.

— A ta tabliczka. Ta, którą w końcu zabrał. Wie pan może, co na niej było?

— Powiedział, że lista zakupów kobiety.

— I uwierzył mu pan?

— Proszę pani, ja nie umiem czytać tych starożytnych znaków. Wiem tylko tyle, ile powiedział mi profesor.

— Jeszcze jedna sprawa. Jak profesor wyglądał, kiedy stąd wychodził? W jakim był nastroju?

— Och, to akurat pamiętam bardzo dobrze. Wyglądał tak, jakby mu było słabo. Proponowałem nawet szklankę wody, ale odmówił. Powiedział, że się spieszy.

Maggie pomyślała, że zapewne miał powód.

— I wtedy widział go pan po raz ostatni?

— Tak. Dopiero potem usłyszałem o nim w wiadomościach.

— Dziękuję, panie Aweida. Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczna.

Wstała i ruszyła do wyjścia. Bez trudu mogła sobie wyobrazić nastrój, w jakim stąd wychodził Szimon Guttman. Ona też czuła,

że dokonała ważnego odkrycia, i też chciała się nim jak najszybciej z kimś podzielić.

Wyszła na ulicę. W tłumie przechodniów od razu poczuła się pewniej. Wyjęła telefon i wybrała numer Uriego.

- Uri, chyba wiem, o co w tym wszystkim chodzi.
- Świetnie. Opowiesz mi po drodze.
- Po drodze dokąd?
- Nie odebrałaś mojego SMS-a? Zadzwoił adwokat ojca z informacją, że ma coś dla mnie. Jakąś wiadomość.
- Wiadomość? Od kogo?
- Od ojca.

Rozdział 36

Jeziro Genewskie, Szwajcaria,
poprzedni poniedziałek

Baruch Kiszon nosił oficjalną etykietę wroga Europy. Wyrobił sobie renomę konserwatysty piszącego od blisko czterdziestu lat zjadliwe teksty w prasie izraelskiej, w których szydził z mięczaków ze starego świata, porównując ich z nieustraszonymi rycerzami wolności mieszkającymi w nowym. Amerykanie umieli odróżnić dobro od zła, ale Europejczycy — najgorsi byli Francuzi, choć Anglicy w niczym im nie ustępowali — od razu padali na kolana, gdy tylko z mównicy zaczynał grzmieć jakiś wąsaty dyktator. Padli na kolana przed Hitlerem i to samo zrobili z Saddamem. Byli też gotowi sprzedać Izrael z równą łatwością — wręcz ochotą — z jaką zdradzili Żydów w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Tacy się urodzili i Kiszon wielokrotnie zwracał na to uwagę. Unia Europejska nie potrzebuje żadnego wspólnego hasła, stwierdził w jednym ze swych stałych felietonów. Może je zastąpić jednym słowem: kapitulacja.

Miał jednak pewien wstydlivy sekret, który dzielił z wieloma Izraelczykami o równie konserwatywnych poglądach politycznych. Nienawiść do europejskich polityków nie przeszkadzała mu wielbić Europy jako miejsca. Nigdy nie mógł się dość nacieszyć ulicznymi ogródkami kawiarnianymi Paryża z ich *café au lait* i croissantami, wspaniałością pałacu Uffizi i placu Świętego Piotra, teatrami londyńskiego West Endu czy sklepami

na Bond Street. Po nieustającym bałaganie, hałasie, prostactwie, kurzu i brudzie Izraela odwiedziny w kraju może chłodniejszym, ale o ileż czystszy i kulturalniej szym, sprawiły mu ogromną ulgę. W kraju, w którym kolejka na przystanku autobusowym nie przeradza się w uliczne zamieszki i gdzie pociągi naprawdę jeżdżą punktualnie.

Nie było w tym względnie lepszego przykładu niż Szwajcaria — kraju, gdzie perony kolejowe są tak czyste, że można z nich jeść, a według kursowania pociągów można regulować zegarki. Dlatego też z prawdziwą radością powitał wzmiankę o Genewie w długim i zdyszonym monologu Guttmana wygłoszonym w ubiegłą sobotę. W trakcie rozmowy telefonicznej, która — jak wszystko na to wskazywało — była ostatnią w życiu profesora.

Guttman i Kiszon rozmawiali ze sobą dość często. Twierdzenie, iż były to rozmowy dziennikarza ze źródłem informacji, spłycałoby ich wzajemne relacje, dla obu bowiem te kontakty były dużo bardziej wieloznaczne. Można ich było uznawać za pokrewne dusze spiskujące we wspólnej sprawie, ponieważ naczelną sprawą zawsze była korzyść izraelskiego nacjonalizmu. Jeśli Kiszonowi udawało się przy okazji napisać dobry artykuł, a Guttmanowi zyskać kolejną okazję do rozgłosu, stanowiło to dodatkową premię dla ich obu. Głównym celem zawsze była suwerenność narodu żydowskiego na historycznie należnym mu terenie — ziemi Izraela.

Dlatego telefon od Guttmana w sobotnie popołudnie nie zaskoczył go. Jariw zaplanował na ten wieczór wielki wiec pokojowy i było rzeczą naturalną, że w tej sytuacji prawica musi uzgadniać swoje posunięcia.

Okazało się jednak, że Guttman zadzwonił w zupełnie innej sprawie. Zaczął pleść jak rozhisteryzowana nastolatka o jakimś odkryciu, które wszystko zmieni. Mówił dość chaotycznie o bazarze na Starym Mieście, piśmie klinowym, glinianych tabliczkach, jakimś Afifie Aweidzie i — w co aż trudno uwierzyć — ostatnich słowach Abrahama. A właściwie nawet nie o słowach, tylko o jego ostatniej woli.

— Twierdzisz, że Abraham zdecydował, kto ma dziedziczyć górę Moria: Izaak czy Izmael, my czy muzułmanie? — wy krzyknął Kiszon do słuchawki. — I masz na to dowód?! To gdzie on teraz jest?

W tym momencie Guttman wpadł niemal w histerię. Krzyczał, że muszą dokładnie zaplanować sposób ujawnienia prawdy i że świat musi się tej prawdy dowiedzieć od nich, izraelskiej prawicy, bo to zapewni nacjonalistom największy triumf w historii!

Kiszon zaczynał mieć wątpliwości co do stanu umysłu starego przyjaciela.

— Ale najpierw musimy powiedzieć o tym Kobiemu.

— Kobiemu?

— Premierowi.

— Czyś ty przypadkiem nie popalił sobie haszyszu twojego synalka?

Guttman zapewnił, że nic podobnego i że jest w pełni władz umysłowych. Gdy Kiszon spytał ponownie, gdzie jest ta tabliczka, Guttman zaczął dyszeć i oświadczył, że ma spotkanie z kimś w Genewie i że tam będzie bezpieczna. Kiszon próbował wyciągnąć więcej szczegółów, ale Guttman zaczął się plątać. Oświadczył, że musi kończyć, bo spieszy się na wiec, ale obiecał zadzwonić później i umówić się na spotkanie. Wtedy przekaże mu wszystkie szczegóły i wspólnie opracują plan działania.

Parę godzin później Kiszon siedział w jednej z ich ulubionych restauracji — francuskiej knajpce w pobliżu Ibn Gvirol — i czekając na Guttmana, jadł. Wtedy zadzwonił telefon i redaktor dyżurny gazety poinformował go, że Guttmana zastrzelono na wiecu.

Rzucił wtedy wszystko i popędził do redakcji, by napisać artykuł piętnujący Jaakowa Jariwa za stworzenie w kraju atmosfery, w której tego rodzaju polityczne zabójstwo staje się nieuniknione. Potem spędził jeszcze bardzo ciepłe, osobiste wspomnienie o swym starym przyjacielu Szimonie Guttmanie.

Jednak gdy następnego dnia okazało się, że Guttman nie miał broni i przepychał się w stronę premiera tylko po to, by mu

wręczyć kartkę papieru, Kiszona dopadły wątpliwości. Historyczny telefon od przyjaciela mógł świadczyć o jego chwilowej niepoczytalności, której kolejnym przejawem mogła być wręcz samobójcza próba dotarcia do premiera. Ale jeśli to, co wykrzyczał do słuchawki, było prawdą, to jego rozpaczliwa decyzja tylko podkreślała powagę sytuacji. Kiszon zaczął analizować wszystko, co wie o Guttmanie — lata wspólnej działalności, jego przebiegłość połączoną z głęboką wiedzą naukowca, ich poprzednią rozmowę sprzed kilku dni, która miała zupełnie normalny przebieg. Po głębokim zastanowieniu doszedł do wniosku, że skoro Guttman zasługiwał na zaufanie za życia, zasługuje na nie także po śmierci. Musiał dokonać jakiegoś wiekopomnego odkrycia i teraz na niego, jego starego druha, spada obowiązek wyjaśnienia, o co chodzi i powiadomienia o tym świata. Będzie to ostatnim gestem przyjaźni wobec tragicznie zmarłego przyjaciela. Nie mówiąc już, że jeśli Guttman mówił prawdę, dostawał do ręki szansę na urzeczywistnienie największego marzenia każdego dziennikarza: wyłącznego dostępu do sensacji stulecia.

Kiszon spróbował uporządkować w głowie parę szczegółów, jakie zapamiętał z rozmowy. Popatrzył na bloczek na biurku, na którym zwykł robić notatki podczas rozmów telefonicznych, i stwierdził z irytacją, że z opowieści Guttmana zapisał tylko dwa słowa, których nie znał. Imię i nazwisko handlarza w Jerozolimie, jakiegoś Afifa Aweidy. Reszty szczegółów miał zamiar dowiedzieć się podczas bezpośredniego spotkania z Guttmanem, więc niczego więcej nie zanotował i musiał teraz wszystko odtwarzać z pamięci: kradzież antyków, gliniana tabliczka, Genewa, góra Moria. Ostatnia wola Abrahama.

Pomyślał o nawiązaniu kontaktu z Aweidą, jednak szybko z tego zrezygnował. Jeśli znał Guttmana i jego metody, handlarz nawet nie wiedział, co mu sprzedaje. Gdyby było inaczej, profesora z całą pewnością nie byłoby stać na taki zakup. Nie, pewniejszym tropem będzie Genewa, jedno ze światowych centrów handlu antykami. Kiedyś niemal wszystko przechodziło

przez Genewę. Szwajcarzy dość dosłownie potraktowali starą maksymę *nemo dat* — która w całości brzmiała *nemo dat quo non habet* i znaczyła *nie możesz dać tego, czego nie masz* — uznając, że aby coś sprzedać, trzeba być najpierw pełnoprawnym właścicielem tej rzeczy. W rezultacie każdy przedmiot kupiony w Szwajcarii automatycznie nabywał posmaku autentyczności, której nie było powodu kwestionować. Nikt nie pytał, jakim sposobem ów przedmiot tam się znalazł. Wystarczyło tylko nabyć go w Szwajcarii, by jego pochodzenie uznano za sprawdzone. Nic dziwnego, że kraj ten stał się jedną wielką pralnią brudnych pieniędzy pochodzących ze światowego handlu zrabowanymi skarbami starożytności. Kiszon kupił bilet przez Internet i w niedzielę wieczorem był już na miejscu.

Po przyjeździe pomyślał z satysfakcją, że zapewne na jego miejscu większość dziennikarzy udałaby się prosto do jednego ze sklepów wolnoctwowych — silnie strzeżonych składów celnych, które pełniły funkcję salonów sprzedaży takich staroci. On jednak miał zupełnie inny plan. Guttman na pewno nie zamierzał sprzedawać tej tabliczki. Interesował go tylko jej aspekt polityczny, co wyraźnie dał mu do zrozumienia podczas rozmowy.

A to mogło oznaczać tylko jedno. Profesor przywiózł tabliczkę nie po to, by ją tu sprzedać, tylko aby dokonać jej ekspertyzy. Guttman nie odważyłby się powiedzieć światu: „Oto dowód na to, że Abraham przekazał Jerozolimę Żydom”, nie mając stu-procentowej pewności, że tabliczka jest autentyczna. Ryzyko związane z pomyłką było zbyt wielkie. Dlatego wpisał do Google słowa klucze *pismo klinowe, Genewa, ekspert* i z satysfakcją odczytał wynik: *Profesor Olivier Schultheis*.

Wyliczył, że za jakieś dziesięć minut będzie na miejscu. Nie zadzwonił wcześniej, aby się umówić. Uznał, że lepiej nie ryzykować, iż profesor odmówi. Bezpieczniej będzie zjawić się osobiście i, jak to mówią, „wsadzić nogę między drzwi”.

Dodatkową przyjemność sprawiała mu kultura jazdy po szwajcarskich autostradach tak różna od bałaganu i wygrażania sobie pięściami na autostradzie z Tel Awiwu do Jerozolimy. Ale co to?

Tuż za nim jedzie jakiś samochód i bez przerwy błyska światłami...

Kiszon posłusznie zjechał z lewego pasa, by dać mu wolną drogę, ale siedzące mu na ogonie czarne bmw również zrobiło to samo. Kiszon ponownie włączył migacz i zjechał na prawy, najwolniejszy pas.

Kierowca bmw znowu powtórzył jego manewr, nie odstępując go nawet na parę metrów. Kiszon nacisnął klakson. Chciał dać wyraz swemu niezadowoleniu i zniechęcić tamtego do takiej jazdy. Jednak efekt okazał się odwrotny i Kiszon poczuł uderzenie w tylny zderzak.

Zatrąbił bardziej przeciągle, jednak tym razem bmw walnęło go w kufer. Zerknął w lusterko i rozejrzał się. Nie miał wyboru. Jeśli chce się odczepić od tego psychopaty, musi mu ustąpić i na najbliższym zjeździe uciec z autostrady.

Zjazd wyprowadził go na wąską górską szosę i aby się w nią zmieścić, Kiszon musiał gwałtownie przyhamować i ostro skręcić. Udało się. Z ulgą stwierdził, że droga ma tylko jeden pas ruchu w każdą stronę i jest zupełnie pusta. Postanowił przejechać nią kawałek i wrócić na autostradę.

Jednak po chwili znów zauważył w lusterku masywną czarną sylwetkę samochodu z błyskającymi reflektorami. Wciąż jechało za nim to samo bmw. Kiszon starał się zachować spokój. A może tamten kierowca to nie żaden łobuz, tylko przedstawiciel prawa, który chce go zatrzymać? Może popełnił jakieś wykroczenie? Może nie działa mu jedno ze świateł? Lepiej będzie się zatrzymać.

Droga nie miała utwardzonego pobocza, tylko wąski pas żwiru oddzielający szosę od stromo opadającego zbocza. Mimo to zjechał na bok, ale kierowca bmw zdawał się tego nie zauważyć.

Kiszon nacisnął klakson, trąbiąc głośno i przeciągle. W tym momencie kierowca bmw dodał gazu i uderzył w tył jego samochodu z taką siłą, że głowa Kiszona gwałtownie poleciała do tyłu, a on sam stracił na chwilę kontrolę nad kierownicą. To wystarczyło, by opony jego samochodu głośno zachręściły na żwirze. Jakimś cudem udało mu się wrócić na szosę, ale w tym

momencie dostał kolejne uderzenie z tyłu, po czym bmw nagle wyrwało do przodu i zrównało się z jego samochodem.

Kiszon spojrział w lewo, ale bmw miało mocno przyciemnione szyby. Jego kierowca zjechał w prawo i uderzył bokiem w samochód Kiszona. Wyraźnie próbował go zepchnąć z szosy na prawo, gdzie rozciągało się stromo opadające zbocze. Zbliżali się do ostrego agrafkowego zakrętu i Kiszon wiedział, że aby się w nim zmieścić, będzie musiał zjechać bardziej na lewo. Wiedział jednak, że kierowca bmw nie ma zamiaru ani się za niego schować, ani go wyprzedzić. Próbował zostać z tyłu, ale tamten natychmiast zwalniał i po raz kolejny walił go w bok.

Uznał, że jedyną szansą będzie gwałtowne przyspieszenie i ucieczka do przodu. Wjechał w zakręt o wiele za szybko i, nie zdejmując nogi z gazu, poszorował kołami w poślizgu. W tym samym momencie bmw walnęło go w bok mocniej niż dotychczas i prawe koła samochodu Kiszona znalazły się poza nawierzchnią drogi. Rozpaczliwie szarpnął kierownicą, czuł jednak, że koła straciły przyczepność i buksują w powietrzu.

Przez chwilę, kiedy czuł, jak jego samochód niemal z gracją sunie po stromym zboczu, ogarnęło go coś niemal na kształt ulgi. Było tak jednak tylko do chwili, gdy nadział się na pierwszą skałę. Siła uderzenia była tak potężna, że kręgosłup Kiszona trzasnął jak zapałka, a jego głowę niemal oderwało od tułowia.

Po dwóch godzinach szwajcarska policja drogowa odnalazła wrak samochodu. Przeszukiwanie zbocza w świetle latarek i policyjnych reflektorów trwało niemal do świtu. Dopiero wtedy uznano, że udało się zebrać wszystkie fragmenty ciała i kości Barucha Kiszona.

Rozdział 37

Jerozolima, czwartek, godz. 13.49

Maggie starała się zachować absolutny spokój. Z wystudiowaną obojętnością przeszła obok dwóch młodych ochroniarzy stojących przy drzwiach do hotelu, którzy każdego wchodzącego pytali o posiadanie broni, niektórych nawet zatrzymując i obmacując. Z doświadczenia wiedziała, że ze wszystkich elementów mowy ciała najbardziej wyrazisty jest chód. Niedoświadczeni negocjatorzy zwykle zwracają szczególną uwagę na sygnały typu macho: żelazny uścisk dłoni czy twarde spojrzenie. Zapominają przy tym, że pierwsza batalia odbywa się już w chwili wejścia stron na salę i wygrywają ten, kto porusza się krokiem pewnego siebie zwycięzcy. Nieśmiało przemykanie się pod ścianą z góry ustawia takiego delikwenta na pozycji defensywnej i biernej.

Próbowała zmusić swe obolałe mięśnie i kości do zastosowania tej teorii w praktyce, gdyż zaraz po wejściu do środka ujrzała Uriego, który ze spuszczoną głową krążył po holu hotelowym. Nie chciała, żeby się domyślił, co przeżyła na Starym Mieście. Jako dorastająca dziewczyna nie mogła pojąć postępowania koleżanek, które nie chciały nikomu pisać ani słowa o tym, co wyprawiał z nimi ojciec Riordan. Teraz to rozumiała.

Na szczęście Uri nie zapytał, co u niej, tylko od razu o to, czego się dowiedziała. Opowiedziała mu o rozmowie z „ich” Aweidą, handlarzem kradzionych antyków, który żyje, podczas

gdy ofiarą morderstwa padł jego handlujący zieleniną kuzyn. Słuchając jej, Uri gorzko się uśmiechnął.

— O co chodzi?

— Przypomniało mi się pewne zdarzenie z przeszłości. Dotyczyło nie mnie, tylko paru moich kolegów.

— Jakie zdarzenie?

— Pomylenie tożsamości z bardzo poważnymi konsekwencjami. To było parę lat temu, w czasie drugiej wojny libańskiej. Nasze służby specjalne schwytały pewnego mężczyznę, którego wzięły za przywódcę Hezbollahu. Uznano to za wielki sukces izraelskiego wywiadu i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że facet był zwyczajnym bejruckim sklepikarzem. To samo imię i nazwisko, tylko człowiek inny.

— Uważasz, że Aweidę załatwił izraelski wywiad?

— Tego nie powiedziałem. Mówię tylko, że głupie pomyłki się zdarzają. Mógł to zrobić ktokolwiek.

Szli ulicą Shlomzion Ha'Malka w stronę jego samochodu. Chciała choć na chwilę wpaść do pokoju i odświeżyć się, ale Uri uparł się, że nie mają na to czasu. Usiadła obok niego i opowiedziała mu swoją wersję wydarzeń. Szimon Guttman przychodzi do sklepu Aweidy, na jego prośbę tłumaczy treść kilku glinianych tabliczek i natyka się na jakiś tekst o niezwykłym znaczeniu politycznym. Coś, co jego zdaniem może mieć kluczowe znaczenie dla procesu pokojowego. Dzwoni do Barucha Kiszona, swego wieloletniego sprzymierzeńca politycznego, radząc się go, jak najlepiej wykorzystać niezwykle znalezisko. No i potem przystępuje do działania, które ma na celu powiadomienie o tym premiera.

— Jeżeli ojciec aż tak bardzo się tym przejął, to musiało chodzić o jakiś nowy dowód na odwieczne przebywanie Żydów na tych terenach. Na przykład jakiś hebrajski tekst sprzed miliona lat.

— Coś w rodzaju synagogi Bet Alfa?

— Może.

Maggie przygryzła wargę i spojrzała przez okno na mijane

ulice. Wielu mężczyzn miało na sobie długie czarne chałaty i charakterystyczne czarne kapelusze z szerokimi rondami. Mimo właściwego dla Bliskiego Wschodu upału niektóre z nich były obszyte futrem. Objuczone plastikowymi torbami kobiety ubrane w długie luźne szaty przemykały chyłkiem od sklepu do sklepu. Uri podchwycił spojrzenie Maggie.

— To nasi ortodoksi. Jest ich coraz więcej. Sądzę, że za chwilę wreszcie się dowiemy, co ojciec zobaczył. Jego адвокат był za granicą. Wrócił dziś rano i znalazł ten list.

— Powiedział ci, od jak dawna u niego leżał?

— Wygląda na to, że ojciec przyniósł go osobiście w ostatnią sobotę.

Wymienili się spojrzeniami.

— Tak, wiem. — Skinął głową. — Też o tym pomyślałem.

Zupełnie jakby wiedział, że coś mu się stanie.

W samochodzie zapadła cisza i Maggie zamyśliła się nad wydarzeniami dzisiejszego ranka i wczorajszego wieczoru. Gdyby dało się znaleźć w tym wszystkim jakiś ogólniejszy sens... Może jednak powinna powiedzieć Uriemu, co zaszło na Starym Mieście. Może wspólnymi siłami udałoby się im dojść, kim byli ci napastnicy. Ale wczoraj wieczorem już i tak nadmiernie się przed nim otworzyła. Szykowała się właśnie, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie Uri wyciągnął rękę i włączył radio na południowe wiadomości. Tak jak poprzednio tłumaczył jej pokrótce kolejne newsy.

— Mówią, że po praktycznym zerwaniu rozmów przez obie strony świat z niepokojem przygląda się sytuacji na Bliskim Wschodzie. Zdjęcia satelitarne pokazują, że wzdłuż granicy trwa mobilizacja wojsk syryjskich. Egipscy wojskowi odwołali wszystkie urlopy, a prezydent Iranu miał powiedzieć, że jeśli Izrael nie wykorzysta ostatniej szansy na uzyskanie akceptacji w regionie, to region pozbędzie się go raz na zawsze. Trzeba wyciąć tego raka, oświadczył. Waszyngton z kolei ostrzegł, że temu, kto pierwszy użyje broni jądrowej przeciw Izraelowi, zapłaci się... mmm, jak to się mówi po angielsku... pięknym za nadobne, tak?

Chryste! Miller i cała reszta nie żartują. Świat rzeczywiście się temu przygląda! Niepowodzenie rozmów w Jerozolimie może dać początek geopolitycznej katastrofie. Chwilę później z płynącego z głośnika potoku hebrajskiego wyłowiła dwa znajomo brzmiące słowa.

— Uri? Coś się stało?

Machnął tylko ręką, uciszając ją. Widać było, jak krew odpływa mu z twarzy. W końcu odezwał się głosem ściszonego do szeptu.

— Zapowiedzieli uroczystości ku pamięci weterana dziennikarstwa Barucha Kiszona. Zginął w wypadku samochodowym w Szwajcarii, w pobliżu Genewy...

— Uri, zatrzymaj się. Natychmiast.

Uri tkwił jednak w korku i przepchnięcie się do pobocza nie było takie proste. Maggie czuła w głowie zamęt. Ktoś wyraźnie wyprzedzał ich o krok we wszystkim, co robili. Wystarczyło, że odczytali z bloczku na biurku Kiszona nazwisko Afifa Aweidy, a już parę godzin później człowiek nazwiskiem Afif Aweida leżał w kałuży krwi na jerozolimskim bazarze. Dostali się do mieszkania Kiszona i ustalili, że to do niego Guttman wykonał swój ostatni telefon, i Kiszona także już nie żył.

Wniosek mógł być tylko jeden: są śledzeni, a wszystkie ich rozmowy są podsłuchiwane. Nie ma innej możliwości. To jedyne wytłumaczenie.

Uri, nie przestając trąbić, przepychał się między samochodami.

Chyba że...

Gdzie on odbywał służbę wojskową? W wywiadzie. Jest jedynym, który wie wszystko to, co ona. Nikomu nie wspominała o Kiszonie, a mimo to Kiszona nie żyje, a jego śmierć niemal na pewno nie jest przypadkowa.

Od pierwszej chwili w pełni mu zaufała. A może to był błąd? W końcu już nieraz pomyliła się w ocenie ludzi.

Poczuła, że dłonie ma lepkie od potu, a w żołądku czuje niespokojne wiercenie. W pamięci wciąż miała mężczyznę, który chwycił ją tam. Nie widziała jego twarzy, nie umiała umiejscowić

jego dziwnego akcentu i dopiero teraz przyszło jej do głowy, że powodem mogła być próba ukrycia prawdziwej tożsamości. Czy to możliwe, żeby szedł za nią Uri? Czy ten człowiek w masce mógł być...? Oczekała, aż samochód po raz kolejny utknie w korku i sięgnęła do klamki w drzwiach.

Ale Uri był szybszy. Nacisnął przycisk po swojej stronie i zablokował drzwi. Znalazła się w pułapce. Była zdana na jego łaskę.

Zwrócił ku niej twarz i spokojnym głosem powiedział:

— Nigdzie nie wysiądziesz.

Rozdział 38

Jerozolima, czwartek, godz. 14.25

- Chcę wysiąść.
- Nigdzie nie wysiądziesz, Maggie.
- Wypuść mnie. Natychmiast! — Maggie rzadko zdarzało się podnosić głos. Wiedziała, że brzmi wtedy dość szokująco.
- Uri w końcu zjechał na pobocze i zatrzymał się.
- Słuchaj, nie możesz mnie tak teraz zostawić — powiedział. — Tylko dlatego, że wszystko zaczyna wyglądać coraz gorzej.
- Chodzi mi o ciebie. Boję się ciebie, Uri.
- Mnie? Oszalałaś?
- Gdy tylko poznawaliśmy jakieś nazwisko, za chwilę ten ktoś umierał. Najpierw Aweida, teraz Kiszon. I to nie ja ich zabiłam.
- I dlatego myślisz, że ja to zrobiłem?
- Byłeś jedynym człowiekiem, który wiedział tyle samo co ja.
- Uri zwiesił głowę i pokręcił nią z niedowierzaniem. Silnik samochodu wciąż pracował.
- Maggie, przecież to niedorzeczne. Jak mógłbym zepchnąć kogoś z drogi w Szwajcarii, skoro cały czas byłem tutaj?
- Mogłeś to komuś zlecić.
- Nawet nie wiedziałem, że jest w Szwajcarii! — wrzasnął, ale natychmiast się opanował. — Słuchaj, próbuję tylko ustalić,

co się naprawdę stało z moimi rodzicami. Bo jestem pewien, że ktoś zamordował moją matkę. I chcę się dowiedzieć kto. Nic więcej. Czuję, że jej niepokój stopniowo ustępuje, jakby odpływała z niej krew.

— Ale możesz o wszystkim informować izraelski wywiad.

— Po co miałbym to robić? Pamiętaj, że to ktoś z izraelskiej służby bezpieczeństwa zastrzelił mojego ojca i nie jest wykluczone, że to właśnie oni stoją za całą tą sprawą. Więc dlaczego miałbym im pomagać?

Miał rację. Rzeczywiście nie miało to sensu: tajny agent, który poświęca własnych rodziców po to, by ochronić swój kamuflaż? Chyba jednak ją poniosło.

— Okay, wierzę ci. To teraz odblokuj drzwi.

Zwolnił blokadę pewien, że otworzy drzwi i wysiądzie. Zorientowawszy się, że nie ma takiego zamiaru, zaczął mówić.

— Zamknąłem je tylko dlatego, że jesteś mi potrzebna. Sam nie dam sobie rady. — Na chwilę zawiesił głos. — Maggie, ja nie chcę, żebyś mnie zostawiła.

Wytrzymała jego spojrzenie w milczeniu, widząc w nim to samo co wczoraj w nocy. To samo ciepło i takie same iskierki. Miała ochotę zanurzyć się w nie i tak zostać. Zamiast tego odwróciła głowę i skinęła na znak, że mogą ruszyć.

Ujechał nie więcej niż sto metrów, gdy nagle gwałtownym ruchem sięgnął do gałki radia i podkręcił głośność. Potem wcisnął wyszukiwanie stacji i czekał tak długo, aż w głośnikach zabrzmiał głośny, agresywny rap. Cały samochód zdawał się chodzić do rytmu.

Poczuła łupanie w głowie i, sięgnawszy do radia, ściszyła muzykę, jednak Uri natychmiast podkręcił ją znowu, jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Jednocześnie przykrył dłonią gałkę, nie pozwalając jej nic zmienić.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? — krzyknęła.

Uri spojrział na nią szeroko rozwartymi oczami, jakby sam się dziwił temu odkryciu. Pluskwy, powiedział ruchem warg. Samochód może być na podsłuchu.

No jasne! Pilnowanie poufności rozmów było zawsze kluczowym wymogiem w trakcie jej mediacji i wielokrotnie stosowała niekonwencjonalne środki bezpieczeństwa łącznie z rozmową z pewnym ministrem spraw zagranicznych przeprowadzoną w hotelowej łazience przy leżącej się wodzie. Ale wtedy chodziło o zachowanie tajemnicy negocjacji, natomiast tu w ogóle nie przyszło jej to do głowy. Poczła się głupio: najpierw bzdurne podejrzenia wobec Uriego, teraz jeszcze to. Widać kilkuletnia przerwa na użeranie się z wojującymi parami małżeńskimi poczyniła w niej większe szkody, niż przypuszczała.

Znowu miał rację. Należało założyć, że są podsłuchiwni. Gdy zatrzymali się na światłach, Uri nachylił się i szepnął wprost do jej ucha:

— Komputery też. — Bardziej wyczuła, niż usłyszała te słowa, jego gorący oddech owionął jej ucho. Czła jego zapach.

— Widzieli wszystko to co my. Teraz zaczynamy rozmawiać normalnie.

Ściszył muzykę.

— Nie podoba ci się? Rap jest teraz bardzo modny w Izraelu.

Jednak Maggie była zbyt poruszona, by podjąć tę grę. Jeśli rzeczywiście ich sesja na komputerze Guttmana była przez kogoś podglądana, to ten ktoś wiedział dokładnie to samo, co oni, a więc znał też prawdę o Ahmedzie Nourze. Dziś rano coś tych ludzi zdenerwowało i postanowili ją nastraszyć. Widać swoją wizytą u Aweidy przeciągnęła strunę i pchnęła ich do działania. Uri zjechał na bok i zatrzymał samochód. Wyszli i Maggie zaczęła od razu mówić, ale Uri w milczeniu potrząsnął głową i przyłożył palec do ust.

— Tak, teraz rzeczywiście miejscowa scena muzyczna bardzo się ożywiła — powiedział beztrząsco. — Oczywiście głównie w Tel Awiwie. — Gestem ręki pokazał, że ma iść za nim.

Maggie spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Na jego brodzie widniał kilkudniowy zarost, włosy spadały mu na twarz zmierzwiionymi, nierozczesanymi strąkami, a jej nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć o muzyce albo cymkolwiek innym.

Znów nachylił się jej do ucha.

— Nasze ubrania też — szepnął, a ona odruchowo poklepała kieszenie w poszukiwaniu mikrofonu. Uri uśmiechnął się tylko, jakby chciał powiedzieć: „Nie trudź się. I tak nigdy go nie znajdziesz”.

Budynek, do którego zmierzali, był zwykłym blokiem mieszkalnym i to nieco ją zaskoczyło. Spodziewała się biurowca typowego dla kancelarii prawniczych. Czy to znaczy, że idą do prywatnego mieszkania adwokata Guttmanów?

Uri nacisnął przycisk domofonu.

— Cześć! Orli?

Maggie usłyszała dobywający się z głośnika zniekształcony głos kobiecy.

— *Mi zeh?*

— *Uri. Ani no levad.* Nie jestem sam.

Usłyszeli brzęczyk, Uri pchnął drzwi i schodami weszli na piętro. Drzwi do jednego z mieszkań były już otwarte. Stała w nich młoda kobieta z wyrazem zaskoczenia malującym się na jej twarzy. Maggie uznała, że dziewczyna jest od niej co najmniej pięć lat młodsza i niepokojąco urodziwa. Miała długie, luźno rozpuszczone ciemne loki, duże brązowe oczy i zgrabną szczupłą figurę, której nawet luźne sprane dżinsy nie były w stanie zeszpecić. Maggie pomyślała, że nie byłoby źle, gdyby okazała się tylko siostrą Uriego.

Oboje rzucili się sobie w ramiona i przymknawszy oczy, długą chwilę tkwili w tak ciasnym uścisku, że Maggie chętnie by odeszła, żeby nie musieć na to patrzeć. Czy są rodziną? Czy kobieta go tylko pociesza po stracie, jaką poniósł? Wprawdzie chwilę później wszyscy troje znaleźli się w mieszkaniu, ale Maggie nie przestawała się czuć jak intruz.

Uri bez pytania podszedł do wieży stereo, wsunął kompakt i podkręcił głośność. Przy muzyce Radiohead pokrótce zrelacjonował Orli ostatnie wydarzenia i swoje podejrzenia, potem, ku zaskoczeniu Maggie, wskazał ręką drzwi, za którymi musiała znajdować się sypialnia, i dał znak, że mają iść za nim. Wszyscy

troje weszli do sypialni i dopiero tam szeptem przedstawił sobie obie kobiety, a one wymieniły niepewne, grzeczne półuśmiechy. Zwracając się do Maggie jeszcze bardziej konspiracyjnym szeptem, oświadczył, że Orli jest jego byłą dziewczyną, a ona ma się rozebrać.

Po czym, podnosząc głos i zmieniając ton, oznajmił:

— Orli skończyła w Londynie szkołę projektantów mody. Pomyślałem, że chętnie obejrzysz jej ostatnie projekty. — Wykonał gest nasłuchiwania z dłonią przytkniętą do ucha i zaczął pokazywać ręką. Podśluch mógł być wszędzie: w bluzce, butach, spodniach — gdziekolwiek.

Potem wyciągnął jedną z szuflad i zaczął wyjmować z niej męskie ubrania. Czy należały do niego i były tu wbrew jego zapewnieniom, że śliczna Orli jest już tylko jego byłą? A może należały do jej obecnego chłopaka?

Nie mogła zbyt długo się nad tym zastanawiać, bo Orli pociągnęła jaku szafie i obrzuciła krytycznym spojrzeniem, takim, jakie kobiety rezerwują tylko dla siebie. Maggie nie miała może tak szczupłych ramion jak Orli, ale zbytnio jej nie ustępowała. Można było mieć pewność, że większość rzeczy w szafie Orli będzie na nią pasowała.

Orli wyciągnęła długą, bezkształtną spódnicę i Maggie pomyślała, że na pewno zrobiła to złośliwie.

— A może to? — powiedziała, wskazując zgrabnie skrojone szare spodnie. Na półce zauważyła też T-shirt i rozpinany sweter, które świetnie do nich pasowały. Orli bez entuzjazmu wyciągnęła je i podała Maggie, która postanowiła pójść za ciosem i wskazała jeszcze eleganckie skórzane botki na dnie szafy. Jak już musi chodzić w ciuchach innej baby, to niech przynajmniej ma z tego jakąś frajdę.

Orli rzuciła rzeczy na łóżko i bez słowa wyszła z sypialni. Właściwie to trudno jej się dziwić, pomyślała Maggie. Gdyby tak nagle zjawił się u niej Edward z jakąś obcą kobietą, kazał się jej rozebrać i pozwolił buszować w garderobie Maggie, też na pewno nie byłaby zachwycona. Edward! Już od dwóch dni ze sobą nie rozmawiali!...

Parę minut później pożegnali się — zdaniem Maggie, Orli trzymała Uriego w objęciach o dobrych parę sekund dłużej niż to konieczne — i wyszli z mieszkania. Schodzili po schodach nie tylko przebrani od stóp do głów w zupełnie nowe rzeczy, ale za jego namową pozbyli się też wszystkiego, w czym mógł tkwić podsłuch: butów, torebki, długopisów — po prostu wszystkiego.

— Nie uwierzyłybyś, gdzie w dzisiejszych czasach potrafią ukryć mikrofon, czasem nawet kamerę — powiedział w drodze do samochodu. — Na przykład w pojemniku z lakierem do włosów, w baseballówce, w okularach słonecznych, w obcasie buta, w kłapie marynarki, wszędzie.

Przyjrzała mu się badawczo.

— Używaliśmy tego przy naszych telewizyjnych dokumentach. Podpatrywanie ukrytą kamerą — dodał.

— Jasne, Uri.

Była pewna, że tę wiedzę zdobywał w mundurze IDF, a nie w studiach montażowych centrum telewizyjnego w Tel Awiwie.

Wsiedli do samochodu i Uri ponownie nastawił głośną muzykę. Oboje zapadli w milczenie, które w końcu przerwała Maggie.

— To na czym polega ten twój układ z Orli? — Miała nadzieję, że jej pytanie zabrzmiało dość obojętnie, jakby pytała tylko z grzeczności.

— Powiedziałem ci. To moja była dziewczyna.

— Jak bardzo była?

— Wystarczająco. Nie spotykamy się już od ponad roku.

— Zdawało mi się, że rok temu byłeś w Nowym Jorku.

— Byłem. Ona była ze mną. A co to, jakieś przesłuchanie?

— Nie. Ale odwiedzamy kobietę, której nigdy w życiu nie widziałam na oczy, a ty każesz mi się nagle ubierać w jej ciuchy. Myślę, że mam prawo coś o niej wiedzieć.

— Ach, więc chodzi już o twoje prawa, tak? — Uri oderwał wzrok od drogi i spojrzał na nią z uśmiechem.

Zdając sobie sprawę z tego, jak to wszystko musi brzmieć, Maggie postanowiła dać sobie spokój. Odwróciła głowę i wlepiła wzrok w okno. Wytrzymała całe piętnaście sekund.

— To dlaczego cię rzuciła?

— Skąd wiesz, że to ona mnie rzuciła? Może ja ją?

— Więc co, rzuciłeś ją?

— Nie.

— To co się stało?

— Powiedziała, że ma dość siedzenia w Nowym Jorku i czekania, aż się zdecyduje. No i wróciła.

— I już wszystko skończone? Znaczący, między wami?

— Maggie, na litość boską, o co ci chodzi? W tym tygodniu rozmawiałem z nią po raz pierwszy od roku. Zadzwoiła, żeby złożyć kondolencje po śmierci rodziców. Powiedziała, że jakbym czegoś potrzebował, to mam dzwonić. Potrzebowaliśmy czegoś, więc zadzwoniłem. Chryste!

Maggie była gotowa przeprosić, a także wspaniałomyślnie wybaczyć Uriemu jego śliczną byłą dziewczynę, bo po tym, co powiedział, mogła się już na to zdobyć, ale los to udaremnił. Zadzwoił jej telefon i na wyświetlaczu pojawił się numer amerykańskiego konsulatu. Dała znak Uriemu, że ma zjechać na bok i stanąć, bo chce wysiąść i spokojnie porozmawiać z dala od samochodu i ukrytych w nim mikrofonów. Zdawała sobie sprawę, że jej telefon też może być na podsłuchu lub wręcz zawierać w środku pluskwę, ale na to nie było już rady. Nie może przecież pozbyć się komórki, bo musi mieć kontakt ze światem. Podobnie jak nie może zignorować telefonu z konsulatu. Stała na rogu ulicy i odebrała.

— Cześć, Maggie, tu Jim Davis. Siedzimy tu z zastępcą sekretarza Sanchezem i radcą Millerem. — W słuchawce usłyszała pyknięcie oznaczające, że włączony został tryb głośnomówiący.

— Maggie, tu Robert Sanchez. Od naszej ostatniej rozmowy sprawy trochę się skomplikowały...

— Trochę? Skomplikowały? — Południowy akcent Millera całkowicie zagłuszył ciepły baryton Sancheza. Maggie wyobraziła go sobie krążącego po gabinecie wokół siedzących Davisa i Sancheza.

— Powiedzmy raczej, Costello, że zrobiły się

cholernie trudne. Ten kraj zajmuje się ogniem szybciej niż krzyż Ku-Klux-Klanu. Mamy zamieszki wśród izraelskich Arabów: Galilea, Nazaret, może nawet zaszary Ogrójec. Hezbollah w dalszym ciągu wali w Północ jak w kaczą dupę i Izraelczykom zaczyna się to troszkę nie podobać.

— Rozumiem.

— Mam nadzieję, że pani rozumie, panno Costello. Bo muszę pani powiedzieć, że prezydent i paru innych facetów zbyt wiele zainwestowało w ten cały proces pokojowy, żeby teraz patrzeć, jak to wszystko zamienia się w jedną wielką kupę krowiego gówna.

Maggie wiedziała, że to właśnie dzięki takiemu językowi Bruce Miller zdobył w Waszyngtonie pozycję człowieka, który z niczym się nie liczy i który miażdży każdego, kto odważy się stanąć mu na drodze. Zanim jego faworyt zasiadł w Białym Domu, Miller bywał uczestnikiem telewizyjnych talk-show, w których dzięki „firmowej” mieszance rubasznnej gadki chłopka--roztropka i celnych politycznych ocen potrafił przegadać nawet takie wygi jak Bill O'Reilly czy Chris Matthews. W swoich wypowiedziach był równie przenikliwy co zabawny i producenci telewizyjni ustawiali się do niego w kolejce.

— Mamy na głowie trzy główne sprawy. Po pierwsze, moim zadaniem jest doprowadzenie do reelekcji prezydenta w listopadzie, a zawarcie porozumienia pokojowego w Jerozolimie praktycznie mi to zapewnia. W polityce mało jest takich pewniaków, więc jak się coś takiego napatoczy, to się tego nie wypuszcza z rąk. Po drugie, doprowadzenie do zawarcia pokoju na Bliskim Wschodzie zagwarantuje prezydentowi miejsce w historii. Przejdzie do niej jako człowiek, któremu udało się osiągnąć to, na czym wszyscy inni połamali sobie zęby. I to też mi się podoba. Cholernie mi się to podoba.

Maggie nie mogła powstrzymać uśmiechu. W jej świecie normą było krycie się za niedomówieniami i lanie wody. Nie-dyplomatyczne walenie z grubej rury w wykonaniu Millera było orzeźwiającą odmianą.

— I tu dochodzimy do sedna, panno Costello. Zwykle słuszne postępowanie i walka o głosy wyborców nie pokrywają się. Kiedy LBJ dał czarnym prawo głosu, postąpił słusznie, ale tym samym zawałił szanse Partii Demokratycznej na Południu. Odbija się to czkawką do dziś. Słuszne działanie, na którym daliśmy dupy jak ostatnie kurwy. Ale tym razem jest inaczej i widzi to nawet taki staruch jak ja. Stoimy przed szansą zrobienia czegoś słusznego, a jednocześnie przed szansą zdobycia wielkiej liczby głosów wyborców. I może mi pani wierzyć na słowo: powstrzymanie Żydów i Arabów od skakania sobie do gardeł po tylu latach wzajemnego mordowania się jest czymś słusznym. Jesteśmy im winni to, żeby tego nie spieprzyć. — Zrobił krótką pauzę dla podkreślenia wagi swej homilii. — Dobra, to co tam mamy?

Maggie od razu zaczęła paplać, doszukując się postępow po obu stronach, szybko jednak powróciła do swojej teorii, że najpewniejszym sposobem zakończenia rozlewu krwi będzie wykrycie przyczyn niektórych — jeśli nie wszystkich — ostatnich zabójstw. Oświadczyła, że jest coraz bliższa poznania tych przyczyn, ale potrzebuje jeszcze trochę czasu.

— Tego właśnie brakuje nam najbardziej, Maggie.

— Wiem, panie radco. — Maggie usłyszała w głosie Millera zdesperowanie i poczuła nawet wyrzuty sumienia, że zawałła powierzone jej kluczowe zadanie. Miller wyraźnie nie był tylko zimnym, pozbawionym skrupułów politykiem. Pod skorupą krzykliwej rubaszości krył się człowiek pragnący pokoju, a ona zamiast mu w tym pomagać, nie osiągnęła jak dotąd niczego. Rozłączyła się, obiecując kolejny raport jeszcze przed zapadnięciem nocy, i wróciła do samochodu. Zgryzoty związane z Orli wydawały się jej teraz żałośnie trywialne.

Przez długą chwilę siedziała w milczeniu, dumając o znacznie ważniejszym problemie: groźbie drugiego niepowodzenia zawodowego, które oznaczałoby jej cywilną śmierć. Uri koncentrował się na jeździe i powstrzymywał od wszelkich pytań.

Gdy dotarli wreszcie do biura adwokata, dzień chylił się już ku końcowi. Kancelaria mieściła się w starym budynku z wszech-

obecnego jasnego kamienia, który Maggie zaczynała odbierać jako coś naturalnego, powtarzającego się we wszystkich niemal budynkach. Weszli na pięterko i stanęli przed drzwiami z tabliczką: *David Rosen. Adwokat*.

Uri zapukał lekko, a potem pchnął drzwi. Stanowisko recepcjonistki było puste, ale to go specjalnie nie zaskoczyło.

— Pewnie się wcześniej zmyła — powiedział już normalnym tonem. Po przebraniu się był pewien, że oboje są „czyści”.

Zawołał coś po hebrajsku, ale nikt się nie odezwał. Kancelaria sprawiała wrażenie zupełnie wymarłej. Zajrzeli do pierwszego z brzegu pokoju: pusto. W drugim także.

— O której się nas spodziewał? — spytała Maggie wciąż jeszcze szeptem.

— Powiedziałem, że już do niego jadę.

— Uri! Przecież to było wieki temu. Straciliśmy mnóstwo czasu u Orli.

Uri zaczął zaglądać do kolejnych pomieszczeń w poszukiwaniu gabinetu właściciela kancelarii, wszystkie były jednak puste. Dotarli wreszcie do drzwi, które musiały prowadzić do głównego gabinetu. Otworzył je i jego twarz gwałtownie pobladła.

Maggie wyminęła go i zajrzała do środka. Tym razem w gabinecie ktoś był. Za biurkiem siedział David Rosen z górną połową ciała nieruchomo złożoną na blacie.

Rozdział 39

Tekoa, Zachodni Brzeg, czwartek, godz. 15.13

Nie po raz pierwszy od swego przyjazdu do tego kraju blisko ćwierć wieku temu Akiva Shapira przeklinał swe amerykańskie korzenie. Obserwując ćwiczących w winnicy młodych mężczyzn, którzy uzbrojeni w noże ruszali trójkami do ataku i po chwili zatapiaли je w miękkich korpusach słomianych manekinów, Akiva czuł żal, że nigdy nie będzie taki jak oni. Oczywiście teraz było już za późno. Przy swoich pięćdziesięciu dwóch latach i ponad stu kilogramach wagi nie miał szans, by dołączyć do bohaterskiej armii żydowskiego oporu jako jej aktywny bojownik. Jednak najbardziej bolało go nie to, że jego czas już minął, ale że tak naprawdę nigdy się nie zaczął.

W Ameryce wychowywał się w spokojnym, niemrawym środowisku nowojorskiego przedmieścia Riverdale i podczas gdy młodzi Izraelczycy od początku dorastali w atmosferze walki, poznając świat czołgów, artylerii i piechoty, jego od dziecka szykowano do armii prawników, księgowych i lekarzy. Przyjechał do Izraela w wieku dwudziestu paru lat i zdążył jeszcze odbyć podstawowe, trzymiesięczne przeszkolenie wojskowe, ale na coś więcej było już za późno. Wiedza wojenna, tak ważna w kulturze społecznej jego nowej ojczyzny, już nigdy nie miała stać się jego udziałem. Nie przyznałby się do tego głośno, ale mimo swej nacjonalistycznej bezkompromisowości

i znaczącej pozycji w społeczeństwie izraelskim Akiva Shapira miał wciąż wrażenie, że jest w tym kraju outsiderem.

Był przekonany, że w tym gronie tylko on jeden ma takie dylematy. Wszyscy pozostali mieli za sobą bogate wojskowe doświadczenie, które brało się z trzech lat służby zasadniczej w młodości i późniejszego czynnego udziału w dwóch wojnach. Umieeli obserwować walki z irytującą wręcz pewnością siebie, a następnie omawiać ich szczegóły techniczne. Kiedy przenieśli się na strzelnicę, by przyglądać się, jak grupa dwudziestoletnich strzelców wyborowych wyskakuje z krzaków i rozstrzeliwuje na miazgę rząd arbuzów, towarzysze Shapiry — wszyscy w jego wieku lub nieco starsi — potrafili dzielić się z instruktorem wieloma fachowymi uwagami. Shapira zachowywał milczenie do głębi poruszony ogłuszającym hukiem i fontannami krwistego miąższu z rozrywanych pociskami owoców.

Z ulgą powitał zakończenie ćwiczeń i odmarsz młodych żołnierzy. Teraz przy stole miała odbyć się dyskusja na tematy strategiczne i będzie mógł wziąć w niej udział na równi z pozostałymi członkami komisji.

Było ich tylko czterech i wszyscy zgodnie postanowili, że ich udział w tej konferencji nigdy nie zostanie ujawniony. Shapira i jego sąsiad po prawej byli w tym gronie jedynymi, którzy pełnili jakieś formalne funkcje w ruchu osadniczym. Mężczyzna przewodniczący konferencji zdobył zarówno dobrą, jak i złą sławę w zupełnie innej dziedzinie. Był kwatermistrzem Mach-teretu, żydowskiej organizacji podziemnej, która ponad dwadzieścia lat wcześniej dokonała wielu zamachów terrorystycznych na arabskich polityków i prominentnych członków arabskiej społeczności. Odbył za to wieloletnią karę więzienia i po zwolnieniu oficjalnie wycofał się z życia publicznego. Większość Izraelczyków była przekonana, że wyemigrował i mieszka gdzieś za granicą. Jego obecność na Zachodnim Brzegu, w samym sercu Samarii — jak Shapira i jego towarzysze nazywali ten rejon — byłaby dla nich wielkim zaskoczeniem.

Gdyby jednak ekipie telewizji izraelskiej udało się sfilmować

uczestników spotkania — co oczywiście nie wchodziło w rachubę, bo cały ten obszar został szczelnie obstawiony kordonem wojska — największą sensacją wywołałby nie były przywódca Machteretu, ale człowiek siedzący naprzeciw Shapiry. Był nim osobisty doradca samego Jossiego Ben-Ariego, ministra obrony państwa Izrael.

— Jak wam wiadomo, spotkaliśmy się w celu omówienia operacji Bar Kochba — zagań kwatermistrz.

Shapirze podobała się ta nazwa, zwłaszcza że to właśnie on zaproponował nazwanie żydowskiej rewolty dwudziestego pierwszego wieku imieniem człowieka, który stał na czele buntu w drugim wieku. (Bunt przeciw Rzymianom pod wodzą Bar Kochby — zwanego też Szymonem Ben Kozibą — zakończył się wprowadzeniem klęską i wypędzeniem Żydów z Palestyny, ale o tym Shapira wolał nie pamiętać).

— Preferowaną metodą działania pozostaje powszechne nie- * posłuszeństwo w szeregach IDF. Jeśli armia odmówi uznania warunków porozumienia pokojowego, Jariwowi nie uda się go zawrzeć. A gdy nakaże likwidację osady takiej jak ta, jak Tekoa, nasi ludzie odmówią wykonania rozkazu.

— Nie zapominajmy o Gazie — wtrącił doradca Ben-Ariego.

— Otóż to. Nie zapominajmy o Gazie. Spodziewaliśmy się masowego oporu, który nie nastąpił. I dlatego potrzebny nam jest plan awaryjny. To, co widzieliście przed chwilą, to właśnie taki plan. Świetnie wyszkoleni młodzi ludzie, którzy w razie potrzeby zrzucą z siebie mundury IDF i chwycą za broń w obronie ojczyzny.

W tym momencie Shapira nie mógł sobie odmówić zerknięcia na doradcę ministra obrony. Już sama jego obecność przy tym stole miała rangę symbolu, ale to, że bez słowa protestu słuchał o planach zbrojnej rewolty w izraelskiej armii — armii, której jego szef był naczelnym wodzem — było czymś doprawdy niezwykłym. To, że udało im się przeciągnąć go — a więc, jak można było sądzić, także Ben-Ariego — na swoją stronę, świadczyło o ich sile i słabości Jariwa.

— Ale powtarzam. Korzystamy z tej opcji tylko w razie podpisania porozumienia i tylko kiedy rząd zacznie wprowadzać w życie zawarte w nim ustalenia.

— Jednak przedtem... — Shapira nie mógł się powstrzymać. Rozpierała go żądza czynu. Pragnął coś zrobić, najlepiej od razu.

— Jednak przedtem — ciągnął kwatermistrz, obrzucając Shapirę chłodnym spojrzeniem — będziemy podejmować działania mające nie dopuścić do zawarcia porozumienia. Zresztą już coś się dzieje. Zapewne znacie nasze oświadczenie w sprawie odpowiedzialności za ostatnią akcję na Starym Mieście.

Wszyscy skinęli głowami.

— Skoncentrujemy się zatem na podejmowaniu takich działań, których celem będzie destabilizacja rządu i niedopuszczenie do narodowej kapitulacji. W ostatnich dniach utworzyliśmy niewielkie komando, którego zadaniem jest prowadzenie tego rodzaju akcji. Nasz los, panowie, spoczywa obecnie w rękach tych ludzi. Proponuję, aby podczas wieczornego nabożeństwa każdy z nas zmówił modlitwę za pomyślność i sukces obrońców Zjednoczonej Jerozolimy.

Rozdział 40

Jerozolima, czwartek, godz. 15.38

Czuła się tak, jakby dostała obuchem. Jakby nagle opuścił ją cały zapach, zostawiając w głowie pustkę. Nie było wątpliwości: wszędzie towarzyszyło im tchnienie śmierci. Każdy, kto miał cokolwiek wspólnego z nią czy Urim lub kogo łączyły bliższe związki z jego ojcem, padał martwy. Żona Szimona została otruta, Nour i Aweida zabici na ulicy, Kiszon zepchnięty z drogi w Szwajcarii. A teraz jeszcze David Rosen, adwokat, któremu Guttman powierzył ostatnie przesłanie i który nie zdążył go przekazać, bo leżał martwy we własnym gabinecie.

Uri ruszył niepewnie w stronę biurka. Po jego minie było widać, że w głowie kotłują mu się podobne myśli. Podszedł do ciała, uniósł rękę i przez chwilę zawahał się, nie bardzo wiedząc, gdzie powinien go dotknąć. W końcu przyłożył dwa palce do szyi i niemal natychmiast odskoczył jak porażony prądem. Ciało poruszyło się, głowa uniosła znad biurka i znieruchomiła. Uri i David Rosen patrzyli na siebie z jednakowym zdumieniem.

— Chryste Panie, Uri, co ty tu, u diabła, robisz? — Rosen miał siwe włosy i wielkie niemodne okulary na nosie. Był chudy, miał długie patykowate kończyny, a jego ramiona wystające z krótkich rękawów koszuli były upstrzone wątrobianymi plamami. Odcisnięte na twarzy czerwone pręgi były typowe dla

kogoś, kto zdrzemnął się z głową opartą o coś twardego — czym w tym przypadku było biurko.

— Prosił pan, żebym przyszedł!

— Co ty wygadujesz? — Maggie widziała, że rozgląda się za okularami, nie pamiętając, że ma je na nosie. Zaskoczyło ją, że mówi po angielsku z wyraźnie brytyjskim akcentem. — A tak, rzeczywiście. Ale to chyba było wczoraj, nie?

— Dzisiaj. Po prostu pan usnął.

— No tak. Wróciłem dziś rano z Londynu. Nocnym lotem. Byłem wykończony i chyba przysnąłem.

Uri spojrział na Maggie i wznosił oczy ku niebu. Nasz los jest w rękach kogoś takiego?

— Tak, proszę pana. Zadzwoił pan do mnie i powiedział, że ma dla mnie list od ojca.

— Mhm, zgadza się. — Zaczął przesuwac zawalające biurko szpargały. — Chyba przyniósł go osobiście w zeszłym tygodniu. — Nagle przestał i podniósł się. — Och, Uri, przepraszam. Gdzie ja mam głowę... Proszę, podejdź tu. — Uri zbliżył się posłuszenie i nachylił jak chłopiec nadstawiający babci policzek do ucałowania. Rosen objął go i wymruczał coś, co wyglądało na modlitwę. Potem dodał po angielsku: — Życzę tobie i twojej siostrze długiego życia. Długiego życia, Uri.

Maggie rzuciła Uriemu wymowne spojrzenie.

— A, właśnie. Panie mecenasie, to jest Maggie Costello z ambasady amerykańskiej. Trochę mi pomaga. — Maggie czuła, że mówi to w określonym celu.

— Jak to, z ambasady amerykańskiej? Nie zadziało.

— Jest dyplomatką. Uczestniczy w rozmowach pokojowych.

— A, rozumiem. A w czym panna Costello tobie pomaga?

Maggie pomyślała, że jest zapewne rozkojarzony i rozespany, ale na pewno nie głupi.

Uri wyjaśnił pokrótce sprawę, starając się jednak nie zagłębiać w zbyt wiele szczegółów. Oświadczył, że skoro jego matka zaufała tej kobiecie, to on też jej ufa. Wspólnie próbują rozwiązać

zagadkę, która w błyskawicznym tempie coraz bardziej się komplikuje. W oczach Uriego można było wyczytać proste przesłanie: ufam jej, więc ty też jej zaufaj.

— No dobrze — powiedział w końcu Rosen i już bez żadnych sztuczek sięgnął po białą kopertę. — To jest ten list.

Uri ostrożnie otworzył kopertę, jakby miał do czynienia z dowodem rzeczowym dla sądu, zajrzał do środka i z wyrazem zawodu na twarzy wyciągnął z niej kompakt w przezroczystej plastikowej osłonce. W kopercie nie było żadnego listu.

— To DVD — powiedział. — Możemy to u pana obejrzeć?

Rosen zaczął bezradnie gmerać przy komputerze, aż w końcu Uri położył mu dłonie na ramionach i delikatnym, acz zdecydowanym ruchem odsunął go od komputera. Nie było czasu na ceregiele.

Wsunął płytkę, przyciągnął do biurka drugi fotel dla Maggie i zaczęło się czekanie na to, aż komputer przemiele wszystkie wstępne operacje. Wpatrzona w ekran Maggie pomyślała, że chyba jeszcze nigdy nie trwało to tak długo.

W końcu na ekranie monitora ukazał się czarny prostokąt, który po chwili wypełnił się pojedynczym wersem składającym się z białych hebrajskich liter.

— Wiadomość dla Uriego — przetłumaczył Uri.

Ekran rozjaśnił się i pojawił się na nim obraz wideo: Szimon Guttman przy biurku. Tym samym, przy którym Maggie siedziała nie dalej jak wczoraj po południu. Zwrócony był twarzą do komputera i Maggie pomyślała, że musiał sam się nagrywać. Pamiętała kamerę wideo i całą furę sprzętu w jego gabinecie.

Wpatrzyła się w twarz starca tak różną od tej, którą oglądała w Internecie. Nie było na niej śladu aroganckiej pewności siebie, jaką zwykle mają przywódcy przemawiający do tłumu. Wyglądał na człowieka wymizowanego i zmęczonego. Na kogoś, komu zmartwienia nie dały spać w nocy. Siedział pochylony, z wyrazem napięcia na twarzy.

Uri jakiri.

— Kochany Uri — zaczął tłumaczyć zduszonym szeptem Uri. — Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał tego oglądać. Że w przyszłym tygodniu przyjdę do kancelarii Rosena i zabiorę to nagranie, które Rosen ma ci przekazać tylko w przypadku, gdybym gdzieś zniknął albo, nie daj Boże, umarł. Przy odrobinie szczęścia rozwiążę ten problem sam, bez angażowania w to ciebie. Gdyby jednak miało stać się inaczej, nie mogę pozwolić, by ta sprawa umarła wraz ze mną. Bo widzisz, Uri, zobaczyłem coś tak cennego, tak starego i tak ważnego, że szczerze wierzę, iż odmieni to każdego, kto również to zobaczy. Wiem, że ty i ja nie zgadzamy się prawie we wszystkim, i wiem też, że twoim zdaniem ojciec przesadza. Jestem jednak pewien, że tym razem będzie inaczej.

Nagle Uri pochylił się, wyłączył odtwarzanie i obrzucił Maggie spłoszonym spojrzeniem. Potem zrobił minę z gatunku „ależ ze mnie głupiec” i bezgłośnie powiedział: Pluskwy.

I znowu miał rację. Rosen dzwonił do Uriego, więc jeśli jego telefon był na podsłuchu, wywiad izraelski czy ktoś inny, kto ich podsłuchiwał, miał dość czasu, by przyjść i założyć podsłuch w jego kancelarii. Mogli to nawet zrobić w czasie, gdy pan Śpiąca Królowa słodko chrapał na swoim biurku.

Uri rozejrzał się po gabinecie w poszukiwaniu czegoś nadającego się na zagłuszarkę i zdecydował się na telewizor. Nastawił go na kanał z amerykańskimi quizami, którym zawsze towarzyszy wrzawa i głośne okrzyki publiczności zebranej w studiu, podkręcił głoś i wrócił do komputera. Potem raz jeszcze wstał, podszedł do telewizora i odwrócił go ekranem do ściany.

— Ukryte kamery — wyjaśnił Maggie. — Najczęściej używane miejsce, gdzie się je instaluje.

Rosen przyglądał się jego poczynaniom z rosnącym zdumieniem.

Uri zaczął tłumaczyć szeptem wprost do ucha Maggie. Podświadomie przymknęła oczy, zaraz jednak stwierdziła, że to pomaga jej w koncentracji.

— Ostatnio natknąłem się na coś, co stanowi najważniejsze odkrycie archeologiczne w całej mojej karierze, a właściwie w karierze wszystkich archeologów. To coś, co właściciela może uczynić sławnym i oczywiście bardzo, bardzo bogatym.

Uri westchnął głośno.

— Już to wystarczy, żeby zaczął się obawiać o własne życie, dopóki ten przedmiot znajduje się w moim posiadaniu. Ale jest jeszcze coś. Jak zwykle u twojego ojca, ma to związek z polityką. To cię specjalnie nie dziwi, prawda, Uri?

Uri potrząsnął głową.

— Nie, tato, to mnie nie dziwi — mruknął pod nosem.

— A teraz do rzeczy. Widziałem na własne oczy ostatnią wolę i testament *Awrahama Avinu*. Tak, nie przesłyszałeś się. Ostatnią wolę wielkiego patriarchy Abrahama. Wiem, że brzmi to jak majaczenie szaleńca, i wierz mi, że sam się nawet zastanawiałem nad stanem mojego umysłu. Ale proszę, oto ona.

W tym momencie Maggie szeroko rozwarła oczy, Uri przestał tłumaczyć i oboje wlepili wzrok w ekran monitora, podobnie jak David Rosen. Szimon Guttman, z twarzą zroszoną potem, pochylił się i uniósł do kamery jakiś przedmiot. Był brązowy, wielkością przypominał staromodną kasetę audio, a rozdzielczość obrazu uniemożliwiała dojrzenie bliższych szczegółów. Jednak twarz Uriego wyraźnie pojaśniała. Całe jego dzieciństwo upłynęło w otoczeniu takich przedmiotów i nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, z czym ma do czynienia.

— Nie pokażę tego tekstu z bliska — podjął tłumaczenie Uri — na wypadek, gdyby to nagranie miało się dostać w niepowołane ręce. Nie chcę, żeby ktoś inny poznał treść tej tabliczki. Wiem, że zabrzmiałoby paranoicznie, ale boję się, że gdyby niektórzy ludzie dowiedzieli się o jej istnieniu, nie cofnęliby się przed niczym.

— I pewnie ma rację — szepnęła Maggie.

— Na pewno zadajesz sobie oczywiste pytanie. Skąd wiem, że to nie falsyfikat? Nie będę cię zanudzał szczegółami technicznymi w rodzaju gatunku i miejsca pochodzenia gliny, kształtu

pisma klinowego, pieczęci czy użytego języka i powiem tylko, że wszystko to pasuje do czasów Abrahama. Uwierz mi po prostu, że każdy ekspert w tej dziedzinie będzie niemal pewien, iż ma do czynienia z oryginałem. Mówię „niemal”, ale moja stuprocentowa pewność bierze się stąd, że nikt nie próbował mi tego sprzedać ani mnie nikt nie przekonywał o autentyczności. Na tabliczkę natknąłem się zupełnie przypadkowo w arabskim sklepiku na Starym Mieście. Przypuszczam, że przeschmugłowano ją tu z Iraku. Mogła tam leżeć w ziemi, mogła znajdować się w jakimś muzeum... może nawet w Muzeum Narodowym. Nigdy się też nie dowiemy, czy złodziej wiedział, co kradnie. Ciekawsze jest to, czy w bagdadzkim muzeum wiedziano, z czym mają do czynienia. W każdym razie Irak jako kraj pochodzenia ma sens. Bo gdzież urodził się *Awraham Avinu*, nasz ojciec Abraham, jak nie w wielkim mieście Ur w Mezopotamii? — Twarz Guttmana na ekranie rozjaśnił uśmiech. — Miasto Ur istnieje do dziś i znajduje się w Iraku.

— Tak więc możesz mi wierzyć na słowo: mamy do czynienia z autentycznym tekstem przedstawiającym Abrahama jako starego człowieka, który pod koniec życia dotarł do Hebronu. Wydaje się, że towarzyszą mu jego dwaj synowie, Izaak i Izmael. To też ma sens, bowiem wiemy z Tory, że to Izaak i Izmael pochowali Abrahama, a zatem mogli być przy jego śmierci. Wydaje się, że w sprawie testamentu Abrahama wynikł jakiś spór. Wiemy z naszych ksiąg, w których wielokrotnie jest o tym mowa, że Abraham zapisał ziemię Izraela Izaakowi i jego potomkom, ludowi żydowskiemu. Wiem, że ty i twoi lewicowi przyjaciele nie chcecie tego słuchać, ale poświęć dwie minuty i weź do ręki *Bereszit*, Księgę Rodzaju, rozdział pięćdziesiąty, wers dwudziesty czwarty, w którym Józef mówi do swych braci: *Gdy ja umrę, Bóg okaże wam swą łaskę i wyprowadzi was z tej ziemi do kraju, który poprzysiągł dać Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi**. Albo weź do ręki *Szmot*, Księgę Wyjścia, rozdział

* Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

trzydziesty trzeci, wers pierwszy: *Potem zaś rzekł Pan do Mojżesza: „Idź i wyrusz stąd ty i lud, który wyprowadziłeś z ziemi egipskiej, do ziemi, którą obiecałem pod przysięgą Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi tymi słowami: Dam ją twojemu potomstwu»**. Albo gdy mówi do Jozuego: *„Bądź mężny i mocny, gdyż ty zaprowadzisz Izraelitów do ziemi, którą im poprzysięgłem, a Ja będę z tobą ”***. To akurat pochodzi z *Dva-rim*, Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział trzydziesty pierwszy, wers dwudziesty trzeci. Rozumiesz, do czego zmierzam? Nie ma wątpliwości, że ziemię Izraela oddano ludowi Izraela.

— Wydaje się jednak, że Jerozolima stanowiła bardziej skomplikowany problem dla braci Abrahama, tak zresztą jak dzisiaj. W tym tekście — Guttman ponownie uniósł tabliczkę do kamery — nie jest to do końca wyjaśnione, ale nie ulega wątpliwości, że Izaak i Izmael spierali się w tej sprawie i Abraham musiał przed śmiercią ten spór rozsądzić. Wezwał więc do Hebronu pisarza... tacy ludzie istnieli nawet trzydzieści siedem wieków temu... i kazał mu spisać swój testament. Tak żeby nie było żadnych wątpliwości.

— W swym testamencie starzec mówi tylko o górze Moria, bo w tamtych czasach nie było jeszcze Jerozolimy takiej, jaką znamy dzisiaj. Nie wspomina też, co się tam wydarzyło, ale to wiemy, podobnie jak wiedzieli o tym wszyscy zgromadzeni przy jego łożu śmierci. Pomyśl tylko o emocjach szarpiących tę rodzinę! To właśnie na górze Moria Abraham był gotów zabić swego syna! Natomiast treść testamentu Abrahama przesądza kwestię własności tego miejsca.

— Możesz sobie wyobrazić, kochany Uri, jak bardzo jest to ważne. W rządzie Izraela funkcjonują obecnie trzy różne partie religijne. Jeśli z tekstu wynika, że Abraham w sposób jednoznaczny i ostateczny przekazał Żydom Wzgórze Świątynne, partie te nie będą mogły przełknąć porozumienia pokojowego,

* Tamże.

** Tamże.

które podważy suwerenność tego miejsca. No i co z drugą stroną, z naszymi wrogami Palestyńczykami? W ich rządzie uczestniczy Hamas, żarliwie muzułmańskie ugrupowanie, które także czci Abrahama. Jeśli z treści jego testamentu wynika, że Haram al-Szarif należy do potomków Izmaela, to jakże mogliby się temu przeciwstawić? Ważniejsze dla nas jest... a zastanawiałem się nad tym długo i poważnie... jakie będą konsekwencje pierwszej ewentualności: że dokument przekazuje tę świętą ziemię tylko nam, Żydom? Bo co wtedy? Jak zachowają się muzułmańscy fundamentaliści?

— Dlatego jestem pewien, że gdyby któraś ze stron dowiedziała się o istnieniu tej tabliczki, użyto by wszelkich możliwych środków, by nie dopuścić do jej ujawnienia. I dlatego muszę zachować maksymalną ostrożność. Muszę przekazać tę informację ludziom, którzy będą wiedzieli, co z nią począć. Jeszcze dziś spróbuję porozmawiać z premierem, ale jeśli coś się ze mną stanie, ten obowiązek spadnie na ciebie, Uri.

Maggie położyła mu rękę na ramieniu.

— Zauważyłeś na pewno, że nie wyjawiam treści tabliczki. Nie mogę ryzykować, bo jak już powiedziałem, nagranie może się dostać w niepowołane ręce. Jeśli mnie zabraknie, będziesz musiał sam ją odnaleźć. Schowałem ją w bezpiecznym miejscu, o którym możesz wiedzieć tylko ty i mój brat. Wiem, że podzieliły nas głębokie różnice, zwłaszcza w ostatnich latach. Chcę jednak, byś teraz odłożył je na bok i przywołał w pamięci nasze dobre chwile, jak choćby podróż, którą odbyliśmy po twojej bar micwie. Uri, przypomnij sobie, co robiliśmy podczas tej podróży. Mam nadzieję, że to pamiętasz. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że poszukiwania należy zacząć w Genewie, ale nie w mieście, które wszyscy znają. W lepszym, nowszym miejscu, gdzie można być tym, czym się chce. Wybierz się tam i przypomnij sobie czasy, o których przed chwilą wspominałem *Lech lecha*, mój synu. Wybierz się tam. A jeśli już odejdę z tego życia, zobaczysz mnie w innym życiu, bo to też jest życie. Powodzenia, Uri.

Ekran poczerniał.

David Rosen siedział skulony na fotelu, wyraźnie poruszony tym, co usłyszał. Maggie też nie mogła wydusić z siebie słowa, za to Uri był wściekły.

Zaczął walić w klawiaturę w nadziei, że na płycie DVD jest coś jeszcze, jakiś dodatek, który im umknął.

— To nie może się tak kończyć! Po prostu nie może! — Przeleciał ponownie przez całe nagranie i dotarł do ostatnich słów ojca: „...Powodzenia, Uri”. Ekran znów poczerniał i Uri ukrył twarz w dłoniach.

— Jakie to typowe dla tego drania — powiedział cicho.

— Co w tym typowego? — zapytał Rosen.

— Wszystko. Jeszcze jeden zasrany teatralny gest. Dysponuje jakąś tajemnicą, która zabiła jego żonę i mogła zabić syna. I co? Ujawnia ją? A skąd! Wdaje się w jakieś zasrane zagadki.

— Uri, posłuchaj — odezwała się łagodnie Maggie. — Przecież dał ci wyraźnie do zrozumienia, gdzie masz tego szukać, prawda? Powiedział, że trzeba zacząć od Genewy.

— W ogóle nie zwracaj uwagi na to, co mówi. To wszystko jest kompletnie bez sensu.

— Jak to?

— Od początku do końca to jeden stek bzdur.

— Skąd możesz to wiedzieć?

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

— Wystarczy to, co powiedział o miejscu ukrycia. „Schowałem go w bezpiecznym miejscu, o którym wiesz tylko ty i mój brat”. To bzdura!

— Dlaczego tak mówisz?

— Po prostu, Maggie. — Zawiesił głos i spojrzał jej prosto w oczy. — Mój ojciec nigdy nie miał brata.

• • •

Po wyjściu z kancelarii Maggie i Uri byli zbyt przejęci i wstrząśnięci treścią nagrania, a także zbyt zatopieni w roz-

mowie, by wsłuchiwać się w to, co działo się za ich plecami w gabinecie Davida Rosena. W przeciwnym razie mogliby usłyszeć, jak tuż po ich wyjściu stary adwokat podnosi słuchawkę i prosi o połączenie z człowiekiem, którego zarówno on, jak i Szimon Guttman uważali za kompana i pokrewną duszę.

— Tak, to bardzo pilne. Muszę natychmiast rozmawiać z Aki-vą Shapirą.

Rozdział 41

Obóz uchodźców Rafah, Gaza, dwa dni wcześniej

Zaczynało im już brakować miejsc na zebrania. Żelazna zasada zbrojnego podziemia — nigdy nie spotykaj się dwa razy w tym samym miejscu — stawiała ich przed koniecznością wynajdywania coraz to nowych bezpiecznych lokali i Salim Nazzal obawiał się, że ich zasób jest już na wyczerpaniu. Rozmowy pokojowe w Jerozolimie mocno wszystko skomplikowały i palestyńska ulica ze znacznie mniejszą sympatią patrzyła na bomby detonujące w izraelskich autobusach i centrach handlowych. W rozmowach przy kawiarnianych stolikach dominowało hasło: „Dajmy szansę rozmowom”. Nikt przecież nie mówi, że jeśli rozmowy się nie powiedą, to nie wrócimy do zbrojnej walki, ale dajmy im parę tygodni i zobaczymy, co nasi negocjatorzy wywalczą. W tej sytuacji niewielu Gazańczyków paliło się do wpuszczania do swoich domów ludzi Hamasu, o którym było powszechnie wiadomo, że stara się sabotować rozmowy. Ryzyko z tym związane było ogromne, bo jakakolwiek pogłoska o udzieleniu gościny ludziom Hamasu mogła spowodować, że dom albo legnie w gruzach rozwalony izraelskim pociskiem, albo jego mieszkańcy stracą życie od kul Fatahu. Wprawdzie oficjalnie Fatah współrzędził w koalicji z Hamasem, ale jego bojownicy nie zapomnieli o ulicznych walkach, które nie tak dawno toczyli ze swoimi przeciwnikami. Można też było stracić życie z ręki

dawnych braci z Hamasu za przeciwstawienie się oficjalnej linii partii, która — jak mówiono — działa w imieniu samego Allaha.

Dlatego też Salim skłonił się grzecznie gospodarzowi — mężczyźnie, tak jak on, trzydziestokilkolletniemu z krótko przystrzyżoną brodą islamisty. Jego dom był podobny do wszystkich innych w tej okolicy: prosty klocek z gazobetonowych bloczków z wytartym dywanem na podłodze, telewizorem, kuchenką i paroma materacami dla całej rodziny. Tutejsze domy w niczym nie przypominały miasteczka namiotowego, które międzynarodowi wizytatorzy kojarzyli z terminem „obóz uchodźców”. Wyglądały raczej jak typowe rudery z podmiejskiego slumsu, do których — zamiast schludnych uliczek — wiodła tylko płatanina ścieżek. Obóz nazywano Brazylią — na pamiątkę brazylijskiego kontyngentu w ramach oenzetowskiej misji pokojowej, który miał tu swoje baraki.

Dzisiejsze zebranie otaczała jeszcze większa tajemnica niż zwykle, bowiem Salim miał do przekazania uczestnikom niezwykle ważną i ściśle tajną informację. Technik zatrudniony w Jawwal, palestyńskiej firmie telefonii komórkowej, w trakcie likwidacji konta zmarłego Ahmeda Noura zauważył, że w jego poczcie głosowej znajduje się nieodsłuchana wiadomość. Dostęp do poczty został wprawdzie zabezpieczony PIN-em, ale obejście go było dziecinnie proste. Mając w pamięci tajemnicze zabójstwo Noura, technik z zainteresowaniem wysłuchał nagrania: wypowiedzianej zdyszczym głosem wiadomości po angielsku, którą najwyraźniej zostawił jakiś izraelski uczoney. Będąc gorącym zwolennikiem Hamasu i niepokojąc się przybierającymi na sile tendencjami pokojowymi, technik postanowił powiadomić o swym odkryciu Salima. Powiedział mu też, że chciałby, aby ta wiadomość dotarła do palestyńskich patriotów i wiernych muzułmanów.

— *Masa al-khair* — rozpoczął zebranie Salim.

— *Masa a-nur* — odpowiedziało pół tuzina zebranych mężczyzn.

— Allah pobłogosławił nas wiadomością, która będzie mieć zasadniczy wpływ na naszą dalszą walkę. Pewien syjonistyczny działacz i archeolog twierdzi, że kupił w Jerozolimie tabliczkę zawierającą ostatnią wolę i testament Ibrahima — zawiesił głos dla lepszego efektu — Ibrahima KhaliFullah. Abrahama, przyjaciela Allaha. — Na twarzach zebranych pojawiły się ironiczne uśmiešky i rozległo się kilka pogardliwych parsknięć. — Ja w pierwszej chwili też tak zareagowałem, bracia. Ale wszystko wskazuje na to... i błagam, by nic z tego, co wam mówię, nie wydostało się poza ściany tego domu... że ten dokument może być autentyczny. Nie ulega też wątpliwości, że Izraelczyk będzie się upierał, iż jego treść wspiera roszczenie syjonistów do Jerozolimy.

— Wszyscy wiemy, co powie kierownictwo Hamasu. Oświadczą, że tabliczkę skradziono w Iraku...

Na zewnątrz rozległ się huk wystrzału. Nocne strzelaniny były w Rafah czymś zwyczajnym, ale i tak cała szóstka, łącznie z Salimem, instynktownie zerknęła na wyświetlacze swoich telefonów komórkowych, sprawdzając, czy nie ma na nich komunikatu z ostrzeżeniem o spodziewanym ataku. Komunikatu nie było i po trzydziestosekundowym milczeniu Salim znowu zaczął mówić.

— Wiemy zatem, co powie kierownictwo. Albo że to syjonistyczny rabunek arabskiego dziedzictwa dokonany niemal na pewno w Iraku, albo że to oszustwo i falsyfikat, na który tylko syjonistyczne media mogły dać się nabrać, i tak dalej, i tak dalej. Wiemy, co powiedzą, bo powiedzielibyśmy to samo.

Mężczyźni zebrani w pokoju pokiwali głowami. Salim był młodszy od większości słuchaczy, ale cieszył się ich szacunkiem. Podczas drugiej intifady odegrał ważną rolę w brygadach Izz-ad-Din al-Qassam, bojowym skrzydle Hamasu. Był wytwórcą bomb, jednym z niewielu, którym udało się ujść z życiem spod luf izraelskich żołnierzy realizujących politykę totalnego wyniszczenia przeciwnika, dzięki czemu cieszył się podwójną wiarygodnością: zabijał Izraelczyków, sam nie dając się złapać.

— Ale wszystko to nie będzie miało większego znaczenia. Izraelska prawica nie odda nam nawet skrawka Haram al-Szarif, jeśli będzie mogła powołać się na jakikolwiek tekst, z którego wynika, że Ibrahim przekazał go żydom. Rozmowy pokojowe zostaną zerwane.

— A jeśli tam jest napisane, że Haram należy do nas?

— Zastanawiałem się nad tym. Zapewne można z góry założyć, że gdyby syjonistyczny uczonek znalazł taki dokument, schowałby go głęboko pod ziemię.

Pytający uśmiechnął się, pokiwał głową i usiadł.

— Stoimy zatem przed takim oto dylematem. Na pewno znajdują się Palestyńczycy, którzy zrobią wszystko, aby uniemożliwić ujawnienie tego dokumentu. Wyjdą z oczywistego założenia, że jeśli treść testamentu Ibrahima zostanie ujawniona, osłabi to nasze prawo do Jerozolimy. Ludzie ci będą zabijać albo oddawać własne życie za to, by ten starożytny tekst nigdy nie ujrzał światła dziennego. Bardzo możliwe, że już to zaczęli robić. Ale jest też inna ewentualność. Jeśli ta tabliczka zostanie ujawniona i jej treść da syjonistom do ręki upragnione argumenty, z całą pewnością nie zgodzą się na warunki będące obecnie przedmiotem negocjacji przy stole w Domu Rządowym. Bo dlaczego mieliby się dzielić Jerozolimą, skoro Ibrahim powiedział, że ta w całości należy do nich?

— Czyli natychmiast zerwą rozmowy — wtrącił jeden z najwierniejszych akolitów Salima.

— Zerwą, a ta cała parodia procesu pokojowego legnie w gruzach. Skończy się gadanie o uznaniu społeczności syjonistycznej. Skończą się mrzonki o zawarciu pokoju z wrogiem. Będziemy mogli spokojnie podjąć walkę na nowo. Walkę, w której zgodnie z wolą Proroka, niechaj będzie z nim pokój, zwyciężymy.

— Chcesz powiedzieć — odezwał się któryś z uczestników — że w naszym interesie jest to, żeby treść tego testamentu przedostała się do opinii publicznej?

— Jeśli chcemy położyć kres zdradzie naszego ludu, to tak,

tak właśnie uważam. Ale jeszcze nie musimy podejmować decyzji.

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli to, że będziemy mogli zdecydować, co z nim zrobić, dopiero wtedy, gdy go zdobędziemy. I tylko wtedy. Dlatego też musimy poświęcić wszystkie siły i energię na odnalezienie i przejęcie testamentu. To nasz święty obowiązek. Trzeba zrobić wszystko, żeby go zdobyć. Czy mam na to waszą zgodę?

Mężczyźni popatrzyli po sobie i zgodnym chórem odpowiedzieli:

— Bóg jest wielki.

Rozdział 42

Jerozolima, czwartek, godz. 18.23

W milczeniu wracali do hotelu. Uri znów spróbował nastawić głośny rap, ale Maggie zaprotestowała. Wołała już ciszę niż narażenie uszu na torturę jednostajnego łomotu.

Zresztą i bez tego huczało jej w głowie. W trakcie oglądania nagrania zrobiła sobie kilka notatek i teraz je przeglądała.

*...w bezpiecznym miejscu, o którym wiesz tylko ty i mój
brat.*

Jaki to mogło mieć sens, skoro Szimon Guttman w ogóle nie miał brata? O tyle rzeczy chciałaby Uriego zapytać. Najchętniej usiadłaby gdzieś, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać, bez potrzeby przekrzykiwania hałasu i rzucania ukradkowych spojrzeń na boki. Jeśli ich podsłuchiwano, to zapewne także obserwowano.

W hotelu poprowadziła go prosto do baru i zamówiła dwie whisky. Niemal zmusiła go do wypicia i od razu zamówiła następną kolejkę, tym razem podwójnych. Panujący w barze łagodny mrok miał na nią kojące działanie.

- To jak to jest z tym bratem, Uri?
- Nie ma żadnego brata.
- Jesteś pewien? Może dziadek był dwa razy żonaty? Może miał drugą rodzinę, którą utrzymywał w tajemnicy?

Uri spojrział na nią znad szklanki. W jego oczach zalśnił bursztynowy odblask zawartości, na twarzy pojawił się cień uśmiechu.

— Po historii z Ahmedem Nourem i ostatnią wolą Abrahama już bym się nawet nie zdziwił, gdyby się okazało, że ojciec miał jakiegoś utajnionego brata. Nic by mnie już nie zdziwiło.

— Więc to możliwe?

Uri sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

— Chyba tak. Jeśli można mieć jeden sekret, to pewnie można mieć ich więcej.

Odruchowo położyła dłoń na jego ręce i poczuła bijące od niej ciepło. Zreflektowała się od razu, ale i tak przez chwilę nie zabrała ręki.

— Dobrze, na razie zostawmy brata w spokoju. Jeszcze do niego wrócimy.

Jej wzrok padł na siedzącego przy barze żydowskiego ortodoksa, który, pogryzając orzeszki, przeglądał „Jerusalem Post”. Wyglądało, że na kogoś czeka, ale nie była pewna, czy siedział tam w chwili, gdy weszli do baru.

— Chodźmy stąd — powiedziała głośno. — Muszę gdzieś nareszcie normalnie usiąść.

Zsunęła się z barowego stołka i pociągnęła za sobą Uriego. Wybrała stolik z dala od baru i amatora orzeszków i usiadła twarzą do sali. Jeśli będzie chciał ich obserwować lub czytać z ruchu warg, będzie musiał się do nich odwrócić i w ten sposób zdekonspirować. Rozejrzała się po salce. Poza nimi nie było nikogo.

Przywołała kelnera i zamówiła kanapki. Czekając na jedzenie, pod wpływem nagłego impulsu zaczęła opowiadać o swoich porannych przygodach. Ograniczyła się do suchego zrelacjonowania faktów. Nie chciała, żeby potraktował to jak uzalanie się nad sobą. Pominęła też anatomiczne szczegóły napaści, ale i tak na twarzy Uriego odmalowało się zdumienie zmieszane z wściekłością.

— To bydlaki... — sapnął, zrywając się od stolika.

— Uri! Siadaj! — Chwyliła go za rękę i pociągnęła z powrotem na fotel. — Słuchaj, ja też jestem wściekła. Ale jeśli chcemy znaleźć tych ludzi, musimy zachować spokój. Jeżeli pozwolimy się ponieść emocjom, to postawią na swoim. — Przestał się wyrywać i popatrzył na nią. — Wygrają zabójcy twojej matki.

Powoli usiadł i na szczęście w tym momencie nadszedł kelner z zamówionymi kanapkami. Maggie pomyślała, że to na chwilę rozproszy jego uwagę.

— Posłuchaj — zaczęła, uspokojona, że zabiera się do jedzenia — wiesz, czego nie mogę zrozumieć? Tego, że nas śledzą, ale nie atakują. Dlaczego nas po prostu nie zabijają? Tak jak wszystkich innych?

Przez chwilę Uri jadł w ponurym milczeniu, jakby przełykając też swoją wściekłość. W końcu odezwał się nienaturalnie beztróskim tonem:

— Jako były oficer wywiadu Izraelskich Sił Obronnych powiedziałbym, że takie śledzenie bez podejmowania akcji może mieć miejsce w dwóch przypadkach.

— Tak?

— Po pierwsze, likwidacja obiektu wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem. To mogłoby dotyczyć ciebie. Jeśli robią to Palestyńczycy, to z całą pewnością woleliby uniknąć zabójstwa amerykańskiego oficjela. Zwłaszcza jeśli jest nim piękna kobieta.

Maggie spuściła wzrok niepewna, jak ma zareagować. Panowie w średnim wieku często obrzucali ją komplementami, na które zwykle reagowała trzepotaniem rzęs mającym świadczyć o zmieszaniu i skromności. Ale wobec Uriego taka reakcja nie wchodziła w rachubę. Może dlatego, że komplement z jego ust naprawdę coś dla niej znaczył.

— Wyobraź sobie reakcję amerykańskiej opinii publicznej, gdyby twoja twarz przez dwadzieścia cztery godziny pojawiała się w telewizji kablowej. Nienawiść widzów do podłych Arabów, którzy cię zabili...

— No już dobrze, wiem, o co chodzi — przerwała. Będąc

wychowanką przyklasztornej szkoły, była dość przesądna i wolała nie kusić losu. — To samo dotyczy Izraelczyków, prawda?

— W pewnym sensie dla nich byłoby to jeszcze groźniejsze. — Uri zaczynał się powoli rozluźniać, w czym zapewne pewną rolę odgrywała wypita whisky. — Już samo szpiegowanie Amerykanów jest wystarczająco naganne, a kilka razy nas na tym przyłapano. Cóż dopiero ich zabijanie. Nie do przyjęcia. Nadal masz obywatelstwo irlandzkie?

— Tak, nigdy się go nie pozbyłam.

— Więc zabicie cię byłoby też aktem agresji wobec Europejczyków.

— A ta druga możliwość? Bo powiedziałaś, że są dwie.

— Och, druga jest prosta. Siedzisz i nie uderzasz wtedy, kiedy chcesz zachować obiekt przy życiu po to, żeby cię dokądś zaprowadził.

Maggie przechyliła szklankę, pozwalając, by wraz z alkoholem spłynęła też kostka lodu. Obróciła ją w ustach, rozkoszując się jej zimnem na języku. To by znaczyło, że śledzący ich — kimkolwiek byli — chcą, by podążała tropem Guttmana i że zostawiają w spokoju tak długo, jak długo będzie im przydatna.

— Ale ci, którzy mnie rano napadli, żądali, żebym się wycofała. Żebym to zostawiła w spokoju.

— Wiem — przytaknął Uri. — Czyli mogą należeć do pierwszej kategorii. Nie zabijają dlatego, że narobiłoby to zbyt dużo szumu.

— Albo jest ich więcej. Śledzą nas, a ściślej mnie, różni ludzie, kierując się różnymi motywami.

— Może. Powtarzałem to już milion razy i powtórzę jeszcze raz: ten kraj i cały region mają kompletnie popieprzone w głowie.

Maggie odstawiła szklankę. Czas wreszcie zabrać się do roboty. Wyciągnęła kartki z notatkami zrobionymi w gabinecie Rosena.

— Ojciec wspomniał coś o waszych „dobrych chwilach”. O jakiejś podróży, którą odbyliście z okazji twojej bar micwy... Powiedział, że ma nadzieję, że ją pamiętasz.

— Pamiętam.

— Co się wtedy wydarzyło?

— Zabrał mnie na Krete, gdzie pojechał w swoich sprawach. Chciał coś sprawdzić na terenie wykopalisk w Knossos. Pomyśl tylko: bierze ze sobą trzynastoletniego chłopaka i każe mu podziwiać zakurzone starocie.

— No i?

— No i to wszystko.

— Niemożliwe. Musiało być coś jeszcze. Odwiedziliście jakieś muzeum? Może był tam jakiś przedmiot, który dla ojca miał szczególne znaczenie?

— To było dawno temu, Maggie. A ja byłem dzieckiem. Nie interesowały mnie takie sprawy. Niczego szczególnego nie pamiętam.

— I nic się nie wydarzyło?

— Pamiętam, że ciągle na ojca czekałem. I pamiętam, że podobał mi się lot samolotem.

— Zastanów się, Uri, myśl. Musi istnieć jakiś powód, dla którego ojciec wspomina właśnie o tej podróży. Czy podczas tego wyjazdu nie wydarzyło się nic ważnego?

— Sam ten fakt był dla mnie czymś... niesamowitym. Bycie z nim sam na sam, tylko on i ja. To było ważne przeżycie, bo nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. — Znow obrzucił Maggie posępnym spojrzeniem. — I nigdy potem.

— Rozmawialiście o czymś konkretnym?

— Pamiętam, jak opowiadał mi o cywilizacji minojskiej i czasach jej świetności. No i popatrz, powiedział, nic po niej nie zostało. To samo mogło się stać z nami, Żydami. I nieraz omal się tak nie stało. Niewiele brakowało, żeby nas starto z powierzchni ziemi. Mówił, że właśnie dlatego tak jest nam potrzebne państwo Izrael. „Po tym wszystkim, co przeszliśmy, musimy mieć własne miejsce na ziemi”. To jego własne słowa.

Ale coś konkretnego, ponagliła go w myślach Maggie, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że musi zastosować do niego

swą własną stałą zasadę: dać się wygadać i czekać, aby ludzie bezwiednie wypowiedzieli to jedno kluczowe zdanie.

— Opowiadał mi też o swoich rodzicach. O tym, jak jego matkę zabili hitlerowcy i jak jego ojciec przeżył. To niezwykła opowieść. Dziadek ukrywał się u katolickiej rodziny na węgierskiej wsi, mieszkając razem z kuzynem w chlewie. Pod sam koniec wojny uciekł, czołgając się ponad trzy kilometry rowem ściekowym. Ojciec twierdził, że z tej historii płynie nauka, że Żydzi muszą mieć własne miejsce, gdzie wolno im będzie żyć bez proszenia kogoś o zgodę. Miejsce, o które w razie potrzeby będą walczyli i którego będą bronić. Że już nigdy więcej nie będą ukrywać się po chlewach.

Czasy nazizmu... Nagle coś przyszło jej do głowy. Pamiętała aferę ze szwajcarskimi bankami trzymającymi łapę na zamrożonych kontach Żydów, których pomordowali naziści. Może ma to jakiś związek?

— Uri, pamiętasz tę wzmiankę o Genewie? Może twoja rodzina miała tam...

— Moja rodzina nie miała żadnego majątku. Niczego. Była biedna przed nazistami i biedna po nich.

— Dobrze, więc nie pieniądze. Ale może miał skrytkę bankową w Genewie. Może twój ojciec zdeponował tabliczkę w szwajcarskim banku.

— Trudno mi to sobie wyobrazić. Nie obracał się w tym świecie. Sejf w Genewie? To musi kosztować kupę pieniędzy. A poza tym, kiedy miałby to zrobić? W nagraniu mówi, że dopiero co znalazł tę tabliczkę.

Maggie skinęła głową. Uri miał rację. Genewa musiała oznaczać coś innego.

— A jak rozumiesz jego końcowe słowa? „A jeśli już mnie nie będzie na tym świecie, spotkamy się w innym życiu, bo to też jest życie”. Zdawało mi się, że twój ojciec nie był szczególnie religijny.

— W jego ustach rzeczywiście brzmi to dość zaskakująco. Ale może jest to zupełnie naturalne dla człowieka, który trzyma

w ręku słowa Abrahama. I który boi się o swoje życie. Może zaczyna wtedy mówić jak rabin.

— Uri, bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego...

— Przecież to nie twoja wina. To okropne, kiedy człowiek dochodzi do wniosku, że właściwie nie znał swojego ojca. Te jego wszystkie tajemnice... Ale jak można się zbliżyć do kogoś, kto tyle przed tobą ukrywa?

— Patrz, już zaczynają zamykać. Lepiej się stąd wynośmy.

Jednak zamiast do wind, Maggie skierowała się do recepcji.

Stojąc kilka kroków dalej, Uri słuchał jej dramatycznej opowieści o alergii na kurz, przez co nie może ani godziny dłużej spędzić w dotychczasowym pokoju. Nocny recepcjonista próbował opornować, szybko jednak skapitulował. Zabrał od niej klucz, wręczył inny, do pokoju trzysta dwa i polecił nocnemu portierowi, by przeniósł tam jej rzeczy. Odchodząc od recepcji, uśmiechnęła się do Uriego i mrugnęła porozumiewawczo. Pokój trzysta dwa, wolny od kurzu i pluskiew.

Upała się, że ją odprowadzi. Stojąc już pod drzwiami, spytała, gdzie będzie spał. Z jego miny wynikało, że w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

— No cóż, moje mieszkanie na pewno jest pod obserwacją. Tak jak dom rodziców.

— I wygląda na to, że nie zabili cię tylko dlatego, że jesteś ze mną — dodała Maggie z przekornym uśmiechem.

— Czyli najlepiej, jakbym został u ciebie.

Rozdział 43

Jerozolima, czwartek, godz. 22.25

Wiedziała, że powinna zaprotestować. Kazać mu, żeby zawrócił do windy, zjechał na dół i przespał się choćby w samochodzie. Uciszyła wyrzuty sumienia myślą, że Uri położy się na kanapie albo wręcz na podłodze, i po krzyku.

Zabrała się nawet do szperania po szafach w poszukiwaniu dodatkowych koców i poduszek, ale odwróciwszy się, stwierdziła, że Uri stoi nieruchomo i przygląda się jej z kamienną twarzą. Wyglądało na to, że nie ma zamiaru uczestniczyć w tym przedstawieniu.

— Uri, słuchaj, tłumaczyłam ci...

— Wiem, co mi powiedziałaś — przerwał. Położył palec na jej wargach i nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem. Tak jak poprzedniego wieczoru pocałunek był niezwykle delikatny, ale wkrótce przybrał na sile, wzbudzając w niej taki ładunek napiętności, że poraziło to ją jak prądem.

Odwzajemniła go bez wahania, poszukując wargami i językiem smaku jego ust. Gwałtowność jej reakcji zaskoczyła ją samą, ale nic nie mogła na to poradzić. Już od dawna, godzina po godzinie, narastało w niej pożądanie i gdy teraz tama pękła, nic nie mogło powstrzymać tej obezwładniającej mocy.

Zaczęła błędzić dłońmi po jego włosach, chwytając je tak, by przybliżyć jego twarz i zapach. Smakowali się wzajemnie, czując

ogarniający ich pośpiech. Jego dłonie ani przez chwilę nie pozostały bezczynne, gładząc najpierw jej twarz, potem kark, wreszcie zabierając się do rozpinania bluzki.

Chwilę później padli na łóżko, czując elektryzujące łaskotanie pierwszego zetknięcia nagich skór. Każda pieszczota, każdy kolejny dotyk pobudzały falę nowej namiętności, prowadząc do ostatecznego zespolenia ich ciał. Plecy Uriego zwilgotniały od potu i obejmując go, myślała, że czuje w nim nie tylko pożądanie, ale także jego tęsknoty, dążenia, może nawet smutki. Wiedziała, że w jej jęku spełnienia on również dosłyszy potrzeby i dążenie do odzyskania tak dawno utraconej wolności. Przez kilka następnych godzin leżeli spleceni ciasnym uściskiem i choć pierwsza fala namiętności już opadła, żarliwość ich objęć pozostała niemal taka sama.

Być może z powodu wewnętrznego rozedrgania obudziła się krótko po drugiej i nie mogła już usnąć. Uri leżał obok z piersią unoszoną długim, spokojnym oddechem. Pomyślała, że to zapewne jego pierwszy tak głęboki sen od śmierci ojca. Patrzenie na niego sprawiało jej przyjemność i przez długi czas leżała nieruchomo, przyglądając się mu i czując udzielający się jej spokój.

Minęła blisko godzina, nim postanowiła się ruszyć. Wstała z łóżka i wrzuciła na siebie obszerny T-shirt Edwarda, który zaplątał się do jej rzeczy podczas pospiesznego pakowania w niedzielne popołudnie. NIECH STAN SIĘ STRZEŻE. HANDEL KOPIE W DUPE głośił napis na plecach. Koszulka była pamiątką po ubiegłorocznych międzyministerialnych zawodach w softball, w których uczestnictwo było — zdaniem Edwarda — kluczem do jego dalszej waszyngtońskiej kariery.

Podeszła do biurka obok łóżka, otworzyła laptop i chwilę później mrok rozświetliła bijąca od ekranu niebieskawa poświata. Uri nawet nie drgnął.

Chwilę odczekała i zajrzała do skrzynki odbiorczej poczty. Jako pierwsza wyświetliła się wiadomość od Liz.

Mags,

z mojego konta w SecondLife wynika, że nie skorzystałaś z linku, który ci przestałam. Z góry wiedziałam, że tego nie zrobisz! A powinnaś. Nie tylko dlatego, że świadczy to o twojej ważności, ale również dlatego, że jest tam kupa naprawdę ciekawych rzeczy. Więc — jeszcze raz! — podaję ci moje pseudo ekranowe, hasło i kilka podstawowych rad, co masz robić; po prostu wejdź jako ja... A tak przy okazji, musimy pogadać o siedemdziesiątce taty. Sądzę, że powinnyśmy zorganizować mu wielki jubel. Wysiać go z mamą do Vegas na balangę ze striptizem i tak dalej. Jak uważasz? Tylko tak żartuję

xx L.

Siostra dołączyła do podpisu uśmiechniętą buźkę, dzięki czemu Maggie również się uśmiechnęła.

Druga wiadomość była od Roberta Sancheza. Temat: *Aktualności*. Treścią był skrót ostatnich depech delegacji amerykańskiej w Jerozolimie do centrali w Waszyngtonie. Już na pierwszy rzut oka wyłaniał się z nich bardzo pesymistyczny obraz.

Rozmowy w Domu Rządowym toczą się w bardzo okrojonym składzie, a obie strony są reprezentowane przez przedstawicieli najniższego szczebla. Atmosfera nadziei sprzed mniej niż tygodnia (sprzed zabójstwa Guttmana) wydaje się bardzo odległa w czasie... obie strony obrzucają się pretensjami... dają się zauważyć groźne pomruki ze strony państw arabskich i potrząsanie szabelkami w Iranie i Syrii... proizraelskie lobby w USA pod wodzą chrześcijańskich ewangelików zaczyna się burzyć i w porozumieniu z tutejszymi kręgami osadniczymi planuje zorganizowanie w niedzielę wieczorem telewizyjnego maratonu dyskusyjnego na kanale Christian Broadcasting Network... dziś wybuchły zamieszki

w rejonie Wzgórza Świątynnego. Przeciwno wiernym schodzącym się do meczetu Al-Aksa izraelskie siły porządkowe użyły gazu łzawiącego; dwie ofiary śmiertelne, w tym jedenastoletnie dziecko... zamach pod Ofrą na samochód wiozący osadników; dwóch pasażerów nie żyje, w tym dwunastoletnia...

Maggie przeczesała włosy palcami i po raz któryś pożałowała, że rzuciła palenie. Jezu, oddałaby teraz życie za papierosa. Zebrała się w sobie i zaczęła czytać trzecią wiadomość.

Nadawca: Edward

Temat: brak

M,

wiem, że to cię nie obchodzi, ale dziś wieczorem lecę do Genewy. Sprawy państwowe, nie mogę o nich pisać w e-mailu.

Po powrocie musimy omówić pewne praktyczne kwestie. Proszę o informację odnośnie twoich planów.

E.

Maggie oparła się plecami o krzesło. *Proszę o informację odnośnie. Czy ten człowiek naprawdę był kiedyś jej kochankiem?* Spojrzała na rozciągniętą na łóżku, przykrytą cienkim prześcieradłem sylwetkę pogrążonego we śnie Uriego i uśmiechnęła się.

Wróciła do e-maila od Liz, myśląc z rozrzewnieniem, że naprawdę ma kochaną siostrę. Kliknęła *Odpowiedz*.

Jesteś cudowną siostrą. Nie zasługuję na ciebie. Obiecuję, że wypróbuję ten link. Co do Vegas; sądzisz, że striptizerki mogłyby wystąpić w strojach do bow-lingu?

Już miała wejść w Second Life, gdy nagle poczuła ogarniający ją niepokój. Ich rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane, ktoś

wciąż ich śledzi i wygląda, że nawet to, co robiła na komputerze Guttmana, było monitorowane. A to znaczy, że pewnie ktoś gdzieś teraz czyta to, co pisze. Zamknęła wieko laptopa i pokój pogrążył się w ciemnościach.

Czuła jednak, że jest zbyt podekscytowana i że na pewno nie uśnie. Narzuciła coś na siebie, otworzyła cicho drzwi, wymknęła się z pokoju i niemal bezszelestnie ruszyła korytarzem w poszukiwaniu pomieszczenia, które wciąż jeszcze funkcjonowało w większości hoteli, choć w dobie blackberry i bezprzewodowego Internetu mocno straciło na znaczeniu. Szukała salki z napisem: *Centrum Biznesowe*.

Kartą magnetyczną do pokoju otworzyła drzwi do Centrum, które okazało się puste, ciemne i zimne. W środku znajdowało się tylko jedno żałośnie wyglądające — ale sprawne — stanowisko komputerowe. Po włączeniu komputer zapytał o numer pokoju, ale to wystarczyło. Nie miała nic przeciwko ujawnieniu się: hotel może ją sobie monitorować. Chodziło jej tylko o wymknięcie się spod kontroli elektronicznych podsłuchiaczy, podglądaczy i hakerów.

Ponownie ściągnęła e-mail od Liz, zapisała jej pseudonim — Lola Hepburn — i hasło, po czym kliknęła na podany przez siostrę link. Ekran natychmiast poczerniał i chwilę później pojawił się tekst:

Lola, witaj w Second Life.

Wpisała swoje dane i zaczęła się przyglądać, jak ekran wypełnia się wygenerowanym komputerowo krajobrazem zupełnie jak w typowej grze komputerowej. Na pierwszym planie pojawiła się gibka postać młodej kobiety w obcisłych dżinsach i przepasce na piersiach w barwach brytyjskiej flagi. Maggie zdała sobie sprawę, że ma przed sobą Lolę Hepburn, *alter ego* Liz w Second Life, jej tak zwanego awatara. Na dole ekranu pojawiła się seria przycisków z napisami *Mapa*, *Latanie*, *Czat* i wiele innych, których nazwy nic jej nie mówiły. Umieszczona obok instrukcja pouczała, że poruszanie się do tyłu, do przodu, w lewo i w prawo odbywa się za pomocą strzałek na klawiaturze. Spróbowała i ze

zdumieniem patrzyła, jak piersiasta dziewczyna na ekranie zaczyna kroczyć w wybranym przez nią kierunku. Jej kroki były wprawdzie nieco mechaniczne, ale poruszała ramionami jak idący człowiek.

Znajdowała się w czymś w rodzaju wirtualnego ogrodu, w którym wiaterek poruszał pożółkłymi, jesiennymi liśćmi. Miała wrażenie, jakby z kamerą w ręku posuwała się parę metrów za i nad awatarem, śledząc jego — jej — każdy krok. Gdy Lola dotarła do linii drzew, liście stały się dużo większe i nabrały takiej ostrości, jakby obiektyw jej kamery niemal ich dotykał. Dawało to niezwykle i trochę niesamowite wrażenie.

Spróbowała skrócić w lewo, ale cyczka na ekranie nie poruszyła się, natomiast wokół niej przesunęło się całe otoczenie, zupełnie jakby wykonała zwrot w lewo. W kadr wjechały domy z widocznymi w najdrobniejszych szczegółach szarymi gontami na dachach. Zniemacka pojawił się też dźwięk — powtarzająca się skoczna fraza muzyczna przypominająca jarmarczną muzykę z wesołego miasteczka. I rzeczywiście — chwilę potem w oddali ukazała się wirująca karuzela. Maggie ruszyła Lolą w tamtą stronę i w miarę jak była coraz bliżej, muzyka brzmiała coraz głośniej. Miała wrażenie, że kroczy po jakiejś magicznej łące, bo każdemu jej krokowi towarzyszyły wykwitające spod ziemi pęki liliowych, żółtych i szkarłatnych kwiatów.

Maggie rzuciła okiem na wskazówki przepisane z e-maila siostry. By odnaleźć wirtualną Maggie Costello w sali negocjacji pokojowych, powinna nacisnąć przycisk *Mapa*, potem rozwinąć menu nazwane *Moje drogowskazy* i znaleźć Uniwersytet Harwar-da, Wydział Studiów Bliskowschodnich. Znalazła go zaraz na początku listy. Zaznaczyła go, nacisnęła przycisk *Teleportacja* i uśmiechnęła się, słysząc kosmiczny świst, który oznaczał, iż właśnie odbywa podróż w konwencji Star Treka. Ekran pociemniał, rozbłysnął na moment napisem *Second Life, dojeżdżasz...* i chwilę później pojawiła się na nim dziewczyna w obcisłych dżinsach i krótkim topie. Znowu znajdowała się na pierwszym planie, jakby widziana przez obiektyw zawieszony nad nią kamery, całkowitej zmianie uległo natomiast otoczenie.

Wokół niej były teraz liczne budynki, jak w typowym kampusie uniwersyteckim. Niektóre zbudowano tradycyjnie z cegieł, inne lśniły stalowoszkłą nowoczesnością. Przypatrując się maszerującemu do przodu i wymachującemu miarowo ramionami awatarowi, Maggie zauważyła, że nawet droga, po której się porusza, została wybrukowana kamieniami jak w prawdziwym kampusie.

W oddali pojawiło się wejście do budynku z tablicą informacyjną, której treść stała się czytelna dopiero wtedy, gdy znalazła się bliżej. *Witamy na Wydziale Studiów Bliskowschodnich*. Weszła na schody prowadzące do wejścia, podziwiając zmieniającą się cały czas perspektywę. Hol obwieszony był obrazami, których kąt ustawienia można było dowolnie zmieniać strzałkami na klawiaturze. Na wprost wejścia znajdowało się stanowisko portiera, na wysokości oczu widziała szereg tabliczek ze strzałkami kierującymi do poszczególnych części budynku. Maggie ruszyła w stronę wskazywaną przez strzałkę z napisem: *Symulacja rozmów pokojowych*.

Chwilę później znalazła się w pomieszczeniu przypominającym typową salę konferencyjną. Środek zajmował długi stół z miejscami dla ponad dwudziestu osób. W sali było dość tłoczno i wszystkie miejsca zdawały się zajęte przez awatary z tabliczkami podającymi ich nazwisko i funkcję. Był wśród nich prezydent USA, sekretarz generalny ONZ i kilku przywódców krajów zaangażowanych w sprawy bliskowschodnie, reprezentujących tradycyjnie „umiarkowane” kraje arabskie, Egipt i Jordanię, Unię Europejską, Rosję i kilka innych. Pod ścianami rozstawiono krzesła dla doradców, począwszy od amerykańskiego sekretarza stanu. Przejechała kursorem po delegacji amerykańskiej i bez trudu rozpoznała Bruce’a Millera i Roberta Sancheza, po czym natknęła się na awatara przedstawiającego szczupłą kobietę z długimi ciemnymi włosami i dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy. Gdy najechała na nią kursorem, pojawił się dymek z informacją: *Maggie Costello, mediator/ca USA*.

„Przynajmniej jestem na sali obrad”, mruknęła pod nosem

Maggie. Domyślała się, że te wszystkie postacie to tylko stali pozoranci, których wprowadzono do Second Life po to, aby nadać tej sali pozory autentyczności. Twórcom programu należało oddać sprawiedliwość: wykazali niezwykle dbałość o szczegóły.

I dopiero wtedy zauważyła, że dwie postacie siedzące przy stole nie są nieruchome tak jak inne, tylko cały czas lekko drgają. Zwrócone były twarzami do siebie, a z dymków nad ich głowami wynikało, że są to Jaakow Jariw i Khalil al-Szafi. Rysami twarzy awatary przypominały swoje pierwowzory — przynajmniej na tyle, na ile pozwalała komputerowa symulacja — natomiast posturami i ubiorami znacznie odbiegały od rzeczywistości. Pomyślała, że zapewne program automatycznie wybrał modele z biblioteki postaci Second Life, chyba że podstarzały premier Izraela naprawdę nadal prezentuje niezwykle umięśnioną klatkę piersiową, a lider Fatahu ubiera się jak bywalec miejskich dyskotek. Jej awatar zatrzymał się w połowie drogi między drzwiami a stołem, dzięki czemu mogła podsłuchiwać rozmowę obu przywódców. Rzuciła okiem na zegarek. Na Wschodnim Wybrzeżu był dopiero wczesny wieczór, więc zapewne dwóch studentów zabawia się, odgrywając ich role.

Nad głową Jaakowa Jariwa pojawił się dialogowy dymek.

Halo? Możemy ci czymś służyć? Uczestniczysz w symulacji pokojowej?

Maggie kompletnie zamurowało. Co ma teraz powiedzieć? Czy ma udawać kogoś innego? Jednego była pewna. Powinna się trzymać roli prowincjonalnej dziewczyny. Nacisnęła przycisk *Czat* i zaczęła pisać. Wraz z ukazaniem się jej słów na ekranie Lola ożyła. Uniosła ręce i zaczęła nimi trzepać, co miało oznaczać, że pisze na klawiaturze.

Mam nadzieję, chłopaki, że w nic się nie wcinam, robię dyplom ze stos. m/nar., więc jakbym mogła trochę posłuchać, to bardzo mi się przyda.

Po paru sekundach zareagował Jariw, którego awatar zaczął trzepać rękami w niewidzialną klawiaturę.

Gdzie studiujesz?

Maggie zawahała się przez sekundę, nie odrywając wzroku od awatara Liz.

burbank community college.

Nastąpiła krótka przerwa.

OK.

Maggie zamilkła, czekając na dalszy ciąg tej dziwnej gry, która powoli zaczynała ją wciągać. Ciekawa była, w jakie afery Liz zdążyła się już wpakować. Czy na przykład znalazła sobie w Second Life chłopaka, co nigdy się jej nie udało w „pierwszym życiu”?

Tym razem odezwał się awatar al-Szafiego.

Widzieliście mapę Silwanu, tę najnowszą?

Nastąpiła kilkusekundowa przerwa, potem nad awatarem Jariwa pojawił się dymek.

Widzieliśmy. Ukazuje okrężną trasę wodociągu.

Khalil al-Szafi: *Tak.*

Jaakow Jariw: *Kto za to zapłaci?*

Khalil al-Szafi: *Proponujemy trzy lata z funduszy UE-ONZ, dalej samofinansowanie.*

Jaakow Jariw: *Z dostępem do jordańskich terenów wodonośnych?*

Khalil al-Szafi: *Sądzimy, że tak. Ale zanim zwrócimy się z tym do Jordańczyków, musimy najpierw mieć waszą zgodę co do zasady.*

Maggie z uznaniem pokiwała głową. Musiała tym smarkaczom przyznać, że do tej zabawy podchodzą naprawdę poważnie. Nie przerzucają się pustymi frazesami i śledzą autentyczny przebieg negocjacji. Dostęp do wody był jedną z tych kwestii, których znaczenie często umykało uwagi niezorientowanych w specyfice konfliktu bliskowschodniego. Wszystko przesłaniała im kwestia ropy naftowej.

Zatem tylko pogratulować. Położyła dłonie na klawiaturze. Czas ożywić biuściastą dziewczę z prowincji.

Jesteście, chłopaki, naprawdę super! dzięki stokrotne, ale myślę, że muszę najpierw trochę podkuć, zanim się będę mogła włączyć, życze mi powodzenia.

Pożegnawszy się, Maggie zaczęła niepewnie naciskać klawisze strzałek, przez co jej awatar zaczął się kołysać w przód i w tył, potem, jakby zawstydzona towarzystwem dwóch absolwentów Harvardu i pragnąc jak najszybciej stamtąd uciec, nacisnęła przycisk *Latanie*. Jej awatar rzeczywiście uniósł się w powietrze i, popchnięty strzałką „do przodu”, wyfrunął z pomieszczenia.

Niemal natychmiast zderzyła się ze ścianą sąsiedniego budynku, waląc w nią swą wirtualną głową. Przyglądała się, jak jej wirtualne „drugie ja” kuli się z bólu, co jednak trwa nie dłużej niż sekundę, bo chwilę później wzbija się do lotu nad terenem kampusu Harvarda. Grafika przypominała trójwymiarową prezentację architektoniczną i była do tego stopnia dokładna, że widać było białe stiuki na wieży zegarowej Dunster House, a nawet kioski z prasą i stojaki na rowery na głównym dziedzińcu.

Leciała dalej w pozycji horyzontalnej z rozłożonymi na boki ramionami i wyraźnie wypiętym biustem, przypominając pokręconego Supermana. Od czasu do czasu zniżala lot, by lepiej się przyjrzeć mijanym obiektom. W dole widziała domy bezładnie porzucane wśród pofałdowanych kawałków terenu: prywatne posiadłości z ogrodami. Przeleciała nad jakąś wodą z wyspą obrośniętą palmami i za którymś zniżeniem lotu dostrzegła nawet tablicę z afiszem zapraszającym na koncert gwiazdy rocka z lat osiemdziesiątych, który zapowiadano na jutrzejszy wieczór. Maggie z niekłamany podziwem pokręciła głową.

Jeszcze przez kilka minut kontynuowała lot, rozumiejąc już, dlaczego siostra jest w stanie zatopić się bez reszty w tym świecie ostrych konturów i żywych kolorów. Dostrzegła w dole grupkę awatarów i w przypiływie ciekawości zniżyła lot, zupełnie jakby natknęła się na prawdziwy tłumek na prawdziwej ulicy. Wylądowała i kolana się pod nią ugięły.

Kolorowe neony nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Znalazła się w dzielnicy rozpusty w świecie Second Life. Wystawione manekiny ubrane były w błyszczące gorsety i najechanie kursorem pozwalało dojrzeć przychepione do nich ceny. Na

wystawach widać też było pejcze, gumowe maski i wszelakie akcesoria. Poczwała się, jakby sama była rozebrana, a jej sterczące piersi były czymś wstydlwym. Jednak teraz jako Lola Hepbum mogła robić, co jej się podoba.

Zbliżyła się do absurdalnie napakowanego awatara rodzaju męskiego, którego — jak się domyślała — zaprojektowano z myślą o klienteli gejowskiej. Natychmiast pojawiła się grafika w postaci kolistego diagramu, na którym każdy wycinek reprezentował inną opcję: *Czat*, *Flirt*, *Dotyk* i parę innych. Zawahała się na widok tej pary cyberstworów o karykaturalnie wybujałych kształtach, z których jeden reprezentował ją samą. Ciekawe, co by pomyśleli obserwujący tę scenę. Oto członkini amerykańskiej misji dyplomatycznej, która w środku nocy siedzi w pustym pomieszczeniu hotelowym w Jerozolimie wśród nieczynnych faksów i pustych biurków i w newralgicznym momencie rozmów pokojowych zabawia się czymś, co wygląda na internetowe porno. Ciekawe, jak to jest dotykać się bez dotykania, pomyślała. W jaki sposób program może symulować dotyk? To jej od razu przypomniało o mężczyźnie śpiącym w jej łóżku na górze.

Do pomieszczenia na ekranie wkroczyła nowa postać — brodaty awatar w obcisłych spodniach z afro z lat siedemdziesiątych na głowie. Zbliżył się do tamtych dwóch i obok jego głowy pojawił się dymek z tekstem:

Shaftxxx Brando: Cześć, dzieciaki. Co jest grane?

Maggie bez namysłu nacisnęła przycisk *Latanie*, by jak najszybciej opuścić to miejsce i całą dzielnicę seksu. Trasa jej lotu wiodła teraz nad morzem, kurortami i wielkimi miastami. Nad jednym z nich zniżyła lot i okazało się, że ma pod sobą perfekcyjnie odtworzone centrum Filadelfii w postaci trójwymiarowej siatki ulic.

Postanowiła wrócić do *Mapy* i po kilku sekundach wiedziała już, co musi zrobić. Tęsknota za miastem jej dzieciństwa odpowiedziała Maggie następne miejsce odwiedzin. Wpisała *Dublin* i nacisnęła przycisk *Teleportacja*.

Rozległ się znajomy świst i chwilę później znalazła się w otoczeniu, które nawet w postaci komputerowej reprodukcji wydało jej się znajome. Woda w Liffey była może zbyt statyczna, ale rejon Tempie Bar został świetnie odwzorowany, łącznie z licznymi klubami i pubami, które tak dobrze pamiętała z czasów, gdy jako nastolatka buszowała po nich z innymi dziewczynami z klasztoru, żłowiąc wódkę jak rosyjski marynarz. Dziś jednak ulice wyglądały na opustoszałe i poza nią na całej Dame Street było tylko kilka osób poszukujących uciech.

Skrzywiła się z niesmakiem na myśl o tym, co robi. Dorosła kobieta siedzi w nocy przed ekranem komputera i stara się przywoływać wspomnienia z młodości. Miała dać sobie spokój z włączeniem się po świecie i zapuścić korzenie u boku Edwarda w Waszyngtonie, a tymczasem dobrze po trzeciej nad ranem siedzi skąpana niebieską poświatą w hotelowym Centrum Biznesowym i dzięki wspaniałej grze komputerowej rozczuła się na myśl o rodzinnym mieście. Oparła się plecami o krzesło i zaczęła dumać, dlaczego jej plan ustakowania się nie wypalił. Nie to miasto? Nie ten czas? Czy może nie ten mężczyzna?

Wyłączyła komputer, wyszła ze szklanej klatki Centrum Biznesowego i ruszyła w stronę wind z myślami wypełnionymi Dublinem, który przed chwilą odwiedziła. Okazał się zupełnie innym miastem niż to, które tkwiło jej w pamięci. W tym było czyściej, spokojniej i... nieskończenie bardziej samotnie.

Wsiadła do windy i patrząc na zamykające się drzwi, doznała nagłego olśnienia. Ależ tak, to jasne!

Szymon Guttman właśnie to miał na myśli! Stary spryciarz! Jak mogła na to nie wpaść?

— Szybciej, szybciej — mruknęła niecierpliwie. Chciała jak najszybciej znaleźć się w pokoju, obudzić Uri ego i mu o tym powiedzieć. Wlepiała wzrok w wyświetlacz pokazujący mijane piętra. Siedem, osiem, dziewięć. Tutaj.

Ostrożnie wyjrzała, upewniając się, że jej prześladowca — mężczyzna lub mężczyźni, którzy łążą za nią od Bóg wie jak dawna — nie czeka na nią pod drzwiami pokoju. Korytarz był pusty.

Po cichu ruszyła w stronę pokoju, starając się nie dotykać piętami puszystej wykładziny. Chciała poruszać się bezszelestnie. Wsunęła kartę w szczelinę zamka i odczekała na zapalenie się zielonej lampki. Pchnęła drzwi i już miała wypowiedzieć imię Uriego, gdy poczuła potężne uderzenie w tył karku. Osunęła się na podłogę, nie wydając z siebie nawet piśnięcia.

Rozdział 44

Jerozolima, piątek, godzinę wcześniej

Najpierw usłyszał podwójne kliknięcie — znak, że szyfrator rozmowy został włączony. Jak zwykle szef od razu przeszedł do rzeczy.

— Niepokoi mnie, że sprawy zaczynają się wymykać spod kontroli.

— Rozumiem.

— Oczywiście musimy mieć tę tabliczkę.

— Oczywiście.

— Chodzi mi o to, że musimy mieć ją natychmiast. Robi się straszne zamieszanie. Lekarstwo zaczyna szkodzić bardziej niż choroba.

— Wiem, jak to musi wyglądać.

W słuchawce rozległo się głębokie westchnienie.

— Według ciebie, jak długo musimy jeszcze czekać?

To jedna z głównych niedogodności pracy dla człowieka przywykłego do podejmowania ważkich decyzji. Tacy ludzie zawsze oczekują natychmiastowych rezultatów. Wydaje im się, że wystarczy wydać polecenie, a wszystko od razu się zrobi. Prędzej czy później dzieje się tak z wszystkimi przywódcami politycznymi, którzy swoje słowa zaczynają traktować jak boskie przykazania: *Rzekłem, niech się stanie światło. Dlaczego jeszcze jest ciemno?*

— No cóż, skoro to już zaczęliśmy, to nie bardzo możemy się

wycofać. Czytałeś ostatnie komunikaty. Hezbollah w środku nocy ostrzeliwuje raketami miasta i osiedla, żeby liczba ofiar była jak największa. Nie możemy dopuścić do tego, żeby przejęli inicjatywę.

— A co z Costello? Dowiedziała się czegoś?

— Nie spuszcza z niej oka. Wygląda na to, że posuwa się do przodu. Wiemy o wszystkim, o czym wie ona.

Kolejne westchnięcie.

— Musimy zdobyć tę tabliczkę. Poznać jej treść przed tymi, tak żebyśmy mogli odpowiednio zareagować i kontrolować dalszy bieg wydarzeń.

— Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że może się okazać, iż nikt jej nie zdobędzie. Ani my, ani oni.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że Costello może nas doprowadzić do tabliczki albo nie. Jeśli jej się nie uda, Guttman zabierze ją ze sobą do grobu tak, jakby jej nigdy nie było.

Nie musiał się nad tym rozwodzić. Jego rozmówca umiał dodać dwa do dwóch.

— To nie byłoby takie złe...

— Tak czy inaczej, wyjdzie na nasze.

— Jeśli ją zdobędzie, zdobędzie ją dla nas. A jeśli nie... Jeśli z jakiegoś powodu jej się nie powiedzie, nikt nie dostanie tej tabliczki. I problem rozwiązany.

— Może tak być.

— Dobrze. Porozmawiamy rano.

Usłyszał kliknięcie i sam też się rozłączył. Przejrzał listę swoich ludzi i odnalazł numer zespołu inwigilacji, którego zadaniem było śledzić Guttmana i Costello dwadzieścia cztery godziny na dobę. Uzyskał połączenie od razu po pierwszym dzwonku.

— Macie obiekty pod kontrolą? To dobrze, bo trzeba dokonać zmian w planie.

Rozdział 45

Jerozolima, piątek, godz. 3.11

Początkowo nie była nawet pewna, czy ma otwarte oczy, bo pokój tonął w kompletnych ciemnościach. Odruchowo uniosła głowę, by spojrzeć na zegarek, i poczuła ostry ból w karku. Dopiero to przypomniało jej, co się stało. Chciała opowiedzieć Uriemu o swoim odkryciu, wyszła z windy, otworzyła drzwi do pokoju i w progu otrzymała potężny cios, który zwałił ją z nóg.

Gdzie jest teraz? Rozpłaszczonymi dłońmi wymacała bawełnianą miękkość pościeli. Spróbowała poruszyć oczami i dojrzała ledwie widoczny zarys zasłon w oknie. Nadal jest w swoim pokoju. To co się, do diabła, stało?

Niespodziewanie ktoś szepnął jej wprost do ucha:

— Tak bardzo mi przykro, Maggie. Strasznie cię przepraszam.

Uri.

Spróbowała się unieść, ale ponowna fala przeszywającego bólu przygwoździła ją do łóżka.

— Obudziłem się i stwierdziłem, że cię nie ma. Przestraszyłem się, że może coś ci się stało. Podeszedłem do drzwi i wtedy...

— I wtedy mnie walnąłeś.

— Nie wiedziałem, że to ty. Strasznie mi przykro, Maggie. Jak mogę ci pomóc?

Maggie postanowiła pokonać barierę bólu i usiąść. Uri pospiesznie podłożył jej poduszki pod plecy i podał szklankę wody. Zaczęła ją sączyć małymi łykami, czując delikatne głaskanie po

włosach. Jej wzrok na tyle oswoił się z ciemnościami, że widziała go, jak klęczy przy łóżku i wyciąga drugą rękę, by ciepłą dłonią dotknąć jej twarzy.

— Każdego, kogo dotknę, spotyka jakaś krzywda. Każdemu, na kim mi zależy, dzieje się coś złego... — powiedział cicho.

Maggie miała wrażenie, jakby przepływająca przez jej przetyk woda wyzwalała w niej nowe fale bólu i powodowała palenie całego karku.

— Gdzieś ty się, do cholery, nauczył tak bić?

— Znasz odpowiedź.

— Wam, Izraelczykom, nie zbywa na delikatności, co? — mruknęła, rozcierając sobie kark.

— Pozwól. — Wyciągnął ku niej złożony wilgotny ręcznik. By dostać się do karku, musiał jej unieść włosy i obnażyć tył szyi. Wywołało to u niej dziwne uczucie — strach przed bólem zmieszany z przyływem nowego pożądania. Ręcznik był zimny i wpływał kojąco na promieniujący ból.

— Uri — powiedziała nagle, wyjmując mu z dłoni ręcznik i zwracając ku niemu twarz. — Podaj mi żakiet. Wisi na krześle.

Zawahał się. Czy to znaczy, że już mu wybaczyła?

— Rusz się!

Wstał i sięgnął po żakiet. Nie zwracając uwagi na ból, przeszukała szybko kieszenie i odnalazła to, czego szukała. Żółtą samoprzylepną karteczkę zabraną z kancelarii Rosena.

— Zapal światło. Dobrze. Teraz posłuchaj. Twój ojciec powiedział coś takiego: „Mogę ci powiedzieć tyle, że poszukiwania trzeba zacząć w Genewie, ale nie w mieście, które wszyscy znają. W lepszym, nowszym miejscu, gdzie można być tym, czym się chce. Wybierz się tam”. Pamiętasz?

— Pamiętam.

— Chyba wiem, o co mu chodziło.

— O Genewę.

— Tak, ale nie o tę, którą wszyscy znają. — Przebiegła wzrokiem swoje zapiski. — A na końcu powiedział: „Jeśli już odejdę z tego życia, zobaczysz mnie w innym życiu, bo to też

jest życie". Uri, zastanów się i powiedz mi, jak dokładnie się wyraził. Po hebrajsku.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz. Powtórz mi tylko dokładnie, co powiedział.

Uri wzruszył ramionami i zaczął mówić po hebrajsku:

— Powiedział: *Im ajnajni ba-chaim ha 'ele, tireh oti ba-chaim ha-hem.*

Maggie rzuciła okiem na swoje notatki.

— I to znaczy: „Jeśli już odejdę z tego życia, zobaczysz mnie w innym życiu”, tak?

— Tak.

— Dobrze. Idźmy dalej. — Maggie zdawało się, jakby buzująca w jej żyłach adrenalina znieczulała ból.

— A potem powiedział coś dziwnego. *B'chaim sztajm.* To znaczy coś w rodzaju „też w życiu”.

— Czyli inaczej „to też jest życie”, tak?

— Nie, nie. Źle mnie rozumiałaś. Nie chodziło mi o też, tylko o drugie. *Sztajm* znaczy „dwa”*.

Czuła rosnące podniecenie.

— Czyli powiedział: „Zobaczysz mnie w innym życiu, w życiu numer dwa”, czy tak?

— Tak.

— I to jest dosłowne tłumaczenie jego słów, Uri?

Maggie zdawała sobie sprawę, że zachowuje się dość dziwnie, ale wolała dmuchać na zimne. Zdarzyło jej się kiedyś, że pod sam koniec negocjacji, gdy porozumienie było już niemal gotowe do podpisania, strony zaczęły się kłócić o angielskie tłumaczenie, które zgodnie z prawem międzynarodowym miało stanowić obowiązującą wersję dokumentu. Musiała wtedy wraz z dwoma tłumaczami przeanalizować punkt po punkcie cały tekst, tak by mogli się upewnić, że druga strona nie próbuje przemycić czegoś

* W tekście angielskim chodzi o fonetyczne podobieństwo słów *too* (też) i *two* (dwa).

w tłumaczeniu. Żelaznym punktem programu podczas każdej kolacji z udziałem negocjatorów była opowieść o Menachemie Beginie, któremu podczas obrad w Camp David tak udało się zachachnąć tłumaczenie porozumienia z Egiptem na hebrajski, że wynikające z niego zobowiązania Izraela były znacznie mniej uciążliwe niż w wersji anglojęzycznej, z którą Jimmy Carter wrócił do Waszyngtonu. Dlatego dociekanie precyzyjnego znaczenia słów ojca Uriego nie było w jej przypadku niczym niezwykłym, jeśli nie liczyć tego, że nigdy przedtem nie robiła tego, leżąc w łóżku z mokrym ręcznikiem na karku.

— Brzmi to dość dziwnie, ale tak właśnie powiedział.

Chaim sztajm. Życie dwa.

— Czyli innymi słowy — powiedziała Maggie, wpatrując się w niego radośnie rozjarzonymi oczami — Second Life.

Rozdział 46

Jerozolima, piątek, godz. 3.20

Zarzuciła mu rękę na szyję i wycisnęła na jego ustach długi pocałunek, czując, jak jego wargi rozchylają się, miękną i wilgotnieją.

— Wiedziałam. — Przymknęła oczy, uśmiechając się radośnie. — To musiało tak być.

Po raz pierwszy poczuła, że może udać się im rozwiązać całą zagadkę. Wiedziała, że Szimon Guttman był człowiekiem inteligentnym i sprytnym, umiejącym manipulować opinią na swój temat poprzez podejmowanie różnych politycznych wyczynów. Z pomysłowością Guttmana zetknęła się osobiście, wykrywając jego współdziałanie z Ahmedem Nourem, które zakamufłował, wymyślając Ehuda Ramona, izraelskie *alter ego* Araba. Od Uriego wiedziała, że mimo zaawansowanego wieku ojciec był za pan brat z nowoczesną techniką i, o ile dobrze pamiętała, Uri mówił nawet, że lubił gry komputerowe.

Dlatego jego postępowanie należało uznać za w pełni zrozumiałe. Czując rosnącą presję i mając świadomość, że w coraz bardziej spoconych dłoniach dzierży tykającą geopolityczną bombę, postanowił ukryć ją tam, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy jej szukać. Poza światem realnym, w rzeczywistości wirtualnej. „Lepsze, nowsze miejsce, gdzie można być tym, czym się chce”. Swój skarb, a w każdym razie wiadomość o miejscu jego ukrycia schował w Second Life.

Nagle żołądek podszedł jej do gardła. Jak można dojść tak daleko, a potem wszystko schrzanić? Jak mogli — nie, jak mogła być tak głupia?

— Co się stało? — spytał Uri na widok jej miny, wciąż nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

Maggie przyłożyła palec do ust. Zachowali się jak durnie. Przecież już od śmierci Afifa Aweidy zdawali sobie sprawę, że ktoś słucha ich prywatnych rozmów. Zaczęli je zagłuszać głośną muzyką i hałasem w tle, a w publicznych miejscach szeptali sobie do ucha albo wręcz pisali do siebie karteczki. A tu nagle zapominają o wszelkich środkach ostrożności. Może była jeszcze zbyt oszołomiona po ciosie Uriego, może on był zbyt zaspany lub przejęty poczuciem winy. Tak czy inaczej oboje o tym nie pomyśleli. Zmiana pokoju niczego nie załatwiała. Ich prześladowcy mieli kilka godzin na to, żeby sobie z tym poradzić. A to znaczyło, że o jej kluczowym odkryciu wiedzą teraz także ci, którzy ich podsłuchują.

Sięgnęła po leżący obok telefonu hotelowy bloczek i napisała: *Ubieraj się*. Nie było chwili do stracenia. Musi wejść do Second Life, zanim zrobią to tamci. Jeśli się pospieszy, może uda jej się ich wyprzedzić. Śledzącym ją Izraelczykom — czy kim tam są — zajmie trochę czasu odkrycie tego, co ona już wie. Korciło ją nawet, żeby skorzystać z własnego laptopa tu w pokoju, ale uznała to za zbyt ryzykowne. Jeśli namierzyli również jej laptop, wszystko, co znajdzie w Second Life, poznają równocześnie z nią.

Uri ubierał się po ciemku. Jeśli ktoś obserwuje ich okno, nie należy go powiadamiać, że gdzieś się wybierają. Maggie widziała tylko zarys jego sylwetki, ale i tak poczuła dreszcz pożądania.

Upewniwszy się, że są gotowi do wyjścia, poprowadziła go schodami do Centrum Biznesowego. Włączyła komputer, czując, że jego anonimowość dodaje jej nieco pewności siebie. Śledzący ją hakerzy w żaden sposób nie mogli go namierzyć. Posłużyła się imieniem i hasłem Liz i zalogowała do Second Life. Uri stanął za jej plecami. Na twarz padała mu niebieskawa poświata

ekranu i widać było, jak na widok awatara Liz wytrzeszcza oczy ze zdumienia.

— O kurczę! Cześć, Lola.

— To nie ja — skrzywiła się Maggie. — To moja siostra.

— Twoja siostra Lola wygląda na niezłą laskę — parsknął i zarobił klapsa w rękę.

Poruszając się już całkiem swobodnie, Maggie weszła w opcję *Teleportacja* i wpisała sześcioliterowe słowo, które miało ją doprowadzić do ostatecznego rozwiązania zagadki. Już sobie wyobrażała, jak dzwoni do Sancheza i mówi mu, że może wyjaśnić ostatnią serię zabójstw, a on odpowiada: Powiedz im to sama. Ściągnij wszystkich do stołu i doprowadź do wznowienia rozmów pokojowych. Wiem, Maggie, że potrafisz tego dokonać...

Jej awatar wylądował na czyściutkiej ulicy w wirtualnej Genewie. Ruszyła w dół Rue des Etuves i skręciła w Rue Vallin. Poza sterczącymi na rogu dwoma awatarami z króliczymi łbami na ulicach nie było nikogo. Maggie postanowiła je ominąć i skręciła w Rue du Tempie.

— Nie wierzę własnym oczom — mruknął Uri. — Chcesz powiedzieć, że mój ojciec bywał w... w tym miejscu?

— W Genewie, ale nie mieście, które wszyscy znają. Tak to określił. Kiszon pojechał nie do tej Genewy, co trzeba. Gdzieś tu ukryty jest skarb twojego ojca.

— Ale ty tylko chodzisz po ulicach. Czego właściwie szukasz?

— Na razie jeszcze nie wiem. To może być mapa albo jakaś wskazówka. Coś, co nam powie, gdzie ukrył tabliczkę. Będziemy musieli sami do tego dojść.

Sięgnęła do kieszeni i raz jeszcze odczytała swoje notatki. *Schowałem ją w bezpiecznym miejscu, o którym możesz wiedzieć tylko ty i mój brat. Gdyby udało jej się rozszyfrować ten rebus. Czytała dalej: Chcę, żebyś przywołał w pamięci nasze dobre chwile, jak choćby podróż, którą odbyliśmy po twojej bar micwie. Uri, przypomnij sobie, co robiliśmy podczas tej podróży. Mam*

nadzieję, że to pamiętasz. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że poszukiwania trzeba zacząć w Genewie...

— Co robiliście podczas tej podróży? Uri, myśl...

— Już ci mówiłem. Pojechaliśmy na Kretę. Trochę rozmawialiśmy. Nudziłem się. Przykro mi, Maggie, ale nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

— Trudno. Sprawdźmy, czy w Genewie jest jakieś greckie muzeum.

— Minojskie.

— Słucham?

— Minojskie. Kreta należy do kultury minojskiej.

Wlepiła w niego wzrok.

— Dzięki, profesorze.

Sprawiła, czy istnieje wykaz budynków lub szczegółowy plan wirtualnej Genewy, ale niczego takiego nie znalazła. Postanowiła polatać nad miastem w nadziei, że jej uwagę zwróci jakaś duża budowla. Może jest tu duże muzeum z działem poświęconym kulturze minojskiej. Może właśnie tam Szimon Guttman zostawił wskazówkę, która pomoże im trafić do miejsca ukrycia tabliczki.

— Zabawne jest to — mówił dalej Uri, bardziej do siebie niż do niej — że jedyne żywe wspomnienie, jakie mam z tego wyjazdu, to podróż. Pierwszy raz w życiu leciałem wtedy samolotem. To mi najbardziej zapadło w pamięć. Powiedziałem to ojcu i pewnie sprawiłem mu tym przykrość. Ale tak było. Siedziałem obok niego przy oknie i z zapartym tchem wpatrywałem się z góry w olśniewająco błękitną wodę, a ojciec opowiadał mi o mijanych wyspach. To było naprawdę najważniejsze wydarzenie. Bo potem, to już...

Maggie gwałtownie zwróciła ku niemu głowę. Miała w pamięci słowa Szimona Guttmanna: *Uri, przypomnij sobie, co robiliśmy podczas tej podróży. Mam nadzieję, że to pamiętasz.*

— Oczekuje, że teraz zrobisz to samo — powiedziała z przekonaniem, czując nowy przypływ energii. — Chce, żebyś przeleciał nad Jeziorem Genewskim i obejrzał wyspy.

Awatar zawisł nad wirtualnym miastem i Maggie skierowała go najpierw na zachód, a potem na wschód. Zupełnie nie знаła Genewy. Była tu raz na jakiejś oenzetowskiej imprezie, ale wizyta miała program typowy dla międzynarodowych spotkań dyplomatycznych: lotnisko, samochód, sala konferencyjna, samochód, lotnisko. Nie pozostało jej nic innego, jak iść na całego i szukać w dole dużej plamy błękitu.

Natknęła się na linię brzegową jeziora i zwolniła tak, by awatar mógł lecieć nisko nad wodą i rozglądać się na boki.

— Tam coś jest! — wykrzyknęła, wskazując na lewy dolny róg ekranu. Wykonała dość niezgrabny zwrot i przeleciała jak najbliższej wypatrzonej plamy, która kształtem przypominała typową bezludną wysepkę z komiksu. Była okrągłą łachą żółtego piasku z zatkniętą pośrodku chorągiewką i planszą informującą o godzinach cotygodniowych sesji poetyckich. Maggie nacisnęła strzałkę do góry.

Znalazła jeszcze kilka wysepek. Na niektórych odbywały się jakieś wirtualne imprezy — na jednej dostrzegła planszę z zapowiedzią koncertu, na innej zapowiedź konferencji prasowej jakiejś firmy software'owej — jednak większość stanowiła prywatne posiadłości. I żadna z nich w żaden sposób nie kojarzyła się z Szimonem Guttmanem. Maggie znów ogarnął niepokój. Był to ich jedyny trop.

— Nie łam się — powiedział Uri. — Jeśli tu jest, odnajdziemy ją.

Maggie nie przestawała krążyć, co chwila obniżając lot, nad plamą błękitu, która w Second Life reprezentowała Jezioro Genewskie. Oboje zamilkli i po chwili szybowanie w zupełnej ciszy stało się tak sugestywne, jakby naprawę latali szybowcem pod bezchmurnym niebem nad miastem, a nie siedzieli w środku nocy w jerozolimskim hotelu.

Maggie robiła, co mogła, ale utrzymywanie się na właściwej wysokości nie było łatwe. Wystarczyło podlecieć zbyt wysoko, by wysepki stały się plamkami w morzu błękitu, z kolei zbyt niskie obniżenie lotu utrudniało orientację. Jeśli jednak właściwie

odczytała intencje Szimona Guttmana, w Urim powinny odżyć dziecinne wspomnienia z pierwszego lotu samolotem i oglądania wysp z lotu ptaka.

— Zaraz, a co to takiego? — odezwał się, wskazując na niewielką plamę na dole. Już nad nią przelecieli i ich awatar musiał zawrócić. Nadleciał nad wysepkę, obniżył lot i zaczął nad nią krążyć.

— Nie do wiary. — Uri ze zdumieniem pokręcił głową. — Nawet tu!...

— Co jest, Uri? O co chodzi?

— Przyjrzyj się. Widzisz jej kształt? Zwróć uwagę na kształt tej wyspy. — Wyciągnął palec ku żółtawym pikselom na ekranie.

Maggie widziała, że wyspa ma dość nietypowy kształt. W przeciwieństwie do większości prywatnych wysp w Second Life nie była niemal okrągłą plamą o poszarpanej linii brzegowej, ale stanowiła dziwny, nieregularny kształt z dużym kwadratowym występem z prawej. Widać było, że jej wygląd nie był przypadkowy i miał coś znaczyć. Maggie nie kojarzył się z niczym.

— Co to ma być? — spytała.

— Widzisz tę kizkę z lewej? To Izrael. A to duże, z prawej, to Jordania. To *Erec Jisrael*, Ziemia Izraela w pełnej krasie. Tak ją widzą prawicowi fanatycy, naśladowcy Zobotinskiego. Tacy jak mój ojciec. Mężczyźni noszą tę mapę na T-shirtach, a kobiety na szyjach w postaci wisiorów. Mówią na to *sztej gadot*, co znaczy „dwa brzegi”. Mają nawet swój hymn: *Jordan ma dwa brzegi, oba nasze*.

— Jesteś pewien?

— Poznałem ten kształt, zanim jeszcze poznałem alfabet. Dorastałem w jego towarzystwie. Możesz mi wierzyć, Maggie. Tę wyspę zaprojektował mój ojciec.

Z pluskiem wylądowała w płytkiej wodzie przy brzegu i ruszyła w stronę wyspy, jednak nagle coś stanęło jej na przeszkodzie. Gdy tylko jej awatar spróbował zbliżyć się do brzegu, drogę zagroziła mu czerwona kreska podobna do wiązki laserowej. Kreska otaczała pierścieniem całą wyspę i jej awatar odbijał

się od niej jak piłka. Z bliska okazało się, że kreska była łańcuchem dwóch powtarzających się słów: WSTĘP WZBRONIONY WSTĘP WZBRONIONY WSTĘP WZBRONIONY. Mieli przed sobą coś na kształt elektronicznego płotu. Na ekranie pojawił się też komunikat: *Wejście na działkę niemożliwe. Tylko dla upoważnionych.*

— Cholera. Tam się nie da wejść.

Jej awatar zamarł w bezruchu i Maggie zaczęła szukać na ekranie pola na wpisanie hasła.

— Hej, Maggie. Co to za jedni?

Spojrzała w górę i ciarki przebiegły jej po skórze. Tuż nad nią wisiały w powietrzu dwa awatary. Miały takie same królicze łby, jakie widziała już wcześniej, i oba były ubrane na czarno. Od razu skojarzyli jej się z opryszkami ze Starego Miasta — ich czarnymi kominiarkami i gorącymi oddechami.

Odwróciła głowę i spojrzała na Uriego.

— Śledzą nas. Próbują wyprzedzić w dotarciu do informacji ukrytej przez ojca. Co robimy?

— Możesz z nimi porozmawiać?

Powróciła wzrokiem do ekranu, nacisnęła przycisk *Czat* i aby nie łamać obowiązującej konwencji, wpisała w okienku: *Hej, chłopaki, co jest grane?*

Minęły trzy sekundy, cztery, pięć. Zegar programu w rogu ekranu pokazał minutę, ale odpowiedzi wciąż nie było. Królicze łby milczały.

— Czekają, aż zrobimy jakiś ruch. Wiedzą tylko tyle, ile zdołają podpatrzeć.

Maggie podjęła jeszcze jedną próbę przedarcia się przez laserową zaporę i znów skończyło się to tylko komunikatem na ekranie: *Wejście na działkę niemożliwe. Tylko dla upoważnionych.*

Królicze łby wisiały nieruchomo tuż nad nią. Wprawdzie oba tkwiły po zewnętrznej stronie zapory, ale ich całkowity bezruch trochę ją niepokoił. Maggie pomyślała, że pewnie ich operatorzy — kimkolwiek są — pospiesznie wymyślają teraz skomplikowane algorytmy, przepuszczają je przez zaawansowane

programy deszyfrujące i starają się złamać barierę ochronną Guttmana. Jeśli byli na tyle sprytni, by dojść za nią — a właściwie Lolą Hepburn — aż do tego miejsca w Second Life, to proste zabezpieczenie broniące dostępu do wyspy nie będzie już dla nich przeszkodą.

Maggie znów kliknęła na *Czat. Hej wy, króliczki. Czy może na mnie polujecie?*

— Maggie, co ty robisz?

— Niech wiedzą, że my wiemy.

Weszła w opcję *Wyszukaj* i wpisała hasło: *Guttman*. Może istnieje jakiś prosty sposób pozwalający dostać się na wyspę. Coś, o czym oboje nie pomyśleli.

— Na chwilę wychodzę — mruknął Uri, ruszając do wyjścia. — Zaraz wracam.

Wyszukiwanie hasła „Guttman” trwało dużo dłużej niż poprzednio i na ekranie nie pojawiały się żadne komunikaty. „No, już, już”, mruknęła Maggie, po czym — jakby w reakcji na jej ponaglenie — rozległ się nagły świst i wszystko zniknęło.

Chwilę później rozpoczęło się ładowanie nowego obrazu, którego wygląd z niczym się jej nie kojarzył. Program samorzutnie teleportował ją do jakiegoś innego miejsca w Second Life. Czyżby bezwiednie dotknęła klawiatury i coś nacisnęła?

Nagle ich zobaczyła. Zbliżyły się do niej już nie dwa, ale cztery królicze łby. Nacisnęła strzałkę, zrobiła kilka kroków do przodu i zatrzymała się. Potem dość chwiejnie ruszyła przed siebie i raptownie skręciła w boczną uliczkę. Wszystkie cztery królicze łby podążyły za nią, coraz bardziej skracając dystans. Znow zamarła w bezruchu.

Maggie poczuła, jak jej rzeczywisty oddech przyspiesza, staje się płytki i krótki. Operatorzy króliczych łbów konsekwentnie osaczali jej awatara. Nie miała jak wrócić do wyspy na jeziorze i zostawiona przez Guttmana wiadomość znalazła się poza jej zasięgiem.

Za plecami usłyszała gong sygnalizujący otwierające się drzwi windy i obejrzała się za siebie. Była sama. Gdzie się podział

Uri? Usłyszała zbliżające się kroki i przez oszklone drzwi dojrzała sylwetkę mężczyzny. Było za ciemno, żeby przyjrzeć się jego twarzy.

Drzwi otworzyły się i Maggie z ulgą rozpoznała Uriego. Na wyciągniętych przed siebie rękach niósł złożony w kostkę brązowy uniform, który położył na stole, a następnie bez słowa zaczął się rozbierać. Wepchnął spodnie i koszulę pod jedno z biurek, po czym zaczął na siebie wciągać przyniesiony komplet. Uszyto go ze skrzypiącego poliestru w okropnym, sraczkowatym kolorze. Spodnie były zdecydowanie za krótkie i musiał je mocno opuścić, by sięgnęły butów, jednak zamierzony efekt został osiągnięty i po chwili Uri stał przed nią w uniformie hotelowego posłańca.

— Skąd, na litość boską...

— Każdy, kto tak jak ja pracował na nocnej zmianie w hotelu, wie jedno: gdzieś musi być hotelowa pralnia. Wystarczy ją znaleźć i włamać się do środka.

— Ale po co?

— Zastanów się. Ci ludzie podsłuchiwali nas i śledzili po to, żebyśmy doprowadzili ich do miejsca ukrycia tabliczki. I teraz już mają to, o co im chodziło. Wiedzą, że odpowiedź znajduje się na wyspie i sami potrafią do niej dotrzeć. Nie jesteśmy już im potrzebni, Maggie. Teraz już im tylko przeszkadzamy.

Z bijącym sercem przeniosła wzrok na ekran, na którym Lolę otaczało już sześć awatarów z króliczymi łbami. Szybko nacisnęła przycisk *Latanie*, ale okazało się, że funkcja nie działa. Zaczęła w panice naciskać wszystkie przyciski po kolei, jednak bez rezultatu. Awatary w czerni zacieśniały pierścień wokół niej.

W tym momencie Maggie zauważyła, że dzieje się coś jeszcze. Rysy twarzy Loli Hepburn, hożej dziewczyny z końskim ogonem, zaczynały się zmieniać. Jej powieki lekko opadły, jakby za chwilę miała się rozpląkać, nos się wyciągnął, a twarz stopniowo traciła pogodny wyraz i nabierała coraz bardziej ponurego wyglądu.

Ciało Loli zdawało się więdnąć. Sterczące piersi spłaszczyły

się i zamieniły w czerwono-biało-niebieskie placki, niczym kulki lodów rozpuszczających się na talerzyku w letnie popołudnie. Cały tułów spłynął i po chwili z dawnej Loli została kupka bezkształtnej masy na jezdni. Mimo to awatary z króliczymi tbnami nie przestawały nacierać, jakby chciały jeszcze rozdeptać to, co z niej zostało. Sposób na poznanie tajemnicy Szimona Guttmana przestał istnieć.

— Maggie — Uri stał w drzwiach gotowy do wyjścia — za trzy minuty zejdziesz schodami awaryjnymi. Wejście jest tam. Nie wsiadaj do windy. Zejdziesz schodami do samego dołu. Nie na parter, tylko do podziemia. Tam jest kuchnia. Skręć w lewo za drzwiami windy i wejdź do chłodni.

— Skąd ja, do cholery...

— Poczujesz zimno, tym się kieruj. W głębi znajdziesz drzwi aa rampę wyładowczą. Będę tam czekał w samochodzie.

— A jak ty się stąd...

— Rób, co ci mówię.

Bezszelestnie rozpląnął się za drzwiami, jakby naprawdę lależał do nocnej zmiany w hotelu.

Maggie zebrała swoje rzeczy. Uri miał rację: ich każdy krok był obserwowany, a prześladowcy się nie patyczkowali. Miała tego przykład dziś rano, a także przed chwilą, gdy na jej oczach zniszczyli awatara Liz. Wyłączyła komputer i ruszyła w stronę schodów.

Ciemności panujące na klatce schodowej uzmysłowiły jej, że nie wie ani dokąd idzie, ani co ma robić dalej. Nadzieja na rozwiązanie zagadki zgasła wraz z gasnącymi pikselami ekranu komputera.

Rozdział 47

Psagot, Zachodni Brzeg, piątek, godz. 4.07

Żona usłyszała pukanie wcześniej od niego. Zawsze spał twardo, ale teraz z powodu swej dziesięcio- czy piętnastokilo-gramowej nadwagi zapadał w iście kamienny sen. Musiała wielokrotnie nim potrząsnąć, zanim wreszcie się przebudził.

— Akiva, obudź się. Akiva!

Akiva Shapira westchnął głęboko, otworzył oczy i spojrzał na zegarek przy łóżku — przedmiot jego prawdziwej dumy. Tradycyjny mechaniczny budzik pochodził z początku lat siedemdziesiątych i chodził mimo tkwiącej w jego mechanizmie kuli. Pochodziła ona z karabinu palestyńskiego snajpera, który strzelał przez okno do Shapiry i — jako typowy Palestyńczyk — nie tylko nie trafił, ale nawet nie rozwalił budzika. Dawało to Shapirze okazję do wielu uszczypliwych uwag podczas wizyt delegacji ze Stanów.

Było wprawdzie tuż po czwartej, ale żona miała rację. Lekkie pukanie do drzwi znów się powtórzyło. Kto, na litość boską, może się dobijać o tej porze?

Włożył szlafrok, związał na brzuchu pasek i poczłapał do drzwi frontowych swojego skromnego domku z czerwonym dachem, w którym mieszkał od chwili powstania osady kilkadziesiąt lat wcześniej. Uchylił drzwi i od razu rozpoznał twarz Ra'anana, doradcy ministra obrony, który uczestniczył we wczorajszej konferencji.

— Co, u diabła...

— Przepraszam za tak późne najście. Mogę wejść? Shapira uchylił szerzej drzwi i wpuścił przybysza. W pełnym wojskowym rynsztunku, w ich uśpionym domu wyglądał jak przybysz z innej planety.

— Napijesz się czegoś? Szklankę wody?

— Nie, nie mogę długo zostać. Mamy bardzo mało czasu. Shapira odwrócił się od kuchennego zlewu i spojrzał na gościa.

— Dobra. O co chodzi?

Ra'anan rozejrzył się.

— Możemy swobodnie rozmawiać?

— Oczywiście. Jesteśmy u mnie w domu.

Ra'anan ruchem głowy wskazał sypialnię.

— A twoja żona? — spytał szeptem.

Shapira podszedł do drzwi oddzielających **kuchnię od reszty** domu i zamknął je.

— Zadowolony?

— Akiva, w ciągu ostatniej godziny odbyłem rozmowy z pozostałymi członkami naszej grupy. Chodziło mi o uzyskanie ich zgody na podjęcie konkretnej akcji. Nadarza się okazja i jeśli wszyscy wyrazimy zgodę, trzeba działać natychmiast.

— Słucham.

— Obiekt będący przedmiotem naszego zainteresowania został namierzony. Możemy przystąpić do eliminacji.

— Jakie są zagrożenia?

— Ryzyko złapania i aresztowania minimalne. Jak wiesz, mamy najlepszych ludzi.

Shapirze stanęły przed oczami wczorajsze ćwiczenia i arbuzy rozbryzgujące się od kul wystrzeliwanych przez niemal niewidzialnych snajperów. Ra'anan miał rację. Użycie takich zawodców wiąże się z minimalnym ryzykiem.

— Okay. Zgoda.

Rozdział 48

Jerozolima, piątek, godz. 4.21

Wyjście z hotelu okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała. Wskazówki Uriego były precyzyjne, w kuchni nie było nikogo, a chłodnię odnalazła, kierując się nie tyle zimnem, ile szumem elektrycznych szaf chłodniczych. Tak jak powiedział, w głębi chłodni znajdowały się duże, zamknięte na zasuwę wrota i ich otwarcie wymagało niemałego wysiłku.

Owionęło ją rześkie, nocne powietrze i z żalem pomyślała, że jej żakiet został na górze w pokoju. Stała na betonowej rampie otaczającej z trzech stron kwadratowy plac manewrowy dla samochodów dostawczych. Przytupując i zacierając z zimna ręce, czuła napływające do niej fale smrodu. Śmierdziało zgnilizną. Rozejrzała się i stwierdziła, że tuż obok stoją trzy wielkie kontenery wypełnione po brzegi workami z hotelowymi odpadkami.

Chwilę później dojrzała zbliżające się światła. Samochód, który wykręcił i ruszył tyłem do rampy, okazał się smukłym, srebrzystym mercedesem. Stała bez ruchu, czekając, aż się zatrzyma. Czuła woń spalin z rury wydechowej przebijającą smród śmieci. Światła cofania oświetliły schodki prowadzące z rampy i już miała na nie wejść, gdy nagle się zawahała. A jeśli to nie Uri?

Ukryta w cieniu usłyszała po chwili szum opuszczanej elektrycznie szyby i ciche psyknięcie. Jednak on. Zbiegła po schodkach i wskoczyła na fotel pasażera.

— Fajne felgi. Skąd żeś to wytrzasnął?

— Z parkingu. Znalazłem w pakamerze portiera kasetkę z kluczykami i wziąłem pierwsze z brzegu.

— I po to ten uniform?

— Po to ten uniform.

Maggie z uznaniem pokiwała głową. Za każdym razem odkrywała coś nowego w tym mężczyźnie, którego tydzień wcześniej jeszcze nie знаła, a z którym los związał ją tak silnie, że od paru dni spędzali razem każdą chwilę od rana do nocy, a ostatnio również od nocy do rana. Po raz pierwszy wyczuła w nim także zadowolenie z samego siebie.

— Skoro już ma pani limuzynę, panno Costello, to gdzie życzy pani sobie jechać?

— Wszystko jedno, byle z dostępem do komputera. Nie dostałam się na wyspę. Załatwili mnie, zanim udało mi się zwiąć. Teraz nas wyprzedzą.

— Kto?

— Królicze łby, kimkolwiek są.

— Sądzisz, że zaporą ich nie zatrzyma, jak nas?

— Uri, ci ludzie umieją podsłuchiwać nasze rozmowy i włamywać się do naszych komputerów. Wystarczyło wymienić nazwiska Kiszona i Aweidy, żeby ich zabili. Nie sądzę, żeby programik użyty przez ojca do zabezpieczenia wyspy stanowił dla nich jakiś problem.

Kryjący się w króliczych przebraniach umieli też zniszczyć jej awatara i zamienić go w żalostną kupkę pikseli. Uri miał rację: nie była już im do niczego potrzebna. Doprowadziła ich do wyspy, z resztą poradzą sobie sami.

— Pewnie masz rację — powiedział Uri w zamyśleniu. — Ale jeśli nawet dostaną się na wyspę, to to, co tam znajdą, może być dla nich bezużyteczne. Pamiętasz, co powiedział ojciec w tym nagraniu? Że tylko ja jeden mogę to wiedzieć. — Zamilkł i po chwili dodał: — Chryste, dlaczego on musiał to wszystko tak cholernie zagmatwać?

— Jeśli mam być szczerą, to go podziwiam. Mnóstwo ludzi próbuje się dostać do jego sekretu i nikomu się nie udaje.

— Jak dotąd.

— Zgoda. Ale myślę, że to i tak nie mało.

W samochodzie zapadła cisza, której nie zakłócały nawet bezszelestnie poruszające się po szybie wycieraczki.

— To dokąd teraz jedziemy?

— Do jednego z nielicznych miejsc w Jerozolimie, które są o tej porze otwarte i gdzie na pewno będzie komputer.

Zaparkował samochód u wylotu ulicy zamkniętej dla ruchu kołowego. W głębi ciągnął się rząd nieczynnych kafejek i sklepików z opuszczonymi na noc żaluzjami.

— To ulica Bena Jehudy — powiedział Uri. — Za dnia są tu tłumy, ale Jerozolima to nie Tel Awiw. Tu lubią się wysypiać.

Skręcili w jedną z przecznic obok grupki obszarpańców śpiących w bramie i ruszyli w głąb uliczki zabudowanej jak całe miasto domami z chropowatego, jasnego kamienia. Tu też było pełno restauracji i kawiarni, ale zamkniętych na cztery spusty. W pewnej chwili dobiegł ją jednak ożywiony gwar rozmów.

— To bar U Mike'a — wyjaśnił Uri. — Terrorysty podłożyli tu bombę, ale turystów i tak to nie zniechęca.

Kluczyli po wąskich, ciemnych uliczkach, mijając łukowate otwory bram i sieni, skąd prowadziły wejścia do sklepów i biur — enklawy nowoczesności w starożytnych murach.

— To tu. *Kto Ze Mną Pobiegnie*.

— Tak się to nazywa?

— Tak. W Jerozolimie to już cała instytucja. Schodzą się tu ci, którzy przed czymś uciekają albo którym się nie udało. Nazwę wzięto od tytułu książki*.

— Kto ze mną pobiegnie? To prawie jak o nas.

Uśmiechnął się i otworzył Maggie drzwi. Weszła do środka i od razu przypomniała sobie czasy, gdy jeszcze była nastolatką. Nie dlatego, że w takich miejscach bywała, tylko dlatego, że bywanie w nich było jej najgorętszym pragnieniem. Do siedzenia

* D. Grosman, *Kto ze mną pobiegnie* (ang. *Someone to Run With*), tłum. L. Kwiatkowski, Warszawa, WAB 2006.

służyły wielkie pufy rozrzucone na kamiennych ławach i na podłodze, powietrze zaś było aż gęste od zapachu owocowych herbat, dymu tytoniowego i palonych trawek. W rogu siedział pochylony nad gitarą chłopak z opadającą na twarz kurtyną długich, ciemnych włosów. Naprzeciwko — także z gitarą — siedziała dziewczyna ogolona na zero, ubrana w bezkształtny, powyciągany T-shirt i luźne szorty do kolan, której — mimo tych heroicznych wysiłków — nie udawało się ukryć olśniewającej urody. Maggie przypatrywała się otaczającym ją ludziom w podartych dżinsach, z włosami zaplecionymi w warkoczyki i, inaczej niż nocnym klubie w Tel Awiwie, poczuła ukłucie autentycznej zazdrości. Ci młodzi wciąż jeszcze mieli wszystko przed sobą.

Z ulgą pomyślała, że ma na sobie rzeczy pożyczone od Orli. Gdyby ci smarkacze ujrzeli ją w jej normalnym ubraniu, pewnie od razu wzięliby ją za funkcjonariuszkę brygady antynarkotykowej czy też innej władzy. Ich wejście nie zwróciło jednak niczyjej uwagi. Goście byli pewnie zbyt zamuleni, żeby się nimi interesować.

Uri wskazał głową narożnik z jedynym na sali komputerem, ale i tak nie było przy nim nikogo. Dotykanie komputera w takim miejscu i o tej porze to dla bywalców pewnie straszny obciach, pomyślała Maggie. Uri podszedł do baru, by u barmanki ze szpilką w nosie zamówić dwie kawy. Maggie włączyła komputer i ściągnęła Second Life.

W okienku logowania wpisała *Lola Hepburn*, ale na ekranie niemal od razu ukazał się komunikat: *Niewłaściwe nazwisko i/lub hasło użytkownika. Spróbuj jeszcze raz.* Widocznie awatar stworzony przez Liz został wymazany z pamięci programu i należało się posłużyć danymi kogoś innego. Tylko kogo? Nie znała nikogo, kto miałby awatara w Second Life. Może powinna zadzwonić do Londynu i obudzić Liz?

I wtedy w jej głowie odezwał się głos Szimona Guttmana, brzmiąc równie wyraźnie jak dwanaście godzin wcześniej w gabinecie Rosena.

Zobaczysz mnie w innym życiu, ale nie w tym, tylko w następnym.

Ależ tak! Powinna wejść do Second Life nie jako Lola Hepburn, piersiasta dziewczyna stworzona przez jej siostrę, ale jako Szimon Guttman. Na pewno o to też chodzi w zaporze chroniącej wyspę. Nie przepuszcza nikogo poza nim samym.

Weszła w opcję wyszukiwania uczestników gry i wpisała jego dane w nadziei, że może choć tym razem zrezygnował z dodatkowych utrudnień.

Niewłaściwe nazwisko i/lub hasło. Spróbuj jeszcze raz.

Wypróbowała różne kombinacje jego imienia i nazwiska: Szi-monG, SGuttman i kilka innych wariantów. W wykazie było paru Guttmanów, ale ich imiona nijak nie pasowały. Nie zadziałało też żadne z jego haseł i program każdorazowo odmawiał jej wejścia.

Uri wrócił z kubkiem parującej kawy i sam jej zapach wystarczył, aby uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Od kilku dni żyła w napięciu i przypominało jej o tym całe ciało. Od ciosu Uriego bolał ją kark, prawe ramię było obolałe po porannej szarpaninie z zamaskowanymi napastnikami.

Uri spojrzał na ekran.

— Spróbuj to nazwisko, którym ojciec podpisywał e-maile do Araba — podsunął.

Maggie skwitowała to bladym uśmiechem. Pomysł był niezły. Wpisała w pole wyszukiwania *Saeb Nastajib* i rozpromieniła się, gdy w odpowiedzi program potwierdził, że istnieje awatar o tym imieniu i nazwisku. Użyła tego samego hasła co poprzednio — Władimir67 — i na ekranie pojawiła się szczupła, naga jak manekin męska postać, którą program stopniowo przyodział.

Nacisnęła przycisk *Mapa*, wpisała *Genewa*, kliknęła na *Teleportację* i po kilku sekundach potrzebnych na załadowanie opcji fruwała już nad błękitem jeziora okolonego zielonymi brzegami. Zaczęła wypatrywać dziwnego kształtu wyspy Guttmana.

Pierwsza próba odnalezienia wyspy zakończyła się niepowodzeniem i Maggie pomyślała z niepokojem, że właściwie należało się tego spodziewać. Skoro jej prześladowcy uznali, że po doprowadzeniu ich do wyspy awatar Liz stał się zbędny, dokładnie to samo mogło dotyczyć całej wyspy. Poznawszy ukryty na niej

sekret, postanowili ją wymazać i w ten sposób definitywnie zatrzeć jedyny trop prowadzący do miejsca ukrycia tabliczki Abrahama.

Zniżyła lot i zaczęła lecieć tuż nad wodą, wpatrując się w komputerowo generowany krajobraz, który widziany z tej wysokości był mocno poszatkowany i utrudniał orientację. W końcu udało jej się jednak odnaleźć w morzu błękitu dziwacznie ukształtowaną zieloną plamę — replikę Wielkiego Izraela umieszczoną przez ojca Uriego w sercu wirtualnej Szwajcarii.

Maggie zbliżyła się do wyspy przygotowana na to, że zaraz znów pojawi się bariera ochronna i komunikat o zakazie wstępu, jednak tym razem nic takiego się nie stało. Czerwona zapora w ogóle się nie pojawiła. Widać była nastawiona tylko na obcych i awatarem Guttmana udało jej się wejść na wyspę równie gładko jak parę godzin wcześniej awatarem Loli odwiedzić dzielnicę czerwonych latarni. Nie poproszono jej nawet o hasło.

— Udało się — powiedziała. Stwierdziła z ulgą, że Guttman nie zainstalował już żadnej dodatkowej pułapki.

— I co teraz? — Uri pochylił się nad ekranem. Kubek z kawą przyjemnie ogrzewał mu dłonie.

— Teraz się rozglądamy.

Nie zajęło im to wiele czasu. Na wyspie znajdował się tylko jeden budynek — prosta, stalowoszkłana kostka. W pustym wnętrzu nie było nic poza krzesłem i biurkiem z wirtualnym komputerem. Posadziwszy awatara Guttmana na krześle, ujrzała, że nad jego głową pojawia się dymek z tekstem.

Udaj się na zachód, młody człowieku, i wejdź do modelowego miasta koło Miszkan. W ciągu pradawnych korytarzy znajdziesz to, co dla ciebie zostawiłem.

— Jak myślisz, co to może znaczyć? — Odwróciła głowę w przeświadczeniu, że zobaczy obok siebie twarz Uriego ze wzrokiem wbitym w ekran. Ale Uriego nie było. Zniknął równie nagle, jak zniknęły wirtualne postacie na ekranie.

Rozdział 49

Khan Tunis, Gaza, piątek, godz. 2.40

Jeszcze nie spał, a właściwie nawet jeszcze się nie położył. Siedział wyprostowany na krześle i obmyślał kolejne warianty możliwych posunięć i kontrposunięć. Robił to ostatnio coraz częściej, a jego umysł ani na chwilę się nie wyłączał, zwłaszcza w nocy. Zwykle rodziło się w nim tyle pomysłów, że ledwie mógł się doczekać porannej modlitwy. Chciał, żeby już było rano, bo to pozwoli mu wyjść i zabrać się do działania.

Dlatego od razu usłyszał zbliżające się kroki. Bez namysłu odbezpieczył pistolet i zamarł w bezruchu. W ciemnościach dojrzał najpierw migotliwy blask świecy, a dopiero potem usłyszał cichy głos.

— Pssst... Salim, to ja, Marwan.

— Wejdz, bracie.

Młodzieniec ostrożnie wślizgnął się do pokoju, w którym Salim Nazzal spędzał noc. Zobaczywszy trzech nastolatków śpiących na rozłożonych materacach, jeszcze bardziej ściszył głos. Nie wiedział ani gdzie są, ani kto ich dziś przyjął pod swój dach.

— Salim, mówią, że coś mają. Że widzieli coś w Jerozolimie.

— Tabliczkę?

— Syna tego syjonisty. I tę Amerykankę.

Salim z powrotem zabezpieczył pistolet. Potrzebował czasu do namysłu.

- Nasi ludzie chcą wiedzieć, czy mają uderzyć.
- Nie mieliśmy tego w planie.
- Ale pamiętaj twój rozkaz. Że zdobycie tabliczki jest najważniejsze.

Jeden z chłopców poruszył się we śnie i Salim odczekał, upewniając się, że chłopak śpi dalej.

— Zawiadam ich — powiedział w końcu — że mają swobodę działania...

— Okay. — Przybysz od razu ruszył w stronę drzwi.

— Marwan, wróć! Powiedz im, że mogą robić, co chcą, ale pod warunkiem, że ich działania doprowadzą do zdobycia tabliczki lub co najmniej ustalą ponad wszelką wątpliwość miejsce jej ukrycia. Zabicie tych dwojga ma sens tylko wtedy, jeśli to będzie cena za zdobycie tabliczki. Rozumiesz?

— Rozumiem, Salim.

— Mówię poważnie, Marwan.

I żeby nie było żadnych wątpliwości, znów odbezpieczył pistolet.

Rozdział 50

Jerozolima, piątek, godz. 5.23

Zaczęła nerwowo rozglądać się po zatopionym w błogostanie tłumie, ale Uri zniknął bez śladu. Wstała od komputera i ruszyła do wyjścia, i dopiero wtedy go zauważyła. Stał w otwartych drzwiach i z niepokojem rozglądał się po ulicy.

— Co się stało, Uri?

— Nie wiem. Zdawało mi się, że coś słyszę. Jakiś samochód. Lepiej stąd wiejmy.

— Dobrze, ale najpierw trzeba rozsupłać...

— Maggie, jeśli nas tu dopadną, mogą nas zabić.

— Powiedz mi tylko, co to może znaczyć.

— Na litość boską, nie mamy na to czasu!...

— Uri, nie wyjdę stąd, póki nie rozwiążesz tej zagadki.

Kręcąc głową, wrócił do komputera, pochylił się nad ekranem i odczytał tekst w dymku nad głową awatara. Powtórzył go na głos, mruknął „Dobra, możemy iść” i ruszył do wyjścia.

Drogę zagroziła mu barmanka ze szpilką w nosie. Powiedziała coś po hebrajsku, wskazując ręką tylne wyjście z lokalu i — co nie uszło uwagi Maggie — obrzucając go przeciągłym spojrzeniem pięknych brązowych oczu. Wyraźnie niewrażliwy na jej wdzięki Uri podziękował, chwycił Maggie za rękę i ruszył w stronę zaplecza.

Byli już na zewnątrz i wchodzili na wąskie, pięciostopniowe schodki prowadzące do poziomu ulicy, gdy Maggie uzmysłowiła

sobie, że zostawiła włączony komputer z awatarem Guttmana i tekstem instrukcji na ekranie. Jeśli rzeczywiście ktoś za nimi chodzi, wystarczy, że wejdzie teraz do środka, zamówi sobie kawkę z mleczkiem i wyjmie notatnik.

Zawróciła i poczuła na ręce żelazny uścisk dłoni Uriego.

— Puść mnie. Muszę tam wrócić.

— Mowy nie ma.

— Zostawiłam włączony komputer. Wszystko zobaczą.

— Trudno. Idziemy. — Nie zwalniając uścisku, postawił nogę na stopniu zdecydowany pociągnąć ją za sobą na ulicę.

— Zostaw mnie! Puszczaj!

Jego dłoń pozostawała zaciśnięta na jej przegubie. Uri wyraźnie nie miał zamiaru puścić, chciał zmusić ją do wyjścia, nie zważając na jej protesty. Zaczęła mu się wrywać jak dziecko, które broni się przed pójściem pierwszy raz do przedszkola, ale tak jak dziecko nie miała szans. Na samą myśl o tym, co chce zrobić, poczuła odrazę, ale uznała, że nie ma innego wyjścia. Musiała najpierw pochylić głowę i ustawić ją pod odpowiednim kątem, ale potem wystarczył już tylko jeden szybki ruch. Z całej siły zatopiła zęby w jego ręce.

Zawył z bólu, choć tylko pierwszy dźwięk zabrzmiał głośno, bo resztę okrzyku zdusił w sobie, ale i tak machinalnie rozwarł dłoń. To wystarczyło i Maggie pognała z powrotem do środka. Wyrzeszczając oczy w powietrzu wypełnionym dymem, próbowała odszukać komputer, przy którym przed chwilą siedziała. Dojrawszy w końcu bladą poświatę ekranu, z przerażeniem stwierdziła, że przy komputerze ktoś siedzi i pisze coś na klawiaturze.

Starając się nie wychodzić z cienia, podeszła na tyle blisko, by dojrzeć twarz osoby przy komputerze. Barmanka ze szpilką w nosie. Maggie odetchnęła z ulgą. Podeszła do dziewczyny i akurat w chwili, gdy ta zaczynała z zachwytem w głosie mówić o tym, że Second Life jest super, sięgnęła do komputera i wyłączyła go.

— Zaraz, co jest...

Ale Maggie już nie było. Wybiegła przez tylne drzwi, wbiegła na schodki i wypadła na pustą uliczkę. Rozejrzała się na boki i w tym momencie czyjaś ręka chwyciła ją za ramię i szarpnęła. Została bezceremonialnie pociągnięta w prawo, potem w lewo, potem w dół wybrukowanej uliczki. W końcu dotarli do głównej ulicy nieopodal zaparkowanego srebrnego mercedesa. Uri otworzył drzwi i oboje wsiedli do samochodu.

— Przysięgam, że jak oni cię nie zabiją, to zrobię to ja.

— Uri, przepraszam. Nie mogłam tego tak zostawić, żeby każdy mógł...

— I co, był tam ktoś?¹

— Nikogo nie widziałam.

Uri pokręcił głową, jakby się dziwił, co robi w towarzystwie takiej wariatki.

— Przepraszam. Naprawdę mi przykro.

— Wcale ci nie jest przykro.

— Dokąd teraz jedziemy?

— Nie wiem. Byle dalej od Jerozolimy i tego wszystkiego. Wrócimy, jak się uspokoi.

Maggie spojrzała w okno. Wschodni horyzont był już z lekka rozjaśniony, zwiastując zbliżający się świt, ale Jerozolima nadal była pogrążona we śnie. Spotkali tylko paru żebraków.

— Co znaczyła ta wiadomość od ojca?

— Nic już nie wiem.

— Nie żartuj. Napisał: *Udaj się na zachód, młody człowieku, i wejdź do modelowego miasta koło Miskan, cokolwiek to znaczy. W ciągu pradawnych korytarzy znajdziesz to, co dla ciebie zostawiłem. Co o tym sądzisz?*

Uri oderwał wzrok od drogi i wlepił w Maggie wściekłe spojrzenie.

— Czy ty wiesz, jak ja go teraz nienawidzę? Tych jego idiotycznych zagadek, do których mnie zmusza. Jakby mu było za mało śmierci mamy.

— Wiem, Uri, ale...

— Nic nie wiesz, Maggie. Nic! Przez niego zginęła moja

matka, a ja walczę o życie. I w imię czego? Powiedz mi, w imię czego? W imię jakiegoś zasranego kawałka biblijnej gliny, który ma udowodnić, że on i jego pieprznięci kompani cały czas mieli rację! Skoro nie mógł mnie za życia przeciągnąć na swoją stronę, to po śmierci zrobił ze mnie cholernego chłopca na posyłki, który tylko biega i spełnia jego polecenia.

— Sądysz, że mógł ją ukryć właśnie tam? Wśród swoich pieprzniętych kompanów? Gdzieś na Zachodnim Brzegu?

— Nie. W jakimś dużo bardziej oczywistym miejscu.

— Chcesz powiedzieć, że już wiesz gdzie?

— Pomyśl sama, o co w tym wszystkim chodzi. Ta tabliczka może być tylko w jednym, jedynym miejscu.

— Masz na myśli Wzgórze Świątynne?

Myśl o tej kryjówce wywołała uśmiech na jej twarzy. To oczywiste, że właśnie tam musiał ukryć tabliczkę. Gdzieś indziej jest miejsce na akt własności domu jak nie w tymże domu.

— To jest właśnie Miszkan. Świątynia, pałac. Nazwa odnosi się do całego rejonu. Tyle że to, co tam schował, nie znajduje się na samym Wzgórze. Żydzi praktycznie nigdy tam nie chodzą. To zbyt święte miejsce. Schował to pod nim.

— Pod Wzgórzem?

— Parę lat temu odkopano tunele biegnące wzdłuż Ściany Zachodniej. Ojciec i paru innych archeologów. Nie pod słynnym fragmentem Ściany, gdzie wszyscy się modlą i wtykają liściki do Boga. Chodzi o ciąg ściany, który znajdował się pod miastem. Ściślej mówiąc, pod Dzielnicą Muzułmańską. No i wtedy wszyscy oszaleli.

— Masz na myśli Palestyńczyków?

— Oczywiście. Zresztą to było do przewidzenia. Arabowie oskarżyli Żydów, że próbują podkopać się pod Kopułę Skały i naruszyć fundamenty. Wiesz, chodzi o tę wielką świątynię ze złotą kopułą.

— Wiem, Uri. Dzięki za wyjaśnienie.

— Pod świętym miejscem, skąd Mahomet wzniósł się do nieba, Żydzi nagle kopią tunel. I jakby tego było mało, ojciec

i jego kompani posuwają się jeszcze dalej. Dochodzą do wniosku, że wpuszczenie turystów do tunelu to za mało. Turystom nie wolno kazać zawracać, a zatem trzeba zrobić wyjście na drugim końcu tunelu. Przekopują się więc na powierzchnię i trafiają w sam środek Dzielnicy Muzułmańskiej.

— Czysta prowokacja.

— Otóż to.

— Więc to miał na myśli, mówiąc o „pradawnych korytarzach... Tunele. „Udaj się na zachód”, czyli do Ściany Zachodniej. Sprytne. Tym „modelowym miastem” jest oczywiście sama Jerozolima. To najświętsze miejsce na ziemi. Ale co...

— O kurwa!

Spojrzała na niego i zobaczyła, że wlepia wzrok w lustro wsteczne. Obejrzawszy się przez ramię, ujrzała samochód jadący za nimi na długich światłach. Wyjechali już z miasta i poruszali się teraz krętą, górską szosą. Po obu stronach drogi widać było formacje skalne z porozrzucanymi gdzieś wrakami rozbitych samochodów. Podczas tamtego wyjazdu — od którego upłynęły już chyba całe wieki — kierowca z konsulatu wyjaśnił jej, że to pamiątki po wojnie z 1948 roku, którą powitano powstanie państwa Izrael.

— Są coraz bliżej, Uri.

— Wiem.

— To co my teraz, do cholery, zrobimy?

— Nie wiem. Daj mi pomyśleć.

Reflektory jadącego za nimi samochodu były prosto w lustro, oślepiając Uriego i wypełniając wnętrze mercedesa żółtawym blaskiem.

Uri przyspieszył, ale jadący za nimi samochód natychmiast zrobił to samo. Maggie spróbowała przysłonić sobie oczy dłonią i coś dojrzeć, jednak światła tak oślepiały, że nie była nawet w stanie rozpoznać marki samochodu.

— Nie możemy gdzieś skręcić?

— Jeśli chcemy się stoczyć w przepaść, to tak, możemy.

— Cholera, Uri! Przecież musimy coś zrobić!

— Wiem.

Chwilę później odezwał się:

— Teraz posłuchaj. Na następnym wirażu jest zatoka widokowa. Można się tam zatrzymać. Jak tylko podjadę, natychmiast otwierasz drzwi i wyskakujesz. Skul się i trzymaj blisko ziemi. Ale musisz to zrobić od razu, jak tylko samochód wjedzie w zatokę. Nie czekaj, aż całkiem stanę. Wyskakuj i przeskakuj barierkę. Zaraz za nią jest całkiem płasko. Jakby taka półka nad stromizną. Okay?

— Tak, ale co...

— O mnie się nie martw. Będę tuż za tobą. Tylko pamiętaj, jak najniżej, jasne?

— Jasne.

— Dobra. Już za chwilę.

Uri lekko przyhamował, Maggie odpięła pas. W samochodzie natychmiast rozległo się denerwujące pobrzękiwanie gongu sygnalizującego niezapięte pasy. Czekwała na jego znak.

Zerkając w lusterko, Uri gwałtownie szarpnął kierownicą i wjechał w zatokę.

— Teraz! Tylko nisko!

Maggie pociągnęła za klamkę, pchnęła drzwi i dała nura na zewnątrz. Zachwiała się na przesuwającym się jeszcze podłożu i nisko pochyłona ruszyła ku barierce. Miała ułamek sekundy na podjęcie kluczowej decyzji: czy w pełni ufa Uriemu? Lęk zrodzony w mroku przedświt ostrzegł, że za barierką może być przepaść i przeskoczenie jej będzie skokiem w otchłań. Ale przecież Uri zapewnił ją, że tam jest płaska półka. Czy powinna mu wierzyć? W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin niemal każdą minutę spędzili razem, oddychając tym samym powietrzem. Znalazła zwłoki jego matki. Opowiedziała mu o Afryce. Parę godzin wcześniej kochali się z namiętnością pełną delikatności i gwałtowności zarazem.

Ale kim tak naprawdę jest Uri? Byłym funkcjonariuszem izraelskiego wywiadu, który potrafił ją zwalić z nóg jednym ciosem, który nie zawahał się ukraść samochodu i który Bóg wie co jeszcze robił w życiu. Jak można zaufać komuś takiemu?

Wszystko to przemknęło jej przez głowę w ciągu nieskończonej długiej sekundy poprzedzającej skok w ciemność. Za barierką był wprawdzie uskok, ale bardzo niewielki — nie większy jak na pół metra. Spadnięcie z niego było jak omsknięcie się o jeden stopień na ciemnych schodach. Dalej było już całkiem płasko i potykając się, odbiegła kawałek od drogi.

Uspokoiła oddech i zaczęła się rozglądać. Była zupełnie sama. Chwilę później od strony drogi usłyszała odgłos strzału. Absolutna pewność, że jego celem był Uri, zmroziła jej krew w żyłach.

Rozdział 51

Jerozolima, piątek, godz. 6.15

Zastygła w bezruchu, bojąc się głośniejszemu odetchnąć. Mięśnie jej drżały, po twarzy przebiegały skurcze. Czuła płynące po policzkach łzy, ale instynkt samozachowawczy nakazywał jej nawet nie drgnąć, tak by ani jeden kamyk nie zachrząścił pod stopami.

Stała skulona z przymkniętymi oczami, wsłuchując się w ciszę, a mijające sekundy zamieniały się w długie minuty. Odtwarzając w myślach huk wystrzału i następujące bezpośrednio po nim dźwięki, miała w pamięci głucho uderzenie i chrzęst kroków na żwirze, potem trzaśnięcie drzwiami i odgłos odjeżdżającego samochodu.

Modliła się w duchu, by usłyszeć coś jeszcze: może jego zbliżające się kroki albo głos wzywający ją na górę. Modlitwę kierowała do Boga Ojca, w którego istnienie właściwie już nie wierzyła. Boga, którego porzuciła w czasach nauki w klasztornej szkole. Zanosila do Niego milczące błaganie: proszę, proszę, uczyni ze mną, cokolwiek chcesz, tylko nie pozwól, żeby on umarł. Boże, pozwól mu żyć!

Jak mogła zgodzić się na to, że wyskoczy pierwsza i go zostawi? Jak mogła być tak naiwna, tak samolubna? Oczywiście nie miał żadnego planu. Chciał tylko uratować jej życie. Miała wyskoczyć z samochodu i uciec, on miał zostać i ściągnąć na siebie ich uwagę. W czasie gdy ich prześladowcy się nim zajmą,

ona rozplynie się w ciemnościach i ocali skórę. Wyobraziła sobie jego martwe, zakrwawione ciało porzucone na drodze i aż się w sobie skuliła. Wiedziała, że nie powinna nawet pisnąć, ale to było od niej silniejsze. Na myśl o mężczyźnie, którego kilka godzin temu tuliła w ramionach, wstrząsnął nią niekontrolowany szloch. To było tak niedawno, a teraz go utraciła.

Mimo wszystko nie odważyła się ruszyć. Instynkt kazał jej tkwić na tej niewidocznej z drogi półce nad zboczem. Bała się zasadzki. Że gdy tylko wyjdzie na drogę, mordercy Uriego rzucą się na nią. Może tylko się jej zdawało, że słyszała odjeżdżający samochód. Była kompletnie rozbita i nie mogła zebrać myśli. Stała z twarzą mokrą od łez, nie mogąc się zdobyć na żaden ruch.

W końcu odważyła się na zrobienie kroku, krzywiąc się ze strachu na myśl o hałasie, jaki może to spowodować. Potem zrobiła następny i kolejne, aż wreszcie kawałek dalej ujrzała oddzieloną barierką drogę. Nic więcej nie było widać.

Zrobiła jeszcze parę kroków i dotarła do krawędzi uskoku. Ktoś czający się na drodze miał ją teraz jak na dłoni, ona zaś nie widziała nic. Drogą nadjechał jakiś biały samochód i Maggie gwałtownie przypadła do ziemi, ale samochód przejechał i znowu zapadła cisza.

Chwilę później wystawiła głowę nad uskok i rozejrzała się. Droga i zatoka widokowa były puste. Nie było żadnych samochodów, w tym także mercedesa, którym przyjechali. Co ważniejsze, nie było także zwłok Uriego.

Nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć. Na pewno czuła ulgę, że jego ciało nie leży na drodze, ale czy to może oznaczać, że jakimś cudem udało mu się uciec? Czy odjeżdżający samochód był mercedesem z Urim za kierownicą?

Rozsądek podpowiadał jej, że to niemożliwe. Gdyby tak było, wróciłby tu po nią. Wyobrażenia podsuwała jej jednak znacznie bardziej prawdopodobny scenariusz: zamaskowani bandyci unoszą za ręce i nogi bezwładne ciało Uriego, wrzucają do bagażnika mercedesa i odjeżdżają.

Wygramoliła się na drogę i przyjrzała nawierzchni w zatoczce.

Widać było ślady opon, ale nic poza tym. Nie była detektywem i nie umiała czytać tego rodzaju śladów.

Stała tyłem do drogi i dopiero teraz zauważyła, że roztacza się stąd wspaniały widok. Poranne niebo było bladoniebieskie, pierwsze promienie słońca zaczynały rozświetlać górzysty, pias-kowożółty krajobraz: wzgórza, tarasowo opadające zbocza, gdzieś tam pojedyncze drzewa oliwkowe. Te twarde, bezpretensjonalne i jakby zawzięte drzewa zawsze kojarzyły się jej z krzepkimi, ogorzałymi od słońca, zawziętymi mężczyznami.

Widok wpłynął na nią krzepiąco i umocnił jej własną zawziętość. Znajdzie tę cholerną tabliczkę, choćby nie wiem co. Zrobi to dla Uriego, dla jego ojca i matki. Ktokolwiek to uczynił jemu i jego rodzicom, musi ponieść karę. Pokrzyżuje im plany, odkryje prawdę, której ujawnienia tak się boją, i ogłosi ją całemu światu. Rozmowy pokojowe wiszą na włosku, jej bardzo zależy na odzyskaniu dobrego imienia, ale obie te sprawy muszą teraz zejść na dalszy plan. Winna to jest Uriemu.

I wtedy do jej uszu dotarł zrazu ledwie słyszalny śpiew. Tak jak poprzednio uderzyło ją smutne, niepokojące piękno melodii. Dźwięk chwilami narastał i Maggie nie miała już wątpliwości, że to nie nagranie, tylko żywe ludzkie głosy niesione gdzieś z dołu przez podmuchy wiatru. Podeszła do krawędzi drogi i zobaczyła, że płaska półka za barierką nie kończy się stromym urwiskiem, tylko przechodzi w dość łagodne zbocze. Wystarczyło zeskoczyć z niewielkiego progu i ruszyć w dół.

Zaczęła nim schodzić wdzięczna Orli za wygodne botki, na które zamieniła swe pantofle, ale i tak nie uchroniło to jej przed przygodami. Wsłuchując się w płynący z dołu śpiew, postawiła nieostrożnie stopę, poślizgnęła się i upadła na zgiętą w kostce nogę; parę kroków dalej pokłuła się boleśnie, gdy łapiąc równowagę, bezmyślnie uchwyciła się gałęzi kolczastego krzewu.

W końcu dotarła do miejsca, gdzie zbocze zupełnie się wy-płaszczyło. To stąd dochodził śpiew. Z bliska brzmiał on dużo mniej melodyjnie i przypominał chóralne śpiewy kibiców na meczu piłkarskim.

Hinei ma'tov u'ma'naim, szewet achim gam jachad...

Ciągnął się przed nią sznur ludzi wciąż demonstrujących pod hasłem „Ręce wokół Jerozolimy” i Maggie pomyślała, że jeszcze żadna polityczna demonstracja nie uradowała jej tak bardzo jak ta. Czuła wdzięczność do uczestników za ich determinację i trwanie przez dzień i noc na posterunku. Mimo iż słońce dopiero co weszło, na płaskim terenie u stóp zbocza stała już spora grupa trzymających się za ręce demonstrantów. Nie wiedziała, dlaczego uznali, że właśnie w tym miejscu przebiega właściwa granica Jerozolimy, ale była im za to szczerze wdzięczna.

— Jesteś dziennikarką? — zaczęła ją kobieta w wielkich okularach trzymająca jedną ręką dłoń nastolatki — pewnie córki — a drugą rękę mężczyzny o wyglądzie rabina. Mężczyzna ten, w wieku Maggie, owinięty był szalem z frędzlami.

— Och, nie — odparła Maggie, zupełnie podświadomie przywołując swój irlandzki akcent. — Jestem przyjezdna.

— A, turystka — zabrzmiało to jak „turrystka”.

— Niezupełnie. Raczej pielgrzym. — Bezczelnie podszyła się pod szkolne zakonnice, ale miała nadzieję, że ujdzie jej to na sucho.

— Ach, chodzi ci o Betlejem? Idziesz z pielgrzymką do Betlejem?

— Nie, nic podobnego.

Rabin przestał śpiewać i włączył się do rozmowy.

— Chce się pani dostać do Betlejem? — Widać było, że chciał okazać pomoc.

— Nie. Jechałam do Jerozolimy. Tylko że padłam ofiarą oszustwa...

— Oszustwa?

— Taksówkarz. Obiecał, że mnie zawiezie, ale wysadził mnie tam, na drodze... — Wskazała ręką w górę zbocza, z którego właśnie zesła. — Obiecał, że mi pokaże piękny widok. Wysiadłam, a on, wyobraźcie sobie, odjechał. Z moim płaszczem i wszystkimi rzeczami.

— Był Żydem?

Pytanie ją zaskoczyło. Co powinna odpowiedzieć? Czy oskarżenie Żyda o perfidne oszustwo nie będzie dla nich kamieniem obrazy? Ale czy jeszcze bardziej obraźliwe nie będzie przyznanie się, że korzystała z usług palestyńskiego kierowcy?

— Nie wiem, nawet go nie spytałam. Wygląda na to, że byłam strasznie naiwna. Ale myślałam, że skoro jestem w Ziemi Świętej, to...

— Madame. — Rabin wyłamał się z łańcucha i stanął przed nią. — Proszę powiedzieć, gdzie się pani chce dostać.

— Och, nie chcę sprawić kłopotu słudze bożemu...

— To żaden kłopot. Mamy tu kierowcę. — Nim zdążyła zaprotestować, mężczyzna już rozmawiał przez walkie-talkie. — Avram? *Bo rega*. — Potem spojrzął na Maggie, przymknął powieki i lekko pokiwał głową: nic się nie martw, wszystko pod kontrolą.

Chwilę później podjechał poobijany i ubłocony SUV. Maggie pomyślała, że świadczy to o doskonałej organizacji demonstrantów. Zapewne dysponują całą flotą takich pojazdów, dzięki czemu mogą patrolować nie tylko łańcuch „Rąk wokół Jerozolimy”, ale także inne antyrządowe demonstracje. Jeśli to, co czytała, było prawdą, większość ich funduszy pochodziła z darów chrześcijańskich ewangelików ze Stanów. Wszystko to oznaczało jednak, że jeśli nawet uda się namówić strony do powrotu do stołu obrad, droga do zawarcia pokoju i tak będzie najeżona ogromnymi przeszkodami.

Podziękowała rabinowi i wsiadła do samochodu. Siedzący za kierownicą napakowany byczek w szortach miał ponure spojrzenie, ciemne włosy i opalone, muskularne ramiona. Spojrzął na nią pytająco.

— Czy mógłby mnie pan zawieźć na Stare Miasto?

Parę minut później jechali już główną szosą — tą samą, którą w drugą stronę tuż przed świtem jechała z Urim — wspinającą się łagodnymi łukami w stronę centrum Jerozolimy. Poczowała nawet ucisk w uszach i musiała przełknąć ślinę.

Ruch był już nieco większy, ale daleko mu było do typowych dla tego rejonu korków.

— Szabas, szabas — rzucił kierowca, wskazując przez przednią szybę sznurek pojazdów jadących z naprzeciwka. Miasto wyludniało się w oczekiwaniu na szabas, który zaczynał się w piątkowy wieczór wraz z zapadnięciem zmroku.

Samochód wjechał w ulicę Hativat Yerushalayim i rozpoczął długi podjazd wzdłuż wysokiego muru okalającego Stare Miasto od zachodu, ale na Maggie nie zrobiło to wrażenia. Siedziała ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie, dumając nad losem, jaki spotkał Uriego. Czy naprawdę świadomie wybrał śmierć po to, by umożliwić jej ucieczkę? Czuła gniotący piersi ciężar i trudny do opanowania strach. Znowu popełniła błąd i znowu zdradziła. Starła się wzniecić w sobie gniew, który pomoże jej zmobilizować się do odnalezienia zabójców Uriego. Ale żeby do nich dotrzeć, musi najpierw znaleźć tę tabliczkę. Czuła, że jest blisko. Że testament Abrahama jest niemal na wyciągnięcie ręki.

Rozdział 52

Jerozolima, piątek, godz. 7.50

Samochód wjechał na teren Starego Miasta przez Bramę Jaffy i od razu zatrzymał się na niewielkim placu. Wokół ciągnęły się rzędy sklepików i straganów z typową tandetą dla turystów, i stało kilka obskurnych schronisk dla wędrowców. Od tego miejsca ruch kołowy był zabroniony i dalej trzeba było iść pieszo. Maggie podziękowała kierowcy, pomachała mu na pożegnanie i zaczęła się rozglądać. Tuż przed nią znajdował się Szwedzki Ośrodek Badań Chrześcijańskich, za nim Chrześcijańskie Centrum Informacji, nieco dalej Dom Noclegowy Kościoła Chrystusowego. Sięgnęła myślą do pokazów slajdów na lekcjach geografii siostry Frances sprzed lat i uzmysłowiła sobie, że te nazwy od dawna tkwiły w jej pamięci. Wszystkie miały charakter misyjny i przeznaczone były do nawracania żydów.

Na wprost wznosił się budynek ze sterczącym na dachu wysokim masztem i licznymi antenami telekomunikacyjnymi. Wyglądał na komendę policji i Maggie odruchowo ruszyła w jego kierunku, chcąc złożyć meldunek o zaginięciu Uriego i powiadomić o strzelaninie. Niech wyślą samochody patrolowe, odnajdą Uriego, przywiozą go do niej...

W połowie drogi zatrzymała się. Musiałaby im opowiedzieć o kradzieży mercedesa, wytłumaczyć, dlaczego w środku nocy

ktos ich ścigał, i wyjaśnić, dlaczego Uri miał na sobie skradziony wcześniej uniform hotelowego boya. Zabrzmiałoby to na tyle dziwacznie, że policja natychmiast zadzwoniłaby do konsulatu, by potwierdzić jej tożsamość. Wyobraziła sobie reakcję Davisa, Millera i Sancheza na wieść o tym, że Maggie Costello spędziła noc z Urim Guttmanem.

Stała zatopiona w myślach. Jeśli Uri żyje, to zapewne potrzebuje pomocy, a ona nie ma się do kogo zwrócić, kto by jej uwierzył i zrozumiał to, co się ostatnio wydarzyło. Jediną nadzieją było szybkie odnalezienie tabliczki. Miała nadzieję, że pozwoli jej ona poznać prawdę — dowiedzieć się, kto stoi za zabójstwami i kto ma Uriego. W jej ręku będzie też stanowić atut przetargowy. Pozostanie już tylko zdecydować, jak najlepiej go wykorzystać.

Rozejrzała się, próbując zorientować się w stronach świata. Od pierwszej chwili atmosfera panująca w Jerozolimie wydała się jej tak gęsta, że aż ją to dusiło, ale tu, na Starym Mieście, to wrażenie było jeszcze intensywniejsze. Jakby emocje wywoływane przez to miasto i jego pogmatwana historia ogniskowały się w obrębie tych masywnych budowli w kolorze piasku. Nic dziwnego, że u wielu Jerozolima wywołuje swoisty obłąd.

Zaczepiła mężczyznę w sandałach nałożonych na skarpetki i z wielkim aparatem fotograficznym na szyi i spytała, jak dojść do Ściany Zachodniej. Wskazał ręką na łukowate przejście na wprost Bramy Jaffy. Pamiętała, że tędy idzie się też na arabski suk.

Schodząc stromą dróżką, którą przez minione setki, a może tysiące lat wygładziły miliony stóp, czuła się, jakby zbiegała w dół zbocza. Bazar wyglądał teraz zupełnie inaczej niż poprzedniej doby. Było jeszcze wcześniej i niemal wszystkie stragany były zasłonięte zielonymi metalowymi żaluzjami. Nie było też tłumu turystów, a jedynym napotkanym człowiekiem był

chłopiec z ręcznym wózkiem. Zbiegał w dół, od czasu do czasu wskakując na wlokącą się za wózkiem oponę, która służyła mu za hamulec.

Przyglądała się szyldom sklepów, które dzięki pustkom na ulicach były teraz dobrze widoczne. Wyobrażała sobie chodzącego po tych uliczkach Guttmana zagląającego do sklepu Sadi Barakat & Synowie, Prawnie Autoryzowani Dealerzy albo do szczyjącego się pompatyczną nazwą Muzeum Orientu, i jak zwykle poszukującego starożytnych skarbów. Jakże piorunujące wrażenie musiało na nim zrobić to, na co się natknął w sklepie Aweidy.

Minęła brodatego mężczyznę w długiej czarnej szacie. Równie dobrze mógł być rabinem jak popem z greckiej lub rosyjskiej cerkwi. W tym mieście wszystko było możliwe. Z bocznej uliczki wyłoniła się grupka arabskich ośmiolatek, którzy otaczali starszą kobietę. Kobieta czytała na głos z modlitewnika i jednocześnie mruczała jakieś zaklęcia, jakby każda chwila niepo-święcona chwale bożej była stracona.

Natknęła się wreszcie na ręcznie namalowany drogowskaz po angielsku ze strzałką w prawo i napisem: *Do Ściany Zachodniej*. Skręciła we wskazanym kierunku i po zejściu ciągiem schodów stanęła przed bardziej oficjalnie wyglądającą tablicą informacyjną z listą punktów po angielsku.

Wchodzisz teraz na plac przed Ścianą Zachodnią.

Osoby z rozrusznikami serca powinny się zgłosić do służby porządkowej...

Wejście na plac zamykała bramka do wykrywania metali obsługiwana przez kilkoro strażników w mundurach izraelskiej policji. Obszukująca Maggie policjantka ani na chwilę nie przestała gawędzić z kolegami i nie patrząc na nią, machnęła ręką, że może iść.

Rozciągał się przed nią ogromny i — mimo wczesnej pory — pełen ludzi plac, który lekko wznosił się ku zbudowanej z wielkich głazów Ścianie Zachodniej. Były tak potężne, że budowla sprawiała wrażenie, jakby nie mogła być dziełem ludzkich rąk. Jeden

z głazów miał wysokość dorosłego człowieka, a ze szpar zamiast chwastów wyrastały drzewka. A jednak ściana była pozostałością po świątyni zbudowanej przez ludzi, i to dwa i pół tysiąca lat temu.

Na placu panował ożywiony ruch. Zaaferowani brodaci mężczyźni przemierzali go w różnych kierunkach, inni stali w miejscu, rozdając tekturowe jarmułki, jeszcze inni uśmiechali się zachęcająco, jak prowadzący kwestę, którzy mają nadzieję, że przechodnie zatrzymają się i wdadzą z nimi w rozmowę. Maggie unikała kontaktu wzrokowego z kimkolwiek i tylko spod oka obserwowała, jak któremuś z naganiaczy udaje się przyszpilić amerykańskiego wyrostka.

— Mmm... Aaron.

— Cześć Aaron. Jestem Levi. *Lej-vii*. Masz gdzie spędzić dzisiejszy szabat?

— Mmm... może. Jeszcze nie wiem.

— A chciałbyś go spędzić przy rodzinnym stole i talerzu domowego rosołu? I trochę *Haven* przy *Kotelul* — Słowo „kotel” zostało wypowiedziane z wyraźnym akcentem na pierwszą sylabę. Kierowca wiozący ją do Jerozolimy też używał tego słowa. Kotel, czyli Ściana.

Podchodząc bliżej, dostrzegła pod Ścianą kilkadziesiąt bezładnie rozrzuconych białych plastikowych krzeseł, na których siedzą modlący się ludzie. Były one zebrane w oddzielne wianuszki i wyglądało to tak, jakby odbywało się tu jednocześnie kilka modlitewnych zgromadzeń. Panujący przy tym rejwach powodował, że plac bardziej kojarzył się jej z ruchliwym holem dworcowym niż jakąkolwiek widzianą wcześniej świątynią.

Zauważyła też, że mniej więcej w czterech piątą długości Ściana przedzielona jest odchodzącym od niej płotkiem, który dzieli plac na dwie nierówne części. Płotek był dość koślawy i równie dobrze mógłby stać na tyłach ogrodu jej ojca. Z jego lewej strony tłum modlących się był znacznie gęstszy i Maggie postanowiła podejść bliżej, by zobaczyć dlaczego.

Okazało się, że lewa część placu przeznaczona jest dla mężczyzn, prawa zaś dla kobiet. Przy wejściu do części żeńskiej umieszczono kolejną tablicę informacyjną po angielsku: *Wejście do świętego miejsca. Należy pamiętać, by wchodzące tu kobiety były odpowiednio skromnie ubrane.* Uwaga Maggie skupiła się jednak na części męskiej. Mimo wczesnej pory tłum modlących się tu mężczyzn był pokaźny. Wielu z nich stało tuż pod Ścianą w biało-czarnych szalach modlitewnych. Niektórzy mieli je zarzucone na głowy, przypominając wychodzących na ring bokserów w szlafrokach z kapturami, inni otulali nimi ramiona. Wszyscy mieli przymknięte oczy i rytmicznie kiwali się w przód i w tył lub na boki. Maggie podeszła jeszcze bliżej.

— Jesteś żydówką? — zaczepiła ją nobliwie wyglądająca matrona. Mówiła z wyraźnym europejskim akcentem, skłaniając przyjaźnie głowę i uśmiechając się.

— Nie, nie jestem. Ale chciałabym dołączyć do tych pobożnych ludzi w modlitwie do Pana. — W głowie zadźwięczał jej głos siostry Oliwii ze szkoły. Kobieta wskazała jej ręką żeńską część placu i odeszła.

Maggie była ciekawa, jak długo pozwolą jej tak stać, nim ktoś się nią zainteresuje i stąd przepędzi. Musi się od kogoś dowiedzieć, gdzie ma iść dalej. Uzbrojony po zęby policjant spytany o drogę do tuneli pod Kotelem wskazał ręką niewielką, łukowatą bramkę, która na tle długiego, znacznie niższego muru biegnącego prostopadle do Ściany Zachodniej wyróżniała się nowością.

Przed wejściem stała kilkudziesięcioosobowa grupka turystów obciążonych butlami wody mineralnej i kamerami wideo. Nie mogła sobie wymarzyć niczego lepszego.

Stanąła na końcu grupy i weszła za innymi do środka. Szła z opuszczoną głową, udając, że majstruje coś przy telefonie komórkowym.

— Dobra, kochani. Gdybyście mogli się teraz uciszyć. Dzięki — zagaił przewodnik. Amerykanin, przed trzydziestką, szczeciasta broda i jasne, błyszczące oczy. Trzykrotnie klasnął

w dłonie i odczekał, aż wszyscy ucichną. — Świetnie. Dzięki. Mam na imię Josh i będę waszym przewodnikiem po tunelach pod Ścianą Zachodnią, które poprowadzą was do starożytnego dziedzictwa narodu żydowskiego. Pilnujcie się mnie, bo już ruszamy.

Pierwszy przystanek zrobił w dużej podziemnej sali o łukowatym sklepieniu i ze ścianami zbudowanymi z dużo ciemniejszego i zimniejszego budulca niż jerozolimski kamień, do którego Maggie zdążyła już przywyknąć. Słychać też było cichy szum wentylatorów, które próbowały usunąć z pomieszczenia wyraźną woń stęchlizny.

— Okay, jesteśmy wszyscy? — Jego głos odbijał się echem od kamiennych ścian. — No, więc tak. Znajdujemy się teraz w pomieszczeniu, które brytyjski badacz i odkrywca, Charles Warren, nazwał Ośłą Stajnią. Może dlatego, że kiedyś do tego celu służyło, a może dlatego, że tylko tak wygląda.

Wszyscy członkowie grupy, którzy akurat nie byli zajęci fotografowaniem i telefonowaniem, zachichotali posłusznie. Maggie całą uwagę poświęcała uważnemu rozglądaniu się po ścianach w poszukiwaniu kryjówki, która mogła posłużyć Gutt-manowi do ukrycia skarbu.

— Daje mi to okazję do powiedzenia paru słów o miejscu, w którym się znajdujemy. Jesteśmy teraz bardzo blisko tak zwanego Wzgórza Świątynnego. Jak wiadomo, jest to rzeczywiście bardzo specjalne miejsce. Zgodnie z naszą tradycją dokładnie tam znajdował się Kamień Węgielny, na którym pięć tysięcy siedemset lat temu dosłownie posadowiono nasz świat. Wzgórze to znane jest również pod nazwą góry Moria, na której Wszech mogący, *Haszem*, polecił Abrahamowi złożyć w ofierze syna Izaaka. To także w tym miejscu Jakub zatrzymał się, by odpocząć, i w czasie drzemki zobaczył anioły wędrujące między niebem a ziemią, i to tu zapowiedział wzniesienie Domu Bożego. I rzeczywiście wiele lat później zbudowano tu świątynię. Kotel, który widzieliście na górze, to pozostałość po jej zachodniej ścianie. Spytacie, której świątyni? Słusznie, bo były dwie. Pierwszą

zbudował król Salomon blisko trzy tysiące lat temu, drugą Ezra jakieś pięćset lat później. Po zburzeniu drugiej świątyni przez Rzymian w roku siedemdziesiątym, został po niej tylko jeden fragment w postaci Ściany Zachodniej...

Maggie trzymała się z tyłu grupy, nie przestając śledzić wzrokiem wszystkich szpar i pęknięć w biało-szarych kamiennych murach. *W ciągu pradawnych korytarzy znajdziesz to, co dla ciebie zostawiłem*, powiedział Guttman. Czy mógł mieć na myśli to pomieszczenie?

— ...większość zwiedzających nie zdaje sobie sprawy, że ta potężna ściana na górze, pod którą wszyscy się modlą, to zaledwie część dawnej Ściany Zachodniej. Mury świątyni ciągnęły się dalej na północ i miały czterokrotnie większą długość od zachowanego fragmentu. Niestety, z biegiem lat mieszkańcy zaczęli je obudowywać z obu stron, a nawet od góry, dokładając do nich kolejne domostwa, fundamenty i konstrukcje wzmacniające, tak że mur praktycznie zniknął. Na szczęście udało się odkopać tunel biegnący na całej długości pierwotnego muru świątyni i dzięki temu możemy na własne oczy oglądać kolejne warstwy historii i podziwiać piękno samej ściany... skarbu kultury żydowskiej, który przez co najmniej dwa tysiące lat był ukryty przed ludzkim wzrokiem.

Pośród głośnych ochów i achów mężczyzn w szortach i kobiet obwiązanych w pasie swetrami Maggie nie przestawała wodzić wzrokiem po ścianach jak reflektorem. Gdzie może być ukryta mała tabliczka Abrahama? Patrzyła też pod nogi w nadziei, że może dojrzy gdzieś klapę zamykającą wejście do znajdującego się głębiej lochu.

— Okay. Udamy się teraz w stronę tamtego światełka i przejdziemy Tajemnym Przejściem.

Jakiś wyrostek zahuczał posepnie jak na filmie o upiorach, jego siostra zanuciła temat ze *Strefy mroku*.

Grupa ruszyła gęsiego długim korytarzem z niskim łukowatym sklepieniem. Nie docierało tu światło dzienne, mrok rozjaśniały jedynie wpuszczone w ziemię lampy elektryczne. Maggie czuła

dreszcze spowodowane zarówno zmęczeniem i przeżyciami ostatniej nocy, jak i panującym tu chłodem.

Znów dał się słyszeć głos przewodnika, który, chcąc przekrzyczeć odgłos kroków, mówił teraz podniesionym głosem. Jego słowa odbijały się echem od kamiennych ścian i idąca na końcu grupy Maggie musiała dobrze wyęźać słuch, by cokolwiek zrozumieć.

— Legenda mówi, że z tego Tajemnego Przejścia korzystał król Dawid, gdy chciał niezauważony przedostać się ze swego pałacu na Wzgórze Świątynne...

Maggie przebiegła wzrokiem ściany i sklepienie tunelu. Nie-możliwe, żeby Guttman coś tu ukrył. Gdzie mógłby to schować? Chyba że za któryś z kamiennych bloków. Myśl ta mocno ją zaniepokoiła. Bo jeśli obluzował któryś ze starożytnych kamieni i wsadził za niego tabliczkę, to nie miała szans. Nie wiedziałaby nawet, od czego zacząć.

Przewodnik odpowiadał na pytanie któregoś ze zwiedzających.

— Właśnie to mnie w tym miejscu najbardziej urzeka. Świadomość, że dotykam tych samych kamieni i oddycham tym samym powietrzem, których dotykali i którym oddychali nasi przodkowie. Wchodząc głębiej, docieramy do samych korzeni narodu żydowskiego. — Jego oczy lśniły jak dwa żarzące się ogniki. — Możemy dotknąć naszych dusz. — Na moment zawiesił głos i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Okay, idziemy dalej.

Maggie zaczynała się denerwować. Oświetlenie było zbyt skąpe, a postoje robione przez przewodnika zbyt krótkie, by mogła dobrze się rozejrzeć. Pamiętała urąganie Uriego pod adresem ojca za jego skłonność do wymyślania zagadek. Dotarcie do tego miejsca mogło być sukcesem, ale co z tego, skoro i tak nie miała szansy żeby znaleźć tę tabliczkę.

Poczuła na sobie czyjś wzrok i uniósłszy głowę, dostrzegła, że jeden z mężczyzn szybko odwraca spojrzenie. Czyżby coś mruzczała pod nosem? Była tak zmęczona, że myślenie na głos nawet by jej specjalnie nie dziwiło, ale zarumieniła się.

Przewodnik zebrał grupę wokół wpuszczonej w podłogę szklanej płyty, która świadczyła, że znaleźli się na mostku przerzuconym nad głębokim wykopem w ziemi.

— Mostek jest dużo młodszy, bo ma tylko tysiąc trzysta lat — powiedział z uśmiechem. — Został zbudowany dużo później przez muzułmanów.

Ruszyli dalej i weszli w kolejny korytarz z łukowatym sklepieniem. Woń stęchlizny była tu jeszcze silniejsza i przewodnik wyjaśnił, że przechodzą teraz przez ciąg dawnych zbiorników wody, nad którymi stoją pobudowane później domy.

— Spójrzcie na te otwory w sklepieniu — polecił i wszyscy zadarli głowy w górę. — Spuszczano przez nie wiadra i wciągano je z powrotem wypełnione wodą.

Maggie prawie go nie słuchała. Jej uwagę zwróciły zupełnie tu niepasujące dwie podświetlone tablice z nazwiskami zagranicznych darczyńców — rodzin Schottensteinów i Zucker-manów — których hojność umożliwiła odkopanie tuneli. Przebiegła wzrokiem listę nazwisk w poszukiwaniu jakiegoś Gutt-mana, Ehuda Ramona, Władimira czy Żabotinskiego — czegokolwiek, co mogłoby stanowić poszlakę. Podziemny labirynt był tak ogromny i składał się z tylu przejść i pomieszczeń, że bez dodatkowej wskazówki nie miała szans, by cokolwiek tu znaleźć. Zaczynała podzielać rozdrażnienie Uriego: czy stary Guttman nie mógł trochę mniej tego wszystkiego zagmatwać?

Przewodnik zatrzymał grupę w miejscu, które nazwał Łukiem Wilsona. Był to niewielki otwór w ścianie, przez który mogli rzucić okiem na potężne wydłużone głazy Ściany Zachodniej, dokładnie takie same, jakie można było oglądać na górze. Większość tego widoku przesłaniały im jednak kobiety zgromadzone w specjalnie wyznaczonym dla nich miejscu modlitwy, zatłoczonym nawet o tej porze.

Maggie uznała, że pora się wycofać. Trzymając się grupy, nigdy nie odnajdzie tej tabliczki. Musi rozpocząć właściwe poszukiwania, a to znaczy, że musi się od nich odłączyć. Została

nieważ z tyłu i upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, skręciła w jedno z bocznych przejść w ścianie.

Przejście prowadziło do wyraźnie nie tak dawno zbudowanych metalowych schodków, na które od razu zwróciła uwagę. Zaczęła ostrożnie schodzić w dół, pilnując się, by nie stukać obcasami. Schody skończyły się w pobliżu głębokiej prostokątnej jamy, w której po obu stronach znajdowały się schodki wiodące na dno. Przypominało to trochę basen pływakki.

Udaj się na zachód, młody człowieku, i wejdź do modelowego miasta koło Miszkan. W ciągu pradawnych korytarzy znajdziesz to, co dla ciebie zostawiłem.

Uznała, że w tym miejscu nie ma nic, co mogłoby się kojarzyć ze wskazówką Guttmana, i ruszyła dalej. Po chwili dotarła do obszerniejszego pomieszczenia, w którym pracowała grupa mężczyzn w żółtych kaskach ochronnych — bez cienia wątpliwości Arabów. Przypomniała sobie sarkastyczny komentarz zawarty w materiałach czytanych w samolocie, że zarówno osiedla osadników żydowskich na Zachodnim Brzegu, jak i znienawidzony przez Arabów mur oddzielający Izrael od Autonomii Palestyńskiej były niemal w całości wznoszone rękami arabskich robotników.

Miała przed sobą niedawno odsłonięty fragment Ściany Zachodniej. Przebiegła wzrokiem treść tablicy informacyjnej: zbudowany z pięciotonowych, równo przyciętych bloków ze sfazowanymi krawędziami i gładkimi powierzchniami o długości większej od autobusu, waży pięćset siedemdziesiąt ton, czyli więcej niż boeing 747 z kompletem pasażerów i bagaży. Boże, czym jeszcze ją tu zaskoczą?

Poszukała wzrokiem wyjścia. Było tylko jedno i prowadziło wąskim przejściem wzdłuż ściany, na której widać było ślad po wielkim łukowatym otworze teraz wypełnionym gruzem i obmurowanym ceglami. Obok widniał napis: *Brama Warrena*.

A więc jednak Guttman nie bawił się z nimi w kotka i myszkę. Słowo „warren” w jego wskazówce oboje z Urim uznali za rzeczownik pospolity, oznaczający „korytarz”, co skierowało ich podejrzenia ku starym tunelom. Dopiero teraz okazało się, że stary wykazał się większym sprytem i słowo to oznaczało imię własne Warren. Maggie była na miejscu.

Powiodła wzrokiem po zamurowanej bramie. Liczyła, że kryjówka sama rzuci jej się w oczy, ale miała przed sobą pozbawioną szpar i pęknięć gładką ścianę z kamiennych bloków i cegieł. Zaczęła je opukiwać w nadziei, że natrafi na luźny fragment, który da się łatwo wyjąć, ale bez rezultatu.

Czując ogarniające ją zniechęcenie, postanowiła systematycznie sprawdzić każdy fragment muru. Uklękała i, zaczynając od dołu, zabrała się do opukiwania i obmacywania pierwszej warstwy, boleśnie raniąc sobie opuszki palców na chropowatej powierzchni. Ściana swą solidnością przypominała litą skałę. Coraz bardziej zdenerwowana przeniosła dłoń na drugą warstwę kamieni, potem na następną. Wciąż nic.

Podniosła się z kolan i przyjrzała kamieniom po drugiej stronie przejścia. A może kryjówka jest tam? Omiotła ścianę spojrzeniem. Gdzież on to, na litość boską, schował?

I wtedy go dostrzegła.

Ten sam mężczyzna, na którego zwróciła uwagę w grupie zwiedzających. Widać również odłączył się od wycieczki i teraz stał na końcu wąskiego przejścia, zasłaniając sobą wylot. Jego widok nie tyle ją wystraszył, ile zaintrygował.

Gdzieś już tę twarz widziała, tylko gdzie? Miała umysł tak otepiaty ze zmęczenia, że grzebanie w pamięci przypominało brodenie w głębokiej wodzie. Na pewno niedawno, to na pewno. W ciągu kilku ostatnich dni. W hotelu? W konsulacie? Nie. Już wiedziała. Zupełnie gdzie indziej.

Widziała go w nocnym klubie w Tel Awiwie, który odwiedzili z Urim, szukając syna Barucha Kiszona. Zauważyła go przy wejściu, wkrótce po przyjsciu. Niewiele brakowało, żeby się do niego porozumiewawczo uśmiechnęła, bo był jak ona po trzy-

dziesięć i jak ona wyglądał na intruza w tym kipiącym młodością i urodą klubie. Okazuje się, że nie znalazł się tam przypadkowo. Przyszedł tam za nią tak jak teraz.

Nie miała wątpliwości, co tu robi. Zamierzał jej odebrać to, co tu znajdzie, i przekazać komuś dalej. Tym, którzy zabili matkę Uriego, Kiszona, Aweidę, a może też samego Uriego. I którzy zapewne zrobią z nią to samo, właśnie tutaj w tych lochach pełnych starodawnych tajemnic.

Rozdział 53

Jerozolima, piątek, godz. 8.21

Jej nogi same podjęły decyzję. Zerwała się z klęczek i ruszyła przed siebie. Drogę zagroziła jej grupka kilkunastu kobiet, które stały w przejściu z modlitewnikami w dłoniach. Wszystkie miały głowy przykryte kapeluszami lub włóczkowymi siatkami, na ich twarzach widać było wyraz uniesienia. Przepychając się, Maggie zauważyła, że w tym miejscu ściana ocieka wodą, a stojące niemal zbierają ją wargami. Dosłyszała też, jak jedna z kobiet stojących nieco na uboczu mówi do drugiej:

— Zaraz za tą ścianą jest ten Kamień Węgielny. Słyszałaś, co mówią? Że to łzy Boga.

Maggie odsunęła kobiety ręką i przy okazji rzuciła spojrzenie do tyłu. Jej prześladowca nie był już sam. Dołączył do niego drugi mężczyzna z kamerą wideo na szyi. Obaj byli coraz bliżej. Maggie przyspieszyła kroku.

Przejście zamieniło się teraz w długi ciasny tunel. Skuliła się i zaczęła biec. Oglądając się, widziała, że wprawdzie obaj mężczyźni z trudem mieszczą się w wąskim korytarzu, ale wciąż się do niej zbliżają. Gwałtownie szarpnęła się do przodu, nie zauważyła wystającej ze sklepienia metalowej krokwi i walnęła w nią czołem. Lekko zamroczona zatoczyła się w bok, ściana jakby się przed nią rozstąpiła, ukazując po lewej niszę ze stojącą w niej pomarszczoną kobietą w czerni z modlitewnikiem w dłoniach.

Mimo lekkiego zawrotu w głowie wyczuła, że podłoże pod jej nogami uległo zmianie. Spojrzała w dół i stwierdziła, że stoi na tafli szkła, przez które w dole widać jakąś komorę czy zbiornik. Jej prześladowcy byli już nie więcej jak dziesięć metrów za nią i Maggie znów ruszyła przed siebie.

Tunel raptownie rozszerzył się w komorę na tyle wysoką, że mogła swobodnie się wyprostować. Rozpaczliwie rozejrzała się na boki w nadziei, że znajdzie jakiś zaułek, ale tak jak poprzednio z komory prowadziło tylko jedno wyjście. Nie pozostawało jej nic innego, jak biec do przodu w nadziei, że tunel wyprowadzi ją w końcu na powierzchnię. Tylko jak długo to jeszcze potrwa?

Ciężko dysząc, dobiegła do miejsca sprawiającego wrażenie zasypanego przed wiekami kawałka fragmentu rzymskiego targu. Widać było dwie kolumny zwieńczone portykiem, obok, jedna na drugiej, leżały dwie kwadratowe kamienne płyty. Całość wyglądała tak, jakby budowlańcy sprzed dwóch tysięcy lat dopiero co porzucili miejsce pracy i odeszli. Za plecami słyszała ciężki tupot zbliżających się nóg. Znów rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś bocznego wyjścia i znów dostrzegła tylko jedno na wprost siebie.

Przejście znowu się zwęziło i jednocześnie skrzyło pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo, po raz pierwszy oddalając się od Ściany Zachodniej, której cały czas się do tej pory trzymało. Ściany tunelu z równo ułożonych kamiennych bloków ustąpiły miejsca czemuś w rodzaju rumowiska skalnego z obu stron tworzącego głęboki podziemny wąwóz. Jego poszarpane ściany były wilgotne i zbudowane z wyraźnie odznaczających się kolorowych warstw, przypominając nieco przekrojony tort.

— Stać! — usłyszała za plecami głos jednego z prześladowców.

Spojrzała przez ramię i odniosła wrażenie, że drugi z mężczyzn — ten z kamerą — mierzy do niej z broni. Krzyknęła i odskoczyła, choć i tak załomy dzielącego ich rumowiska uniemożliwiły dokładne wycelowanie.

Dobiegła wreszcie do wąskich metalowych schodków prowa-

dzących w górę. Niemal na nie wpadła, z trudem utrzymała równowagę i zaczęła się wspinać, rżąc z wysiłku. Schodki skończyły się tak wąskim przejściem, że aby się precyzyjnie, musiała obrócić się bokiem. Z dołu dobiegł ją pisk kobiety, która zapewne zauważyła wyciągniętą broń.

Znowu znalazła się w obszernym pomieszczeniu wyglądającym na starożytny loch piwniczny. Oswoivszy wzrok z panującym mrokiem, stwierdziła, że to kolejny zbiornik wody — tyle że ten był pełen gęstej, zatęchłej cieczy. Chwilę stała bez ruchu i zmaltretowanymi płucami łapczywie ciągnęła tlen z cuchnącego, wilgotnego powietrza. Skąd się wzięła ta woda? Musi tu dopływać z zewnątrz, więc pewnie pod jej powierzchnią istnieje jakiś otwór. Przez chwilę rozważała nawet, czy do niej nie wskoczyć. Zawsze była dobrą pływaczką, więc gdyby odpowiednio długo wstrzymała oddech...

Tuż za sobą usłyszała odgłos kroków i bez namysłu ruszyła w stronę widocznego w ścianie otworu. Wpadła w kolejny korytarz i z ogromną ulgą stwierdziła, że jego koniec rozświetla poświata dziennego światła. Ruszyła pędem przed siebie, przedostała się przez kołowrotek zamykający wejście i wyskoczyła na zewnątrz.

Łapczywie chwytając powietrze i mrużąc oczy w słonecznym blasku, stwierdziła, że jest na wąskiej uliczce pełnej ludzi. Tablica na budynku po drugiej stronie informowała, że mieszczą się w nim *Sanktuaria Biczowania i Skazania*. Z budynku wyłonił się mnich w brązowym habicie przewiązanym w pasie sznurem i ruszył w górę uliczki. Znalazła się na Via Dolorosa, drodze, którą przebył Chrystus przed ukrzyżowaniem.

Maggie z chęcią oddałaby się chrześcijańskiej zadumie nad tym miejscem, nie było jej to jednak dane. Przy wyjściu czekało na nią dwóch mężczyzn w kominiarkach, którzy na jej widok zrobili krok do przodu i bez wysiłku, niemal łagodnie wzięli ją pod rękę.

Rozdział 54

Jerozolima, piątek, godz. 8.32

Dłoni w rękawiczkach trzymali jej ręce w tak żelaznym uścisku, jakby zamiast mięśni i krwi mieli w środku stal. Syknęła, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo inne ręce wepchnęły jej do ust zwinięty kawał szmaty. Przez cały ten czas napastnicy nie wypowiedzieli ani jednego słowa.

Pociągnęli ją z powrotem w stronę wyjścia z tunelu, z dala od ludzkich spojrzeń.

— Czego chcecie? Kim jesteście? — wymamrotała. Wiedziała, że jej słowa skutecznie tłumi knebel, ale i tak dodała: — I co zrobiliście z Urim?

Dwóch stojących przed nią napastników zrobiło krok do przodu, jakby przewidując jej reakcję i chcąc jej zapobiec. Nie pomylili się. Instynktownie szarpnęła się do przodu i spróbowała uwolnić ręce, okazało się jednak, że zdążyli je już obwiązać plastikową taśmą, jaką zwykle okleja się kartony z różnymi urządzeniami i która jest tak mocna, że daje się przeciąć tylko ostrym nożem. Próbowwała krzyżeć, ale zaczęła się dławić wepchniętym w usta kneblem. Jej zdyszonym płucom jeszcze bardziej zabrakło przez to powietrza, zaczęła więc łapczywie wciągać powietrze przez nos. Czuła, jak jej wali serce, choć pewnie bardziej ze strachu niż zmęczenia.

Dwaj stojący z przodu mężczyźni podeszli bliżej, dzięki czemu mogła się przyjrzeć niezastłoniętym fragmentom ich twarzy.

Pozbawione wyrazu oczy stojącego po lewej, wyższego napastnika, były ciemne i szkliste jak zamarznięty staw i widać było, że walcząca o oddech kobieta nie robi na nim żadnego wrażenia. Przeniosła wzrok na jego partnera w nadziei, że może w nim dojrzy ślad człowieczeństwa, ale to, co zobaczyła, tylko zmroziło w niej krew. Jego zielone oczy nie były pozbawione wyrazu. Widać po nich było, że ich właściciel świetnie się bawi.

To właśnie on wyciągnął ku niej rękę z kawałkiem czarnej tkaniny i, obejmując ją za głowę, na tyle zbliżył twarz, że dotarła do niej przerażająca prawda. Był to ten sam człowiek, który dobę wcześniej napadł na nią w staromiejskim zaułku kilkaset metrów stąd. Opaska zasłoniła jej oczy i świat pogrążył się w ciemnościach. Maggie poczuła się jak skazaniec tuż przed egzekucją.

Ktoś ją pchnął, a ona bezwładnie zatoczyła się i gdyby ktoś inny jej nie podtrzymał, na pewno runęłaby na ziemię. Ruszyła do przodu, chwielejąc się na nogach jak pijana.

Po upływie kilku minut — choć mogło to trwać i krócej, i dłużej — akustyka wokół zmieniła się. Znikło dudniące echo kroków odbite od kamiennych ścian, chłodna wilgoć ustąpiła świeższemu powiewowi, woń stęchlizny nie była już tak wyraźna. Czy tylko to sobie wmawiała, czy też rzeczywiście wyczuwała zmianę intensywności światła?

Ktoś ją przytrzymał i stanęli w miejscu. Z oddali dochodziły jakieś odgłosy. Czy zobaczy jeszcze kiedyś świat na zewnątrz tych przeklętych tuneli?

Usłyszała prowadzoną szeptem rozmowę i nastawiła uszu, chcąc rozpoznać język, jednak rozmawiający stali zbyt daleko. Potem znów ktoś ją popchnął i ruszyła do przodu, potykając się na nierównościach. Po chwili nie miała już wątpliwości. Słysząc było odgłosy rozmów, kroków i ruchu ulicznego. Raptownie zmieniła się barwa czerni pod opaską, jakby ktoś rozświetlił nocne niebo fajerwerkami. Odebrała też nieomylny sygnał w postaci uczucia ciepła na skórze. Wyprowadzono ją na nasłonecznioną ulicę.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale i tak poczuła ulgę. Przynajmniej nie zabiją jej w tych tunelach, a jej ciało nie będzie się rozkładać przy odgłosach psalmów mamrotanych przez rozmodlone kobiety.

Jednak chwila optymizmu trwała krótko. Ta sama stalowa dłoń, która wcześniej krępowała jej ręce, teraz chwyciła ją za kark i pchnęła w dół. Jej prześladowca cisnął na nią z taką siłą, jakby chciał ją złamać na pół. Instynktownie stawiała opór i naprężyła mięśnie pleców. Czuła, jak rozeźlony napastnik jeszcze bardziej zwiększa nacisk i chwilę później usłyszała rzucone wściekłym szeptem tylko jedno słowo: „samochód”.

A więc o to chodzi! Chcieli ją wtłoczyć na tylne siedzenie samochodu. Przestała walczyć, poczuła jednak coś na kształt dumy, że zdobyła się na opór. Nic właściwie nie zwojowała, ale i tak czuła, że coś w ten sposób osiągnęła. Choćby to, że wymusiła na napastnikach przerwanie milczenia, jakie od pierwszej chwili konsekwentnie utrzymywali. Nie chcieli przy niej mówić, a ona ich do tego zmusiła. To prawda, że padło tylko jedno słowo, ale na początek dobre i to. Było to z jej strony swoistym początkiem negocjacji. Musieli ustąpić, by zapewnić sobie jej współpracę. Jest wprawdzie związana i zakneblowana, ale jej zdaniem pierwsza runda w negocjacjach należała do niej.

Wyliczyła, że w samochodzie jest ich co najmniej pięcioro. Czuła obecność dwóch osób, które usiadły z nią z tyłu i wzięły między siebie, prawym kolaniem wyczuła wybrzuszenie fotela dla pasażera. Wszyscy nadal zachowywali grobowe milczenie, ale gdy już siedziała w samochodzie, do jej uszu dotarły strzępy rozmowy. Nie wiedziała jednak, czy rozmawiają przypadkowi przechodnie, czy też inni członkowie bandy, która urządziła na nią polowanie w podziemiach. Nie miała natomiast wątpliwości co do języka. Rozmawiano po arabsku.

Wyliczyła, że jazda nie trwała dłużej niż dziesięć minut, choć znów nie była tego pewna i mogło to być zarówno krócej, jak i dużo dłużej. Nie tylko nie mogła spojrzeć na zegarek na ręce

lub w samochodzie, ale przez to zasłonięcie oczu zupełnie straciła poczucie czasu.

Brzydziła ją bezpośrednia bliskość napastników, wśród których — była tego pewna — był też ten łajdak, który obmacywał ją wczoraj rano. Siedziała skulona na tylnym siedzeniu i chcąc nie chcąc, stykała się z ich nogami, dotykała kolanami ich kolan. Może właśnie jego kolan. Tak bardzo chciałyby ich od siebie odepchnąć, ale miała skrępowane ręce i była zupełnie bezbronna. Przez całe jej ciało przebiegały dreszcze.

Poczuła wreszcie, że samochód zwalnia i podskakuje, jakby pokonywał garb na jezdni. Usłyszała szum szyby opuszczanej po stronie kierowcy, która chwilę później znów podjechała w górę. Może kierowca musiał się legitymować na jakimś punkcie kontrolnym. Czyżby zawiódł ją słuch z tym arabskim? A może ma do czynienia z komandem izraelskim, które przekracza punkt kontrolny i wiezie ją w rejon Zachodniego Brzegu? Czy tam zrobią z nią to, czego nie odważyli się zrobić na terenie właściwego Izraela?

Dochodzące z zewnątrz dźwięki znów się zmieniły. Zjechali w dół po pochylni i samochód zdawał się teraz poruszać w pomieszczeniu zamkniętym. Może przywieźli ją na jakiś podziemny parking. Przed oczami stanął jej przerażający obraz. Dwa ciała leżące w kącie podziemnego parkingu, prawie niedostrzegalne w mroku ledwie rozświetlanym upiornym, zimnym światłem jarzeniówek. Oba martwe, z których jedno było kiedyś nią, drugie Urim.

Samochód zatrzymał się i silnik został wyłączony. Usłyszała otwierające się tylne drzwi i poczuła, jak stalowa dłoń raz jeszcze chwytając za kark i wyciąga z samochodu. Tym razem nawet nie próbowała stawiać oporu. Sama też chciała jak najszybciej wydostać się z ciasnego, dusznego wnętrza.

Jeśli to był podziemny parking, to długo na nim nie zabawili. Wyglądało na to, że samochód pozostawiono tuż obok jakichś drzwi, bo po paru krokach znalazła się we wnętrzu i trzymający ją za prawe ramię napastnik poprowadził ją schodami w górę.

Potem przeszli jeszcze kilka kroków i Maggie usłyszała zamykające się za nią drzwi.

— Okay.

To, że ktoś się głośno odezwał, tak ją zaskoczyło, że niemal nie zwróciła uwagi na sam głos. Wiedziała na pewno, że należy do mężczyzny, ale właściwie nic ponadto. Co to był za akcent? Wydał jej się akcentem izraelskim i odtworzenie w głowie usłyszanego słowa tylko tę diagnozę potwierdziło. Potem jednak przymierzyła je do akcentu Palestyńczyków i uznała, że także do niego pasuje. To krótkie słowo mógł właściwie wypowiedzieć ktokolwiek mówiący z jakimkolwiek akcentem.

Zaraz potem zrozumiała, czego to słowo dotyczyło. Było wyrażeniem zgody na podjęcie działań. Poczula kilka obmacujących ją dłoni. Niektóre gładziły ją po nogach, inne niemal pieścizotliwie błędziły po plecach. To ją zupełnie zaskoczyło i krzyknęła, jednak zamiast krzyku dobyła z siebie tylko ciche, stłumione przez knebel sapnięcie. Znów zaczęła się dławić.

Dłonie sunęły metodycznie, obmacując jej nogi i ramiona, zupełnie jak podczas osobistej rewizji na lotnisku. Ależ tak! Oni ją właśnie rewidują! Szukają ukrytej przy niej tabliczki. Poczula ręce sięgające do kieszeni spodni i wyciągające komórkę i niewielki portfel. Znajdą w nim jej dokumenty. Tylko raz zdarzyło się, że osobista rewizja wprawiła ją w podobne przerażenie. Było to w Kongu, na drogowym punkcie kontrolnym. Wtedy najbardziej bała się tego, że znajdą jej dokumenty i dowiedzą się, kim jest. Status dyplomatyczny uczyniłby z niej na tyle cenną zdobycz, by nie wypuścić jej z rąk. Ale tym razem nie miała powodu bać się, że się czegoś dowiedzą. Ci ludzie wiedzieli o niej wszystko.

Nastąpiła przerwa, podczas której odbyły się jakieś ciche narady. Może przekonali się, że jest czysta, i zastanawiają się teraz, czy ją wypuścić. Może za chwilę cały ten koszmar...

Chwilę później dłonie powróciły, jednak już nie po to, by ją obmacywać. Tym razem ich ruchy były zdecydowane i zmierzały wprost do konkretnego celu.

Zaczęły od boków, z którymi szybko się uporały. Potem powędrowały w górę i, zwolniwszy kłamrę paska, rozpięły guzik dżinsów, rozsunęły suwak i pociągnęły spodnie w dół. Znow spróbowała krzyknąć i znow wydała z siebie tylko charczący jęk.

Inna para rąk zajęła się w tym czasie górą. Próbowała jej ściągnąć T-shirt, ale na przeszkodzie stanęły skrępowane dłonie. Po chwili wahania poczuła, że ktoś rozcina jej taśmę na przegubach, ale nie po to, by uwolnić ręce. Obie znalazły się w żelaznym uścisku dłoni napastników, którzy, kolejno je puszczając, umożliwili ściągnięcie koszulki.

Została teraz w samej bieliźnie. Chciałaby oczywiście być duża i silna i móc pokonać tych łajdaków siłą mięśni, ale jednocześnie poczuła narastającą chęć skulenia się w sobie i schowania w mysiej dziurze. Stała przed nimi niemal naga i niewidoma, czując się tak bezbronna jak nigdy dotąd.

Dłonie znow zaczęły sunąć po jej ciele. Obmacały szyję ukrytą pod włosami i pachy, przeczesały włosy na głowie i, nie znajdując niczego, zamarły w bezruchu.

— Okay — powiedział ten sam głos co poprzednio.

Najpierw zdjęli jej biustonosz. Nie zerwali go z niej, tylko delikatnie rozpięli, jakby parodiując czulego kochanka. Maggie czuła, że wszystko się w niej wywraca. Później usłyszała jednak, jak któryś drze biustonosz, zapewne w nadziei, że znajdzie w nim jakąś skrytkę.

Na koniec przystąpili do zdjęcia ostatniego fragmentu ubioru — majtek, które nawet nie należały do niej, bo jak wszystko inne zostały pożyczone od Orli.

Dwie męskie dłonie pociągnęły je w dół, całkowicie ją obnażając. Próbowała się zasłonić, ale dłonie trzymające ją za ręce były zbyt silne. Nie miała innego wyjścia, jak stać przed swymi prześladowcami zupełnie nago.

Najchętniej wybuchnęłaby płaczem, ale opanowała się. Nie zrobi im tej satysfakcji. Jej jedynym aktem oporu mogło być pozbawienie oprawców widoku jej łez, choć ich powstrzymanie wcale nie było łatwe.

A potem poczuła na karku dłoń, która zaczęła ją cisnąć w dół, tak jak poprzednio przy wsiadaniu do samochodu. Czy znów chodzi o to, żeby się schyliła? Tyle że tym razem w celu dokonania zbiorowego gwałtu? Czy do tego to wszystko zmierza?

Poczucie wstydu i upokorzenia wywołało u niej atak furii. Zaczęła wyszarpywać ręce z taką siłą, o jaką sama nigdy się nie podejrzewała. Wyczuwała, że mężczyźni trzymający ją za przeguby ledwie sobie z tym radzą.

Jednocześnie zrobiła wymach nogą, wymierzając na oślep kopniaka. Trafiała w coś z prawej, ale sekundę później jej nogę przytrzymała kolejna para rąk. Podświadomie zdziwiła się nawet, że zapomnieli jej związać nogi w kostkach.

Zaraz jednak przestała się dziwić. Jej wszystkie cztery kończyny znajdowały się teraz w żelaznym uścisku męskich dłoni, czyjeś ręce rozsunęły stopy. Potem te same dłonie powędrowały po wewnętrznej stronie jej nóg tuż pod pośladki i jednym szarpnięciem rozwarły nogi, potem podjechały jeszcze wyżej i rozciągnęły pośladki.

Szok i wstyd tak ją paraliżowały, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Drżąc na całym ciele, czuła, że do rozwartego odbytu wprowadzają jej coś twardego. Nie była pewna, czy to palec, czy jakiś przyrząd medyczny. Poczula tylko ostry, przesywający ból.

Widziała siebie oczami wyobraźni, jakby stała obok: nagie ciało wypięte na grupę zamaskowanych mężczyzn, odbytu rozwartego jak do lekarskiego badania. Wstrząsnął nią spazmatyczny szloch protestu, ale była całkowicie unieruchomiona i nie mogła nic zrobić.

Twardy przedmiot został brutalnie wyszarpięty i znów zawyla w swój knebel. Odczuwany ból mieszał się z uczuciem ulgi, że nareszcie jest już po wszystkim.

Mylili się. Poczula, że ręce obracają ją tak, iż staje przodem do swych oprawców. Ktoś ją pchnął do tyłu i zmusił, by usiadła na jakiejś twardej powierzchni, chyba na stole. Rozłożono jej nogi i mimo przepaski na oczach wiedziała, że kierują na nią

snop światła latarki. Chwilę później poczuła, jak w pochwę zagłębiają się palce. Jej wrzask odrazy i protestu został groteskowo stłumiony przez zatykający usta knebel. Teraz już chciała wybuchnąć płaczem, ale jej oczy pozostawały suche. Spotykający ją koszmar całkowicie sparaliżował wszelkie reakcje.

Usłyszała otwierające się drzwi i kroki kogoś wchodzącego do pomieszczenia.

— Wystarczy — powiedział męski głos nie dalej jak metr od niej.

Huk w głowie, łomotanie serca i głośne przetykanie łez tak ją ogłuszyły, że nie umiała powiedzieć, czy ten głos należy do któregoś z jej oprawców, czy -do kogoś nowo przybyłego. Ale zaraz potem ten ktoś znów się odezwał.

— Ubierzcie ją.

I teraz już wiedziała. Znała ten głos. Znała też jego właściciela.

Rozdział 55

Jerozolima, piątek, godz. 9.21

— Do tej części budynku zwykle nie przyprowadzają gości. Szkoda, bo chyba powinni.

Czuła, jak liczne ręce zabierają się do jej ubierania. Włożono jej T-shirt i wciągnięto dżinsy z wprawą garderobianych, którzy spieszą się ze zmianą kostiumu przed następną sceną. Stojący przed nią wyjął jej z ust knebel — co jej płuca powitały atakiem gwałtownego kaszlu — i na koniec zdjął przepaskę z oczu. Wreszcie popchnięto ją do tyłu i zmuszono, by usiadła na krześle.

Zanim jej wzrok zdążył przywyknąć do światła, zamaskowani mężczyźni zdążyli już opuścić pomieszczenie. Było niemal puste, pozbawione okien i wszelkich ozdób na brudnoszarych ścianach. Tuż przed nią stał stół — zapewne ten sam, na którym kilka minut wcześniej ją posadzono. Po drugiej stronie stołu, na takim samym drewnianym krześle, siedział on.

— Maggie, mogę cię tylko przeprosić za to, co się tutaj działo. Naprawdę. Za to rozbieranie, zagładanie do środka. Okropne. Wiesz, jak to nazywają w naszych pierdlach? Przegląd łupów. Jak ci się to podoba? W każdym razie, powtarzam: bardzo mi przykro. Nie życzę tego najgorszemu wrogowi.

Wpatrywała się w niego, czując zawód z powodu własnej

reakcji. Myślała, że się na niego rzuci, złapie go za gardło i zacznie dusić, by słuchać, jak rzezi. Że z rozkoszą wycisnie z niego jad, w którym jego ciało doszczętnie się rozpuści. Jednak niczego takiego nie zrobiła. Siedziała kompletnie oglupiała. Widząc tego człowieka w tym miejscu, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Była tak zdruzgotana, że udało jej się wydusić tylko jedno krótkie pytanie:

— Co ty wyprawiasz?

— Chwileczkę, Maggie. Najpierw mi powiesz, gdzie jest ta tabliczka.

— Ale ty? Dlaczego ty się tym...

— Pytanie brzmi: skoro nie masz jej przy sobie i nie ukryłaś jej w żadnym zakamarku swojego ciała... a o tym mogłem się naocznie przekonać... to gdzie ona, do cholery, jest?! — Koniec zdania wypowiedział podniesionym głosem, jak miał to w zwyczaju. Nieraz była tego świadkiem.

— Nie wiem.

— Nie kpij, Maggie. Wiem, że wszystko rozgryzłaś. Sądzisz, że uwierzę, że nie wiesz, gdzie ona jest?

— A ty myślisz, że cokolwiek ci powiem po tym wszystkim, co twoje oprychy ze mną zrobiły? Nie zamierzam ci powiedzieć ani jednego, kurwa, słowa. Ani teraz, ani nigdy. — Po czym zrobiła coś, co ją samą zaskoczyło na równi z nim. Splunęła mu w twarz.

— To mi się podoba, Maggie. Sama wiesz, że tak. Lubię dziewczyny z jajami. A w dodatku nago wyglądasz bombowo. Powiedziałbym, że to prawdziwie zajebista kombinacja.

Maggie brakowało słów. Jej ciało od początku tonęło w morzu sponiewierania i upokorzenia tym, co się tu działo, ale do umysłu dopiero teraz zaczynały docierać pierwsze fale wstrząsu. Oto siedział przed nią człowiek, któremu zawsze ufała i o którym myślała, że dąży do tych samych celów co ona.

— Czy to znaczy, że to ty stałeś za tym wszystkim? Za tymi wszystkimi zabójstwami?

— Nigdy nie ujawniamy szczegółów naszych operacji wywiadowczych. Przecież dobrze o tym wiesz.

Uśmiechnął się przy tym porozumiewawczo, jak jeden znający się na rzeczy cyniczny polityk do drugiego. Znała ten uśmiech, bo doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych, Bruce Miller, często się tak uśmiechał...

;

Rozdział 56

Jerozolima, piątek, godz. 9.34

— Kazałeś mnie śledzić? — Znow poczuła się zawiedziona potulnością swego pytania.

— Śledziliśmy się cały czas. I ty o tym wiedziałaś.

— Kto to jest „my”? Dla kogo ty, do cholery, pracujesz? — Poczuła, że krew nareszcie dopływa jej do mózgu i pozwala jaśniej myśleć. — Jesteś zdrajcą, tyle ci mogę powiedzieć! Zdradziłeś swój kraj i zdradziłeś swojego jebanego prezydenta!

— Maggie, czy możemy sobie darować to święte irlandzkie oburzenie? Tak jak twojego rodaka Bono i tego drugiego palanta, jak mu tam, Boba Geldoffa? I całej tej reszty szlachetnych kutasów z krwawiącymi sercami i oskarżycielskimi mowami. Tym razem na nic się to nie przyda. — Odchylił się do tyłu i zawisł na tylnych nogach krzesła, jak zwykle ani na chwilę nie przestając żuć nikotynowej gumy. — Nie negocjujesz z bandą afrykańskich bananojadów. Masz coś, czego potrzebuję, i nie masz żadnych asów ukrytych w rękawie. Ani jednego. Więc mi teraz powiedz. Gdzie jest ta pierdolona tabliczka?

Negocjujesz. Sam dźwięk tego słowa wystarczył, by się w sobie spięła. Zawsze była dobra w tym, co psychiatrzy nazywają „wyselekcjonowaniem”, oddzieleniem jednego aspektu życia pacjenta od pozostałych. Pozwalało to skupić całą uwagę na wybranym problemie. I właśnie to próbowała teraz zrobić ze sobą. Oczyszczyć pamięć z wydarzeń ostatnich godzin i zwalczyć

odrazę do siedzącego przed nią drania po to, by całą uwagę poświęcić stojącemu przed nią zadaniu. Podjęciu negocjacji.

— Nie powiem ani słowa, póki się nie dowiem, co się tutaj dzieje.

— Słuchaj, Maggie. Nie chcę się powtarzać, ale przypominam, że nie masz w ręku żadnych atutów. Jak trzeba będzie, to cię po prostu zmuszę, żebyś wyśpiewała mi wszystko, co wiesz.

— Doprawdy? Najbliższy doradca prezydenta osobiście kieruje napaścią na obywatelkę amerykańską, w dodatku dyplomatkę wyższego szczebla na służbie Stanów Zjednoczonych? Z pewnością coś takiego w roku wyborczym bardzo zainteresuje wyborców...

— Nikt nie uwierzy w ani jedno twoje słowo. Zdeklarowanej dziwki, która umie tylko rozkładać nogi i rznąć się najpierw z Afrykanami, a potem z Izraelczykami. Jak ci się to podoba jako tytuł na pierwszej stronie „Washington Post”?

Maggie instynktownie przymknęła oczy i skuliła się w sobie jak zwierzę, które pręży się w oczekiwaniu ataku. Wiedziała, że ma rację. Błąd popełniony w Afryce i podkreślony jej związkiem z Urim mógł ją ostatecznie wykończyć, powodując, że w konkursie wiarygodności — a do tego sprowadza się większość skandali politycznych — nie miałyby z Millerem żadnych szans.

— Mhm. A wszystkie paniusie na prowincji pokochają prezydenta, którego doradca przygląda się, jak jego zbiry w komi niarkach grzebią w tyłku jednej z jego koleżanek. Siedzisz po uszy w największym gównie świata, więc lepiej spróbuj ze mną pogadać, to może ja też spróbuję.

Miller przyglądał się jej z cieniem uśmiechu na ustach. Maggie czuła jednak, że tkwiący w nim hazardzista zaczyna się wahać.

— Jak już powiedziałem, Costello, masz jaja. W innym życiu może mogłoby się nam nawet ułożyć, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Na twarzy Maggie nie drgnął ani jeden mięsień. Kiedy wyczuwasz, że twój oponent zaczyna się łamać, starasz się tego nie okazywać, żeby go nie spłoszyć. Nie wolno mu wtedy przeszkadzać.

— Właściwie nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Chciałaby odetchnąć z ulgą, że zaczyna mówić. Mimo to jej twarz zachowała kamienny wyraz.

— Potrzebujemy pokoju w tym rejonie i byliśmy już cholernie bliscy sukcesu. Nagle, w ciągu ostatniego weekendu, dowiadujemy się, że ktoś ma jakąś tabliczkę, która może zawierać ostatnią wolę i testament Abrahama...

— Jak?

— Co jak?

— Jak się o tym dowiedzieliście?

— Od tatusia twojego kochasia. Guttman zadzwonił do Kiszona, tego izraelskiego dziennikarza, i wszystko mu powiedział. No, może nie wszystko, ale wystarczająco dużo. Wspomniał też o handlarzu Afifie Aweidzie i o swoim kumplu Ahmedzie Nourze. Tak się szczęśliwie złożyło, że usłyszeli to ludzie z NSA*.

— Szczęśliwie się złożyło?

— Dobra, więc nieszczęśliwie. Od lat mieliśmy Kiszona na oku.

— Kiszona? Dlaczego, do cholery, podsłuchiwaliście Kiszona?

— Nie czytałaś materiałów, Maggie. To Kiszon kilka lat temu narobił szumu wokół telawiwskiej afery.

Maggie ze złością pomyślała, że Uri powinien był ją o tym uprzedzić. Musiał o tym wiedzieć. Był to największy od lat kryzys dyplomatyczny w stosunkach amerykańsko-izraelskich. Trzech agentów CIA wypięło się na agencję i zaczęło sprzedawać Izraelczykom jej tajemnice. Do dziś Izrael uporczywie zabiega o zwolnienie szpiegów z więzienia i do dziś nawet najbardziej proizraelscy amerykańscy prezydenci nie wydają na to zgody.

— Kiszon cały czas utrzymywał z nimi kontakt w więzieniu i organizował kampanie na rzecz ich zwolnienia. Nie spuszczałyśmy z niego oka.

* National Security Agency (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego).

— I kiedy dowiedzieliście się, co usłyszał od Guttmana, postanowiliście go zabić.

— Och, przestań mi, kurwa, prawić kazania, panienko! Od razu wiedzieliśmy, czym to grozi. Arabowie i Izraelczycy są o krok od zawarcia porozumienia, a to oznacza dogadanie się w sprawie Jerozolimy. Już mają podzielić to cholerne miasto i wtedy nagle odzywa się sam Wszechmogący czy ktoś w tym rodzaju i oświadcza, że nie, całe miasto należy do Żydów. I szlag trafia całe porozumienie!

Maggie trudno było zachować spokój. Czyli Miller widział tekst i wie, co w nim jest. Nie mogła dać po sobie poznać, że ona sama ani go nie widziała, ani nie czytała.

— I bałeś się, że skoro Abraham zapisał Wzgórze Świątynne żydom, Izrael odejdzie teraz od stołu.

— Wszystko jedno, żydom czy muzułmanom. Nie ma znaczenia komu. Tak czy inaczej byłoby po sprawie. Dlatego musieliśmy pilnować, żeby ani jedni, ani drudzy nie dostali tego w swoje łapy.

To ją trochę uspokoilo. Więc jednak Miller jej nie ubiegł. Na temat treści tabliczki wie tyle samo co ona. Postanowiła kontynuować natarcie.

— Więc to cały czas byli twoi ludzie. Zabili Kiszona, Ahmeda Noura, Afifa Aweidę, Guttmana, żonę Guttmana... wszystkich, którzy wiedzieli o istnieniu tabliczki, mogli znać jej treść i wyjawić ją. — Nie wspomniała o Urim. Była zbyt przesadna, by jednym tchem wypowiedzieć jego imię razem z tamtymi.

— Nie rozpędzaj się, Costello. Guttmana zabił agent izraelskich tajnych służb. Gość zachowywał się tak, jakby szykował zamach na Jariwa, więc co mieli zrobić?

— A ten atak na kibuc? To podpalenie? To też wy?

— Guttman był jednym z archeologów, którzy prowadzili tam prace. Pomyśleliśmy, że mógł to tam schować.

Maggie zamilkła i wpatrzyła się w czerwone pręgi na swoich nadgarstkach. Potem w zadumie pokręciła głową.

— Co znowu? O co chodzi? — warknął ze złością Miller.

Milczenie Maggie spowodowało, że puściły mu nerwy. Walnął pięścią w stół i wrzasnął: — Dlaczego kręcisz tym pieprzonym łbem?

Powoli podniosła na niego oczy. Odczuwała satysfakcję, że udało jej się wytrącić go z równowagi.

— Bo nie mogę uwierzyć, że jesteś tak totalnie, bezdennie głupi.

— Jak śmiesz...

— Zrobiłeś to wszystko tylko z obawy, że przedostanie się testamentu do wiadomości publicznej zaszkodzi procesowi pokojowemu? Po to tyle trupów po obu stronach? — Jej głos ociekał sarkazmem. — Zrobiłeś to wszystko po to, żeby nie dopuścić do zerwania rozmów pokojowych i nawet przez chwilę nie pomyślałeś, że taka seria morderstw w newralgicznym momencie negocjacji może je kompletnie rozwalić. Nie chce mi się w to wierzyć. Co z wami jest, Amerykanie? To samo było z Irakiem: uznajecie, że stanowi zagrożenie, więc go najeżdżacie i powodujecie, że zagrożenie wzrasta tysiącrotnie! Teraz ten sam błąd powielacie tutaj.

— Nie masz prawa mnie pouczać!

— Mam wszelkie prawa. Miotam się jak w ukropie, ryzykuję życie i próbuję ustalić, co spowodowało wybuch przemocy po obu stronach. A robię to, bo chcę pomóc w uratowaniu pokoju. Bo to coś, w co autentycznie wierzę. A teraz się dowiaduję, że prawdziwe źródło brutalnej przemocy, która może wszystko zniszczyć, nie leży po stronie Hamasu, Dżihadu czy Fatahu, osadników, Mossadu czy jeszcze kogoś innego. Że to wszystko to wy.

Miller zdążył się już opanować.

— Maggie, zawsze wiedziałem, że jesteś naiwna. To stanowiło o twoim uroku. Ale tego już za wiele. Nie sądzisz, że oni wszyscy zaczęliby dokładnie to samo, gdyby tylko dowiedzieli się o testamencie? Oczywiście, że by zaczęli. W ciągu ostatniego tygodnia zginęło tu mnóstwo ludzi i nie miało to nic wspólnego z nami. W Qalqilii, w Gazie. Szkolny autobus w Netanii. Nawet

gdybyśmy nie ruszyli palcem, to wszystko i tak by się stało samo z siebie. To samo z jebanym Hezbollahem i Iranem. — Nazwę tego ostatniego wymawiał „ajran”. — Żyjemy w prawdziwym świecie, moja panienko. Kiedy człowiek staje przed groźbą choroby, która może się rozprzestrzenić, zabija pierwsze zwierzę, które na nią zapadnie. Bo inaczej choroba może się przerodzić w epidemię i wybić całe stado — użył jednej ze swych metafor „na chłopski rozum” farmera z Południa, które zapewniły mu ogromną popularność w telewizyjnych talk-show w niedzielne poranki. Za ich pomocą rozkładał dziennikarzy, którzy na jego tle wypadali jak miastowe mięczaki.

— Więc to o to chodziło, tak? Wykoleić proces pokojowy tylko trochę, zanim szaleńcy wykoleją go na dobre?

— W tej grze nie ma dobrych rozwiązań, Maggie. Sama powinnaś to wiedzieć.

— I pewnie wszystko szło jak po maśle, dopóki się nie zjawiłam i nie zaczęłam węszyć, co?

— Och, tym się nie musisz martwić.

— Dlaczego? Bo i tak zrobiłbyś swoje i załatwił każdego, kto cokolwiek wiedział o tabliczce Abrahama? I tajemnica Abrahama pozostałaby tajemnicą. Ale nagle się wtrąciłam i zaczęłam dniami i nocami szperać, żeby odkryć to, co ty chciałeś zostawić w ukryciu. Cóż ze mnie za idiotka.

— Nie powinnaś się tak przejmować, Maggie.

— Niby dlaczego?

— Bo cały czas robiłaś dokładnie to, o co nam chodziło. Od samego początku.

Rozdział 57

Jerozolima, piątek, godz. 9.41

Maggie wbiła wzrok w podłogę. Musiała się uspokoić i miała nadzieję, że to jej w tym pomoże. Wiedziała, że jeśli podniesie głowę i na niego spojrzy, straci resztki opanowania.

W trakcie rozmowy nastąpiła zmiana i oboje o tym wiedzieli. Teraz ona czegoś od niego chciała, i to równie mocno jak on od niej, a to znacznie osłabiało jej pozycję. Gdyby prowadziła negocjacje w kwestii wytyczenia granicy, dostępu do wody czy nawet weekendowych praw do letniego domu w Hamptons, umiałaby tak zamydlić oczy, by ukryć prawdziwe zamiary. Ale nawet najsprytniejszy negocjator zamienia się w niedojdę, gdy przedmiot negocjacji dotyczy jego samego. Wśród kolegów Maggie wciąż krążyła opowieść o negocjatorze ONZ, który wprawdzie otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za osiągnięcia zawodowe, ale który poległ z kretesem, negocjując podwyżkę własnej pensji.

— Co to do cholery ma znaczyć, że robiłam dokładnie to, o co wam chodziło?

Miller uśmiechnął się. Wiedział równie dobrze jak ona, że właśnie popełniła poważny błąd. Ujawniła swój słaby punkt.

— Och, dajmy temu spokój, Maggie. Nie traćmy czasu. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Może już zapomniałaś, ale staramy się ratować pokój w tym regionie.

— Tak jak ty byś o tym pamiętała.

— Żartujesz? Chyba, kurwa, żartujesz. — Uśmiech zniknął mu z twarzy. — A ty sobie wyobrażasz, że co my tu robimy? Cała operacja od początku miała na celu ratowanie procesu pokojowego. Wiedzieliśmy, że gdy tylko ta tabliczka ujrzy światło dzienne, pokój w tym regionie będzie miał taką szansę jak świąteczne indyki w listopadzie. — Popatrzył na nią z wyraźną odrazą. — Nic z tego nie kapujesz, co? Tak jak cała reszta pewnych siebie liberalnych kutasów z elit Wschodniego Wybrzeża i Europy. — Przechylił się nad stołem i wlepił w nią rozjarzony wzrok. — Uwielbiacie te swoje inteligenckie pierdoły. Rozmowy, konferencje, plany, kontrplany, mapy drogowe, rezolucje ONZ, uroczystości, uściski dłoni w Białym Domu i cały ten pieprzony ceremoniał. Ale czy zastanowiłaś się kiedyś nad tym, skąd się to wszystko bierze? Jak to wszystko jest możliwe? Pomyślałaś kiedyś, jak to się dzieje, że taki krwiożerczy skurwiel jak Slobodan Milošević zjawia się nagle w Dayton i zaczyna negocjować jeden z twoich pierdolonych traktatów pokojowych? No powiedz, pomyślałaś? Nie? No to ci powiem, że właśnie dzięki takim zimnym draniom jak ja i moi ludzie za ścianą. Milošević nie dlatego zgodził się na traktat, że zamrugowałaś do niego swoimi ślicznymi oczkami, podobnie jak twoi rodacy z IRA nie podpisali porozumienia dlatego, że ty albo ktoś taki jak ty pokręcił im tyłeczkiem przed oczami. Nie, podpisali je dlatego, że ktoś taki jak ja zagroził, że jeśli tego nie zrobią, to im spuści na łby tysiąc ton dynamitu. I nie ograniczył się tylko do gróźb. Czasem też to robił. Oczywiście, potem tacy jak ty zbierają pochwały, dostają pokojowe nagrody, podpisują umowy wydawnicze i wygłaszają tyrady w telewizorze. I, jeśli o mnie chodzi, niech „New York Times” wszystkim wam obciąga. Jest mi to obojętne. Ja mogę być diabelskim pomiotem, z tym sobie poradzę jakoś. Ale nie oszukuj się, panienko. Bez drani, którzy, jak ja, są gotowi prowadzić wojnę, nigdy nie będzie pokoju.

Maggie zaczerpnęła głęboko powietrza.

— I właśnie to robiliście? Prowadziliście tu wojnę, żebyśmy mogli zawrzeć pokój? Właśnie to...

— Dokładnie to robiliśmy. I, jak się okazuje, mieliśmy rację. Bo obie strony wciąż ze sobą rozmawiają...

— Tylko formalnie.

— Istnieją też kanały nieoficjalne. Możesz mi wierzyć, że ze sobą rozmawiają. A poza tym nawet formalne rozmowy są lepsze niż żadne. Ale gdyby ta przeklęta tabliczka wydostała się na światło dzienne, to właśnie tak by się skończyło. Żadnych spotkań, żadnych rozmów. I dlatego jestem dumny z tego, co osiągnęliśmy.

— Czy poza mną wszyscy inni wiedzieli, co jest grane?

Miller przyjrzał się swoim paznokciom i dużo łagodniej powiedział:

— Wręcz przeciwnie. Obowiązywała zasada: wiedzą tylko ci, którzy muszą wiedzieć. To oznaczało mnie i niewielką grupkę ludzi bezpośrednio zaangażowanych w to zadanie. Wyłącznie byłych agentów sił specjalnych.

— I to oni napadli na mnie na Starym Mieście? I te wszystkie zabójstwa to też oni?

— Nie zajmuję się detalami operacyjnymi. To sprawa ich i ich dowódcy.

— I nikt inny nie brał w tym udziału? Sekretarz stanu? Sanchez?

— Nikt. Poza tobą.

— O czym ty znów, do cholery, mówisz?

— Powinnaś być z siebie dumna.

— Dumna?

— Z tego, co osiągnęłaś. Niemal doprowadziłaś nas do celu. Do tabliczki. Tak jak przewidzieliśmy.

— Nie rozumiem.

— Przestań udawać. Nie gramy w *Domku na prerii*. Przecież wiesz, jak to działa. Jak sądzisz, po co wysłaliśmy do ciebie Bonhama?

— Żebym pomogła w wynegocjowaniu porozumienia. Obie strony były już bardzo blisko i miałam pomóc w doprowadzeniu negocjacji do końca — powiedziała lekko łamiącym się głosem.

— Dobra, niech ci będzie.

— Tak powiedział Bonham.

— Jasne, że tak ci powiedział. — Miller znów wlepił w nią twarde spojrzenie. — Ale zastanów się, Maggie. Nie sądzisz chyba, że w Departamencie Stanu brakuje wykwalifikowanych dyplomatów, którzy mogliby się tego podjąć. Ludzi wyspecjalizowanych w bliskowschodnich konfliktach. Nie powiesz mi, że nie zastanawiałaś się, dlaczego ze wszystkich ludzi, jakimi dysponujemy, uparliśmy się akurat na ciebie. Byłaś nam potrzebna ze względu na twoje, jak by to delikatnie ująć... szczególne predyspozycje.

Maggie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Potrzebny był nam ktoś, kto się zbliży do Guttmana juniora. Zakładaliśmy, że jeśli jest ktoś, kto wie, gdzie ten staruch ukrył tabliczkę, to jest nim jego syn.

— I ściągnęliście mnie tutaj, żebym... żebym... — nie mogła z siebie wydusić dalszego ciągu.

— Cóż, powiedzmy sobie szczerze, że miałaś odpowiedni zyciorys. Zeszłaś się z tym dzikusiem w Afryce, więc pomyśleliśmy, że w sprzyjających okolicznościach powtórzysz to samo tutaj. I nie omyliliśmy się. Więc, jak powiedziałem, powinnaś być z siebie dumna.

Poczuła się tak, jakby ją coś miażdżyło od środka. Nigdy wcześniej nie doznała podobnego uczucia. A więc o to chodzi. Od samego początku tylko o to chodziło. W głowie zadźwięczały jej słowa Bonhama, który przyszedł ją zwerbować. Mówił o zmażaniu grzechu przez pokutę. Wspomniał nawet o odkupieniu. Masz teraz okazję, powiedział. Mówił to tak spokojnie, głosem pełnym łagodnej wyrozumiałości. Okazuje się, że to wszystko było kłamstwem. Wcale nie chodziło mu o to, żeby pojechała do Jerozolimy naprawić swój błąd, ale po to, by go powtórzyć. On, Miller i Bóg wie kto jeszcze wciągnęli ją w to nie z powodu zalet — pamiętała tę gadaninę o niezrównanej Maggie Costello i jej umiejętności „dopinania” umów — ale przez jej słabość.

A ona uwierzyła w jego wszystkie komplementy i miłe słówka na swój temat.

Użyto jej w charakterze „miodowej pułapki”, tej najprymitywniejszej formy wywiadowczej. Wysłano do Jerozolimy po to, by zainteresowała sobą Uriego Guttmana. Świadomość, że spełniła ich oczekiwania, jeszcze bardziej ją brzydziła. Bo kim teraz była? Właściwie nikim więcej jak kurwą na etacie amerykańskiego rządu.

Poczuła przyływ takiej wściekłości, że zerwała się z krzesła i z całej siły uderzyła Millera w twarz. Ten przyłożył sobie dłoń do piekącego policzka, uśmiechnął się lubieżnie i wymierzył jej równie siarczasty policzek. Patrząc, jak zatacza się do tyłu, nacisnął przycisk pod stołem. Drzwi otworzyły się natychmiast i do pomieszczenia wpadło dwóch mężczyzn w kominiarkach.

— Okay, Maggie. Starczy tego dobrego, choć nie powiem, żebym się dobrze nie bawił. Najwyższa pora, żebyś mi powiedziała, gdzie jest ta tabliczka.

— Nie wiem — wymamrotała, rozcierając sobie piekącą twarz.

— To mnie zupełnie nie satysfakcjonuje. Maggie, jestem przekonany, iż zdajesz sobie sprawę, że paru moich chłopców chętnie się tobą zajmą. Bliższe poznanie może im nawet sprawić trochę przyjemności.

— Czyli teraz chcesz jeszcze wmieszać Biały Dom w zbiorowy gwałt.

— W nic takiego nie będziemy zamieszani. Wydamy oświadczenie, w którym z głębokim żalem zawiadomimy o śmierci dzielnej Amerykanki, brutalnie napadniętej i zamordowanej przez terrorystów. Zapewnimy, że Stany Zjednoczone nie spoczną, póki jej zabójców nie spotka zasłużona kara.

Maggie czuła rozchodzący się jej po całym ciele dreszcz wściekłości, strachu i przeraźliwego smutku.

— Czy teraz dobrze się rozumiemy, panno Costello?

Rozdział 58

Jerozolima, piątek, godz. 9.52

Czuła się tak, jakby jej umysł przełączył się na zasilanie awaryjne i zaczął czerpać energię z jakichś wewnętrznych źródeł rezerwowych — pokładów spokoju, opanowania i tajemniczej substancji, którą jej organizm wytwarzał w chwilach prawdziwych kryzysów i która w razie potrzeby służyła do uśmierzenia bólu.

Ustyszała własny, spokojny głos, jakiego używała w sytuacjach kryzysowych.

— Nie wiem nic ponad to, co sami wiecie. Widzieliście wszystko to, co ja. Wiadomość od Szimona Guttmana skierowała nas do tuneli pod Ścianą Zachodnią.

— Wiadomość w tej grze komputerowej?

— Tak. Ale nie powiedział nic konkretnego. Inaczej wiedzielibyście o tym.

Miller dał ledwie dostrzegalny znak głową, ale to wystarczyło. Obaj zamaskowani mężczyźni podeszli bliżej i chwyciwszy ją za ramiona, unieśli z krzesła. Wykonując dobrze wyćwiczone, w pełni zsynchronizowane ruchy, wykręcili jej ręce do tyłu, tak że przyłgnęły płasko do pleców. Klasyczny pełny nelson. Prych-nęła z bólu, a drobiny śliny poszybowały daleko przez pokój. Efekt był taki, że obaj oprawcy jeszcze bardziej zacieśnili chwyt i ciągnąc za nadgarstki, przesunęli jej ręce w górę pleców. Ból w stawie prawego ramienia był tak przeszywający, że przybrał

postać czerwieni pulsującej przed oczami. Była pewna, że lada chwila jej ścięgna nie wytrzymają i ramiona zostaną wyrwane ze stawów.

A potem ból nagle zelżał i opadła na krzesło jak szmaciana lalka.

Miller podjął rozmowę spokojnym głosem, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby ją na chwilę przerwał, żeby łyknąć wody i teraz do niej wracał.

— I dziś rano na nic się tam nie natknęłaś?

Minęła chwila, zanim Maggie zdobyła się na otwarcie powiek. Czerwone plamy wciąż tańczyły jej przed oczami, w ramionach czuła obezwładniający ból. Wprawdzie już nie narastał, ale pamięć o nim wypełniała jej system nerwowy. Gdy w końcu przemówiła, jej chrapliwy głos był ledwie słyszalny.

— Wiesz, że nie. Przeszukaliście mnie.

Miller pochylił się nad stołem

— Nie tylko ciebie. Po twoim wyjściu moi ludzie przeszukali dokładnie cały tunel. Z reflektorami. I nic nie znaleźli. A to znaczy, że...

— Że stary nie powiedział prawdy. Powiedział, że to tam jest, a tam tego nie ma.

— Albo że Uri cię zwiódł. Wysłał cię do tych piwnic na szukanie wiatru w polu, a sam w tym czasie zgarnął łup.

— Może. — Mimo bólu i furii zamulającej jej umysł, myśl ta dotarła do jej świadomości. Jak się okazuje, możliwa jest każda zdrada. Uri mógł zaaranżować strzelaninę na drodze, żeby się jej pozbyć, a sam podjąć dalsze poszukiwania tabliczki. Może wcześniej od niej uzmysłowił sobie jej znaczenie. Był kiedyś w izraelskim wywiadzie i widziała, jak łatwo mu przyszło ukraść uniform hotelowy, potem samochód. Może wszystko to zrobił w ramach przebiegłego planu, który miał na celu odciążenie jej od miasta. Może od początku ją rozgryzł i wiedział, że jest tylko przynętą, której należy unikać. Może ze wszystkich wokół tylko ona jedna o tym nie wiedziała.

Miller przez chwilę wpatrywał się w nią badawczo, potem wykrzywił usta w grymasie udawanego smutku.

— Myślę, że na wszelki wypadek powiem jednak chłopakom, by pomogli ci pogrzebać w pamięci. Aby się upewnić, że na pewno o niczym nie zapomniałaś.

Znów ledwie dostrzegalnie skinął głową i obaj mężczyźni szarpnęli ją z krzesła — tym razem po to, by rzucić na podłogę. Mężczyzna po prawej natychmiast przyklęknął na jedno kolano i objął ją ramieniem za szyję. Już miał zacząć ją dusić, ale zdążyła jeszcze wycharczeć parę słów, które jej właśnie przyszły do głowy.

— Może nie ma czego szukać. — Z trudem dosłyszała swój głos.

— Słucham?

Spróbowała powtórzyć, ale zabrakło jej tchu. Ucisk na tchawicę był zbyt wielki. Za chwilę ją uduszą.

Miller dał znak i ucisk zelżał, ale ramię oprawcy pozostało na jej szyi.

— Powtórz.

— Powiedziałałam, że może nie ma czego szukać.

— Co to ma znaczyć?

— Może nie udało nam się znaleźć tabliczki, bo Guttman jeszcze jej nie schował.

— Mów jaśniej.

Maggie próbowała się unieść, ale zabrakło jej sił. Pozostała rozciągnięta na podłodze i z trudem wykrztusiła:

— Wszystkie wiadomości od Guttmana... nagranie DVD, wskazówka w Second Life... pochodziły z soboty. Także telefon do Kiszona — wydyszała. — A może nie zdążył zrobić tego, co zamierzał? Może dopiero planował schowanie tabliczki w tunelu i zrobiłby to, gdyby go wcześniej nie zabili. Może chciał to zrobić po wiecu, tylko tego nie dożył.

Miller słuchał jej uważnie.

— To gdzie jest ta tabliczka?

— W tym rzecz. Nie wiem. A skoro nie wiem ja, mimo że

widziałam jego nagranie, odczytałam wskazówkę i wysłuchałam wspomnień z dzieciństwa jego syna, to nikt inny też tego nie wie. I nikt się już nigdy nie dowie.

— I tabliczka przypadnie?

— Tak.

Miller z namysłem pokiwał głową wyraźniej bardziej do siebie niż do niej. Wstał z krzesła i zaczął krążyć wokół rozciągniętej na podłodze Maggie, jakby rozważał w myślach wszystkie „za” i „przeciw”. W końcu zatrzymał się i ogłosił wyrok.

Rozdział 59

Jerozolima, piątek, godz. 10.14

Kierowca odwiózł ją do hotelu, ale nie weszła od razu do środka. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin widziała tak mało dziennego światła, że chciała się nim trochę nacieszyć. Zatrzymała się obok wejścia i rozejrzała się.

W głównym wejściu trwał bezustanny ruch. Taksówki stały w kolejce z pracującymi silnikami, hotelowi goście podjeżdżali i wchodzili do środka, inni zaś wychodzili obładowani bagażami. Tych drugich było wyraźnie więcej i Maggie pomyślała, że po wydarzeniach ostatnich dni pewnie wolą uciec z Jerozolimy. Gdyby tak znali całą prawdę.

Za plecami usłyszała dźwięk megafonu. Odwróciła głowę i zobaczyła jadące ulicą King David białe kombi całe oklejone pomarańczowymi naklejkami. W środku siedział ktoś wykrzykujący do mikrofonu hasła — zapewne potępiające Jariwa za zamierzoną rezygnację z izraelskiego dziedzictwa. Chwilę po kombi nadjechał van, z którego głośników dudnił monotony europejski pop. Van należał chyba do ruchu obrońców pokoju, którzy na odmianę potępiali Jariwa za zerwanie negocjacji.

Spojrzała w górę ulicy, gdzie na górze za światłami znajdował się konsul, od którego wszystko się zaczęło. Pamiętała chwilę, gdy tuż po przylocie siedziała w ogrodzie z tyłu konsulatu i dumiała o klasztornych braciszkach. Było to raptem pięć dni temu, a zdawało się, jakby od tamtej chwili minęło pięć lat.

Siedzieli wtedy z Jimem Davisem i rozmawiali o stojącym przed nią zadaniu doprowadzenia do podpisania porozumienia. Uśmiechnęła się z goryczą.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Bolało ją wszystko, szczególnie ramiona i szyja. Wyobraziła sobie, jak musi być posiniaczona na całym ciele — nawet tam, gdzie trudno zajrzeć. Marzyła o długiej gorącej kąpieli i zapadnięciu w głęboki sen, ale jeszcze nie teraz. Rozgorączkowany umysł nie pozwalał się jej rozluźnić.

Dotarła do parku wyglądającego na opustoszały i dość zaniedbany. Brzegi trawników zarosły, metalowe pręty podtrzymujące płócienny dach altany pokrywała rdza. Maggie mimo woli odnotowała, że nawet chodnikowe płyty i parkowe ławki zostały wykonane z tego samego żółtawego kamienia jerozolimskiego. To piękny materiał, ale zaczynała podejrzewać, że mieszkający tu ludzie mogą mieć go dosyć. Trochę jak fabryki czekolady w mieście. Goście zachwycają się zapachem, od którego stałym mieszkańcom robi się już niedobrze.

Usiadła na ławce i zapatrzyła się przed siebie. Kiedy Miller — uznając, że już nic więcej z niej nie wyciągnie — oświadczył, że jest wolna i może iść, powitała jego słowa z ulgą, ale nie z radością. Chodziło nie tylko o ból i upokorzenie, jakich doznała, kiedy nie cofnięto się przed wdarciem się do najbardziej intymnych zakamarków jej ciała i potraktowaniem go jak doświadczalnej padliny. I nawet nie o uświadomienie sobie prawdziwego charakteru jej misji w Jerozolimie. Nie, najbardziej dręczyło ją coś, na co większość pewnie nie zwróciłaby nawet uwagi. Może zrozumiałby to tylko inny negocjator: gniotący serce niepokój, który rodzi się w chwili, gdy któraś ze stron zbyt łatwo rezygnuje. Miller za szybko się poddał, a ona nie mogła pojąć dlaczego.

Kilkakrotnie odtworzyła sobie w myślach wszystkie jego słowa, łącznie z końcową mową, którą wygłosił przed wyjściem z sali tortur. Ostrzegł ją, że jeśli waży się ujawnić cokolwiek z tego, co tu zaszło, on już dopilnuje, by do „Washington Post” dotarła wiadomość o tym, jak biedna panna Costello przeżyła

w Jerozolimie załamanie nerwowe w związku z kolejnym romansem, w jaki wdała się podczas wykonywania obowiązków służbowych. Niestety, wywołało to u niej urojenia i zaburzenia umysłowe. Władze dały jej szansę mimo poprzedniej wpadki, po której musiała na pewien czas odejść ze służby dyplomatycznej, jednak jej dziwna ułomność uniemożliwiła skorzystanie z pomocnej dłoni. Zdaniem służb administracyjnych — które zastrzegły sobie anonimowość — wygląda na to, że panna Costello nie umie się oprzeć pokusie nawiązywania intymnych związków z mężczyznami, z którymi łączy ją stosunki służbowe. Jeśli spróbuje temu zaprzeczać, będą zmuszeni przedstawić dowody w postaci nagrań i fotografii świadczących o tym, że spędzają z Urim nocne godziny na picu, całowaniu się i...

Wzdrygnęła się i spojrzała na swoje nogi obute w obco wyglądające botki. Podczas całej kariery zawodowej skrupulatnie pilnowała, by jej płeć nie odgrywała żadnej decydującej roli. Wiedziała oczywiście, że dla przebiegu negocjacji kobiece walory nie są bez znaczenia. Czasem przeszkadzają, zwykle jednak pomagają, pod warunkiem, że umie się z nich właściwie korzystać. Kobiecość była tylko jednym z aspektów jej osobowości, na którą składały się też jej irlandzkość i młody wiek, a i to jeszcze nie wszystko. Przez Millera zobaczyła się w nowym świetle i to nią wstrząsnęło. Widział w niej nie doświadczonego negocjatora, wrażliwego obserwatora ludzkich zachowań i spostrzegawczego analityka stosunków międzynarodowych, ale kurwę. Bo do tego się to sprowadzało. Dla niego wzmianka ojej romansie w Afryce okazała się najważniejszym punktem jej zawodowego CV. Równie ważnym jak jej cycki i dupa. Znalazła się tu nie po to, by błysnąć sprytem, intelektem czy doświadczeniem nabytym przy wielu stołach negocjacyjnych, tylko żeby dać dupy. Nagle to jej obmacywanie na suku nabrało zupełnie innego sensu. Dopuszczono się na niej gwałtu już w tej samej chwili, gdy zdecydowała się wziąć bilet do ręki i wsiąść do taksówki na lotnisko Dullesa.

A potem, po wygłoszeniu przemowy, Miller zaskoczył ją raz jeszcze. Jego pewność siebie, arogancja i pełne pogardy za-

chowanie ustąpiły nagle miejsca czemuś, czego nigdy wcześniej u niego nie zauważyła. Lekko przechylił głowę na bok i w jego oczach pojawił się wyraz współczucia. Patrzył na nią przez długą chwilę, po czym powiedział cicho:

— Czasem musimy robić straszne rzeczy, naprawdę straszne. Ale zawsze robimy je w słusznej sprawie.

Siedząc teraz na ławce w zapuszczonym jerozolimskim parku, najbardziej wściekała ją myśl, że prawie ją przekonał. Nigdy nie należała do pacyfistów, którzy walczą o pokój, paląc trociszki, sprzedając fasolki mung i uważając każdą władzę za siedlisko zła, a wszystkich ludzi za braci, którzy powinni być dla siebie dobrzy. Rozumiała, że rzeczywisty świat jest inny. A już szczególnie dobrze rozumiała, jak ważne jest to, by ta tabliczka nie dostała się do rąk jednej ze stron i że Miller miał rację, robiąc wszystko, żeby temu zapobiec. Prezydent liczył na reelekcję i w tym celu potrzebne mu było izraelsko-palestyńskie porozumienie pokojowe. I nieważne, że kierujące nim motywy nie są zbyt szczytne. Ważne, że w rezultacie pokój zawrą dwa narody, które trwają w śmiertelnym uścisku od tak dawna, że prawie nie wyobrażają już sobie innego życia.

Maggie Costello była skłonna podpisać się pod tym wszystkim. Żyła na tym świecie wystarczająco długo, by wiedzieć, że porozumień pokojowych nie podpisuje się z dobroci serca. Nie dlatego, że jakiś ksiądz przekona przywódców do prawego postępowania, ani nie dlatego, że pełna szlachetnej pasji brunetka z Dublina powie im, że mają przestać się zabijać. Podpisuje się je dlatego, że ulegają zmianie interesy tych przywódców lub — co jeszcze częstsze — wielkich mocarstw. Wielcy tego świata przestają mieć interes w wojnie i nagle mamy pokój.

Tak więc nie miała złudzeń. I gdyby Miller, Davis albo Bonham — świadomość, że wszyscy zostali w to wtajemniczeni, była wyjątkowo przykra — powiedzieli jej szczerze w czym rzecz, wyjaśnili, o co chodzi i dlaczego jej potrzebują, pewnie by się na to zgodziła. I znalazłaby swój własny sposób na to, jak to zrobić. Oni jednak nie zaufali jej na tyle, żeby przyjąć ją do

swej ferajny dużych chłopców. Woleli ją potraktować jak narzędzie, którego użyją do swoich celów. Uznali za pionka na szachownicy, którego rolą jest dać dupy.

Zrobiło się zimno, w każdym razie jej. Pewnie to efekt zmęczenia. Wróci do hotelu, do nikogo się nie odezwie, a potem — jak tylko się wyśpi — pojedzie na lotnisko. A co dalej? Nawet się nad tym nie zastanawiała.

Wróciła do hotelu i ruszyła przez ogromny hol z nisko opuszczoną głową. Wiedziała, że to niezbyt racjonalnie, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszyscy dookoła wiedzą, co się z nią dzieło przez kilka ostatnich godzin. Nie chciała im patrzeć w oczy.

— Panno Costello! Halo! — Głos należał do recepcjonistki, której koński ogon zabawnie podrygiwał w takt jej podskoków i machania kartką papieru. — Panno Costello! Proszę!

Maggie skrzyła i pomaszerowała po lśniącej podłodze głównie po to, żeby uciszyć jej krzyki. Miała nadzieję, że nikt z obecnych w holu nie zwrócił na nie uwagi.

— Och, panno Costello. Bo ten pan mówił, że to strasznie pilne. Właśnie się państwo rozminęli. Był tu minutę temu. Powiedziałam mu, że...

— Przepraszam, musi pani trochę wolniej. Kto mówił, że co jest pilne?

— Ten pan, który tu był. Powiedziałam mu, że może zostawić wiadomość głosowana numer pani pokoju w centrali hotelowej, ale nie chciał. Powiedział tylko, żeby to pani oddać.

Podawała Maggie kartkę wydartą z hotelowego bloczku.

Spotkasz mnie w starej chwili. Wiem, co trzeba zrobić. Władimir junior.

Rozdział 60

Jerozolima, piątek, dwie godziny wcześniej

Pulsujący ból stał się znośniejszy i przeszedł w rytmiczne pobołowanie. Był ciekaw, czy coś mu zaaplikowali. Może zastrzyk w udo podczas włączania go do mercedesa. Albo może później. Jeśli tak, to nawet by o tym nie wiedział.

Odzyskał przytomność jakieś pół godziny temu. Może nawet godzinę. Potrzebował dłuższej chwili, by się zorientować, że nie leży w kompletnych ciemnościach, tylko ma zawiązane oczy. Przez kilka długich minut odnosił wrażenie, że ogląda od spodu swoje własne powieki. Potem przypomniał sobie o strzale i całkiem poważnie zaczął zastanawiać się nad tym, czy jego obecne doznania to rodzaj pośmiertnej świadomości.

Sygnaly zmysłowe zaczęły powracać powoli i stopniowo. Po oczach przyszła kolej na czucie w ramionach, które okazały się unieruchomione. Próbował sobie przypomnieć, czy tam też został trafiony. Może jest sparalizowany? Myśl ta nie wywołała u niego paniki. Czuł, że jego serce pracuje na zwolnionych obrotach, by nie zwiększać ciśnienia w kończynach. Było trochę tak, jakby jego ciało przeszło w stan awaryjnego schłodzenia, bo wie, że musi stoczyć bitwę o przetrwanie. Nie zaskoczyło go to, bo kiedyś przeżył już coś podobnego.

Wtedy odniesiony uraz miał charakter psychologiczny. Jego czołg operujący po drugiej stronie granicy z Libanem wjechał na minę-pułapkę Hezbollahu. W wyniku eksplozji kierowca i celów-

niczy zginęli na miejscu. Jako dowódca czołgu z głową wystawioną na zewnątrz powinien być pierwszą ofiarą, los jednak zrządził, że właśnie to ocaliło mu życie. Schował się do środka, spojrzął na nieruchome sylwetki obu członków załogi i zdał sobie sprawę, że znalazł się w śmiertelnej pułapce. I właśnie w chwili, gdy serce powinno mu ze strachu podejść do gardła, wszystkie organy przeszły w stan jeszcze straszniejszy, bo wykraczający poza zwykłe przerażenie. Całe jego ciało zamarło w cichym, spokojnym odrętwieniu stanowiącym jakby preludium śmierci.

Teraz czuł coś podobnego. Spokojnie zrekonstruował przebieg wydarzeń na szosie. Wszystko trwało nie dłużej niż trzydzieści sekund. Widział jadący za nimi samochód, który ich niewątpliwie śledził. Zwolnił i wjechał w zatoczkę widokową pod takim kątem, żeby Maggie mogła niepostrzeżenie wyskoczyć z samochodu. W ułamku sekundy, jaki miał na podjęcie decyzji, postanowił, że niezależnie od tego, co się z nim stanie, ona musi przeżyć.

Gdy Maggie bezpiecznie zniknęła z pola widzenia, spróbował obrócić samochód w miejscu i powtórzyć manewr, który jemu też pozwoliłby dyskretnie wyskoczyć. Jednak ten manewr mu nie wyszedł, a prześladowcy byli tuż-tuż. Zrobił nie więcej niż krok od samochodu, gdy padł strzał i kula trafiła go w nogę. Runął na ziemię, ale w sposób całkiem pozbawiony dramatyzmu znanego z filmów akcji. Jego upadek bardziej przypominał zwalenie się marionetki, której ktoś odcina sznurki.

Następne doznanie dotarło z nadgarstków. Można było pomyśleć, że jego reakcje neurologiczne — zwykle liczone w nano-sekundach — powróciły do wieku pary, bo tak wolno wszelkie sygnały docierały do mózgu. Sygnał wysyłany przez nadgarstki mówił wyraźnie, że coś czują. Jakiś ucisk, który nie jest zwykłym bólem, pochodzi z zewnątrz i ogranicza swobodę ruchu. Wreszcie dotarło do niego, że ma związane ręce. A więc ślepotą i martwotą kończyn nie sygnalizowały szykowania się organizmu na śmierć, tylko coś znacznie mniej ostatecznego. Postrzelili go, związali

i wpakowali do samochodu nie jako trupa, ale więźnia. Serce zaczęło bić mu nieco żywiej.

Zaczął od próby uruchomienia nadgarstków. Wkrótce dotarło do niego, że są nie tylko związane razem, ale także przywiązane do oparcia krzesła. Chciał też obejrzeć sobie ranę, ale nie był w stanie jej dosięgnąć. Zresztą w panujących ciemnościach nie był nawet pewien, w którą nogę został trafiony.

Kim byli napastnicy? Miał w pamięci mężczyzn w czarnych kominiarkach, ale pamięć mogła go zawodzić. Próbował przypomnieć sobie słowa towarzyszące ładowaniu go do samochodu i na fali wspomnień przyплыło do niego imię Daoud. Wydawało mu się, że słyszał, jak ktoś dwukrotnie wymienił to imię tonem pytającym, ale był już chyba niezbyt przytomny, bo w jego wspomnieniu arabskie imię miało zdecydowanie bardziej amerykańską wymowę.

Jego myśli zaczynały płynąć coraz swobodniej. Zastanawiał się nad tym, co mogło dziać się z Maggie. Miał nadzieję, że udało jej się szybko wrócić do Jerozolimy i od razu zajrzeć do tunelu. Tylko od czego miała zacząć? Wskazówka zostawiona przez ojca — czy naprawdę zrobił to za pomocą jakiejś gry komputerowej, czy to był tylko kolejny wybryk jego rozpalonej wyobraźni? — mówiła tylko o podziemnych katakumbach pod Ścianą Zachodnią, a te ciągnęły się przecież na znacznej długości. Zignorował wprawdzie wielokrotnie powtarzane prośby ojca, by przyjechać z Nowego Jorku i dać się oprowadzić po tunelach, ale czytał o nich i wiedział, że przejście całej trasy trwa co najmniej godzinę.

W otaczających go ciemnościach Uri miał wreszcie okazję zrobić to, na co zabrakło mu czasu w ciągu ostatnich sześciu dni. A tak naprawdę zabrakło mu odwagi. Teraz jednak nie zostało mu nic innego, jak porozmyślać o ojcu. Po śmierci zaskoczył go bardziej niż w całym swoim życiu. Do tego momentu Uri nazwałby ojca przewidywalnym, tak jak przewidywalni są wszyscy oddani sprawie ideowcy. Znał jego poglądy na każdy temat. Zawsze były bezkompromisowe, a tym samym — według Uri-

go — śmiertelnie nudne. Często się nawet zastanawiał — choć oczywiście nigdy na głos — czy właśnie nie to zniechęciło go do ojcowskiej wersji twardej polityki. Czy jego bunt nie miał podłoża bardziej estetycznego niż moralnego. Czy został lewicowcem dlatego, że nie chciał być takim nudziarzem jak ojciec?

Ale ostatnie dni dowiodły, że mylił się w swych ocenach. Ojciec chował w zanadru wiele sekretów — wśród nich także ten, który stał się najważniejszym wydarzeniem w jego karierze i za który ostatecznie zapłacił życiem.

Jednak spośród wszystkich tajemnic ojca za najbardziej zdumiewającą uważał tę, którą dzięki Maggie Costello poznał jako pierwszą. Jego ojciec dzielił się archeologiczną wiedzą z wrogiem, z Palestyńczykiem, którego nawet obdarzył izraelskim pseudonimem w postaci anagramu. Jak to brzmiało? Ehud Ramon? Może był starym pierdołą, ale na pewno nie był głupi.

Usłyszał, że otwierają się drzwi i wchodzi kilka osób. Wiedział, co go czeka, ale był dziwnie spokojny. Zrobi to, co zawsze robili poddawani torturom ludzie, którym udało się przeżyć: zasklepi się we własnej głowie.

Usłyszał głos mówiący po arabsku z amerykańskim akcentem. Więc jednak się nie pomylił.

— Okay, zabierajmy się do dzieła.

Poczuł, że ktoś odwija mu bandaż z prawej nogi. Więc może to jednak szpital i za chwilę zajmą się jego raną? Może ci ludzie to lekarze, a nie oprawcy, którzy przyszli go torturować?

Już miał się odezwać i poprosić o pomoc, gdy poczuł, że czyjeś palce ugniatają mu obrzeże rany i z sykiem wciągnął powietrze. Chwilę później poczuł tak straszliwy ból, że zawył jak nigdy przedtem.

— Śmieszne, co? Co też można zrobić jednym paluszkiem...

Ból na moment zelżał.

— Nic więcej nie trzeba. Tylko jeden mały paluszek. Wystarczy, że go wepchnę tu, w tę dziurkę w nodze i od razu...

Uri ponownie zawył z bólu. Obiecywał sobie, że wytrzyma tortury i że nie okaże po sobie cierpienia, ale nie potrafił

zapanować nad bólem. Rana była świeża i wszystkie zakończenia nerwów znajdowały się na wierzchu.

— Zostawcie mnie, bydlaki, zostawcie mnie!

Reakcją na jego wrzask było zwiększenie nacisku. Czerwień zalewająca mu oczy zbiałała, ból osiągnął kolejny poziom, po czym znikł jak nagle wyłączony. Omdlenie trwało jednak tylko kilka sekund. Ocucił go docierający gdzieś z daleka głos.

— ...i jakbym tak mocniej nacisnął, to mógłbym namacać kość. O, tak!

— Czego chcecie? Ja nic nie wiem!

Znów biel i znów trwający parę sekund ból. Oprzytomniawszy, Uri zdał sobie sprawę, co się z nim dzieje. Ból był tak potworny, że kolejno tracił i odzyskiwał przytomność.

Teraz pozostało mu już tylko modlić się, by dźganie palcem w ranę jak najszybciej pozbawiało go przytomności. Chciał wytrzymać ból i dotrzeć do kolejnego omdlenia, ale usłyszał tylko własny wrzask, bo czyjeś dwa palce ponownie zagłębiły się w ranę, rozpychając ją i poszerzając.

— Powiedz, co wiesz.

— Wiecie wszystko to co ja.

Usłyszał swoje wycie tak, jakby pochodziło od kogoś innego. I usłyszał też głos odzywający się z głębi jego jestestwa. Teraz, powiedział głos. To twoja szansa, zmusz się. Wyłącz się z bólu. Zasklep się w swojej głowie.

Spróbował powrócić do tego, o czym myślał tuż przed przyjściem tych ludzi. Myślał o zgrabnym pseudonimie wymyślonym przez ojca. Ehud Ramon. Zostań przy tym — mówił głos — trzymaj się tego. Zaczął go powtarzać, czując, jak jego ciało konwulsyjnie drga w cierpieniu. Ehud Ramon, Ehud Ramon, Ehud Ramon...

I nagle z mroków zapomnienia wróciło wspomnienie ukryte w nich od lat. Bajka na dobranoc, którą jako dziecko uwielbiał i o którą wciąż prosił ojca. Bajka o uroczym niesfornym chłopcu. Na ułamek sekundy zamiast bieli i czerwieni zobaczył okładkę tamtej książeczki i jej tytuł. *Mój brat, Ehud*. Jak to powiedział

ojciec w tym nagraniu wideo? *Schowałem go w bezpiecznym miejscu, o którym wiesz tylko ty i mój brat.*

Oczywiście, myślał Uri, gorączkowo chwytając się tej myśli i nie dając się wciągnąć do piekła ogarniającego dolną partię jego ciała. Oczywiście! Ojcu nie chodziło o prawdziwego brata. Mówił o wymyślonym bracie z bajki na dobranoc. Był pewien, że jego syn natychmiast ją sobie przypomni. A to miało go z kolei doprowadzić do innej wymyślonej postaci, mitycznego Ehuda Ramona.

Dźganie w ranę jeszcze przybrało na sile, a jego oprawcy posługiwali się teraz jakimś narzędziem, wciąż powtarzając jedno pytanie. Gdzie jest tabliczka? Gdzie ona jest? Ale Uri był zasklepiony we własnej głowie. Jakże typowo guttmanowski patos, myślał. Profesor natyka się na starodawne, ręcznie wyżłobione słowa Abrahama, który mówi o swych dwóch synach: Izaakowi, ojcu żydów, i Izmaelowi, ojcu muzułmanów. O dwóch braciach, Żydzie i Arabie. „Mój brat...”, mówi Szimon Guttman. Gdyby mógł, Uri uśmiechnąłby się. Jego miotający gromy i nieprzejednany ojciec nacjonalista używa najbardziej wytartego frazesu, jakiego używają ckliwi lewacy, którzy, chwyciwszy się za ręce, śpiewają rzewne pieśni. Żydzi i Arabowie to bracia.

I mimo iż jego ciało cierpiało katusze, a zmysły miał otępiałe od strasznego bólu, spłynęła na niego fala podziwu dla starego ojca. Obmyślił prawdziwie błyskotliwy szyfr. Czy jakkolwiek kryptograf na świecie wpadłby na to, że mówiąc o „swoim bracie” fanatyczny jastrząb żydowskiego nacjonalizmu ma na myśli zawziętego nacjonalistę palestyńskiego Ahmeda Noura?

Rozdział 61

Jerozolima, piątek, godz. 11.50

Maggie wlepiła wzrok w słowa na kartce i na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Imię Władimir kojarzyło jej się tylko z jednym człowiekiem — Władimirem Żabotinskim, mentorem Szimona Guttmana i postacią z jego hasła. Zatem *Władimir junior* mogło oznaczać tylko jedną osobę. Dotarło do niej, że wiadomość pochodzi od Uriego, i poczuła ulgę, która spłynęła na nią wraz z kolejną falą obezwładniającego wyczerpania. Uświadomiła sobie, iż Uri zawiadamiają, że żyje. Jakimś cudem przeżył strzelaninę na drodze i męczarnie z rąk oprychów Millera. I że jest teraz w „starej chwili”. Właśnie to wywołało jej uśmiech. Wiedział, że to zrozumie, bo kiedyś o tym rozmawiali: o kawiarni, która była Chwilą.

• • •

Weszła do środka i natychmiast go dostrzegła. Siedział przy tym samym stoliku, przy którym czekał na nią dwa dni wcześniej. Tylko że teraz patrzył wprost na nią.

— Chciałam ci powiedzieć, że zwykle nalegam, aby druga randka była w jakimś nowym miejscu.

Spróbował zareagować uśmiechem, ale udało mu się tylko wykrzywić twarz. Usiadła i wycisnęła długi pocałunek na jego ustach. Ułga, jaką odczuła po przeczytaniu kartki, była niczym w porównaniu z uczuciem, które teraz ją ogarnęło. Przysunęła

się bliżej i spróbowała go objąć, odskoczyła jednak, gdy jęknął z bólu.

Wskazał na nogę i wyjaśnił, że pod nogawką dżinsów kryje się gruby opatrunek na ranie postrzałowej. Pokrótce opowiedział jej o postrzeleniu i późniejszym przesłuchaniu, krzywiąc się na myśl o przeżytych cierpieniach. Opowiedział też, jak w trakcie przesłuchania jego oprawcy odebrali telefon, po którym przerwali tortury. Ubrali go w nowe ciuchy, zawieźli do centrum i wysadzili na ulicy parę przecznic od tej kawiarni. Na pożegnanie wygłosili jeszcze ostrzeżenie: „Widziałeś, co się stało z twoimi rodzicami. Jak nie będziesz trzymał języka za zębami, to samo stanie się z tobą”. Cały czas miał związane oczy.

— Uri, czy ci ludzie, którzy... czy powiedzieli ci, kim są?

— Nie musieli tego mówić.

— Domyśliłeś się?

— Domyśliłem się tego, zanim przeszli na angielski. Między sobą rozmawiali po arabsku i przez cały czas zwracali się do swojego przywódcy „Daoud”. Mówili płynnie, ale tak jak ja, z obcym akcentem. — Próbował się uśmiechnąć. — To był arabski ze szkoły oficerów wywiadu. Wiesz, taki język, jaki poznaje się w ławce, nie w domu. Ze mną jest podobnie. Początkowo sądziłem nawet, że to Izraelczycy, i odezwałem się po hebrajsku. — Pokręcił głową. — Żadnej reakcji. I wtedy na to wpadłem. A kiedy zaczęli mnie torturować, to już się z tym nawet nie kryli. To mnie w tym najbardziej przerażyło.

Maggie uniosła pytająco brwi.

— Kiedy oprawcom przestaje zależeć na zachowaniu anonimowości, może to oznaczać tylko jedno. Że i tak nie będziesz mogła ich wydać, bo mają zamiar cię zabić.

Potem ona opowiedziała mu o sobie. Zrobiła to, nie rozwodząc się jednak nad szczegółami anatomicznymi, a on siedział wpatrzony w nią z takim napięciem, jeszcze nigdy go takim nie widziała. Chwilami na jego twarzy malowała się wściekłość i zawziętość, ale głównie wyraz głębokiej troski. Gdy skończyła, zapytał cicho:

— Dobrze się czujesz?

Starła się go uspokoić, że już wszystko dobrze, ale słowa uwięzły jej w gardle i poczuła pieczenie pod powiekami. Do tej pory nie uroniła ani jednej łzy. Wycisnęło je dopiero pytanie Uriego. Ujął jej rękę i ścisnął, jakby zastępując tym słowa, których nie wypowiedziała, i nie chcąc jej przez dłuższą chwilę puścić.

Kiedy ściszyła głos i opowiedziała o Millerze, na jego twarzy odmalowało się łagodne zdziwienie.

— Zdajesz sobie sprawę — dodała — że ta sprawa sięga samego szczytu.

— Oczywiście. Siły specjalne same nie wkraczają do akcji.

Jego słowa spowodowały, że powrócił do niej niepokój. Taki, jakim zareagowała na oświadczenie Millera, że jest wolna. Sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła kartkę z wiadomością od Uriego i na odwrocie nagryzmoła:

Kiedy cię wypuścili? O której był ten telefon?

Uri spojrział na nią zaskoczony, ale napisał przypuszczalny czas. Maggie rzuciła okiem na zegar na ścianie kawiarni. Trudno to było wyliczyć dokładnie, ale jeśli ocena Uriego była trafna, zwolniono go jakieś dziesięć minut po niej. Ten telefon musiał być zatem od Millera. Puszczamy ją wolno, jego też wypuście.

Maggie przysunęła kartkę do siebie.

— Uri, jestem głodna. Mają tu coś do jedzenia? Chciałabym coś na ciepło...

Mówiąc, nie przestawała pisać:

Uwolnili nas, żeby nas śledzić. Nie odpuścili. Chcą, żeby ich doprowadzić.

— No, więc tak... — rzekł Uri, czytając jej słowa i kiwając głową. — Niezłe są tu potrawy z jajek. I kawa. Kawę podają w kubkach wielkich jak wiadra.

Zostali przy stoliku, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Mówili też trochę o swoich ostatnich przeżyciach, wiedząc, że milczenie na ten temat byłoby nienaturalne. Ani słowem nie wspomnieli natomiast o planach. W każdym razie nie zrobili tego głośno.

• • •

Ruch na ulicach był już dużo mniejszy i Uri wyjaśnił, że to w związku ze zbliżającym się szabasem. Jerozolima stawała się ostatnio coraz bardziej ortodoksyjna, a to oznaczało, że na prowadzących samochody między piątkiem po południu a zachodem słońca w sobotę patrzono wrogo. Jeszcze jeden powód, przez który można tu było zwariować.

Uri zatrzymał taksówkę i powiedział kilka słów do kierowcy, który posłusznie nastawił głośniejsze radio.

— No dobra, Władimirze juniorze — zaczęła Maggie. — Mów, co się dzieje. Napisałeś, że wiesz, co trzeba zrobić.

Uri wyjaśnił, że olśniło go pod wpływem bólu. Nie miał wątpliwości, że stało się to właśnie wtedy. Torturowali go, żeby wydobyć z niego informację, której nie posiadał, i wtedy, zupełnie niespodziewanie, wszystko zrozumiał. Ojciec powiedział „mój brat”, więc cóż innego mógł mieć na myśli?

Gdy został wypuszczony, natychmiast udał się do kawiarenki internetowej, zalogował się pod hasłem ojca i odnalazł e-maila, którego wysłał syn albo córka Ahmeda Noura. *Kim jesteś? I dlaczego kontaktujesz się z moim ojcem?* Wtedy w ogóle nie zwrócili na to uwagi. Założyli, że Nour junior wie o swoim ojcu równie mało jak Uri o swoim.

Zrobił to teraz i wkrótce otrzymał odpowiedź. Uri ostrożnie sformułował swoją wiadomość. Napisał tylko, że posiada pewne informacje na temat śmierci Ahmeda Noura i chciałby się nimi podzielić. Dwaj pogrążeni w bólu synowie — Izraelczyk i Palestyńczyk — postanowili się spotkać w hotelu American Colony po wschodniej, a więc arabskiej stronie niewidzialnej granicy dzielącej Jerozolimę. Uzgodnili, że pojawią się tam wkrótce.

Maggie skinęła głową. Mieszkała w tym hotelu w czasie poprzedniego pobytu w mieście. Było to blisko dziesięć lat temu, ale zapamiętała, że to miejsce owiane jest swoistą legendą. Spotykali się tam na drinku odwiedzający Jerozolimę dziennikarze, dyplomaci, nieoficjalni emisariusze obu stron, różnego autoramentu ochotnicy walki o pokój i szpiedzy. Można ich było zobaczyć w ocienionym drzewami ogródku, gdzie godzinami sączyli miętową herbatę i plotkowali. Wieczorami zjawiali się pokryci kurzem Strefy Gazy korespondenci prasowi. Po całym dniu borykania się z nędzą Trzeciego Świata i obserwowania aktów krwawej przemocy powrót do hotelu był dla nich jak wizyta w niebie.

I nic od tamtej pory się nie zmieniło, pomyślała Maggie, wchodząc z Urim do środka. Chłodna kamienna posadzka w holu, nawiązujące do dawnych lat portrety i rysunki na ścianach, powitalne pokłony personelu. Nazwa była w pełni uzasadniona: panowała tu taka atmosfera, jakby hotel żywcem przeniesiono z kolonialnych lat dwudziestych ubiegłego wieku. Od razu przypomniała sobie wystrój pokoju, w którym nocowała dziesięć lat temu. Nad biurkiem wisiała czarno-biała fotografia brytyjskiego generała Allenby'ego, którą mu zrobiono w chwili wkroczenia do Jerozolimy w 1917 roku. Za oknami mógł kwitnąć nowoczesny Izrael, ale tu wciąż obowiązywał obraz Palestyny sprzed lat.

Uri nawet nie zwolnił. Mocno utykając, bez chwili zastanowienia, ruszył przez hol ku prowadzącym w dół schodom. Założywszy, że są śledzeni, zaproponował Nourowi spotkanie w miejscu, które z reguły było rzadko odwiedzane przez gości hotelowych. Jeśli się okaże, że poza synem Noura będzie tam ktoś jeszcze, będą mieli dowód na to, jak bardzo są pilnowani.

Poza samotnym mężczyzną na terenie basenu hotelowego rzeczywiście nie było nikogo i wszystkie rozstawione wokół niego leżaki były puste. Nawet przy słonecznej pogodzie nikt w Jerozolimie nie tracił czasu na kąpiele i opalanie się. W tym mieście takich rzeczy się nie robi.

Na widok zbliżającego się Uriego i idącej dwa kroki za nim Maggie nieznamy uniósł się z miejsca. Widząc go pod słońce, Maggie początkowo dostrzegła tylko zarys jego sylwetki i dopiero z bliska stwierdziła, że mają do czynienia z wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną z włosami ostrzyżonymi tuż przy skórze. Wyglądał na trzydzieści parę lat i miał bystre, przejrzyste zielone oczy. Ubrany był w dżinsy i luźny T-shirt.

Uri wyciągnął rękę, którą Palestyńczyk uściśnął z lekkim wahaniem, co spowodowało, że Maggie od razu stanął przed oczami słynny uścisk dłoni Rabina z Arafatem na trawniku Białego Domu w 1993 roku. Pamiętała, z jakim trudem Rabin zdobył się wtedy na wyciągnięcie ręki i z jaką odrazą odchylił do tyłu całą górną połowę ciała. Media długo pastwiły się nad tą sceną, ale międzynarodowa społeczność bliskowschodnich ekspertów pokiwała tylko ze zrozumieniem głowami: z tego rodzaju mową ciała stykali się na co dzień.

— Uświadomiłem sobie — zaczął Uri — że nawet nie znam twojego imienia.

— Mustafa. A ty jesteś...

— Uri. — W głosie obu słychać było nerwowość i niepewność. Maggie wiedziała, że Izraelczycy i Palestyńczycy mogą całe życie mieszkać o krok od siebie i praktycznie nigdy się do siebie nie odezwać.

Równocześnie wskazali na siebie ręką, wzajemnie oddając sobie głos. Uri na szczęście pamiętał, by sięgnąć do torby i wyjąć z niej przenośne radio. Włączył je, ustawił głośność na full i bezgłośnie powiedział: „pluskwy”. Potem przedstawił Maggie i przeszedł do rzeczy.

— Serdeczne dzięki za przyjęcie, Mustafa. Wiem, że nie było to dla ciebie proste...

— Na szczęście jestem zameldowany w Jerozolimie. Inaczej mój przyjazd z Ramallah byłby niemożliwy.

— Jak ci wiadomo, nasi ojcowie się znali. — Uri pokrótce wspominał o anagramie i zakodowanych e-mailach. Potem głęboko nabrał powietrza i opowiedział o całej reszcie: tabliczce,

nagranej wiadomości ojca, tunelach. O tym, że są już bardzo blisko, ale wciąż jeszcze czegoś brakuje.

— Uważasz, że mój ojciec mógł wiedzieć, gdzie jest ta tabliczka?

— Mógł. Po śmierci mojego ojca twój stał się następną ofiarą. To znaczy, że ktoś uznał, że coś wie.

Mustafa Nour, który ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Uriego, teraz przeniósł go na Maggie, jakby szukając u niej potwierdzenia jego słów. Lekko skinęła głową.

— Wiecie — odezwał się w końcu, przyglądając się swoim dłoniom. — Całe życie trzymałem się z dala od polityki. To była działka ojca.

— Doskonale cię rozumiem. — Uri się uśmiechnął.

— Przejrzeliśmy wszystkie jego e-maile i notatniki, ale nigdzie nie znaleźliśmy nic na ten temat. Telefon był zabezpieczony hasłem, więc nie udało nam się do niego zajrzeć, ale asystentka dokładnie przejrzała zawartość jego komputera.

— Rozmawialiście w ostatnich dniach przed jego śmiercią? Może wspominał o jakimś nowym odkryciu?

— Nie. Właściwie nigdy nie rozmawialiśmy o jego pracy.

Uri odchylił się do tyłu i głośno westchnął. Maggie czuła, że jest bliski załamania. To była jego ostatnia nadzieja.

Schowałem ją w bezpiecznym miejscu, o którym możesz wiedzieć tylko ty i mój brat.

Trybiki w głowie Maggie zaczęły się wolno obracać. Pomyślała, że dotychczasowe wskazówki Szimona Guttmana układały się w logiczną całość i że zawsze nalegał w nich, by Uri wrócił pamięcią do spraw znanych mu z przeszłości: *Co robiliśmy w czasie tej podróży. Mam nadzieję, że to pamiętasz. Zapewne to samo zrobił w stosunku do swego „brata” Ahmeda Noura. Może nie przekazał mu żadnej nowej informacji, a zadaniem palestyńskiego kolegi było tylko wrócić pamięcią do czegoś, co wydarzyło się wcześniej.*

— Mustafa — zaczęła. Przytrzymała łagodnym, ale zdecydowanym ruchem rękę Uriego na znak, że ma ją dopuścić do

głosu. — Czy kontakty twojego ojca z kimś z Izraela były dla ciebie zaskoczeniem?

— Tak — odparł, wlepiając w nią przenikliwe spojrzenie zielonych oczu. Maggie liczyła, że jej nowy pomysł wypali i jego odpowiedź mocno ją zawiodła. — I nie.

— I nie?

— Kiedy się o tym dowiedziałem — ruchem głowy wskazał Uriego — byłem początkowo bardzo zaskoczony. Ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej miało to sens. Chodzi mi o to, że ojciec bardzo dużo wiedział o Izraelu. Był ekspertem w dziedzinie języków z tego regionu, nawiasem mówiąc, również w kwestii języka, jakim pisane są te starożytne tabliczki. Znał też oczywiście hebrajski. Wiedział bardzo dużo na temat historii i teraźniejszości tego kraju.

— Stara zasada: poznaj swojego wroga — mruknął Uri, zanim Maggie zdążyła go kopnąć. Zaczęła energicznie potakiwać w nadziei, że przytrzyma wzrok Mustafy na sobie.

— Jednym słowem był prawdziwym ekspertem. Świetnie, mów dalej.

— Wydaje mi się zatem logiczne, że tej wiedzy nie czerpał tylko z książek. Sądzę, że musiał po tej stronie spędzać dużo więcej czasu, niż się do tego przyznawał. I że mógł też mieć tu kogoś, kto mu pomagał.

— Okay. Czy wspominał kiedyś, że...

— Wiem na przykład, że zwiedził tunel pod Haram al-Szarif. Niewielu Palestyńczyków tam było. Ale on tak, choć nigdy głośno o tym nie mówił. Był zawziętym wrogiem jego budowy. Uważał, że syjoniści usiłują zrobić podkop pod Dzielnicę Muzułmańską.

— Ale mimo to był tam.

— Z ciekawości.

— No cóż — powiedziała Maggie, uśmiechając się wyrozumiale.

— Był archeologiem.

— Zawsze. I dlatego chciał to zobaczyć.

Maggie próbowała wyobrazić sobie dwóch starych ludzi

z przeciwnych biegunów ideologicznych — jednego ultrasyjo-nistę, drugiego zawziętego palestyńskiego nacjonalistę — którzy w grupie turystów snują się po labiryncie starożytnych korytarzy. Czy to możliwe? Czy Szimon Guttman mógł wystąpić w roli przewodnika i oprowadzić Ahmeda Noura po zakamarkach ukrytych pod Ścianą Zachodnią? A może Nour zrewanżował się tym samym i oprowadził Guttmana po wykopaliskach palestyńskich? Trudno się dziwić, że Guttman chciał omówić sprawę tej tabliczki właśnie z Nourem. Być może w tym nękanym konfliktami rejonie byli jedynymi ludźmi, którzy umieli odczytać umieszczony na niej tekst i docenić jego znaczenie.

Odczekała jeszcze chwilę.

— Mustafa, wiem, że to trudne, ale naprawdę spróbuj się wysilić. Czy jest tu jeszcze coś, jakieś inne miejsce znane ojcu? Coś, co mogło go wiązać z Szimonem Guttmanem?

— Nic mi nie przychodzi do głowy.

Maggie czytała we wzroku Uriego jego myśli. Nic z tego nie będzie. Wyraźnie zbierał się już do wyjścia.

— No dobrze — powiedziała pospiesznie. — A może spróbujmy inaczej. Powtórzmy ci dokładną treść wskazówki zostawionej przez ojca Uriego, a ty nam powiesz, czy z czymś ci się to kojarzy, zgoda?

Mustafa skinął głową.

Maggie odtworzyła z pamięci treść wskazówki. *Udaj się na zachód, młody człowieku, i wejdź do modelowego miasta koło Miskan. W ciągu pradawnych korytarzy znajdziesz to, co dla ciebie zostawiłem.*

Mustafa poprosił, żeby Maggie jeszcze raz powoli powtórzyła, potem przymknął oczy i w skupieniu wysłuchał jej słów. W końcu się odezwał:

— Sądzę, że chodzi mu o Haram al-Szarif, to miejsce, gdzie już byłeś. Korytarze, czyli tunele, tak? A modelowe miasto? Wszyscy tak nazywamy Jerozolimę. Zarówno żydzi, jak i muzulmanie.

— Jasne, ale gdzie konkretnie? — W głosie Uriego słychać było zniechęcenie.

— Mówi „udaj się na zachód”. Czy może to oznaczać kierunek posuwania się tunelem?

— Tunel prowadzi tylko jedną drogą i ja ją odbyłam — prychnęła niecierpliwie Maggie. Ona też już zaczynała mieć dosyć.

— Przepraszam.

— Nie, nie — szybko się opanowała. — Nie masz za co przepraszać. Po prostu mieliśmy nadzieję, że może będziesz coś wiedział.

Wszyscy razem ruszyli do wyjścia. Całą drogę Maggie i Uri, na wszelki wypadek, przeszli z nisko opuszczonymi głowami. Byli już na zadaszonym podjeździe przed hotelem, gdy Maggie uświadomiła sobie nagle, że nie pomyślała o złożeniu Mustafie kondolencji. Chcąc to nadrobić, zaczęła go wypytywać o zmarłego ojca: ile dzieci po sobie zostawił, ile wnuków.

— I wciąż jeszcze pracował?

— Tak — odparł Mustafa i opowiedział o wykopaliskach w Beitin. — Ale nie to było marzeniem jego życia. Swojego prawdziwego marzenia już nigdy nie zrealizuje — dodał i oczy mu się zaszkliły.

— A co nim było? — rozmawiając, Maggie miała głowę lekko przechyloną w bok, co w amatorskiej mowie ciała ma sygnalizować współczucie.

— Chciał zbudować Muzeum Palestyny, monumentalny gmach pełen obrazów, rzeźb i wszystkich archeologicznych pamiątek, jakie udałoby się zdobyć. Zebrać historię Palestyny w jednym miejscu.

Uri spojrział na niego z nagłym ożywieniem.

— Masz na myśli coś w rodzaju Muzeum Izraela?

— Tak. Pamiętam, jak mi o nim opowiadał. Mówił, że pewnego dnia my też będziemy mieć coś takiego. W naszej części Jerozolimy. Coś, co pokaże światu, jak było tu kiedyś. Żeby wszyscy ludzie mogli to zobaczyć.

Uri wytrzeszczył oczy.

— Tak powiedział?

— Tak — uśmiechnął się Mustafa. — Dawno temu. Któregoś dnia, Mustafa, powiedział, zbudujemy to, co oni i przedstawimy światu historię naszej Jerozolimy. Nie jako abstrakcję, ale konkret, który da się zobaczyć i dotknąć.

— Ojciec musiał mu ją pokazać — powiedział cicho Uri.

— Uri?

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

— Wyjaśnię po drodze. Mustafa, możesz nam jeszcze poświecić trochę czasu?

Chwilę później wszyscy troje jechali już taksówką ku zachodniej dzielnicy miasta. Uri siedział z uśmiechem na twarzy i potrząsał głową, co raz mamrocąc pod nosem „oczywiście, no jasne”. Gdy Maggie spytała w końcu poirytowanym głosem, co się, u diabła, dzieje i dokąd jadą, spojrział na nią i Mustafę szeroko rozwartymi oczami, a jego twarz opromienił radosny uśmiech.

— Myślę, że dzięki naszym ojcom nasza podróż właśnie dobiega końca.

Rozdział 62

Jerozolima, piątek, godz. 13.11

Przez całą drogę Uri okazywał silne podniecenie. Usiadł na siedzeniu obok kierowcy i na tle dudniącego z głośników techno zaczął z ożywieniem objaśniać ojcowską zagadkę.

— Widzicie, po prostu dałem się zwieść. Bez zastanowienia przyjąłem, że jego „Udaj się na zachód, młody człowieku” odnosi się do Ściany Zachodniej. Uznałem to za oczywiste. Tylko dlaczego ojciec miałby gmatwać coś tak oczywistego? Dlatego, że naprawdę chodziło mu o zachód w sensie geograficznym, o zachodnią część Jerozolimy. I o miejsce znane „jego bratu”, czyli twojemu ojcu, Mustafa. Wskazówką było słowo „Miszkan”. Bo Miszkan może oznaczać świątynię, ale także to, Kneset.

Jak na zamówienie za oknami taksówki przesunął się gmach izraelskiego parlamentu.

— A co z resztą? Co z tymi korytarzami?

— O nic się nie martw, Maggie. Na miejscu wszystko się wyjaśni. Jestem tego pewien.

Zwrócił się do kierowcy i spytał, czy mógłby skorzystać z jego komórki. Zrobił to też zaraz po wyjściu z hotelu, kiedy równie podnieconym głosem przeprowadził rozmowę po hebrajsku i po której rozłączył się z uśmiechem na ustach. Maggie zaniepokoiła myśl, że może dzwonił do Orli, która mogła jednak nie być taka „była”, jak twierdzi.

Już miała go o to zapytać, ale powstrzymał ją widok nagle zasępionej twarzy Uriego. Bębniąc nerwowo palcami w obudowę deski rozdzielczej, zaczął ponaglać taksówkarza do szybszej jazdy. Na pytanie Maggie, czy coś się stało, rzucił tylko jedno słowo: „Szabas”.

Wjechali na zupełnie opustoszały parking. Zapominając o zranionej nodze, Uri wyskoczył z taksówki i niemal biegiem pokuśtykał w stronę kas biletowych. Wszystkie okienka wyglądały jednak na głucho zamknięte. Zanim Maggie i Mustafa do niego dołączyli, zdążył już wdać się w pełną gestykulację dyskusję z portierem przy drzwiach. Jego obawy sprawdziły się: z uwagi na szabas Muzeum Izraela było nieczynne.

Po dłuższych namowach portier niechętnie podał mu telefon komórkowy, z którego uprzednio do kogoś zadzwonił. Głos Uriego uległ natychmiastowej metamorfozie. Stał się tak ciepły i przymilny, że — nie rozumiejąc ani słowa — Maggie nie miała wątpliwości, iż rozmawia z kobietą.

I rzeczywiście po kilku minutach zjawiła się atrakcyjna młoda kobieta z walkie-talkie w dłoni i plakietką z nazwiskiem przypiętą do klapy granatowego żakietu. Na jej widok Uri rzucił przez ramię do Maggie i Mustafy:

— Pamiętajcie, jesteśmy ekipą telewizji BBC. Maggie, ty jesteś reporterką.

Kobieta obrzuciła ich nieufnym spojrzeniem, nie było w nim jednak wrogości. Uri natychmiast przystąpił do akcji i Maggie z podziwem przyglądała się frontalnemu atakowi w jego wykonaniu. Ani na chwilę nie przestawał patrzeć na młodą kobietę, od czasu do czasu potrząsał głową, odrzucając z twarzy niesforne kosmyki długich włosów i jakby odruchowo kładł dłoń na jej ręce. I nie przestawał mówić. Włączył cały swój męski urok, co na młodej kobiecie z końskim ogonem zrobiło na tyle duże wrażenie, że odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi.

Wpuściła ich do środka i znacząco postukała w zegarek, jakby mówiąc „ale tylko na chwilę”. Portier z niedowierzaniem pokręcił głową. Maggie obrzuciła Uriego pytającym spojrzeniem.

— Rzeczniczka prasowa muzeum — szepnął. — Przypomniałem jej, że spotkaliśmy się kilka lat temu i że ogromnie mi przykro, że tak szybko mnie zapomniała.

— A spotkaliście się?

— Nie mam pojęcia.

Podając się za reżysera, jakimś cudem wmówił rzeczniczce, że wraz z Maggie i Mustafą tworzą ekipę telewizyjną, która dziś wieczorem wraca już do Londynu, a potrzebne jej jest jeszcze tylko jedno ujęcie. Wyjaśnił też, że będzie ono wykonane teleobiektywem o długiej ogniskowej i dlatego nie ma z nimi operatora. Siedzi tam — dodał — wyciągając rękę w stronę kępy zarośli pod En Kerem. Ujęcie zacznie się od zbliżenia na Maggie, po czym nastąpi odjazd, który ukaże całą wspaniałą panoramę. Operator jest już na stanowisku i, jeśli pani rzeczniczka sobie życzy, może z nim porozmawiać przez telefon. Wszystko potrwa nie dłużej jak pięć minut i zaraz potem się wyniosą.

— I kupiła te brednie?

— Chyba było jej miło, że ją jeszcze pamiętam...

Szli po otwartym terenie przypominającym wyglądem uniwersytecki kampus lub wielki prywatny ogród. Alejki obrosnięte były szpalerami równo przyciętych krzewów, po których pieczołowicie rozprowadzono czarne wężyki nawadniające, wśród zieleni sterczały nowoczesne rzeźby i zabawne przedmioty, jak na przykład pomalowana na czerwono wielka stalowa kolumna w kształcie psiego gwizdka. Od głównej alei odchodziły alejki oznakowane tabliczkami kierującymi zwiedzających do poszczególnych części muzeum, a także do sklepu z pamiątkami i restauracji. Patrząc na to wszystko, nietrudno było zrozumieć Noura, który, tkwiąc w piachu i brudzie Ramallah, marzył o czymś takim dla Palestyny.

Minęli wielką białą budowlę, która miała kształt gigantycznej kobiecej piersi ze strzelającym w górę sutkiem. Otaczała ją płytka sadzawka. Z bliska można było dostrzec, że powierzchnia budowli złożona jest z tysięcy białych cegiełek.

— Świątynia Książki — wyjaśnił Uri, prąc do przodu. — To tu trzymają zwoje z Morza Martwego. Wiesz, że znaleziono je w... jak to się mówi po angielsku? W urnie? Kształt budynku nawiązuje do jej pokrywy.

— A więc jednak nie do cycka — mruknęła pod nosem niby do siebie, ale idący obok Mustafa uśmiechnął się.

— Tędy — powiedział Uri. Poprowadził ich ku wystającemu ze zbocza kamiennemu tarasowi, z którego roztaczała się wspaniała panorama Jerozolimy. Po prawej widać było mijane po drodze budynki rządowe i boisko lekkoatletyczne, po lewej rzeczywiście rozciągała się plama zieleni, w której Maggie niemal spodziewała się dojrzeć czekającego na sygnał operatora.

Jednak Uriego wyraźnie interesowało coś innego. Stał przechylony przez balustradę i wyciągając rękę, pokazywał im coś w dole.

Podążając za nią wzrokiem, Maggie ujrzała rozciągające się u jej stóp miniaturowe miasto z murami, ulicami i domami, w których pieczołowicie odtworzono najdrobniejsze szczegóły, łącznie z czerwonymi dachówkami, ręcznie wykonanymi kolumnkami, maleńkimi drzewkami i mikroskopijnymi cegiełkami w ścianach. Widać też było place, liczne baszty, a nawet kolo-seum. To ostatnie ją zastanowiło. Czyżby to był model starożytnego Rzymu? Ale co to za marmurowa budowla z czterema korynckimi kolumnami o złotych zwieńczeniach, które sięgają dachu tak lśniącego, jakby zrobiono go ze szlachetnego metalu? Budowla dominowała nad całym miastem i była co najmniej trzykrotnie wyższa od reszty budynków.

Chwila zastanowienia wystarczyła. Toż to model starożytnej Jerozolimy, a ta monumentalna budowla to Świątynia! Dopiero teraz mogła docenić jej imponującą, dominującą nad całym miastem sylwetkę. Tak musiała wyglądać Jerozolima dwa tysiące lat temu, przed zburzeniem Żydowskiej Świątyni. Zorientowanie się w topografii miasta było trochę utrudnione, bo brakowało najbardziej charakterystycznego punktu orientacyjnego współ-

czesnej Jerozolimy — złocistej Kopyły Skały na Wzgórzu Świątynnym, która miała powstać dopiero dwanaście wieków później. Ale jakże zapierające dech w piersiach wrażenie musiała robić ta budowla na mieszkających tu dwa tysiące lat temu. Jakim lękiem musiał ich napawać widok tej wspaniałej budowli z kolumnadami i murami tak potężnymi, że reszta miasta wyglądała przy niej jak skromne czworaki.

Udaj się na zachód, młody człowieku, i wejdź do modelowego miasta...

Maggie miała ochotę parsknąć śmiechem na myśl o dosłowności tego rozwiązania. Zagadka Guttmana okazywała się w równym stopniu pomysłowa co oczywista, należało tylko wiedzieć o istnieniu takiego modelu. Maggie uświadomiła też sobie, że ten stary lis naprawdę okazał się przewidujący. Gdyby Jego brat" Ahmed Nour żył, zapewne nie miałby wątpliwości, gdzie należy szukać. Ale gdyby Noura zabrakło — a tak się właśnie stało — pozostawał jeszcze ślad zostawiony w Second Life, który również tu prowadził. Guttman zapewnił odnalezienie drogi do skarbu na dwa sposoby, jak ktoś, kto na wszelki wypadek nosi spodnie i na pasku, i na szelkach.

Uri zdążył już zejść po schodkach na dół i wejść w granice miasta. Dopiero widząc go wśród zabudowań, Maggie uświadomiła sobie skalę modelu. Większość miejskiej zabudowy nie sięgała mu nawet kolan.

— Okay, Maggie! — zawołał z dołu tonem polecenia. — Jesteś mi tu potrzebna. Ty też, Musta... Mark. Chciałbym omówić z wami plan ujęcia.

Model był ogrodzony zwykłą niską barierką i otoczony pierścieniem kamyków udającym fosę. Pokonanie obu nie stanowiło żadnego problemu. Należało tylko uważać.

— Podejdź tam — powiedział Uri, wskazując mur otaczający ogromny dziedziniec Świątyni. Mur przylegał do tylnej ściany budowli i Maggie od razu zorientowała się, do czego Uri zmierza. Stała przed zachodnią ścianą Świątyni — dokładnie tam, gdzie dziś rano weszła do tunelu. Przeszukiwanie otoczenia Wzgórza

Świątynnego w świecie realnym zajęło jej niemal cały wiek, teraz miała zrobić to samo na jego modelu.

— I weź to. — Uri podał jej jeszcze telefon komórkowy, którego nie oddał kierowcy taksówki. — Jest połączony z moim i ustawiony na głośnomówiący. To nam zapewni stałą łączność. Jakby coś się działo, masz postępować dokładnie według moich wskazówek, jasne? — zakończył nieznoszącym sprzeciwu tonem. Spytała, co ma na myśli, ale on tylko potrząsnął głową. — Nie ma na to czasu. Jak się tylko zorientują, co robimy, natychmiast nas stąd wyrzucą.

Ostrożnie przekroczyła fosę i barierkę i ruszyła w głąb modelu, czując się w otoczeniu tych uliczek i domków dla krasnoludków niczym żywcem przeniesiona do świata Guliwera czy Alicji z krainy czarów. Z trudem mieściła stopy między budynkami, a i tak w pewnej chwili poczuła, że coś chrupnęło — pewnie portyk nad wejściem do jakiejś rezydencji.

Obejrzała się i zobaczyła, że Uri wskazuje ręką konkretne miejsce — schodki zamocowane na murze i kończące się niewielkim otworem dokładnie na wprost środka Świątyni, a tym samym Świątynnego Wzgórza. Ależ tak! To przecież Brama Warrena! Była przy niej dziś rano! To tam natknęła się na rozmodlone kobiety, które w uniesieniu zbierały wargami wilgoć ściekającą po murze — boże łyzy. I to tam usłyszała, że za ścianą znajduje się Skała — Kamień Węgielny, gdzie Abraham gotów był zabić własnego syna. *W ciągu pradawnych korytarzy znajdziesz to, co dla ciebie zostawiłem...*

Pochyliła się nad schodkami i przyjrzała ręcznie wymodelowanym stopniom. Były skryte w cieniu rzucanym przez boczną ścianę, dzięki czemu z daleka stawały się całkowicie niewidoczne. Przykucnęła i dokładnie przyjrzała się ostatniemu stopniowi, od którego zaczynał się płaski podest przed bramą. Pomacała go i pod palcami poczuła piasek. Autorzy modelu zadbali nawet o to, pomyślała. Taki sam pył, jakim pokryły się jej stopy w czasie porannego chodzenia po Starym Mieście...

Nie podnosząc się z klęczek, zaczęła rozgarniać piasek i wtedy

wyczuła coś pod palcami. Między ścianą a podestem schodków była wyraźna szpara. Wczepiła w nią paznokcie i przejechała wzdłuż krawędzi. Szpara biegła wokół całego podestu.

Spróbowała mocniej wcisnąć palce i wtedy poczuła, że cały podest daje się łatwo poruszyć. Podważyła go i zakurzona płytka spoczęła na jej dłoni. Nie musiała się nawet przyglądać, by wiedzieć, że jej poszukiwania dobiegły właśnie końca.

Zza pleców usłyszała nagle kobiecy krzyk i ciężki tupot nóg, jakby biegło stado słoń. Nie zdążyła się jeszcze dobrze wyprostować, gdy męski głos wrzasnął tylko jedno słowo:

— STÓJ!

Model miasta był otoczony przez sześciu mężczyzn w czarnych kombinezonach i kominiarkach. Wszyscy mieli w rękach pistolety maszynowe i wszyscy celowali prosto w nią.

Rozdział 63

Jerozolima, piątek, godz. 13.32

Poszukała wzrokiem Uriego, ale nigdzie go nie było. Obaj z Mustafą gdzieś zniknęli. Maggie zamarła w bezruchu.

— Ręce do góry. Ale już!

Posłusznie uniosła obie ręce, jedną z telefonem komórkowym, drugą z glinianą tabliczką. Serce waliło jej jak młot, ale sama nie wiedziała, czy bardziej z emocji, czy śmiertelnego strachu.

A potem usłyszała znajomy głos.

— Dzięki, Maggie. Przeszłaś samą siebie. — Dopiero teraz pojawił się na schodach i zaczął powoli schodzić śladem swoich ludzi. — Jestem ci bardzo wdzięczny. Cały kraj jest ci wdzięczny.

Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, kto do niej mówi. Bruce Miller.

— Proponuję, żebyśmy zrobili to spokojnie i bez zbędnych emocji. Ty się nie ruszysz, a jeden z moich chłopców podejdzie i uwolni cię od tej tabliczki. Tylko uprzedzam, że jak strzeli ci do głowy coś głupiego, to my strzelimy pierwsi.

Walenie w skroniach niemal uniemożliwiło jej myślenie. Znalazła się w śmiertelnej pułapce i chyba nie miała innego wyjścia, jak poddać się Millerowi. Pamiętała o wszystkim, co ją i Uriego spotkało z rąk jego oprawców. Należało spojrzeć prawdzie w oczy. Miller i jego banda wygrali.

W tym momencie do jej uszu dotarł jakiś nowy dźwięk. Ktoś

coś do niej mówił z bliska, choć znacznie ciszej. Trwało chwilę, nim zorientowała się, o co chodzi.

— Maggie, tu Uri — głos dochodził z uniesionej w górę komórki. — Posłuchaj uważnie. Powiedz Millerowi, że jest w kamerze, która na żywo przekazuje obraz do Internetu.

Znów poszukała go wzrokiem, ale nadal nigdzie nie było go widać. Musiał w porę zauważyć zbliżających się napastników i zdążyć gdzieś się ukryć. Tylko co on plecie o jakiejś kamerze i Internecie? Co innego zrobienie wody z mózgu panience od muzealnego PR, a co innego próba wyprowadzenia w pole szcwanego lisa, doradcy amerykańskiego prezydenta.

Przez myśl przemknęła jej jednak scena na szosie. Wtedy też w mgnieniu oka musiała zdecydować, czy zaufać Uriemu. Zaufała i dobrze na tym wyszła.

— Bądź grzeczną dziewczynką i oddaj nam tabliczkę, bo inaczej moim chłopcom może przyjść do głowy, żeby dokończyć to, co zaczęli. Nie sądzisz chyba, że penetrowanie różnych zakamarków twojego apetycznego ciała nie sprawiło im frajdy. Ale coś ci wyznam. Byli troszkę rozczarowani, że musieli się ograniczyć tylko do rąk. Więc na pewno z radością zerzną cię po kolei od przodu i od tyłu, a potem znajdą jeszcze sto sposobów, żeby się zająć twoim kochasiem. Co ty na to?

Znów dotarł do niej głos Uriego.

— Powiedz mu, żeby zadzwonił do konsulatu. Niech wejdą na www.uriguttman.com i powiedzą mu, co widzą.

Maggie wciąż się wahała, ale w jej głowie powoli zaczynał krystalizować się plan działania. Znajdowali się w publicznym, dobrze widocznym miejscu i można było mieć nadzieję, że Miller nie będzie chciał użyć siły. Zrobi wszystko, by tego uniknąć, i pewnie dlatego jeszcze jej nie zaatakowano. Zaczęła mówić:

— I to mówi Bruce Miller, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych?

— Polityczny radca prezydenta, młoda damo. A teraz dawaj tę tabliczkę!

Maggie mimo woli uśmiechnęła się w duchu. Dla waszyngtońskiego biurokraty nie ma nic ważniejszego niż jego tytuł. Znowu zabrzączał głos Uriego.

— Maggie, co ty wyprawiasz? Powiedz mu o kamerze!
Powiedz, żeby zadzwonił do konsulatu!

Jeszcze nie.

— O tym mówisz? — Wyciągnęła ku niemu rękę z tabliczką, starając się opanować drżenie dłoni. — A cóż takiego ważnego może być w tym drobiazgu, że aż sześciu mężczyzn trzyma na muszce bezbronną kobietę i do tego mediatorkę zatrudnioną przez amerykański Departament Stanu?

— Już to przerabialiśmy, Maggie.

— To tylko mały kawałek gliny, panie Miller. Niewiele większy od karty kredytowej. Co aż tak ważnego może w nim być?

— Powiedz mu!!! — W głosie Uriego słychać było poirytowanie.

— Próbujesz blefować, Costello? Grasz na czas, bo dałaś się nabrać? To jakaś lewa tabliczka? Bo jeśli tak, to powtarzam: niczym nie dysponujesz. Żadnym argumentem przetargowym, żadną możliwością nacisku. Niczym.

— Och, możesz mi wierzyć, że to autentyk. Ostatnia wola i testament patriarchy Abrahama. Bo o to ci chodzi, prawda?

— MAGGIE! — W głosie Uriego brzmiała desperacja.

Ale ona jeszcze nie skończyła.

— I to dlatego Rachel Guttman musiała umrzeć. I Baruch Kiszon. I Afif Aweida, i Bóg wie kto jeszcze. Kazałeś swoim oprychom pozabijać wszystkich po to, żeby to zdobyć, prawda?

— Daj już sobie z tym spokój. Przecież wiesz, dlaczego musieliśmy pozbyć się tych ludzi. Gdyby ta tabliczka dostała się w niepowołane ręce, lista ofiar byłaby znacznie dłuższa. Tysiące, może nawet miliony ofiar.

— Czyli nie masz żadnych wyrzutów z powodu zabicia tych ludzi, mimo iż byli niewinni, czy tak? Nie masz wyrzutów, że z twojego polecenia napadnięto i torturowano mnie i Uriego

Guttmana? Odpowiedz mi szczerze, Miller. Spójrz mi w oczy i powiedz.

— Czy mam wyrzuty? Jestem z tego dumny.

— Dobrze. Teraz dam ci tę tabliczkę. — Starła się panować nad drżeniem głosu. Miała już to, co chciała, chociaż pistolety maszynowe wciąż były w nią wymierzone. — Tylko przedtem, panie Miller, powinien pan się czegoś dowiedzieć. Właśnie dobiega końca pański najważniejszy występ w telewizji. Cały czas nagrywa pana ukryta kamera i przekazuje naszą rozmowę do Internetu. Proszę zadzwonić do konsulatu. Niech ktoś wejdzie na stronę www.uriguttman.com. Proszę mu powiedzieć, żeby dokładnie wam opowiedział, co widzi. Proszę to zrobić. Jeśli to nieprawda, od razu będzie to wiadomo i wtedy będzie mógł pan zrobić ze mną wszystko, co się panu żywnie spodoba.

Patrzyła, jak Miller wyciąga komórkę i coś do niej mówi.

— Powiedz mu, żeby pomachał do kamery — odezwał się Uri. W jego głosie brzmiała całkowita pewność siebie.

— No, dalej, panie radco polityczny prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niech pan do nas pomacha — zawołała głośno.

Potwierdzenie, że Uri nie zmyśla, padło bezpośrednio z ust Millera. Powiedział tylko dwa słowa, ale ich sens nie budził żadnych wątpliwości:

— Kurwa mać!

Bóg jeden wie, jak to się stało, ale **Uri** nie blefował. Rzeczywiście przez cały czas na Millera skierowana była kamera pokazująca jego twarz i rejestrująca wszystkie jego słowa.

— To cholernie sprytnie, panno Costello, przyznaję. Ale, z całym szacunkiem, kogo obchodzi jakaś nikomu nieznana strona w Internecie? I tak nikt tego nie oglądał. Poszło w eter i rozpułyło się w niebycie...

— Niezupełnie. Przekaz jest automatycznie nagrywany. Będzie to można odtwarzać bez końca — słowa te wypowiedział Uri, tylko że już nie przez telefon. Wyłonił się z kępy zarośli i ruszył w górę zbocza, ani na chwilę nie odejmując od twarzy

małej kamery wideo. Obok kroczył Mustafa i Maggie nie mogła się nie uśmiechnąć. To się nazywa tupet!

— W tej chwili nagranie przegląda wydawca wiadomości Kanału Drugiego. Mustafa, a ty z kim rozmawiałeś przed chwilą?

— Z Al-Dżazirą. Z ich delegaturą w Ramallah.

— A nagranie wciąż trwa i wszyscy widzą, co się tutaj dzieje. I zanim przyjdą panu do głowy jakieś głupie pomysły, panie Miller, informuję, że to tylko kamera pomocnicza. W branży mówimy na to ujęcie B. Główna kamera znajduje się tam, na dole, i jest dobrze ukryta. Spróbujcie mi coś zrobić, to kolega będzie miał piękny materiał w technikolorze.

Maggie nawet z daleka widziała, że Miller robi się coraz bledszy. Próbował przywołać na twarz swój bezczelny telewizyjny uśmiezek, ale wyszedł mu tylko żalony grymas.

— I kto ci w te brednie uwierzy? — wydusił w końcu.

— Nikt by nie uwierzył, tylko że sam przed chwilą potwierdziłeś wszystkie szczegóły. Za co jesteście dożgonnie wdzięczni. Kiedy to nagranie trafi do YouTube, CNN, ABC i całej reszty, to myślę, że nawet tobie nie uda się z tego wywinąć.

Zadzwoił telefon. Miller przytknął go sobie do ucha i widać było, jak z bledego robi się przezroczysty. Odwrócił się plecami do kamery Uriego, ale i tak było słychać, co mówi.

— Tak, panie prezydencie. Słyszę pana doskonale. Rozumiem, pan również mnie widzi. Zgadza się, panie prezydencie, dzisiaj sza technika czyni cuda. — Zamilkł na dobre pół minuty. — Zaraz napiszę rezygnację, panie prezydencie. Tak jest, podkreślę, że to była operacja nielegalna, moja osobista samowola. Do widzenia, panie prezydencie.

Miller w milczeniu dał znak swoim ludziom. Utworzyli wokół niego kordon i nie opuszczając broni, zaczęli powoli wycofywać się ku schodom. Parę sekund później już ich nie było.

Uri opuścił kamerę i podszedł do Maggie. Przez chwilę stali przytuleni, potem Uri wyciągnął rękę w stronę drzew.

— Właśnie w tej sprawie dzwoniłem z samochodu. Zadzwoniłem do starego kumpla operatora, który mieszka w En Kerem.

Powiedziałem, żeby wziął najdłuższy teleobiektyw i zaszył się w tych krzakach. I żeby zabrał też najmniejszy nadajnik mikrofalowy. Dzięki temu, że trzymałaś włączony telefon, nagranie głosu wyszło chyba najlepiej ze wszystkiego. Maggie nagle przyszło coś do głowy.

— Wciąż jest włączony? — spytała, wyplątując się z jego objęć.

Uri przytaknął.

Czuła, że trzymana w rękę płytka jest jak ładunek wybuchowy, który w każdej chwili może eksplodować. Tylu ludzi już przez nią zginęło, a ona z Urim ledwie uszli z życiem. Żaden posiadacz jej tajemnicy nie mógł się czuć bezpiecznie.

— Ustaw kamerę na mnie — powiedziała. — Szybko.

Uri uniósł kamerę, ustawił kadr i dał znak kciukiem.

— Nazywam się Maggie Costello. Jestem mediatorką w rozmowach pokojowych, która przebywa w Jerozolimie na polecenie rządu Stanów Zjednoczonych. To jest — pokazała tabliczkę do kamery tak, jak to zrobił Szimon Guttman w swoim nagraniu — gliniana tabliczka sprzed blisko czterech tysięcy lat. W celu jej zdobycia Bruce Miller i grupa jego tajnych agentów podjęli w ubiegłym tygodniu wiele nielegalnych działań, dokonując włamań i zabójstw zarówno w tym kraju, jak i poza nim. Kilka minut temu wszyscy byliśmy świadkami jego przyznania się do winy. Zależało mu, by istnienie tej tabliczki, a szczególnie zapisana na niej treść, nigdy nie zostały ujawnione. A oto dlaczego...

Wreszcie miała okazję przyjrzeć się kawałkowi wysuszonej gliny, który wydłubała z kryjówki pod miniaturową Bramą Warrena i którego ani na chwilę nie wypuściła z dłoni. Oglądany z bliska rozczarowywał — tak był niepozorny, a wyłobione w nim znaki tak maleńkie. Całość uformowana z chropowatej, ziemistej gliny była nie większa od paczki papierosów i znacznie od niej cieńsza. A mimo to ludzie reprezentujący rząd jej kraju — nie wspominając już o izraelskich i palestyńskich

fanatykach — byli gotowi za nią zabijać. W wyżłobionych tysiące lat temu słowach drzemała siła, która mogła doprowadzić do wojny wojen. Wojny, która nie ograniczyłaby się tylko do dwóch zwaśnionych stron. Bo jeśli Abraham podarował górę Moria Izmaelowi, a Izrael odmówi jej oddania, muzułmanie na całym świecie uznają, że zostali bezprawnie pozbawieni swego dziedzictwa i dojdzie do brutalnego konfliktu dwóch cywilizacji. Z kolei jeśli Abraham zapisał Wzgórze Świątynne żydom, czy muzułmanie zgodzą się oddać je bez oporu i zrezygnują ze swoich praw do miejsca, z którego Mahomet wstąpił do nieba? Bez względu na treść zawartą na tym niepozornym kawałku gliny będzie ona oznaczała zwycięstwo dla jednej strony i katastrofę dla drugiej.

Obracając tabliczkę w palcach, zwróciła uwagę na kawałek taśmy samoprzylepnej na dolnej krawędzi. Zauważyła ją, wydłubując tabliczkę z podestu, ale wtedy pomyślała, że taśma posłużyła Guttmanowi do sprytnego wpasowania tabliczki w miejsce ukrycia. Przyglądając się jej teraz z bliska, stwierdziła, że to coś więcej niż tylko zwykły kawałek taśmy klejącej. Wyglądało to jak maleńka przezroczysta kopertka z folii, miniaturowa wersja plastikowej osłonki, w jaką straż miejska wkłada mandat, by nie zamókł na szybie samochodu. Ostrożnie oderwała ją od tabliczki i wyjęła ze środka złożony kwadracik papieru z trzema fragmentami tekstu. Pierwszy był po hebrajsku, drugi po arabsku, a trzeci po angielsku.

Przeniosła wzrok na tekst angielski i zaczęła czytać do kamery.

— Tę tabliczkę patriarcha Abraham podyktował skrybie krótko przed swą śmiercią w Hebronie. Napisano ją pismem klinowym w języku starobabilońskim. W tłumaczeniu na angielski brzmi następująco:

Ja Abraham, syna Teracha, przed obliczem sędziów oświadczam, co następuje. Ziemia, na którą zaprowadziłem syna mego, by go oddać w ofierze Wszchemocnemu Imieniu, zwana Górą Moria, ziemia owa stała się

zarzewiem niezgody między mymi dwoma synami, a ich imiona niechaj będą znane jako Izaak i Izmael. Takż oznajmiam przed obliczem sędziów, że górę ową zapisuję, jak następuje...

Przerwał jej huk wystrzału. Padając na ziemię, nie wypuściła tabliczki z ręki. Ścisnęła ją tak kurczowo, jakby od tego zależało jej życie.

Rozdział 64

Jerozolima, piątek, godz. 13.44

Kamera wypadła Uriemu z ręki i z hukiem walnęła o ziemię. Skoczył ku Maggie i pochylił się, szukając wzrokiem rany na jej ciele. Chwilę później obok ucha gwizdnął mu kolejny pocisk, więc położył się na niej, by osłonić ją przed kolejnymi strzałami.

Uniósłszy lekko głowę, rozejrzał się i zobaczył, że leżący kawałek dalej Mustafa wyciąga palec w górę i coś pokazuje. Zza balustrady otaczającej taras widokowy sterczało kilka luf broni palnej, a padające z nich strzały wymierzone były w leżącą poniżej miasta kępę zarośli. Czyżby wrócili ludzie Millera i strzelali w nadziei, że wymacają ukrytego w zaroślach operatora, licząc, iż w ten sposób uratują przed klęską swojego szefa?

Z gąszczu dobiegł chrzęst gałęzi i chwilę potem wołanie po hebrajsku:

— *Al tira!* Nie strzelać.

Uri usłyszał rzucony na górze rozkaz.

— *Hadel esz!* Wstrzymać ogień.

Podniósł się ostrożnie. Ciało Maggie pozostało nieruchomo rozciągnięte na ziemi.

Na schodach usłyszał tupot nóg i odwrócił się. W dół zbiegał kilkunastoosobowy oddział izraelskiej policji z bronią wymierzoną w dwóch mężczyzn, którzy pojawili się na zboczu za modelem miasta.

— Kim jesteście?! — wrzasnął dowódca.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Mówcie, kim jesteście, bo strzelamy!

Czyżby intruzi byli Palestyńczykami? Znajomość hebrajskiego wynieśli ze szkoły, a tu przybyli z misją samobójczą? Uri wiedział, co się stanie, jeśli ich milczenie potrwa choć chwilę dłużej: policja zacznie do nich strzelać, mierząc prosto w głowy. Tylko tak można ubiec tych, którzy zamierzają zdetonować bomby.

Ale dwaj mężczyźni nie mieli na sobie luźnych szat, co zwykle stanowi pierwszy sygnał ostrzegawczy. Obaj byli ubrani zupełnie zwyczajnie i naprawdę wyglądali na Izraelczyków.

— Jesteśmy Obrońcami Zjednoczonej Jerozolimy — przemówił w końcu starszy z mężczyzn. Mówił czystym hebrajskim, bez cienia obcego akcentu. Patrząc, jak policjanci ostrożnie ich okrążają, Uri zauważył, że obaj mają na głowach włóczkowe kipy — niezawodny znak rozpoznawczy członków izraelskiego ruchu osadniczego.

— To znaczy, że oni też na nas polowali?

Uri odwrócił się gwałtownie. Maggie siedziała, podpierając się ręką, a drugą przecierając sobie oczy.

— Boże, Maggie! Ty żyjesz!

— Przykro mi. Nie sądziłam, że taka ze mnie mimoza.

— O czym ty mówisz?

— Mam być poważną, twardą dyplomatką, której nie wypada mdleć tylko dlatego, że ktoś gdzieś strzela.

• • •

Policja zabrała całą trójkę do komisariatu, gdzie poddano ich wielogodzinnemu i szczegółowemu przesłuchaniu. Uczestniczył w nim także adwokat, szwagier Uriego, który uparł się, że jego klienci mają prawo mieć przy sobie swoje rzeczy osobiste, w tym znalezioną przy Maggie glinianą tabliczkę. Postawił na swoim, dzięki czemu ani na chwilę się z nią nie rozstała. Maggie udało się też ukryć na dnie kieszeni niewielki skrawek papieru, tak że policja nawet do niego nie dotarła.

Pod komisariatem byli świadkami sceny wielokrotnie widywanej w telewizji, w której jednak żadne nigdy wcześniej nie uczestniczyło. Czekala na nich cała armia reporterów z kamerami, aparatami fotograficznymi, lampami błyskowymi i reflektorami.

Na ich widok w kilkudziesięcioosobowym tłumie podniosła się ogłuszająca wrzawa wywołana przez wzajemnie przekrzykujących się reporterów.

— Maggie! Maggie! Co on powiedział? Co powiedział Abraham? Co tam jest napisane?

Uri i Mustafa wzięli Maggie między siebie i zaczęli przepychać się stronę czekającej na nich taksówki.

Kierowca musiał wykonać dwie pełne rundy po ulicach, zanim wreszcie udało mu się zgubić ścigające ich wozy prasowe i reporterów na motorach. W końcu dotarli do hotelu Maggie.

Znalazszy się wreszcie we własnym pokoju, Maggie włączyła telewizor. Wiedziała, że jej telefon komórkowy jest obłożony, bo na ekraniku migał komunikat: *Skrzynka pocztowa zapelniona!* Odsłuchiwała kilka pierwszych wiadomości. Dzwonili reporterzy z BBC, NPR, CNN, Reutersa, AP i „New York Timesa” z prośbą o wywiad w możliwie jak najszybszym czasie. Redakcja londyńskiego „Daily Mail” zaoferowała jej sześciocyfrowe honorarium za wyłączność na relację o trudach i przygodach kobiety, która w pojedynek wyruszyła na poszukiwania tabliczki Abrahama. Kilkakrotnie dzwoniło też z Białego Domu.

Skacząc po kanałach, wszędzie natykała się na zrobione kamerą Uriego zdjęcie, na którym w wyciągniętej ręce trzyma tabliczkę. W Fox News pokazywano nagranie Millera przyznającego się do swoich grzechów i kończącego stwierdzeniem: „Czy mam wyrzuty? Jestem z tego dumny!”. Zrobiono z tego pętlę i odtwarzano ją na okrągło. W końcu zdecydowała się na BBC World.

— Jest z nami Ernest Freundel z British Museum w Londynie, jeden z niewielu na świecie specjalistów od pisma klinowego,

jakie podobno znajduje się na tej niezwykłej tabliczce. Panie doktorze, co pan sądzi o autentyczności tego znaleziska?

— No cóż. Zwykle bardzo sceptycznie traktujemy wszelkie sensacje tego rodzaju, jednak z tego, co wiem, treść tej tabliczki odkrył i przetłumaczył profesor Szimon Guttman, jeden z największych autorytetów w tej dziedzinie. Jeśli on uważa tabliczkę za autentyczną, to jestem skłonny mu wierzyć.

— A co pan sądzi o tym, że tabliczka zawiera ostatnią wolę samego Abrahama?

— Tabliczka na pewno zostanie poddana licznym testom. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że Guttman nie należał do ludzi łatwowiernych. Warto też dodać, że skoro Amerykanie posunęli się tak daleko w celu zdobycia tej tabliczki, należy sądzić, że oni również byli przekonani o jej autentyczności.

— A co to oznacza dla naukowca takiego jak pan, doktorze Freundel?

— Nie przeczę, że bardzo dużo dałbym za możliwość obejrzenia tej tabliczki i wzięcia jej do ręki. Niestety, nie było mi to dane. Ale przyznaję, że jest to wydarzenie o niezwykle znaczeniu naukowym.

Siedzący na łóżku obok Maggie Uri włączył laptopa i zaczął przeglądać strony internetowe gazet „Al-Ahram”, „Washington Post”, „Guardian”, „Times of India”, „China Daily”. Wszystkie pisały o tym samym. Zatrzymał się na stronie „Haaretz” i pokazał Maggie wielki nagłówek:

ŚWIAT WSTRZYMAŁ ODDECH; IZRAELCZYCY I PALESTYŃCZYCY CZEKAJĄ NA SŁOWO ABRAHAMA

Poniżej zamieszczono relację z popołudniowych wydarzeń w Muzeum Izraela, podając, że izraelska policja aresztowała Akivę Shapirę, przywódcę osadników i domniemanego lidera ruchu Obrońców Zjednoczonej Jerozolimy. Rzecznik jerozolimskiej policji oświadczył także, że policja dysponuje dowodami na to, iż na Maggie Costello i Uriego Guttmana polowali również

radykalni islamiści związani z poszukiwanym przez władze palestyńskim terrorystą Salimem Nazzalem.

Maggie przejęła laptop i zaczęła przeglądać kolejne strony pełne rozwlekłych analiz i polemik na temat tego, co Abraham mógł lub nie mógł powiedzieć. Wiele też było wypowiedzi podważających autentyczność testamentu — zwłaszcza ze strony izraelskich jastrzębi, obawiających się, że Abraham mógł przekazać Wzgórze Świątynne muzułmanom, oraz ze strony twardo-głowych Palestyńczyków, którzy zabezpieczali się na wypadek, gdyby miało się okazać, że Abraham oddał Haram al-Szarif żydom. Błogi kipiały od przeróżnych teorii spiskowych, a ich autorzy upierali się, że pojawienie się tabliczki akurat w tym momencie rozmów pokojowych nie mogło być przypadkowe.

— Maggie, zdajesz sobie sprawę z tego, że musisz jak najszybciej wyjawić całą prawdę? Podać do publicznej wiadomości pełny tekst testamentu. Z tym nie można czekać — powiedział Uri.

Maggie powróciła wzrokiem do ekranu telewizora, na którym brytyjski premier, stojąc przed siedzibą na Downing Street, mówił do mikrofonu: „Historia czeka z zapartym tchem”.

Westchnęła.

— Wiem, Uri. Muszę się tylko zastanowić, jak to najlepiej zrobić.

Wracając później myślami do tych wydarzeń, nieodmiennie dochodziła do wniosku, że kluczem do sprawy była uwaga Millera, który stwierdził, że istnieją też kanały nieoficjalne i że strony cały czas ze sobą rozmawiają. Powiedział to, gdy siedziała upokorzona osobistą rewizją. Być może ktoś inny na jej miejscu nie zwróciłby na to uwagi lub o tym zapomniał, jednak ktoś mający — tak jak Maggie — wiele negocjacji za sobą nie mógł tego nie zauważyć. „Kanały nieoficjalne” zabrzmiało zbyt tajemniczo i nawet późniejsze przejścia nie wymazały jej tego z pamięci.

Choć właściwie nie powinno to jej dziwić. Wiadomo było powszechnie, że nawet najzagorzalsi wrogowie utrzymują rezerwową ścieżkę porozumienia, wykorzystując do tego celu zaufanego biznesmena czy kogoś osobiście zaprzyjaźnionego z tym lub innym politykiem. Nie ulegało wątpliwości, że Izraelczycy i Palestyńczycy także musieli sobie zapewnić taką możliwość.

Dumając nad tym w hotelowym łóżku, zapadła wreszcie w krótką, niespokojną drzemkę. Śniło jej się, że chodzi po ulicach Jerozolimy nie we własnym ciele, ale jako cyncaty awatar, którego siostra stworzyła na użytek Second Life. Potem uniosła się w powietrze i przeleciała nad złocistą Kopułą Skały i Ścianą Zachodnią. Stojący pod Ścianą brodaci mężczyźni w czarnych chałatach i modlitewnych szalach przyglądali się jej z zadartymi głowami, rozdziawiwszy usta ze zdumienia...

Obudziła się z czołem zroszonym potem. Czyżby? Czy to możliwe? Chwyciła laptop i bez namysłu zalogowała się w Second Life, ponownie podszywając się pod Saeba Nastajiba, *alter ego* Szimona Guttmanna. W polu adresowym wpisała salę seminaryjną Uniwersytetu Harvarda i kliknęła przycisk teleportacji. Proszę, bądźcie tam.

Nie omyliła się. Widziane poprzednio awatary Jaakowa Jariwa i Khalila al-Szafiego były na miejscu. Podeszła do nich bliżej, nacisnęła przycisk *Czat* i wpisała krótką wiadomość: *Mam informację, na którą czeka świat.*

Reakcja nie była natychmiastowa, co rozumiała dopiero później. Jak się okazało, zarówno biuro Jariwa, jak i biuro al-Szafiego umieściły w sali seminaryjnej Harvardu w Second Life „uśpione” awatary po to, by stale mieć je pod ręką. Dzięki temu w razie potrzeby obie strony mogły bez trudu ze sobą rozmawiać, i to bez względu na porę dnia czy nocy. Amir Tal, osobisty doradca premiera Izraela, zwykł zaglądać do sali co godziną? w ciągu dnia i kilka razy w nocy; jego odpowiednik po stronie palestyńskiej robił dokładnie to samo. Pomysł pochodził od al-Szafiego, który jeszcze w więzieniu przeczytał o internetowej symulacji rozmów pokojowych na Bliskim Wschodzie.

Wkrótce po zwolnieniu dołączył na próbę do jednej z grup dyskusyjnych i szybko doszedł do wniosku, że wystarczy, by któryś z izraelskich decydentów zrobił to samo, a powstanie nieoficjalny kanał do rozmów izraelsko-palestyńskich. Skończą się nocne wyjazdy do Oslo czy potajemne weekendy w szwedzkich leśniczówkach. Tu dialog spokojnie mógł się toczyć w biały dzień, a jednocześnie pozwalał wyprzeć się wszystkiego. W razie czego zawsze można było powiedzieć, że „Jaakow Jariw” i „Khalil al-Szafi” to tylko niewinne zabawy amerykańskiej studenterii.

Pierwszy zareagował Khalil al-Szafi. Poprosiła o telefon, chcąc się upewnić, że to na pewno on, i chwilę potem usłyszała w słuchawce znajomy głos. Ustalili, że Maggie za godzinę spotka się z jego najbliższym współpracownikiem.

Zaraz potem umówiła się w tym samym miejscu z Amirem Talem.

Spotkali się w luksusowej rezydencji pewnego amerykańskiego biznesmena w Zachodniej Jerozolimie. Maggie była zbyt zmęczona, by przejmować się formami, i od razu przeszła do rzeczy.

— Jak wam wiadomo, mam tabliczkę. Wcześniej planowałam odczytanie jej treści do kamery, bo bałam się, że jeśli tego nie zrobię i coś mi się stanie, ostatni testament Abrahama zniknie na zawsze. Ale teraz jest już bezpieczny.

Oświadczyła obu wysłannikom, że na razie nie pokaże im tabliczki, bo chce to odłożyć do czasu bezpośredniego spotkania liderów. Wyjęła natomiast kartkę z tłumaczeniami Guttmana i odczytała na głos wersję angielską, potem wręczyła ją obu mężczyznom, by mogli zapoznać się z tekstem w swoich ojczystych językach. Obaj wyraźnie pobledli.

— Oczywiście obie strony będą mogły zbadać autentyczność tabliczki i wierność tłumaczenia zaraz po przejściu do następnego etapu — powiedziała spokojnie. Chciała dać obu czas na ochłonięcie po tym, co właśnie przeczytali.

— A co będzie tym następnym etapem, panno Costello? — zapytał Palestyńczyk.

Maggie oświadczyła, że zostawi obu przywódcom przekazanie światu treści decyzji Abrahama, uważa bowiem, że byłoby nie w porządku, gdyby tego rodzaju wiadomość rozpowszechnił ktoś obcy. W tym celu należy zwołać wspólną konferencję prasową, i to od razu jutro, zaraz po żydowskim szabasie. U boku przywódców zasiądą Uri Guttman i Mustafa Nour, którzy w imieniu swoich nieżyjących ojców uczestniczyć będą w tym wydarzeniu.

• • •

Maggie usiadła przed telewizorem, by obejrzeć przebieg konferencji prasowej. Wolałaby być na miejscu, ale nie chciała wywołać kolejnego zamieszania medialnego w rodzaju tego, do jakiego doszło po ich wyjściu z komisariatu. A poza tym powinna się trzymać na uboczu. By nadać całej sprawie odpowiednią rangę, kluczowe słowa powinny paść z ust Jariwa i al-Szafiego. I nikogo więcej.

Była ciekawa, jak sobie z tym poradzą. Czy najpierw przemówi Jariw po hebrajsku, potem al-Szafi po arabsku i obie wypowiedzi będą tłumaczone na angielski, czy może zrobią to w odwrotnej kolejności? Okazało się, że wymyślili coś znacznie lepszego.

Zaczął al-Szafi po angielsku. Oświadczył, że ma przed sobą tabliczkę z tekstem podyktowanym przez patriarchę Abrahama, po czym zaczął go odczytywać w tłumaczeniu na angielski.

Ja Abraham, syn Teracha, przed obliczem sędziów oświadczam, co następuje. Ziemia, na którą zaprowadziłem syna mego, by go oddać w ofierze Wszechmocnemu Imieniu, zwana górą Moria...

Przerwał i oddał głos Jariwowi, który czytał dalej po angielsku.

...ziemia owa stała się zarzewiem niezgody między moimi dwoma synami, a ich imiona niechaj będą znane jako Izaak i Izmael. Takż oznajmiam przed obliczem sędziów, że górę ową zapisuję, jak następuje...

Jariw przerwał i obaj politycy wytrzymali pauzę jak wytrawni showmani. Potem obaj zaczęli czytać jednym, doskonale zestrojonym głosem:

Miejsce owo służyć ma obu moim synom i ich potomkom wedle ich uznania, jednakowoż niechaj będzie wiadome, że nie należeć ono będzie do żadnego z nich, tylko do obu razem, teraz i po wsze czasy. Obaj pełnić będą nad nim pieczę jako opiekunowie i strażnicy strzegący go w imieniu Wszechmocnego Imienia, jedynego Pana naszego, który włada wszystkim i wszystkimi. Potwierdzone pieczęcią Abrahama, syna Teracha, w obecności świadków, synów jego, dnia tego w Hebronie.

EPILOG

Jerozolima, dwa dni później

Na kolanach miała cienką czarną tekturową teczkę ze wszystkimi niezbędnymi papierami. Zawsze uważała, że w trakcie negocjacji mniej znaczy więcej i tak naprawdę powinien jej wystarczyć pusty notatnik. Dopiero na końcowym etapie bywają potrzebne sterty papierzysk, zwykle map. Oni nie byli na tym etapie. W każdym razie jeszcze nie.

Obrzuciła spojrzeniem salę i rozciągający się przed nią ogromny drewniany stół, którego nadwierzona wiekiem elegancja pamiętała lepsze czasy, jak zresztą wszystko inne w tym budynku. Przypuszczała, że pochodził z tego samego okresu co American Colony Hotel i, tak jak on, był pamiątką po dumnym imperium i złudzeniach sprzed blisko stu lat. Ponownie zerknęła na zegarek. Przyszła dwadzieścia minut przed czasem, ale jeszcze tylko pięć minut i wszystko się zacznie.

Dramaturgia wspólnej konferencji prasowej wywarła na wszystkich piorunujące wrażenie — silniejsze, niż ktokolwiek się spodziewał. Telewizja potrafi grać na uczuciach i widok dwóch zażartych wrogów, którzy w całkowitej zgodzie odczytują słowa wspólnego praprzodka, miał nieodpartą siłę. Wszystkie wielkie sieci telewizyjne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wałkowały Abrahama i jego przesłanie, wypierając tym z pamięci widzów wcześniejsze doniesienia o brutalnej przemocy. Specjaliści od spraw międzynarodowych zaczęli poważnie

zastanawiać się nad tym, czy pokojowe współistnienie nie stanowi odwiecznego przeznaczenia krajów Bliskiego Wschodu i tylko w brutalny sposób im je odebrano. Tygodnik „Time” zamieścił na okładce renesansowy wizerunek Abrahama, który opatrzone wymownym tytułem: ROZJEMCA.

Pełni euforii Amir Tal i jego palestyński odpowiednik zadzwonili do Maggie w sobotę tuż przed północą z pytaniem, czego sobie życzy w zamian za dostarczenie ich szefom tak wspaniałego politycznego daru, który pozwolił im przypisać sobie zasługę odkrycia czegoś, co obu zapewni wielki i trwały autorytet.

— Tylko tego, żeby obie strony bezzwłocznie wznowiły bezpośrednie rozmowy — odparła. Ale nie poprzez przedstawicieli, podkreśliła. Obaj przywódcy mają usiąść i osobiście rozmawiać ze sobą twarzą w twarz w obecności tylko jednego mediatora.

Ujawnienie treści tabliczki oznaczało, że znika pretekst do wykręcania się od zawarcia porozumienia w ostatniej niezgodnionej kwestii statusu Wzgórza Świątynnego. To zaś znaczyło, że przed upływem tygodnia obie strony powinny być gotowe do podpisania ostatecznego porozumienia pokojowego. Takiego, które oba narody zaakceptują i któremu patronować będzie sam Abraham.

Obaj przedstawiciele wyrazili wstępną zgodę. Maggie postanowiła pójść za ciosem i do końca wykorzystać dobrą passę.

— I jest jeszcze coś, na czym mi zależy.

— Co takiego, panno Costello?

— Chodzi mi o osobę mediatora.

• • •

Decyzja zapadła dwa dni temu i minione czterdzieści osiem godzin poświęciła na przygotowania. Przeczytała wszystkie notatki i wszystkie protokoły z dotychczasowych rozmów, a także wszystkie oficjalne dokumenty opracowane przez obie strony. W kilku przypadkach poprosiła o tłumaczenie na angielski analiz

opracowanych na wewnętrzny użytek delegacji izraelskiej i palestyńskiej. Kupiła też sobie kilka nowych ciuchów.

Wśród tych wszystkich zajęć znalazła czas na spotkanie z Urim. Po obejrzanej w telewizji konferencji prasowej, podczas której scena, kiedy Uri i Mustafa obejmują się i wzajemnie ściskają pod okiem kamer, stanowiła jeden z kulminacyjnych punktów, spotkali się w Kto Ze Mną Pobiegnie, nocnej kawiarni, gdzie nie tak dawno ślęczeli przy komputerze i z której uciekli w obawie przed siepaczami Millera.

— Wciąż jesteście tu najstarsi — parsknęła. Uri skwitował to uśmiechem. Wypyтали się wzajemnie o dalsze plany i oboje odpowiedzieli wzruszeniem ramion. Uri dodał, że ma w Jerozolimie parę spraw do załatwienia. Sprzedaż domu rodziców, uporządkowanie papierów ojca...

— Ojciec sprawił ci na koniec niezłą niespodziankę, co?

— Wiesz, to dopiero jest zabawne. Świat naprawdę zwariował na punkcie tej tabliczki i wszystkiego, co to oznacza. Ale dla mnie najbardziej niezwykły jest trud, jaki tata zadał sobie, żeby ją ukryć. Nawet uwzględniając jej treść.

— Był naukowcem.

— Ale nie tylko to. Pamiętasz, co wciąż powtarzał mamie? Że ona wszystko zmieni. Może jego też zmieniła.

Maggie z oporami skierowała rozmowę na Millera i to, dlaczego ją naprawdę wysłano do Jerozolimy. Powiedziała Urie-mu, że Miller chciał, aby się z nim przespała, i że użyto jej w charakterze — zawałała się przed użyciem tego terminu — „miodowej pułapki”. Powiedziała też, jak bardzo jest jej wstyd i że na myśl o tym robi jej się niedobrze.

Słuchał jej uważnie i bez cienia uśmiechu.

— Ale przecież nie wiedziałaś, że jesteś pułapką, prawda? Więc to nie jest twoja wina. Nie można być prawdziwą pułapką, kiedy się o tym nie wie. To moja wina, że się do ciebie przyczepiłem. A poza tym byłeś dla mnie kimś dużo więcej niż tylko pułapką.

Objęli się i przez długą chwilę trwali w ciasnym uścisku,

potem wstydliwie, jak para uczniów na letnim obozie, wymienili się adresami e-mailowymi. Żadne nie miało stałego adresu pocztowego, na którym można by polegać. Gdy w końcu Maggie zaczęła się żegnać, Uri położył jej palec na ustach.

— Nie żegnamy się, tylko mówimy / *'hitraot*, a to znaczy „do następnego spotkania”. I na pewno takie będzie. Niedługo.

Potem pocałowali się długo i namiętnie, jakby chcieli wzajemnie się zapewnić, że to nie są tylko czcze obietniki.

Wiekowy zegar — zapewne pożegnalny prezent Brytyjczyków, którzy zbudowali Dom Rządowy za czasów swego panowania w Palestynie — wybił dziesiątą. W tej samej chwili do uszu Maggie dotarł wzmożony hałas z zewnątrz: kilka zajeżdżających samochodów i typowy zgiełk towarzyszący przedstawicielom mediów. Słysząc było wykrzykiwane pytania, trzaskanie aparatów i lamp błyskowych. Zgiełk ucichł i po króciutkiej przerwie odezwał się ponownie. Maggie po raz ostatni rzuciła okiem na przygotowane papiery.

Chwilę potem usłyszała odgłos kroków zbliżających się do sali z przeciwległych kierunków. Drzwi po obu stronach otworzyły się i do środka wkroczyli przywódca Izraela i przywódca Palestyńczyków. Obaj byli bez żadnych osób towarzyszących. Maggie odetchnęła głęboko.

Podążyła rękę obu i poprosiła, żeby też się ze sobą przywitani, potem gestem ręki zaprosiła ich do stołu.

— Bardzo panom dziękuję — powiedziała, obdarzając ich promiennym uśmiechem.

W jej uśmiechu nie było żadnego udawania. Uśmiechnęła się do nich jak kobieta, której nareszcie udało się znaleźć na swoim miejscu.

Lekko odchrząknęła.

— Możemy zaczynać?

PODZIĘKOWANIA

Mówi się, że pisanie to samotne zajęcie, ale nie jest to do końca prawda. Pisarze mają wokół siebie ludzi, którzy gotowi są służyć im swoim czasem i wiedzą. Kilkorgu z nich chciałbym serdecznie podziękować.

John Curtis, kustosz działu starożytnego Bliskiego Wschodu w British Museum i jeden z pierwszych, którzy podnieśli alarm na wieść o rabunku irackiego dziedzictwa narodowego po inwazji z 2003 roku, z cierpliwością przybliżał mi zakres tych tragicznych wydarzeń. Jego kolega z muzeum, Irving Finkel, zechciał podzielić się ze mną swoją wiedzą o zwyczajach panujących w erze Abrahama oraz jakże rzadką znajomością pisma klinowego z czasów babilońskich, w której to dziedzinie jest jednym z czołowych autorytetów na świecie. Zamieszczona w tej książce próbka pisma klinowego jest jego odręczną pracą, a pewne wypowiedzi Szimona Guttmana opierają się na naukowych badaniach doktora Finkela. Jestem mu ogromnie wdzięczny zarówno za jego nauki, jak i za niezłomne wspieranie całego pomysłu.

Wiedzę na temat obyczajów panujących w międzynarodowym handlu kradzionymi antykami zawdzięczam Karen Sanig z londyńskiej kancelarii prawniczej Mishcon de Reya, a także detektywowi sierżantowi Richardowi Ellisowi, twór-

cy wydziału sztuki i antyków Scotland Yardu. Podziwiam ich nieustępliwość w walce z przestępcami, którzy próbują odebrać ludzkości część jej największych skarbów. Jestem również wdzięczny doktorowi Rupertowi L Chapmanowi III, byłemu sekretarzowi wykonawczemu Fundacji ds. Palestyńskich Wykopalisk, oraz Edwardowi Foksowi, którego książka *Palestine Twilight* (Palestyński półmrok) tak dobrze objaśnia polityczne napięcia wokół prac archeologicznych na Bliskim Wschodzie. Nie mógłbym sobie wymarzyć bardziej przyjaznych i pomocnych pracowników Cargo British Airways na Heathrow ani funkcjonariuszy Urzędu Podatków i Akcyzy JKM.

Moimi przewodnikami po Second Life byli koledzy z redakcji „Guardiana” — Aleks Krotoski i Victor Keegan. Ten ostatni jako Virgil oprowadzał mnie po zakamarkach tego tajemniczego świata. Raz jeszcze Tom Cordiner i Steven Thurgood byli gotowi dzielić się ze mną swoją przepastną wiedzą o komputerach.

Jeśli chodzi o znajomość Bliskiego Wschodu, winien jestem wdzięczność setkom Izraelczyków i Palestyńczyków, których spotkałem w trakcie dwudziestoletniego poznawania tego regionu i pisania o nim. Wiele ich relacji znalazło odbicie w mojej opowieści. Szczególne podziękowania składam: doktorowi Meronowi Medziniemu, Aryehowi Ban-nerowi z Fundacji Dziedzictwa Ściany Zachodniej, Chrisowi Stevensowi z Departamentu Stanu USA, Dougowi Krik-lerowi, a także mojemu staremu przyjacielowi Marshallowi Yamowi za pomysł, który mi podsunął na początkowym etapie obmyślenia tej powieści. Moi rodzice, Michael i Sara Freedlandowie, a także mój teść Michael Peters czytali pierwszy brudnopis powieści, przez cały czas służąc mi cennymi uwagami.

W wydawnictwie HarperCollins pracuje redaktorka Jane Johnson, za którą każdy autor gotów jest oddać życie. Orlooka, pełna entuzjazmu, wymagająca i zawsze mająca

rację, co jest irytujące. Wraz z Sarą Hodgson tworzą niezwykle kompetentny zespół.

Trzem osobom winien jestem specjalną wdzięczność. Jonathan Cummings potrafił nie tylko z szybkością światła wygrzebywać spod ziemi najbardziej niezwykle dane, ale stał się także moim bliskim towarzyszem i współpiskow-cem. Johnny Geller jest ojcem chrzestnym całego tego przedsięwzięcia jako ktoś, kto od początku w nie wierzył i kto w ciągu całego procesu jego realizacji popychał je do przodu światłymi uwagami. Już to kiedyś powiedziałem i raz jeszcze powtórzę: to najlepszy agent w biznesie i wzór przyjaciela. Bez niego nic by z tego nie było.

Na koniec moja żona Sarah. Jej entuzjazm i zaangażowanie, z jakimi zareagowała na mój pomysł, nigdy nie osłabły — nawet wówczas, gdy praca nad powieścią przykuwała mnie do biurka na zbyt wiele godzin. Przeczytała brudnopis z wielką wnikliwością i sympatią i zaproponowała liczne ulepszenia. Jest dla mnie stałym źródłem zachęty, śmiechu i miłości. Moje życie — podobnie jak ta książka — również ma swoją bohaterkę i jest nią ona.